

# KARIN SLAUGHTER OFIARA



**Karin Slaughter**

# **Ofiara**

Tłumaczenie:  
Dorota Stadnik

*Dla moich czytelników*

## PROLOG

Pierwszy raz w życiu tuliła córkę w ramionach.

Przed laty pielęgniarka w szpitalu zapytała ją, czy chce potrzymać dziecko, ale odmówiła. Odmówiła też nadania mu imienia, a także podpisania dokumentów przed wyjściem. Asekurowała się, zresztą jak zwykle. Do dziś pamiętała problem, jaki powstał przy wkładaniu dzinsów. Były jeszcze mokre od wód płodowych. Nagle stały się za luźne w pasie i musiała przytrzymać w garści nadmiar materiału, żeby nie spadły z niej, kiedy schodziła tylnymi schodami i wybiegła na zewnątrz, gdzie w aucie za rogiem czekał na nią chłopak.

Zawsze czekał na nią jakiś chłopak, czegoś od niej chciał, usychał z tęsknoty albo nienawidził. Tak było, odkąd pamiętała. Ma dziesięć lat. Alfons jej matki koniecznie chce się z nią bawić. Ma piętnaście lat. Ojciec w rodzinie zastępczej lubi zadawać jej ból. Ma dwadzieścia trzy lata. Pewien żołnierz traktuje jej ciało jak terytorium wroga. Ma trzydzieści cztery lata. Gliniarz usiłuje ją przekonać, że to wcale nie był gwałt. Ma trzydzieści siedem lat. Inny gliniarz obiecuje, że zawsze będzie ją kochał.

„Zawsze” nigdy nie trwa tak długo, jak sądzimy.

Dotknęła twarzy córki. Tym razem delikatnie, nie jak poprzednio.

Była piękna.

Miała gładką skórę. Pod przymkniętymi powiekami ledwie dostrzegalnie poruszały się gałki oczne. Oddech był świszczący.

Ostrożnie odgarnęła jej włosy z twarzy i założyła za ucho. Mogła to zrobić wiele lat temu w szpitalu. Wygładzić zmarszczone czoło, ucałować każdy z dziesięciu maleńkich paluszków u rąk, pogłaskać każdy z dziesięciu paluszków u stóp.

Teraz jej córka miała staranny manikiur, zgrabne palce u stóp zniszczone latami lekcji baletu, wieczornych tańców i wszystkich wydarzeń, które wypełniły jej intensywne, pozbawione matki życie.

Dotknęła palcami warg córki. Były zimne. Dziewczyna się wykrwawiała. Rękojeść ostrza wystającego z klatki piersiowej pulsowała w rytm bicia serca, chwilami jak metronom, chwilami jak zepsuty opadający sekundnik.

Tyle straconych lat.

W szpitalu powinna była wziąć córkę na rękę, zrobić to choćby raz. Wdrukować jej w mózg wspomnienie matczynego dotyku, by teraz córka nie odsuwała się od niej i nie wzdrygała jak pod dotknięciem kogoś obcego.

A przecież były dla siebie obce.

Potrząsnęła głową. Nie mogła w takiej chwili pogрузić się w rozważaniach o doznanych stratach i roztrząsać ich powodów. Musiała kurczowo trzymać się myśli, że jest silna i przetrwa. Zawsze balansowała na krawędzi. Uciekała od tego, za czym ludzie zwykle gonią: od dziecka, od męża, od domu, od życia.

Szczęścia. Zadowolenia. Miłości.

Uświadomiła sobie, że wszystkie ucieczki zaprowadziły ją do tego ciemnego pomieszczenia, uwięziły w ponurych czterech ścianach, w których pierwszy i ostatni raz trzymała w ramionach wykrwawiającą się na śmierć córkę.

Zza drzwi dobiegł odgłos szurania nogami. Przez szparę pod drzwiami zobaczyła cień stóp przesuwających się po ziemi.

Czyżby przyszedł zabójca jej córki?

I jej samej?

Drzwi zastukały w metalowej futrynie. Odrobina światła pozwalała zorientować się, gdzie jest gałka.

Pomyślała o broni. Szpilki zrzuciła na ulicy, żeby szybciej biec. Do dyspozycji miała tylko nóż wystający z piersi córki.

Dziewczyna jeszcze oddychała. Ostrze tkwiło w jakimś ważnym organie wewnętrznym, hamując krwotok i spowalniając umieranie.

Dotknęła noża i zaraz cofnęła rękę.

Drzwi zastukały ponownie. Rozległo się skrobanie metalu o metal. Kwadracik światła zmalął, potem zniknął, gdy w otworze znalazł się śrubokręt.

Klik, klik, klik. Te dźwięki przypominały szczęk nienaładowanej broni.

Łagodnie ułożyła głowę córki na ziemi. Oparła się na kolanach i zagryzła wargi, czując szarpiący ból w żebrach. Rana na boku się otworzyła, krew spłynęła po nogach, poczuła skurcz mięśni.

Przeczołgała się przez pomieszczenie, ignorując trociny

i metalowe wiórki wrzynające się w kolana, kłujący ból pod żebrami, krwawe ślady, jakie zostawiała za sobą. Namacała śrubki i gwoździe, potem trafiła na coś zimnego, okrągłego i metalowego. Wzięła to do ręki. W ciemności palce rozpoznały kształt. To była gałka drzwiowa. Solidna i ciężka. Niczym szpikulec do lodu, wystawał z niej dziesięciocentymetrowy trzpień.

Usłyszała ostatnie kliknięcie zasuw, śrubokręt upadł na betonową posadzkę, drzwi uchylły się lekko.

Zmrużyła oczy, by nie oślepiło jej światło. Przypomniała sobie, na ile różnych sposobów raniła mężczyzn. Raz bronią. Raz drutem. Nieskończenie wiele razy pięściami. Ustami. Zębami. Sercem.

Drzwi uchylły się na kilka kolejnych centymetrów i wysunął się zza nich czubek lufy.

Chwyciła gałkę w taki sposób, by trzpień wystawał pomiędzy palców, i czekała, aż mężczyzna wejdzie do środka.

**PONIEDZIAŁEK**



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Will Trent martwił się o psa. Betty była na zabiegu czyszczenia zębów, co wydawało się wyrzucaniem pieniędzy w błoto, ale kiedy weterynarz roztoczył wizję szkód, jakie może wyrządzić zwierzęciu brak odpowiedniej higieny uzębienia, Will był gotów sprzedać dom, byle tylko przedłużyć Betty życie o kilka bezcennych lat.

Najwyraźniej nie był jedynym idiotą w Atlancie, który zapewniał swojemu psu opiekę medyczną, o jakiej wielu Amerykanów mogło tylko pomarzyć. Spojrzał na ludzi stojących w kolejce pod drzwiami do Dutch Valley Animal Clinic. Krnąbrny dog niemiecki blokował wejście, podczas gdy właściciele kotów wymieniali porozumiewawcze spojrzenia. Will wyszedł na ulicę i otarł mokry kark. Nie wiedział, czy poci się z powodu sierpniowego upału, czy niepewności co do podjętej decyzji. Nigdy przedtem nie miał psa, nie odpowiadał za zdrowie i życie żadnego zwierzęcia. Przycisnął dłoń do klatki piersiowej. Ciągłe czuł łomotanie serca Betty, gdy oddawał ją w ręce weterynarza.

Może powinien wrócić do środka i wyrwać ją z rąk oprawcy?

Z zamyślenia wyrwał go ostry dźwięk klaksonu. Przed oczyma śmignął mu czerwony mini cooper. Za kierownicą siedziała Faith Mitchell. Zawróciła i zatrzymała się tuż przy nim. Kiedy wyciągnął rękę w stronę klamki, przechyliła się i otworzyła mu drzwi.

- Szybko - rzuciła podniesionym głosem, by przekrzyczeć szum pracującej na pełnych obrotach klimatyzacji. - Amanda przysłała już dwa esemesy z pytaniem, gdzie się podziewamy.

Zawahał się na moment przed wejściem do małego autka. Służbowy samochód Faith, chevrolet suburban, był w warsztacie. Na tylnym siedzeniu mini coopera tkwił dziecięcy fotelik, pozostawiający Willowi zaledwie osiemdziesiąt centymetrów przestrzeni, w której musiał upchnąć swoje sto dziewięćdziesiąt centymetrów.

Telefon Faith rozbrzmiał sygnałem oznajmiającym nadejście kolejnego esemesa.

- Amanda - oznajmiła.

To imię zabrzmiało w jej ustach jak przekleństwo, zresztą tak brzmiało w ustach większości ludzi. Zastępczyni dyrektora Amanda Wagner była ich bezpośrednią przełożoną w Georgia Bureau of Investigation, w skrócie GBI, czyli w Biurze Śledczym Stanu Georgia, i słynęła z impulsywności.

Will rzucił marynarkę na tylne siedzenie, po czym złożył się jak scyzoryk, żeby wsiąść. Przechylił głowę, wykorzystując dodatkową przestrzeń powstałą dzięki szyberdachowi. Schowek wpijał mu się w piszczele. Kolana niemal dotykały twarzy. Gdyby mieli wypadek, koroner musiałby wyciągać mu nos z czaszki.

- Morderstwo - rzuciła Faith, nie czekając, aż Will zamknie drzwi. - Mężczyzna, pięćdziesiąt osiem lat.

- Super - odparł, ciesząc się ze śmierci bliźniego na tyle, na ile może się z niej cieszyć funkcjonariusz organu ochrony

porządku publicznego. Usprawiedliwiało go to, że przez siedem ostatnich miesięcy byli zajęci z Faith syzyfową pracą. Ona została oddelegowana do specjalnego zespołu prowadzącego dochodzenie w sprawie oszustw egzaminacyjnych w szkołach publicznych w Atlancie, on tkwił po uszy w głośnej sprawie o gwałt.

- Oficer dyżurny odebrał zgłoszenie około piątej rano. Niezidentyfikowany mężczyzna poinformował o ciele leżącym w pobliżu opuszczonych magazynów w Chattahoochee. Mnóstwo krwi. Brak broni - Faith wyrzucała z siebie kolejne informacje. Stała na czerwonym świetle. - Nie podali przyczyny śmierci. Musi być paskudnie.

W aucie rozległ się brzęczyk. Will po omacku sięgnął po pas bezpieczeństwa.

- Dlaczego my mamy się tym zająć? - Jako pracownicy GBI nie mogli tak po prostu wkroczyć do akcji. Musieli mieć polecenie gubernatora albo zrobić to na prośbę miejscowych policjantów. Wydział policji w Atlancie co tydzień miał do czynienia z jakimś morderstwem i zazwyczaj nie prosił o pomoc, a już zwłaszcza policji stanowej.

- Ofiarą jest policjant. - Faith złapała pas bezpieczeństwa Willa i zapięła mu go jak dziecku. - Detektyw pierwszego stopnia Dale Harding. Słyszałeś o nim?

- Nie. A ty?

- Moja mama go znała, ale nigdy z nim nie pracowała. Zajmował się przestępstwami urzędniczymi. Odszedł ze służby z powodów zdrowotnych, potem zajął się ochroną osobistą. Głównie wykręcaniem rąk i łamaniem nóg. - Zanim

Faith została partnerką Willa, przez piętnaście lat pracowała w policji w Atlancie. Jej matka przeszła na emeryturę w randze kapitana. Obie znały niemal wszystkich. – Mama uważa, że facet o takiej reputacji jak Harding wkurzył jakiegoś alfonsa albo nie spłacił na czas długu u bukmachera i dostał w łeb.

Samochód szarpnął, gdy Faith ruszyła po zmianie świateł. Will poczuł, jak rękojeść glocka dźga go w żebra. Starał się zmienić pozycję. Mimo działającej na pełnych obrotach klimatyzacji pot spływał mu po plecach i sprawił, że koszulka przykleiła się do oparcia, a skóra odchodziła płatami. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał siódmą trzydzieści osiem. Will nawet nie chciał myśleć, jaki żar będzie w południe.

Telefon Faith rozbrzmiał sygnałem informującym o nowym esemesie. Potem drugi raz. I trzeci.

– Amanda – jęknęła Faith. – Dlaczego rozdziela zdania? Każde przysyła osobno. Wszystko wielkimi literami. To nie fair. – Trzymała kierownicę jedną ręką, drugą zaczęła odpisywać, co było niebezpieczne i sprzeczne z prawem, ale Faith zauważała łamanie prawa tylko u innych. – Jeszcze pięć minut, prawda?

– Raczej dziesięć przy takim natężeniu ruchu – odparł Will i chwycił kierownicę, żeby zapobiec wjechaniu na chodnik. – Gdzie dokładnie jest ten magazyn?

Faith przejrzała wcześniejsze wiadomości, po czym powiedziała:

– To teren budowy przy magazynach. Beacon trzysta osiemdziesiąt.

Will poczuł bolesny ucisk w szczęce. Ból rozlał się na szyję i kark.

- To nocny klub Marcusa Rippy'ego.

- Żartujesz sobie? - rzuciła zaskoczona Faith.

Will pokręcił głową. Kiedy chodziło o Marcusa Rippy'ego, nie miał ochoty na żarty. Facet był zawodowym koszykarzem oskarżonym o odurzenie i zgwałcenie studentki. Siedem minionych miesięcy Will poświęcił na zgromadzenie niepodważalnych dowodów przeciwko temu kłamliwemu draniowi, ale Rippy z setkami milionów dolarów na koncie mógł sobie pozwolić na opłacenie adwokatów, ekspertów, biegłych i dziennikarzy, którzy dopilnowali, by sprawa nigdy nie trafiła na wokandę.

- Co robi martwy ekspolicjant w klubie Marcusa Rippy'ego niecałe dwa tygodnie po uniknięciu sprawy o gwałt?

- Adwokaci Rippy'ego na pewno będą mieli dla nas wiarygodne wyjaśnienie.

- Jezu. - Faith odłożyła telefon do uchwytu na kubek i złapała kierownicę obiema rękami. Przez chwilę milczała, prawdopodobnie rozważając wszystkie możliwe scenariusze. Dale Harding był wprawdzie policjantem, ale złym. Gorzka prawda o morderstwach w wielkim mieście jest taka, że ofiary rzadko kiedy okazują się wzorowymi i prawomyślnymi obywatelami. Nie chodzi o ich obwinianie, ale miały skłonność do wkurzania alfonsów czy unikania spłaty długów, nic więc dziwnego, że w końcu padły ofiarą morderstwa.

To, że istniał jakiś związek między zabójstwem Dale'a

Hardinga a Marcusem Rippym, zmieniało wszystko.

Faith zwolniła, ponieważ poranny ruch uliczny gęstniał z każdą chwilą.

- Wiem, że nie chciałeś rozmawiać o niepowodzeniu swojej sprawy, ale teraz musisz zdradzić coś więcej.

Will nadal nie chciał o tym rozmawiać. Przez ponad pięć godzin Rippy znęcał się nad ofiarą, bił ją i dusił. Stojąc przy jej szpitalnym łóżku trzy dni później, Will widział na jej szyi ciemne ślady po palcach Rippy'ego, które odpowiadały układowi jego dłoni na piłę. Dokumentacja medyczna mówiła też o sińcach w innych miejscach, ranach ciętych, ranach szarpanych, pęknięciu krocza, krwotoku, urazie zadanyim tępym narzędziem. Kobieta mogła tylko szeptać, ale opowiedziała swoją historię i opowiadała ją każdemu, kto chciał jej słuchać, póki adwokaci Rippy'ego nie zamknęli jej ust.

- Will? - ponagliła go Faith.

- Zgwałcił kobietę. Zapłacił, żeby się z tego wywinąć. Zrobi to znowu. Pewnie robił to już wcześniej. I to się nie liczy, bo facet umie grać w kosza.

- Bardzo jesteś rozmowny. Dzięki.

Will poczuł intensywniejszy ból w szczęce.

- Nowy Rok. Dziesiąta rano. Nieprzytomną ofiarę znalazła w domu Marcusa Rippy'ego pomoc domowa. Kobieta wezwała szefa ochrony Rippy'ego, który zadzwonił do agenta Rippy'ego. Agent zadzwonił do prawników Rippy'ego, którzy w końcu wezwali prywatną karetkę, która zawiozła ją do szpitala Piedmont. Około ósmej rano, dwie godziny przed

znalezieniem ofiary, prywatny odrzutowiec Rippy'ego wyleciał do Miami z nim i całą jego rodziną na pokładzie. Rippy twierdzi, że ten wyjazd był zaplanowany już dawno, ale plan lotu został wpisany zaledwie pół godziny przed startem. Rippy idzie w zaparte. Nie miał pojęcia, że ofiara jest w domu. Nigdy jej nie widział. Nigdy z nią nie rozmawiał. Nie znał jej imienia. Dzień wcześniej odbyło się u niego wielkie przyjęcie noworoczne. W rezydencji i na zewnątrz bawiło się dwieście osób.

- Na Facebooku był wpis...

- Na Instagramie - sprostował Will, który długie godziny spędził na przeglądaniu filmików nakręconych przez uczestników przyjęcia telefonami komórkowymi. - Jeden z gości wrzucił tam film, na którym ofiara mamrocze coś pod nosem, a potem wymiotuje do kubelka z lodem. Ludzie Rippy'ego zlecili badanie toksykologiczne. Wykazało obecność trawki, amfetaminy i alkoholu we krwi.

- Mówiłeś, że przywieźli ją do szpitala nieprzytomną. Wyraziła zgodę na udostępnienie wyników badania ludziom Rippy'ego?

Will potrząsnął głową. To i tak nie miało znaczenia. Ekipa Rippy'ego opłaciła kogoś ze szpitalnego laboratorium i wyniki badania krwi wyciekły do prasy.

- Musisz przyznać, że facet ma nazwisko świetnie pasujące do tej sprawy. - Faith wykrzywiła usta. - Dom jest pewnie wielki, co?

- Prawie tysiąc pięćset metrów kwadratowych. - Po wielu godzinach przesiadywania nad planami rezydencji Will znał

topografię na pamięć. - Ma kształt końskiej podkowy. Pośrodku jest basen. Rodzina mieszka w głównej części, w zagięciu podkowy. W obu skrzydłach mieszczą się apartamenty dla gości, salon do manikiuru, sala do koszykówki, pokój do masażu, siłownia, sala kinowa, pokój zabaw dla dwójki dzieci. Wszystko, o czym zamierzysz.

- Logicznie rzecz biorąc, jeśli coś złego stałoby się w jednej części domu, w drugiej nikt by się nawet nie zorientował.

- Dwieście osób się nie zorientowało? Do tego dochodzą jeszcze pokojówki i lokaje, kamerdynerzy, kelnerzy, kucharze, barmani, asystenci i kogo tam jeszcze licho nadało. - Will odbył dwugodzinną wędrowkę po posiadłości Rippy'ego w towarzystwie szefa ochrony. Na zewnątrz liczne kamery rozmieszczono tak, by nigdzie nie było martwych punktów. Czujniki ruchu wykrywały wszystko, co było cięższe od liścia spadającego na ziemię w ogrodzie. Nikt nie mógł niepostrzeżenie wejść na teren rezydencji ani jej opuścić.

Z wyjątkiem tamtej nocy. Właśnie wtedy rozpętała się burza i światło gasło raz po raz. Rezydencja dysponowała najnowocześniejszymi generatorami, ale z jakiegoś powodu zewnętrzny rejestrator DVR, który nagrywał obraz z kamer monitoringu, nie był podłączony do sieci zasilania awaryjnego.

- Oglądałam wiadomości. Ludzie Rippy'ego twierdzili, że to stuknięta naciągaczka.

- Zaproponowali jej pieniądze, ale odmówiła.

- Może chciała podbić stawkę. - Faith zabębniła palcami



w kierownicę. - Czy to możliwe, żeby sama sobie zadała te rany?

Taką wersję przedstawiali adwokaci Rippy'ego. Znaleźli nawet eksperta gotowego zeznać w sądzie, że ogromne ślady palców na szyi, plecach i udach powstały na skutek jej rozmyślnego działania.

- Miała sińca między łopatkami. Wyraźny odcisk pięści. Wielkiej pięści. Widać było ślady palców. Takie same jak na szyi. Ciężkie stłuczenie w okolicy wątroby. Lekarze kazali jej leżeć przez dwa tygodnie.

- Znaleziono prezerwatywę z nasieniem Rippy'ego...

- W łazience w holu. Żona twierdzi, że tego wieczoru uprawiali seks.

- I zostawił zużytą gumkę w łazience dla gości, nie w swojej? - Faith zmarszczyła czoło. - Czy na prezerwatywie znaleźliście DNA żony?

- Prezerwatywa leżała na wyłożonej płytkami podłodze, która została umyta płynem z dodatkiem wybielacza. Niczego już byśmy nie znaleźli.

- Jakies ślady DNA na ciele ofiary?

- Niezidentyfikowane żeńskie DNA, prawdopodobnie przyniesione z akademika, w którym mieszka.

- Powiedziała, kto ją zaprosił na imprezę?

- Przyszła z koleżankami z college'u. Żadna nie pamięta, kto dostał zaproszenie. Żadna nie znała Rippy'ego osobiście, a przynajmniej żadna się do tego nie przyznała. I wszystkie cztery natychmiast odcięły się od ofiary, kiedy zapukałem do ich drzwi.

- Czy ofiara zidentyfikowała Rippy'ego?

- Stała w kolejce do łazienki. To było po tym, jak wymiotowała do wiaderka z lodem. Twierdzi, że wypła tylko jednego drinka, po którym zrobiło jej się niedobrze. Miała wrażenie, że coś jest nie tak. Rippy podszedł do niej. Od razu go poznała. Był miły, powiedział, że w skrzydle dla gości jest druga łazienka. Poszła za nim. Szli długo. Kręciło jej się w głowie. On ją objął i pomagał zachować równowagę. Zaprowadził ją do apartamentu dla gości na samym końcu korytarza. Poszła do toalety. Kiedy z niej wyszła, siedział nagi na łóżku.

- A potem?

- Następnego dnia ocknęła się w szpitalu. Miała poważne wstrząśnienie mózgu od ciosu albo uderzenia w głowę. Była wielokrotnie podduszana, kilka razy straciła przytomność. Lekarze sądzą, że może nigdy nie przypomnieć sobie szczegółów tamtej nocy.

- Hm.

Will poczuł ładunek sceptycyzmu zawarty w tym mruknięciu.

- Gdzie jest łazienka, w której znaleziono prezerwatywę?

- Dzieli ją sześcioro drzwi od apartamentu dla gości. Mijali ją w drodze tam, a Rippy mijał ją, wracając na przyjęcie - wyjaśnił Will. - Na nagraniach zrobionych telefonami widać, jak raz po raz przyłącza się do zabawy. Podchodził do różnych ludzi, żeby zapewnić sobie alibi. Poza tym połowa jego drużyny stanęła za nim murem. Jameel Gordon, Andre Dupree, Reuben Figaroa. Dzień po napaści zjawili się na

komisariacie w towarzystwie adwokatów i zgodnie powtórzyli tę samą historyjkę. Kiedy sprawę przejęło GBI, żaden z nich nie wyraził zgody na ponowne przesłuchanie.

- Typowe - skwitowała Faith. - A Rippy pewnie utrzymuje, że to się wcale nie zdarzyło, a on sam nie widział ofiary na przyjęciu?

- Bingo.

- Żona go broni?

- Wręcz wrzeszczy. - LaDonna Rippy chodziła po stacjach telewizyjnych i gardłowała w obronie męża w każdym talk-show i programie informacyjnym, którego gospodarz zechciał ją zaprosić. - Potwierdziła wszystko, co mówił jej mąż, łącznie z tym, że nie widziała ofiary na przyjęciu.

- Hm. - To chrząknięcie Faith wyrażało jeszcze większy sceptycyzm.

- Wszyscy, którzy widzieli tej nocy ofiarę, zeznali, że była pijana i kleiła się do każdego napotkanego koszykarza. Co ma sens, jeśli zestawić filmik, na którym rzyga do kubelka, z wynikami badań toksykologicznych. A potem czytasz raport, wiesz, że ofiara została brutalnie zgwałcona i pamięta, jak Rippy siedział goły na łóżku, kiedy ona wyszła z łazienki.

- Adwokat diabła?- Will skinął głową, wiedząc, co nastąpi, a ona mówiła dalej: - Rozumiem, czemu nie stanął przed sądem. Jego słowo przeciwko jej słowu. Rippy korzysta z wątpliwości działających na jego korzyść. Tak działa konstytucja. Niewinny póki... i tak dalej, i tak dalej. Nie zapominaj, że gość jest obrzydliwie bogaty. Gdyby mieszkał

w przyczepie kempingowej, adwokat z urzędu załatwiłby mu fikcyjny wyrok pięciu lat więzienia, byle tylko nie znalazł się w rejestrze przestępców seksualnych. Taka jest prawda.

Will milczał, nie mając nic do dodania.

Faith zacisnęła dłonie na kierownicy.

- Nienawidzę spraw o gwałt. W procesie o morderstwo przysięgli nie pytają, czy ofiara naprawdę została zamordowana, czy może kłamie, żeby zwrócić na siebie uwagę. Poza tym co robiła w tej części miasta? Dlaczego piła? A co z pozostałymi mordercami, z którymi się spotykała?

- Ona nie budziła sympatii. - Will nie potrafił pogodzić się z tym, że to w ogóle miało jakiegokolwiek znaczenie. - Jej rodzina jest w rozsypce. Samotna matka narkomanka, ojciec nieznany. W szkole średniej samookaleczała się, miała kłopoty z narkotykami. Dostała warunkową zgodę na pozostanie w college'u. Randkowała na potęgę, spędzała mnóstwo czasu na Tinderze i OkCupid jak wszyscy jej rówieśnicy. Ludzie Rippy'ego dotarli do informacji, że parę lat temu miała aborcję. W gruncie rzeczy sama podała im na tacy taktykę obrony.

- Granica oddzielająca dobrą dziewczynę od złej jest bardzo cienka, a kiedy ją przekroczysz... - Faith uniosła głowę i prychnęła. - Nawet sobie nie wyobrażasz, co ludzie wygadywali na mój temat, kiedy zaszłam w ciążę z Jeremym. Jednego dnia byłam wzorową uczennicą szkoły średniej i miałam przed sobą całe życie, a następnego stałam się nastoletnią Matą Hari.

- Rozstrzelali cię za szpiegostwo?

- Wiesz, o co mi chodzi. Byłam pariasem. Ojciec Jeremy'ego został wysłany do rodziny na północ. Mój brat do dzisiaj mi nie wybaczył. Tata został zmuszony do odejścia z firmy, stracił mnóstwo klientów. Przyjaciele nie chcieli ze mną rozmawiać. Musiałam rzucić szkołę.

- Przynajmniej było inaczej, kiedy urodziłaś Emmę.

- Tak. Samotna trzydziestopięciolatka z dwudziestoletnim synem i roczną córką słyszy same pochwały na temat świetnych życiowych wyborów - skwitowała Faith i zmieniła temat. - Ofiara miała chłopaka?

- Zerwał z nią tydzień przed napaścią.

- O rany. - Faith prowadziła wystarczająco wiele śledztw w sprawach o gwałt, by wiedzieć, że marzeniem obrońcy gwałciciela jest oskarżająca, która najpewniej chce wzbudzić zazdrość w byłym chłopaku.

- Pojawił się po napaści - powiedział Will, chociaż nie zapalał sympatią do byłego chłopaka ofiary. - Był przy niej. Dał jej poczucie bezpieczeństwa. A przynajmniej się starał.

- Czy w śledztwie pojawiło się nazwisko Dale'a Hardinga?

Will przecząco kiwnął głową.

Minął ich wóz transmisyjny, ujechał jakieś dwadzieścia metrów, po czym wykonał niezgodny z przepisami skręt.

- Południowe wiadomości mają temat dnia - rzuciła Faith.

- Oni nie szukają informacji. Oni chcą plotek.

Jeszcze przed oddaleniem sprawy Rippy'ego Will nie mógł spokojnie opuścić siedziby GBI. Codziennie czekał na niego jakiś reporter z nieskazitelną fryzurą, próbujący wymusić na

nim wypowiedź, która stałaby się końcem jego kariery. Zważywszy na to, że fani Rippy'ego grozili ofierze śmiercią i nękali ją w Internecie, sam starał się trzymać w cieniu.

- Martwy Harding w klubie Rippy'ego to może być zbieg okoliczności.

Will spojrział na nią krzywo. Policjanci nie wierzyli w zbiegi okoliczności, nie mogła w nie wierzyć zwłaszcza taka policjantka jak Faith.

- Dobra, dobra - rzuciła ugodowo, powtarzając nieprzepisowy manewr wozu transmisyjnego. - Teraz przynajmniej wiadomo, czemu Amanda przysłała cztery esemesy. - Jej komórka zadzwieczała. - Pięć - sprostowała i złapała za telefon. Kciukiem przejechała po ekranie, wykonując przy tym ostry zakręt. - Jeremy w końcu wrzucił nowy wpis na Facebooka.

Will przytrzymał kierownicę, gdy Faith pisała wiadomość do syna, który letnie wakacje spędzał w towarzystwie trzech przyjaciół, podróżując po kraju chyba tylko po to, by przysparzać matce zmartwień.

Faith mruczała pod nosem, zżymając się na głupotę młodych ludzi, a zwłaszcza swojego syna.

- Czy ta dziewczyna wygląda według ciebie na osiemnaście lat?

Will zerknął na zdjęcie Jeremy'ego przytulonego do skąpo odzianej blondynki. Serce się krajało na widok błęgiego i pełnego nadziei uśmiechu na jego twarzy. Jeremy, chudy frajerowaty chłopak studiujący fizykę w Georgia Tech, nie miał u niej żadnych szans.

- Bardziej bym się martwił tą fajeczką do trawki na podłodze.

- Ożeż kurwa! - Faith miała taką minę, jakby chciała wyrzucić telefon przez okno. - Lepiej, żeby babcia tego nie zobaczyła.

Will patrzył, jak Faith wysyła zdjęcie swojej matce, by jej to na pewno nie umknęło.

- To Chattahoochee - wskazał następne skrzyżowanie.

Faith skręciła, nie przestając pomstować.

- Jako matka syna patrzę na to zdjęcie i myślę: uważaj, żeby nie zaszła w ciążę. A potem patrzę na nie z punktu widzenia matki córki i myślę: nie nawal się z nowo poznanym chłopakiem, bo jego kumple mogą cię zgwałcić i zostawią martwą w hotelowym kiblu.

Will potrząsnął głową z dezaprobatą. Jeremy był porządnym chłopcem z porządnymi przyjaciółmi.

- Ma dwadzieścia lat. W końcu musisz zacząć mu ufać.

- Nie ufam. - Faith wrzuciła telefon do uchwytu na kubki. - I nie zaufam, póki ciągle będzie chciał jedzenia, ciuchów, dachu nad głową, ubezpieczenia zdrowotnego, iPhone'a, gier wideo, kieszonkowego, forsy na paliwo...

Will wyłączył się, nie chcąc słuchać, jakie to jeszcze rzeczy Faith zamierza odebrać swojemu biednemu synowi. Powędrował myślami ku Marcusowi Rippy'emu. Ku jego zadowolonej twarzy, kiedy milcząco siedział rozparty na krześle z założonymi rękami. Ku nienawistnym spojrzeniom żony Rippy'ego, jakie mu rzucała przy każdym pytaniu. Ku przemądrzałemu menedżerowi i wygadanyemu adwokatowi

podobnym do złoczyńców z Bonda.

Keisha Miscavage, oskarżycielka Marcusa Rippy'ego.

Była twardą kobietą, bezczelną i arogancką nawet w szpitalnym łóżku. Chrypliwy szept okraszała soczystymi przekleństwami i nie przestawała spoglądać na Willa spod przymrużonych powiek, jakby to ona go przesłuchiwała, a nie odwrotnie.

- Nie użalaj się nade mną, kurwa, tylko rób swoje - stwierdziła butnie.

Will miał głęboko skrywaną słabość do wojowniczych kobiet. Gryzło go, że tak sromotnie zawiódł Keiszę. Nie był już w stanie oglądać meczów koszykówki, nawet nie wspominając o grze. Kiedy tylko dotykał piłki, miał ochotę wepchnąć ją do gardła Marcusowi Rippy'emu.

- Jasna cholera. - Faith zatrzymała się kilka metrów za wozem transmisyjnym. - Połowa policji tu jest.

Will omiótł wzrokiem parking. Faith niewiele się pomyliła. Wokół roило się od ludzi i wozów. Półciężarówka z zapalonymi światłami. Bus techników kryminalistyki miejscowej policji. Mobilne laboratorium medycyny sądowej należące do GBI. Radiowozy i nieoznakowane wozy policyjne rozrzucone dookoła niczym bierki. Żółta taśma okalała tłący się jeszcze wrak spalonego samochodu. Woda użyta do gaszenia zamieniła się w parę w kontakcie z rozgrzanym asfaltem i tworzyła wokół wraku mglistą zasłonę. Technicy krzatali się po terenie, znacząc żółtym numerem każdy przedmiot mogący być dowodem w sprawie.

- Założę się, że wiem, kto znalazł ciało - powiedziała Faith.



- Ćpun. Balangowicz. Uciekinier - podsunął Will swoje typy. Spojrzał na łukowaty budynek. Przyszły klub nocny Marcusa Rippy'ego. Budowa stanęła pół roku temu, kiedy wydawało się, że oskarżenie o gwałt zaprowadzi właściciela przed oblicze sądu. Surowe betonowe ściany zdążyły zniszczyć pod wpływem warunków atmosferycznych, reszty dopełnili grafficiarze. Fundamenty porastało zielsko. Na przeciwległych końcach ściany od strony ulicy widniały dwa gigantyczne okna. Szyby stały się niemal całkiem czarne.

Will nie zazdrościł pracy technikom, którzy musieli sporządzić wykaz każdej znalezionej w tym miejscu prezerwatywy, igły i rurki do kokainy. Nie mówiąc o zdjęciu odcisków palców i butów ze środka, gdzie pozostawione ślady świadczyły, że użytkownicy czynili z tej przestrzeni dobry użytek.

- Jaka jest historia tego klubu? - zapytała Faith.

- Inwestorzy wstrzymali budowę w oczekiwaniu na koniec kłopotów Rippy'ego.

- Wiesz, czy wrócili?

Will przeklął pod nosem. Nie z powodu pytania Faith, ale na widok szefowej, która stała przed budynkiem z rękami na biodrach. Amanda wymownie spojrzała na zegarek, potem na nich i znowu na zegarek.

Faith zaklęła, gdy wysiadali z samochodu. Will po omacku sięgnął do okrągłej klamki wielkości M&M'sa. Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do środka wdarło się rozgrzane powietrze. W Atlancie dobiegało końca najgorętsze i najwilgotniejsze lato w historii pomiarów temperatury.

Wyjście na zewnątrz oznaczało znalezienie się w pysku ziewającego psa.

Will wygramolił się z auta, starając się ignorować licznie zgromadzonych policjantów. Udawali obojętność, ale Will był pewien, że zakładali się, ilu jeszcze pajaców wysiadzie z tego maleństwa.

Na szczęście uwagę Amandy odwrócił jeden z techników kryminalistyki. Charlie Reed miał charakterystyczne podkręcone wąsy i imponującą muskulaturę. Will rozejrzał się w poszukiwaniu innych znajomych twarzy.

- Mitchell, tak?

Will okręcił się na pięcie i stanął twarzą w twarz z niezwykle przystojnym mężczyzną. Gość miał ciemne falujące włosy i dołek w podbródku. Patrzył na Faith wzrokiem przywódcy studenckiego bractwa.

- Cześć. - Głos Faith zabrzmiał nienaturalnie wysoko. - Czy my się znamy?

- Nie miałem przyjemności cię poznać. - Mężczyzna przeczesał palcami niesforne włosy. - Wyglądasz zupełnie jak twoja mama. Pracowałem z nią, kiedy chodziłem w mundurze. Jestem Collier, a to mój partner Ngô.

Ngô nieznacznie skinął głową, zachowując niewzruszony wyraz twarzy. Miał krótką wojskową fryzurę i ciemne okulary przeciwsłoneczne z boczną ochroną. Podobnie jak Collier, miał na sobie džinsy i czarny T-shirt z napisem APD POLICE, w przeciwieństwie do Willa, który wyglądał jak kierownik sali w starej włoskiej restauracji.

- Trent. - Will przedstawił się i wyprostował, by

wykorzystać przewagę wzrostu. - Co mamy?

- Rzeźnię. - Ngô spojrzał na budynek, zamiast podnieść wzrok na Willa. - Ponoć Rippy siedzi już w samolocie do Miami.

- Byłeś w środku? - zapytała Faith.

- Nie na górze.

Faith czekała na więcej informacji, wreszcie spróbowała ponownie:

- Możemy pogadać z mundurowymi, którzy znaleźli ciało?

Ngô udał, że wysila pamięć, wreszcie zwrócił się do partnera:

- Pamiętasz ich nazwiska, brachu?

- Zabij, ale nie. - Collier potrząsnął głową.

Czar prysł. Faith straciła cierpliwość.

- Ej, 21 Jump Street, mamy was zostawić, żebyście skończyli robić sobie dobrze?

Ngô zaśmiał się, ale nie podał więcej szczegółów.

- Na litość boską, Collier, znasz moją mamę. Nasza szefowa była jej partnerką. Jak myślisz, co powie, kiedy poprosimy ją o te informacje?

Collier westchnął ciężko. Spojrzał w kierunku Amandy i potarł dłonią kark. Promienie słońca uwydatniły srebrne nitki we włosach. W kącikach oczu miał głębokie zmarszczki. Musiał być dobrze po czterdziestce, był zatem parę lat starszy od Willa, któremu ten fakt poprawił nastrój.

- No dobrze. - Collier w końcu dał za wygraną, ale nie omieszkał znowu przesunąć palcami po włosach. - Na numer alarmowy ktoś zgłosił znalezienie trupa. Właśnie tutaj. Po

dwudziestu minutach zjawia się dwuosobowy patrol i przeszukuje budynek. Znajdują ciało mężczyzny na górze, w jednym z pomieszczeń, z raną szyi. Prawdziwa rzeźnia. Jeden z nich zna Hardinga z prób chóru. To pijak, hazardzista, kobieciarz, typowy gliniarz starej daty. Twoja mama na pewno zna o nim niejedną historyjkę.

- Byliśmy na interwencji domowej, kiedy dostaliśmy zgłoszenie - dopowiedział Ngô. - Przemoc domowa. Kobiecina długo poleży w szpitalu. W czasie pełni ludziom odbija.

Faith zignorowała tę część opowiadki i wróciła do konkretów:

- Jak Harding czy ktokolwiek inny mógł dostać się do środka?

- Wygląda na przecinak do metalu - odparł Collier. - Kłódka została przecięta równo, co wymagało siły, więc musiał to zrobić mężczyzna.

- Znaleźliście ten przecinak?

- Nie.

- Co się stało z samochodem?

- Kiedy przyjechaliśmy, płonął jak Czarnobyl. Wezwaliśmy straż. Według nich użyto substancji przyspieszającej. Ekspłodował bak.

- Nikt nie zgłosił pożaru auta?

- Nie, i to jest dziwne - wtrącił Ngô. - Kto by pomyślał, że ćpuny i dziwki koczujące w tych magazynach padną ofiarą syndromu Kitty Genovese. - Kitty Genovese została zamordowana pod swoim domem przy całkowitym braku

reakcji około czterdziestu świadków. To socjologiczne zjawisko określano również jako „efekt widza” lub „dyfuzja odpowiedzialności”.

- Patrzcie, ktoś tu zna legendy miejskie - rzuciła kąśliwie Faith.

Will przyjrzał się dwóm opuszczonym magazynom, między którymi stał klub Rippy’ego. Spłowiąły baner reklamowy przedstawiał wizję kompleksu mieszkalnego, w który miały zostać zamienione magazyny. Stan baneru odpowiadał stanowi budynków. Każdy z nich liczył cztery piętra i ciągnął się do następnej przecznicy. Były to budynki z czerwonej cegły wzniesione na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Gotyckie łuki ziały otworami po dawno wybitych oknach witrażowych.

Will odwrócił się. Po drugiej stronie ulicy stał biurowiec w podobnym stylu. Miał dziesięć pięter, może więcej, jeśli skrywał jakieś podziemne kondygnacje. Żółte znaki na drzwiach zamkniętych na łańcuch wskazywały, że budynek jest przeznaczony do rozbiórki. Te trzy budowle były widowym świadectwem przemysłowej historii Atlanty. Jeśli inwestorzy Rippy’ego weszli w to po ukręceniu łba sprawie o gwałt, projekt mógł przynieść im miliony, może nawet miliardy dolarów czystego zysku.

- Dało się odczytać numer identyfikacyjny wozu? - zapytała Faith.

- Biały, 2016 Kia Sorrento, zarejestrowana na Dale’a Hardinga z Vernon. Według strażaków wóz płonął co najmniej cztery godziny - odparł Collier.

- Więc ktoś zabił Hardinga i podpalił jego auto, kto inny, a może ten sam facet, zadzwonił pod dziewięćset jedenaście cztery godziny później.

- Dlaczego tutaj? - zapytał Will, wpatrzony w klub nocny.

- Dlaczego my? - sprostowała Faith, potrząsając głową.

Ngô nie zrozumiał, że to pytanie retoryczne. Energicznym gestem wskazał budynek.

- To miał być nocny klub. Na dole parkiet do tańca, na górze pokoje dla VIP-ów dookoła parkietu. Coś jak atrium w centrum handlowym. Przyszło mi do głowy, że może być w to uwikłany jakiś gang, który chce rozprowadzać tu dragi, więc zadzwoniłem do swojej dziewczyny, a ona pogrzebała trochę w papierach, no i przy tej okazji wypłynęło nazwisko Rippy'ego. Pomyślałem: o cholera. Przekazałem tę informację szefowi, który złożył waszej megierze wizytę kurtuazyjną, a ona zjawiała się tutaj dziesięć minut później i zaczęła się szarogęścić.

Wszyscy przenieśli wzrok na Amandę. Charlie Reed zniknął z pola widzenia, jego miejsce zajęła wysoka i smukła rudowłosa kobieta. Rozmawiała z Amandą, upinając włosy.

Ngô wydał z siebie przeciągły gwizd.

- A niech mnie. Patrz, jaka skautka. Ciekawe, czy na dole też jest taka ruda.

- Powiem ci rano. - Collier wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Faith rzuciła okiem na zaciśnięte pięści Willa.

- Dostyc, panowie.

Collier nie przestawał szczerzyć zębów.

- Żartujemy sobie, pani detektyw. - Puścił do niej oczko. -

Musisz wiedzieć, że wyrzucili mnie z drużyny za zjedzenie paru czekoladowych ciasteczek.

Ngô zarechotał, a Faith przewróciła oczami i odeszła.

- Ruda - Will zwrócił się do detektywów. - Nazywają ją Ruda. Jest technikiem kryminalistyki, ale lubi wchodzić w paradę, więc miejcie ją na oku.

- Ma kogoś? - zapytał Collier.

- To ważne? - Will wzruszył ramionami.

- Ani trochę. - Collier powiedział to z nadzwyczajną pewnością mężczyzny, któremu żadna kobieta nigdy nie odmówiła. Z chojracką miną zasalutował Willowi. - Dzięki za informacje, brachu.

Will siłą woli rozprostował pięści i ruszył w stronę Amandy. Faith zmierzała do budynku. Pewnie chciała ukryć się przed słońcem. Rudowłosa kobieta meldowała się przy frontowej bramie, a na widok Willa posłała mu uśmiech. Odpowiedział jej tym samym. Nie nosiła ksywki Ruda. Nazywała się Sara Linton. Nie była technikiem kryminalistyki, lecz lekarzem sądowym. I nie Colliera ani Ngô sprawa, co miała na dole, ponieważ jeszcze trzy godziny temu leżała pod Willem i szeptała mu do ucha tyle sprośności, że na samo wspomnienie zaschło mu w gardle.

Kiedy podszedł do Amandy, nie podniosła głowy znad blackberry. Stał przed nią i czekał, ponieważ to zwykle na nim wymuszała. Znał na pamięć obraz czubka jej głowy, spiralną linię na ciemieniu, z której rozchodziły się przyprószone siwizną włosy tworzące hełm.

- Spóźniłeś się, agencje Trent - odezwała się w końcu.

- Przepraszam. To się już nie powtórzy.

Zmrużyła oczy, powątpiewając w szczerść tej deklaracji.

- Ten smród w powietrzu to zapach gówna, w którym tkwimy po uszy. Rozmawiałam z burmistrzem, gubernatorem i dwoma prokuratorami okręgowymi, którzy odmówili przyjazdu na miejsce, bo nie chcą, żeby kamery stacji telewizyjnych pokazały ich w kontekście nowej sprawy mogącej mieć jakikolwiek związek z Marcusem Rippym. - Po tych słowach znów spojrzała na telefon. Blackberry był jej mobilnym centrum dowodzenia, ułatwiającym bieżący kontakt z rozbudowaną siecią znajomych, spośród których tylko część należała do grupy oficjalnych kontaktów.

- W drodze są jeszcze trzy wozy transmisyjne, jeden należący do telewizji ogólnokrajowej. Dostałam ponad trzydzieści mejli od dziennikarzy domagających się oświadczenia. Adwokaci Rippy'ego już zapowiedzieli, że to oni będą odpowiadać na wszystkie pytania. Jeśli nabiorą choćby cienia podejrzeń, że chcemy wykorzystać tę sytuację do dorwania Rippy'ego, wytoczą nam proces o nękanie.

- Jak ostatnio - skwitował Will. Tylko raz dano mu sposobność porozmawiania z nim sam na sam, ale Rippy prawie cały czas milczał. Faith miała rację. Jedną z najbardziej irytujących cech u ludzi z wielką forszą był fakt, że doskonale znali swoje konstytucyjne prawa.

- Kto przejmuje śledztwo, my czy policja?

- A sterczałabym tutaj, gdybym nie kierowała tą sprawą?

Will zerknął na Colliera i Ngô, po czym spytał:

- Czy kapitan Dołek w Brodzie o tym wie?



- Uważasz, że jest przystojny?

- Nie powiedziałem, że...

Amanda nie czekała na odpowiedź. Ruszyła w stronę budynku. Will musiał potruchtać, by dotrzymać jej kroku. Miała szybki chód kuca szetlandzkiego.

Zameldowali się u umundurowanego policjanta nadzorującego dostęp do miejsca przestępstwa. Zamiast wejść do środka, Amanda zatrzymała Willa w pełnym słońcu, które paliło mu czaszkę.

- Poznałam ojca Hardinga, kiedy zaczynałam służbę. Harding senior był krawężnikiem. Wydawał forszę na dziwki i wyścigi psów. Zmarł na tętniaka w osiemdziesiątym piątym. Syn odziedziczył po nim skłonność do hazardu. Poszedł na urlop zdrowotny, który skończył się dwa lata temu. W tym roku przeszedł na emeryturę.

- Dlaczego wziął urlop zdrowotny?

- HIPAA - rzuciła Amanda krótko, powołując się na prawo, które między innymi zabraniało policjantom zmuszania lekarzy do ujawniania informacji o pacjentach. - Pracuję nad zdobyciem tej informacji nieoficjalnymi kanałami, ale to nie wygląda dobrze, Will. Harding był złym gliną, ale teraz jest martwym gliną. Jego ciało leży w budynku należącym do człowieka, którego nie możemy zamknąć za gwałt.

- Czy Harding miał jakieś powiązania z Rippym?

- Gdybym tylko miała detektywa, który umiałby to ustalić...

- Amanda okręciła się na pięcie i weszła do budynku. Prądu nadal nie było. W środku czuło się wilgoć, a przyciemnione okna nadawały wnętrzu upiornego rysu. Amanda i Will

włożyli ochraniacze na buty. Nagle generatory ożyły z rykiem. Rozbłysły ksenonowe lampy, oświetlając każdy skrawek budynku. Pod wpływem jaskrawego światła Will wzdrygnął się gwałtownie.

Rozległa się kakofonia kliknięć. Wszyscy jak na komendę wyłączyli latarki. Po pierwszym szoku oczy Willa przyzwyczyły się do pełnego oświetlenia i zarejestrowały to, co spodziewał się zobaczyć: śmieci, zużyte igły i kondomy, pusty wózek sklepowy, krzesła ogrodowe, brudne materace – z jakiegoś powodu w takich miejscach zawsze leżały brudne materace – oraz niezliczone puszki po piwie i stłuczone butelki. Ściany były pokryte wielobarwnymi graffiti sięgającymi co najmniej na wysokość wyciągniętego ramienia z puszką farby. Will rozpoznał wśród nich symbole niektórych gangów – Suernos, Bloods, Crips – jednak większość miejsca zajmowały serca z imionami w środku, pacyfy oraz kilka hojnie wyposażonych przez naturę jednorożców z oczyma we wszystkich kolorach tęczy. Typowa sztuka balangowiczów. Wspaniałą cechą tabletki ecstasy jest to, że zanim wywoła zatrzymanie akcji serca, daje poczucie prawdziwego szczęścia.

Ngô trafnie opisał układ budynku. Na pierwszym piętrze znajdowało się atrium z widokiem na parter jak w centrum handlowym. Balkon opasywała tymczasowa drewniana balustrada. Gdzieś tam brakowało desek, co stwarzało zagrożenie dla nieostrożnych. Główna sala była ogromna. Jej otwarta część tworzyła parkiet do tańca. Reszta została podzielona betonowymi ściankami tworzącymi prywatne

przestrzenie dla gości. Z tyłu wzdłuż ściany biegło coś, co w założeniu najpewniej miało być długim barem. Dwie okazałe kręte klatki schodowe prowadziły z dwóch stron na drugie piętro. Betonowe schody biegnące tuż przy ścianie przypominały zęby jadowe kobry gotowe zanurzyć się w parkiecie.

Do Amandy podeszła starsza kobieta w kasku na głowie. W ręku trzymała drugi kask, który podała Amandzie. Ta przekazała go Willowi, a on położył kask na ziemi.

Kobieta bez zbędnych ceregieli przeszła do konkretów.

- Znalazona na parkingu przezroczysta plastikowa torba z papierową etykietką. Wynika z niej, że w torbie był jasnobrązowy brezent. Na razie brakujący. Marka Handy, wymiary metr dziesięć na metr siedemdziesiąt, do kupienia wszędzie. - Urwała na chwilę, by złapać oddech. - Prócz tego napoczęta czarna taśma izolacyjna. Plastikowego opakowania dotąd nie zlokalizowano. Prognoza pogody sprzed trzydziestu sześciu godzin zapowiadała w okolicy ulewę. Papierowa etykietka na torebce po brezencie i krawędzie taśmy nie wykazują śladów kontaktu z tym zjawiskiem atmosferycznym.

- Mamy chociaż ramy czasowe - stwierdziła Amanda. - To się musiało wydarzyć w weekend.

- Brezent - powtórzył Will. - Używają go grafficiarze.

- Zgadza się - potwierdziła kobieta. - Ani w budynku, ani na zewnątrz nie znaleziono żadnych farb czy narzędzi. Schody należą do miejsca zdarzenia i nadal pracują tam nasi ludzie. Dotąd zabezpieczyli przedmioty z damskiej torebki,

coś, co wygląda jak tkanka. – Wskazała podnośnik nożycowy.  
– Tym wjedziecie na górę. Wezwaliśmy operatora. Będzie za dwadzieścia pięć minut.

– Jaja sobie robisz? – Collier podkradł się do nich od tyłu. – Nie możemy wejść po schodach? – zapytał, rzucając nieufne spojrzenie w stronę podnośnika, urządzenia hydraulicznego, które unosiło w powietrze niestabilną platformę odgradzającą człowieka od pewnej śmierci jedynie cienką linką.

– Wiesz, jak to obsłużyć? – Amanda zwróciła się do Willa.

– Spróbuję rozgryźć.

Podnośnik był już włączony. Will w skrzynce akumulatorowej znalazł klucz, którego czubkiem wcisnął maleńki przycisk ponownego uruchamiania. Podnośnik zadrżał i nieco się uniósł.

Will chwycił linkę bezpieczeństwa, pokonał dwa stopnie i znalazł się na platformie. Amanda bez słowa wyciągnęła do niego rękę. Jej ruchy wydawały się lekkie, ale to Will wziął na siebie dźwignięcie jej w górę. Na szczęście była drobna, ważyła mniej niż bokserski worek treningowy.

Odwrócili się, czekając na Colliera, który jeszcze raz popatrzył na schody przypominające zęby jadowe kobry.

Amanda stuknęła w cyferblat zegarka.

– Dwie sekundy, detektywie Collier.

Collier wciągnął głęboko powietrze. Podniósł kask z ziemi, nasadził go na głowę i wdrapał się na platformę jak przestraszone małpiątko.

Will przekręcił klucz i uruchomił silnik. Podczas studiów

pracował na budowach i potrafił obsługiwać każdą maszynę budowlaną. Teraz jednak celowo zatrząśł trochę platformą. Widok Colliera kurczowo zaciskającego palce na lince bezpieczeństwa sprawił mu osobliwą przyjemność.

Motor zgrzytał, gdy sunęli w górę. Sara była na schodach, pomagając jednemu z techników w zbieraniu dowodów. Miała na sobie spodnie khaki i obcisłą granatową koszulkę z napisem GBI. Ten strój podkreślał atuty jej figury. Kilka niesfornych kosmyków opadało jej na twarz. Włożyła okulary. Willowi podobało się, jak w nich wygląda.

Spotykał się z Sarą Linton od półtora roku. Jego szczęście trwało niezmiennie od mniej więcej siedemnastu miesięcy i dwudziestu sześciu dni. Najdłużej w jego życiu. Praktycznie zamieszkał u niej. Ich psy się polubiły, a on polubił jej siostrę. Dogadywał się też z jej matką, natomiast ojca się bał. Oficjalnie Sara dołączyła do GBI dwa tygodnie temu. To była pierwsza sprawa, nad którą mieli razem pracować.

Will zawstydził się swoją ekscytacją jej widokiem, dlatego odwrócił wzrok. Fantazjowanie o swojej dziewczynie na miejscu makabrycznej zbrodni zapewne było tym, od czego zaczynali seryjni mordercy.

A może to Collier obudził w nim instynkt mordercy, ponieważ próbując zapomnieć o zawrotach głowy, wlepił wzrok w tyłek Sary pochylonej nad technikiem.

Will przestąpił z nogi na nogę. Platforma znowu się zachybotowała, a Collier wydał z siebie przytłumiony jęk.

Amanda posłała Willowi jeden ze swoich rzadkich uśmiechów.

- Mój pierwszy trup to był facet, który spadł z rusztowania. Wtedy jeszcze nie obowiązywały te wszystkie głupie przepisy bezpieczeństwa. Koroner nie miał tam nic do roboty. Mózg rozbryzwał się na chodniku.

Collier pochylił się, by ramieniem otrzeć pot z twarzy, a jednocześnie nie puścić linki.

Platforma zatrzęsała się sama z siebie, gdy Will zatrzymał podnośnik nieco poniżej betonowego balkonu. Usunęli fragment drewnianej balustrady i zeszli z platformy. Na otwartej przestrzeni leżały pleśniejące płyty gipsowo-kartonowe poukładane na stertach sięgających piersi. Gruba warstwa kurzu na wiadrach z masą szpachlową wskazywała, że stoją tu od chwili wstrzymania budowy. Graffiti pokrywały wszystko - podłogę, ściany, zgromadzone materiały budowlane. Na pierwszy plan wybijały się dwa jednorożce o tęczowych oczach, strzegące szczytu obu schodów.

Rząd ciężkich drewnianych drzwi krył, jak przypuszczał Will, pokoje dla VIP-ów. Rzeźbiony mahoń miał fabryczną barwę mocnego espresso, ale grafficiarzom udało się skutecznie go zamazać. Żółte tabliczki z numerami używane do oznaczania miejsc znalezienia dowodów tworzyły między schodami skomplikowany labirynt. Technicy w kombinezonach ochronnych robili zdjęcia i kompletowali dowody. Pokoje dla VIP-ów spryskali luminolem, substancją chemiczną, pod wpływem której wydzieliny i krew świecą w ciemności upiornym niebieskim światłem.

Will wolał nie myśleć o wydzielinach, jakie tam znajdują.

Faith stała na drugim końcu balkonu. Odchyliwszy głowę,

łapczywie piła wodę z butelki. Miała na sobie kombinezon ochronny, ale nie zapięła zamka, a rękawy przewiązała w talii. Najwyraźniej podała się za technika kryminalistyki, dzięki czemu mogła wejść na miejsce przestępstwa bez czekania na podnośnik. Przed nią leżały zamknięte torebki z zebranymi dowodami, obok nich starannie ułożone pudełeczka z rękawiczkami i torebkami na dowody oraz odzież ochronna. Tuż obok znajdował się pokój, w którym znaleziono Hardinga. W środku raz po raz rozbłyskiwało silne światło. To policyjny fotograf dokumentował stan i pozycję ciała. Póki pracował, nikt nie mógł tam wejść.

Kierując się w stronę pokoju, Amanda wyjęła telefon i przeczytała nowe wiadomości.

- Jest tu CNN. Muszę przekazać gubernatorowi i burmistrzowi najnowsze informacje. Will, przejmiesz stery na ten czas. Collier, ty dowiesz się, czy Harding miał rodzinę. Jeśli dobrze pamiętam, to była jakaś ciotka ze strony ojca.

- Tak jest - odparł zza jej pleców Collier, ocierając się ramieniem o ścianę.

- I zdejmij kask. Wyglądasz jak ten gostek z Village People.  
- Amanda znów spojrzała na wyświetlacz telefonu. Dostała nową wiadomość. - Harding miał cztery żony. Dwie nadal pracują w policji, są w rejestrze. Namierz je i sprawdź, czy nie powtarza się tam nazwisko jakiegoś bukmachera albo alfonsa.

Collier położył kask na ziemi i potknął się, usiłując dotrzymać kroku Amandzie.

- Myśli pani, że jego byłe nadal z nim rozmawiały?

- Przesłyszałam się czy naprawdę o to pytałeś?

Jej słowa trafiły w sedno, ponieważ Collier skwapliwie skinął głową. Amanda wsunęła telefon do kieszeni.

- Faith, mów, co ustaliłaś.

- Gałka wbita w szyję. - Faith wskazała palcem miejsce na swojej szyi. - Pasuje do innych gałek u drzwi. Możemy założyć, że zabójca nie przyniósł jej tutaj specjalnie. Technicy znaleźli przy samochodzie G43. Mechanizm jest zablokowany, ale wystrzelono z niego przynajmniej jeden nabój. Charlie lokalizuje w systemie numer seryjny.

- To nowy glock - stwierdził Collier. - Jak wygląda?

- Lekki, zgrabny. Uchwyt niezbyt wygodny, ale broń dobrze się nadaje do noszenia w ukryciu.

Collier zadał jeszcze jedno pytanie dotyczące pistoletu wyprodukowanego specjalnie dla funkcjonariuszy, ale Will je zignorował. Pistolet nie był kluczem do rozwiązania tej sprawy.

Obszedł oznakowane tabliczkami krwawe ślady butów i pochylił się, żeby z bliska obejrzeć zamknięcie w drzwiach. Żeliwna tarcza drzwiowa, pokryta warstwą błyszczącego mosiądzu, miała wymiary siedem na piętnaście centymetrów i była przykręcona do drzwi śrubami. Pośrodku widniała misternie wykonana kursywą wypukła litera R, czyli logo Rippy'ego. Will widział je na każdym kroku w jego rezydencji. Przyjrzał się zapadce zamka, długiemu metalowemu cylindrowi, który blokował drzwi w jednej pozycji, a przekręcony pozwalał je otworzyć. Dostrzegł zadrapania wokół kwadratowego otworu, gdzie powinien



wejść trzpień gałki. Wtedy spojrzał na podłogę i zobaczył długi śrubokręt, a przy nim jeden z żółtych znaczników.

Ktoś siedział zamknięty w pokoju, a kto inny użył śrubokrętu, by tam wejść.

Will wstał i przyjrzał się miejscu zabójstwa. Fotograf ostrożnie przestąpił ciało, starając się nie poślizgnąć na krwi.

A krwi było mnóstwo.

Na suficie, na ścianach, na konkurujących ze sobą graffiti. Podłoga w niej tonęła. Zupełnie jakby ktoś wyciągnął szpunt z tętnicy szyjnej Hardinga i zostawił ją do całkowitego opróżnienia. Na kałużach ciemnego krzepnącego płynu tańczyły świetlne refleksy. Will czuł w ustach metaliczny posmak. To żelazo zawarte we krwi wchodziło w reakcję z tlenem. Po chwili wyczuł coś jeszcze. Zapach moczu, który z jakiegoś powodu wzbudził w nim większe współczucie dla martwego faceta niż gałka wystająca z tłustej szyi i upodabniająca go do Frankensteinia.

W śmierci, z którą stykał się w pracy policyjnej, rzadko kiedy była godność.

Ciało Dale'a Hardinga znajdowało się na środku kwadratowego pokoju ze sklepionym sufitem. Leżał na plecach. Potężny łysy facet w tanim wyświeconym garniturze niedopinającym się na wydatnym brzuchu. Przypominał gliniarza z pokolenia swojego ojca. Z jednej strony koszula wychodziła mu ze spodni. Dwa końce krawata w czerwono-niebieskie paski były rozłożone jak nogi płotkarza w szpagacie nad płotkiem. Pasek spodni był wywinięty. Stalowa bransoleta szwajcarskiego zegarka marki Tag Heuer

na nadgarstku zamieniła się w opaskę uciskową, ponieważ ciało pęczniało od gromadzących się płynów ustrojowych, efektów postępującego rozkładu. Złoty sygnet z diamentem wrzynał się w mały palec u ręki. Czarne skarpetki opinały woskowo-żółtawe kostki. Denat miał otwarte usta i zamknięte oczy. Cierpiał na egzemę. Sucha skóra wokół ust i nosa wyglądała jak obsypana cukrem.

Dziwne, że na ciele widać było tylko jeden krwawy ślad. Zupełnie jakby malarz strząsnął nad nim czerwoną farbę z pędzla. Na twarzy zaschło tylko kilka kropli krwi i nic więcej, zwłaszcza tam, gdzie można się było spodziewać jej najwięcej, czyli wokół ciasnego kołnierzyka koszuli.

- To znaleźli na schodach.

Will odwrócił się do Faith.

Trzymała w ręku torebkę na dowody i obracała nią, żeby odczytać etykiety.

- Bare Minerals. Mac. Cienie do powiek w odcieniach jasnych brązów. Ciemnobrązowy tusz do rzęs. Czekoladowa kredka do oczu. Podkład i puder w odcieniu średnim jasnym.

- Prawdopodobnie biała kobieta - skonstatowała Amanda.

- Jest jeszcze balsam do ust. La Mer.

- Bogata biała kobieta - poprawiła się Amanda. Will znał tę markę tylko dlatego, że Sara jej używała. Przypadkowo zobaczył paragon i omal nie dostał zawału serca. Trzydzieści gramów balsamu kosztowało więcej niż kostka heroiny.

- Możemy przyjąć, że kobieta była tu z Hardingiem - powiedziała Amanda.

- A teraz jej tu nie ma - dodała Faith. - Cios gałką

drzwiową w szyję pasuje do kobiety.

- Gdzie torebka? - zapytała Amanda.
- W pokoju. Jest porwana, jakby o coś zahaczyła.
- I wypadły z niej tylko kosmetyki do makijażu?

Faith sięgnęła po drugą torebkę z dowodami i zaczęła wyliczać jej zawartość:

- Kluczyki do chevroleta, model nieznany, bez breloczka. Szczotka do włosów, na niej długie brązowe włosy. Zaraz biorą je do laboratorium. Pudełko pastylek miętowych. Monety o różnych nominałach. Paczka chusteczek do twarzy. Plastikowe pudełeczko ze szklami kontaktowymi. Tubka balsamu do ust marki ChapStick, taniego odpowiednika La Mer.

- Żadnego portfela?

- Nie. - Faith pokręciła głową. - Fotograf mówi, że w torebce też go nie widział. Kiedy skończy, sami do niej zajrzemy.

- Mamy więc martwego gliniarza i zaginioną kobietę - stwierdziła Amanda, a na widok miny Willa dodała: - Ona nie wychodziła z domu. Rozmawiałam z nią godzinę temu. Zastępca szeryfa, który parkował przed jej domem, potwierdza tę informację.

Keisha Miscavage, kobieta oskarżająca Marcusa Rippy'ego. Jej nazwiska nie ujawniono prasie, ale w internecie nikt nie jest anonimowy. Od trzech miesięcy Keisha żyła w ukryciu i miała zapewnioną całodobową policyjną ochronę, ponieważ kilkunastu zagorzałych fanów Rippy'ego groziło jej śmiercią.

- A symbole gangów? - zapytał Collier. - Dwa są na górze, na dole widziałem co najmniej cztery. Powinniśmy wezwać jednostkę specjalną i zgarnąć paru drani.

- Jednorożce też? - rzuciła kąśliwie Faith.

- Nie rozpraszajmy się. Chodzi nam o tę kobietę. Załóżmy, że była w tym pokoju. Załóżmy, że ma coś wspólnego ze stanem ofiary, o ile Hardinga możemy nazwać ofiarą. - Amanda przyjrzała się przedmiotom z torebki. - Biała i nieźle sytuowana kobieta spotyka się w środku nocy w złej dzielnicy z nieuczciwym gliniarzem. Po co? Co tu robiła?

- Łatwiej za to płacić niż się żenić - powiedział Collier. - Może była panią do towarzystwa, on nie chciał albo nie mógł zapłacić, więc wpadła w szal?

- Dziwne miejsce na robienie laski - zaproponowała Faith.

- To nieduży brezent - powiedział Will, ponieważ Amanda nie spędzała weekendów na przechadzkach wzdłuż półek z tego typu towarami w marketach budowlanych. - Standardowe mają wymiary półtora metra na dwa dziesięć i metr sześćdziesiąt na trzy sześćdziesiąt, ale opakowanie, które tu zostało znalezione, jest po brezencie o wymiarach metr dziesięć na metr siedemdziesiąt. Harding ma w pasie co najmniej sto centymetrów i około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu.

Amanda zmierzyła go groźnym wzrokiem i nakazała:

- Mów po ludzku.

- Jeśli zabójca przyniósł tu brezent z zamiarem pozbycia się ciała, to kupił go z przeznaczeniem dla znacznie drobniejszej osoby.

- Brezent rozmiarów kobiety. Świetnie - rzuciła Faith.

Amanda zadumała się na moment, po czym stwierdziła:

- Harding spotkał się tu z kobietą, żeby ją zabić, ale to ona zdobyła przewagę.

- Jest ranna - wtrąciła Sara, która właśnie weszła po schodach. Okulary zaczepiła o zapięcie bluzki. Przedramieniem otarła pot z czoła. - Na schodach po lewej stronie są krwawe ślady bosych stóp, najprawdopodobniej kobiety, rozmiar trzydzieści siedem lub trzydzieści osiem. Mocno i wyraźnie odcisnięte, co znaczy, że biegła. - Skinęła głową w kierunku schodów. - Dwa stopnie niżej są ślady wskazujące na to, że upadła i uderzyła się w głowę, przypuszczalnie w ciemność. W plamie krwi znaleźliśmy długi brązowy włos, podobny do znalezionego na szczotce do włosów. - Skinęła na drugie schody. - Po prawej jest więcej śladów stóp, śladów krwi statycznych i dynamicznych. Ślady prowadzą do wyjścia awaryjnego. Tam znikają na metalowych schodach. Plamy pasywne wskazują na sączącą się ranę.

- Wbiegła na górę i zeszła? - podsunęła Amanda.

- Możliwe. - Sara wzruszyła ramionami. - Tutaj przychodziły setki ludzi. Ktoś mógł zostawić ślady stóp w zeszłym tygodniu, a kto inny zostawić krwawe ślady zeszłej nocy. Zanim przyporządkujemy ślady konkretnym osobom, musimy zbadać każdą próbkę i ustalić DNA.

Amanda rzuciła jej gniewne spojrzenie. Ustalanie DNA mogło zająć tygodnie, a jej zależało na natychmiastowych efektach.

- Skończyłem. - Fotograf zaczął zdejmować kombinezon. Ubranie miał mokre od potu, wilgotne włosy kleiły się do głowy. Zwrócił się do Amandy. - Pokój jest wasz. Zaraz po powrocie obrobę zdjęcia i prześlę.

- Dziękuję - powiedziała Amanda.

Sara wyjęła z tylnej kieszeni parę nowych rękawiczek.

- Te ślady butów... - wskazała podłogę, która wyglądała jak w studiu tańca Arthura Murraya - należą do dwóch pierwszych osób przybyłych na miejsce zdarzenia. Jedna weszła do środka, pewnie po to, żeby przyjrzeć się twarzy ofiary. Bieżnik obu par butów jest niemal identyczny. Haix Black Eagles. Policyjne.

- A twierdzili, że nie weszli do pokoju - obruszył się Collier.

- Możesz postawić ich do raportu. - Sara wsunęła na nogi nową parę ochraniaczy. - Wszędzie jest mnóstwo krwi. Przybyli rozpoznali ofiarę. Był ich kolegą. To dużo...

- Zaraz, zaraz, Ruda. - Collier uniósł dłoń niczym policjant kierujący ruchem. - Nie uważasz, że powinnaś poczekać na lekarza sądowego przed wejściem tutaj?

Sara posłała mu spojrzenie zapowiadające dwie najgorsze godziny w życiu Willa.

- Ja jestem lekarzem sądowym i wolałabym, żebyś zwracał się do mnie per Sara albo doktor Linton.

Faith parsknęła śmiechem, który napełnił echem cały budynek.

Sara weszła do pokoju. Pod wpływem ruchu powietrza kałuża krwi zmarszczyła się lekko. Sara podniosła z ziemi leżącą w rogu torebkę. Pasek był urwany, z boku znajdowało

się długie rozdarcie. Torebka była zrobiona z czarnej skóry o wyraźnej fakturze. Miała grube mosiężne suwaki, ciężkie klamry i kłódeczkę przy zapięciu. Była albo bardzo droga, albo bardzo tania.

- Nie widzę portfela. - Sara wzięła do ręki złotą szminkę. - Sisley, różowy kaszmir. Mam w domu taką samą. - Zmarszczyła brwi. - Z jednej strony złoto jest starte, zupełnie jak w mojej. Chyba jakaś skaza powstała na etapie produkcji. - Włożyła szminkę z powrotem do torebki i zważyła ją w dłoni. - Nie wygląda na Dolce & Gabbana - zauważyła.

- Nie. - Amanda zerknęła do środka. - To podróbka. Widzisz to szycie?

- Znak & ma złą czcionkę. - Faith rozłożyła na ziemi folię, żeby mogły bliżej przyjrzeć się torebce. - Po co kupować fałszywą D&G, skoro stać cię na Sisley i La Mer?

- Torebka za dwadzieścia pięć dolarów kontra szminka za pięćdziesiąt? - rzuciła Amanda.

- Szminkę można zwędzić, ale torebki już nie - stwierdziła Faith.

- Może to tester. Zadrapanie może być efektem usuwania etykiety.

Will próbował posłać Collierowi porozumiewawcze spojrzenie w stylu: „My, prawdziwi faceci, nie mamy pojęcia, o czym one mówią”, ale Collier wyprzedził go niemym komunikatem: „Mam ochotę strzelić cię w mordę”.

Sara wróciła do pokoju. Pierwszy raz miała sposobność dokładnego zbadania miejsca zabójstwa. Will widywał ją wcześniej przy takich okazjach, ale nigdy oficjalnie. Oględzin

pokoju dokonywała nieśpiesznie i bardzo starannie. W milczeniu przyglądała się śladom krwi, rozpryskowi na suficie. Graffiti nie ułatwiały jej pracy. Gdzieś tam ściany były czarne od nachodzących na siebie wzorów i napisów. Sara podchodziła blisko. Wkładała okulary, by móc odróżnić farbę od krwi. Dwukrotnie obeszła pokój po obwodzie, zanim rozpoczęła oględziny ciała.

Nie mogła klęknąć we krwi, kucnęła więc przy obfitym brzuchu Hardinga. Przeszukała kieszenie jego spodni. Podała Faith roztopiony batonik czekoladowy, otwartą paczkę drażetek skittles, zwitek banknotów spięty zieloną gumką i trochę drobniaków luzem. Potem sprawdziła kieszenie marynarki. Z górnej kieszonki wyjęła złożoną kartkę papieru i rozprostowała ją.

- Kupon na wyścigi. Zakład zawarty w internecie.

- Psy? - zapytała Amanda.

- Konie. - Sara podała kupon Faith, która położyła go na folii obok innych przedmiotów.

- Nie ma komórek - stwierdziła Faith. - Przy Hardingu nie ma. W torebce też nie. Ani w budynku.

Sara obszukała ciało od góry do dołu, sprawdzając, czy nie przeoczyła czegoś w ubraniach Hardinga. Uniosła mu powieki, obiema rękami rozwarła szczęki, żeby zajrzeć do jamy ustnej. Rozpięła koszulę i spodnie, uważnie przyjrzała się każdemu centymetrowi ogromnego brzucha. Podwinęła rękawy koszuli i obejrzała przedramiona. Uniosła nogawki spodni i zsunęła skarpetki.

- Stężenie pośmiertne wskazuje - powiedziała w końcu - że



ciało nie zostało przeniesione. Umarł tutaj, w tej pozycji, na plecach. Muszę znać temperaturę otoczenia i wątroby, ale stężenie jest całkowite, co oznacza, że śmierć nastąpiła od czterech do ośmiu godzin temu.

- Więc w rachubę wchodzi czas od niedzieli wieczór do poniedziałku rano - powiedziała Faith. - Straż pożarna ocenia, że auto zostało podpalone jakieś cztery, pięć godzin temu, czyli około trzeciej nad ranem. Zgłoszenie na dziewięćset jedenaście przyszło o piątej.

- Przepraszam, ale czy mogę o coś zapytać? - Collier nadal lizał rany urażonego ego, ale bardzo chciał udowodnić swoją przydatność. - Wokół ust i nosa Harding ma pleśń. Czy nie trzeba więcej niż pięć godzin, żeby się pojawiła?

- Tak, ale to nie jest pleśń - oznajmiła Sara. - Pomożesz mi odwrócić go na bok? Nie chcę, żeby się przewrócił na brzuch.

Collier wyjął z pudełka dwa ochraniacze na buty. Zakładając je na stare, które włożył przed wejściem do budynku, posłał Sarze krzywy uśmiech.

- Tak w ogóle to jestem Holden, jak w „Buszującym w zbożu”. Rodzice liczyli na wyobcowanego samotnika.

Sara skwitowała ten marny żart uśmiechem, a Will miał ochotę się zabić.

Collier wziął rękawiczki, które podała mu Sara, i nie przestając szczerzyć zębów, z teatralną emfazą wyprostował palce dziecięcej w rozmiarze dłoni.

- Jak chcesz to zrobić?

- Na trzy - powiedziała Sara i zaczęła liczyć.

Collier ujął Hardinga za ramiona i stęknął ciężko, próbując odwrócić go na bok. Ciało było sztywne i zgięło się jak syczoryk. Żeby nie upadło twarzą w kałużę krwi, Collier musiał zaprzeć się łokciami o kolana i utrzymać je w pozycji siedzącej.

Sara podwinęła marynarkę i koszulę Hardinga, żeby obejrzyć plecy. Will przypuszczał, że szuka otwartych ran. Systematycznie naciskała skórę w wielu miejscach, ale nie znalazła niczego. Zakrzepła krew na ziemi sprawiła, że Harding wyglądał jak zanurzony w oleju silnikowym.

- Wytrzymasz jeszcze chwilę? - spytała go.

- Jasne - wydusił z trudem.

Will widział pulsujące żyły na jego szyi. Harding ważył co najmniej sto piętnaście kilo, może więcej, nic więc dziwnego, że ręce Colliera drżały z wysiłku.

Sara włożyła nowe rękawiczki, po czym wyjęła z tylnej kieszeni Hardinga gruby nylonowy portfel zamykany na rzep. Otworzyła go i zaczęła głośno wyliczać znaleziska.

- Odcinki biletów. Paragony z fast foodów, kupony zakładów, dwa różne zdjęcia nagiej blondynki z BackDoorMan.com. Różne wizytówki. - Zerknęła na Colliera. - Możesz go położyć, tylko ostrożnie.

Collier z ciężkim stęknięciem ułożył ciało na ziemi.

- To musicie zobaczyć. - Sara podała Faith jedną z wizytówek. Will rozpoznał barwne logo. Widział je wiele razy na dokumentach przekazywanych przez kierownictwo drużyny Marcusa Rippy'ego.

- O kurwa - Faith przekleła pod nosem. - Kip Kilpatrick.

Menedżer Rippy'ego, prawda? Widziałam go w telewizji.

Will spojrzał na Amandę. Miała zamknięte oczy, jakby chciała wymazać nazwisko tego człowieka z pamięci. Will czuł to samo. Kip Kilpatrick był menedżerem Marcusa Rippy'ego, głównym adwokatem, najlepszym przyjacielem i kombinatorem pierwszej klasy. Will nie miał na to dowodów, ale był pewien, że Kilpatrick wysłał swoich zbirów, by kupili milczenie dwóch świadków, uczestników noworocznego przyjęcia, i zastraszyli trzeciego.

- Nie chcę pogarszać sytuacji, ale szpikulec gałki ominął żyłę i arterię szyjną. I przelyk. I inne ważne organy. W ustach i nosie nie ma krwi. W miejscu, w które trafiła gałka, krwawienie było niewielkie. Tylko strużka, która zaschła na szyi. Brak innych widocznych obrażeń. Ta krew, a raczej ta ilość krwi, nie jest jego krwią.

- Co? - W tonie głosu Amandy było więcej irytacji niż zaskoczenia. - Jesteś pewna?

- Absolutnie tak. Ubranie na plecach nasiąkło krwią z podłogi. Krew na koszuli należy do kogoś innego. Główne tętnice są nietknięte. Brak wyraźnych obrażeń na głowie, tułowiu, ramionach, nogach. Ta krew, którą widzicie, nie należy do Dale'a Hardinga, to absolutnie pewne.

Will był zaskoczony. I natychmiast poczuł się głupio, że jest zaskoczony. Sara lepiej zinterpretowała miejsce zabójstwa niż on.

- Więc czyja to krew? Pani La Mer? - zapytała Faith.

- Możliwe. - Sara podniosła się powoli, żeby nie stracić równowagi.

Amanda usiłowała poskładać wszystkie informacje w logiczną całość.

- Nasza zaginiona kobieta uderzyła się w głowę na schodach, potem zostawiła krwawe odciski stóp na ziemi, kiedy biegła po balkonie, a potem co?

- W tym pokoju rozegrała się gwałtowna bójka między dwojgiem ludzi. Na suficie jest obfity rozprysk krwi, co wskazuje na ranę tętnicy. Jak powiedziałam, to nie jest krew Hardinga. - Sara poszła na koniec pokoju. - Potrzebujemy więcej źródeł światła. Graffiti jest bardzo ciemne, ale widzicie ten ślad na ścianie? To ślad dłoni. Dłoni pokrytej krwią. Kształt i rozstaw palców wskazują na dłoń kobiety.

Will dostrzegł wcześniej tę rozmazaną linię krwi, ale nie zauważył na jej końcu śladu palców. Przypominały mu sińce na szyi Keishy Miscavage.

- Nie ma niewyjaśnionych strzelanin z ostatniej nocy. O czym mówimy? O pchnięciu nożem?

- Może - odpowiedziała Sara.

- Może - powtórzyła z przekąsem Amanda. - Świetnie. Przekażę szpitalom informację, żeby personel MOŻE zwrócił uwagę na niewyjaśnione przypadki ran kłutych połączonych z poważnym urazem głowy.

- Ja się tym zajmę. - Collier zaczął przebierać palcami po wyświetlaczu telefonu. - Mam kumpla, który pracuje w komisariacie przy szpitalu Grady. Jak go poproszę, od razu to sprawdzi na oddziale ratunkowym.

- Trzeba popytać też w Atlanta Medical i Piedmont.

Collier pokiwał głową i zajął się pisaniem.

- Saro, wyjaśnij mi coś - powiedziała Faith. - To nie gałka zabiła Hardinga, ale facet nie żyje. Co się stało?

- Złe wybory. Był chorobliwie otyły, nieprawdopodobnie wzdęty. Jego oczy wskazują na rumień. Przypuszczam, że ma nadciśnienie i przerost serca. Na brzuchu i udach ma ślady po igle, co oznacza, że był insulinozależnym cukrzykiem. Żywił się fast foodami i drażetkami. Nie dbał o kondycję.

- Twierdzisz, że Harding zapadł w śpiączkę cukrzycową w trakcie walki na śmierć i życie? - z powątpiewaniem zapytał Collier.

- To sprawa bardziej skomplikowana. - Sara wskazała okolice ust. - Chodzi o twarz Hardinga. Wzięłaś to za pleśń, ale pleśń zwykle tworzy kolonie lub kępki. Przypomnij sobie, jak wygląda psujący się chleb. W pierwszej chwili pomyślałam o łojotokowym zapaleniu skóry, ale teraz jestem niemal pewna, że to mocznica.

- Miałem wrażenie, że czuję mocz - wtrącił Will.

- Dobry trop. - Sara wręczyła Collierowi torebkę na zużyte rękawiczki i ochraniacze na buty. - Mocznik jest jedną z toksycznych substancji filtrowanych przez nerki. Jeśli z jakiegoś powodu nerki nie pracują prawidłowo, a cukrzyca i nadciśnienie są dobrym powodem, wtedy ciało usiłuje wydalić mocznik w pocie. Pot paruje, mocznik ulega krystalizacji, co prowadzi do powstania takiego osadu.

Collier kiwał głową ze zrozumieniem, pytając przy tym:

- Ile czasu to zajmuje?

- Niewiele. Harding żył z chroniczną chorobą nerek w ostatnim stadium. Był leczony. Na ramieniu ma przetokę

tętniczo-żylną, która ułatwia dializowanie. Krystalizacja mocznika jest bardzo rzadkim zjawiskiem. Z jakiegoś powodu Harding przerwał dializy jakiś tydzień, może dziesięć dni temu.

- Jezu - powiedziała Faith. - To w końcu jest zabójstwo czy nie?

- Wygląda na to, że usiłowali zabić się nawzajem i obojgu prawie się udało - zauważyła Amanda i zwróciła się do Sary:  
- Skupmy się na zaginionej kobiecie. Według pani doktor w pokoju doszło do zażartej walki, którą Harding przegrał, chociaż przed śmiercią zdążył poważnie zranić przeciwniczkę, na co wskazują ślady krwi. Wziąwszy pod uwagę jej rany, jak zdołała stąd wyjść i odjechać? Nie chcę żadnych „może” ani „przypuszczalnie”. Nie jest pani w sądzie, doktor Linton.

Mimo takiej zachęty Sara nadal odpowiadała wymijająco:

- Zacznijmy od śladów na schodach. Jeśli faktycznie pochodzą od zaginionej kobiety, to uderzenie musiało być potężne. Prawdopodobnie doznała pęknięcia czaszki, w najlepszym wypadku wstrząśnienia mózgu. - Sara obejrzała się i spojrzała na pokój. - Utrata takiej ilości krwi jest groźna dla życia. Oceniam ją na jakieś dwa litry, trzydzieści do trzydziestu pięciu procent utraty krwi. To graniczna wartość dla krwotoku trzeciego stopnia. Prócz zatamowania krwawienia potrzebowaliby podania innych płynów, być może również transfuzji.

- Mogła użyć brezentu - podsunął Will. - Technicy go nie znaleźli. A na parkingu leżała srebrna taśma izolacyjna.

- To możliwe - zgodziła się Sara. - Porozmawiajmy jednak o naturze tej rany. Jeśli krew leciała z klatki piersiowej lub szyi, kobieta już by nie żyła. Ta krew nie może pochodzić z jamy brzusznej, ponieważ nie wypłynęłaby z niej. To znaczy, że zostają kończyny. Rana cięta w pachwinie dałaby tyle krwi. Kobieta mogłaby chodzić, ale z trudem. To samo dotyczy kości przyśrodkowej kostki. Mogła wlec nogę za sobą albo się czołgać. Jest jeszcze taka ewentualność... - Wyciągnęła przed siebie ręce na wysokości twarzy. - Horyzontalna rana cięta tętnicy łokciowej albo promieniowej. Ramię odskakuje, a krew tryska dookoła jak woda z węża ogrodowego. Taka jest natura ran tętnic. - Jej spojrzenie powędrowało ku Hardingowi. - Gdyby tak było, miałyby na sobie więcej krwi.

- Dziękuję, pani doktor, za tę litanię możliwości - powiedziała Amanda. - Ile mamy czasu na znalezienie tej kobiety?

Sara nie przejęła się tą uszczypliwością.

- Tego rodzaju rany wymagają specjalistycznego leczenia, nawet jeśli kobieta zdołała zatamować krwawienie. Biorąc pod uwagę, że czas zgonu Hardinga szacujemy na jakieś cztery, pięć godzin temu, i mając w pamięci ilość straconej krwi, kobieta ma dwie do trzech godzin, zanim jej organy wewnętrzne zaczną się wyłączać.

- Pani obejrzała zmarłego, my znajdziemy żyjącą. - Amanda zwróciła się do Willa i Faith. - Czas ucieka. Naszym nadrzędnym celem jest zlokalizowanie tej kobiety, zapewnienie jej pomocy medycznej, a potem ustalenie, co

ona tu w ogóle robiła.

- A co z BackDoorMan.com? - spytała Faith. - Jakies powiazania z Rippym?

- To ciagoty Hardinga - stwierdzil Will. - Rippy ma swój typ.

- Ciemne włosy, ciety język, zabójcze ciało - odpowiedziala Faith.

- Jego zona jest blondynką - zauwazył Collier.

Faith przewrocila oczami.

- Ja jestem blondynką. Ona jest farbowana.

- Podyskutujecie o kolorach włosów po odnalezieniu kobiety - przywolala ich do porzadku Amanda, po czym zwrócila się do Colliera: - Niech twój partner sprawdzi zgłoszenia o zaginięciu z ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Kobiety, mlode, w typie Rippy'ego. - Collier skinął głową, ale Amanda jeszcze nie skończyła. - Potrzebuję co najmniej dziesięciu mundurowych do przeszukania magazynów i biurowca. Skontaktuj się z inżynierem kierującym inwestycją. Budynek wyglada podejrzenie. Macie sprawdzic kazde piętro, kazdy zakamarek, kazda szczeline, zajrzec pod kazdy kamien. Nasza zraniona przez ofiare zabójczyni może krwawic i ukrywac się tuż obok. Chyba nie chcecie przeczytac o tym w jutrzejszej prasie.

Collier coś mruknął niewyraźnie, a Amanda zwrócila się do Faith:

- Jedź do mieszkania Hardinga. Zanim tam dotrzesz, będę miała nakaz przeszukania. Harding przedstawiał się jako prywatny detektyw, więc mógł rozpracowywać tę kobietę na



zlecenie Rippy'ego. Albo była bezpośrednio związana z Hardingiem, byli w konflikcie, na przykład szantażowała go i chciała pieniędzy. A może jedno i drugie. Harding jako prywatny detektyw zapewne ma jej teczkę, zdjęcia, notatki, adres. - Spojrzała na Willa. - Jedź z nią. Wygląda na to, że Harding raczej mieszkał skromnie. W sąsiedztwie będą sklepy monopolowe, lombardy, kluby ze striptizem. Pewnie sprzedają tam telefony na kartę. Sprawdź bazę numerów identyfikacyjnych komórek i porównaj z monitoringiem, może uda się przyporządkować jakiś numer Hardingowi. Porównajcie to z telefonami powiązanymi z Kipem Kilpatrickiem i Marcusem Rippym.

Dokoła rozległo się zgodne „tak jest”.

Will usłyszał zgrzyt metalu skrobiącego o beton. Z platformy podnośnika zszedł Charlie Reed i zmierzał ku nim z ponurą miną.

- Mów, Charlie. Nie mamy czasu - ponagliła go Amanda.

- Dostałem informację o Glocku 43 - odparł, nerwowo bawiąc się komórką.

- I?

Charlie nie spuszczał wzroku z Amandy i zaczął niepewnie:

- Może powinniśmy...

- Mów! - ponagliła go niecierpliwie.

- Broń jest zarejestrowana... - Charlie odetchnął głęboko - ...na Angie Polaski.

Will poczuł nagłe ukłucie w sercu i metaliczny smak w ustach.

Ciemne włosy. Cięty język. Zabójcze ciało.

Policzki mu płonęły. Wszyscy zgromadzeni wbili w niego wzrok, czekając na jego reakcję. Kropla potu spłynęła mu z czoła do oka. Spojrzał w sufit, nie będąc w stanie patrzeć na nic innego.

Ciszę przerwał Collier.

- Coś przegapiłem? - Ponieważ pozostali milczeli, zapytał wprost: - Kim jest Angie Polaski?

Przed odpowiedzią na to pytanie Sara musiała odchrząknąć.

- To żona Willa.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Sara patrzyła, jak Will dla zachowania równowagi podpira się ręką o ścianę. Powinna była coś zrobić – pocieszyć go, obiecać, że wszystko będzie dobrze – ale nie mogła. Stała bez ruchu, walcząc z zalewającą ją wściekłością, jaka towarzyszyła każdej wzmiance na temat jego nieobliczalnej i pełnej nienawiści żony.

Angie Polaski przewijała się przez życie Willa, odkąd skończył jedenaście lat. Dorastali razem w sierocińcu w Atlancie, doświadczyli maltretowania, wykorzystania seksualnego, porzucenia. Państwowy system opieki nie przed wszystkim ich uchronił. Jednak żadne cierpienie, które spadło na Willa w wieku dojrzewania, nie mogło równać się z pasmem udręk, jakich zaznał od Angie. I nadal zaznawał, ponieważ za tym, że wszyscy stali w tym budynku nad kałużą krzepnącej krwi jej ostatniej ofiary, kryła się okrutna logika.

Dale Harding stał się cywilną ofiarą tej wojny. To Will był zawsze nadrzędnym celem Angie, i ona w ten cel trafiała raz za razem.

Czy teraz nadszedł jej kres?

- To niemożliwe... - Will urwał i omiótł wzrokiem pokój. -  
Ona nie może być...

Sara usiłowała stłumić gniew. Ta sytuacja nie była po prostu kolejną irytującą próbą Angie zwrócenia na siebie uwagi. Widziała, że rozumowanie Willa idzie w tym samym kierunku: gwałtowna walka, obrażenia zagrażające życiu,

kałuża krwi.

Ranna. Niebezpieczna. Zdesperowana.

Angie.

- Ona... - Will znowu urwał. - Może jest... - Oparł się plecami o ścianę i oddychał ciężko. - Boże. Jezu. - Zasłonił dłonią usta. - Ona nie może... - Głos mu się załamał. - To ona.

- Tego nie wiemy. - Sara starała się dodać mu otuchy. Powtarzała sobie, że tu chodzi nie o Angie, lecz o Willa. Widok jego cierpienia sprawiał jej ból. Miała wrażenie, jakby ktoś wbił jej nóż w serce. - Może Angie Polaski skradziono tę broń, może to nie ona...

- To ona. - Will odwrócił się do nich plecami i odszedł kilka kroków, ale Sara zdołała dostrzec na jego twarzy wyraz udręki. Przytłaczała ją własna bezradność. Oboje desperacko pragnęli uwolnić się od Angie, ale nie w taki sposób. A nawet jeśli, to Sara nigdy by się do tego głośno nie przyznała. Zawsze wiedziała, że Angie nie wycofa się dyskretnie i taktownie. Nawet w obliczu śmierci znalazła sposób, by pociągnąć za sobą Willa.

- Charlie, jaki adres jest na dokumencie rejestracyjnym broni? - zapytała Amanda.

- Taki sam jak na prawie jazdy. - Charlie spojrział na wyświetlacz telefonu. - Baker, numer...

- Dziewięćdziesiąt osiem - dokończył Will, nadal stojąc do nich plecami. - To jej stary adres. A numer telefonu?

Gdy Charlie wyrecytował numer, Will powiedział:

- To na nic. Jest wyłączony.

- Wiesz, gdzie ona się podziewa? - zapytała Amanda, a gdy Will zaprzeczył ruchem głowy, dodała: - Kiedy widziałeś ją ostatni raz?

Will wyraźnie zwlekał z odpowiedzią, w końcu jednak wydusił z siebie:

- W sobotę.

Sara poczuła, jakby ktoś przekręcił nóż tkwiący w jej piersi.

- W sobotę?

W sobotę była u niego w domu. W sobotę się kochali, dwa razy. W sobotę Will powiedział jej, że idzie pobiegać, i potajemnie spotkał się z żoną.

- Widziałeś ją dwa dni temu? - wykrztusiła ze ściśniętym gardłem.

Will milczał.

Amanda westchnęła ciężko.

- Masz numer jej telefonu? Znasz miejsce pracy? Wiesz, jak się z nią skontaktować?

Will przecząco pokręcił głową w odpowiedzi na każde z tych pytań.

Sara wpatrywała się w jego plecy, szerokie ramiona, które niedawno obejmowała. Szyję, którą całowała. Gęste ciemnoblonde włosy, w których zanurzała palce. Oczy wezbrały jej łzami. Czy Will widywał się z Angie przez cały ten czas? Późnym wieczorem, kiedy podobno zostawał dłużej w pracy? Wczesnym rankiem, kiedy podobno miał ważne spotkania? W trakcie dwugodzinnego biegania i towarzyskich meczów koszykówki?

- Uwaga! - Amanda klasnęła w dłonie. Jej głos odbił się echem od ścian pustego budynku. - Piętnaście minut przerwy dla techników. Napijcie się wody, posiedźcie w klimatyzowanych autach.

Postacie w białych kombinezonach wydały z siebie zgodny okrzyk zadowolenia. Sara była pewna, że zaczną plotkować zaraz po wyjściu z budynku.

Otarła oczy, by nie pozwolić płynąć łzom. Była w pracy, musiała skupić się na zadaniu, czyli na tym, na co miała wpływ.

- Grupę krwi możemy oznaczyć w mobilnym laboratorium. Wyniki będą niemal od ręki - powiedziała, bez powodzenia walcząc ze ściskaniem w gardle. - To wprawdzie nie DNA, ale dzięki badaniu możemy wykluczyć Angie. Albo potwierdzić, że to najpewniej jej krew. - Urwała, żeby przełknąć ślinę. Nie wiedziała, czy będzie w stanie mówić dalej składnie i logicznie. - Może na tej podstawie uda się ustalić przybliżoną wersję wydarzeń. Trzeba porównać grupę krwi ze schodów z krwawymi śladami stóp prowadzącymi do pokoju. Ustalić, czy są zgodne z grupą krwi ze środka pokoju. Czy grupa krwi tętnicznej rozprysniętej na suficie odpowiada grupie krwi rozmazanej ręką na ścianie. - Zacisnęła usta. Ile razy można powtarzać słowo „grupa”? Nie chciała brzmieć jak zdarta płyta. - Muszę znać grupę krwi Angie. I będę musiała potwierdzić te wstępne wyniki badaniem DNA. Oznaczenie grup krwi da nam tylko ogólny obraz.

- Dobra - rzuciła oschle Amanda. - Angie była policjantką

przez dziesięć lat. Informację o grupie krwi wezmę z akt. – W jej głosie pobrzmiwała narastająca irytacja. – Faith, zacznij dzwonić. Musimy mieć aktualny adres, numer telefonu, miejsce pracy Angie; wszystko, co zdołasz ustalić. Collier, dla ciebie i Ngô nic się nie zmienia. Zbierzcie ludzi i przeszukajcie maga...

– Ja to zrobię – wpadł jej w słowo Will i ruszył w kierunku podnośnika.

Amanda złapała go za ramię.

– Ty zostajesz. – Will próbował się wyrwać, ale Amanda wbiła mu paznokcie w rękaw koszuli. – To rozkaz.

– Angie może już...

– Wiem, ale zostaniesz tu i odpowiesz na moje pytania. Zrozumiano?

Collier zakasłał znacząco, ale Faith trąciła go w ramię, by się zamknął.

– Charlie, zabierz Colliera i Faith na dół – rozkazała Amanda – a potem wracaj do mnie.

Mijając Sarę, Faith ścisnęła jej dłoń. Miały niepisaną umowę, że nie rozmawiają o Willu, chyba że ogólnie i neutralnie. W tej chwili Sara niczego tak nie pragnęła, jak złamać tę zasadę.

– Amando – Will nawet nie czekał na ich odejście – nie mogę tu sterczeć, skoro...

Amanda władczo uniosła palec w geście nakazującym milczenie. Przynajmniej ona jedna dbała, by Sara nie została upokorzona. Znowu.

Sobota.

Dwa dni temu.

Sara nie miała pojęcia, że Will coś przed nią ukrywa. O czym jeszcze nie wiedziała? Próbowwała odtworzyć w pamięci jak najwięcej szczegółów minionych kilku tygodni. Will zachowywał się normalnie, może tylko był bardziej troskliwy, uważny, nawet romantyczny, co w jego przypadku mogło uchodzić za podejrzanę.

- Amando... - Will podjął kolejną próbę, zniżając głos i nadając mu neutralny ton. - Słyszałaś, co mówiła Sara. Angie może się teraz wykrwawiać na śmierć. Zostało jej kilka godzin, zanim... - Urwał. Oboje dobrze wiedzieli, co się zdarzy, jeśli Angie nie otrzyma pomocy. - Muszę ją znaleźć. Ja jeden wiem, gdzie może się schować.

Amanda posłała Willowi jedno ze swoich groźnych spojrzeń.

- Wilbur! - Tylko ona używała jego pełnego imienia. - Przysięgam na własne życie, że jeśli zejdziesz z tego balkonu, zakuję cię w kajdanki, zanim ujrzysz słońce.

- Nigdy ci tego nie wybaczę. - Oczy Willa zapłonęły nienawiścią.

- Nie jesteś jedyny na liście. - Teatralnym gestem wyjęła telefon.

Will odwrócił się do niej plecami, spojrzał na Sarę i bez słowa wyjaśnienia ruszył ku schodom. Sara spodziewała się tego, ale Will u szczytu schodów zawrócił i poszedł w drugą stronę jak pantera w klatce. Zgrzytał zębami tak mocno, że Sara widziała, jak pracują mu szczęki. Z rękami zaciśniętymi w pięści stanął u szczytu drugich schodów, potrząsnął głową



i mruknął coś pod nosem.

Sara odczytała to słowo z układu jego ust.

Angie.

Will nie kochał Angie, w każdym razie nie jako mąż. A przynajmniej tak powiedział Sarze. Prawie przez rok szukał żony, by podpisała papiery rozwodowe. Ich małżeństwo i tak było oszukańcze. Oboje potraktowali je jak wyzwanie, a Will obiecał Sarze, że robi wszystko, by je zakończyć. Ani razu nie zapytała, jakim cudem agent specjalny Biura Śledczego Stanu Georgia nie umiał odnaleźć kobiety, którą, jak się okazało, widział dwa dni temu.

Spotkał się z nią w restauracji? W hotelu? Sara znowu poczuła łzy ściskające jej gardło. Cały ten czas był z Angie, a z niej robił idiotkę?

Amanda czekała, aż platforma podnośnika wyląduje na ziemi.

- Dobra. Sobota. Gdzie widziałeś Angie? - zapytała.

Will powoli odwrócił się do niej i skrzyżował ramiona. Patrzył gdzieś ponad głową szefowej.

- Przed domem. Parkowała na ulicy. - Urwał. Sara miała nadzieję, że Will pamięta, co było przedtem, ponieważ nigdy więcej nie zamierzała tego zrobić. - Wyszedłem pobiegać i zobaczyłem jej auto, chevrolet monte carlo SS z osiemdziesiątego ósmego, czarny z...

- Czerwonymi pasami. Już zleciłam wystawienie listu gończego na terytorium pięciu stanów - weszła mu w słowo. A potem zadała pytanie, które nie dawało Sarze spokoju: - Dlaczego stała przed twoim domem?

- Nie wiem. - Will potrząsnął głową. - Zobaczyła mnie, wsiadła do auta i...

- Nie rozmawiała z tobą?

- Nie.

- Nie weszła do środka?

- Nie. A przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo - poprawił się. - Czasami zdarzało jej się wchodzić.

Sara spojrzała na torebki z dowodami zostawione na ziemi przez Faith.

Szminka.

Różowy kaszmir firmy Sisley z zadrapaniem na obudowie. To nie była skaza fabryczna. Ta szminka należała do Sary, zostawiła ją u Willa w zeszłym miesiącu, w jego łazience, na umywalce. Wyszli na kolację, a potem nie mogła jej znaleźć.

Aż do dzisiaj. W torebce Angie. W jej ręce. Między palcami. Na jej ustach.

Ta myśl przyprawiła Sarę o mdłości.

- Wiesz, dlaczego Angie stała przed twoim domem? - ciągnęła Amanda.

- Nie.

Sara zebrała się w sobie.

- Zostawiła na moim aucie jakiś napis? - zapytała.

- Nie - odparł Will, ale czy mogła mu wierzyć? Kiedy wrócił z porannego biegania, poszli na śniadanie. Dzień spędzili razem na kanapie, zamówili pizzę, wygłupiali się, Will miał setki okazji, aby ją poinformować, że kobieta, której szukał od roku, rano stała w aucie pod jego domem. Nie byłaby zła. Może zirytowana, ale na pewno nie na Willa. Nigdy nie

obwiniła go za wyczyny Angie, i Will o tym wiedział, ponieważ jego żona już wcześniej wielokrotnie dała się we znaki im obojgu.

Will musiał mieć ważny powód, żeby zataić przed nią tę wizytę. Może Angie była u niego w domu i ukradła szminkę Sary? Przypomniła sobie tajemnicze zniknięcia innych przedmiotów. Straciła kilka grzebieni, flakonik perfum... Pluła sobie w brodę, że zapodziała je, kursując między swoim mieszkaniem a domem Willa. Wtedy przez myśl jej nie przeszło, że Angie mogła ukraść jej te rzeczy.

I że Will o tym wiedział.

- Opisz to dokładnie i po kolei - powiedziała Amanda. - Wychodzisz z domu. Widzisz Angie w aucie.

- Obok auta. - Will mówił ostrożnie, jakby musiał dobrze przemyśleć odpowiedź. - Zobaczyła mnie, zorientowała się, że ją zauważyłem, ale wsiadła do samochodu i... - Jego wzrok padł na torebki z dowodami. Były tam kluczyki do chevroleta starego typu, mogłyby pasować do modelu monte carlo z osiemdziesiątego ósmego. - Pobiegłem za nią, ale odjechała.

Sara wolała nie wyobrażać sobie, jak Will biegnie za Angie ulicą.

- O jakie napisy pytałaś? - dociekała Amanda, patrząc na Sarę.

Wzruszyła ramionami, jakby chciała to zbagatelizować, ale sprawa była zbyt poważna.

- Czasem zostawia mi napisy na aucie - odparła. - Treści można się domyślić.

- Kiedy zostawiła ostatni?

- Trzy tygodnie temu. - Sara pracowała ostatni dzień jako pediatra w szpitalu Grady. Czteroletni chłopiec pomylił torebkę metamfetaminy z cukierkami i nastąpiło zatrzymanie akcji serca. Sara przez kilka godzin usiłowała go reanimować, niestety bez skutku. A kiedy w końcu wyszła ze szpitala, na przedniej szybie swojego auta zobaczyła napis PIERDOLONA WYWŁOKA wykonany czarną kredką do oczu.

Nie ulegało wątpliwości, że to sprawka żony Willa, bo Angie miała charakterystyczne pismo. Jednym z jego znaków szczególnych było E, które wyglądało jak odwrócona trójka, a także Y przypominające czwórkę. Obie litery pojawiały się w każdym napisie. Wszystko zaczęło się przed rokiem, po pierwszej nocy, jaką Will spędził u Sary.

- Will, a tobie Angie nie zostawiała napisów? - zapytała Amanda.

Will potarł brodę.

- Nie zrobiłaby tego.

Sara wbiła wzrok w ziemię. Will świetnie znał Angie.

- Dobrze. - Amanda sprawiała wrażenie jeszcze bardziej poirytowanej. - Daję wam pięć minut na rozmowę. Potem wracacie do roboty.

- Nie. - Will omal nie wykrzyczał swojego sprzeciwu. - Muszę szukać Angie. Musisz mi na to pozwolić.

- Co się stanie, kiedy znajdziesz jej ciało, Will? Ciało swojej żony, z którą chciałeś się rozwieść, żeby być z nową kobietą? I tak się jakoś dziwnie składa, że akurat jest nią lekarka sądowa pracująca przy tej sprawie. Nie mówiąc już o twojej

partnerce i szefowej, które też nad nią pracują. Jak to będzie wyglądać w gazetach? Mam ci powiedzieć?

Z miny Willa Sara wyczytała, że nie brał tego pod uwagę.

- Twoja żona zamordowała - mówiła dalej Amanda - albo i nie zamordowała, jak twierdzi twoja dziewczyna, gliniarza, który był na liście płac Kipa Kilpatricka, będącego na usługach Marcusa Rippy'ego, którego ty przez siedem miesięcy nękałeś z powodu fałszywego oskarżenia o gwałt. Jakby tego było mało, twoja nieżyjąca żona nękała twoją dziewczynę. - Amanda podparła się pod boki. - Czy tak właśnie było?

- Chcę ją znaleźć.

- Wiem, że chcesz, ale ja się tym zajmę. - Amanda zwróciła się do Sary. - Pięć minut. - Jej niskie buty kłapały o ziemię, gdy ruszyła do podnośnika.

Sara nawet nie usłyszała, kiedy Charlie wrócił z platformą na górę.

Will otworzył usta, ale Sara powstrzymała go gestem.

- Nie tutaj - powiedziała, dając do zrozumienia, że powinni oddalić się od pokoju, w którym doszło do zabójstwa. Bez względu na to, jakim człowiekiem był Dale Harding, zasługiwał na szacunek w obliczu śmierci.

Will zaszurał nogami w ochraniaczach. Szedł zgarbiony i zrezygnowany, zupełnie jak dziecko, które za karę zostanie za chwilę zamknięte w drewnitni. Zatrzymał się przy wiadrach z masą szpachlową. Potarł twarz rękami, jakby chciał pozbawić ją wyrazu, przerobić na milczącą maskę.

Sara stanęła przed nim i czekała, aż coś powie. Cokolwiek,

na przykład że mu przykro z powodu kłamstwa, że jest smutny, że jest zły, że ją kocha i razem przez to przejdą... Albo że nie chce jej więcej widzieć.

Will milczał.

Wpatrywał się w przestrzeń ponad jej ramieniem, gdzie miała się pojawić platforma. Zaciskał pięści, jakby ciał się do skoku.

- Nie zatrzymuję cię. - Te słowa z trudem przeszły Sarze przez ściśnięte gardło. Kiedy była zła, ton jej głosu łagodniał. Zniżyła go do szeptu. - Idź tam i czekaj na podnośnik. Ja mam mnóstwo roboty.

Will ani drgnął. Oboje wiedzieli, że Charlie nie wróci po nich przed upływem wyznaczonych przez Amandę pięciu minut.

- Co chcesz ode mnie usłyszeć?

Jej serce mocno waliło, w ustach zaschło. Will był zły, chociaż nie miał do tego prawa.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że ją widziałeś?

- Nie chciałem cię denerwować.

- Kiedy ludzie tak mówią, to zwykle oznacza, że boją się szczerości.

Will zaśmiał się. Sara poczuła, że coś w niej pęka. Miała ochotę go uderzyć.

- Popatrz na mnie - zażądała, a on z wyraźnym ociąganiem spojrzął jej w końcu w oczy. - Wiesz, że zabrała moją szminkę. Że grzebała w moich rzeczach. - Sara czuła szczypanie oczu. Tym razem były to łzy gniewu. Wszystko zaczęło się od szminki. Angie należała do tych ludzi, którzy

nie poprzestają na jednym wyskoku. Sara pomyślała o wszystkich rzeczach osobistych, które zostawiła u Willa. Wyobraziła sobie, jak Angie je znajduje, jak ich dotyka. Zagotowała się z wściekłości. – Myślisz, że włamała się do mnie?

– Nie wiem. – Rozłożył szeroko ręce, jakby nie widział w tym problemu. – Co chcesz ode mnie usłyszeć...

– Zamknij się – syknęła. – Ona grzebała w moich rzeczach. W naszych rzeczach. – Patrzyła, jak Will pociera twarz palcami i ucieka wzrokiem w ten sam punkt ponad jej ramieniem. – W zeszłym roku zmieniłeś zamki w drzwiach. – To przynajmniej było prawdą. Will dał jej nowy klucz, widziała nowe zasuwki. – Jej też dałeś klucz? – Gdy zaprzeczył ruchem głowy, spytała: – Od kiedy wiesz, że włamywała się do ciebie? – Tylko wzruszył ramionami. – Odpowiedz mi czy nie?

– Kazałaś mi się zamknąć.

Nagle Sara poczuła w ustach posmak żółci. Zostawiła u Willa laptop. Tam było całe jej życie – akta pacjentów, mejle, lista kontaktów, terminarz, zdjęcia. Czy Angie odgadła hasło? Czy zajrzała do jej torby? Czy przymierzała jej ubrania? Co jeszcze ukradła?

– Nie jestem pewien, czy wchodziła do domu – powiedział w końcu. – Czasem rzeczy były poprzestawiane. Może ty je przekładałaś, może ja. A może...

– Naprawdę tak myślałeś? – Will z natury był porządnicki i zawsze odkładał wszystko na miejsce. Będąc u niego, Sara starała się robić to samo. – Dlaczego znowu nie zmieniłeś

zamków?

- Po co? Myślisz, że tak łatwo ją powstrzymać? Że mogę ją kontrolować? - Sprawiał wrażenie zakłopotanego tym pytaniem i może faktycznie był. Mimo uporu i siły Willa, to Angie od początku dyktowała warunki w ich związku. Była jak starsza siostra, która chciała go chronić. Jak obłąkana kochanka, która używała seksu, by go kontrolować. Jak nienawistna żona, która nie chciała być mężatką, a jednocześnie nie chciała pozwolić mu odejść.

Angie kochała Willa, nienawidziła go i potrzebowała.

Znikała na kilka dni, tygodni czy miesięcy, zdarzyło się też więcej niż raz, że na cały rok. To, że zawsze wracała, było w życiu Willa jedynym pewnikiem od prawie trzydziestu lat.

- Naprawdę jej szukałeś? - zapytała Sara.

- Pokazałem ci papiery rozwodowe.

- Czy to znaczy „tak”?

- Tak. - W oczach Willa zapłonął gniew.

- Widziałeś ją wcześniej i nie powiedziałeś mi o tym? Byłeś z nią? - Ta myśl przyprawiła ją o mdłości.

Gniew Willa przeszedł w furję, zupełnie jakby nie miała prawa zadać tego pytania.

- Nie, Saro. Nie pieprzyłem jej za twoimi plecami.

Czy mówił prawdę? Czy mogła mu wierzyć? Dla tego mężczyzny przewróciła swoje życie do góry nogami, uciszyła wewnętrzny głos, sprzeniewierzyła się zasadom. Dla niego przyjęła tę pracę. Dla niego zrobiła z siebie idiotkę przed współpracownikami, już nawet nie wspominając o rodzinie, przed którą w żadnym razie nie zdołałaby ukryć tego



związku, chyba że stałaby się jeszcze większym kłamcą niż Will.

- Myślisz, że ona wciąż żyje?

- Nie wiem. - Prawda byłaby zbyt okrutna.

Will zerknął na zegarek. Odliczał czas do chwili, w której podnośnik wróci na balkon. Wtedy on wskoczy na białego konia i popędzi kolejny raz ratować Angie.

Wczoraj oglądali domy wystawione na sprzedaż, i było to dzień po jego spotkaniu z żoną. Poszli się przejść i żartowali, że udawanie zainteresowania kupnem klimatyzowanego domu jest świetnym sposobem na ucieczkę przed skwarem. Sara mimowolnie zaczęła wyobrażać sobie, jak schodzi ze schodów, by ucałować Willa na powitanie, albo jak sadi kwiaty w ogrodzie, a Will kosi trawę, jak stoi w kuchni i zjada z Willem porcję lodów, a tak naprawdę powinna była zastanawiać się, jaki zamek należałoby zamontować w swojej szafce nocnej.

- Chryste. - Zakryła twarz dłońmi. Miała ochotę wytrawić ją ługiem.

- Ona by nie odpuściła. - Will zaczął skubać brew. Ten nerwowy tik Sara zauważyła już przy pierwszym spotkaniu. - Angie nigdy by się nie poddała, nawet gdyby była ranna.

Sara nie odpowiedziała, ale w duchu przyznała mu rację. Angie była jak karaluch. Roznosiła choroby wszędzie, gdzie tylko się pojawiła, i nic nie mogło jej zniszczyć.

- Jej auta tu nie ma, ale kluczyki są, choć mogła mieć zapasowe. - Opuścił rękę. - Była gliną i najtwardszą dziewczyną w naszym domu. Twardszą od chłopaków,

czasem nawet twardszą ode mnie. Ona doskonale wie, jak o siebie zadbać. Ma sieć kontaktów, zna ludzi, którzy jej pomogą w kłopotach, na przykład gdyby była ranna.

Każde jego słowo przeszywało Sarę jak sztylet, milczała jednak, nie komentowała.

- Jeśli ktoś miałby to przeżyć, to właśnie Angie, i taka jest prawda - dodał jakby na koniec.

Ale to jeszcze nie był koniec, choć Sara z trudem przyjmowała do wiadomości, że rozmowa przybrała taki obrót.

- Co mam teraz zrobić, Will? Uspokoić cię? Pocieszyć? Zapewnić, że nie mam ci za złe twojej zdrady? Wiedziałeś, że Angie narusza moją prywatność, naszą prywatność, a jednak nic z tym nie zrobiłeś. - Położyła dłoń na ustach, ponieważ ostre słowa tylko pogarszały sytuację. - Wiem, że w głębi twego serca tkwi uczucie, które należy i zawsze należeć będzie do Angie. Istniała w twym życiu przez prawie trzydzieści lat, była dla ciebie kimś naprawdę ważnym, a ja akceptuję ten fakt. Rozumiem, że czujesz z nią więź ze względu na to, co razem przeszliście, ale ty i ja jesteśmy razem. A przynajmniej tak mi się wydawało. Chcę, żebyś był ze mną szczery.

Will potrząsał głową, jakby chodziło o zwykłe nieporozumienie.

- Jestem z tobą szczery, Saro. Po prostu zaparkowała na ulicy, a ja z nią nie zamieniłem choćby słowa. Chyba powinienem był ci o tym powiedzieć.

Sara poczuła się dotknięta tym „chyba”.

Will znowu zerknął w bok w oczekiwaniu na podnośnik.

- Pięć minut już minęło.

- Will, proszę cię. - W tej chwili resztki dumy Sary uleciały.

- Powiedz mi, czego ode mnie oczekujesz. Co mam zrobić? - Zanim pomyślała, co robi, złapała go za rękę. Nie mogła znieść myśli, że jej się wymyka. - Potrzebujesz czasu? Jeśli tego ci potrzeba, po prostu mi powiedz. - Will w milczeniu spojrzał na ich ręce. - Porozmawiaj ze mną, proszę.

Kciukiem pogładził wewnątrz jej dłoni. Czy zastanawiał się, jak ją zostawić? Czy coś jeszcze przed nią zataił?

Poczuła, jak serce tłucze się jej w piersi.

- Jeśli sam chcesz sobie z tym poradzić, powiedz mi. Pogodzę się z tym. Proszę tylko, żebyś mi powiedział, co mam zrobić.

Will nie przestawał gładzić jej dłoni. Przypomniała sobie, kiedy dotknął jej tak pierwszy raz. Byli w piwnicy szpitala, a jego dotyk wprowadził ją w wewnętrzny dygot. Serce tłukło jej się w piersi jak teraz. Tyle że wtedy przepełniała je nadzieja, a teraz była przerażona.

- Will?

Odchrząknął, ścisnął ją mocniej za rękę. Sara wstrzymała oddech. Czekwała na jego słowa, zastanawiając się, czy to koniec ich związku, czy tylko kolejna gigantyczna przeszkoda do pokonania.

- Możesz odebrać Betty?

- Co? - Mózg Sary nie nadążył z przetworzeniem tej prośby.

- Jest u weterynarza. - Will zająknął się. - Nie wiem, ile

czasu mi to zajmie. Możesz ją odebrać?

Sara zaniemówiła. Otworzyła usta, po czym znowu je zamknęła.

- Powiedzieli mi, że... - Urwał, jego grdyka poruszyła się wyraźnie, gdy przełykał. - Kazali przyjechać po nią o piątej, ale mogłabyś zadzwonić do nich i spytać, czy może być wcześniej. Mówili, że zabieg skończą około południa, ale znieczulenie...

- Dobrze. - Sara nie widziała innej możliwości, jak spełnić prośbę Willa. - Zajmę się nią.

Odetchnął z wyraźną ulgą, zupełnie jakby kwestia zaopiekowania się Betty była najtrudniejszym z tematów w tej rozmowie.

- Dziękuję.

Charlie Reed szedł po schodach. Stąpał głośno, obwieszczając Sarze i Willowi swoje nadejście. Niósł dwa worki marynarskie, to, jak je trzymał, wskazywało, że są bardzo ciężkie.

- Schody są czyste, koniec ze śmiertelną pułapką podnośnika. - Uśmiechnął się spod podkreconych wąsów. - Will, Amanda czeka w samochodzie.

Will wysunął rękę z dłoni Sary, rzucił się do schodów i zbiegł na dół, przeskakując po dwa stopnie.

Sara odprowadziła go wzrokiem, nie mając pewności, co się właściwie stało i co powinna czuć. Przycisnęła rękę do piersi, jakby chciała sprawdzić, czy jej serce nadal bije. Uderzenia były tak szybkie jak u maratończyka, który właśnie minął linię mety.

- Rany. - Charlie dotarł w końcu do szczytu schodów, rzucił na ziemię worki i podszedł do Sary. - Jak mam ci ulżyć w niedoli? Zdjąć spodnie? Zaśpiewać?

Sara próbowała się zaśmiać, ale dźwięk, jaki z siebie wydobyła, bardziej przypominał łkanie.

- Przepraszam. - Poczowała się głupio, że robi takie widowisko.

- Nie przepraszaj. - W jego uśmiechu była autentyczna życzliwość. Z jednej z niezliczonych kieszeni workowatych spodni wyjął butelkę wody. - Musisz to wypić, na zewnątrz jest jak w piecu.

Sara zmusiła się do uśmiechu, ponieważ Charlie naprawdę starał się ją rozchmurzyć.

- Pierwsza możliwość: codzienne picie. Ma swoje za i przeciw.

Sarze przychodziły do głowy tylko argumenty za. Od ponad roku nie miała alkoholu w ustach, bo Will nienawidził tego smaku.

- A druga?

Charlie wskazał budynek, który nadal był miejscem ich pracy.

- Trunkowanie jest kuszące - przyznała Sara - ale pogadajmy o tym, co mamy jeszcze do zrobienia. Ciało Hardinga można już zabrać. Potrzebujemy co najmniej czterech ludzi.

- Poprosiłem o sześciu z powodu schodów. Przewidywany czas przybycia: czterdzieści minut.

Sara zerknęła na zegarek. Bez okularów widziała

niewyraźnie, mogła tylko w przybliżeniu oszacować, która godzina.

- Trzeba paru godzin na przygotowanie. Sekcję zacznę po lunchu. - Weterynarz nie wypuści Betty przed piątą, zwłaszcza gdy ona po nią przyjedzie. Facet miał pretensje do całego świata, że nie został lekarzem medycyny. - Oznaczenie próbek krwi jest na górze listy. Znamy już grupę krwi Angie?

- Amanda powiedziała, że wysłała tę informację esemesem, jak tylko się dowie. Poprosiłem jednego z techników, żeby zebrał próbki krwi. Pewnie zajmie mu to pół godziny. Jak widzisz, ściany są prawie czarne od graffiti, kazałem mu więc zebrać to, co widoczne, i trzykrotnie sprawdzić etykiety. Jest powolny, ale dokładny. - Charlie urwał, żeby nabrać powietrza. - Do tego czasu możesz pomóc mi sfotografować ślady po reakcji z luminolem albo posiedzieć w klimatyzowanej furgonetce i poczekać na próbki, a potem użyć swoich magicznych metod.

Sara wolałaby posiedzieć sama w vanie, ale uznała, że lepiej pomóc Charliemu. Pociągnęła łyk lodowatej wody i poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Chodziło o szminkę. Sara nie mogła uwolnić się od obrazu Angie stojącej przed lustrem w łazience Willa, malującej usta jej szminką, biorącej wszystko, co chciała. Tak właśnie postępowała Angie Polaski. Sięgała po cudzą własność.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Charlie.

- Oczywiście. - Sara starannie zakręciła butelkę. - Co jeszcze?

- Wciąż katalogujemy dowody. To zajmie trzy, może cztery dni. Auto Hardinga wystygło na tyle, że można już wysłać tam techników, chociaż pewnie niewiele w nim znajdą. To auto jest jak tost. - Spojrzał na schody, po których zmierzał do nich młody technik w kombinezonie bez kaptura. Włosy miał okryte siatką, spod której wystawał długi kucyk. Na szyi między uchem a ramieniem widniał tatuaż przedstawiający ozdobny czerwono-niebieski krzyż. Brodę porastała rzadka kozia bródka, w brwi tkwił kolczyk.

- Gary Quintana - przedstawił go Charlie. - Przyszedł do nas prosto po szkole dla techników kryminalistyki. Wyjątkowo bystry, bardzo chce się uczyć. Nie daj się zwieść jego ekstrawaganckiemu wyglądowi. Prowadzi przytulisko dla uratowanych kotów i jest weganinem.

Sara uśmiechnęła się i skinęła głową, jakby pilnie słuchała każdego słowa Charliego. Czuła, jak serce jej wali, a żołądek podchodzi do gardła. Modliła się w duchu, żeby nie wymiotować.

Charlie splótł dłonie.

- Mam ze sobą zaawansowany sprzęt, światła i...

- Przepraszam - przerwała mu Sara. Położyła dłoń na piersi, pewna, że Charlie widzi, jak serce bije jej szaleńczo. - Mogę prosić o chwilkę?

- Oczywiście. Rozłożę sprzęt w pierwszym pokoju. Przyjdź, kiedy będziesz gotowa.

- Dzięki - wykrztusiła Sara zdławionym głosem i ruszyła w stronę dalszych schodów. Minęła pokój, w którym umarł Dale Harding. Czuła, jakby popełniła najcięższy grzech,

pozwalając, by jej życie rozpadło się na kawałki akurat w tym czasie, kiedy obok leżały zwłoki. Zatrzymała się u szczytu schodów przed jednorożcem o tęczowych oczach. Żołądek wyczyniał harce niczym stateczek miotany falami oceanu. Zamknęła oczy i przeczekała atak nudności. Potem wyjęła iPhone'a, ponieważ było to jedynym społecznie akceptowanym pretekstem do stania w milczeniu ze spuszczoną głową.

Dostała esemesa od siostry. Tessa była świecką misjonarką w Afryce Południowej. Przysłała jej zdjęcie swojej córeczki, która właśnie budowała zamek z piasku w towarzystwie miejscowych dzieci.

Sara napisała ANGIE WRÓCIŁA, ale nie wysłała wiadomości. Wbiła wzrok w napisane słowa, skasowała drugie i dopisała: MOŻE NIE ŻYĆ. Jej kciuk zawisł nad klawiszem „Wyślij”, ale nie była w stanie go wcisnąć.

Zeznawała w kilku sprawach o zabójstwo, w których wypłynęła kwestia danych zachowanych w telefonie. Wyobraziła sobie siebie na miejscu dla świadka, jak wyjaśnia przysięgłym, dlaczego w odpowiedzi na wiadomość, że żona Willa może nie żyć, młodsza siostra śle jej uśmiechniętą buźkę. Usunęła niewysłanego esemesa i patrzyła na zdjęcie siostrzenicy, aż żołądek zaprzestał harców, a jej samej odeszła chęć rzucenia się ze schodów.

Nigdy do końca nie rozumiała zaburzonej relacji Willa i Angie. Kochała Willa, więc musiała to zaakceptować, jak akceptowała fakt, że Will odmawia jedzenia warzyw albo nie zauważa, że skończył się papier toaletowy. Angie była jego



nałogiem, jego chorobą.

Każdy ma jakąś przeszłość.

Sara była kiedyś mężatką. Głęboko i namiętnie kochała mężczyznę, z którym chciała szczęśliwie spędzić resztę życia. Ale on umarł, a ona musiała pójść dalej. Stopniowo zmieniała wszystko. Opuściła miasteczko, w którym się wychowała. Opuściła rodzinę. Porzuciła wszystko, co знаła, przeniosła się do Atlanty i zaczęła od nowa. Wtedy pojawił się Will.

Czy to była miłość od pierwszego wejrzenia? Spotkanie Willa przypominało raczej przebudzenie. Od trzech lat była wdową. Pracowała na dwie zmiany w szpitalu Grady, jechała do domu, wracała do pracy. Tak wyglądało jej życie. Aż pewnego dnia na izbie przyjęć spotkała Willa. Wtedy coś w niej drgnęło, zupełnie jakby wczesnowiosenny kwiat przebił się przez warstwę leżącego jeszcze śniegu. Will był przystojny, inteligentny, zabawny. I bardzo, ale to bardzo skomplikowany. On pierwszy przyznał, że dźwiga ze sobą bagaż, który mógłby wypełnić każdy samolot. Angie była tylko jego częścią.

Przez większość swojej kariery zawodowej Sara pracowała jako pediatra oraz lekarz sądowy, dlatego niezliczoną ilość razy oglądała efekty ludzkiej wściekłości wyładowywanej na dzieciach. Jednak przed poznaniem Willa nie wiedziała, co wyrasta z maltretowanych i molestowanych dzieci. Ciężko doświadczony Will nosił blizny na ciele i psychice. Nie ufał ludziom, a przynajmniej niewystarczająco. Skłonienie go do rozmowy o uczuciach przypominało rwanie zęba, w ogóle niemal każda próba rozmowy o czymś naprawdę ważnym

była niczym ciągnięcie przez ruchome piaski Titanica... na sznurowadle.

Po trzech miesiącach, od kiedy zostali parą, Will przyznał, że ma blizny, a po roku opowiedział o niektórych zdarzeniach z życia, ale bez szczegółów, a zwłaszcza bez emocji, które się za tym kryły. Sara nauczyła się nie zadawać pytań. Gładziła go po plecach i udawała, że pod palcami nie czuje idealnie kwadratowego śladu po sprzączce paska. Całowała go w usta i ignorowała bliznę, która dzieliła wargę na pół. Kupowała mu tylko koszule z długimi rękawami, bo wiedziała, że Will nie chce odsłaniać nadgarstka, który pociął sobie brzytwą.

Dla Angie.

Dla niej próbował się zabić. Nie z powodu odrzucenia, ale dlatego, że jako dzieci wylądowali w rodzinie zastępczej u człowieka, który dobierał się do Angie. Kiedyś podniosła fałszywy alarm, ale nie tylko dlatego takiej dziewczyny jak ona policja nie chciała słuchać. W wieku czternastu lat była już notowana, wszystko wyglądało coraz gorzej. Dlatego Will wziął brzytwę i rozciął sobie przedramię od nadgarstka w górę na długości piętnastu centymetrów. Wiedział, że to jedyny sposób, by zwrócić na siebie uwagę dorosłych i zostać wysłuchanym.

Zrobił to, nie pierwszy i nie ostatni raz ryzykując dla niej życie. To naprawdę długa historia, w każdym razie wiele lat zajęło mu uwolnienie się spod wpływu Angie Polaski. Czy jednak na pewno się od niej uwolnił? Czy reagował tak tylko dlatego, że ktoś, kogo znał prawie od zawsze, prawdopodobnie nie żył?

Myśli Sary uparcie krążyły wokół szminki. Tylko na tym była w stanie się skupić, ponieważ szminka symbolizowała wszystko, co tak bardzo ją zabolalo i z czym przynajmniej teraz nie miała siły się zmierzyć. Prawda była naprawdę trudna do zniesienia. Will wiedział, że Angie włamuje się do jego domu i gotów był poświęcić życie dla niej, ale nawet nie kiwnął palcem, żeby bronić prywatności i spokoju ducha Sary.

Cóż, przynajmniej znała już swoje miejsce na liście priorytetów Willa. Lokowała się tuż za Betty.

Włożyła telefon do kieszeni i zdjęła okulary zawieszane na zapięciu koszuli. Szkła były zaparowane, więc starannie przetręła je chusteczką. W budynku nadal panował nieznośny żar, wszystko pokrywała warstwa wilgoci. Było to nużące i dokuczliwe, ale z tym jakoś dało się żyć. Will...

A jednak dostrzegła jakiś plus w tej sytuacji. Skoro miała odebrać Betty od weterynarza, Will prędzej czy później musiał psa od niej zabrać.

Co za niedorzeczność! Dlaczego pozwoliła mu tak sobą zawładnąć? Była dorosła. Nie powinna zachowywać się i odczuwać jak nastolatka, która z biciem serca czeka na odpowiedź chłopca, któremu potajemnie podrzuciła liścik do szafki.

Sprawdziła szkła i zobaczyła plamę. Zmrużyła oczy, by dokładniej jej się przyjrzeć. Już była gotowa skłąć się za zmarnowanie kolejnej pary okularów, kiedy zrozumiała, że się pomyliła. To, co wzięła za plamę na szklach, znajdowało się na jednorożcu naprzeciw niej.

Włożyła okulary i wyteńczyła wzrok. Jednorożec był naturalnych rozmiarów, o ile przyjąć, że to bajkowe stworzenie jest wielkości konia. Miał lekko przekrzywiony łeb i spoglądał w stronę schodów. Tęczowe oczy jednorożca znajdowały się na wysokości ramion Sary, która dostrzegła, że na styku zielonego i niebieskiego paska tęczęwki znajduje się otwór wielkości dziesięciocentówki. Odłupane drobiny szarego betonu wzięła za plamę na okularach. Spojrzała na ziemię i dostrzegła coś jeszcze. Betonowy pył pokrywał niedopałki papierosów oraz rurki po kokainie, a jego wygląd wskazywał, że opadł niedawno.

- Charlie! - zawołała.

- Tak? - Wychylił głowę z jednego z pokoi.

- Możesz tu przyjść z aparatem i pęsetami?

- To najbardziej interesująca propozycja od tygodnia. - Schował głowę, a po chwili wyszedł z pokoju z aparatem w jednej ręce i podręczną walizką technika w drugiej.

- Tutaj. - Sara wskazała oko jednorożca.

Charlie wzdrygnął się gwałtownie.

- Od zawsze bałem się dwóch rzeczy, jednorożców i gałek ocznych. - Z torby wyjął szkło powiększające i zbliżył twarz do graffiti. - O, widzę. Co za spostrzegawczość.

Sfotografował przebite oko jednorożca, mierząc z użyciem metalowej linijki średnicę otworu. Potem sfotografował pył pod ścianą i zmienił obiektyw, by zrobić zdjęcia z odległości. Kiedy obfotografował całego jednorożca, wręczył Sarze ostro zakończone szczypczyki i spytał:

- Będzie pani łaskawa?

Sara wiedziała, że narobi więcej szkody niż pożytku, jeśli spróbuje wykonać pracę pośpiesznie. Dobrze też pamiętała, że nigdy nie zaliczyła przegranej w „Małego chirurga”. Oparła nasadę dłoni tuż poniżej oka jednoroźca, rozwarła szczypczyki na odpowiednią szerokość i powoli zanurzała je w otworze, aż poczuła opór. Zamiast otworzyć ramiona szczypczyków, zbliżyła je do siebie, by zyskać pewność, że będzie za co chwycić. Miała rację, bo wierzchołki szczypczyków złapały spłaszczoną krawędź przedmiotu, który okazał się pociskiem półpłaszczowym.

- Czyżby polowali na jednoroźce? - zapytał Charlie.

Sara uśmiechnęła się, po czym zadała swoje pytanie:

- Trzydziestkaósemka specjal?

- Na to wygląda. Z G43 nikt nie strzelał. W magazynku i komorze były pociski pełnopłaszczowe American Eagle, kaliber dziewięć milimetrów. - Charlie poruszył wąsami na boki. - Ten może być z rewolweru.

- Racja - potaknęła Sara. Gliniarz w wieku Dale'a Hardinga wolał pewnie rewolwer niż pistolet kaliber dziewięć milimetrów. - Nie znalazłeś innej broni?

- Mogła stopić się w samochodzie. Uczulę techników, żeby zwrócili na to uwagę, może znajdą jakieś ślady.

Sara powąchała nabój i wyłapała zapach trocin, grafitu oraz nitrogliceryny.

- Całkiem świeży - stwierdziła.

Charlie wciągnął zapach w nozdrza.

- Na to wygląda, ale brak śladów krwi.

- Nabój mógł być na tyle gorący, że przechodząc przez

ciało, spalił tkanki, jak podczas zabiegu przyżegania, inaczej kauteryzacji, dzięki czemu nie doszło do krwotoku, jednak niewykluczone, że pozostały mikroskopijne ślady.

- Test Kastle-Meyera?

Sara pokręciła głową. Ta metoda wykrywania śladów krwi na miejscu zbrodni dawała błędne wyniki.

- Niech zrobi to laboratorium. Nie zniósłabym, gdyby się okazało, że zużyliśmy jedyną pełnowartościową próbkę, a oni nie będą mogli wyodrębnić z niej DNA.

- Słuszna uwaga. - Charlie spojrzał na podłogę. - Nie jestem lekarzem, ale jeśli kula trafiła w coś większego, na przykład w tętnicę, powinniśmy gdzieś tutaj zobaczyć krew.

- Racja. - Sara znalazła w walizce małą torebkę na dowody.

Opisywaniem torebek zajął się Charlie, ponieważ miał wyraźniejszy charakter pisma.

- Dla twojej wiadomości - powiedział. - Amanda nakazała pośpiech ze wszystkim, łącznie z badaniem DNA.

- Dwadzieścia cztery godziny brzmi lepiej niż dwa miesiące. - Sara przez chwilę przyglądała się otworowi po kuli w oku jednorożca, po czym spytała: - Czy ta dziura wygląda ci bardziej na owalną?

- Zauważyłem to, robiąc zdjęcia. Zlecimy komputerowcom obliczenia trajektorii, prędkości, kątów padania. Powiem im o nakazie pośpiechu. Za kilka dni powinniśmy mieć wyniki.

Sara wyjęła z walizki marker, włożyła go do otworu, a koniec nasadki skierował się ku balkonowi pod niewielkim kątem.

- Masz dwie poziomnice i sznurek?

- Prawdziwy z ciebie MacGyver - ze śmiechem skomentował Charlie.

Pogrzebał w jednym z worków, wyjął kłębek sznurka i koniec przywiązał do markera, natomiast w komórce uruchomił aplikację z poziomnicą.

- Dobry pomysł. - Sara wyjęła iPhone'a i kciukiem zaczęła przesuwać aplikacje, aż trafiła na poziomnicę. - Ile metrów dzieli nas od drugiej strony balkonu?

- Dwadzieścia pięć i pół metra.

- Na lecący pocisk działa opór powietrza, wiatr i siła grawitacji.

- W środku nie ma wiatru. Przy tej odległości opór powietrza można pominąć.

- Zostaje więc grawitacja. - Sara przytknęła telefon przy czubku markera. Aplikacja pokazywała staromodną poziomnicę Stanley z numerem wyświetlanym pod pęcherzykiem powietrza. - Siedem przecinek sześć stopnia. - Umieściła telefon wzdłuż markera, by sprawdzić drugi odczyt. Cyfry zmieniały się szybko, pokazując zmienne wartości. - Powiedzmy: trzydzieści dwa.

- Świetnie. - Charlie zaczął się cofać, rozwijając sznurek i napinając go lekko. Raz po raz przystawał i sprawdzał właściwy kąt w telefonie, by się upewnić, że nie zboczył z toru. Sznurek, trzymany zgodnie z wartościami kątów podanymi przez Sarę, wskazałby w przybliżeniu miejsce, w którym nabój opuścił lufę rewolweru.

Charlie zerkał za siebie, omijając żółte znaczniki na ziemi.

Cały czas trzymał rękę zbyt wysoko, by założyć, że w tej pozycji przeciętny człowiek mógł trzymać broń i wystrzelić. Minał pokój, w którym dokonano zabójstwa, potem stertę płyt gipsowo-kartonowych. Zaczął opuszczać rękę. Zatrzymał się dopiero u szczytu schodów.

- Czekaj. - Sara sprawdziła w telefonie kąt. - Jesteś za daleko w lewo.

- Mam teorię. - Charlie zszedł na pierwszy stopień, potem na drugi i obejrzał się na Sarę. Dłoń z kłębkim sznurka powędrowała niżej, po chwili jeszcze niżej, a Sara utrzymywała marker w jednej pozycji. Sznurek wywędrował z balkonu, napiął się w powietrzu jak lina, aż wreszcie dłoń Charliego znalazła się na wysokości jego kostki. Użył poziomnicy, by dopasować położenie. Cofnął rękę, która dotknęła ściany, i po raz ostatni sprawdził kąty.

- To koniec linii.

Sara z namysłem przyglądała się torowi sznurka. Teoria Charliego była dobra jak wszystkie inne. Ten, kto wystrzelił z tej broni, stał gdzieś na schodach. A może nie stał. Ręka Charliego znajdowała się nisko, jakieś osiem centymetrów od podnóżka stopnia. Dwa stopnie niżej znajdował się punkt, w który kobieta, najprawdopodobniej Angie, uderzyła tyłem głowy.

- Tutaj walczyli o broń - powiedziała Sara.

- Angie i Harding - podchwycił jej tok myślenia Charlie. - Angie ma broń, zbiega po schodach. Harding ją łapie, przewraca, uderza jej głową o stopień. Ona widzi wszystkie gwiazdy. On sięga po broń. Może nacisnęła spust, kiedy



oberwała w głowę.

- Angie jest praworęczna. - Sara była wściekła, że o tym wie. - Załóżmy, że leżała na plecach. Żeby twoja teoria się sprawdziła, musiałaby trzymać broń w lewej ręce, a wtedy nabój znalazłby się po tamtej stronie schodów, nie po tej.

- Może przekręciła się na bok?

Sara wzruszyła ramionami. Zważywszy na to, że używali sznurka i darmowej aplikacji, nie mogło być mowy o dokładnych wynikach.

- Pomyślmy - powiedział Charlie i zaczął zwijać sznurek. - Angie ucieka przed Hardingiem z rewolwerem w ręku, ponieważ jej glock jakimś cudem został na parkingu. Jest prawie na szczycie schodów, gdy Harding ją łapie, a broń wypala. Angie ucieka do pokoju i zamyka drzwi. Ciąg dalszy nastąpi. - Charlie uniósł palec. - Pytanie brzmi: jakim cudem broń wypaliła? Policjantka nie trzymałaby palca na spuście, biegnąc po schodach. Trenują ich w nieskończoność, żeby tego nie robili, póki nie są gotowi do strzału. Nie oduczysz się tego po zdjęciu odznaki.

- Ślady stóp nie dają mi spokoju - powiedziała Sara. - Dlaczego jej stopy krwawiły, zanim weszła na schody?

- Była boso? - podsunął Charlie. - Na dole są tony tłuczonego szkła, na niektórych kawałkach widać krew, co mi przypomina, że znaleźliśmy trochę zaschniętej krwi na podłodze na dole. Wygląda na silny krwotok z nosa.

- To pasuje do akcesoriów do przyjmowania prochów, ale i tak musimy pobrać próbkę.

- Przepraszam pana. - Gary, technik ratujący koty, stanął

za plecami Charliego. - Mimochodem usłyszałem waszą rozmowę. Zastanawiałem się nad walką o broń. Jeśli leżała na boku, kiedy szarpali się na schodach, czy lufa nie byłaby skierowana bardziej ku sufitowi? - Spróbował przybrać odpowiednią pozę, z rękoma w górze jak Farrah Fawcett w telewizyjnym serialu, który powstał wiele lat przed jego narodzinami.

- Raczej w ten sposób - odparł Charlie, pokazując własną wersję pozycji. - A broń mogła się przekręcić o tak. - Odchylił dłoń. - Wyglądam jak statuetka Heismana, co? - nawiązał do znanego trofeum sportowego.

Sara zaśmiała się, tym razem szczerze, ponieważ obaj wyglądali nedorzecznie.

- Może trzeba tutaj wezwać komputerowców - powiedziała.

- Wziąłem próbki z każdego miejsca, gdzie zobaczyłem krew. - Gary schylił się po tacę z fiolkami. - Wytarłem też krew z szyi Hardinga. Doktor Linton, czy mogę popatrzeć, jak oznacza pani grupę krwi? Nigdy przedtem nie widziałem, jak to się robi.

Sara nagle poczuła się stara. Co tam Farrah Fawcett. Gary pewnie nosił jeszcze pieluchy, kiedy adwokaci O. J. Simpsona wyedukowali Amerykę w kwestii DNA.

- Proszę bardzo, będzie mi miło.

Gary niemal sfrunął ze schodów, a Sara poszła za nim spokojniejszym tempem. Oparła się chęci spojrzenia na Willa, który manipulował przy podnośniku. Był zabawny, kiedy wściekł się na Colliera, tak jakby Sara kiedykolwiek

dała mu powód do zazdrości.

- Co wiesz o grupach krwi? - zapytała Gary'ego.

- Są cztery: A, B, AB i 0.

- Zgadza się. Najogólniej rzecz ujmując, każdy człowiek ma jedną z tych grup. Są zależne od genetycznie uwarunkowanych zestawów antygenów na powierzchni erytrocytów, czyli czerwonych krwinek. Badanie krwi w układzie ABO pozwala stwierdzić obecność lub nieobecność antygeny z pomocą reagenta, który podlega aglutynacji, wchodząc w kontakt z krwią.

- Tak, pani doktor, dziękuję za wyjaśnienie. - Gary wyglądał na zdezorientowanego.

Spróbowała więc ponownie:

- Zasadniczo wygląda to tak: na płytce z wgłębieniem z surowicą wzorcową umieszczasz kroplę badanej krwi, delikatnie mieszasz, czekasz parę minut, a zachowanie czerwonych krwinek mówi ci, z jaką grupą krwi masz do czynienia.

- Aha. Super. - Gary wziął papier od policjanta stojącego pod drzwiami i podpisał.

Potem otworzył drzwi. Sarę oślepił blask słońca, dlatego nie umiała powiedzieć, czy Gary rzeczywiście jest zainteresowany tematem, czy tylko okazuje jej uprzejmość. Złożyła podpis pod jego podpisem i ruszyła na parking. Upłynęło parę długich chwil, zanim jej oczy przyzwyczyły się do dziennego światła. Gary zdjął z włosów siatkę, poprawił gumkę przy kocyku i rozpiął kombinezon. Podwinięte rękawy granatowej koszulki z napisem GBI odsłoniły kolejne tatuaże,

a na szyi Gary'ego wisiał gruby złoty naszyjnik z medalionem, który odbijał blask słońca niczym lustro.

Sara rozejrzała się po parkingu i sąsiednich budynkach. Przekonywała się w duchu, że wcale nie szuka ani Willa, ani nawet Amandy, jednak poczuła się zawiedziona, kiedy ich nie zobaczyła. Sprawdziła, czy Amanda nie przysłała już wiadomości z grupą krwi Angie, ale esemesa jeszcze nie było. Dziwne, bo Amanda zwykle działa szybko. Sara dotknęła opuszką palca ikonkę z telefonem. Miała uzasadniony powód, żeby zadzwonić. Mogła najpierw zapytać Amandę o Angie, a potem, niby tak przy okazji, o rozwój wydarzeń. Na przykład czy Will odnalazł Angie i zaniósł ją na rękach do szpitala.

Schowała telefon do kieszeni.

Podniosła głowę i błyskawicznie ją opuściła. Słońce świeciło prosto w oczy. Zgadywała, że jest około dziesiątej, o ile dobrze zapamiętała skautowskie nauki. Światło było tak ostre, że oślepiało i przyprawiało o łzy. Idąc w stronę spalonej kii Hardinga, musiała patrzeć w ziemię. Samochód oglądało dwóch techników, byli na klęczkach, wspomagali się szklami powiększającymi. Czerniała rama auta jeszcze nie wystygła. Mijając ją, Sara poczuła falę gorąca bijącego od blachy.

Mobilne laboratorium kryminalistyczne policji stanowej zostało stworzone w luksusowym busie skonfiskowanym człowiekowi odpowiedzialnemu za defraudację środków z rządowego programu opieki medycznej dla osób starszych. Siedzenia usunięto, by zamontować tam długi blat ze

stanowiskami komputerowymi i zrobić miejsce do przechowywania wszelkich przyrządów, przyborów i zebranych dowodów. Najważniejsze, że klimatyzacja działała pełną parą. Sara omal nie padła na kolana, gdy jej ciało omiótł powiew chłodnego powietrza.

Gary położył tacę z próbkami na blacie, odsunął krzesło dla Sary, potem dla siebie. Starła się nie patrzeć na jego medalion z napisem SLAM.

- Czy z użyciem podstawowego zestawu jest pani w stanie określić płeć i rasę człowieka?

Papierowym ręcznikiem Sara wytarła pot z szyi i twarzy.

- Jeśli chodzi o płeć, to trzeba zrobić test DNA na obecność chromosomu Y. - Zaczęła otwierać szuflady i schowki w poszukiwaniu zestawów do oznaczania grupy krwi, które zamówiła w Amazonie, ponieważ były tańsze od zestawów oferowanych przez lokalnego dostawcę. - Co do rasy, można oprzeć się na statystykach, ale to nie jest miarodajna metoda. Ludzi rasy białej charakteryzuje częste występowanie grupy A. U Latynosów przeważa grupa O. Azjaci i Afroamerykanie najczęściej mają grupę B.

- A ludzie rasy mieszanej?

Sarę ciekawiło, czy Gary pyta o to ze względu na Angie. Miała śródziemnomorskie cechy - oliwkową cerę, bujne brązowe włosy i zaokrąglone kształty. Jeden jedyny raz, kiedy stały obok siebie, Sara czuła się przy Angie jak przysłowiowa niezdarna rudowłosa pasierbica.

- Ludzie ras mieszanych nastroczają więcej kłopotów - powiedziała. - Rodzice nie zawsze pasują do dzieci swoją

grupą krwi. To ich allele decydują o typie krwi potomstwa. Dwoje rodziców, jedno z grupą AB, drugie z grupą 0, może mieć dziecko z grupą krwi A lub B, ale nie 0 czy AB. Dziecko rodziców z grupą krwi 0 może mieć tylko grupę 0, żadną inną.

- O! - Gary w zamyśleniu poskrobał się po koziej bródce. - W szkole uczyli nas głównie o DNA. Zbieranie próbek, ich obróbka. Tymi informacjami mnie pani zastrzeżiła.

Sara nie wiedziała, czy Gary jest szczery, czy stroi sobie żarty. Dzisiaj nieprzystosowani mózgowcy mieli łatwiej. Ona w wieku Gary'ego zdecydowanie odstawała od reszty.

- Ja oznaczę pierwszą próbkę. Drugą też. Kiedy się upewnię, że wszystko załapałeś, pozwolę ci oznaczyć resztę próbek.

- Super. - Gary posłał jej promienny uśmiech. - Dziękuję pani, doktor Linton.

- Sara. Mów mi po imieniu. - Przecięła folię wokół płytki. - To płytka testowa. - Pokazała białą płytkę z czarnymi nadrukami. Na górze znajdowały się cztery puste wgłębienia, każda z kroplą surowicy pośrodku. Poniżej każdego wgłębienia widniały nalepki z napisem: „anty-A”, „anty-B”, „anty-D” i „kontrolna”.

- Anty-D? - zapytał Gary.

- Testy na czynnik Rh. - Sara oszczędziła mu długiego wywodu. - Nieobecność lub obecność czynnika Rh daje minus lub plus przy grupie krwi. Jeśli zobaczysz, że krwinki zlepiają się we wgłębieniu A i D, to znaczy, że masz grupę krwi A Rh plus. Jeśli we wgłębieniu D nie dojdzie do

zlepiania krwinek, to oznacza grupę A Rh minus.

- Skąd ten skrót Rh?

- Od rezusów, czyli makaków królewskich wykorzystywanych w laboratoriach, u których po raz pierwszy wykryto ten czynnik - wyjaśniła Sara, wkładając gumowe rękawiczki.

- Biedne małpy - skomentował Gary.

Sara położyła na blacie parę czystych ręczników papierowych i wyłożyła na nie elementy zestawu. Odsunęła na bok waciki nasączone alkoholem i lancet, ponieważ nie badali żywego organizmu. Oddzieliła cztery patyczki przypominające zwykłe waciki kosmetyczne, obok postawiła buteleczkę wody dołączonej do zestawu.

- Napisz na płytce, skąd pochodzi pierwsza próbka - poleciła Gary'emu.

Gary wyjął z kieszeni długopis i napisał: SCHODY PO LEWEJ, DWA UDERZENIA, potem adres budynku, datę i godzinę. Jego złoty medalion stuknął o blat. Sara uznała, że Gary jeszcze nie miał do czynienia z Amandą. Kiedyś szefowa Willa przytknęła mu linijkę do szyi, chcąc się upewnić, czy włosy kończą się dwa i pół centymetra nad kołnierzykiem.

Sara nasunęła na nos okulary i położyła płytkę na papierowych ręcznikach, po czym do każdego z czterech wgłębień z innym reagentem wpuściła kroplę wody. Gary otworzył jedną z fiolek, która zawierała odrobinę tkanki, prawdopodobnie pochodzącą ze skóry głowy. Szklaną pipetką Sara pobrała krew, delikatnie umieściła ją w zagłębieniu kontrolnym i zmieszała końcówką patyczka ze

znajdującym się tam reagentem.

- Krwinki zaczną się zlepiać? - zapytał Gary.

- Nie w obecności surowicy wzorcowej. Ta zawsze powinna pozostać gładka. - Sara wpuściła więcej krwi do pierwszego zagłębienia oznaczonego anty-A i zamieszała świeżym patyczkiem. Potem zrobiła to samo w zagłębieniu oznakowanym anty-B i D. - Następnie odwraca się płytkę na bok, trzyma przez dziesięć sekund, potem do góry dnem przez kolejne dziesięć sekund, póki krew całkiem nie wymiesza się z reagentem.

- Wygląda, jakby B ulegała zlepianiu - zauważył Gary.

Miał rację. W zagłębieniu oznaczonym literą B pojawiły się wyraźnie widoczne czerwone skupiska.

- W D brak zlepiania - mówił dalej. - To oznacza Rh minus, prawda?

- Zgadza się. Dobra robota - pochwaliła go Sara.

- Czy znamy grupę krwi pani Trent?

Sara poczuła, jakby ktoś wymierzył jej cios w krtań.

- Ona używa nazwiska Polaski.

- Przepraszam, mój błąd.

- Jeszcze nie dostałam informacji z jej grupą krwi. - Sara sprawdziła telefon, żeby się upewnić, i znów zadała sobie w duchu pytanie, czy coś się stało. Will miał w zwyczaju zgadzać się z Amandą, a potem i tak robił, co chciał. Sara uznała, że to pociągające, ale mogło też powodować komplikacje.

- Czy DNA pani Polaski jest w aktach z czasów, gdy pracowała w policji?



Zamiast powiedzieć Gary'emu, że prawdopodobnie znaleźliby próbkę DNA Angie na jej szmince, powiedziała:

- Mało prawdopodobne, chyba żeby chciano ją wykluczyć na miejscu przestępstwa. Pracowała w obyczajówce, więc pewnie nie było takiej potrzeby. - Sara najwyższym wysiłkiem woli skupiła się na zadaniu. - Badanie DNA jest najbardziej precyzyjne, ale oznaczenie grupy krwi ma istotne znaczenie. Grupę B Rh minus ma zaledwie dwa procent ludzi rasy białej, jeden procent Afroamerykanów i dużo poniżej pół procent ludzi pozostałych grup etnicznych.

- O rany, ale czad. Dziękuję, doktor Linton. - Gary wyjął długopis i bez pytania podpisał następną płytkę. Staranne drukowane litery z łatwością mieściły się w kwadracie przeznaczonym na opis. SCHODY PO LEWEJ, KRWAWE ŚLAD STOPY A.

- Najpierw woda, tak?

- Odrobina. Kropelka - odparła Sara.

W milczeniu obserwowała Gary'ego. Szybko się uczył. Kiedy wymieszał krew, marginesy wewnątrz zagłębień wyglądały lepiej niż jej. Odwrócił płytkę, po czym dokładnie powtórzył czynności Sary przy oznaczaniu poprzedniej próbki. Wynik był ten sam: B Rh minus.

- Teraz oznacz próbkę z szyi Hardinga - poleciła Sara.

Gary wyjął wacik, na którym było bardzo mało krwi. Musiał pociąć bawełniany czubek na kawałeczki, potem dodać wody, by otrzymać płynną krew. Powtórzył procedurę z płytką. Tym razem krew zlepiła się tylko w zagłębieniu oznaczonym D.

- Zrobiłem coś nie tak? - zapytał.

- Harding ma grupę 0 Rh plus. To najpowszechniejsza grupa krwi wśród białych. Najważniejsze, że krwawy ślad i rozprysk na schodach nie należą do Hardinga. - Sara wręczyła Gary'emu kolejny zestaw. - Zbadajmy teraz próbkę krwi z pokoju, w którym umarł Harding.

Rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi, na co Sara i Gary aż podskoczyli.

- Dobry Boże. - Charlie wdrapał się do środka busa i usiadł na podłodze. - Myślałem, że się ugotuję. - Zamknął oczy i przez kilka sekund oddychał głęboko, wciągając w płuca chłodne powietrze.

Gary otworzył następny zestaw, a Sara podała Charliemu papierowy ręcznik do otarcia twarzy. Charlie był mokry od potu. Potrzebowali w budynku wentylatorów, żeby kontynuować tam pracę. Był sierpień, nawet o zachodzie słońca temperatura spadała zaledwie o kilka stopni.

- Już lepiej. - Charlie wrzucił ręcznik do kosza. - Użyłem luminolu w pozostałych pokojach.

Sara skinęła głową. Luminol aktywuje się w ciemności. W kontakcie z nim zawarte we krwi enzymy świecą na niebiesko. Ta reakcja zachodzi tylko raz i trwa najwyżej trzydzieści sekund, dlatego należy utrwalić ją aparatem fotograficznym.

- Coś wyszło? - zapytała Sara.

- O tak, wyszło. Mam to tutaj. - Charlie włączył aparat i zaczął przeglądać zdjęcia. - Poza tym znalazłem rozprysk krwi na jednorozcu, co może oznaczać, że kula kogoś przeszła.

- Wielki rozprysk czy mały?

- Coś jak kichnięcie.

- To za mało na test z płytką. Musimy wykonać test DNA - powiedziała Sara. - Na krwi nie ma datownika, jakiś imprezowicz mógł zostawić ten ślad trzy miesiące temu - wyjaśniła Gary'emu.

- Bóg jeden wie, czego się ten jednorożec naoglądał - rzucił sentencjonalnie Charlie, przewijając kciukiem zdjęcia. Na wyświetlaczu śmigają neonowe niebieskie plamy.

- Doktor Linton? - Gary uniósł płytkę, na której wykonywał kolejne oznaczenie. - Znowu B Rh minus.

- Czy przypadkiem nie brałeś próbki z drugiego pokoju przy schodach po lewej stronie? - spytał Charlie.

- Tak, proszę pana. - Gary sprawdził fiolki. - Znalazłem trochę krwi na podłodze, w dalszym rogu po prawej stronie. Sprawdziałem etykietkę trzykrotnie, jak pan powiedział.

- Dobry chłopak - powiedział Charlie. - Sprawdź ją dla mnie.

Gary czekał na przyzwalające skinienie Sary, która spytała:

- Co się dzieje, Charlie? Znalazłeś coś?

- Żebyś wiedziała, że znalazłem.

Sara nie przepadała za spowalnianiem akcji w celu zwiększenia napięcia, ale pozwoliła Charliemu na taki filmowy suspens, czyli chwilę zawodowej satysfakcji. Przeważająca część pracy techników kryminalistyki jest o wiele mniej efektowna od tego, czym zajmują się policyjni śledczy. Wcale nie jest tak jak w telewizji, gdzie nienagannie ubrani, przystojni i urodziwi technicy obojga płci wysnuwają

wnioski z niekompletnych śladów, machają bronią, przesłuchują złych ludzi, a potem posyłają ich za kratki. Charliemu połowę czasu pochłaniała papierkowa robota, a drugą połowę spędzał nad mikroskopem albo zdjęciami. Możliwe, że znalazł nietypowy rozprysk na suficie albo świętego Graala techników kryminalistyki, czyli wyraźny odcisk palca pozostawiony w świeżej krwi.

- Ta-tam! - zawołał triumfalnie Charlie i podsunął Sarze aparat, żeby sama przekonała się o wadze znaleziska.

Zdjęcie przedstawiało utrwalone przez Charliego zjawisko chemiluminescencji, czyli świecące w ciemności niebieskie plamy na ciemnym tle graffiti. Przypominało zdjęcie rentgenowskie. Zamiast rozprysku krwi albo odcisku palca Sara zobaczyła napis wykonany krwią - POMOCY.

- Doktor Linton? - Gary skończył oznaczanie kolejnej próbki. - Krew B Rh minus, jak dwie poprzednie.

- Gary, ta krew na pewno została pobrana z pokoju, w którym znalazłem ten napis? - spytał Charlie, by rozwiać wszelkie wątpliwości.

- Tak, proszę pana. Trzy razy tak.

- Sara, dostałaś od Amandy informację o grupie krwi Angie? - zapytał Charlie.

Sara nie była w stanie wykrztusić słowa. Wpatrywała się jak zahipnotyzowana w świecący napis na zdjęciu. W literę igrek napisaną jak czwórka.

Amanda otworzyła tylne drzwi i bez słowa wyciągnęła rękę do Charliego, żeby pomógł jej wsiąść. Gary wstał i oddał jej krzesło. Amanda zmierzyła wzrokiem jego tatuaże oraz złoty

łańcuch i zmarszczyła brwi.

- Młody człowieku, zaczekaj na mnie na zewnątrz - powiedziała lodowato.

Gary bez szemrania wykonał jej polecenie. Wsiadł i delikatnie zamknął za sobą drzwi.

Amanda zajęła wolne krzesło.

- Will przeszukuje biurowiec po drugiej stronie ulicy - zwróciła się do Sary oskarżycielskim tonem, jakby winała ją za brak reakcji. - Inżynier powiedział, że cały budynek może się zawalić, ale Will nie słuchał. Nie mogę nikogo za nim posłać bez ryzyka procesu, jeśli budynek faktycznie runie.

Sara bez słowa podała Amandzie aparat.

- Co to? - Amanda spojrzała na wyświetlacz i długo nie odrywała od niego wzroku. - Poznajesz charakter pisma? - zapytała w końcu.

Sara pokiwała głową. W ciągu roku dostała od Angie tyle obrzydliwych wiadomości, że znała jej pismo lepiej od swojego.

- Na razie niech ta informacja zostanie między nami - powiedziała Amanda. - Will nie musi o tym wiedzieć.

- Tak jest, szefowo - odparł Charlie.

Sara nie była w stanie wykrztusić słowa.

- W końcu przysłali mi akta Angie - oznajmiła Amanda. Położyła aparat na kolanach i zapadła się w sobie. Wyglądała na bardzo zmęczoną, o wiele starszą niż jej sześćdziesiąt cztery lata. - Powiedzcie mi, proszę, że żadna ze znalezionych próbek krwi nie ma grupy B Rh minus.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Frontowe drzwi biurowca były zamknięte na łańcuch, ale ćpuny wyrwały deski zabezpieczające otwór okienny i tędy dostawały się do środka. Drzwi do piwnicy i szybu windy zostały przyspawane do ościeżnicy, ale i to nie powstrzymało intruzów. Hol był zasłany potłuczonym szkłem i kawałkami metalu z połamanymi stolików i krzesel. Budynek był na tyle stary, że równie dobrze mógł być wzniesiony z drewna zamiast betonu. Cudem nie spłonął, choć ogień wzniesiono wielokrotnie na podłodze pokrytej płytkami PCV. Dym osmalił płytki na suficie, ściany były poplamione uryną, wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość, zostało dawno zniszczone albo rozszabrowane. Nawet miedziane przewody powyrywano ze ścian.

Konstrukcja miała dziesięć pięter i tworzyła niemal idealny sześcian. Will zorientował się, że na każdym piętrze znajdowało się dwadzieścia biur, dziesięć po jednej i dziesięć po drugiej stronie. Pośrodku mieściła się otwarta przestrzeń z wydzielonymi boksami, na końcu były dwie łazienki. Układ przestrzeni mniej przypominał labirynt, a bardziej grafiki Eschera. W niektórych pomieszczeniach trafił na prowizoryczne schody z biurek i skrzynek, prowadzące do ziejących w gnijącym suficie dziur. W ten sposób trafiało się na zamknięte drzwi albo mniejsze pomieszczenia na różnych piętrach, które należało przeszukać po sprawdzeniu pokoju na dole. Will czuł się jak kulka we flipperze, odbijająca się od

ściany do ściany. Wchodził na trzeszczące konstrukcje ze skrzynek i biur, zaglądał do szafek, podnosił przewrócone biblioteczki, kopał w stertach papierów, które gniły tu od dekad.

Angie.

Musiał znaleźć Angie.

Przez Amandę zmarnował prawie godzinę. Kazała mu czekać przed biurem gubernatora, którego osobiście poinformowała o niewielkich jak dotąd postępach w śledztwie w sprawie zabójstwa Hardinga. Przez ten czas Will usiłował wmówić sobie, że Amanda ma rację. Nie powinien szukać Angie, to nie on powinien ją znaleźć. Prasa natychmiast rzuciłaby się na tę historię, a dla niego oznaczałoby to koniec kariery, może nawet więzienie. Do tego zrujnowałby życie Amandzie i Faith. A także Sarze. Nie dałoby się tego już naprawić.

Chyba że znalazłby Angie żywą, a ona opowiedziałaby, co naprawdę zdarzyło się w klubie Rippy'ego.

Pod wpływem tej myśli Will wyszedł z siedziby gubernatora i zatrzymał taksówkę.

Od tamtej chwili upłynęło czterdzieści minut. Jeśli Sara miała rację i Angie zostało tylko kilka godzin, mogło być już za późno.

Mimo to nie miał zamiaru przerwać poszukiwań.

Otworzył ostatnie drzwi wiodące do ostatniego biura na trzecim piętrze. W oknach nie było żaluzji, więc niewielkie pomieszczenie tonęło w słońcu. Gdy odsunął biurko spod ściany, spłoszony szczur rzucił się do ucieczki, a Will

odskoczył gwałtownie i stopą przebił zgniłą deskę podłogową. Poczuł, że skóra na łydce rozchodzi mu się jak zamek błyskawiczny. Szybko uwolnił nogę z pułapki, modląc się w duchu, żeby porzucona igła albo kawałek szkła nie zainfekowały mu rany. Miał podartą nogawkę spodni, krew spływała do buta, ale w tej chwili nie mógł temu zaradzić.

Schody znajdowały się na końcu holu. Betonowe stopnie wiodły w górę budynku niczym kręgosłup. Przez wybite okna na każdym podeście wpadało oślepiające światło. Will złapał się oburącz poręczy i skoczył na następny podest, a przy lądowaniu nogi ugięły się pod nim. Rana musiała być poważniejsza, niż sądził. Skarpetka przesiąkła krwią, która mlaskała przy każdym kroku.

Na następnym piętrze powitał go Collier w żółtym kasku na głowie. Opierał się o framugę, ręce miał skrzyżowane na piersiach.

- Koniec drogi, stary. Musisz stąd wyjść.

- Odsuń się - rzucił Will.

- Twoja pani zesrała się ze strachu na wieść, że tu jesteś. - Collier wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Jeszcze raz się zesra, kiedy się dowie, że ja też tu jestem. - Nie ruszył się, więc Will odsunął go na bok, na co Collier powiedział: - Daj spokój, stary. Tu jest niebezpiecznie. - Musiał truchtać, by dotrzymać kroku Willowi. - Ja kieruję zespołami poszukującymi. Jeśli wpadniesz w dziurę w podłodze i złamiesz sobie kark, to będzie w moich aktach.

- Już wpadłem. - Will szybkim krokiem przemierzał korytarz i wszedł do pierwszego biura. Zobaczył wyblakły



dywan, połamane krzesła, przerdzewiałe biurko.

Collier stanął w drzwiach i patrzył, jak Will przeszukuje pomieszczenie, aż wreszcie spytał:

- Co z tobą, stary?

Will zobaczył róg materaca wystający spod grubej warstwy gazet, pod którymi dostrzegł jakiś kształt. Serce podeszło mu do gardła. Nogą rozgarnął papiery. Na łóżku leżał zwinięty koc.

- To szaleństwo, stary - powiedział Collier.

Will odwrócił się do niego i zobaczył, że Collier blokuje mu wyjście.

- Gdzie twój partner? - zapytał Will.

- Ngô siedzi zagrzebany po uszy w rejestrach osób zaginionych i czeka na wynik operacji ofiary przemocy domowej z wczoraj.

- Dlaczego mu nie pomagasz?

- Bo pomagam tobie.

- Nie pomagasz. - Will stanął przed Collierem. Znacznie nad nim górował. - Odsuń się albo ja to zrobię.

- Wściekasz się z powodu swojej przyjaciółki? Kochanki czy kim ona tam dla ciebie jest? - Collier posłał mu znaczący uśmiezek. - Trzeba mi było powiedzieć, stary, że się z nią spotykasz. Zachować się jak facet.

- Masz rację. - Will zamachnął się i trafił Colliera w skroń. Nie tylko za Sarę, ale też za to, że jest dupkiem i śmiał stanąć mu na drodze.

Collier uniósł ręce o ułamek sekundy za późno. Cios był mocniejszy, niż Will zamierzał, a może Collier po prostu

należał do tych mężczyzn, którzy nie umieli przyjąć uderzenia. Oczy uciekły mu w tył głowy i z szeroko otwartymi ustami padł bezwładnie na ziemię.

Euforia Willa trwała pięć sekund, potem wrócił mu rozsądek. Spojrzał na swoją pięść, przerażony nieoczekiwanym napadem agresji. Poruszył palcami i zobaczył, że na dwóch kłykciach miał pękniętą skórę, a strużki krwi spływały po nadgarstku. Przez chwilę zadawał sobie pytanie, czy ręka zadziałała niezależnie od jego woli, kierowana nagłym niekontrolowanym impulsem. Z tym że tego typu zachowanie nie leżało w jego naturze. Nie nokautował ludzi, nawet takich jak Collier, który bezsprzecznie zasłużył na swój los.

Na tym polegała prawdziwa władza, jaką Angie miała nad Willem. Wyzwalała w nim najgorsze instynkty.

Wyjął koszulę ze spodni i wytarł zakrwawioną rękę, włożył koszulę z powrotem do spodni, po czym pochylił się, złapał Colliera za ramiona i oparł o futrynę. I ruszył dalej na poszukiwania Angie.

Kolejne biuro. Kolejne biurko. Kolejny przewrócony regał na książki. Wózek na zakupy ze starą maszyną do pisania w środku. Odwrócił się. Przy drzwiach stała metalowa szafa, wysoka na sto osiemdziesiąt centymetrów, szeroka na dziewięćdziesiąt, głęboka na czterdzieści pięć. W przeciwieństwie do innych była zamknięta.

Will otarł dłonie z potu i palcami złapał za uchwyt. Spróbował go przekręcić, ale rdza mocno trzymała go w miejscu. Naparł na drzwi ramieniem, omal nie unosząc

całej szafy. Rozległ się głośny trzask i drzwi ustąpiły.

Szafa była pusta.

Mógł się spodziewać, że Angie ukryje się w szafie. Lubiła ciemne miejsca, z których mogła obserwować innych, sama nie będąc widziana. Jej ulubioną kryjówką w domu dziecka była piwnica. Ktoś przytasczył materac i położył na zimnej ceglanej podłodze, a dzieciaki przychodziły tam palić i robić inne rzeczy. Prowadząca dom pani Flannigan nie mogła chodzić po schodach, bo miała chore kolana i była gruba. Nawet się nie domyślała, co się dzieje na dole. A może jednak doskonale wszystko wiedziała? Może rozumiała, że fizyczne pocieszenie było tym wszystkim, co mogli sobie ofiarować.

Will wyjął chusteczkę i wytarł pot z karku.

Nigdy nie zapomniał czasu spędzonego z Angie w piwnicy, swojego pierwszego razu. Nie trząsał się, raczej drżał z ekscytacji, obawy i przerażenia, że zrobi coś źle, za szybko albo odwrotnie, Angie go wyśmieje, a on będzie musiał się zabić.

Była od niego starsza o trzy lata. Robiła różne rzeczy z różnymi chłopakami, różne rzeczy z wieloma mężczyznami, i to nie zawsze z własnej woli. Z pewnością wiedziała, co robi, a on nie wiedział nic.

Dotyk jej dłoni wprowadził go w drżenie. Will był zdenerwowany, a przez to niezręczny i ogłupiały, nawet zapomniał, jak rozpiąć spodnie. Na tamtym etapie życia jedyni ludzie, którzy go dotykali, albo go krzywdzili, albo zakładali mu szwy. Nie mógł zapanować nad emocjami

i zaczął płakać. To był szczery płacz, zupełnie inny niż przy złamaniu nosa czy zranieniu brzytwą.

Upokarzające, gwałtowne, rozpaczliwe łkanie.

Angie go nie wyśmiała, tylko objęła za szyję i oplótła nogami. Will nie wiedział, co robić z rękami. Nigdy wcześniej nikt go tak nie trzymał. Nie znał takiej bliskości z drugim człowiekiem. Siedzieli w piwnicy długie godziny. Angie obejmowała go, całowała, pokazywała, co robić. Obiecała, że nigdy go nie zawiedzie, ale tamta chwila wszystko między nimi zmieniła. Odtąd Angie zaczęła patrzeć na niego inaczej, ujrzała go bowiem w chwili największej słabości.

Podobnej bliskości z kobietą Will doświadczył prawie trzydzieści lat później.

- Trent! - Collier stał na końcu korytarza, chwiejąc się na nogach jak wańka-wstańka. Dotknął palcami ucha, skrzywił się i syknął z bólu. Po szyi ciekła mu krew.

Will schował chusteczkę do kieszeni i otworzył drzwi kolejnego pomieszczenia.

Angie, powtarzał w myślach, gdzie się chowasz?

Wołanie Angie nie miało sensu, przecież wiedział, że nie chce zostać znaleziona. Była jak dzikie zwierzę, nie okazywała słabości, a rany lizała w ukryciu. Will zawsze wiedział, że kiedy nadejdzie jej czas, Angie odejdzie i umrze na własnych warunkach. Zupełnie jak kobieta, która ją wychowała.

A przynajmniej próbowała wychować.

Angie była jeszcze dzieckiem, kiedy Deidre Polaski wstrzyknęła sobie ostatnią, lecz nie śmiertelną dawkę

heroiny. Następne trzydzieści cztery lata Deidre Polaski spędziła w śpiączce wegetatywnej w stanowym hospicjum. Kiedyś Angie powiedziała Willowi, że nie wie, co było gorsze: życie z alfonsem Deidre czy mieszkanie w domu dziecka.

- Jezu, Trent! - Collier oparł się rękami o ścianę. Z kącika ust ciekła mu ślina. - Czym ty mnie, kurwa, walnąłeś? Młotem?

Will walczył z wyrzutami sumienia i zdołał powstrzymać się od przeprosin. Otworzył kolejne drzwi, a na widok zniszczonej łazienki poczuł bolesne ściskanie w żołądku. Podłoga była przegniła, potłuczone sedesy, umywalki i rury spadły piętro niżej.

Po drugiej stronie dziury stała metalowa szafa. Zamknięta. Czy Angie mogła być w środku? Przywarła do ściany, obeszła dziurę w podłodze, weszła do szafy i czekała na śmierć?

- Nie idę tam - oznajmił Collier, który stał za Willem i dłonią zakrywał krwawiące ucho. - Serio, stary. Spadniesz i zginiesz.

Will wyjął chusteczkę i bez słowa podał ją Collierowi.

Ten zaklął pod nosem, gdy przytknął ją do ucha.

- Szafa ma trzydzieści centymetrów szerokości, stary. Ta kobitka jest aż tak chuda?

- Zmieściłaby się tu.

- Jak? Na siedząco?

Will wyobraził sobie siedzącą w szafie Angie. Oczy zamknięte, nasłuchuje.

- Dobra, stary, trochę pomyśl - powiedział Collier. - Kobitka jest ranna, tak? Poważnie ranna, fatalna sprawa. Ma

do wyboru tyle pomieszczeń, ale wchodzi do tego z wielką dziurą w podłodze? Jak by tu w ogóle dotarła?

Miał rację. Z Angie nie była żadna sportsmenka. Nienawidziła się pocić.

Will okręcił się na pięcie i poszedł do łazienki po drugiej stronie holu.

I tym razem Collier obserwował go z założonymi rękami, stojąc w drzwiach.

- Uprzedzali, że uparty z ciebie sukinkot. - Gdy Will kopniakiem otworzył drzwi kabiny, dodał: - Skompromitowałeś się w oczach swojej pani doktor, co?

- Zamknij się. - Will usłyszał we własnych słowach echo słów Sary sprzed paru godzin. Nigdy przedtem nie widział jej tak wściekłej.

- Jaki jest twój sekret, stary? Nie obraż się, ale do Brada Pitta ci daleko.

Will złapał Colliera za kołnierz i odsunął na bok.

Na tym piętrze Angie nie było. Zostało mu jeszcze sześć. Skierował się na schody i ruszył na następną kondygnację. Czyżby źle się do tego zabrał? Może powinien był zacząć od ostatniego piętra? Sprawdzić, czy jest tam ekskluzywne biuro z panoramicznym widokiem?

Z taktycznego punktu widzenia im wyżej, tym lepiej. Biurowiec stał po drugiej stronie ulicy dokładnie naprzeciwko klubu Rippy'ego, więc Angie miałyby świetny punkt obserwacyjny. Mogła widzieć radiowóz, strażaków, wozy techników, detektywów. Patrząc, jak stają na głowie, żeby pojąć, co się stało, i pękać ze śmiechu na dziesiątym

piętrze.

Albo wykrwawiać się na śmierć.

Will minął piąte piętro, potem szóste. Na podeście poniżej wielkiej ósemki namalowanej na ścianie zabrakło mu tchu. Przystanął, pochylił się, oparł dłonie na kolanach, by złapać oddech. Żar dawał się we znaki, pot kapał na ziemię, płuca piekły i wołały o litość, ścięgnię podkolanowe bolały niemiłosiernie, krew ściekała po bucie. Na dodatek rany na kłykciach znów się otworzyły.

Czy popełnił błąd?

Angie nie weszłaby tak wysoko nawet w zwykły dzień, a co dopiero z raną zagrażającą życiu. Nie znosiła ćwiczeń fizycznych.

Will usiadł na schodach. Potarł twarz rękami i strzepnął z nich pot. Skąd pewność, że Angie w ogóle weszła do tego budynku? Gdzie było jej auto? Czy nie powinien szukać jej miejsca zamieszkania, zamiast narażać życie, przeszukując ten przeklęty budynek?

A co z Sarą?

- Matko Boska. - Collier zatrzymał się kilka stopni niżej. Dyszał jak lokomotywa. - Chyba muszę mieć założone szwy.

Will oparł głowę o ścianę. Czy stracił Sarę na zawsze? Czy Angie, wraz z tym ostatnim okrutnym aktem, zdołała dokonać tego, czego nie udało się jej dokonać w ciągu minionego roku?

Jego jedyną zaletą była Betty. Na początku znajomości Sara regularnie oferowała mu pomoc w opiece nad Betty, gdy musiał zostać dłużej w pracy. Najpierw przypuszczał, że

chce dowiedzieć się czegoś o sprawach, jakie prowadził, ale stopniowo docierało do niego, że Sara wykorzystuje psa, by zwabić go do siebie. Długo trwało, zanim przyjął do wiadomości, że taka kobieta jak Sara chce z nim być.

Nie zgodziłaby się odebrać Betty od weterynarza, gdyby chciała teraz zakończyć ich związek.

Czy na pewno?

- Trent? - Collier brzmiał jak zdarta płyta. Powłócząc nogami, pokonał ostatnie schody dzielące go od podestu poniżej Willa. - Po co to wszystko, stary? Myślisz, że schowała się pod maszyną do pisania?

Will zmierzył go wściekłym wzrokiem.

- Po co tu przylazłeś? - zapytał.

- Gotując się na zewnątrz, uznałem, że to świetny pomysł. A ty jakie masz wytłumaczenie, stary? - Collier sprawiał wrażenie autentycznie zainteresowanego. - Przecież wiesz, że jej tu nie ma.

Will spojrzał w sufit i jego wzrok napotkał graffiti.

Dlaczego tu był?

Może lepiej byłoby zapytać: a gdzie powinien być? Nie dysponowali żadnymi wskazówkami, żadnymi tropami. Will nie miał pojęcia, gdzie Angie mieszka, gdzie pracuje, ani co robiła w budynku Rippy'ego. Jakim cudem uwikłała się w sprawę gwałtu popełnionego przez typa, którym Will gardził z całego serca i którego nie mógł oskarżyć.

Na ostatnie pytanie chyba znał odpowiedź. Angie zawsze wtykała nos w jego sprawy. Była czujna i ostrożna jak kot tropiący ofiarę, a potem podrzucała martwą zdobycz pod



drzwi Willa, który musiał decydować, co zrobić z ciałem.

W jego przeszłości było tyle nieoznakowanych grobów, że Will stracił rachubę.

- Popytałem trochę o twoją żonę - powiedział Collier. Oparł się plecami o ścianę i znowu skrzyżował ramiona. Krew wokół zranionego ucha zaschła. To była dobra wiadomość. Niestety, chustka Willa przykleiła się do skóry, co było złą wiadomością.

- I? - zapytał Will, choć domyślał się, co odkrył Collier. Angie puszczała się na lewo i prawo, spała z kim popadnie. Reprezentowała najgorszy typ policjanta. Nie można było na nią liczyć, była samotniczką i pragnęła śmierci.

- Wygląda na to, że ma trudny charakter - stwierdził Collier wyjątkowo dyplomatycznie.

Will nie mógł się z nim nie zgodzić.

- Znam takie dziewczyny. Umieją się bawić. - Collier nadal trzymał się w bezpiecznej odległości od Willa, bo nie chciał znowu oberwać. - Problem w tym, że zawsze znajdują sobie ludzi, na których mogą się oprzeć.

Will powiedział to samo Sarze, ale w ustach Colliera ta prawda o Angie zabrzmiała wyjątkowo dosadnie.

- Naprawdę uważasz, że przebiegła przez ulicę do tej ruiny? - Collier osunął się po ścianie, by usiąść. Ciągle brakowało mu tchu. - Nigdy jej nie spotkałem, ale znałem mnóstwo takich jak ona. - Zerknął w górę, chcąc się upewnić, czy Will nie rzuci się na niego. - Bez urazy, brachu, ale one zawsze mają plan awaryjny. Wiesz, o czym mówię?

Will wiedział. Angie zawsze miała w odwodzie faceta, do

którego mogła uciec. Nie zawsze był to on, bo na różnych etapach życia zadawała się z różnymi mężczyznami. Kiedy przychodziła kolej na innych, Will rzucał się w wir pracy, zmieniał płytki w łazience, naprawiał auto i wmawiał sobie, że wcale nie czeka na jej powrót. Bał się. Wyczekiwał. Pragnął.

- Po mojemu było tak: kiedy wczoraj wieczorem doszło do tej jatki, a ona została ranna, sięgnęła po telefon, którego dotąd nie znaleźliśmy, i wezwała jakiegoś gościa, a on przyjechał z pomocą.

- A jeśli tym gościem był Harding?

- Myślisz, że miała tylko jednego?

Will wziął głęboki oddech i zatrzymał go w płucach najdłużej, jak umiał.

- Idziemy stąd wreszcie? - zapytał Collier.

W odpowiedzi Will podniósł się ciężko i ruszył w górę. Z gorąca zrobiło mu się ciemno przed oczami. Przystanął, żeby odzyskać równowagę i normalne widzenie. Otarł pot i wszedł na kolejny stopień.

- Chryste Panie - mruknął Collier. Podeszwy stóp piekły, jakby chodził po papierze ściernym. - Jeśli chcesz znać moje zdanie, to powinienes popędzić w dół po tych przeklętych schodach i błagać swoją Rudą o wybaczenie.

Collier miał rację, Will był winien Sarze przeprosiny. Tak naprawdę był jej winien znacznie więcej. Musiał jednak iść naprzód, ponieważ cofnięcie się, zadanie sobie pytania, co właściwie robi i po co, oznaczało rozplątywanie supła, którego nie chciał ruszać.

- Tam czeka na ciebie piękna kobieta - nie dawał za wygraną Collier.

- Zamknij się.

- Tak sobie tylko mówię, stary. Proste spostrzeżenie.

Na kolejnym podeście Will zobaczył dziewiątkę znaczącą następne piętro. Nie zatrzymywał się. Z każdym krokiem był coraz bardziej zgrzany. Oparł się ręką o ścianę i znów przebiegł w myślach listę. Nie wiedział, gdzie Angie mieszka; nie wiedział, gdzie pracuje; nie znał jej przyjaciół. Nie wiedział, czy w ogóle miała przyjaciół. Czy chciała ich mieć. Przez tyle lat jego życie kręciło się wokół niej, a on nic o niej nie wiedział.

- Kiedy masz w domu najlepsze żeberka, nie latasz do McDonalda po Happy Meal - zaśmiał się Collier. - A przynajmniej nie chcesz, żeby Najlepsze Żeberko o tym wiedziało. Cholera, człowieku, wszyscy lubimy tłuste cheeseburgery od czasu do czasu, nie?

Dotarłszy do dziewiątki, Will skręcił w górę. Podniósł głowę i spojrzał na następny podest.

Serce podeszło mu do gardła.

Zobaczył kobiecą stopę.

Bosą. Brudną.

Z krwawymi ranami.

- Angie? - wyszeptał.

Bał się mówić głośniej z obawy, że zniknie na jego oczach.

- Co powiedziałaś? - zawołał Collier.

Will słaniał się na nogach, z trudem dźwigając własny ciężar. Na podeście padł na kolana.

Angie leżała twarzą do ziemi. Miała splecione włosy, lekko rozsunięte nogi, jedną rękę przyciśniętą tułowiem, drugą nad głową. Ubrana była w prześwitującą sukienkę z cienkiej białej bawełny. Już ją w niej widział. Pod spodem miała czarny stanik. Sukienka podwinęła się na dole, odsłaniając skąpe czarne figi.

Spod jej nieruchomego ciała wypływała krew, tworząc aureolę wokół głowy.

Will dotknął jej kostki. Skóra była zimna. Nie wyczuł pulsu.

Spuścił głowę. Z całej siły zacisnął powieki. Chciał powstrzymać łzy cisnące się do oczu.

- Wezwę naszych - powiedział Collier.

- Nie. - Will potrzebował jeszcze minuty. Nie był gotowy na nieuchronne zamieszanie. Nie mógł oderwać ręki od kostki Angie. Była chudsza niż wtedy, kiedy widział ją ostatni raz, nie w sobotę, kiedy tylko mignęła mu przed oczami, ale szesnaście miesięcy wcześniej. Wtedy ostatni raz byli razem. Deidre w końcu umarła, zupełnie sama w domu opieki, ponieważ Angie nie chciała jej więcej widzieć. Will prowadził wtedy śledztwo. Wsiadł w samochód i pojechał do Atlanty, żeby być z Angie. Gdzieś na horyzoncie już majaczyła Sara. Ich znajomość mogła przerodzić się w coś poważnego albo rozwiać w zależności od rozwoju sytuacji.

Will uznał, że powinien dać Angie ostatnią szansę, jednak kiedy spojrzała mu w oczy, zrozumiała, że ciężar potwornych doświadczeń, jaki dotąd oboje dźwigali na plecach, w końcu został z nich zdjęty.

Will odchrząknął.

- Chcę zobaczyć jej twarz - wydusił przez ściśnięte gardło.

Collier otworzył usta, ale nie powiedział tego, co powinien - że należy zostawić ciało *in situ*, czyli w pierwotnym położeniu, wezwać techników, Amandę i tych, którzy uprzątną ciało Angie Polaski jak padlinę.

Zamiast tego dołączył do Willa na podeście, kucnął przy głowie Angie i wsunął ręce pod jej szczupłe barki. Nie zadał sobie trudu, żeby włożyć rękawiczki.

- Na trzy - powiedział.

Will najwyższym wysiłkiem woli zmusił się do zmiany pozycji. Przyklęknął i chwycił Angie za kostki. Miała gładką skórę, codziennie goliła nogi. I nie znosiła, kiedy ktoś dotykał jej stóp. Lubiła kawę z mlekiem. Uwielbiała próbki perfum dołączane do czasopism dla kobiet. Kochała taniec. Uwielbiała konflikt, chaos i wszystkie inne rzeczy, których on nie mógł znieść. Ale szukała go. Kochała jak brata. Kochanka. Zjadłego wroga. Nienawidziła za to, że odszedł. Już go nie chciała. I do końca nie umiała go zostawić.

Nigdy więcej miała go nie trzymać w objęciach jak wtedy w piwnicy.

- Raz, dwa, trzy - odliczył Collier.

Bez słowa unieśli ciało i odwrócili je na plecy. Nie była sztywna. Ręka, która leżała za głową, opadła na twarz i zasłoniła oczy, jakby Angie nie mogła znieść faktu, że odeszła.

Usta miała spuchnięte i spękane. Na brodzie widniała zaschnięta krew. We włosach i na twarzy miała biały proszek.

Will wyciągnął trzęsącą się dłoń, by przesunąć rękę Angie, i zobaczył krew, która wypłynęła z nosa i ust. A także ślady po igłach na szyi, między brudnymi palcami, na ramionach.

Serce zaczęło walić mu jak młot, zakręciło mu się w głowie.

Palcami dotknął jej zimnej skóry, jej twarzy. Musiał zobaczyć jej twarz.

Ręka się poruszyła.

- Ty to zrobiłeś? - zapytał Collier.

Ramię kobiety samoistnie zsunęło się z twarzy i opadło na podłogę.

Miała rozchylone usta. I zaczerwienione oczy.

Patrzyła na Willa.

Will spojrzał na nią.

To nie była Angie.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Faith siedziała w aucie przed bliźniakiem, w którym mieszkał Harding. Uciekała przed nieznośnym skwarem. Jaja jej odpadały z gorąca, żeby zacytować wpis jej syna na Facebooku, który z pewnością wygrzebią kiedyś jego przyszli pracodawcy.

Może chłopak powinien zamieszkać z babcią. Faith dostała od niej uśmiechniętą buźkę w okularach przeciwsłonecznych w odpowiedzi na zdjęcie Jeremy'ego z fajeczką do palenia marihuany, które jej przesłała. Ta reakcja była przejawem radykalnego odejścia od wcześniejszych metod wychowawczych stosowanych przez jej matkę, która najpewniej inspirowała się faszystowskimi poradnikami dla rodziców. Możliwe, że Jeremy'ego nie byłoby na świecie, gdyby strategia Mussoliniego stosowana przez jej matkę wobec niej przyniosła spodziewane efekty.

Faith pociągnęła łyk wody i popatrzyła na dom Hardinga. Był to dobrze utrzymany parterowy bungalow na dużej ogrodzonej posesji.

Coś jej się nie zgadzało.

A ona nie znosiła sytuacji, kiedy coś jej się nie zgadzało.

Po serii nieudanych prób ustalenia danych kontaktowych Angie Polaski, Faith zajęła się poszukiwaniem miejsca zamieszkania Dale'a Hardinga. Dwa razy trafiła do wschodniej części Atlanty w podejrzone okolice, gdzie usłyszała od sąsiadów i właścicieli nędznych domów, że Dale

Harding był dupkiem winnym im pieniądze. Nikt nie okazał zdziwienia ani smutku z powodu jego śmierci, a kilku wyraziło żal, że nie byli świadkami tego zdarzenia.

Zgodnie z przewidywaniami Amandy w okolicy roilo się od sklepów monopolowych, lokali ze striptizem, lombardów i innych podejrzanych miejsc, gdzie można się natknąć na gnidy w typie Dale'a Hardinga. Wiele osób tam pracujących rozpoznało go na zdjęciu, chociaż nikt nie przypominał sobie, żeby widział go w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Wszędzie słyszała tę samą historię. Tak, Dale wpadał do baru codziennie, aż pół roku temu zniknął. Codziennie przychodził popatrzeć na striptiz i wtykał dziewczynom banknoty jednodolarowe za stringi, a pół roku temu przestał przychodzić. Codziennie kupował papierosy na sztuki i litr whisky po trzy dolary, ale od pół roku go nie było.

Nikt nie potrafił powiedzieć, co zaszło pół roku temu.

Już miała zrezygnować z dalszych poszukiwań, kiedy natknęła się na striptizerkę, która powiedziała, że Harding obiecał jej synowi sto dolców za pomoc w przeniesieniu jakichś pudeł. Faith nigdy nie znalazłaby tego domu w północnej Atlantycie, gdyby Harding nie wykiwał nastolatka.

Wszystko układało się w logiczną całość od opowieści właścicieli domów, przez striptizerki, po oszukanie piętnastoletniego chłopca. Logiczną, z zastrzeżeniem, że w świetle całej wiedzy o Hardingu bezsensownym wydawało się miejsce, które w końcu mógł nazwać swoim domem.

Ze strony internetowej Faith dowiedziała się, że Mesa Arms to wspólnota dla aktywnych emerytów po



pięćdziesiątym piątym roku życia. Nowoczesne plany zamieszczone na stronie budziły zazdrość. Wszystkie informacje były napisane kursywą, każde zdanie kończyło się wykrzyknikiem, jakby mało zachwycający był sam fakt, że odwiedziny dzieci poniżej osiemnastego roku życia ograniczono na terenie wspólnoty do trzech dni z rzędu.

*Łazienki jak w ośrodku spa!*

*Opiekunowie pomocni zawsze i w każdej sprawie!*

*Wszędzie twarde drewno!*

*Odkurzacz centralny!*

Mesa Arms było wymarzonym miejscem dla pokolenia powojennego wyżu demograficznego, oczywiście o ile ktoś miał pieniądze. Soczyste w zieleń trawniki, chodniki o łagodnym nachyleniu, urocze bungalowy rozrzucone jak wachlarze przy wysadzanych drzewami ślepych uliczkach. W klubie mieszkańcy mieli do dyspozycji elegancką salę barową, siłownię, basen i kort tenisowy, w tej chwili zajęty przez dwóch zwawych seniorów, chociaż temperatura sięgała czterdziestu stopni.

Faith wytarła kark rękawem marynarki Willa. W tej chwili termometr równie dobrze mógł pokazywać PIEKŁO.

Dopiła wodę i rzuciła pustą butelkę na tylne siedzenie. Tak, to wychuchane i wypieszczone osiedle zupełnie nie pasowało do Hardinga. A może znalazł bogatą i rzecz jasna posuniętą w latach sponsorkę? Uznała to za mało prawdopodobne, chyba że kobieta miała fatalny gust albo wyjątkowo niskie wymagania, lub też jedno i drugie. Faith nie mogła tego wykluczyć. W oknach od frontu wisiały zasłony

w landrynkowym rózu. W ogródku przed domem straszyły trzy krasnale i ceramiczny króliczek, wszystkie w za dużych różowych kubraczkach, co absolutnie nie przystawało do znalezionych u Hardinga kuponów z wyścigów i nagich zdjęć z BackDoorMan.com.

Nawet zakładając, że Harding wymienił żetony na pieniądze dosłownie i w przenośni, dziwne było to, że akurat Mesa Arms wybrał na miejsce zamieszkania. Jeszcze dziwniejszy był fakt, że dostał na to pozwolenie. Tysiąc dwieście dolarów miesięcznej opłaty do kasy stowarzyszenia wydawało się zbyt wygórowaną kwotą jak na możliwości człowieka mającego śmiesznie niską emeryturę.

Z drugiej strony Harding wiedział, że nie zostało mu wiele życia, i może okazał się sprytniejszy, niż Faith sądziła. Lepiej umrzeć w Mesa Arms niż w toalecie państwowego domu opieki.

W takim razie los potraktował go z okrutną ironią, innymi słowy, Hardinga dopadło gówniane szczęście, skoro wykitował w porzuconym nocnym klubie z gałką drzewną tkwiącą w szyi.

Nie w pierwszym lepszym nocnym klubie. To był klub Marcusa Rippy'ego.

Faith analizowała w myślach sekwencję zdarzeń. Marcus Rippy został oskarżony o gwałt siedem miesięcy wcześniej, a Harding trafił na żyłę złota mniej więcej miesiąc później. Gdzieś w środku pojawia się Angie Polaski. To ją wysłano, żeby zlikwidowała Hardinga, czy też on miał skończyć z nią?

Faith nie umiała jeszcze złożyć tych kawałków w logiczną

całość, wiedziała jednak, że tu należy szukać klucza do rozwiązania zagadki.

Sięgnęła na tylne siedzenie po butelkę wody, którą rano wcisnęła jej matka. Woda gotowała się w aucie od wpół do siódmej. Faith miała wrażenie, że pije rozgrzany olej, ale ponieważ w mieście obowiązywał najwyższy stopień alertu smogowego, nie mogła pozwolić sobie na odwodnienie.

Nie zmarnowała czasu tylko w klubach ze striptizem i sklepach monopolowych. Dobrą godzinę przemierzała uliczki Mesa Arms, pukając do drzwi, których nikt nie otwierał, zaglądając do okien odsłaniających porządnie urządzone, lecz puste domy. Informacja na drzwiach administracji posiadłości mówiła, że biuro zostanie otwarte o drugiej. Tymczasem druga minęła, a biuro nadal było zamknięte.

Odporni na upał tenisiści zjawili się dziesięć minut temu, więc Faith ruszyła w stronę kortu, by z nimi pogadać, gdy nagły zawrót głowy kazał jej wrócić do auta. W ogłuszającym szumie klimatyzacji swojego mini sprawdziła poziom cukru we krwi, ponieważ wykład Sary o zaniedbywanej cukrzycy trafił jej do przekonania.

Biedna Sara.

- Okej - mruknęła Faith, mobilizując się przed ponownym wyjściem wprost w objęcia żaru. Wyłączyła silnik, ale zanim otworzyła drzwi, usłyszała dzwonek telefonu. Znowu włączyła silnik, żeby choć jeszcze chwilę posiedzieć w chłodzie.

- Mitchell - rzuciła do słuchawki.

- Will znalazł niezidentyfikowaną kobietę w biurowcu po drugiej stronie ulicy - oznajmiła Amanda. - Bezdomna ćpunka, przedawkowanie kokainy. Wygląda na celowe. Nos i gardło jej się zapadły. Jest w szpitalu Grady. Operacja potrwa około dwóch godzin. Zrób swoje u Hardinga, a potem jedź do szpitala. Założę się, że coś widziała.

Faith w duchu powtórzyła wszystko, by uporządkować informacje i ułożyć je w logiczny ciąg.

- Wiemy, czemu chciała się zabić?

- To ćpunka - powiedziała Amanda, jakby ten fakt wystarczył za całą odpowiedź. - Dostałam twoją wiadomość z adresem Hardinga. Nakaz przeszukania przefaksowali ci do biura administratora.

- Nikogo tam nie ma. Dzwoniłam na numer alarmowy, pukałam do drzwi. W ogóle niewielu tu ludzi zastałam. Dziwne, bo to przecież osiedle dla emerytów, nawiasem mówiąc, bardzo ładne. Według mnie za ładne na kieszeń Hardinga.

- Jest własnością podstawionej spółki. Próbujemy ją namierzyć, ale wiemy, że Kilpatrick posiada wiele drogich nieruchomości, które wynajmuje dużo poniżej wartości rynkowej.

- Sprytne. - Faith musiała to oddać zausznikowi Marcusa Rippy'ego. Facet wiedział, jak uniknąć prawnie wiążących zobowiązań finansowych. - Niezły sposób na ukrycie pieniędzy. Harding mieszka w rajskim zakątku dla emerytów za symboliczną kwotę, Kilpatrick skreśla go z oficjalnej listy płac.

- Nawiasem mówiąc, pół roku temu Harding kupił nowiutkie auto, za gotówkę.

- Powiedz, że masz trop.

- Jeszcze nie - odpowiedziała Faith wymijająco, żeby nie wzbudzić w Amandzie fałszywej nadziei. - To znaczy nie mam nic prócz przeczucia, że coś tu nie gra.

Amanda westchnęła ciężko. Na jej korzyść przemawiał fakt, że nigdy nie krytykowała swoich podwładnych za kierowanie się intuicją.

- Collier dostał informacje ze szpitali. Mamy dane o wszystkich przypadkach ran kłutych. Dwie awantury domowe, jedna bójka w barze, jedna rana zadana własnoręcznie. Kobieta twierdzi, że wbiła sobie nóż w bok podczas gotowania.

Faith nie była w stanie udąć zdziwienia tyłoma przypadkami ciosów nożem. Zbyt długo była policjantką.

- Za godzinę powinnam mieć dane o kontach bankowych Hardinga i rejestr jego rozmów. Zacznę je przeglądać, jak tylko dostanę mejla, a teraz spróbuję przerwać mecz i porozmawiać z tenisistami. Jak dotąd to jedyni ludzie, jakich tu widziałam.

- Krew Angie jest wszędzie na miejscu zbrodni.

Faith przygryzła wargi. To jeszcze pogarszało sprawę.

- Jak Will to przyjął? - zapytała.

- Nic nie wie. I się nie dowie. Zaczekaj chwilę.

Telefon Amandy kliknął, gdy odebrała drugą rozmowę.

Faith nerwowo skubała szwy na kierownicy. Pomyślała o Willu, przypomniała sobie wyraz jego twarzy, kiedy Charlie

obwieścił, że broń jest zarejestrowana na Angie. Bardziej przejmujący był tylko widok zdruzgotanej Sary. Amanda odesłała ludzi na przerwę, żeby zapewnić tym dwojgu odrobinę prywatności. Ponieważ przy opuszczaniu miejsca przestępstwa każdy musiał podpisać listę, przy drzwiach powstał zator i Faith mimowolnie usłyszała fragment ich rozmowy.

Sara była lepsza od niej. Gdyby Faith dowiedziała się, że była żoną jej kochanka grzebie w jej rzeczach - i nie tylko grzebie, ale kradnie - z wściekłości spaliłaby mu dom.

- Faith? - Amanda wróciła na linię. - Will się do ciebie odzywał?

- Tak, odbyliśmy długą rozmowę o jego uczuciach, kiedy zaplatał mi warkocze.

- Nie mam nastroju do żartów. - W głosie Amandy dało się wyczuć rzadką u niej troskę. Dziwaczna, jakby żywcem przeniesiona z „Kwiatów na poddaszu” więź Willa z Angie bladła przy jego zaburzonej relacji z Amandą. Była dla niego namiastką matki, ale zdolnej udusić dziecko we śnie.

- Will odjechał po znalezieniu tej kobiety. Po prostu zniknął, nie mam pojęcia, gdzie się podziewa. W domu go nie ma, nie odbiera telefonu. - Faith wiedziała, że Will nie miał tam auta. - Sara go odwiozła? - spytała.

- Sara odjechała, zanim znalazł tę kobietę.

- Chociaż jedna dobra wiadomość.

- Na pewno szuka nowego sposobu, żeby to spieprzyć.

Niestety, Faith podzielała pewność Amandy w tej sprawie.

- Myślisz, że Angie nie żyje?

- Możemy tylko mieć taką nadzieję - odparła Amanda tonem, który kazał potraktować te słowa serio. - Wysłałam ci Colliera na pomoc.

- Nie potrzebuję jego pomocy.

- Guzik mnie to obchodzi. Zaczekaj. - Stłumionym głosem Amanda wyrzuciła z siebie rozkaz skierowany do któregoś z podwładnych, a po chwili wróciła do rozmowy z Faith. - Udało mi się zorganizować spotkanie o czwartej z zespołem Kipa Kilpatricka. Jak Collier zacznie rewizję u Hardinga, jedź do szpitala. Nie chcę, żebyś spędzała z nim za dużo czasu.

- O co ci chodzi? - Faith zjeżyła się ze złości.

- O to, że Collier jest w twoim typie.

Faith była zbyt zszokowana, żeby skwitować te słowa wybuchem śmiechu.

- Prowadzi ciężarówkę wartą sześćdziesiąt tysięcy i mieszka w przyczepie u mamusi?

Amanda zachichotała i rozłączyła się.

Faith patrzyła na telefon. Niewiele przemawiało za tym, żeby mieć matkę chrzestną za szefową. Właściwie prawie wszystko przemawiało przeciwko takiej sytuacji.

Nastawiła w telefonie alarm, który miał się włączyć za godzinę. Z jej doświadczenia wynikało, że chirurdzy w szpitalu Grady zawsze kończyli szybciej, niż przewidywali. Faith chciała stać przy łóżku tajemniczej ćpunka w chwili, gdy ta odzyska przytomność. Detektyw dostaje tylko jedną szansę zaskoczenia świadka, a wzięwszy pod uwagę rangę sprawy, Faith nie miała zamiaru tego sknocić.

Położyła dłoń na kluczykach auta, ale nie wyłączyła silnika.

Działająca w tym skwarze klimatyzacja była zbyt cenna, by pozbawić się jej choćby o sekundę za wcześnie. Spojrzała w stronę kortu. Wbrew szumnym deklaracjom założycieli mieścił się na wzniesieniu, na które prowadziło kilka stopni. Potem spojrzała na frontowe drzwi domu Hardinga, do których miała znacząco bliżej. W ogrodzie urządzonym tak, by nie wymagał wielkich nakładów finansowych, leżał kamień wyglądający na imitację, prawdopodobnie skrywający zapasowe klucze. Nakaz rewizji zapewne już czekał w biurze administratora. Mogła go odebrać i zacząć działać.

Wysiadła z samochodu, gdy zjawił się Collier. Zza zamkniętych szyb czarnego dodge'a chargera wydobywała się muzyka Aerosmith. Na desce rozdzielczej stała figurka półnagiej hawajskiej dziewczyny w spódniczce z trawy. Koła dodge'a ślizgały się po asfalcie, gdy Collier zahamował, wrzucił wsteczny bieg i tyłem zaparkował przy mini Faith.

Wysiadając, zmierzył ją wzrokiem w ten sam sposób, w jaki zrobił to rano. Z jego miny wywnioskowała, że oględziny wypadły zadowolająco, chociaż miała na sobie regulaminowy strój GBI, czyli ciemnoniebieską koszulę, spodnie khaki i kaburę z glockiem, która dodawała jej centymetrów w biodrach.

- Co to? - zapytała, wskazując dwa okrągłe plastry na górze prawego ucha. Zasnęta krew tworzyła na nich popękany wzorek.

- Skaleczyłem się przy goleniu.

- Od kiedy golisz się maczetą?



- Mój depilator się zepsuł. - Collier zerknął na tylne siedzenie auta Faith, gdzie obok dziecięcego fotelika leżały rozsypane płatki.

- Mam dwoje dzieci, jedno ma rok, drugie dwadzieścia lat - oznajmiła Faith, nie zostawiając pola do domysłów.

- A tak, przez piętnaście lat pracowałaś w policji w Atlancie, póki nie przeniosłaś się do konkurencji. Nigdy nie wyszłaś za mąż. Skończyłaś politechnikę. Twoja mama pracowała w firmie, tata był agentem ubezpieczeniowym, niech spoczywa w pokoju. Mieszkasz dwie ulice od mamy w domu po babci, dlatego możesz sobie pozwolić na życie w takiej przyjemnej dzielnicy za państwową pensję. - Collier podniósł okulary przeciwsłoneczne na czoło. - Daj spokój, Mitchell, przecie doskonale wiesz, że gliniarze plotkują jak wredne nastolatki. Już wiem o tobie wszystko.

Ruszyła chodnikiem w stronę domu Hardinga, a Collier dodał:

- Ja jestem drugim dzieckiem z dziewięciorga.

- Jezu - mruknęła Faith, myśląc o nieszczęsnej matce tak licznej gromady.

- Tata jest emerytowanym policjantem. Dwaj bracia pracują w policji w Atlancie, dwaj w Fulton County, jeden w McDonough. Mam jeszcze siostrę, jest strażakiem, ale o niej nie rozmawiamy.

Faith podniosła imitację, która okazała się prawdziwym kamieniem.

- No, Mitchell. - Collier był namolny jak szczeniak pałętający się pod nogami. - Wiem, że mnie sprawdziłaś. Co

mówiła twoja mama?

- Że jesteś chojrakiem i masz skłonność do popełniania błędów - błyskawicznie postawiła diagnozę na podstawie poczynionych obserwacji.

- Wiedziałem, że mnie zapamiętała. - Collier wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Dokąd zawiozłeś Willa? - zapytała Faith, kierując rozmowę na inne tory.

Uśmiech zamarł Collierowi na ustach.

- O co chodzi?

- Will zniknął po znalezieniu N.N. w biurowcu. Dokąd go zawiozłeś?

- To była trudna i żmudna detektywistyczna robota, partnerko. On jej nie znalazł, to znaczy znalazł, ale ja też tam byłem. Można powiedzieć, że obaj ją znaleźliśmy.

- Nie jestem twoją partnerką. - Faith kucnęła, by przyjrzeć się kamieniom. Wszystkie wyglądały na imitację. - Odpowiesz mi?

- Odwiozłem go do domu. - Collier wsunął ręce do kieszeni. - Nie pytaj mnie dlaczego, bo i tak ci nie powiem. Moja siostra twierdzi, że powinienem zostać strażakiem, ponieważ jestem kretynem, który wbiega do płonącego budynku, zamiast z niego zwiewać.

- Wiesz, dlaczego ta dziewczyna chciała się zabić?

- To ćpunka. - Wzruszył ramionami.

Podniosła podejrzenie nieefektowny kamień, no i wreszcie ten okazał się imitacją. Faith liczyła, że w schowku pod plastikową przykrywką znajdzie klucze do domu.

Schówek był pusty.

- Czy mama mówiła ci, że w szkole średniej doznałem urazu jąder podczas treningu zapasów? - zapytał Collier, oparty o futrynę z założonymi rękami.

Faith rzuciła pustą imitację kamienia do ogrodu, a Collier ciągnął swoją opowieść:

- Prawdziwa tragedia. - Przeczesał palcami włosy, patrząc w dal spod zmrużonych powiek. - Nie mogę mieć dzieci. - Puścił do niej oko, co na pewno było elementem scenariusza. - Co nie znaczy, że przestałem próbować.

- Halo! To pani jest tą policjantką, która dzwoniła?

W ich kierunku zmierzała siwa długowłosa kobieta w japonkach i żółtej szmizjerce. Wyglądała jak hipiska. W jednej ręce niosła plik papierów, z przegubu zwisał karabińczyk z kluczami.

- Tak, proszę pani. - Faith wyjęła odznakę. - Agentka specjalna Mitchell. A to...

- Nie muszę tego oglądać, moja droga. Oboje macie napis POLICJA na plecach.

Faith schowała odznakę i darowała sobie wykład o tym, że w dzisiejszych czasach każdy może umieścić napis POLICJA na czym tylko chce.

- Nie dziwi mnie, że Dale'owi przytrafiło się coś złego. Nie żył z tutejszymi mieszkańcami w przyjaźni. - Hipiska podeszła do drzwi Hardinga i walnęła w nie pięścią, a klucze na nadgarstku zabrzęczały głośno. - Halo! Halo, jest tam kto? - zawołała.

- Czy Harding z kimś mieszkał? - zapytała Faith.

- Nie. Przepraszam, siła przyzwyczajenia. Często sprawdzam samopoczucie mieszkańców i nigdy nie wchodzę do domu bez pukania. - Wyciągnęła do Faith rękę. - A tak w ogóle to jestem Violet Nelson, zarządczyni osiedla. Przepraszam za dłuższą nieobecność, ale zasiedziałam się w bibliotece.

- Czy pośredniczyła pani w wynajęciu tego domu Hardingowi?

- To należy do właściciela posiadłości. Z dokumentów wynika, że jest nim jakaś korporacja z siedzibą w Delaware. Jak mniemam, chodzi o ulgi podatkowe. - Violet Nelson zaczęła przeglądać oznaczone kolorowymi nakładkami klucze. - Eh, potrzebuję okularów. Czy któreś z was...

Faith spojrzała wymownie na Colliera, ponieważ to jemu było zdecydowanie bliżej do okularów do czytania niż jej.

Posłał jej jeden ze swoich krzywych uśmiezków.

- Wyglądam na więcej, niż mam.

- Was też to dopadnie, i to szybciej, niż się spodziewacie - zaśmiała się Violet, ale im nie było do śmiechu. Niestrudzenie przerzucała klucze, których miała przynajmniej pięćdziesiąt. Faith nie zaoferowała się z pomocą, ponieważ Violet zrobiła na niej wrażenie skłonnej do czczej paplaniny. - Zaraz wpuszczę was do środka. Nie musicie się śpieszyć, róbcie swoje, jak długo musicie. A kiedy będziecie wychodzić, wsuńcie klucze przez otwór w drzwiach mojego biura.

Faith wymieniła z Collierem porozumiewawcze spojrzenia. Jak na zarządczynię nieruchomości, Violet prezentowała

nietypowe zachowanie, zazwyczaj jednak mieli do czynienia z zarządcami pracującymi za kratkami albo za kuloodpornymi szybami.

- Pukałam do paru sąsiadów - powiedziała Faith. - Wygląda na to, że dzisiaj nikogo nie ma w domu.

- W weekendy jest więcej ludzi. - Violet usiłowała wetknąć jeden z kluczy do zamka. - Dzisiaj prawdziwi emeryci to rzadkość, większość musi dorabiać. Pracują w niepełnym wymiarze godzin, a nieliczni szczęśliwcy udzielają się jako wolontariusze. Przyjedźcie o czwartej, to zastaniecie większość z nas w klubie. To czas spotkań przy koktajlu.

Faith padłaby, gdyby zaczynała pić o czwartej po południu.

- Znała pani Dale'a Hardinga? - zapytała.

- Znałam go całkiem dobrze. - Violet nie wydawała się zadowolona z tego powodu. - Był jak wrzód na tyłku, tyle wam powiem.

Faith wykonała ręką zachęcający gest, by skłonić Violet do rozwinięcia tego wątku.

- Powiedzmy, że nie był porządny.

- Kobiety? Alkohol? - podsunął Collier.

- Śmieci, i to w sensie dosłownym. Chodzi o rzeczy, które powinno się wyrzucić, a się ich nie wyrzuca. Ale nie nazwałabym go zbieraczem, po prostu był zbyt leniwy, żeby nosić śmieci do pojemnika. Barbara się skarżyła. To jego najbliższa sąsiadka. Mówiła, że smród zepsutego jedzenia przenika do niej przez ściany. Sama to sprawdzałam i tak, śmierdziało niemiłosiernie. Napisałam z dziesięć listów w tej sprawie do firmy w Delaware, ale bez skutku. Miesiącami

radziłam się prawników Stowarzyszenia Właścicieli Nieruchomości, co robić.

- To straszne - powiedziała Faith. Zwykłym ludziom raczej nie przychodziło do głowy, że zapach zepsutego jedzenia jest podobny do odoru rozkładającego się ciała. - Co jeszcze?

- Ciągle się kłócili. - Violet sprawdziła kolejny klucz. - Barb z Dale'em. A właściwie Dale ze wszystkimi, a zwłaszcza z Barb. Ciągle się ze sobą ścierali. - Klucz znowu nie pasował. - Kilka razy musiałam interweniować. Nie lubię mówić źle o zmarłych, ale Dale był... - szukała odpowiedniego słowa.

- Dupkiem? - podsunęła Faith, ponieważ to słowo wydało jej się odpowiednie.

- Tak, dupkiem - zgodziła się Violet. - Gdyby to były „Morderstwa w Midsomer”, a wy zapytalibyście, czy Dale miał wrogów, powiedziałabym, że wychodził ze skóry, by narobić sobie wrogów. - Wskazała okna. - Te ohydne zasłony są najlepszym przykładem. Tutejsze rozporządzenie wyraźnie mówi, że wszyscy powinni mieć białe. Kiedy napisałam do niego w sprawie różowych zasłon, przysłał mi odpowiedź na fałszywym papierze firmowym fałszywej kancelarii prawniczej, która zarzuciła mi, że dyskryminuję go z powodu homoseksualizmu. - Violet przewróciła oczami. - Tak jakby gej w tym wieku chciałby ozdobić swe okna poliestrowymi zasłonami.

Faith patrzyła, jak Violet próbuje otworzyć drzwi następnymi kluczami. Sprawdziała wszystkie po kolei.

- A co z Barb? Mówiła pani, że między nimi były tarcia.

- Drwił z niej, i to bez powodu. Ciągle się jej czepiał.
- Na przykład?

Violet machnęła ręką w stronę ogrodu przed domem.

- To były jej krasnale, a króliczka dostała od wnuka. Wszyscy o tym wiedzieli. Ubierała je w kubraczki stosownie do okazji. Czerwone na walentynki, w szkocką kratę na rocznicę zakończenia pierwszej wojny światowej. Co kto lubi.

- Violet wzruszyła ramionami. - Ale pewnego dnia przychodzi do mnie i mówi, że stało się coś dziwnego. Wszystkie krasnale i królik zniknęły z ogrodu. Podejrzewałyśmy o to jakieś dzieciaki. Niektóre wnuki tutejszych mieszkańców to młodociani przestępcy. Jak to mówią, niedaleko pada jabłko od jabłoni. Dwa dni później Dale stawia krasnale i królika u siebie przed domem. Wszystkie mają na sobie różowe kubraczki. Za duże. - Violet spróbowała szczęścia z następnym kluczem z kółka. - Były cztery krasnale, ale jednemu pomalował twarz na czarno, co jest absolutnie zakazane w regulaminie. - Zniżyła głos do szeptu: - Gdybyśmy nie mieli takiego punktu w rozporządzeniu, przed każdym domem stałaby figurka czarnego dżokeja z lampką.

To tyle, jeśli chodzi o raj dla emerytów.

- Czy Hardinga ktoś odwiedzał?
- Nigdy nikogo nie widziałam.
- Miał stały rozkład dnia? - zapytał Collier.
- Częściej spędzał czas w domu niż poza nim, co było irytujące, bo miał więcej sposobności, żeby zadzierać z ludźmi. Był leniwy, ale potrafił przejść dwie ulice dalej, żeby nawrzeszczyć na dziecko zbyt hałaśliwie zachowujące

się na basenie.

- Kiedy się wprowadził?

Violet włożyła do zamka następny klucz.

- Pół roku temu? No, jakoś tak. Mam jego papiery. Podajcie mi adres mejlowy, to prześlę wam skan dokumentów. Spóźniał się z należnością dla SWN. - W końcu trafiła na właściwy klucz. - To znaczy dla Stowarzyszenia Właścicieli...

Collier złapał ją za rękę i powstrzymał przed przekręceniem gałki.

Zanim Faith zorientowała się, o co chodzi, już trzymała w rękach glocka.

Z wnętrza domu dobiegał jakiś dźwięk.

Właściwie szelest. Zupełnie jakby ktoś nie chciał zdradzić swojej obecności.

Faith spojrzała na imitację kamienia. W schowku nie było klucza. Po co schowek, skoro nie ma w nim klucza?

Chyba że ktoś już go zabrał, żeby wejść do środka.

Collier położył palec na ustach, zanim Violet zdążyła poprosić o wyjaśnienie. Gestem nakazał jej, żeby się cofnęła, aż wylądowała za jego autem.

Dźwięk się powtórzył, ale tym razem był głośniejszy.

Collier wyjął telefon i szeptem wezwał wsparcie, po czym dał Faith znak, żeby przejęła dowodzenie.

Co oznaczało, że pięćdziesiąt lat feminizmu skończy się dla niej raną postrzałową brzucha.

Faith położyła palec na boku glocka, tuż ponad spustem, gdzie uczono ich kłaść palec przed podjęciem decyzji



o strzale. Pomyślała o leżącej w aucie kamizelce kuloodpornej. O foteliku ukochanej córki. O butelce wody, którą troskliwa matka dała jej dzisiaj rano. O zdjęciu kochanego syna w telefonie.

Potem uniosła nogę i kopniakiem otworzyła drzwi.

- Policja! - wrzasnęła co sił w płucach.

Obróciła się i jednym spojrzeniem omiotła wnętrze. Kuchnia. Stół. Kanapa. Krzesła. Rupiecie. Chaos. Wyłączyła wszystkie zmysły prócz jednego. Wyostrzonym wzrokiem lustrowała drzwi i okna, nastawiona na wychwycenie widoku uzbrojonej ręki. Collier sprawdził szafę na ubrania. Była pusta. Przywarł plecami do pleców Faith. Dał znak, dotykając palcem jej uda. Ruszyli naprzód jak jeden organizm na ugiętych nogach, obracając głowy raz w jedną, raz w drugą stronę.

Przypomniała sobie stronę internetową Mesa Arms. Harding mieszkał w apartamencie o nazwie Tahoe. Dwie sypialnie, jedna łazienka.

Drzwi.

*Oddzielna toaleta dla gości!*

Drzwi.

*Wygodna pralnia, w wersji rozszerzonej wyposażona w szafy!*

Róg.

Faith stanęła tuż przy nim. Miał służyć jako naturalna osłona przed ewentualnym napastnikiem czającym się z bronią tuż za węglem. Skoro ona nie mogła nikogo zobaczyć, nikt nie widział jej. Trzymała glocka przed sobą,

stała na szeroko rozstawionych nogach. Bezwiednie przesunęła palec z lufy glocka na spust. Po chwili znowu cofnęła go na lufę. Potrzebowała dodatkowej sekundy wahania na wypadek, gdyby na drugim końcu korytarza stało dziecko albo głuchy staruszek.

Teraz albo nigdy.

Powoli, centymetr po centymetrze, oderwała plecy od ściany i wychyliła się zza rogu.

Pusto.

Ruszyła pierwsza korytarzem.

Drzwi.

*Główna łazienka z kabiną prysznicową i komfortową toaletą!*

Zamknięte drzwi.

*Jasne sypialnie dla ciebie i twoich gości!*

Sypialnie znajdowały się naprzeciwko siebie.

Faith zostawiła Collierowi pokój po prawej i stanęła przy ścianie, zabezpieczając tyły. Collier niemal w zwolnionym tempie przekręcił gałkę w drzwiach. Otworzył je gwałtownym ruchem, żeby unieszkodliwić ewentualnego napastnika czającego się za drzwiami. W oknie wykuszowym, wychodzącym na ogród za domem, wisiały różowe zasłony. Na ziemi leżał dmuchany materac. Tam, gdzie powinny być drzwi do garderoby, wisiała rozsunięta kotara.

Pusto.

W korytarzu Collier zajął pozycję naprzeciwko lewej sypialni i skinął Faith głową.

Faith kopnęła drzwi tak zamasyście, że gałka utkwiała

w płycie gipsowo-kartonowej. Więcej okien. Więcej różowych zasłon. Następny materac na podłodze, tym razem sprężynowy, okryty brudnym prześcieradłem. Kartonowe pudło pełniące funkcję szafki nocnej. Zwisające przewody. Lampa. Szafa wnekowa z kompletnymi drzwiami z zasuwą zamykaną na klucz.

Faith wciągnęła w płuca powietrze. Tak długo wstrzymywała oddech, że była bliska omdlenia. Serce tłukło jej się w piersi jak szalone. Z dłoni kurczowo zaciśniętych na glocku kapał pot. Poluzowała chwyt, żeby odrzut nie uszkodził jej nadgarstka, gdy będzie jednak musiała strzelić.

Collier stał przyklejony plecami do ściany z bronią wycelowaną w stronę garderoby. Faith wolnym krokiem podeszła do drzwi. Wyobrażenia podsuwała jej nieprzyjemne obrazy, od których nie mogła się uwolnić: drzwi garderoby się uchylają, wysuwa się z nich strzelba, która wypala i dziurawi jej pierś.

Z najwyższą ostrożnością oderwała lewą rękę od glocka. Miała wrażenie, że kostki palców drżą każda z osobna. Ramię ją paliło. Wyciągnęła rękę w stronę gałki o jajowatym kształcie. Poczowała na skórze chłód metalu. Jej nadgarstek wykonał powolny skręt w prawo.

Drzwi nie ustąpiły.

Faith otworzyła usta, odetchnęła głęboko.

*Obszerne garderoby!*

Zawiasy były na zewnątrz. To oznaczało, że drzwi nie można otworzyć kopniakiem.

Spojrzała na Colliera. Był spięty, głowę miał zwróconą

w stronę korytarza. Jego klatka piersiowa unosiła się z każdym płytkim oddechem. Lufa glocka była skierowana w sufit.

Poddasze.

*Na życzenie schowek do przechowywania cennych pamiątek!*

Ze składanych schodów w korytarzu zwisał sznur.

Faith potrząsnęła głową. Nie miała zamiaru wchodzić na górę, mając zaledwie jednoosobową osłonę.

Hałas.

Skrobanie, tym razem donośniejsze, zupełnie jakby ktoś skradał się na poddaszu.

Collier wszedł na korytarz na nisko ugiętych kolanach. Faith zrobiła to samo i zatrzymała się w drzwiach. Collier spojrzał na nią. Kiwnęła głową, chociaż każda komórka w jej ciele wołała, że to się źle skończy. Collier złapał sznur zwisający ze schodów i pociągnął. Sprężyny zaskrzypiały tak przeraźliwie, że serce podskoczyło Faith w piersi. Collier rozłożył schody jedną ręką, drugą cały czas celował z glocka.

Oboje zastygli w bezruchu, czekając na reakcję partnera.

Nie chodziło o strach. Oboje byli jednakowo przerażeni. Chodziło raczej o zaufanie w sytuacji narażenia życia.

Faith zaklęła bezgłośnie pod nosem i wyjęła telefon. Lepiej mieć odstrzeloną rękę niż głowę. Włączyła funkcję filmowania. Technicy kryminalistyczni dostaną wyraźne nagranie wyjaśniające, skąd w korytarzu ciała dwojga martwych policjantów.

Mózg Faith wysłał polecenie mięśniom znieruchomiałej

nogi. Ledwie oderwała stopę od ziemi, gdy Collier wyrwał jej telefon. Zmierzył ją spojrzeniem, z którego jasno wynikało, że ma ją za wariatkę. Postawił stopę w czarnej tenisówce na pierwszym szczeblu. Sprężyny jęknęły pod jego ciężarem. Wszedł na drugi szczebel.

Tym razem Faith zobaczyła oczami duszy obraz z Collierem w roli głównej: w otworze pojawia się lufa, pada strzał, Collier dostaje w klatkę piersiową.

Zatrzymał się na drugim szczeblu, ręce trzymał na wysokości piersi. W jednej miał glocka, w drugiej telefon Faith. Nasłuchiwał, skąd dobiegnie jakiś odgłos, ponieważ miał tylko jedną szansę oświetlenia telefonem wnętrza poddasza. Faith nie pomogłaby mu zlokalizować źródła dźwięku. Słyszała jedynie dudnienie własnego serca i szum krwi. Otworzyła usta, by złapać więcej powietrza. Język miała jak z waty. Czuła na nim cierpki, słony i kwaśny smak własnego strachu.

Collier odwrócił się do niej w oczekiwaniu na znak. Skinęła mu głową. Oboje spojrzeli w czarną czeluść poddasza. Collier schował głowę w ramionach. Wyciągnął w górę rękę z telefonem, który miał im posłużyć za cyfrowy peryskop. Wbili wzrok w wyświetlacz. Na ekranie pojawił się obraz.

Żołądek podszedł Faith do gardła.

Collier wydał z siebie przeciągłe:

- O kuuurwa.

Z ekranu patrzył na nich siedzący szczur wielkości domowego kota. Świdrujące oczka świeciły na czerwono w smudze światła. Szczęki poruszały się szybko, przeżuując

pokarm. W przednich łapkach coś trzymał. Faith wzdrygnęła się. Obrzydzeniem napawała ją myśl o szcurzych łapkach, które cokolwiek chwytają.

Collier zatoczył telefonem pełne koło, po czym włożył broń do kabury. Wolną ręką przybliżył obraz szczura, potem przedmioty w tle. Pod ścianą działową zobaczyli dwa pudła na dokumenty. Spoczywały na osobnych legarach, ponieważ podłoga poddasza nie sięgała tak daleko. Bliżej schodów leżała otwarta paczka gnijącej mielonej wołowiny. Pełzało po niej morze białych czerwi, nad mięsem bzycały stada much. Na oczach Faith i Colliera szcur odsunął tacę od schodów. Faith miała wrażenie, że ten dźwięk rozsadza jej czaszkę.

Szcur łypnął na nich i kościstymi palcami uszczknął kawałek mięsa. Przycisnął je do klatki piersiowej, wykonał parę skoków w tył, pochylił głowę i zaczął przeżuwać kolejne kęsy, nie spuszczając oczu z Colliera i Faith.

- Dobra. - Collier zszedł ze schodów i podał Faith telefon. - Idę puścić pawia.

Myślała, że żartuje. Wyglądał dobrze, ale parę sekund później był już w łazience i zwracał zawartość żołądka.

- Nie zapomnij odwołać wsparcia! - krzyknęła Faith.

W odpowiedzi usłyszała kolejną serię wymiotów.

Przejechała ręką po zakurzonej framudze drzwi do garderoby. Klucza nie było. Wyjęła z kieszeni spodni długopis i przegrzebała nim w szpargałach w pudle, które służyło Hardingowi za nocny stolik. Sprawdziła pod parapetami i nad drzwiami w korytarzu. Klucza nie było.

Wydawało jej się, że Collier już skończył, ale wtedy beknął

tak głośno, że zabolą ją uszy. Ciarki przeszły jej po plecach. Nie chodziło o dźwięki wydawane przez Colliera, ale o rozłożone schody. Wyobraziła sobie, jak szczur niezgrabnie złazi po nich, jak jego pozbawione kciuków łapki czepiają się cienkiej poręczy. Mijając schody, dla pewności przywarła plecami do ściany. Dopiero kiedy bezpiecznie dotarła do salonu, odtworzyła filmik nagrany przez Colliera.

Szczur był szaroniebieskawy, miał okrągłe uszy i gruby przybrudzony biały ogon. Gapił się na nią z ekranu, nie przestając poruszać pyszczkiem. Nie było dźwięku, ale Faith przysięgłaby, że słyszy mlaskanie. Smużka krwi ciągnęła się za tacą tam, gdzie szczur odciągał ją od schodów w głąb poddasza, pewnie do jakiegoś wielkiego gniazda.

Wzdrygnęła się na tę myśl.

Ponownie wcisnęła PLAY. Przypomniała sobie książkę z otwierającymi się obrazkami, którą ktoś podarował jej córce na Boże Narodzenie. Emma była przerażona widokiem muchy domowej o niezliczonych oczach, która wyskakiwała z samego środka książeczki. Mimo to nie mogła się powstrzymać. Ciągle otwierała książeczkę i za każdym razem krzyczała ze strachu. Faith czuła to samo, oglądając filmik ze szczurem. Budził w niej wstręt, ale patrzyła na niego jak zahipnotyzowana.

Usłyszała odgłos spuszczonej wody. Collier wszedł do pokoju dziennego, ocierając usta wierzchem dłoni i strzepując resztki wymiocin z koszuli.

- I jak? - zapytał. - Szczurzy alarm antywłamaniowy?

Faith zmusiła się do oderwania wzroku od wyświetlacza

telefonu.

- Co za dupek. - To były jedyne słowa, jakie przyszły jej na myśl. Nasłuchiwała się ich przez cały dzień od ludzi, którzy mówili o Hardingu.

- Czy te pudła były oznakowane?

Faith podsunęła mu telefon, żeby sam to sprawdził.

- Uff. - Collier uniósł palec, jakby potrzebował chwili na decyzję. - Dobra, minęło.

- Na pewno? - spytała Faith.

Collier był blady jak kreda.

- Nie. - Odkręcił wodę przy kuchennym zlewie. Musiał usunąć leżące tam naczynia, żeby włożyć głowę pod kran. Z głośnym gulgotem przepłukał usta i wypluł wodę do zlewu.

Faith była zde gustowana, ale coś jej mówiło, że Harding robił w tym zlewie o wiele gorsze rzeczy.

- Pani władzo?

- Och... tak? - Faith na śmierć zapomniała o administratorce.

- Boże, czuć tu amoniakiem i śmieciami. - Violet zatrzymała się w drzwiach, nie weszła dalej, zatykając sobie nos. - Wszystko w porządku?

- Na górze jest szczur - oznajmił Collier. - Olbrzymi. Może w ciąży.

- Szary z białymi uszami?

Faith pokazała jej wideo w telefonie.

- Niech mnie diabli. - Violet potrząsnęła głową. - Wnuk Barbary przywiózł go w ostatni weekend. Zaklinał się, że na pewno dobrze zamknął klatkę, a jednak szczur się wydostał.



Szukali go wszędzie.

- To nie jest zwierzątko domowe. - Collier machnięciem odgonił muchę. - Jest olbrzymi, nienaturalnie olbrzymi.

- Mogę panu pokazać ogłoszenie o zaginionym szczurze, jakie Barb powiesiła na tablicy ogłoszeń - zaproponowała Violet.

Collier zasłonił dłonią usta i pokręcił głową.

Faith pomyślała o paczce mielonej wołowiny przy schodach na poddaszu.

- Czy szczur zaginał w domu u Barbary? - zapytała.

- Nie. Wnuczek postawił klatkę na ganku na jakieś pół godziny. Wygląda na to, że takie szczury lubią świeże powietrze. Kiedy chłopak wrócił, klatka była otwarta, a szczur zniknął. - Violet zmarszczyła brwi, rozglądając się po pokoju. - Jestem pewna, że panu Nihmowi było lepiej w tym syfie.

- Czy Barb często tu bywa?

- Zwykle tu jest. Będzie niepokieszona, że straciła takie widowisko. Jest trochę wścibska.

Faith uwielbiała wścibskich ludzi.

- Przekáže pani Barbarze, żeby do mnie zadzwoniła? - Wręczyła Violet wizytówkę. - Chciałabym wyrobić sobie opinię o Hardingu.

- Nie wiem, czy powie pani więcej niż to, że był łobuzem.

- Zdziwiłaby się pani, co ludzie potrafią zapamiętać.

Violet wetknęła wizytówkę za stanik.

- Jak już mówiłam, proszę wrzucić klucz przez otwór w drzwiach biura, kiedy skończycie.

Faith słuchała oddalających się kroków Violet.

- Zwierzątko domowe - prychnął Collier i odgonił kolejną muchę.

- To wyjaśnia, dlaczego nas się nie bał.

- To nie zmienia faktu, że chcę go ukatrupić. Tu i teraz. Ogniem.

- Szukaj klucza - zmitygowała go Faith. - Musimy dostać się do garderoby.

- Musimy wezwać zwierzęcy patrol interwencyjny - odparował Collier. - Gość trzymał szczura na strychu. Nie wiadomo, co siedzi w garderobie.

Faith nie zamierzała czekać na patrol. Przebiegła wzrokiem brudny salon i kuchnię, zadając sobie w duchu pytanie, gdzie Harding mógł ukryć klucz, jednak nic nie przychodziło jej do głowy. Górę brało wszechogarniające obrzydzenie. „Syf” był właściwym słowem dla nazwania stylu życia Hardinga. W pomieszczeniu, które pełniło jednocześnie funkcję kuchni, salonu i jadalni, walały się styropianowe talerzyki i kubki. Na brudnej brązowej kanapie i niskim zniszczonym stoliku piętrzyły się opakowania po zestawach z KFC na wynos, w nich obgryzione kości kurczaków pokryte zieloną pleśnią, resztki purée ziemniaczanego, zbrązowiałe sztucce, a obok kubki niedopitej coli z kożuchem na powierzchni.

I ten zapach, który uderzył ją w nozdrza z siłą bokerskiego ciosu. Nie tylko amoniak, ale także odór rozkładu i gnicia, efekt złych nawyków Dale’a Hardinga, o ile przypuszczenia Sary dotyczące jego ostatnich dni były

słuszne. Faith nie wyczuła tego smrodu zaraz po wejściu do domu. Pod wpływem adrenaliny skupiła się na zadaniu i wyostrzyła wzrok, by uniknąć śmierci. Kiedy zagrożenie minęło, do głosu doszły pozostałe zmysły, które natychmiast poraził panujący u Hardinga odór.

I uczujące muchy. Kilkadziesiąt much.

- W tej temperaturze larwy wylęgają się od ośmiu do dwudziestu godzin. Przepoczwarczenie trwa od trzech do pięciu dni.

Collier zarechotał.

- Przepraszam, ale „przepoczwarczenie” to śmieszne słowo.

- Chcę przez to powiedzieć, że mięso zostało wyłożone na poddaszu w ten weekend. Prawdopodobnie chodziło o nakarmienie szczura. Albo zatrzymanie go tutaj. - Faith otworzyła jedno z okien, żeby wpuścić trochę powietrza, wypchnęła też siatkę, żeby otworzyć muchom drogę na zewnątrz.

Collier beknął głośno.

- Masz miętówki? - zapytał.

- Nie.

Faith odwróciła się od Colliera. Pomyślała o miętówkach, jakie miała w aucie. Przyjemnie byłoby wyjść i zrobić sobie pięć minut przerwy od odrażającego domu Hardinga. Węch wrócił jej całkowicie. Odór zjełczanego tłuszczu wdzierał się do nosa, czuła go w ustach. Założyłaby się o oszczędności życia, że gnijące mięso na poddaszu było niczym w porównaniu z obrzydliwościami nagromadzonymi pod stosami leżących na ziemi zawilgoconych gazet i kolorowych

magazynów. Violet miała rację, ten śmietnik był efektem czystego lenistwa. Kiedy Harding kończył jeść makaron z serem w drzwiach wejściowych, zostawiał tam pojemnik i szedł dalej.

- To dziwne, że wkurzenie odbiera człowiekowi węch, nie?  
- powiedział Collier, bacznie przyglądając się Faith.

- Nie czujesz tego? - Faith otworzyła drugie okno. Nie miała zamiaru nawiązywać nici porozumienia z tym osłem. - Gdzie telewizor?

Collier przeciągnął palcem po długiej szafce RTV. Jednolita warstwa kurzu rozstała się jak Morze Czerwone.

- Stał tutaj, ale zniknął. Chyba był wielki.

- Nie ma też komputera. - Faith otworzyła szufladę w stole przy kanapie i długopisem przegrzebała w ulotkach z menu na wynos. - Ani iPada. Ani laptopa. - Otworzyła kolejną szufladę i zobaczyła więcej śmieci. I ani śladu klucza do garderoby.

- Harding wygląda na człowieka preferującego papier - stwierdził Collier.

Faith zakasłała, gdy nowy zapach uderzył ją w nozdrza. Otworzyła następne okno.

- Przy łóżku w jego sypialni widziałam ładowarki.

- Przypuszczam, że do telefonów. - Collier znowu skrzyżował ramiona. Stał na szeroko rozstawionych nogach. Ten nawyk został mu pewnie z czasów, gdy patrolując ulice, nosił przy biodrach wyposażenie ważące ponad dwadzieścia kilogramów. - A co do Trenta... Jesteś też jego przyjaciółką, czy masz kogoś poza pracą?

Faith patrzyła, jak policyjny radiowóz zatrzymuje się obok jej mini coopera. Pewnie byli w drodze, kiedy Collier odwołał prośbę o wsparcie, i jednak postanowili sprawdzić, co się dzieje. Policjanci byli młodzi i gorliwi. Patrząc na dom Hardinga, obaj wyciągnęli szyje, a kierowca opuścił szybę.

- Wszystko w porządku! - zawołała Faith, dając im znak przez okno, żeby odjechali.

Ale kierowca nie posłuchał.

- Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło - powiedział Collier. - Poślemy jednego z mundurowych na poddasze po pudła, nie powiemy o szczurze i zobaczymy, co się stanie.

- Dwa tygodnie zastrzyków przeciwko wściekliźnie - odparła Faith. Wiedziała, że właśnie na to liczył Harding, kiedy chował kartony na poddaszu wraz z opakowaniem mielonego mięsa i szczurem ukradzionym małemu dziwakowi. Jeszcze jeden sposób na zemstę za swoje przesrane życie. Harding wiedział, że od śmierci dzieli go zaledwie tygodnie. Albo zginie z czyjejś ręki, albo umrze śmiercią naturalną z własnej winy. Wiedział też, że ktoś będzie musiał opróżnić jego dom, i wtedy natknie się na szczura.

Gdy Faith wyszła na zewnątrz, oślepiający blask poraził jej oczy. Nie wiedziała, czy po policzkach spływają łzy, czy strużki krwi. Nie dbała o to. Harding był policjantem i doskonale wiedział, czym się ryzykuje, robiąc nalot w czyimś domu, a mimo to ich wrobił.

Uniosła dłoń, żeby osłonić oczy przed słońcem. Policjanci

stali przy radiowozie ze spuszczoneymi głowami i wzrokiem wbitym w telefony.

- Daj mi łyżkę do opon - zwróciła się do kierowcy.

- Łyżkę do opon?

Faith wsadziła rękę przez okno i otworzyła bagażnik. Zestaw narzędzi leżał z boku. Wzięła do ręki łyżkę z hartowanej stali i przez chwilę ważyła jej ciężar. Łyżka była prosta, miała kształt litery L i końcówkę do odkręcania śrub.

Idealnie.

Collier obserwował ją z okna. Kiedy weszła do domu, złapała krzesło z taniego kompletu jadalnego i zaczęła je ciągnąć po korytarzu, poszedł za nią.

- Co robisz? - zapytał.

- Dam wycisk temu dupkowi. - Stała na krześle, zamachnęła się energicznie i końcówka utkwiała w płycie gipsowo-kartonowej. Faith wsunęła łyżkę głębiej, odwróciła pod odpowiednim kątem i pociągnęła do siebie. Na podłogę upadł kawał sufitu. Faith zrobiła kolejny zamach. Pomyślała o stronie internetowej Mesa Arms, z której wyczytała o energooszczędnych rozwiązaniach, na przykład o izolacji z pianki poliuretanowej na poddaszu. Dzięki temu mogła zrobić dziurę w suficie bez obawy o przysypanie.

Rzuciła łyżkę, zadowolona, że jej przypuszczenia okazały się prawdziwe. Dwa kartony znalazły się w zasięgu jej ręki. Musiała tylko odpędzić muchy, żeby się do nich dostać.

- Proszę pani - zawołał z korytarza jeden z mundurowych - dalej są schody.

- Na górze jest szczur - wyjaśnił Collier. - Wielki jak brat

Godzilli.

- Jak Rodan?

- Jak Chibi, stary. Rodan był surogatką. Rodzonym bratem Godzilli był Chibi.

- Goro - poprawiła go Faith. Przez trzy lata w każdą sobotę oglądała filmy z Godzillą, kiedy Jeremy przechodził przez fazę fascynacji potworami. - Collier, pomóż mi z tymi pudłami.

- Ona ma rację. Szczur wyglądał jak Gorosaurus. - Odsłonił zęby i rozcapierzył palce jak szpony. - Jak żądny krwi potwór.

Faith spuściła mu na głowę pierwsze pudło.

Jak na złość Collier zdołał je złapać. Umieścił je na ziemi i czekał, aż Faith poda mu drugie.

- Potrzebujecie nas jeszcze? - zapytał jeden z mundurowych.

- Nie, brachu. - Collier potrząsnął głową.

- Garderoba - przypomniała mu Faith.

Collier gestem nakazał im iść za nim do drugiego pokoju.

Faith niepewnie zeszła z krzesła z ciężkim pudłem w rękach i ułożyła je obok pierwszego. Z pokoju obok dobiegała ożywiona dyskusja o najlepszym sposobie usunięcia bolców z zawiasów, jakby nigdy nie słyszeli o młotku i płaskim śrubokręcie.

Strzepnęła kurz z ramion i przejechała palcami po włosach, by usunąć z nich pył. Smród gnijącego mięsa był tak gryzący, że musiała otworzyć okna w sypialni i wypchnąć siatki, żeby roje much miały jak wylecieć. No cóż, dziurawienie sufitu

raczej nie było najlepszym pomysłem, ale kiedy się wściekała, przestawała myśleć logicznie, a Dale Harding naprawdę doprowadził ją do wściekłości.

W GBI prowadziła śledztwa w sprawie złych policjantów. Wszystkich łączyła jedna wspólna cecha - nadal uważali się za dobrych. Nie miało znaczenia, czy chodzi o kradzież, gwałt, zabójstwo, wyłudzenie, wymuszenie okupu czy stręczycielstwo. Uważali, że przestępstwa, które popełnili, służyły wyższemu celowi. Troszczyli się o swoje rodziny. Chronili braci w mundurach. Popełnili błąd. To się nigdy nie powtórzy. Denerwowało ją, jak gorąco wszyscy zapewniali, że mimo wszystko nadal są dobrymi ludźmi.

Harding nie poprzestał na tym, że był zły. On narzucał zło innym.

A ona musiała zanurzyć się głębiej w jego brudach.

Pociągnęła krzesło w stronę okna, kopnęła pudła w tym samym kierunku i usiadła. Starła się nie zastanawiać, skąd wilgoć na pokrywie pierwszego pudła, ale pamięć usłużnie podsuwała jej zasłyszaną gdzieś informację, że szczury znaczą moczem każde miejsce, w którym się znajdują.

Wzdrygnęła się na samą myśl i zabrała za przeglądanie starannie oznaczonych akt.

Dale Harding był prywatnym detektywem. Pierwsze pudło zawierało dokumentację pracy, jaka przypada w udziale każdemu prywatnemu detektywowi na świecie: zdjęcia niewiernych żon i mężów w tanich motelach, w samochodach, w bocznych uliczkach, na przydrożnych stacjach benzynowych i w domkach dla dzieci na tyłach



domu.

Harding dokumentował wszystko drobiazgowo i skrupulatnie. Do rozliczeń za zlecenia dołączał rachunki za paliwo, posiłki i wywoływanie zdjęć. Wszystkie spinał zszywaczem. Rejestry czynności pokrywały się z trasą pokonywaną przez obserwowanych. Pisał drobnymi drukowanymi literami, z błędami, jakich można się spodziewać u faceta, który trafił do akademii policyjnej zaraz po liceum. Wprawdzie Faith zrobiła to samo, ale jednak znała zasady stosowania apostrofów.

Collier stanął w drzwiach.

- Garderoba czysta - oznajmił.
- Szkoda, że do sprawdzenia jej nie wezwałeś brygady antyterrorystycznej.

Collier w końcu pokazał coś więcej niż irytującą pewność siebie, ponieważ oboje już wiedzieli, że w przypadku Hardinga słowa Faith nie były jedynie żartem.

- Wcześniej coś w niej było. Na wykładzinie odbił się okrągły kształt jak po dwudziestolitrowym wiadrze.

Faith wstała, żeby obejrzeć ten ślad. Dwaj mundurowi wrócili do telefonów. Ze spuszczonej głowami, ze wzrokiem wbitym w wyświetlacze, jak zahipnotyzowani przebierali palcami po klawiaturze. Faith mogłaby zatłuc Colliera łyżką do opon, a oni by tego nie zauważyli.

Wymontowane drzwi garderoby stały oparte o ścianę. Faith uruchomiła aplikację „latarka” w telefonie, by obejrzeć wnętrze garderoby o wymiarach metr dwadzieścia na dwa czterdzieści. Było dokładnie tak, jak mówił Collier. W rogu

na brązowej wykładzinie widniał ślad koła. Faith omiotła wzrokiem resztę garderoby. Pręty na wieszaki zostały usunięte. W miejscu, gdzie powinno być oświetlenie, wisiały gołe przewody. Białe ściany były porysowane na dole. W środku wisiał smród nieoczyszczonych ścieków.

- Takie historie widzę na okrągło - powiedział Collier. - Kurierzy narkotykowi przyjeżdżają z Meksyku z tabletkami albo heroiną w proszku w żołądkach. Srają do wiadra, zgarniają forszę i wracają do Meksyku po następną porcję prochów.

- Myślisz, że w takim miejscu, gdzie zakazano czarnych figurek w ogrodach, nikt nie zadzwoniłby pod dziewięćset jedenaście na widok bandy Meksykanów wchodzących i wychodzących z domu Hardinga? - Po tych słowach zwróciła się do mundurowych: - Odwróćcie drzwi.

- Musimy lecieć. Dzwonili z dyspozytorni. - Żaden nie podniósł głowy, gdy wychodzili z pokoju.

- Porządni chłopcy, nie? - Collier był pod wrażeniem.

Faith złapała drzwi z obu stron. Jak się spodziewała, były zrobione z litego drewna. Przechyliła je na bok, oparła na kancie i odwróciła. Wyślizgnęły jej się z rąk i górnym brzegiem uderzyły o ścianę, znacząc ją długą szramą. Faith odsunęła się, żeby rzucić na nie okiem. Na dole zobaczyła zadrapania. Przyjrzała się uważnie zawiasom, upewniwszy się, że patrzy na wewnętrzną stronę drzwi.

- Szczur? - podsunął Collier.

Faith sfotografowała zadrapania.

- Potrzebujemy techników - powiedziała.

- Twoich czy moich?

- Moich. - Wysłała zdjęcie Charliemu Reedowi. Przypuszczała, że uraduje go zmiana scenerii po siedmiu godzinach pracy w nocnym klubie Marcusa Rippy'ego. Esemesem przesłała adres i poprosiła Charliego, żeby najpierw zajął się garderobą. Nie była naukowcem, ale w jej mniemaniu dwudziestolitrowe wiadro i zamknięte drzwi z zadrapaniami od wewnątrz oznaczały, że ktoś był w środku przetrzymywany.

Mogła to być też czysta złośliwość ze strony Hardinga, który to wszystko sprokurował, żeby zmarnować ich czas.

- Kiedy tu weszliśmy, drzwi garderoby były zamknięte. Po co zamykać drzwi, skoro w środku nic nie ma?

- A po co Harding w ogóle coś robił? - Faith wróciła do drugiej sypialni, usiadła na krześle i zaczęła wkładać akta niewiernych małżonków do pierwszego pudła. Gdy Collier znów stanął w drzwiach, dodała: - Tu nic nie ma. Przynajmniej nie takie rzeczy, jakie schowałyby się za szczurem.

- Nieważne, co mówi Violet. Ten stwór wyglądał, jakby był w ciąży.

Collier usiadł na materacu, który wydał z siebie dźwięk bliski pierdnięciu. Posłał jej dokładnie takie spojrzenie, jakiego się spodziewała, i zdjął pokrywę z drugiego pudła. W środku nie było teczek z dokumentami. Collier zobaczył stosy kartek ze zdjęciami roznegliżowanych dziewczyn na wierzchu.

Podał Faith papiery, sam wziął zdjęcia.

Faith szybko przejrzała kartki. Historia przyjęć do szpitala. Nakazy aresztowania. Papiery z ośrodka resocjalizacji. Kartoteka policyjna. Wszystko dotyczyło jednej osoby, dwudziestodwuletniej Delilah Jean Palmer, zamieszkałej w Cheshire Motor Inn, ulubionym miejscu spotkań prostytutek. Żadnych informacji o rodzinie, od urodzenia była podopieczną stanowych placówek wychowawczych.

Pozowała do zdjęć dla BackDoorMan.com. Z najnowszego zdjęcia policyjnego Delilah Jean Palmer spoglądała ta sama kobieta, która widniała na pikantnych fotografiach znalezionych przez Sarę w portfelu Hardinga. Na każdym zdjęciu miała inny kolor włosów, czasem platynowy blond, czasem naturalny brązowy, czasem fioletowy albo różowy.

- To ona. - Collier przysunął się bliżej i pochylił, dotykając barkiem ramienia Faith. Pokazał jej większą wersję zdjęć z portfela: Delilah Palmer upozowana przy kuchennym kontuarze, z głową zwróconą w stronę fotografa, z otwartymi ustami imitującymi podniecenie seksualne. - Według mnie nie jest prawdziwą blondynką. Widzisz, Mitchell, szybko się uczę. Powinnaś trzymać mnie przy sobie.

Faith wiedziała, że informatycy z GBI już przeszukiwali zasoby BackDoorMan.com, nie mogła się jednak powstrzymać.

- Może sprawdzisz tę stronę? - zaproponowała.

- Dobry pomysł.

Collier wyjął telefon. Faith liczyła, że w ten sposób zapewni sobie co najmniej godzinę spokoju. On będzie oglądał porno w sieci, a ona zajmie się pracą.

Tak samo jak we wszystkich jej dotychczasowych związkach.

Wróciła do przeglądania dokumentów. Zdziwiło ją, że Harding trzymał kartoteki nieletniej Delilah Palmer. Kartoteki nieletnich zwykle były opieczętowane. Pierwszy raz Palmer została zatrzymana jako dziesięcioletka za sprzedaż oksykodonu w szkole podstawowej imienia Johna Wesleya Dobbsa we wschodniej Atlancie. Faith spędziła w tej szkole sporo czasu, gromadząc dowody w sprawie przeciwko szkołom publicznym w Atlancie za rozpowszechnione oszustwa przy egzaminach testowych. Niektórzy przedstawiciele kadry nauczycielskiej spotkali się przy kolacji, podczas której wymazali i zmienili odpowiedzi uczniów na arkuszach egzaminacyjnych, zawyżając wyniki.

Przyjrzała się bacznie fotografii policyjnej Delilah Palmer sprzed dwunastu lat. Drobnymi dłońmi nie była w stanie prosto trzymać tabliczki przed obiektywem aparatu. Czubkiem głowy nie sięgała do pierwszej linii namalowanej na ścianie za nią. Na twarzy miała strupy. Krótkie brązowe włosy były brudne i rozczochrane. Miała podkrążone oczy. Może z niewyspania, może z głodu, a może z braku przynależności.

W szkole stanowiła osobliwość, ale wcale nie dlatego, że tak wcześnie zajęła się handlem narkotykami. Kiedy w zeszłym miesiącu Faith przygotowywała dokumentację do procesu, musiała tłumaczyć prokuratorowi okręgowemu, że nie popełniła błędu. W dwa tysiące dwunastym roku biali uczniowie szkoły Johna Wesleya Dobbsa nie stanowili nawet

pięciu procent ogółu uczniów. Innymi słowy, byli w drastycznej mniejszości. Gdyby te proporcje były odwrócone, miasto nie dopuściłoby do sytuacji, w której proceder fałszowania wyników testów trwał tak długo i nie wzbudził niczyich podejrzeń.

Faith przeszła do raportu dotyczącego kolejnych aresztowań. Dwunastoletnia Delilah znowu oskarżona o sprzedaż oksykodonu. Sytuacja powtarza się, gdy Delilah ma piętnaście lat. Jako szesnastolatka Delilah porzuca szkołę, a także oksykodon, który zastępuje heroiną. Tak się zwykle dzieje, kiedy człowieka nie stać na oksykodon. Tabletki o wadze osiemdziesięciu miligramów kosztowały od sześćdziesięciu do stu dolarów w zależności od rynku. Takie same pieniądze wydane na torebkę heroiny zapewniały odlot przez kilka dni.

Przebiegła wzrokiem rejestry policyjne. Zwolnienie warunkowe. Program resocjalizacyjny. Kolejne zwolnienie warunkowe. Odwyk.

Mimo kryminalnej przeszłości Delilah Palmer ani razu nie spędziła w więzieniu więcej niż jedną noc.

Pierwszy raz została aresztowana za prostytucję krótko przed siedemnastymi urodzinami. Czterokrotnie zatrzymywano ją za nagabywanie mężczyzn, dwukrotnie za handel trawką, dwukrotnie za handel heroiną. Wszystko kończyło się darmowym noclegiem w więzieniu okręgowym, przed południem następnego dnia już była wolna.

Faith przyjrzała się nazwiskom policjantów aresztujących Delilah. Niektóre z nich brzmiały znajomo, a większość

pochodziła ze strefy szóstej. To miało sens, ponieważ przestępcy są jak inni ludzie i zazwyczaj trzymają się swojej okolicy.

Dale Harding także pracował w szóście i najwyraźniej miał oko na Delilah Palmer przez całe jej życie. Faith domyślała się, że wykorzystywał swoje znajomości wśród policjantów, by chronić ją przed poważniejszymi problemami.

- Podzielisz się ze mną informacjami czy mam zgadywać? - zagadnął Collier.

- Jedzie od ciebie wymiocinami.

- Właśnie się porzygałem. Nie słyszałaś mnie w łazience? Echo rozeszło się po całym domu.

Faith podała mu kartotekę Delilah Palmer.

- Dwie sypialnie, dwa łóżka. Ktoś tu mieszkał z Hardingiem.

- Myślisz, że była laską Hardinga? - Collier zmarszczył brwi. - Nie rzuca na kolana, ale mogła mieć lepszego niż on.

Faith pomyślała o zamkniętej garderobie, wiadrze, smrodzie. Harding mógł prowadzić odwyk na własnych warunkach. Zimny indyk w garderobie był o wiele tańszy niż piętnaście patyków za leczenie szpitalne. To wyjaśniałoby wszechobecny brud. Ten dom przypominał melinę ćpuna.

- Widziałaś to? - Collier wskazał leżący na ziemi aparat na zęby. - Wszystkie moje siostry je nosiły. Nie takie same, ale ich aparaty też były takie małe. Miały taki rozmiar, żeby dziewczyna mogła go wziąć do buzi.

Faith nie rozumiała, po co Collier używa tylu słów, żeby powiedzieć tylko jedno.

- Co ze stroną internetową?

- Nic nie wyskoczyło. - Roześmiał się. - Kalambur zamierzony. Sam wolę frontowe drzwi. I kołatki. - Gdy Faith przewróciła oczami, dodał: - Wiesz co, Mitchell? Od pierwszej chwili wiedziałem, że wylądujemy w sypialni, oglądając porno.

Bez słowa zaczęła podnosić się z krzesła.

- Zaczekaj. - Collier złapał zdjęcia z pudła. - Popatrz na te. Delilah pozowała od dawna. Na zdjęciach dla BackDoorMan.com ma około szesnastu lat. Na wcześniejszych nie ma ani adresu strony, ani innych danych identyfikacyjnych, ale tutaj wygląda na jakieś dwanaście, góra trzynaście lat.

Faith zestawiała te zdjęcia ze zdjęciami policyjnymi Delilah wykonanymi przy okazji kolejnych aresztowań. Collier pomylił się o dwa lata. Faith doprecyzowała wiek Delilah na podstawie danych z pierwszego aresztowania, kiedy dziewczynka miała zaledwie dziesięć lat. Perwersyjne zdjęcie przyprawiało o ból serca. Delilah miała na sobie koronkowe figi i stanik, który trzeba było spiąć z tyłu, żeby z niej nie spadł. Pozbawiona jeszcze talii i kobiecych krągłości, miała jedynie dziecięcy tłuszczyk, który heroina ostatecznie jej odbierze. Faith spojrzała w jej martwe, nieobecne oczy. Mówiły wszystko o dziewczynce na odległość trącej porzuceniem.

Dlaczego Harding, który według relacji innych nie zważał na nic i na nikogo, tak się interesował tą porzuconą istotą? Kim dla niego była?



- Co teraz, partnerko? - spytał Collier, specyficznie akcentując ostatnie słowo.

- Zaraz wrócę - rzuciła Faith, zrywając się z krzesła. Pobiegnęła do kuchni, a Collier znowu ruszył za nią. Był jak małe dziecko płaczące się pod nogami. Zatęskniła za milczącą powściągliwością Willa. - Przecież możemy się rozstać na dłużej niż dwie sekundy - dodała kąśliwie.

- A skąd będę wiedział, co kombinujesz?

Otworzyła zamrażarkę. Przestrzeń szczelnie wypełniały lody i alkohol, znalazła jednak to, czego szukała. Wypełniona papierami plastikowa torebka z zapięciem strunowym leżała upchnięta z tyłu. Pod wpływem niskiej temperatury przymarzała do pudełka z paluszkami rybnymi. Faith musiała kilka razy walnąć pudełkiem w ściankę zamrażarki, żeby oderwać od niego torebkę.

Służby ratunkowe radziły ludziom przewlekle lub śmiertelnie chorym, by wkładali dokumenty, w tym wskazania medyczne, do zamrażarki, bo wtedy sanitariusze łatwo je znajdowali. Mimo lekceważenia dla wszelkich norm, Harding posłuchał tej rady. Jednak z dokumentów jasno wynikało, że chce, by ratowano mu życie przy zastosowaniu wszelkich możliwych procedur medycznych.

- Jeeezu - jęknął Collier, który oczywiście zaglądał Faith przez ramię. - Facet ma wyrok śmierci, ale chce, żeby ratownicy walczyli o jego życie za wszelką cenę?

- Wypełnił to oświadczenie woli dwa lata temu i może o nim zapomniał.

Na drugiej stronie deklaracji Faith znalazła dane

kontaktowe.

Najbliższy krewny/a:

*Delilah Jean Palmer*

Stopień pokrewieństwa:

*Córka*

- Była jego córką - powiedział Collier, jakby zapomniał, że Faith też ma oczy i umie czytać. - A z jej kartoteki wynika, że jest sierotą.

Obok imienia Delilah widniały trzy numery telefonów, w tym dwa przekreślone. Każdy był zapisany innym odcieniem atramentu. Faith wybrała numer, który nie został przekreślony, i po chwili usłyszała nagraną informację operatora, że numer jest wyłączony.

Spróbowała wybrać dwa pozostałe.

Także zostały wyłączone.

Collier wyjął komórkę i powiedział:

- Moja kolej na magiczną sztuczkę.
- Proszę bardzo.

Ruszył za nią do sypialni. Faith wyciągnęła przed siebie rękę, żeby go powstrzymać.

- Nie musimy robić wszystkiego razem.
- A jeśli szczur wróci? Na dodatek z młodymi?
- To krzycz z całych sił.

Przemierzając korytarz z powrotem, Faith zerknęła w stronę schodów na poddasze. Szczur nadal tam siedział, może nawet właśnie rodził trojaczki. W takim dniu wszystkiego się można spodziewać. Szczęśliwie Faith zrobiła więcej dziur w suficie, na wypadek gdyby zwierzę

postanowiło powiększyć swoje terytorium.

Faith znowu usiadła na krześle i zaczęła oglądać zdjęcia Delilah.

Odkładając na bok odrażający fakt, że ojciec trzymał zdjęcia nagiej dwunastoletniej córki pochylonej nad koniem na patyku, z dziewczynką było coś nie w porządku. Faith nie umiała nazwać tego, co odróżniało te zdjęcia od setek im podobnych, jakie widziała przez lata pracy w policji, ale coś jej się nie zgadzało.

Różne formy wykorzystywania łączy jeden wspólny mianownik: cierpienie. Delilah miała szkliste oczy, prawdopodobnie od heroiny, którą albo jej podano, albo obiecano, by skłonić ją do pozowania. Czerwone ślady na udach zdradzały, że ktoś brutalnie z nią sobie poczynał. Cienka warstwa pudru ledwie maskowała sińce wokół szyi. Na zębach miała ślady szminki. Dla Faith nie było to nic nowego ani zaskakującego.

Nie opuszczało jej jednak wrażenie, które towarzyszyło jej przez cały dzień: do diabła, coś tu się nie zgadza!

A Faith nie znosiła, kiedy coś jej się nie zgadzało.

- Dziwne, że to zdjęcia, prawda? - Collier znowu sterczał w drzwiach.

- Chcesz powiedzieć, że niektórzy ojcowie trzymają zdjęcia swoich dzieci z czasów szkolnych, a tylko Harding trzymał nagie zdjęcia córki?

- Nie o to mi chodzi. Dlaczego nie miał wideo? Pornografia jest jedynym powodem istnienia internetu. Internet zniszczył branżę nagich zdjęć, nawet „Playboy” dał sobie z tym spokój.

- Pytasz, dlaczego Harding oglądał nagie zdjęcia córki, zamiast nagie wideo?

- Zasadniczo tak. Cholera. - Przycisnął rękę do gardła i zakasłał. - Chyba połknąłem muchę.

- Spróbuj nie otwierać ust.

- Ha, ha! - Usiadł na materacu, który znowu wydał z siebie pierdzący dźwięk, a Collier posłał Faith znaczące spojrzenie. Znowu. - Poprosiłem moją dziewczynę w archiwum, żeby poszperała w kartotekach i na cito znalazła coś o Delilah. Przekonamy się, co ostatnio przeszkrobała. Po śmierci Hardinga szybko wylądował w pace i nikt już jej stamtąd nie wyciągnie.

- Ona może coś wiedzieć - stwierdziła Faith. - Musimy ustalić, co Harding porabiał w ostatnim tygodniu życia. To nam wyjaśni, dlaczego wylądował w nocnym klubie Rippy'ego. Był pedofilem czy złym ojcem? - spróbowała wyrazić to, co nie dawało jej spokoju.

- Według mnie i jednym, i drugim.

- Chyba rozbił dla niej bank. - Policyjną walutą była wiedza, do kogo zadzwonić, a także świadomość, że kiedy ta osoba oddzwaniała, robiło się wszystko, czego chciała, bez zadawania zbędnych pytań. - To nie są prośby do mundurowego o anulowanie mandatu za przekroczenie prędkości. To przysługi z wyższej półki. W grę wchodzi porucznicy, kuratorzy sądowi, nawet sędziowie. Nie ma mowy, żeby ich wszystkich opłacił. Pracował przy przestępstwach urzędniczych, nie miał koneksji, wpływów. W policji pewnie nie ma już nikogo, kto odebrałby telefon od

niego.

- Znasz opowieść o tatusiu, który przestał chodzić do pracy, bo nie mógł zostawić córeczki samej?

Faith pokręciła głową. Marzyła, żeby Collier w końcu się zamknął. Will miał zjadliwe poczucie humoru, ale nigdy nie pozwoliłby sobie na żart o mężczyźnie molestującym własne dziecko.

Jakimś cudem Collier w końcu dostosował się do jej nastroju.

- Harding nie ma komputera ani drukarki - zauważył.

Faith przyjrzała się uważnie papierowi.

- Tych zdjęć nie wywołano w laboratorium fotograficznym. Ktoś to zrobił sam.

- Dla niego?

- Po co? Żeby go szantażować? - Faith pomyślała o nagłym przyplywie gotówki u Hardinga. Pół roku temu sprowadził się do Mesa Arms i kupił nowy samochód. - Myślę, że było odwrotnie, raczej to Harding do czegoś się dogrzebał. Mam ochotę zadzwonić do zarządu gier liczbowych i zapytać o niego.

Telefon Colliera zasygnalizował nadejście wiadomości.

- Jest załącznik - powiedział po chwili Collier. - O rany, robi się coraz ciekawiej. - Podsunął Faith telefon.

Zerknęła na wyświetlacz, a potem musiała przeczytać dokument aż dwa razy, zanim zrozumiała jego treść.

Pięć i pół miesiąca temu Vernon Dale Harding poślubił Delilah Jean Palmer. To było jego piąte małżeństwo, a jej pierwsze.

Faith odruchowo na moment zakryła dłonią usta.

- Jasna cholera, gość ożenił się z własną córką! - zawołał Collier.

- To nie może być prawda - słabym głosem zaproponowała Faith.

- Patrzysz na oficjalny dokument. Tu nie ma pomyłki.

- Dwa lata temu podał ją jako swoją córkę. Widziałeś to na formularzu. - Faith знаła fakty, a jednak czuła się zdezorientowana.

Collier, choć też mocno poruszony, podchodził do sprawy spokojniej, konkretniej.

- Oświadczenie woli nie jest oficjalnym dokumentem - wyjaśnił - chyba że ktoś je znajdzie i przywiezie do szpitala.

Faith miała mętlik w głowie. Chciała wrócić i jeszcze raz uważnie przyjrzeć się papierom, chociaż dobrze wiedziała, że nie ma mowy o pomyłce.

- Jak to się stało? Nie można poślubić krewnego, chyba że dostanie się pozwolenie. Ale ojciec i córka... Urzędnicy sprawdzają...

- Delilah figurowała w systemie jako sierota, a Harding najpewniej nigdy nie miał praw rodzicielskich. Mogli sprawdzać wszystko, co chcieli, a ich pokrewieństwo nie wyszłoby na jaw.

Pornograficzne zdjęcia wypadły Faith z ręki i rozsypały się po podłodze. Broniła się przed natrętnym pytaniem, dlaczego Dale Harding trzymał je latami.

- Boże, ta biedna dziewczyna nigdy nie miała szansy.

- Nie sypiał z nią - powstrzymał jej protest. - Przynajmniej

nie ostatnio, bo w łazience nie ma viagry. Zważywszy na to, w jakim był stanie, niewiele z chłopca w nim zostało. Traktor nie mógł już orać pola – zakończył ze śmiechem.

- Musimy znaleźć tę dziewczynę. - Faith zaczęła pisać do Amandy wiadomość w sprawie wystawienia listu gończego za Delilah. - Była prawowitą żoną Hardinga. Harding został znaleziony martwy albo zamordowany w pokoju pełnym krwi. Gdybym ja go zabiła, szukałabym kogoś, komu Harding mógł ufać. Czy jest jego żoną, czy córką, musi coś wiedzieć choćby dlatego, że z nim mieszkała.

- Zauważyłaś, że jej tu nie ma? - Nastrój Colliera uległ zmianie. Zaczynał rozumieć. - Nie ma telewizora, nie ma komputera. Może usłyszała o jego śmierci, wiedziała, że sama stanie się celem, więc sprzedała jego rzeczy i pozbyła się dodge'a.

- Violet, administratorka osiedla, nigdy nie spotkała Delilah. I ta dziwna sprawa z garderobą. Po co ukrywałbyś dziewczynę przed sąsiadami, gdybyś nie miał powodu jej ukrywać?

- Jest dziwką, więc zna ulicę. Pewnie wykorzystywała Hardinga tak samo jak on wykorzystywał ją. Może to ona go zabiła. Widzę tę sytuację: dziewczyna trafia na niewłaściwego faceta, Harding staje w jej obronie i kończy z gałką od drzwi w szyi.

- Bez względu na to, co zaszło, grozi jej niebezpieczeństwo - powiedziała Faith. - Czy archiwum przysłało ci jej ostatni znany adres?

Collier zajrzał do telefonu.

- Renaissance Suites I-20. Moja dziewczyna już dzwoniła do zarządcy i przesała mu zdjęcie Delilah z ostatniego zatrzymania. Facet twierdzi, że nic nie wie.

Faith usłyszała sygnał telefonu, a po chwili przeczytała wiadomość.

- Amanda rozesłała list gończy za Delilah. Musisz uruchomić swoje kanały w policji. Zbierz informacje o dziewczynie. Zapukajcie do wszystkich drzwi w każdym budynku czy domu, w którym kiedykolwiek mieszkała. Sprawdź jej kartotekę, jedź do szkoły, znajdź jej przyjaciół.

Collier słuchał jej z dziwnym wyrazem twarzy.

- Coś jeszcze, szefowo?

- Tak. Zapuszkowali ją za nagabywanie mężczyzn, więc jest też jakiś alfons. Znajdź go, pogadaj z nim. Zabierz na komendę, przymknij, jeśli nie będzie innego wyjścia. - W jej telefonie włączył się alarm, dlatego Faith zaczęła chować teczki i zdjęcia do pudeł. - Musimy znaleźć Delilah, zanim zrobi to ktoś inny.

- A ty co zamierzasz robić w czasie, kiedy ja będę w pocie czoła wypełniał twoje polecenia?

- Muszę jechać do szpitala i porozmawiać z niezidentyfikowaną dziewczyną, którą znalazł Will. Mogła coś wiedzieć ostatniej nocy.

- Gwoli ścisłości to my ją znaleźliśmy. To znaczy Will i ja.

- Will i ja - rzuciła kąśliwie, dźwigając oba pudła, które okazały się cięższe, niż się spodziewała. - Zanim dotrę do szpitala, powinnam mieć informacje o koncie bankowym Hardinga i dane z jego telefonu. Przejrzę te dane



i porównam z...

- Czekaj. - Collier szedł za nią korytarzem. Znowu. - Twoja N.N. mnie zna. Pewnie będzie wolała porozmawiać z kimś przyjaźnie nastawionym.

Faith zatrzymała się tak gwałtownie, że Collier wpadł na nią.

- Charlie Reed, nasz technik, będzie tu lada moment. Zaczekaj na niego, potem jedź szukać Delilah. Jeśli gdzieś ją znajdziesz, przywieź do nas, bo musimy z nią porozmawiać. Jeśli Angie i Harding zginęli z konkretnego powodu, ona może go znać, a to bardzo niebezpieczna wiedza, taka, co to nieraz na jej posiadacza sprowadza śmierć.

- Naprawdę uważasz, że coś jej zagraża?

- A ty myślisz inaczej?

- Niewiele jest w tobie z feministki, co? - Collier wyszczerzył zęby w uśmiechu na widok jej miny. - Przecież to Delilah mogła załatwić ich oboje, Angie i Hardinga. Nie przyszło ci to do głowy? Kobiety też są zdolne do zabójstwa, partnerko.

- Jeszcze raz nazwiesz mnie partnerką, a przekonasz się, do czego naprawdę zdolne są kobiety.

Tym razem Collier potraktował jej słowa poważnie.

- Dam znać Ngô, co ma robić. Dołączę do niego, jak tylko zjawi się tu wasz człowiek. Mam później zadzwonić?

- Jeśli znajdziesz Delilah albo zdobędziesz cenne informacje, to tak.

- A jeśli nabiorę ochoty na wspólne obejrzenie kolejnych pornosów?

Faith otworzyła drzwi wejściowe, pomagając sobie barkiem. Miała spuszczoną głowę, żeby wyraz oczu jej nie zdradził. Przy samochodzie oparła pudła na zgiętym kolanie i zaczęła szarpać się z klamką, przez co omal nie upuściła wszystkiego na ziemię. W końcu udało jej się pociągnąć klamkę małym palcem, a czubkiem stopy otworzyła drzwi szerzej. Rzuciła pudła na siedzenie pasażera i usiadła za kierownicą. Przez cały ten czas Collier stał w otwartych drzwiach i się gapił. Łaził za nią, kiedy go nie potrzebowała, a kiedy był jej potrzebny, nie kiwnął nawet palcem.

- Niech to szlag - mruknęła.

Amanda miała rację. Był dokładnie w jej typie.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Will stał w holu lśniącego biurowca Tower Place 100. Dwudziestodziwioęciopiętrowy wieżowiec był częścią kompleksu zwanego Tower Place, zajmującego kwartał u zbiegu Piedmont i Peachtree Road. Jego użytkownicy ponosili częściową odpowiedzialność za gęsto parkujące jaguary i maserati blokujące Buckhead rano, w południe i wieczorem.

Nie planował tej wizyty, po prostu poszedł za tropem, jaki zostawiła Angie. Najpierw pojechał do domu przebrać się i zabrać z sejfu dokumenty, potem ruszył do banku Angie, stamtąd do magazynu, w którym miała skrytkę pocztową. I ta skrytka doprowadziła go do Tower Place 100, gdzie wyglądał jak wieśniak, ponieważ zamienił swój zwykły uniform, czyli garnitur i krawat, na znacznie wygodniejszy strój. Nie mógł jednak udawać miliardera abnegata z branży nowych technologii. Miał na sobie dzinsy firmy Lucky, nie od Armaniego, oraz koszulkę polo z długim rękawem. Kupiła mu ją Sara w sklepie, o którym nigdy nie słyszał. Jakby tego było mało, stare buty do biegania były upačkane niebieską farbą, którą pomalował łazienkę.

Położył na ściany jaśniejszy kolor, ponieważ pewnego ranka uświadomił sobie, że czekoladowe i ciemne brązy, jakie wybrał do domu, są zbyt męskie dla Sary.

Sara.

Poczuł, jak klatka piersiowa unosi się i opada w głębokim,

równym oddechu. Już samo jej imię złagodziło niepokój. Pozwolił sobie na chwilę rozpamiętywania, jak dobrze było budzić się w środku nocy i czuć ją przy sobie. Wpasowywała się w niego jak ostatni kawałek skomplikowanych puzzli. Nigdy wcześniej nikogo takiego nie spotkał. Czasem budziła go w nocy, żeby z nim być. Jej dłonie na jego ciele. Ona spragniona jego dotyku. Angie nigdy go tak nie pragnęła.

Skoro tak, to dlaczego tu był?

Spojrzał na grubą szarą kopertę, którą trzymał w dłoniach. W jej rogu widniało wielobarwne logo spółki menedżerskiej Kipa Kilpatricka. Nad numerem skrzynki pocztowej znajdowało się wydrukowane nazwisko Angie. Skrzynka mieściła się w śródmiejskim magazynie UPS w Atlancie. Właściwie w skrzynce Will znalazł dwie koperty, ale tę z kolorowym logo zobaczył jako pierwszą i serce stanęło mu w piersi jak pociąg wjeżdżający w mur.

Stał bez ruchu w holu magazynu ze wzrokiem wbitym w kopertę. Nie dotykał jej, usiłując ochłonać po pierwszym szoku. Miał przed sobą namacalny dowód na związek między Angie i Kipem Kilpatrickiem, a co za tym idzie – Marcusem Rippym. Powinien był z miejsca zadzwonić do Amandy, wezwać ekipę techników, żeby zdjęli odciski palców, i przejrzeć nagrania z monitoringu. Jednak nie zrobił żadnej z tych rzeczy. Amanda natychmiast chciałaby się dowiedzieć, jak trafił na ślad skrytki pocztowej.

Bank Angie dał Willowi kopie wyciągów z jej konta, na których widniał jej adres pocztowy. Will chciał pokazać dyrektorce banku akt ślubu na dowód, że nadal jest

prawowitym mężem Angie, ale nie zażądała od niego tego dokumentu, chciała jedynie zobaczyć prawo jazdy. Na rachunku bieżącym Angie nadal figurowało nazwisko Willa, to samo od dwudziestu lat.

Nie powiedział Sarze o tym konczie.

Ostatni wyciąg z konta Angie wykazał wyjątkowo wysokie saldo, a przecież Angie zawsze żyła od wypłaty do wypłaty. To Will był ciułaczem przerażonym wizją, że kiedy skończą mu się pieniądze, znowu wyląduje na ulicy. Angie wydawała wszystko, co miała w kieszeni. Powtarzała Willowi, że umrze młodo, dlatego chce dobrze się bawić.

Czy rzeczywiście umarła młodo? Czy w dzisiejszych czasach czterdzieści trzy lata to był nadal wiek średni?

Dwie do trzech godzin na znalezienie Angie żywej minęło godzinę temu. Sara była dobrym lekarzem, umiała interpretować dowody znalezione na miejscu zbrodni i wiedziała, ile krwi płynie w ciele człowieka. Mimo to Will nie przyjmował do wiadomości faktu, że Angie nie żyje. Nie wierzył w znaki, ale wiedział, że jeśli spotkałoby ją coś złego, czułby to w trzewiach.

Złożył kopertę na pół, wsunął ją do tylnej kieszeni spodni i ruszył ku windom. Minął dwie, zanim się zorientował, że nie wciśnie się do żadnej z jadących z poziomu parkingu, bo były przepełnione. Spojrzał na zegarek. O wpół do czwartej po południu urzędnicy powinni raczej poganiać zegary niż wracać z późnych lunchów. W windzie, do której w końcu się wepchnął, wisiał zapach alkoholu i papierosów. Guziki zostały wciśnięte. Will zerknął na panel. Czekwały ich

przystanki prawie na każdym piętrze.

Will był w biurze Kipa Kilpatricka tylko raz, podczas krótkiej i spokojnej rozmowy z Marcusem Rippym. Nadal pamiętał kosztowne detale, które rzucały się w oczy na każdym kroku. To miejsce zostało celowo urządzone tak, by robić wrażenie.

Firma 110 Sports Management zajmowała dwa najwyższe piętra budynku, najpewniej po to, żeby mogli zbudować wymyślne szklane schody łączące oba poziomy. Całe ściany pokrywały kalkomanie ściennie przedstawiające naturalnych rozmiarów koszykarzy w różnych fazach wsadów i celnych rzutów za trzy punkty. Oprawione koszulki ze znanymi numerami wisiały na ścianie przed salą konferencyjną niczym fotografie byłych dyrektorów generalnych, w czym nie było ani krzty przesady, ponieważ sport to miliardowy biznes. Nadzwyczajna sprawność fizyczna już nie wystarczała do opłacania rachunków. Trzeba było lansować luksusowe marki odzieży i obuwia sportowego, a do tego mieć własną linię odzieży. A wszystko po to, żeby udowodnić własną wartość i potwierdzić odniesiony sukces.

Mając kontrakt wart miliony dolarów, należało mieć też zespół prawników, menedżerów, agentów i brokerów, z których każdy dostawał swoją dołę. Przy oczywistych korzyściach taka sytuacja była też źródłem problemów. Koncern Coca-Cola jest wart krocie, ale wielkiej liczbie puszek towarzyszy mnóstwo rozlewaczy, którzy chcą na niej zarobić. Jeśli puszka coli wybuchnie, wyjmuje się z lodówki następną. Jeśli sportowiec zostanie zatrzymany za

przekroczenie dozwolonej prędkości i jednocześnie wciąganie kokainy z dziwką na kolanach, wtedy z chwilą opublikowania policyjnej fotografii na portalu plotkarskim cały interes sypie się jak domek z kart.

Była tylko jedna Serena Williams. Był tylko jeden Peyton Manning. I tylko jeden Marcus Rippy.

Jeden obraz nasuwał się Willowi, gdy myślał o Marcusie Rippym. Nie były to zdjęcia przy aucie za trzysta tysięcy, na pokładzie prywatnego odrzutowca czy z ręką na potężnym łbie ulubieńca rasy alaskan husky. Will przypominał sobie zdjęcie, na którym Rippy jest w domu z rodziną, grając szczęśliwego ojca i troskliwego męża, podczas gdy Keisha Miscavage, jego ofiara, musi mieć całodobową ochronę policyjną z powodu pogroźek ze strony fanów Rippy'ego.

Jedno słowo koszykarza mogło powstrzymać tych ludzi. Jedna linijka w wywiadzie, jeden wpis na Twitterze umożliwiłyby Keishy powrót do domu i próbę poukładania życia od nowa.

Tyle że najpewniej Rippy miał uciechę z tego, że dziewczyna jest uwięziona.

Rozległ się dzwonek. Piąte piętro. Drzwi windy otworzyły się, spora grupa wysiadła. Will stał przyklejony plecami do ściany. Odruchowo sięgnął do szyi, kompletnie zapominając, że nie ma na sobie krawata.

Kiedy Collier zawiózł go do domu, Will był przekonany, że został urlopowany, jeśli nie wylany. Pomyślał wtedy, że niepracujący mężczyźni nie muszą nosić garnituru i krawata. To jeden z atrybutów bezrobocia. Teraz żałował, że wybrał

taki strój. Kiedy przed paroma godzinami wychodził z domu, zakładał, że pójdzie tropem Angie. Nie spodziewał się, że doprowadzi go do konfrontacji z Kipem Kilpatrickiem.

Winda stanęła na dwunastym piętrze i połowa ludzi wysiadła, ale nikt nie wsiadł. Will nie odklejał się od ściany. Winda zatrzymała się jeszcze dwukrotnie. Jedna osoba wsiadła i pojechała piętro wyżej. Na piętnastym Will w końcu został sam. Patrzył na wyświetlacz, gdy winda bezszelestnie wiozła go na ostatnią kondygnację. Pod wpływem zmiany ciśnienia zatkało mu uszy.

Przy każdej zmianie numeru myślał: Angie, Angie, Angie.

Oszukiwał sam siebie? Czy Angie naprawdę nie żyła?

Miał na koncie wiele wizyt powiadamiających o czyjejs śmierci. Zbierał się w sobie, zanim zapukał do drzwi. Służył ramieniem, na którym można się było wypłakać, albo brał na siebie krzyki, gdy informował matkę, ojca, męża, żonę, dziecko, że ich ukochani bliscy już nie wrócą do domu.

Co się czuło, będąc po drugiej stronie? Czy ktoś zadzwoni do niego za godzinę, jutro, za tydzień? Czy usłyszy, że jakiś patrol natknął się na samochód Angie i znalazł w środku jej ciało leżące na kierownicy?

Będzie musiał ją zidentyfikować. Zobaczyć jej twarz, zanim uwierzy, że naprawdę odeszła. W tym nieznośnym sierpniowym skwarze jak będzie wyglądać po tylu godzinach? Nalana, rozdęta, nie do rozpoznania. Widywał już takie ciała. Oczywiście zrobią badanie DNA, ale nawet w takim przypadku będzie zadawał sobie pytanie, czy ta opuchnięta odbarwiona twarz faktycznie należała do jego



żony, a może jednak Angie zdołała oszukać śmierć, tak jak zawsze oszukiwała cały świat.

Była twarda, nadal mogła gdzieś się ukrywać. Collier miał rację, Angie zawsze miała jakiegoś faceta, a raczej facetów. Może jeden z nich był lekarzem? Może w tej chwili dochodziła do siebie, zbyt słaba, żeby sięgnąć po telefon i dać Willowi znak życia.

Nie żeby dzwoniła do niego, kiedy w pobliżu była Sara.

Will przycisnął palce do oczu.

Winda stanęła na dwudziestym dziewiątym piętrze i drzwi się otworzyły. Z każdej powierzchni bił w oczy biały marmur. Olśniewająca blondynka o figurze modelki podniosła głowę znad komputera w recepcji. Will od razu ją poznał, był jednak pewien, że ona go nie pamięta.

Mylił się.

- Agencie Trent - zwróciła się do niego z poważną miną - proszę usiąść. Pan Kilpatrick jest jeszcze na spotkaniu. Powinien wrócić za pięć, może dziesięć minut.

Kip Kilpatrick był inteligentny, ale nie miał zdolności jasnowidzenia. Will słyszał, że Amanda ma się spotkać z agentem, a zarazem prawnikiem Rippy'ego z samego rana. Jeszcze pół godziny temu nawet on nie wiedział, że tu będzie. A może Kilpatrick nie tyle spodziewał się jego wizyty, ile na nią czekał. To miało sens. Marcus Rippy był największym klientem Kilpatricka, jego najważniejszą puszką coli. Oblesny agent już storpedował oskarżenie o gwałt, w porównaniu z tym przedstawienie usprawiedliwiającego wyjaśnienia obecności zwłok w nocnym klubie Rippy'ego było bułką

z masłem.

- Tam. - Recepcjonistka gestem wskazała mu miejsce, w którym miał czekać.

Will posłusznie ruszył w tamtą stronę. Hol miał powierzchnię równą powierzchni jego domu. Drzwi z matowego szkła prowadziły do biur, drugie do łazienki, poza tym był odcięty od reszty firmy.

Gdyby sądzić po minimalistycznym wystroju, nikt nie domyśliłby się, że stoi przed wejściem do jednej z najbardziej wpływowych agencji sportowych w kraju. Will przypuszczał, że to celowy zabieg. Żaden potencjalny klient nie chciałby siedzieć w holu i patrzeć na uśmiechniętą twarz swojego rywala z boiska. Z drugiej strony gasnące gwiazdy nie musiały oglądać zdjęć młodych wilczków, które zajęły ich miejsce na ścianie.

Will zajął jeden z wygodnych foteli przy oknach sięgających od podłogi do sufitu. W holu królowały chrom i ciemnoniebieska skóra. Za oknem roztaczała się panorama miasta. Jasnoszare ściany były gęsto pokryte symbolem 110% drukowanym lśniącem werniksem, co upodabniało je do tapet. Will zobaczył znak, którego przedtem tam nie było. Były to ogromne pozłacane litery na niklowanej metalowej płycie wyższej od Willa.

Przyjrzał się literom. Na płycie były trzy linijki tekstu, każda miała około pół metra wysokości. Litery tworzyły wzór ukwiału. „M” krzyżowało się z „A”. „E” płynnie przechodziło w „Y”.

Will od zawsze miał kłopoty z czytaniem. Oczywiście nie

był analfabetą i umiał czytać, ale potrzebował na to czasu. Bardzo mu pomagało, kiedy litery były drukowane albo starannie zapisane. Ledwie skończył szkołę średnią. Większość jego nauczycieli uważała, że jest albo leniwy, albo głupi, albo jedno i drugie. Był w college'u, kiedy usłyszał od profesora o dysleksji. Z nikim nie podzielił się tą diagnozą, chociaż ludzie automatycznie zakładali, że powolne czytanie oznacza powolne myślenie.

Sara była pierwszą osobą, która nie traktowała tego zaburzenia jak upośledzenia.

*Man.*

*Age.*

*Ment.*

Will po cichu odczytał trzy słowa z emblematu. Powtórzył to drugi i trzeci raz.

Z łazienki dobiegł dźwięk splukiwania toalety, szum wody w kranie i warkot suszarki do rąk. Po chwili wyszła stamtąd dobrze ubrana starsza Afroamerykanka. Podpierając się laską, ruszyła w stronę poczekalni.

Recepcjonistka przywołała na twarz uśmiech.

- Laslo wyjdzie do pani za chwilę, pani Lindsay.

Will wstał. Pani Flannigan, która go wychowywała, mogła być jego babcią i podopiecznych nauczyła przedwojennych manier.

Pani Lindsay doceniła ten gest. Posłała Willowi przemiły uśmiech i usadowiła się na kanapie naprzeciwko niego.

- Na zewnątrz ciągle jest taki pieroński upał?

- Tak, proszę pani - odparł Will, siadając z powrotem

w fotelu.

- Boże dopomóż. - Pani Lindsay znów uśmiechnęła się do niego i sięgnęła po czasopismo. „Sports Illustrated”. Z okładki spoglądał Marcus Rippy z piłką w ręce. Will spojrział w okno. Na widok twarzy tego człowieka miał ochotę cisnąć fotel na drugi koniec holu.

Pani Lindsay wyrwała stronę z formularzem prenumeraty i zaczęła się wachlować.

Will założył nogę na nogę i rozparł się wygodnie w fotelu. Czuł pulsowanie w łydce. Na nogawce dżinsów zobaczył plamkę krwi. Miał wrażenie, że od chwili, w której noga ugrzęzła mu w przegniłej podłodze w przeklętym biurówcu, upłynęło całe życie. W domu owinął uszkodzoną łydkę gazą, ale to najwyraźniej nie pomogło.

Zerknął na zegarek, ignorując zaschniętą krew na grzbiecie dłoni. Sprawdził telefon. W skrzynce z wiadomościami miał pełno gróźb Amandy. Jedynym słyszalnym dźwiękiem był szelest stron przewracanych przez panią Lindsay i stukot długich paznokci recepcjonistki w klawiaturę. Stuk, stuk, stuk. Nie miała wprawy w pisaniu na komputerze.

Will nie mógł się powstrzymać od powtarzania mantry z windy.

Angie. Angie. Angie.

Znikała nieustannie. Mijały miesiące, czasem rok, aż pewnego dnia, kiedy Will jadł kolację w kuchni albo leżał na kanapie, oglądając telewizję, wchodziła do domu i zachowywała się tak, jakby widzieli się przed kilkoma

minutami. I zawsze mówiła to samo.

- To ja, kochanie. Tęskniłeś?

To samo robiła teraz. Zniknęła, ale wróci, ponieważ zawsze wracała.

Will zdjął nogę z nogi i pochylił się, wkładając złożone dłonie między kolana. Kilka razy pokręcił tanią obrączką na serdecznym palcu. Kupił ją za dwadzieścia pięć dolców w lombardzie, bo przed obliczem dyrektorki banku chciał wyglądać wiarygodnie. Mógł sobie darować ten wydatek. Dyrektorka ledwie rzuciła okiem na jego dokumenty i dała mu wgląd do finansów Angie.

Potał obrączkę paznokciem. Złoto odpryskiwało, ale obrączka i tak była ładniejsza od tej, którą podarowała mu Angie.

Opuścił ręce. Chciał wstać i pochodzić po holu, ale czuł przez skórę, że zirytuje tym recepcjonistkę, zapewne również panią Lindsay. Nie ma nic gorszego niż obserwowanie kogoś, kto chodzi w tę i z powrotem. Poza tym to ewidentny dowód zdenerwowania, a Will nie chciał, żeby Kip Kilpatrick zorientował się w jego stanie ducha.

Powinien się denerwować? Miał nad Kilpatrickiem przewagę. A przynajmniej tak sądził, chociaż poprzednio agent niemile go zaskoczył.

Sięgnął po czasopismo. Jego wybór padł na „Robb Report”. Na okładce pysznił się Bentley Bentayga SUV. Will przekartkował pismo, żeby odnaleźć artykuł poświęcony temu modelowi. Cyfry nie przedstawiały trudności. Znalazł specyfikację auta i przesunął palec po tekście. Słowa z tej

dziedziny łatwiej mu było odczytywać, ponieważ znał je na pamięć. Uwielbiał samochody. Podwójnie turbodoładowany silnik W12 o pojemności 6 litrów, mocy 608 KM i 900 Nm maksymalnego momentu obrotowego. Maksymalna prędkość 301 km/h. Zdjęcia wnętrza tego cuda pokazywały kunsztownie wykończone skórzane siedzenia i drewniane okleiny na desce rozdzielczej z chromowanymi wskaźnikami.

Will zaczynał od terenowego motocykla kawasaki. Ten środek transportu zapewniał fantastyczne doznania, o ile kierujący mógł pojawiać się w pracy mokry od potu albo deszczu. Teraz jeździł trzydziestosiedmioletnim porsche dziewięćset jedenaście, ale auto nie było oryginalne. Pewnego dnia na porzuconym polu niedaleko domu dostrzegł spalone podwozie porsche. Zapłacił jakiemuś bezdomnemu za pomoc w przeniesieniu wraku do garażu. Po pół roku dało się autem jeździć, ale brak pieniędzy i skomplikowane kwestie techniczne sprawiły, że Will przywrócił autu świetność dopiero po dziesięciu latach.

W Boże Narodzenie Sara zabrała go na jazdę testową zupełnie nowym modelem dziewięćset jedenastki. Wizyta w salonie samochodowym była niespodzianką. Will czuł się tam jak oszust, ale Sara nie musiała niczego udawać. Przywykła do dużych pieniędzy, mieszkała w penthousie wartym ponad milion dolarów, jej bmw X5 było wyposażone we wszystkie możliwe gadzety i bajery. Sara miała pewność siebie wynikającą ze świadomości, że stać ją na wszystko, co zechce. Jak wczoraj, kiedy oglądali domy na sprzedaż, a ona już planowała zmiany wystroju wnętrza i nawet nie zauważyła,

że Willowi trzęsą się ręce z ulotką przy liczeniu szeregu zer.

Numer jego ubezpieczenia przywłaszczył sobie rodzic zastępczy, kiedy Will miał sześć lat. Dowiedział się o tym dopiero w wieku dwudziestu lat, kiedy chciał założyć swoje pierwsze konto. Okazało się, że ma ujemne saldo. Do dwudziestego ósmego roku życia musiał płacić za wszystko gotówką, potem jedyną kartą, jakiej mógł używać, była karta bankomatowa. Nawet dom kupił za gotówkę. Licytacja zadłużonej nieruchomości odbyła się na schodach sądu. Przez pierwsze trzy lata spał z bronią przy łóżku, ponieważ dom regularnie nawiedzali narkomani z nadzieją na kolejne działki kokainy od gangu, który nielegalnie tam zakotwiczył.

Will nadal nie mógł dostać karty kredytowej, a z racji polityki pieniężnej opartej o gotówkę przeszedł z kategorii „zły kredyt” do kategorii „brak kredytu”. Był nieobecny na listach agencji oceniających wiarygodność kredytową potencjalnych klientów. Jeśli Sara sądziła, że kupią razem dom, powinna być przygotowana na zamianę apartamentu za milion na pudełko do butów. Zresztą obecnie sytuacja była jeszcze ciekawsza, skoro po ignorowaniu Amandy przez cały dzień Will prawdopodobnie stracił już pracę.

- Pan jest zawodnikiem?

Will podniósł głowę znad czasopisma. Pani Lindsay mówiła do niego.

- Nie, proszę pani - powiedział. - Jestem agentem specjalnym z GBI, stanowego biura śledczego - dodał, ponieważ formalnie rzecz biorąc, o zwolnieniu nic jeszcze nie wiedział.

- To ciekawe. - Pani Lindsay bawiła się perłami na szyi. -  
Czy GBI to policja stanowa?

- Nie, proszę pani. Najprościej rzecz ujmując, to agencja stanowa, która wspiera stanowy system wymiaru sprawiedliwości w śledztwach, dysponuje skomputeryzowaną bazą danych i zaawansowanym laboratorium kryminalistycznym.

- Coś jak FBI, tyle że na poziomie stanu?

Pani Lindsay załapała to szybciej niż większość jego rozmówców.

- Zgadza się, proszę pani. Właśnie tak.

- Zajmujecie się wszystkimi rodzajami spraw?

- Tak, wszystkimi.

- To ciekawe. - Zaczęła grzebać w torebce. - Jest tu pan służbowo? Mam nadzieję, że nikt nie wpadł w kłopoty.

- Nie, proszę pani. Chodzi o rutynowe pytania.

- Jak pan się nazywa?

- Will Trent.

- Will Trent - powtórzyła. - Człowiek o dwóch imionach. - Wyjęła niewielki kołnotatnik w winylowej okładce z witrażowym wzorem i ze środka spirali wydobyła wetknięty tam długopis.

Will sięgnął do tylnej kieszeni po portfel i wyciągnął wizytówkę.

- To ja - powiedział.

Pani Lindsay uważnie ją przestudiowała.

- Will Trent, agent specjalny. Biuro Śledcze Stanu Georgia.

- Uśmiechnęła się do niego, po czym wsunęła wizytówkę do



notatnika i schowała go do torebki. - Lubię pamiętać ludzi, których spotkałam. Od dawna jest pan żonaty?

Will zerknął na obrączkę z lombardu. Czy był wdowcem? Jak nazwać faceta, którego żona zmarła, kiedy on już nie chciał być dłużej jej mężem?

- Przepraszam, jestem wścibska. Moja córka zawsze mi powtarza, że to wścibstwo kiedyś mi zaszkodzi.

- Nie, proszę pani. Nic się nie stało. Ja też bywam wścibski.

- Mam taką nadzieję, zważywszy na pański fach - skomentowała ze śmiechem, a Will jej zawtórował. - Ja przez pięćdziesiąt jeden lat byłam żoną cudownego mężczyzny.

- Wyszła pani za mąż w dzieciństwie?

Znowu się zaśmiała.

- Jest pan bardzo miły, agencie specjalny Trent, ale nie. Mój mąż zmarł trzy lata temu.

Will poczuł ściskanie w gardle.

- I ma pani córkę?

- Tak - odparła lakonicznie, kładąc torebkę na kolanach.

Nie przestawała się uśmiechać do Willa, a on znów odwzajemnił jej uśmiech.

I wtedy zobaczył, że jej dolna warga zaczyna drżeć.

W jej oczach zalśniły łzy.

Will zauważył, że recepcjonistka przestała pisać na komputerze. Teraz trzymała przy uchu telefon. Warga pani Lindsay drżała nadal. Starszą panią coś wyraźnie zasmuciło albo zdenerwowało.

- Mieszka pani gdzieś w pobliżu? - starał się nadać

swojemu pytaniu ton swobodnej rozmowy.

- Niedaleko. Trzeba tylko iść w górę ulicy.

- Buckhead. Moja szefowa mieszka w pobliżu Peachtree Battle w tych szeregowcach.

- To bardzo przyjemna okolica. Ja mieszkam w starszym budynku przy zakręcie, naprzeciw kościołów.

- Jesus Junction - powiedział Will.

- Pan jest wszędzie.

- Dobrze mieć kogoś, kto się o nas troszczy. - Will nie był religijny, uznał jednak, że właśnie to należy powiedzieć.

- Ma pan rację. Cieszę się bożym błogosławieństwem.

Will poczuł się jak uwięziony w plazmowej kuli, w której między nim a panią Lindsay przebiegały naładowane elektrycznością świecące włókienka. Oboje patrzyli na siebie przez kilkanaście sekund, póki nie otworzyły się drzwi za biurkiem recepcjonistki.

- Panna Lindsay? - W drzwiach stał okrągłogłowy oprych w obcisłej czarnej koszuli i jeszcze bardziej obcisłych czarnych spodniach. Jego bostoński akcent był równie mocny jak jego szyja. - Zapraszam, kochaniutka.

Pani Lindsay złapała laskę i wstała. Will też.

- Było mi miło panią poznać.

- Mnie również. - Wyciągnęła do niego rękę.

Uścisnął ją lekko. Miała skórę lepłą od potu. Przygryzła dolną wargę, by ukryć jej drżenie. Oparła się całym ciałem na lasce, by zrobić pierwszy krok, i przeszła przez otwarte drzwi, nie oglądając się za siebie.

Zbir zlustrował Willa wzrokiem komunikującym „pieprz

się” i zamknął za sobą drzwi. Will zgadywał, że to Laslo i że pracuje dla Kipa Kilpatricka. Za każdym hochsztaplerem stała kanalia gotowa ubrudzić sobie ręce. Laslo wydał się Willowi typem, który był ubrudzony z urodzenia.

- Pan Kilpatrick będzie za jakieś pięć, dziesięć minut - poinformowała go recepcjonistka.

- Więcej.

Wyglądała na zdezorientowaną, więc Will objaśnił:

- Wcześniej powiedziała pani o pięciu, dziesięciu minutach, więc teraz to będzie...

Zniecierpliwiona blondynka wróciła do stukania w klawiaturę.

Will wsadził ręce do kieszeni. Spojrzał na kanapę, na której siedziała pani Lindsay. Czuł, jakby coś mu zostawiła. Może chociaż okruch.

Nic.

Poszedł w stronę drzwi do łazienki, zawrócił i ruszył do dystrybutora napojów. Miał rację w kwestii spacerowania, bo recepcjonistka raz po raz rzucała w jego stronę wrogie spojrzenia znad klawiatury. Ciekawiło go, czy właśnie aktualizuje swoją stronę na Facebooku. Co należało do obowiązków recepcjonistki, skoro nie odpowiadała na telefony? Zajął się tą kwestią, ponieważ wszystkie inne, które musiał przemyśleć, były zbyt trudne do udźwignięcia. Wykonywał szósty nawrót, kiedy ciszę rozdarł donośny dźwięk dzwonka.

Na dwudzieste dziewiąte piętro przyjechała winda. Po chwili wyszła z niej Amanda.

Wyraz jej twarzy błyskawicznie zmienił się z zaskoczenia przez wściekłość po typową dla niej maskę obojętności.

- Jesteś wcześniej - rzuciła, jakby widok Willa ani trochę jej nie zaskoczył, a potem zwróciła się do recepcjonistki. - Może pani ustalić, kiedy zjawi się pan Kilpatrick?

Dziewczyna sięgnęła po telefon i paznokciami postukała w klawiaturę.

- Dziękuję. - Ton głosu Amandy był uprzejmy, ale zdradziły ją buty. Obcasy wbijały się w marmurową posadzkę jak noże. Usiadła na krześle, które wcześniej zajmował Will. Stopami nie dotykała ziemi. Zachwiała się lekko, usiłując zachować równowagę. Will nigdy nie widział jej z plecami na oparciu krzesła, ale to krzesło zostało zaprojektowane dla ludzi o długich koszykarskich nogach. Nic dziwnego, że jemu siedziało się bardzo wygodnie.

- Przepraszam, że przyjechałem przed czasem - powiedział.

Amanda sięgnęła po „Robb Report”.

- Wolę cię jednak bez jaj.

Recepcjonistka z trzaskiem odłożyła słuchawkę.

- Pan Kilpatrick powiedział, że będzie za pięć do dziesięciu minut. Albo więcej - dodała ze względu na Willa.

- Dziękuję - odparła Amanda, nie podnosząc głowy znad czasopisma, nieoczekiwanie zainteresowana luksusowymi zegarkami.

Will uznał, że już nie wkurzy jej bardziej, niż to mu się udało wcześniej, i wrócił do przemierzania holu między łazienką a dystrybutorem. Pomyślał o drugiej kopercie, którą

znalazł w skrytce pocztowej Angie. Biała, nijaka, o zawartości bardziej szokującej niż pierwsza. Bez znacząca. Angie zostawiła ją dla niego, a on zostawił ją w skrytce w samochodzie. Koperta Kilpatricka była dowodem, druga nikogo nie powinna interesować.

- Znalazłaś coś? - zwrócił się do Amandy, a ponieważ spojrzała na niego obojętnie, dodał wyjaśniająco: - Na miejscu przestępstwa.

Amanda zwróciła głowę w stronę recepcjonistki.

- Przepraszam. - Czekala, aż dziewczyna spojrzy na nią. - Kiedy byłam tu ostatnim razem, dostałam wspaniałą herbatę miętową. Czy może mi pani zrobić taką samą? Z miodem.

Recepcjonistka posłała jej wymuszony uśmiech, po czym energicznie oparła dłonie o blat biurka i odepchnęła się. Krzesło na kółkach odjechało w tył, dziewczyna wstała, otworzyła drzwi wiodące do części biurowej i głośno je za sobą zamknęła.

- Siadaj - nakazała Amanda, a gdy Will usiadł na kanapie, mówiła dalej: - Zanim ta dziewczyna wróci, musisz mi wyjaśnić, dlaczego z miejsca nie powinnam cię wylać.

Will nie umiał na oczekaniu wymyślić przekonującego argumentu, dlatego postanowił nie kombinować, tylko wyjął z kieszeni kopertę z numerem sto dziesięć i rzucił ją na szklany stolik.

Amanda jej nie dotknęła. Przeczytała adres zwrotny, czyli adres biura, w którym siedzieli. Znak 110% powtarzał się na wierzchu i na odwrocie, zupełnie jak w holu. Zamiast zapytać o zawartość koperty, wykazała zainteresowanie czymś

innym.

- Jak zdobyłeś numer skrytki Angie?

- Poszedłem do banku. Moje nazwisko figuruje na jej rachunku, a skrytka pocztowa mieści się w magazynie UPS przy...

- String Street. - Amanda posłała mu miażdżące spojrzenie. - Twój telefon należy do GBI, Will. Mogłabym śledzić cię w łazience, gdybym chciała. - Gestem dała mu znak, żeby kontynuował. - Pojechałeś do magazynu i...?

Will przez chwilę trawił tę informację, po czym powiedział:

- Pokazałem kierownikowi wyciąg z konta bankowego z naszymi nazwiskami i moje prawo jazdy, a on dał mi dostęp do skrytki pocztowej. - Pominął sto dolarów w gotówce, które zmieniły właściciela, oraz zawołowane groźby pod adresem kierownika magazynu o wydziale GBI do spraw oszustw, ale spojrzenie Amandy zdradzało, że ona o tym wie.

Znów przyjrzała się kopercie, nadal jej nie dotykając.

- Kogo uderzyłeś?

Will zerknął na uszkodzoną skórę wierzchu dłoni.

- Kogoś, kto raczej na to nie zasłużył.

- Będą kłopoty?

- Nie. - Will uznał, że Collier nie ma natury donosiciela.

- Musisz zdjąć obrączkę przed spotkaniem z Sarą. Na twoim miejscu bym jej nie mówiła, że twoje nazwisko nadal figuruje na koncie bankowym Angie. Mogłaby zacząć się zastanawiać, jak w ciągu dwóch godzin udało ci się znaleźć skrytkę pocztową, skoro przez półtora roku nie trafiłeś na najmniejszy ślad Angie. - Will nie odebrał tego jako pytania,

więc nie odpowiedział, ale i tak pytania się doczekał: - Dlaczego twoje dane wciąż są na jej rachunku?

- Bo czasem ona potrzebuje pieniędzy. - Will spojrział za okno. Nie umiał powiedzieć, dlaczego nie próbował namierzyć Angie poprzez jej rachunek bankowy. - Czasem esemesuje do mnie, że potrzebuje pomocy.

- A to oznacza, że masz jej numer telefonu?

- Ostatni raz pisała do mnie trzynaście miesięcy temu. Potrzebowała kilkuset dolarów. - Konkretnie chodziło o pięćset dolarów, ale Will nie chciał podawać dokładnej kwoty. - Numer telefonu, jaki znalazł Charlie, jest tym samym, z którego wysyłała wiadomości. Teraz telefon jest wyłączony. Ten sam numer podała w banku.

Amanda w końcu sięgnęła po kopertę i wyjęła czek na pięć tysięcy dolarów z osobistego konta Kipa Kilpatricka. To był dowód, że Angie dla niego pracowała. Ręka Amandy opadła na kolano.

- Dlatego nie musiała pożyczać. Jeśli można to nazwać pożyczaniem. Zakładam, że nigdy nie oddawała ci pieniędzy.

I znowu Will nie odpowiedział na pytanie, które nie zostało zadane wprost.

- Przez ostatnie trzy miesiące Angie co dwa tygodnie wpłacała na konto pięć tysięcy dolarów. Ta sama kwota jest na czeku. Pracowała dla Kipa Kilpatricka.

- Z jakiego powodu Kilpatrick miałby płacić jej dziesięć tysięcy miesięcznie z prywatnego konta?

Will wzruszył ramionami, chociaż do głowy przychodziło mu wiele nielegalnych działań, w jakie Angie mogła się

uwikłać. Od dzieciństwa była uzależniona od leków. Bez wahania robiła złe rzeczy albo odwracała głowę, gdy inni robili coś złego dla niej. Wchodziła też w legalne przedsięwzięcia, więc Will współistniał tylko w jej lżejszych grzechach.

- Była oficjalnie zarejestrowana jako prywatny detektyw. Może Kilpatrick zlecał jej sprawdzanie swoich potencjalnych klientów. Kiedy była jeszcze policjantką, dorabiała w ochronie, może też dla niego. Co znaleźliście na miejscu zbrodni? - ponowił pytanie.

Amanda znowu je zignorowała, za to zażądała:

- Wyjaśnij mi, dlaczego nie zadzwoniłeś do mnie pół godziny temu, gdy znalazłeś ten czek.

Will spojrzał na swoje dłonie. Znowu bawił się obrączką. Nie wiedział, skąd to nagle przywiązanie do tego przedmiotu. Ta obrączka znaczyła tyle, ile obrączka, którą Angie założyła mu na palec dwa lata temu.

- Krew w pokoju ma grupę B Rh minus. To bardzo rzadka grupa. Angie ma B Rh minus. Tyle mam ci do powiedzenia.

- Cała krew ma grupę B Rh minus?

- Większość tak. Mnóstwo.

W uszach Willa zabrzmiało echo słów Sary: „Utrata takiej ilości krwi jest groźna dla życia”.

- N.N. jest nadal operowana, ale mamy nowy trop. Chodzi o dziewczynę, która nazywa się Delilah Palmer. Słyszałeś o niej?

- Nie, nigdy. - Will pokręcił głową.

- Biała, dwadzieścia dwa lata, ośmiokrotnie notowana za



prostyucję i narkotyki. Harding był jej aniołem stróżem.

- W policji Angie pracowała w obyczajówce.

- Naprawdę? - powiedziała Amanda ze źle udawanym zdziwieniem. - Ogłosiliśmy stan wysokiej gotowości. Delilah Palmer przypuszczalnie zna powód zamordowania Dale'a i Angie, co czyni ją albo naszą podejrzaną, albo następną ofiarą.

Will nadal kręcił obrączką. Siłą woli powstrzymał się przed spojrzeniem na zegarek i obliczeniem, ile czasu upłynęło od chwili, kiedy Sara oznajmiła, że Angie zostało niewiele czasu.

Wróci. Zawsze wracała. Tak postanowił do tego podejść. Potraktuje ten czas jak każdy wcześniejszy przypadek jej zniknięcia. Za rok, może dwa lata znajdzie sposób, by zaakceptować fakt, że obserwował Amandę markującą czytanie „Robb Report” w czasie, gdy Angie umierała w samotności. Właśnie tak, jak przepowiadała. I tak jak pragnął tego on sam, ponieważ wtedy z Sarą wszystko stałoby się o wiele łatwiejsze.

Wyjrzał przez okno, próbując przełknąć ślinę. Poczuł w klatce piersiowej znajomy ucisk. Ostatnie słowa, które Angie od niego usłyszała, mówiły o tym, że już jej nie kocha.

Potem wrócił do Sary.

Amanda odłożyła pismo, wstała, obeszyła dookoła stół kawowy i przysiadła na brzegu kanapy. Wygładziła spódnicę, wbiła wzrok w ścianę naprzeciwko. Ramieniem musnęła ramię Willa. Ledwie się powstrzymał przed oparciem się o nią.

- Moja matka powiesiła się w ogrodzie za naszym domem,

kiedy byłam dzieckiem – zakomunikowała rzeczowym tonem.

Will podniósł wzrok. Tego o Amandzie nie wiedział. Mógł tylko milczeć.

- Za każdym razem przy myciu naczyń patrzyłam na to drzewo i myślałam: jesteś ostatnią osobą, przez którą tak się czuję. Nigdy więcej na to nie pozwolę.

Will nie czuł się na siłach dopytywać o szczegóły.

- A potem pojawił się Kenny – ciągnęła Amanda. - Faith na pewno mówiła ci o swoim wujku.

Will pokiwał głową. Kenny Mitchell był emerytowanym pilotem testującym prototypy silników dla NASA.

- Był przystojniakiem. - Uśmiechnęła się lekko. - Nie mogłam zrozumieć, dlaczego wybrał właśnie mnie. Byłam zwyczajną, głupiotką dziewczyną. Bardzo naiwną, rozpaczliwie pragnącą zadowolić ojca, no i chorobliwie nieśmiałą.

Will zupełnie nie umiał sobie wyobrazić takiej Amandy.

- Kenny był jak narkotyk. Najpierw ekscytował, potem szkodził. Szkodził w taki sposób, jaki skłonił twoją N.N. do wciągnięcia pięćdziesięciu pięciu gramów koki. - Ton jej głosu wskazywał, że nie przesadza. - Dla niego się poniżałam, robiłam rzeczy, o które nigdy bym się nie podejrzewała.

Will zerknął w stronę zamkniętych drzwi biura. Jak długo może trwać gotowanie wody na herbatę?

- Najtrudniejsze było to, że w głębi duszy to wszystko wiedziałam. Wiedziałam, że Kenny nigdy się ze mną nie ożeni. Wiedziałam, że nigdy nie da mi dzieci – urwała. -

Kłamiącego przestępcę wyczuwałam z daleka, ale wierzyłam w każde słowo Kenny'ego. Tyle lat życia mu poświęciłam, że nie mogłam przyznać się do pomyłki. Potwornie się bałam, że wyjdę na głupią.

Will poprawił się na kanapie. Jeśli Amanda myślała, że tak samo było z nim i Angie, to grubo się myliła. Od samego początku wiedział, że Angie nie jest dla niego odpowiednia. Co do wyjścia na głupca, to wszyscy wiedzieli, że Angie go zdradza.

Zdradzała.

- Byłam z Kennym prawie osiem lat, kiedy spotkałam Rogera. - Jej głos złagodniał, gdy wymówiła to imię. - Oszczędzę ci szczegółów, ale powiedzmy, że wpadł mi w oko. Chciał mi dać wszystko, czego nie miałam z Kennym, ale ja odmówiłam, bo nie wiedziałam, jak to jest być z mężczyzną, który chce być ze mną. - Łagodność tonu uleciała. - Byłam uzależniona od niepewności związanej z Kennym, od tej dręczącej wątpliwości w głębi serca, która podpowiadała mi, że bez niego nie przetrwam. Myślałam, że uwolnię go od bólu, który nosił w sobie. Długo trwało, zanim zrozumiałam, że ten ból jest we mnie.

Will potarł szczękę. Tym razem Amanda była bliższa prawdy.

Odwróciła się do niego, kładąc rękę na oparciu kanapy.

- W dzieciństwie miałam kotkę, wabiła się Buttons. Ciągle drapała sofę, więc tata kupił mi pistolet na wodę i poradził, żebym opryskiwała ją za każdym razem, gdy zbliża się do mebla. Kiedy zrobiłam to pierwszy raz, wpadła w panikę

i przybiegła do mnie, szukając ukojenia. Wczepiła się we mnie, a ja głaskałam ją tak długo, aż się uspokoiła. Taka byłam w związku z Kennym. I taki ty byłeś z Angie – stwierdziła z wielkim przekonaniem. – To przekleństwo dziecka pozbawionego matki. Szukamy ukojenia u ludzi, którzy nas krzywdzą.

Słowa Amandy trafiły w sedno. Will poczuł, jakby otworzyła mu się ledwie co zasklepiona rana.

– Według mnie nigdy nie sprawdziłeś konta Angie, ponieważ bałeś się, że je zamknęła. I że w ten sposób zerwała ostatnią łączącą was nić.

Will spojrzał na swoje dłonie, na skórę uszkodzoną od ciosu wymierzonego Collierowi, na fałszywą obrączkę symbolizującą jego udawane małżeństwo.

– Mam rację? – zapytała.

Wzruszył ramionami, ale wiedział, że Amanda postawiła trafną diagnozę.

Angie zostawiła mu list, był w tej drugiej kopercie zostawionej w skrytce pocztowej. Na kopercie widniało imię i nazwisko Willa napisane drukowanymi literami, żeby łatwo mógł je odczytać. Zupełnie inaczej wyglądał list. Angie nabazgrała go jak kura pazurem. Wiedziała, że Will nie da rady go rozszyfrować i będzie musiał poprosić kogoś o pomoc.

Sarę?

Odchrząknął.

– Co sprawiło, że w końcu odeszłaś od Kenny’ego?

– Myślisz, że się poddałam? – Roześmiała się głośno,

szczerze. - Nie, to Kenny mnie zostawił. Dla faceta.

Zdumienie odebrało Willowi mowę.

- Wiedziałałam, że jest gejem. Aż tak naiwna nie byłam. -  
Wzruszyła ramionami. - To były lata siedemdziesiąte  
i wszyscy myśleli, że homoseksualiści mogą się zmienić.

Will usiłował otrząsnąć się z szoku i wreszcie się odezwał:

- Na Rogera było już za późno?

- Co najmniej pół wieku za późno. On chciał mieć za żonę  
kurę domową, a mnie zależało na karierze. - Spojrzała na  
zegarek, potem na zamknięte drzwi. - Chociaż dzięki niemu  
dowiedziałam się, czym jest orgazm.

Will objął głowę dłońmi i modlił się w duchu  
o samospalenie.

- Och, daj spokój. - Amanda wstała, dając do zrozumienia,  
że czas na pogaduszki się skończył. - Wilbur, znam cię  
dłużej, niż chciałabym to przyznać. W życiu osobistym  
zawsze zachowywałeś się jak kompletny idiota. Nie schrzań  
spraw z Sarą. Jest dla ciebie za dobra. Znajdź sposób, żeby ją  
zatrzymać, zanim ta prawda do niej dotrze.

Złapała go za rękę i ściągnęła mu obrączkę. Will patrzył,  
jak wrzuca ją do kosza. Metal zadźwięczał jak gong  
oznajmiający koniec pierwszej rundy.

- I nie mów nic Faith. Ona nie ma pojęcia, że jej wujek jest  
gejem.

Drzwi biura otworzyły się.

- Pan Kilpatrick zaprasza - oznajmiła recepcjonistka.

- Dziękuję. - Amanda czekała, aż Will wstanie i pójdzie za  
nią.

Will oparł ręce na kolanach i podniósł się z kanapy. W głowie kręciło mu się od tego, co usłyszał od Amandy. Siłą woli powstrzymał tę karuzelę obrazów i myśli, odłożył je na półkę. To, co powiedziała, nie miało znaczenia. Angie żyła. Zaszyła się gdzieś, może tam, gdzie zawsze uciekała. Pewnego dnia stanie w drzwiach jego domu, a on usłyszy dobrze znajome słowa.

- To ja, kochanie. Tęskniłeś?

Głośny krzyk przywrócił Willa teraźniejszości. Dwaj młodzi mężczyźni w eleganckich garniturach przybijali piątkę, celebrując jakiś branżowy sukces. Gdy weszli do holu, cisza gdzieś uleciała. Wszędzie dzwoniły telefony, sekretarki mamrotały do słuchawek, szklane schody pełne były ludzi, którzy wyglądali, jakby zeszli z rozkładówki ekskluzywnego czasopisma. Nad głowami ogromny ledowy znak pokazywał miliony, jakie firma zarobiła dla swoich klientów w tym roku.

Prócz zdumiewająco wysokiej kwoty niewiele zmieniło się tutaj od czterech miesięcy, kiedy Will był tu ostatni raz. Na ścianach nadal wisiały kalkomanie naturalnej wielkości. Przed każdym biurkiem nadal siedziała za biurkiem piękna młoda kobieta. Wszędzie nadal były obecne fotografie agentów wyglądających jak Dawid przy Goliacie, gdy stali obok swoich gwiazd podpisujących wielomilionowe kontrakty.

Gburowata recepcjonistka przekazała ich kolejnej blondynce, młodszej o kilka lat, pewnie z dyplomem MBA z Harvardu, ponieważ seksowne blondynki, które pracowały za biurkiem w takich firmach, przestały służyć wyłącznie

jako ozdobniki.

Nowa blondynka zwróciła się do Amandy:

- Zniosłam pani herbatę miętową do sali konferencyjnej, ale Kip najpierw chciał z panią porozmawiać.

Will uświadomił sobie, że powinien był zapytać Amandę, co chce tutaj zdziałać. Rozmowa z właścicielem budynku, w którym znaleziono zwłoki, była standardową procedurą, ale to nie było pierwsze rodeo Kipa Kilpatricka. Will był przekonany, że Kilpatrick absolutnie nie pozwoli im porozmawiać z Marcusem Rippym nawet nieoficjalnie.

Było za późno na pytania. Blondynka zastukała do drzwi biura i wprowadziła ich do środka.

Kip Kilpatrick siedział przy ogromnym stole ze szkła pośrodku zalanego światłem narożnego biura. Sufit sięgał sześciu metrów. Nijakość marmurowych płyt na podłodze przełamywały wełniane dywany przetykane jedwabnymi niciami. Głębokie kanapy i krzesła zostały zaprojektowane dla wielkoludów, z tym że Kilpatrick, choć nie kurdupel, do nich nie należał. Jego stopy spoczywały na brzegu stołu, który rysował podeszwy jego robionych na zamówienie skórzanych mokasynów. Siedział rozparty wygodnie w fotelu i podrzucał piłkę, mówiąc jednocześnie do tkwiącej w uchu bezprzewodowej słuchawki Bluetooth, ponieważ rozmawiając przez zwykły telefon, wyglądałby za mało idiotycznie.

Kilpatrick miał również innych klientów - najwyżej rozstawionego tenisistę, piłkarza, który przyczynił się do wygranej drużyny USA w pucharze świata - ale wystrój biura nie pozostawiał wątpliwości, kto jest największą gwiazdą.

Nie chodziło tylko o tablicę zawieszoną wysoko na ścianie. Will miał wrażenie, że znalazł się w muzeum Marcusa Rippy'ego. Kilpatrick oprawił koszulki, w których Rippy grał od czasów juniorskich. Na parapecie leżały piłki z autografami. Na przeciwległych końcach biurka stały dwie figurki Rippy'ego o nieproporcjonalnie dużych głowach. Trofea mistrzowskie stały na specjalnie zaprojektowanej półce, na której punktowe światło oblewało każdy skrawek złota. Była nawet para brązowanych koszykarskich butów o rozmiarze czterdzieści osiem i pół, w których Rippy pomógł swojej drużynie w college'u wygrać finałowe rozgrywki ligi uniwersyteckiej.

Will od początku przypuszczał, że Kilpatrick jest niespełnionym koszykarzem. Nie był za niski, on był niewystarczająco wysoki. Reprezentował typ chłopaka, który chodzi krok w krok za drużyną i próbuje się zaprzyjaźnić z zawodnikami, a oni go poniżają i mają za nic. Różnica polegała na tym, że teraz dobrze mu za to płacili.

- Uwaga na głowę! - zawołał Kilpatrick i podał piłkę Willowi.

Will pozwolił, by piłka trafiła go w klatkę piersiową i upadła na podłogę. W zimnym wnętrzu rozeszło się echo. Cała trójka patrzyła, jak piłka odbija się od podłogi i toczy się w kąt.

- Domyślam się, że nie jesteś zawodnikiem - powiedział Kilpatrick, a gdy Will nie odpowiedział, spytał: - Spotkaliśmy się już?

Przez siedem miesięcy Will nękał Kilpatricka i jego ludzi



w związku z dochodzeniem w sprawie Rippy'ego. Przymuszczałnie w pomieszczeniu socjalnym wisiała tarcza do gry w strzałki z jego podobizną. Ale skoro Kilpatrick postanowił udawać, że nigdy się nie spotkali, Willowi to nie przeszkadzało.

- Nie przypominam sobie - powiedział.

- Ja też. - Wstając, Kilpatrick potrącił szklany stół, a wielkie głowy figurek zaczęły się kiwać. - Pani Wagner, nie mogę powiedzieć, że cieszę się z naszego ponownego spotkania.

Mimo podobnych odczuć, Amanda nie wyraziła ich na głos.

- Dziękuję, że przyspieszył pan nasze spotkanie - powiedziała zamiast tego. - Jestem pewna, że wszyscy chcemy wyjaśnić tę kwestię jak najszybciej.

- Oczywiście. - Kilpatrick otworzył małą lodówkę wypełnioną po brzegi butelkami z napojem energetycznym bankshot, który smakował jak syrop na kaszel. Odkręcił nakrętkę. Pociągnął spory łyk, potrzymał płyn w ustach i dopiero połknął. - Proszę mi przypomnieć, co to jest „ta kwestia”?

- „Ta kwestia” to śledztwo w sprawie zabójstwa, które toczy się obecnie w nocnym klubie Marcusa Rippy'ego. - Ponieważ Kilpatrick milczał, Amanda kontynuowała: - Jak mówiłam przez telefon, potrzebuję informacji o tym przedsięwzięciu.

Kilpatrick wypił duszkiem cały napój.

Will zerknął na Amandę, która wykazywała niezwykłą jak na siebie cierpliwość.

- Ach! - Kilpatrick wrzucił pustą butelkę do kosza. - W tej chwili mogę powiedzieć tylko to, że nigdy nie słyszałem o Hardingu.

- Czyli nazwa Triangle-D Holdings Limited nic panu nie mówi?

- Nic a nic. - Kilpatrick podniósł piłkę z podłogi. - Nigdy o niej nie słyszałem.

Will nie miał pojęcia, dokąd zmierzają pytania Amandy, ale chcąc jej pomóc, zwrócił się do Kilpatricka:

- Strategię triangle offense rozślawił Michael Jordan z Chicago Bulls za trenera Phila Jacksona.

- Jordan, tak? - Kilpatrick uśmiechnął się, odbijając dłonią piłkę. - O nim chyba słyszałem. To ktoś jak stary Marcus Rippy.

- Dale Harding mieszkał w bardzo ładnym domu należącym do spółki Triangle-D Holdings.

Kilpatrick rzucił piłkę w stronę obręczy. Piłka uderzyła w tablicę i odbiła się od niej. Kilpatrick złapał ją i przymierzył się do nowego rzutu.

- Nic, tylko siatka - powiedział, jakby nie mógł po prostu podejść do kosza i dotknąć siatki czubkami palców.

- Triangle-D Holdings jest zarejestrowany w Delaware jako część spółki zarejestrowanej na Saint Martin, potem na Santa Lucia i tak dalej, aż do korporacji z siedzibą w Kopenhadze.

W mózgu Willa zapaliło się światełko. Na tablicach przed nocnym klubem Rippy'ego w logo wykonawcy widniała duńska flaga.

Amanda musiała wcześniej zauważyć ten szczegół, czego teraz nie omieszkała wykorzystać.

- Zwróciłam się do Departamentu Stanu o oficjalne ustalenie nazwisk członków zarządu i udziałowców firmy. Byłoby o wiele łatwiej, gdyby pan mi je podał.

- Nic nie wiem. - Kilpatrick usiłował podkreślić piłkę na czubku palca. - Przykro mi, ale nie pomogę.

- Może nam pan pomóc, pozwalając na rozmowę z Marcusem Rippym.

Kilpatrick udał, że krztusi się ze śmiechu.

- Nic z tego, szanowna pani.

Will znowu rzucił okiem w stronę Amandy. Zastanawiał się, do czego zmierza. Musiała wiedzieć, że nie przebiją się do Rippy'ego.

- A nazwisko Angie Polaski? - zapytała.

Kilpatrickowi w końcu udało się zakreślić piłką.

- Co „Angie Polaski”?

- Słyszał pan o niej?

- Jasne. - Drugą ręką Kilpatrick przyspieszył obroty piłki.

- Co pan słyszał?

- Hm, powiedzmy, że świadczyła nam pewne usługi.

- Sprawdzanie przeszłości różnych ludzi? Ochrona?

- Numerki. - Kilpatrick zrobił taką minę, że Will miał ochotę wyrzucić go przez okno. - Wynajdowała dziewczyny na moje przyjęcia. Nikt od nich niczego nie oczekiwał, prosiłem tylko, żeby miały doświadczenie... - urwał na chwilę - w prowadzeniu interesującej rozmowy. Doświadczone rozmówczynie. Jak powiedziałem, seksualnych oczekiwań

nikt nie zgłaszał. Wszystkie były dorosłe, wszystkim płacono za rozmowę. Jeśli decydowały się na coś więcej, to tylko z własnej woli.

- Z własnej woli - powtórzył Will, wiedząc, że Marcus Rippy wolał kobiety, które nie miały wyboru.

- Zatem twierdzi pan, że Angie Polaski sprowadzała dziewczyny do towarzystwa? - upewniła się Amanda.

Kilpatrick skinął głową, zapatrzony w wirującą piłkę.

Will musiał przyznać, że coś jest na rzeczy. Angie uwielbiała pracę w obyczajówce, odpowiadało jej balansowanie na granicy między gliniarzem a przestępcą. Znała wiele prostytutek i nigdy nie miała problemu z tym, że zarabiają w taki sposób.

- Moi klienci to bardzo znani ludzie, wciąż na świeczniku, ale czasem mają ochotę na dyskretne towarzystwo. Trudno im spotykać się z kobietami.

- Ma pan na myśli inne kobiety niż żony? - zapytała kąśliwie Amanda.

Will pomyślał o dziewczynach, które znała Angie: dziwkach z ulicy, ćpunkach, czasem bezzębnych, zawsze zdesperowanych, które tylko kilka lat dzieliło od więzienia albo grobu. Był w stanie wyobrazić sobie świat, w którym Angie stręczy niektóre z nich przekonana, że wyświadcza im przysługę, ale klienci Kilpatricka szukali raczej kobiet w innym typie.

- To chcieliście wiedzieć? Co robiła dla mnie Polaski?

- Ma pan jej aktualny adres?

- Mam adres jej skrytki pocztowej. - Sięgnął po telefon,

wystukał kilka cyfr i rzucił do słuchawki: - Do mojego biura - zarządził i odłożył telefon. - Mój człowiek Laslo poda wam szczegóły.

Znowu Laslo. Will miał rację, że ten okrągłogłowy bostoński zbir był dodatkową parą brudnych rąk.

- Jak pan poznał Angie Polaski? - zapytała Amanda.

- Tak jak się poznaje takich ludzi. - Kilpatrick wzruszył ramionami. - Oni po prostu są. Wiedzą, czego się szuka, i oferują to za opłatą. Łatwe i proste.

- Jak przekupienie świadka w procesie o gwałt - rzucił Will.

Kilpatrick otaksował go spojrzeniem i wypuścił powietrze nosem, co zabrzmiało jak prychnięcie.

- Tak, teraz cię pamiętam.

- Co z numerem telefonu? - zapytała Amanda.

- Laslo go ma. Ja nie zadaję się z dostawcami.

- Racja - wtrącił Will. - Wysyłasz im czeki ze swojego osobistego konta.

Amanda posłała mu groźne spojrzenie.

- Znaleźliśmy czek na nazwisko Angie Polaski. Środki pochodzą z pańskiego konta.

- Agencja płaci tylko za drinki i kolacje. Wszystko inne jest w naszej gestii - wyjaśnił Kilpatrick. - W zeznaniach podatkowych to rubryka „na rozwój”.

- Pomówmy o innej rozwojowej inwestycji. Tej, na terenie której znaleźliśmy dziś rano zwłoki.

Kilpatrick znowu wprawił piłkę w ruch obrotowy.

- Zaraz dowiecie się tego z pewnego źródła.

- Czy to znaczy, że wszystko, co dotąd usłyszeliśmy, pochodziło z niepewnego źródła?

Kilpatrick milczał. Potrzebował chwili, żeby przeanalizować pytanie Amandy.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Szefie, już są gotowi - oznajmił Laslo.

Kilpatrick przeszedł przez biuro, dryblując piłką.

- Przekaż im detale na temat Polaski. To gliniarze. Szukają jej - zakomunikował.

- A to niespodzianka. - Laslo złapał piłkę i rzucił do obręczy.

Kilpatrick ruszył, żeby ją zebrać spod tablicy.

Amanda była szybsza. Położyła piłkę na najbliższym krześle.

- Będziemy gotowi, kiedy pan będzie gotowy, panie Kilpatrick.

Spojrzał na piłkę, ale zmienił zdanie.

- Tędy - ruszył korytarzem. - Według planu wracamy na budowę w przyszłym tygodniu. Nazywamy to Centrum Gwiazd.

- My? - spytała Amanda.

- Tak, dzięki wam. - Minęli rząd zamkniętych drzwi. - Zabawny efekt tych rozdmuchanych oskarżeń o gwałt pod adresem Marcusa jest taki, że inni inwestorzy zaczęli szukać nowych ludzi. Wtedy zrozumieliśmy, że tracimy większą okazję.

- To znaczy?

- Zareklamowaliśmy inwestycję naszym klientom

z najwyższej półki. Wymyśliliśmy, że można rozbudować ten kompleks, stworzyć przestrzeń do pracy i do życia.

- Jak Atlantic Station, tyle że na terenie dotkniętym kiedyś wysoką przestępczością.

Will się uśmiechnął. Amanda trafiła w sedno. Idea Atlantic Station została sprzedana miastu jako doskonała inwestycja, która przeobrazi dzielnicę nękaną problemami społecznymi w kwitnące źródło podatków. Jak w przypadku większości tego typu oderwanych od rzeczywistości wizji, w realu nastąpił nagły wzrost napaści na tle seksualnym, rozbojów, kradzieży aut i aktów wandalizmu, a pewnego dnia para przedsiębiorczych rabusiów przyczepiła łańcuch do bankomatu i ciężarówką wyrwała go ze ściany.

Kilpatrick najwyraźniej nie pierwszy raz mierzył się z pytaniem o Atlantic Station.

- To były początkowe trudności, po prostu tak się zdarza. Ale sytuacja się poprawiła, o czym na pewno wiecie. Poza tym tamci deweloperzy nie mieli ośmiu najznakomitszych sportowych sław, gotowych do promowania tej inwestycji i zagwarantowania jej sukcesu. - Wyrzucił ręce w górę jak cyrkowy konferansjer. - Pomyślcie tylko. Sam Marcus Rippey ma na Facebooku ponad dziesięć milionów fanów. Jego wpisy na Instagramie i Twitterze śledzi ponad dwadzieścia milionów. Wystarczy jeden wpis o jakimś superklubie czy sklepie z modnymi ciuchami, a za godzinę zwała się tam tłum. On dyktuje trendy i gusta.

Kilpatrick skręcił za róg i zatrzymali się przed dużą przeszkloną salą konferencyjną ze stołem, który mógł

mieścić pięćdziesiąt osób. W środku siedzieli już czterej prawnicy. Na ich widok Will z trudem zapanował nad sobą. Kilpatrick musiał wezwać te szuchy zaraz po rozmowie telefonicznej z Amandą, kiedy poprosiła o spotkanie.

Will rozpoznał wszystkich. Miał z nimi do czynienia podczas dochodzenia przeciwko Rippy'emu. Jedyne i niepowtarzalne czarne charaktery rodem z Bonda: dwaj starsi biali mężczyźni, każdy z olśniewającą, wystrzałowobrą kobietą po trzydziestce u boku. Kilpatrick zaczął prezentację, ale Will już dawno przydzielił im role. Auric Goldfinger siedział u szczytu stołu. Przerzedzone kępy złotych włosów i mocny niemiecki akcent nie pozostawiały wątpliwości, kogo przypomina. Jego blondwłosa podwładna stała się więc Pussy Galore. Drugi był doktor Julius No, człowiek, który z jakiegoś powodu zawsze trzymał ręce pod stołem. Jego pomagierka zyskała miano Rosy Klebb. Nie chodziło wcale o brak urody – tej absolutnie nie można jej było odmówić – ale o wysokie szpilki, w których mogły kryć się zatrute ostrza.

– Pani dyrektor, agencje Trent, dziękuję za przybycie. Proszę usiąść – zaczął Goldfinger, wskazując krzesło dwa miejsca od Rosy Klebb, przed którym na stole stała filiżanka.

Will odsunął dwa krzesła na drugim końcu stołu, pół kilometra od sektora zajętego przez bondowskich złoczyńców. Wiedział, że właśnie tak Amanda chce to rozegrać. Zerknęła na jego gołą szyję. Miał wrażenie, że zdenerwował ją brakiem krawata i garnituru.

On sam też był zdenerwowany. Mógł chociaż założyć



kaburę z bronią na biodrze. Na takich ludzi potrzebował broni. Nie wstawali z łóżka za mniej niż trzy tysiące dolarów za godzinę. Nie była to kwota do podziału, tylko na łebka. Zbiorczy rachunek za to zapewne krótkie spotkanie wyniesie więcej niż miesięczne zarobki Willa.

Spojrzał na Kilpatricka, ale on tu już nie dowodził. Siedział w leniwej pozie i bawił się zamkniętą butelką napoju energetycznego.

- Próbuję pojąć - Amanda postanowiła zacząć delikatnie - dlaczego odpowiedź na jedno proste pytanie wymaga obecności czterech prawników.

- To nie jest proste pytanie, pani dyrektor - z uśmiechem odparł Goldfinger. - Zapytaliście o szczegóły dotyczące nieruchomości, w której znaleziono ciało ofiary. Jesteśmy tu, żeby naświetlić pani obraz całej sytuacji.

- Z mojego doświadczenia wynika, że w przypadku zabójstwa zawsze jest jakiś szerszy obraz, ale jak dotąd nigdy aż tylu prawników nie zamierzało mi go przedstawić.

Will obserwował ich uważnie. Milczeli. Nikt nawet się nie poruszył. Pominąwszy pytanie, Amanda nie robiła wrażenia niezadowolonej, że musi rozmawiać z prawnikami. Will zaryzykowałby stwierdzenie, że z rozmysłem zaaranżowała tę sytuację.

Tylko po co?

Wyjęła z filizanki torebkę herbaty i popiła mały łyk.

W końcu Goldfinger spojrzał na doktora No, który z kolei skinął na Rosę Klebb.

Która wstała i rozdała foldery, obchodząc stół

konferencyjny o szerokości sekwoi. Will słyszał szelest jej rajstop ocierających się o obcisłą spódnicę. Spojrzał na niebotyczne obcasy. Podeszwy butów były czerwone. Miały moc przyprawiania mężczyzn o palpitację serca. Sara nosiła buty od tego samego projektanta. Will zdecydowanie wołał je na nogach Sary.

- To informacje o inwestycji - oznajmił Goldfinger. - Te same materiały zaprezentowaliśmy burmistrzowi i gubernatorowi w zeszłym miesiącu.

Amanda już słyszała o tym projekcie. Rano rozmawiała z burmistrzem i gubernatorem, kiedy Will jej zwiął. Nie podzieliła się tą informacją, zamiast tego zerknęła na folder z wielkim gwiazdzistym logo na pierwszej stronie i podała Willowi, który położył go na swoim egzemplarzu.

Doktor No pochylił się, ciągle trzymając ręce pod stołem.

- Prosimy o zachowanie tych informacji dla siebie. Na razie obowiązuje embargo informacyjne do czasu oficjalnego ogłoszenia. Szczegóły można poznać z broszury.

Amanda czekała.

- W Centrum Gwiazd znajdą się kino z szesnastoma salami, trzydziestopiętrowy hotel, dwudziestopiętrowy kompleks mieszkalny, targ z produktami lokalnych producentów, centrum handlowe z ekskluzywnymi butikami i sklepami sieciowymi, luksusowe rezydencje, klub nocny wyłącznie dla członków i oczywiście pełnowymiarowe boisko do koszykówki sąsiadujące z tym, co nazwaliśmy Dotknięciem Gwiazd, czyli interaktywnym muzeum eksponującym wszystko, co wspaniałe w uniwersyteckiej lidze koszykówki.

- Jak to będzie finansowane? - zapytała Amanda.

- Mamy prywatnych inwestorów. Do ujawnienia ich nazwisk nie jestem upoważniony.

- A inwestorzy zagraniczni? - drążyła Amanda.

- Projekt o takim zakresie i rozmachu - odparł z uśmiechem Goldfinger - wymaga bardzo wielu inwestorów. Niektórzy z nich pragną pozostać w cieniu.

- Z wami włącznie?

Jedyną odpowiedzią Goldfingera był uśmiech.

- Wykonawcą jest LK Totalbyg A/S z siedzibą w Danii.

- Zgadza się. Jak pani wie, Atlanta przyciąga cudzoziemców, więc zwróciliśmy się do inwestorów zagranicznych. To projekt, w którym każda ze stron jest wygrana.

Will pomyślał o prawdziwych mieszkańcach Atlanty, którzy w to zainwestują, czy tego chcą, czy nie. Dodatkowe wsparcie rządu dla tego typu inwestycji było imponujące. Finansowane przez miasto przedsięwzięcia, odroczone o dziesięć lat spłata podatku do kasy miejskiej i stanowej, nowe drogi, nowa infrastruktura, nowa sygnalizacja świetlna, policjanci dla zapewnienia bezpieczeństwa w okolicy - czyli gotówka, która otwierała drogę bogaczom sławiącym prywatną inicjatywę i opowiadającym, jak poradzili sobie sami i osiągnęli sukces.

Amerykański sen.

- Pani dyrektor. - Doktor No pochylił się w stronę Amandy, jakby nie dzielił ich ocean twardego drewna. - Zarówno burmistrz, jak i gubernator powtarzali, że i miasto, i stan

bardzo czekają na realizację tej inwestycji. Bliskość Georgia Dome, Georgia Tech, Centennial Village i Sun Trust Park oznacza, że Centrum Gwiazd będzie mekką turystów.

Will pomyślał, że Chattahoochee Avenue jest zbyt odłotowa na mekkę, ale ci ludzie musieli przecież oglądać mapy.

- Mamy nadzieję, że Dotknięcie Gwiazd dorówna renomą śródmiejskiej Hali Sław Futbolu. Nie muszę chyba mówić, jakie znaczenie dla finansów miasta będą miały wpływy z naszych reklam emitowanych podczas finału marcowych rozgrywek.

- Brzmi przekonująco. - Amanda nie musiała znać się na sporcie, by wiedzieć, że to poważna sprawa. Spojrzała na foldery. - I? - zapytała wyczekująco.

Pałeczkę przejął doktor No.

- I liczymy, że zrozumiecie, jakie to wrażliwe przedsięwzięcie.

Do rozmowy włączyła się Pussy Galore.

- Nie chodzi tylko o praktyczny i użyteczny wymiar tego imponującego kompleksu. Włożyliśmy mnóstwo wysiłku w rozpropagowanie tego projektu. Ma się tylko jedną szansę na zrobienie wielkiego wrażenia. Udało nam się namówić wszystkie nasze gwiazdy do udziału w ogłoszeniu projektu. Zapowiedzieli się dziennikarze z Nowego Jorku, Chicago, Los Angeles. Zarezerwowaliśmy apartamenty i restauracje. Zaplanowaliśmy ogromne dwudniowe przyjęcie. Jego kulminacja nastąpi na terenie budowy. Przygotowaliśmy grunt pod wrzawę w mediach. Bardzo ważne, żeby na tę atmosferę nie położyła się cieniem jakakolwiek wątpliwość

co do któregośkolwiek z naszych inwestorów.

- Albo miejsca - dodał Goldfinger.

- Jeśli w ten sposób wyrażacie obawę, że ponownie oskarżymy waszego klienta o gwałt, to mogę was uspokoić. - Amanda uśmiechnęła się. - Prowadzimy dochodzenie w sprawie zabójstwa. Jeśli postawimy jakieś zarzuty, będą dotyczyły zabójstwa.

W sali zrobiło się duszno.

Goldfinger uśmiechał się pod nosem, po chwili wybuchnął śmiechem.

Zawtórował mu doktor No. Trzymając nadal ręce pod stołem, przypominał leminga unieruchomionego w miazgarce.

- Kiedy odbędzie się przyjęcie? - zapytała Amanda.

- W ten weekend.

- Aha - odparła, jakby dopiero teraz wszystko do niej dotarło. Natomiast Will dałby głowę, że wiedziała o tej akcji promocyjnej, zanim tu się pojawiła. Burmistrz i gubernator naciskali na nią o wiele mocniej niż prawnicy, żeby przyspieszyć śledztwo, by można było rozpocząć inwestycję. Miasto potrzebowało miejsc pracy. Stan potrzebował pieniędzy. - To nie zmienia faktu - ciągnęła - że w nocnym klubie znaleziono martwego mężczyznę. Mamy do zbadania bardzo rozległe miejsce przestępstwa. Mimo pracy po godzinach będziemy katalogować i fotografować wszystkie zebrane dowody co najmniej do soboty.

Nie po raz pierwszy Will podziwiał u Amandy umiejętność kłamania. Prawda była taka, że na wszystkie czynności na

miejscu przestępstwa, wraz z usunięciem śladów, nie trzeba aż tak wiele czasu. Amanda prowadziła jakąś sprytną grę, tyle że on nie przejrzał jeszcze jej zamiarów.

- Sobota to dla nas pewien kłopot - powiedział Goldfinger.

- I to niemały - dodała Galore. - Obiecaliśmy „LA Times” wcześniejsze obejrzenie klubu. Wyznaczyliśmy termin na piątek rano. Chcą zrobić z Marcusem sesję zdjęciową. Coś w stylu „klub przed i po”. Marcus za barem, może na balkonie. Potem będą zdjęcia prezentujące te same miejsca po zakończeniu budowy.

- Możecie to odłożyć? - zapytała Amanda.

Galore zmarszczyła nos.

- Słowo „odłożyć” działa na reporterów jak płachta na byka. Jeśli do tego dojdzie, obsmarują nas.

- Byłam w tym klubie dzisiaj rano. Bardziej przypomina melinę ćpunów niż przyszłe centrum rozrywkowe inwestycji wartej dwa miliardy osiemset milionów dolarów.

Prawnicy nie zauważyli, że Amanda podała tę kwotę z pamięci.

- Ekipa sprzątająca była zamówiona na dzisiaj rano - powiedziała Galore. - Mieli zacząć doprowadzać klub do porządku. Najwyraźniej wasi technicy zjawili się tam wcześniej. Potrzeba nam co najmniej dwóch dni. Robota będzie się musiała palić ludziom w rękach, żeby zdążyli wszystko ogarnąć jak trzeba.

- Czy zdajecie sobie sprawę, że prasa już zwąchała zabójstwo? - zapytała Amanda. - Wiedzą o znalezieniu ciała w klubie.

- Tak, wiedzą o znalezieniu zwłok. Nie wiedzą, że mężczyzna nie był bezdomny - odparła Galore.

- Na miejscu zjawili się funkcjonariusze GBI i policji. Media wywnioskują, że nie chodzi o zabójstwo zwykłego bezdomnego. - Amanda posłała im uśmiech. - Każda śmierć jest oczywiście tragedią, ale w takich okolicznościach miejscowa policja zazwyczaj nie zwraca się o pomoc do GBI.

- Może to wynik porachunków między dilerami albo dwóch bezdomnych pobiło się o materac - zasugerowała Galore. - To zwróciłoby uwagę na inny pozytywny aspekt budowy Centrum Gwiazd: przemiana okolicy o wysokiej przestępczości w przestrzeń bezpieczną, czystą i przyjazną dla rodziny.

- On nie był bezdomny. Był emerytowanym policjantem z Atlanty.

Odpowiedziało jej zgodne milczenie.

- Wybaczcie państwo, wprawdzie rozumiem ten dylemat, ale nie mogę przyspieszyć dochodzenia w sprawie zabójstwa z powodu waszego wielkiego otwarcia. Muszę myśleć o rodzinie ofiary. Detektyw miał żonę. Dwudziestodwuletnią żonę.

Will starał się nie okazać zdziwienia. Usłyszawszy o dwudziestodwuletniej żonie, założył, że chodzi o Delilah Palmer. Nie miał pojęcia, dlaczego Amanda nie podzieliła się z nim tą informacją. Istniała wielka różnica między Hardingiem jako aniołem stróżem Delilah a jej mężem. Żony wiedziały różne rzeczy, miały dostęp do poufnych informacji. Jeśli Harding zginął, bo wiedział za dużo, Delilah była

następna na liście.

- Harding ożenił się zaledwie kilka miesięcy temu - ciągnęła Amanda. - Musiałam ją powiadomić, że została wdową. Czy mam do niej wrócić i oznajmić, że śmierć jej męża schodzi na dalszy plan z powodu jakiegoś wydarzenia medialnego? - Potrząsnęła głową, jakby sama myśl o tym napełniała ją smutkiem. - A skoro mowa o prasie, to pani Harding jest wyjątkowo fotogeniczna. Jasne włosy, niebieskie oczy, bardzo ładna. Prasa oszaleje na jej punkcie.

- Nie, nie - zaproponował doktor No. - Nie chcemy żadnej takiej sytuacji, pani dyrektor. Absolutnie nie próbujemy utrudniać dochodzenia. - Posłał Goldfingerowi porozumiewawcze spojrzenie, ponieważ w oczywisty sposób próbowali to robić.

Amanda już to wiedziała. Will znowu musiał zadać sobie pytanie, do czego zmierza.

- Pani dyrektor - zaczął Goldfinger - po prostu prosimy o przyspieszenie toku śledztwa. - Uniósł palec. - Oczywiście nie mam na myśli pośpiechu wpływającego na jakość waszej pracy, chodzi mi o sprawne działanie.

- Oczywiście. - Amanda pokiwała głową. - Zrobię, co będę mogła, ale nie mogę zmusić moich ludzi, żeby uwinęli się do soboty. Na to mamy za mało czasu.

- Co możemy zrobić, żeby pomóc w przyspieszeniu tego procesu? - zapytał doktor No.

Will poczuł, jak w Amandę wstępuje niewidzialna energia. Właśnie na takie pytanie czekała.

- Zastanawiam się, czy... - Urwała. - Nie, nieważne.



Zrobimy, co w naszej mocy. - Zaczęła podnosić się z krzesła.  
- Dziękuję za poświęcony nam czas.

- Proszę. - Goldfinger gestem dał jej znak, żeby usiadła. -  
Co możemy zrobić?

Amanda ponownie zajęła krzesło. Westchnęła ciężko i oświadczyła:

- Obawiam się, że wszystko znowu sprowadza się do Marcusa Rippy'ego.

- Nie ma, kurwa, mowy! - wrzasnął Kilpatrick. - Nie będziecie rozmawiać z Marcusem. Wykluczone, kurwa!

Amanda zwróciła się do Goldfingera.

- Proszę spojrzeć na to z mojego punktu widzenia. Detektyw, były policjant, odznaczany i szanowany, pada ofiarą zabójstwa. Jego ciało zostaje znalezione w nieukończonym klubie. Dochodzenie zaczęłabym od rozmowy z właścicielem nieruchomości, by wykluczyć go z kręgu podejrzanych i stworzyć listę ludzi, którzy mieli wstęp do budynku.

- Mogę wam dać tę pieprzoną listę - warknął Kilpatrick. - Z Marcusem nie musicie rozmawiać.

- Obawiam się, że muszę. - Amanda uniosła rękę, wzruszając bezradnie ramionami. - Zajmę mu tylko kilka chwil. Obiecuję, że rozmowa będzie szczerą i otwartą. Gdyby okazał pomoc w śledztwie, co zostałoby odnotowane w mediach, poprawiłby swoją nadszarpniętą reputację. Rozmowa byłaby rejestrowana.

- Jaja sobie robisz, kobieto? Rejestrowana? - Kilpatrick zerwał się na równe nogi. - W tym stanie można dostać pięć

do dziesięciu lat za okłamanie gliniarza - zwrócił się do Goldfingera.

- W jakiej sprawie pański klient zamierza skłamać? - zapytała niewzruszona Amanda.

Kilpatrick zignorował jej słowa i pieklił się dalej:

- Ta pieprzona pajęczycza zastawia na Marcusa pułapkę i podstępem chce go zmusić do powiedzenia czegoś, co...

- Kip - upomniał go doktor No.

Kilpatrick zamknął usta jak ryba, natomiast do Amandy zwrócił się Goldfinger:

- Pani dyrektor, czy możemy porozmawiać w cztery oczy?

Pozostali prawnicy jak na komendę wstali z miejsc.

Amanda dotknęła ramienia Willa, który poszedł za ich przykładem.

Kilpatrick wznosił ramiona i krzyknął:

- To brednie. Kompletne brednie!

Ale prawnicze trio już opuściło salę.

Will obserwował go z korytarza. Kilpatrick powiedział „brednie” jeszcze dwa razy przed wyjściem z sali. Chciał trzasnąć szklanymi drzwiami, ale spowalniał je samozamykacz.

Nagle u boku Willa wyrósł Laslo. Poczzerwieniały z wściekłości Kilpatrick wycelował w nich obu palcem.

- Wyprowadź tego złamasa do holu, a potem wróć do mojego biura. Migiem. - Walnął ręką w ścianę. Płyta gipsowo-kartonowa ugięła się, ale nie pękła. Poprawił kopniakiem, również bezskutecznie. W końcu ruszył sztywnym krokiem do siebie.

- Ej, Złamasie, tędy. - Laslo wskazał Willowi drogę powrotną do holu.

- Laslo. - Will spojrzał ponad jego głową, korzystając z dzielącej ich sporej różnicy wzrostu. Nie miał zamiaru wyjść stąd bez Amandy. Poza tym coś w tym zbirze wyjątkowo działało mu na nerwy. - Masz jakieś nazwisko?

- Tak, Wal Się. A teraz wynocha.

- Laslo Wal Się. - Will ani drgnął. - Masz wizytówkę?

- Mam celnego kopa. Zarobisz w dupsko, jeśli się nie ruszysz, Złamasie.

Will zmusił się do chichotu. Wsadził ręce do kieszeni.

- Z czego, kurwa, rżysz? - zainteresował się Laslo.

Will nie potrafił zapanować nad impulsem, który kazał mu wkurzać tego faceta. Pomyślał o starszej pani w holu, o tym, jak drżała jej dolna warga. Przez kogo? Przez Lasla? Przez Kilpatricka? Instynktownie czuł, że coś jest na rzeczy.

- Pani Lindsay ostrzegła mnie, że niezły z ciebie pistolet.

Twarz Lasla pociemniała, czyli Will trafił w czuły punkt. Ciekawiło go, jak wygląda kartoteka Lasla w Bostonie. Musiała być imponująca. Na szyi miał więzienny tatuaż i spojrzenie człowieka, który może ostro oberwać, ale i tak wygra walkę.

- Trzymaj się od starszej pani z daleka albo ci wpierdołę - wycedził Laslo.

- Lepiej przynieś drabinę.

- Nie myśl, że jak jesteś gliną, to ci nie przywalę. - Laslo oparł ręce na biodrach. Will myślał, że taka poza uchodzi tylko facetowi, który biernie przygląda się grze. Poły opiętej

koszuli rozchodziły się między guzikami, odsłaniając ciało. Materiał był tak rozciągnięty, że zrobił się cieniutki. Laslo mógł z czystym sumieniem oszczędzić na pralni i po prostu pomalować się na jakiś kolor. - Na co się gapisz, cioto?

- Ładna koszula. Sprzedają rozmiary dla dorosłych?

Z sali konferencyjnej wyszła Amanda.

- Bardzo dziękuję - zawołała do Goldfingera, a Willowi posłała uśmiech. W oczach miała błysk triumfu. Marcus Rippy był ważny, ale nie aż tak jak interes wart dwa miliardy osiemset milionów dolarów, z którego to tortu każdy chciał ukroić kawałek dla siebie.

- Gotowy? - zapytała Willa.

- Tędy. - Laslo kciukiem wskazał korytarz.

- Dziękuję, panie Zivcovik. - Amanda pierwsza ruszyła do holu. - Udało się panu znaleźć numer telefonu pani Polaski?

Nie spuszczać oka z Willa, Laslo podał jej złożoną kartkę.

Amanda zerknęła na nią i przekazała Willowi.

To był ten sam wyłączony numer, który widniał we wszystkich dokumentach.

Laslo gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi do holu.

- Mogę coś jeszcze dla was zrobić? - Jego prostacki sposób artykułowania wyrazów w połączeniu z silnym bostońskim akcentem sprawiły, że brzmiał jak człowiek dochodzący do siebie po udarze.

- Młody człowieku, na pewno mieszkasz tu na tyle długo, by wiedzieć, że „was” jest zaimkiem w drugiej osobie liczby mnogiej. - Ten komentarz miał być ostatnim, ale Will chciał jeszcze zadać pytanie. - Znałeś Angie?

- Polaski? - Laslo wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. - Jasne, że znałem. - Mrugnął do Willa znacząco. - Miała cipę jak boa dusiciel.

- Miała? - zapytała Amanda.

W odpowiedzi trzasnął im drzwiami przed nosem.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Faith siedziała na niewygodnym plastikowym krześle naprzeciw stanowiska pielęgniarek na oddziale intensywnej opieki medycznej szpitala Grady, a obu końców holu pilnowali uzbrojeni strażnicy.

Oddział był pełen ludzi. Grady to jedyny publiczny szpital w Atlancie, centrum urazowe najwyższego stopnia referencyjności, zajmuje się najgorszymi przypadkami w mieście. O każdej porze przynajmniej jedna czwarta pacjentów jest przykuta kajdankami do łóżek.

Faith spojrzała na białą tablicę za kontuarem. Pielęgniarka dyżurna o imieniu Olivia uaktualniała status jednego z pacjentów. Szpital przyjmował wielu pacjentów N.N., ale Faith myślała tylko o jednej pacjentce, o N.N. 2, jej potencjalnym świadku. N.N. 2 nadal była w stanie krytycznym, a jej operacja trwała cztery godziny dłużej niż planowano. Lekarze musieli odtworzyć nos i gardło, a także przetoczyli tyle krwi, że przy okazji zafundowali pacjentce błyskawiczne odtrucie organizmu. Teraz leżała naszprycowana morfiną. Miała się wybudzić najwcześniej za godzinę.

Faith nie traciła czasu, tylko uważnie przeczytała dokumenty finansowe Dale'a Hardinga oraz wykaz połączeń telefonicznych. Niestety przejrzenie tych papierów nie tylko nie przybliżyło jej do rozwiązania, ale i nie przyniosło nowego tropu. Harding dzwonił jedynie po pizzę albo

chińszczyznę, co oznaczało, że w interesach posługiwał się telefonem na kartę. Natomiast zrozumienie wyciągów bankowych nie wymagało zaawansowanej wiedzy w dziedzinie księgowości. Na rachunku bieżącym Harding trzymał mniej niż sto dolarów. Ta kwota nie zmieniała się przez ostatnie pół roku, ponieważ za wszystko płacił złotą kartą MasterCard, od tortilli w Taco Bell po pończochy uciskowe, które wspomagały krążenie krwi w nogach. Ogólna kwota wydatków na kartę za ostatnie pół roku sięgnęła czterdziestu sześciu tysięcy z niewielkim okładem. Harding przestał płacić rachunki. Faith założyła, że zrobił to celowo. Przestał chodzić na dializy, tym samym podpisując na siebie wyrok śmierci, a żegnając się ze światem, najwyraźniej zaplanował orznąć jak najwięcej ludzi.

Pytanie brzmiało: czy jedną z tych osób była Delilah Palmer? Faith nie potrafiła wyrzucić z pamięci zdjęć pornograficznych, a szczególnie martwego spojrzenia dziewczyny. Nawet jako dziesięciolatka Delilah miała w oczach rezygnację zrodzoną z przekonania, że los wyznaczył jej rolę zabawki dla każdego mężczyzny, który stanie jej na drodze. W tym sensie Dale Harding nie był jak inni. Był policjantem, był ojcem. Jedyne człowiek, któremu mogła zaufać, trzymał jej pikantne zdjęcia na poddaszu, a potem się z nią ożenił. Dlaczego?

To ona musiała być kluczem do zabójstwa Hardinga i Angie, jednak Faith nie kupowała feministycznej teorii Colliera, która głosiła, że Delilah stoi za śmiercią tych obojga. Harding od zawsze się o nią troszczył, poza tym

musiała wiedzieć, że nie zostało mu wiele życia. Po co go mordować, skoro wystarczyło odczekać kilka dni i zatańczyć na jego grobie?

Faith przychodziło do głowy wielu ludzi, którzy mogliby pragnąć śmierci Angie Polaski, dlatego na razie wołała skupić się na Dale'u Hardingu. Był hazardzistą, lubił ryzykować. Może przed śmiercią podjął szczególnie duże ryzyko? Mogło chodzić o wysoki profit, o coś, co przyniosłoby Delilah, prawowitej żonie, wymierną korzyść. A jeśli to przedsięwzięcie wiązało się z łamaniem prawa? Tak, to miało sens i wyjaśniało, dlaczego jej życie znalazło się w niebezpieczeństwie.

A ona powierzyła temu kretynowi Collierowi poszukiwania Delilah Palmer.

Przejrzała szesnaście wiadomości od niego wysłanych od chwili, gdy zostawiła go w Mesa Arms. Jeśli w kontaktach bezpośrednich był gadatliwy, to w słowie pisanym wykazał się wręcz patologicznym gadulstwem. Okraszał wiadomości tyłoma zbędnymi informacjami o pogodzie, piosenkach w radiu, swoich zwyczajach jedzeniowych, że Faith miała ochotę je przesiać gęstym sitem, zanim eksploduje jej mózg.

Sięgnęła do jednej z przepastnych kieszeni spodni i wyjęła z niej spiralny notes i długopis. Znalazła czystą kartkę i na górze napisała:

PALMER, HARDING, POLASKI, RIPPY

Zaczęła stukać długopisem w puste kolumny pod nazwiskami. Związki. To musiała ustalić. Delilah wyszła za Dale'a Hardinga, możliwe też, że była jego córką. Harding



pracował dla Rippy'ego. Amanda powiedziała, że Angie pracowała dla Kipa Kilpatricka, co faktycznie oznaczało, że również pracowała dla Rippy'ego.

Angie prawdopodobnie знаła Hardinga od dawna, bo źli policjanci łatwo się wyczuwali i trzymali się razem. Wmawiali sobie, że są outsiderami, ponieważ tylko oni robili czarną robotę, ale prawda była taka, że porządni policjanci nie chcieli mieć z nimi nic wspólnego.

Faith przewróciła kartkę i napisała na górze:

#### PYTANIA

*1. Dlaczego Angie i Harding spotkali się w klubie Rippy'ego?*

*2. Co wie Delilah?*

*3. Kto chciał zabić Hardinga?*

*4. Kto chciał zabić Angie?*

Jeśli Harding i Angie znali się od dawna, to najpewniej któreś z nich zaczęło pracować dla Kipa Kilpatricka i przekazało ten kontakt drugiej osobie. Harding przeprowadził się do Mesa Arms pół roku temu. Faith założyła, że właśnie wtedy zaczął pracować dla Kilpatricka. Na rachunku Angie duże kwoty zaczęły pojawiać się cztery miesiące temu, musiała więc pracować dla Kilpatricka przynajmniej od tego czasu. Czyli to zapewne Harding załatwił jej tę robotę, a nie na odwrót.

Faith wróciła do pierwszej strony.

Wszystkie strzałki prowadziły do Marcusa Rippy'ego.

Sygnal telefonu oznajmił nadejście kolejnego elaboratu od Colliera. Faith omiotła wzrokiem linijki, szukając konkretów.

Ominięła szczegółowe informacje o niestrawności wywołanej hot dogiem kupionym na stacji benzynowej. W sobotę, dzień przed zabójstwem, Delilah Palmer wynajęła czarnego forda fusion z firmy Hertz zlokalizowanej przy Howell Mill Road. Nie ma nagrania tej transakcji z kamer monitoringu. Użyła karty Visa. Collier rozesłał informację o wynajętym samochodzie do wszystkich patroli. Powtórzył swoją teorię o mułach przemycających heroinę. Dilerzy wypożyczali auta, wiedząc, że ich własne pojazdy zostaną skonfiskowane, jeśli policjanci znajdą w nich towar.

Faith znowu postukała długopisem w notatnik. Nie kupowała narkotykowego punktu widzenia Colliera. Jej zdaniem szukał punktu zaczepienia w niewłaściwym miejscu.

Delilah wynajęła samochód w sobotę, nie w niedzielę czy poniedziałek, co oznaczało, że miała go już przed zabójstwem Hardinga. A to mogło oznaczać, że wiedziała o grożącym mu niebezpieczeństwie i ewentualnej konieczności ucieczki. Wypożyczając auto, posłużyła się własnym prawem jazdy i własną kartą kredytową. Delilah wiele lat spędziła na ulicy. Była zbyt sprytna, by organizować swoją ucieczkę pod własnym nazwiskiem, czyli chodziło jej o Hardinga.

Telefon Faith znowu zawibrował. Kolejny esemes od Colliera, na szczęście krótki:

*Dziewczyny mówią, że Souza przedawkowała 6 m-cy temu. Ślepa uliczka, kapujesz?*

Faith musiała wrócić do poprzednich wiadomości, żeby przypomnieć sobie, kim jest Souza. W końcu znalazła stosowny fragment w elaboracie sprzed dwóch godzin.

Według źródeł Colliera w strefie szóstej Virginia Souza była inną dziwką, która oddawała Hardingowi rozmaite przysługi. Pracowała w rewirze Delilah. Była dość agresywna, dwukrotnie oskarżona o napaść na nieletnią. Faith zastanawiała się, czy tą nieletnią nie była przypadkiem Delilah Palmer.

Spojrzała znowu na ostatnią wiadomość. Collier dał jej do zrozumienia, że ma zamiar pogadać z młodszymi prostytutkami, które same mogą coś wiedzieć albo skierować do kogoś, kto będzie coś wiedział o miejscu pobytu Delilah Palmer. A może gadał z młodymi dziwkami, ponieważ był Collierem. Wiadomość zakończył serią emotikonów przedstawiających bakłażana, które – jak wywnioskowała ze strony Jeremy’ego na Facebooku – oznaczały penisy.

Faith wróciła do notatek. Wiele strzałek prowadziło do Rippy’ego. Mnóstwo pytań, zero odpowiedzi. Mogła kazać Collierowi gnić w szpitalu i sama szukać Delilah, ale właśnie na tym polegał problem z dochodzeniami w sprawie zabójstwa. Człowiek nigdy nie wie, który trop doprowadzi do rozwiązania, a który skończy się w ślepej uliczce. Faith miała przeczucie, że podsunęła Collierowi właściwy trop. Była gotowa skoczyć z dachu szpitala, gdyby się okazało, że spadnie na przestępcę, na czarny charakter w ich sprawie.

Telefon znowu zawibrował. Nie chciała czytać kolejnej epistoły od Colliera, ale w tej chwili nie mogła sobie pozwolić na luksus niewiedzy. Spojrzała na wyświetlacz. TELEFON OD WANTANABE, B.

Wstała i odeszła w głąb korytarza, szukając odrobiny

prywatności.

- Mitchell - rzuciła do słuchawki.

- Czy to agentka specjalna Faith Mitchell? - zapytała kobieta.

- Tak.

- Nazywam się Barbara Wantanabe. Violet przekazała mi, że chce pani ze mną rozmawiać.

Faith prawie już zapomniała o najbliższej sąsiadce Hardinga.

- Dziękuję, że pani się odezwała. Czy mogłaby mi pani powiedzieć coś o Dale'u Hardingu?

- Mogę pani opowiedzieć bardzo dużo.

Słowa dotrzymała. Poskarżyła się na smród wydostający się z jego domu, na sposób parkowania auta z kołami na trawniku, na ryszotkowy język, na głośno grające radio i telewizor.

Faith starała się nadążyć za potokiem słów. Barbara Wantanabe okazała się wymowniejsza od Colliera. Mówiła coś, sama sobie zaprzeczała, powtarzała to, co powiedziała na początku, wyrażała się niejednoznacznie, kluczyła, a kiedy piąty raz zaplątała się w kolejną figurę retoryczną, Faith zaczęła rozumieć, dlaczego Harding tak jej nie znosił.

- Niech mnie nawet pani nie pyta o muzykę.

Faith słuchała dywagacji pani Wantanabe o muzyce, jakiej słuchał Harding. Ten sam album z rapem, rano, w południe i wieczorem. Jej wnuk powiedział, że to Jay Z, coś, co się nazywa „Black Album”. Faith знаła tę płytę. Słuchał jej Jeremy na cały regulator w swoim pokoju. Stanowił

doskonałe tło dla jego uprzywilejowanej pozycji z racji przynależności do białej rasy i przyjęcia na jeden z najlepszych uniwersytetów w kraju.

Faith wróciła do Barb, czekając na dogodną chwilę. W końcu Barb musiała zatrzymać potok słów, by wziąć oddech.

- Czy odwiedzali go jacyś ludzie? - zapytała.

- Nie... tak. To znaczy wydaje mi się, że tak. Mógł mieć gościa, jednego gościa.

Faith zakryła dłonią oczy.

- Wyczuwam w pani głosie niepewność.

- Tak, proszę pani. To prawda. Nie mam pewności.

Faith musiała nawiązać do teorii Colliera o mule.

- Widywała pani ludzi wchodzących i wychodzących? Osoby, które nie pasowały do otoczenia?

- Nie, takich nie widziałam. Gdyby tak było, od razu bym wezwała policję. Chodzi raczej o to, że w pewnym momencie miałam wrażenie, że jest tam ktoś jeszcze.

- W jakim momencie?

- Ostatnio. Nie, nie ostatnio. W zeszłym miesiącu.

- Myśli pani, że ktoś odwiedził Dale'a w domu w ubiegłym miesiącu?

- Tak mi się zdaje. Może nawet tam został? Nie wiem, no, może. Ale słowo „odwiedziny” nie musi tu pasować.

Faith zmeła w ustach przekleństwo i zdołała zachować milczenie.

- Chcę powiedzieć, że ktoś mógł tam mieszkać. Tak myślę, no, kiedy Dale'a nie było. Kiedy się wprowadził, w ciągu dnia

go nie było, ale potem był już cały czas. Wtedy zaczęły się problemy, kiedy już był na miejscu. Brzmi to źle, ale tak było.

Faith usiłowała słuchać i jednocześnie przetwarzać wszystkie informacje.

- Kiedy Dale wprowadził się pół roku temu, nie bywał w domu, ale miesiąc temu pani zauważyła, że to się zmieniło, tak?

- Właśnie.

- Mniej więcej w tym samym czasie zaczęła słyszeć pani odgłosy, które wskazywały, że po sąsiedzku mieszka ktoś jeszcze prócz Dale'a?

- Tak.

Faith czekała na zwyczajowe zaprzeczenie, ale się nie doczekała.

- Może pani dokładniej to opisać?

- Widzi pani, słyszałam dźwięki. - Barb urwała przed następną porcją niejednoznaczności. - Właściwie nie dźwięki jako takie. To mógł być telewizor. Ale kto ogląda telewizję i w tym samym czasie słucha rapu? - Po tym stwierdzeniu natychmiast wróciła na swoje tory: - Ale może niektórzy tak robią?

- Może i tak - zgodziła się Faith. Zwłaszcza jeśli chcą zagłuszyć inny hałas, na przykład ćpunkę walącą w ścianę garderoby i wołającą, żeby ją wypuścić. - Czy kiedykolwiek słyszała pani jakieś walenie?

- Walenie?

- Jakby ktoś walił w ścianę albo w drzwi.

- Hm... - Barb dała sobie czas do namysłu.

Faith odtworzyła w pamięci plan domu typu Tahoe w Mesa Arms. Pokój gościnny był usytuowany przy wspólnej ścianie bliźniaka. Pokój właściciela po drugiej stronie miał więcej okien i dawał więcej prywatności.

*Obszerna garderoba do przetrzymywania kobiet!*

- Hałas bardziej przypominał młotek - powiedziała w końcu Barb.

- Jak młotek uderzający w coś?

- Tak, ale wielokrotnie. Może wieształ zdjęcia? - Barb przerwała na chwilę. - Nie, musiałyby mieć mnóstwo zdjęć. Hałas nie był ciągły, ale trwał długo. Może składał meble? Mój syn robi to dla mnie, ale tylko kiedy znajdzie czas. Moja synowa, wie pani... Ale największy problem z Dale'em to były ekskrementy.

Faith osłupiała.

- Słucham?

- Ekskrementy. No wie pani - Barb zniżyła głos - kaku.

- Odchody?

- Ludzkie.

Faith musiała powtórzyć oba słowa razem:

- Ludzkie odchody?

- Tak, w ogrodzie za domem. - Westchnęła ciężko. - Dale płukał to wiadro codziennie wieczorem. Najpierw myślałam, że maluje ściany, co ma sens, bo w czasie malowania słucha się muzyki, prawda?

- Jasne.

- Więc przypuszczałam, że maluje ściany, i to na niezbyt ładny kolor, ale kiedyś mój wnuk poszedł za dom po gałązki

do obgryzania dla pana Nihma. Zęby im rosną stale. Och! - zawołała ożywiona. - Dziękuję, że go odnaleźliście. Synowa już uznała mnie za persona non grata z powodu tego ciężkiego przewinienia. Niech mi pani wierzy, że ona ma listę. Nie przepadałam za własną teściową, ale robi się, co trzeba, prawda? To się nazywa szacunek.

Faith postanowiła skierować Barb z powrotem na właściwe tory.

- Wróćmy do odchodów. - Nie przypuszczała, że kiedykolwiek wypowie taką kwestię. - Co wieczór widziała pani, jak Dale opróżnia wiadro, tak?

- Tak.

- Kiedy to się zaczęło?

- Dwa tygodnie temu? Nie. - Barb znowu się zamotała. - Dziesięć dni. Powiedziałabym, że dziesięć dni.

- Duże wiadro, nie takie, jakiego używa się do mycia podłogi?

- Zgadza się. Takie duże, jak do malowania. Może nie na farbę, ale na rozpuszczalniki, ale takiej wielkości. Duży rozmiar, naprawdę duży.

- I któregoś dnia pani wnuk poszedł na tył domu i znalazł coś? Wyczuł coś?

- Tak. Nie. I tak, i nie. Wyczuł coś i podszedł bliżej. To był jakiś szlam, coś podobnego do szlamu. Cokolwiek to było, przyniósł to do domu na podszwach.

Szczur na pewno był zachwycony, pomyślała Faith.

- Musiałam umyć podeszwy szlauchem. To było okropne. A matka wnuczka strasznie się na mnie wściekła. To moja



synowa, wiem, że muszę stosować się do jej metod wychowawczych, ale szczerze mówiąc...

- Czy pani pytała Dale'a o te odchody?

- Ależ skąd! O niczym nie mogłam z nim rozmawiać, to byłoby bezcelowe. Rzucił mi obelgi i odchodził.

Faith rozumiała jego zachowanie względem pani Wantanabe.

- Czy kiedykolwiek widziała pani przed domem Dale'a inne auto niż jego białą kię?

- Nie przypominam sobie. - Zamilkła na chwilę. - Nie, na pewno nie widziałam.

- Często pani wychodzi? - zaczęła Faith ostrożnie, ponieważ nawet ludzie pełni najlepszych intencji naginali prawdę. - Pytam dlatego, że dzisiaj po południu nie zastałam pani w domu.

- Pracuję jako wolontariuszka w YMCA. Składam ręczniki, pomagam w porządkach. Lubię czystość i porządek, stąd moje spory z Dale'em. Nie cierpię bałaganu. Nie ma powodu, żeby nie odkładać rzeczy na miejsce, prawda?

- Oczywiście. - Faith znowu zakryła oczy dłonią. Ta kobieta po mistrzowsku przeskakiwała z tematu na temat. - Czy to znaczy, że pani zgłosiła się jako wolontariuszka, żeby być jak najdalej od Dale'a?

- Właśnie. Początkowo wolontariat był dobrym pretekstem, żeby wyjść z domu na kilka godzin. No i oczywiście pomóc ludziom. Tak, tak, pomóc ludziom. Ale potem stał się moim jedynym wytchnieniem od hałasu... i od smrodu. Czuła pani ten smród, prawda? Nie mogłam tam wytrzymać całego dnia.

To było nie do zniesienia.

Faith zastanowiło, czy przypadkiem Hardingowi nie zależało właśnie na nieobecności Barb i nie robił wszystkiego, żeby osiągnąć cel. Jeśli w garderobie urządził Delilah przymusowy odwyk, musiał mieć pewność, że nikt nie usłyszy jej wrzasków i nie wezwie policji.

- Kiedy zaczęła pani spędzać więcej czasu poza domem? - zapytała.

- W zeszłym tygodniu.

- Siedem dni temu?

- Tak.

To oznaczało, że Dale wykurzył ją z domu po trzech dniach nieustającej męki.

- Poddałam się. Czułam się coraz gorzej, no bo ten odór, bo te hałasy. Nie mogłam tego znieść. A nie jestem z natury jakąś tam zrzęda, Violet może to potwierdzić.

Faith czuła, że Violet tego jednak nie potwierdzi.

- Przykro mi, że musiała pani przez to wszystko przechodzić, pani Wantanabe. Bardzo dziękuję za telefon. Jeśli coś jeszcze pani sobie przypomni...

- To smutne - przerwała jej Barb. - Kiedy się wprowadził, uznałam go za samotnego starego kawalera. Rzuciły się w oczy jego kłopoty ze zdrowiem, nie wyglądał na szczęśliwego. Pomyślałam sobie wtedy, że to dla niego dobre miejsce. Tworzymy społeczność, chociaż różnimy się między sobą. Violet by powiedziała, że jedni są z Marsa, inni z Wenus, a pozostali z najodleglejszych galaktyk, ale troszczymy się o siebie.

Faith poczuła, że telefon wibruje.

- Tak, proszę pani. To miejsce wydaje się bardzo przyjemne. Muszę już...

- Kiedy ma się swoje lata, człowiek uczy się przechodzić do porządku dziennego nad dziwactwami i wadami innych. - Westchnęła przeciągle. - Ale powiem ci coś, moja droga. Nie można przejść do porządku dziennego nad ludzką kupą za domem.

- Dobrze, pani Wantanabe. - Telefon Faith znowu zawibrował. Przyszła wiadomość od Willa. - Dziękuję pani. Proszę zadzwonić, jeśli coś jeszcze przyjdzie pani do głowy.

Faith skończyła rozmowę, nie czekając na kolejne uwagi Barbary Wantanabe, i otworzyła wiadomość od Willa. Przesłał jej zdjęcie frontu szpitala, co w jego języku oznaczało, że jest na miejscu i jej szuka. Faith odpowiedziała mu emotikonem przedstawiającym talerz, a na nim uśmiechniętą kupę, co oznaczało, że spotkają się w części gastronomicznej.

Mijając stanowisko pielęgniarek, spojrzała na tablicę. N.N. 2 nadal była w stanie krytycznym. Faith nie chciała pytać pielęgniarek o najnowsze informacje. Miały jej wizytówkę. Obiecały, że dadzą znać, gdy tylko pacjentka będzie w stanie mówić.

Faith weszła na schody. Poklepała się po kieszeniach spodni, by się upewnić, że ma ze sobą zestaw do badania krwi. Zostały jej dwa wstrzykiwacze insuliny, pół godziny wcześniej użyła trzeciego. Teraz musiała coś zjeść. Problem polegał na tym, że szpital oferował tylko śmieciowe jedzenie.

To była świetna wiadomość dla nowego oddziału kardiologicznego, ale fatalna dla cukrzyków, którzy musieli kontrolować poziom cukru. Nie żeby Faith miała ochotę cokolwiek kontrolować. Tęskniła za czasami, kiedy mogła bez konsekwencji zajadać stres.

Will już na nią czekał. Siedział przy stoliku z tyłu sali, ale w pierwszej chwili go nie poznała. Miał na sobie dzinsy i bardzo ładne polo z długim rękawem, które na pewno Sara przemyciła do jego garderoby. Był przystojny, ale miał zwyczaj wtapiania się w tło, co różniło go od wszystkich policjantów, jakich dotąd poznała.

- Może być? - zapytał.

Chodziło mu o sałatkę, którą dla niej zamówił. Faith spojrzała na podwiedle liście sałaty i wąskie kawałki kurczaka, które wyglądały jak palce martwego człowieka. Na tacy Willa leżały dwa cheeseburgery, duża porcja frytek, zimny deser mleczny i cola.

- Wygląda dobrze. - Faith usiadła, walcząc z chęcią natychmiastowego pożarcia całej zawartości tacy Willa. - Dzięki.

- Amanda zaplanowała na jutro oficjalne rejestrowane przesłuchanie Rippy'ego.

- Wiem. Powiadomiła mnie o wszystkim.

- O wszystkim?

- Wiem o rachunku bankowym, który dzieliłeś z Angie. I zgadzam się, że nie powinieneś mówić o tym Sarze.

Will nie odpowiedział. Nigdy nie reagował na nieproszone rady.

- Dostałem z Bostonu kartotekę Lasla Zivcovika - poinformował Faith. - Ma na koncie jakieś wykroczenia, picie w miejscu publicznym, przekroczenie prędkości, napaść na kobietę i nieumyślne spowodowanie śmierci podczas bójki w barze. Dźgnął faceta dwadzieścia osiem razy i zostawił go, żeby się wykrwawił. Dostał dziesięć lat.

- Nieumyślne spowodowanie śmierci? Musiał mieć dobrego adwokata.

- Przypuszczam, że pracował dla mafii albo dla bostońskiego odpowiednika Kipa Kilpatricka.

- Przejąłeś się tym, co powiedział o Angie?

- Bardziej martwi mnie jego znajomość waginy węża. - Gdy Faith spojrzała na niego zdumiona, wzruszył ramionami i dodał: - To jak życie z alkoholikiem. Nie dziwisz się, kiedy słyszysz od innych, że siedzi w barze.

Faith przez długie lata spotykała się z alkoholikami. Strach, że partner zadławi się własnymi wymiocinami albo zabije kogoś, prowadząc po pijanemu, był jednak czymś innym niż świadomość, że pieprzy wszystko, co się rusza.

Co, jak się okazało poniewczasie, także powinno być przedmiotem jej troski.

- Spotkałem pewną kobietę przed biurem Kipa Kilpatricka. Pani Lindsay, Afroamerykanka po siedemdziesiątce, bardzo poukładana. Miała na szyi perły. Dużo mi powiedziała o sobie. Odniosłem wrażenie, że jest w złym miejscu.

- Może to matka jednego z graczy zatroskana o syna wypuszczonego na szerokie wody.

- Wspomniała o córce, ale jakby mimochodem. Nie tak byś

mówiła o swoim dziecku, gdyby grało na wysokim poziomie.

Will zawstydział Faith swoją wrodzoną intuicją.

- Co cię w niej zaniepokoiło? - zapytała.

- Drżenie jej wargi. - Dotknął swoich ust. - Wydawała się zdenerwowana, bardzo zaniepokojona.

- Wiedziała, że jesteś policjantem?

- Tak.

- Znasz jej imię?

- Nie, ale powiedziała, że mieszka w apartamentowcu przy Jesus Junction.

- To całkiem szczegółowa informacja.

- Niewystarczająco szczegółowa. Zadzwoń do tego apartamentowca, ale na liście lokatorów nie ma pani Lindsay.

Faith uderzyło, że Will zadał sobie tyle trudu.

- Kobieta w tym wieku na pewno chodzi do jakiegoś kościoła. Spróbuj w Afrykańskim Kościele Metodystyczno-Episkopalnym przy Arden.

- Dobry pomysł. - Will skinął głową.

- Z kim miała się spotkać? - zapytała Faith.

- Chyba z Kilpatrickiem. Laslo ją wywołał. Nazwał ją panną Lindsay.

To musiało mieć jakieś znaczenie. Zwrócenie się do wiekowej kobiety per „panno” było niegrzeczne. A może jednak nie.

- Lindsay to może być jej imię. Starsza pani z południa może woleć taką formę okazywania szacunku. Jak w „Wożąc pannę Daisy”.

- O tym nie pomyślałem. - Will wzruszył ramionami. - To pewnie nie ma znaczenia.

- To i tak więcej niż ja mam. Rano powinienes trochę podzwonić. - Faith wiedziała, że to polecenie brzmi jak pretekst do trzymania go z dala od sprawy Angie, spróbowała więc nieco podkoloryzować rzeczywistość. - Martwy Harding zostaje znaleziony w klubie Rippy'ego. Angie pracuje dla Kilpatricka. Laslo jest pacholkiem Kilpatricka. Panna Lindsay zjawia się kilka godzin po zabójstwie. Laslo prowadzi ją do biura, prawdopodobnie do Kilpatricka. Wiesz, o co mi chodzi. Nie ma przypadków.

- Pani Lindsay nie było w jego gabinecie - odparł Will. - Prawdę mówiąc, nigdzie jej nie widziałem. Może była na dole, może miała spotkanie z kimś innym.

- A może ukrywali ją przed tobą.

- Może tak. - Will wrócił do deseru. - Powiedz, co robiłaś cały dzień.

- To było jak zabawa w kreta i młotki, tyle że bez młotków. - Dłubiąc widelcem w sałatce, Faith opowiedziała Willowi, czego dowiedziała się o życiu Hardinga, o jego awanturach z Barb Wantanabe, o szcurze, o smrodzie, o odchodach, o nagich zdjęciach Delilah Palmer i świadectwie ślubu.

To ostatnie przykuło uwagę Willa.

- Wpisuje ją jako swoją córkę, a dwa lata później zostaje jego żoną?

- Uhm.

- To ta sama młoda kobieta z gołej fotki w jego portfelu?

- Miał jej nagie zdjęcia od czasów podstawówki.

Will odstawił na stół kubek z deserem.

- Harding był pedofilem.

- Tak, to możliwe. - Faith zabrzmiała jak Barb Wantanabe.

- Coś mi nie daje spokoju. Większość pedofilów preferuje określony przedział wiekowy. Lubią jedenastolatki i dwunastolatki, lubią młodsze albo w okresie dojrzewania. Wiem, że takie rzeczy się zdarzają, ale to niezmiernie rzadki przypadek, żeby trzymali się jednej ofiary przez tyle lat.

- Rzadko trzymają się jednej ofiary i kropka. Facet w wieku Hardinga mógł mieć na koncie setki ofiar. Nie znalazłaś innych zdjęć?

Faith potrząsnęła głową, przełykając kawałek gumowatego kurczaka.

- Była jeszcze druga dziewczyna, która świadczyła jakieś usługi. Nazywała się Virginia Souza. Nie miał jej zdjęć, w jego papierach nie znalazłam żadnych informacji. Souza nie żyje, przedawkowała pół roku temu.

- Magiczne pół roku - zauważył Will. - Uważasz, że Harding zafundował Delilah przymusowy odwyk u siebie w domu?

- Siedziała zamknięta w jego garderobie z wiadrem do załatwiania potrzeb fizjologicznych. - Nagle zaświtała jej w głowie nowa myśl. - A może zamknął tam Angie?

- Niemożliwe. Pazurami wydrapałaby dziurę w ścianie i zabiła go.

Faith wiedziała, że Will nie mówi tego metaforycznie.

- Collier twierdzi, że Harding prowadził kurierów narkotykowych.



Will spojrział na nią z powątpiewaniem i skomentował:

- Meksykańskie kartele nie używają gałek drzwiowych do przesyłania wiadomości.

Faith zaśmiała się, głównie dlatego, że po tej uwadze Willa Collier wyszedł na idiotę.

- Dobrze. Zakładamy, że Delilah była jedyną kobietą, jaką Harding więził w garderobie. Dlaczego ją zamknął?

- Bo mu na niej zależało. - Will uniósł ręce, by uprzedzić jej protesty. - Harding zrezygnował z dializ. Wiedział, że niedługo umrze. Resztę życia chciał spędzić, fundując Delilah odwyk.

- Może czuł się odpowiedzialny za spieprzenie jej życia. - Faith przypomniała sobie aparat na zęby obok łóżka w pokoju gościnnym. - Ktoś zapłacił za ortodontę. Ona spała z aparatem na zębach.

- Partner Colliera niech się tym zajmie. Trzeba obdzwonić wszystkich ortodontów w okolicy i sprawdzić, czy była pacjentką któregoś z nich.

Faith wzięła do ręki telefon i zaczęła pisać.

- Powiadomię Amandę - powiedziała po chwili. W esemesie zasugerowała, żeby to niewdzięczne zadanie Ngô wykonał z Collierem.

Will czekał, aż Faith wyśle wiadomość.

- Mówiłaś, że pierwszy raz Palmer aresztowano za sprzedaż oksykodonu. Skąd brała tabletki?

- Mieszkała w zakapiorskiej okolicy, chodziła do szkoły podstawowej. Adderall, concerta, ritalin, tych leków na ADD i ADHD na pewno było tam zatrzesienie. Valium i percocet

pojawiają się w gimnazjum. Oksykodon to raczej problem szkół średnich i białych przedmieść.

- W takim razie kto dostarczał dziesięcioletniej Delilah oksykodon?

- Harding był białym kołnierzykiem. Nie miałby dostępu. - Faith dała sobie chwilę na zastanowienie. Jej matka kierowała brygadą antynarkotykową w strefie szóstej. Magazyn dowodów przypominał aptekę. - Harding mógł znać kogoś, kto miał dostęp do magazynu dowodów. Może wyhaczył uzależnionego gliniarza i zmusił go do dzielenia się łupem, przechwyconymi przez policję dragami i psychotropami.

- Strefa szósta?

Faith potaknęła, dostrzegając przy tym, że zachowanie Willa zmieniło się w okamgnieniu, dlatego zapytała:

- Znasz kogoś, kto pracował w szóstej strefie, miał kłopot z prochami i mógł mieć związek z Hardingiem?

- Tak. - Nie musiał dodawać, że chodzi o Angie. - Opiekuje się takimi dziewczynami. Przynajmniej kiedyś to robiła.

- Takimi jak Delilah? - Faith czuła, że robi jej się niedobrze. Przysyłanie dziewczyn na przyjęcia dla elit to jedno, ale wykorzystywanie osieroconych dziewczynek było absolutnie nie do przyjęcia.

- Angie pracowała w obyczajówce. Młode dziewczyny... powiedzmy, że brała je pod swoje skrzydła - odparł Will.

- I dawała im tabletki na sprzedaż?

Will potarł brodę.

- Angie wie, jak to jest znaleźć się w takiej sytuacji, kiedy

na dodatek nikt się tobą nie przejmuje.

- Nie wzbudzisz mojego współczucia tym argumentem. Robienie dilerki z dziesięcioletniej dziewczynki jest odrażające.

- Co jest gorsze: sprzedawanie prochów czy sprzedawanie seksu?

- Tylko takie możliwości wchodzi w rachubę?

- Dla dzieci, które utknęły w systemie, zmieniają szkoły i domy zastępcze pięć razy w roku i nigdy nie wiedzą, gdzie będą spać następnej nocy? Tak, tylko przed takim wyborem stoją - powiedział Will z bolesnym współczuciem.

Matczyna strona natury Faith chciała z nim polemizować, jednak cyniczna strona, wzmocniona piętnastoma latami pracy w policji, rozumiała logikę stojącą za tym wywodem. Współczucie jest czymś dobrym, ale świat opiera się na realnych zdarzeniach i uwarunkowaniach, a nie na liście życzeń, i Will doskonale to rozumiał. Ona też. Egzystencja tych dzieci nie wyglądała tak, jak by tego chciały, i musiały pogodzić się ze swoją rzeczywistością. Po prostu próbowały przetrwać w życiu, jakie stało się ich udziałem.

- Ile sznurków musiał pociągnąć Harding, żeby wyciągnąć Delilah z kłopotów?

- Więcej niż twórca makramy, tej gmatwaniny splotów, węzłów i innych cudów.

- Kto świadczył te przysługi?

- To tak nie działa. O tym się nie mówi. Na tym to polega. - Faith słyszała własny głos niosący się echem po sali. Sprawiała wrażenie wkurzonej i może rzeczywiście była

wkurzona. Jasne, dzieci w rodzaju Delilah Palmer miały pod górkę, ale pokazywanie im drogi do przestępczego świata nie było rozwiązaniem. – Jezu, Will, naprawdę myślisz, że Angie skłaniała dziewczynki do sprzedawania prochów?

Will zabębnił palcami po blacie. Patrzył przed siebie ponad jej ramieniem, co Faith zaliczała do jego najbardziej irytujących strategii stosowanych w rozmowie.

Nadziała na widelec kawałek kurczaka. Atmosfera przy stoliku zgęstniała. Nie było między nimi zgody co do oceny uczynków

Angie.

Zło/dobro/marzenia/uwarunkowania/możliwości... Faith czasem zapominała, jak ciężkie życie miał Will, a on nie robił nic, by o tym pamiętała. Z daleka wydawał się normalnym mężczyzną, ale z bliska zauważało się blizny na jego twarzy. Nigdy nie podwijał rękawów, nawet w piekielnym skwarze. Nigdy o tym nie mówił. Właściwie o niczym nie mówił. Ani o tych otwartych ranach na dłoni, wskazujących, że niedawno kogoś stłukł. Ani o tym, że jego żona prawdopodobnie nie żyje. Ani o tym, że złamał serce swojej dziewczynie.

– Faith? – Will czekał, aż podniesie wzrok, próbował się uśmiechnąć. – Czuję, że muszę zobaczyć tego szczura.

Faith westchnęła ciężko. Nawet nie przypuszczała, że miała w płucach tyle powietrza. Włączyła wideo w telefonie i podsunęła go Willowi.

– Collier się porzygał. I to wielokrotnie. Istny król paw. I to wielokrotnie.

Will zaśmiał się, doceniając obrazowość porównania. Odtworzył filmik, nawet dwa razy. Faith słyszała urywany

oddech przerażonego Colliera dobiegający z głośnika. Za każdym odtworzeniem filmik wydawał się zabawniejszy. W końcu Will odłożył telefon.

- To rosyjski niebieski.

- Szczur?

- Kiedyś robiłem nalot na sklep zoologiczny. Na tyłach sklepu facet sprzedawał egzotyczne zwierzęta. Od frontu miał mnóstwo różnych szczurów. Amanda kazała mi wszystkie skatalogować. - Przesunął telefon z powrotem do Faith. - Harding mógł ścigać Angie, żeby chronić Delilah, posprzątać bałagan przed opuszczeniem tego świata.

Faith wzruszyła ramionami, ale teoria Willa miała sens.

- Jeśli w grę wchodzi narkotyki, trzeba to rozważyć.

- Sugerujesz, że powinniśmy powiadomić Amandę?

- Pewnie tak. - Will pokiwał głową.

- Niech to szlag - mruknęła Faith. - Collier chciał pójść tropem tych symboli gangów w klubie. Zabiję się, jeśli się okaże, że miał rację.

- Nie wybiegajmy w przyszłość. To tylko teoria. Nie wiemy na pewno, co zamierzała Angie.

- Prócz inkasowania dziesięciu patyków miesięcznie od Kilpatricka.

- Może łowiła go na prochy.

- Kupiłabym tę teorię, gdyby chodziło o hormony wzrostu albo sterydy.

- Do tego nie potrzebowałby Angie, wystarczą lekarze wypisujący legalne recepty. - Will rozsiadł się na krześle. - Załóżmy, że znajdziemy Delilah, a ona nigdy nie słyszała

o Angie. Co wtedy?

- Wtedy nam powie, o co tu, do diabła, chodzi. - Faith nie dała Willowi czasu na wyśmianie jej, ponieważ oboje wiedzieli, że to mało prawdopodobne. Dziewczyny takie jak Delilah nie gadały z gliniarzami, z reguły stosowały prostą strategię: przeczekać, a potem zniknąć.

Faith wyjęła notatnik. Will nie mógł odczytać jej bazgrołów, pokazała mu więc nagłówki.

- Palmer wyszła za Hardinga i być może była z nim spokrewniona. Harding mieszkał w domu należącym do firmy, która prawdopodobnie prowadzi do Kipa Kilpatricka. Angie pracowała dla Kilpatricka. Harding zgarnął pulę sześć miesięcy temu. - Wskazała ostatnie nazwisko. - Wszystkie nitki prowadzą do Rippy'ego.

Will wziął od niej notatnik i zaczął przyglądać się nazwiskom. Faith śledziła poruszenia jego gałek ocznych, nie wiedziała jednak, ile czasu będzie potrzebował. Willowi lepiej szło odczytywanie słów, które już widział, a na kartce pojawiły się nowe nazwiska.

W końcu odłożył notatnik.

- Co by było, gdybyśmy wytoczyli sprawę? I to teraz, już? Palmer z jakiegoś powodu wyparowała, Rippy jest teflonowy. Jedyne osoby, o których wiemy coś na pewno, to Harding i Angie. Oboje byli w tym samym miejscu, w klubie. Jedno z nich tam umarło. Drugie umarło w wyniku czegoś, co tam zaszło. No, prawdopodobnie umarło.

Faith nie skomentowała słowa „prawdopodobnie”.

- Te strzałki prowadzące do Rippy'ego - ciągnął Will -

wyglądają dobrze na papierze, ale tak naprawdę nie mamy bezpośrednich powiązań, bo wszystko przechodzi tędy – postukał palcem w nazwisko Kilpatricka. – To on jest pośrednikiem, on stoi między Rippym a całą resztą. Powiedzmy, że jakimś cudem mamy oskarżenie o morderstwo poparte solidnymi dowodami i sędzia daje nam nakaz aresztowania. To nie Rippy będzie oskarżony, tylko Kilpatrick. Za to Rippy mu płaci. A jeśli sądzisz, że uda nam się zmontować oskarżenie o znowę, to się grubo mylisz. Harding nie żyje, Angie prawdopodobnie też. Rippy wyjdzie z tego cało jak zawsze.

Faith nie chciała przyjąć do wiadomości, że Will ma rację, chociaż każde jego słowo aż ociekało głębokim sensem.

– N.N. mogła coś widzieć. Była w biurówcu po drugiej stronie ulicy. – Spojrzała na zegarek w telefonie. – Niedługo powinna się obudzić po morfinie. Będziemy mogli z nią porozmawiać.

Z miny Willa wyczytała, że nie podziela jej optymizmu.

Zamknęła notatnik. Nie mogła na niego patrzeć.

– Jak myślisz, dlaczego chciała się zabić?

– Może z powodu samotności? – Will położył rękę na oparciu pustego krzesła. – Trudno znieść bezdomność. Nie wiesz, komu ufać. Nigdy nie śpisz spokojnie. Nie masz z kim pogadać.

Faith uświadomiła sobie, że Will jest pierwszą osobą, która naprawdę szuka odpowiedzi na to pytanie.

– Ile wzięła koki?

– Według mnie około pięćdziesięciu pięciu gramów

- Jezu, to działka warta prawie trzy patyki. Skąd miała tyle?

- Zapytamy ją, kiedy się obudzi. - Will przyłożył dłoń do klatki piersiowej i skrzywił się z bólu. - Czuję, jakbym miał zawał.

Nagły przyływ paniki skłonił Faith do natychmiastowej reakcji. Zerwała się z krzesła. Will dał jej znak, żeby usiadła.

- Nie do końca. To tylko nieprzyjemne ściskanie. - Potarł pierś palcami. - Takie drzenie. Masz to czasem? Serce trzepocze ci w piersiach?

Faith czuła to przez cały czas.

- Objaw stresu - mruknęła.

Will jeszcze raz potarł klatkę piersiową.

- Sara przysłała mi zdjęcie Betty. Leży w jej łóżku. To dobrze, prawda?

Faith skinęła głową, chociaż nie miała pojęcia, jak to interpretować. Will miał własny sposób porozumiewania się z ludźmi.

- Sprawdziłem w internecie. Ta szminka kosztuje sześćdziesiąt dolców.

Faith omal nie udławiła się kawałkiem sałaty. Najdroższą rzeczą, jaką kiedykolwiek nałożyła na twarz, był kawałek rostbefu, kiedy jakiś zbir uderzył ją w oko.

- Wszystkie kolory wydawały mi się takie same. Możesz podać mi jej numer z ewidencji dowodów?

- Will. - Faith odłożyła widelec. - Sarze nie zależy na szmince.

Pokręcił głową na znak, że nic nie rozumie.



- Była naprawdę wkurzona - powiedział. - Potwornie wkurzona.

- Posłuchaj mnie, Will, tu nie chodzi o pieniądze. Chodzi o to, że Angie ją ukradła.

- Angie właśnie taka jest. - To usprawiedliwienie wydawało się mieć dla niego sens. - Kiedy dorastaliśmy, nie mieliśmy nic. Człowiek widział coś, co chciał, i po prostu to sobie zabierał, bo w przeciwnym razie nigdy by nic nie miał. A zwłaszcza nic ładnego.

Faith przez chwilę szukała właściwych słów, żeby mu to wyjaśnić, wreszcie powiedziała:

- A gdyby któryś z byłych chłopaków Sary włamał się do jej mieszkania i ukradł T-shirt, w którym spałeś?

- Sensowniej byłoby chyba ukraść koszulkę Sary, nie?

Faith jęknęła. Mężczyźni mieli łatwiej. Kiedy jeden drugiego wkurzył, rzucali się na siebie z pięściami. Kobiety się samookaleczały i padały ofiarą zaburzeń łaknienia.

- Pamiętasz to samobójstwo w izbie zatrzymań dla młodocianych przestępców w zeszłym roku? - spytała.

- Tak, Alexis Rodriguez. Podcięła sobie żyły.

- Właśnie. Kiedy dociekaliśmy przyczyn tego desperackiego kroku, od innych usłyszeliśmy, że dziewczyny kradły jej rzeczy. Nie tylko te przydziałowe. Położyła gdzieś długopis i on zniknął. Zdjęła skarpetki i też zniknęły. Ukradły nawet jej śmieci. Jak myślisz, dlaczego?

- Z czystej złośliwości? - dociekał Will.

- Chciały dać jej do zrozumienia, że nic do niej nie należy. Rzeczy ważne czy drobiazgi, mogły zabrać jej wszystko

w każdej chwili i nic nie mogła na to poradzić. – Gdy Will spojrział na nią powątpiewająco, spytała: – A jak myślisz, po co Angie zostawiała te napisy na aucie Sary?

– Była wściekła.

– Jasne, była wściekła, ale przede wszystkim pogrywała sobie z Sarą. – Widziała, jak Will wierci się na krześle. Nadal nie rozumiał. – Angie tyranizowała innych, Will. I chciała pokazać Sarze, że może cię odebrać w każdej chwili, dlatego ukradła szminkę, dlatego zostawiała te napisy i liściki. Znaczyła swojej terytorium. – Faith musiała dokończyć tę kwestię. – A ty pozwoliłeś, żeby jej to uszło na sucho.

Will odchylił się na krześle. Nie wstał i nie wyszedł. Nie powiedział, żeby pilnowała własnego nosa, tylko potarł brodę dłonią i powędrował spojrzeniem w stronę kosza na śmieci przy drzwiach.

Faith czekała. I czekała. Próbowwała dojeść sałatkę. Sprawdziła, czy nie przyszły nowe wiadomości.

– Zostawiła mi list – powiedział w końcu Will. – Angie, Angie go zostawiła. – Zamilkł, a Faith czekała. – Amanda nie wie, przynajmniej tak mi się wydaje. Ten list był w skrytce pocztowej Angie. – Popatrzył na swoje dłonie. – Moje imię na kopercie jest drukowane, ale cały list napisała odręcznie.

Faith wiedziała, że Will ma trudności w odczytywaniu pisma odręcznego. Angie też o tym wiedziała, co w oczach Faith czyniło z niej jeszcze większą sukę.

– Nie mogę pozwolić, żeby Sara go przeczytała.

– Nie możesz.

– Ona tego chciała, wiesz, żeby Sara musiała go

przeczytać, na głos, dla mnie.

- Racja.

- Więc...?

Faith przełknęła ślinę. Will nigdy dotąd nie prosił jej o taką przysługę. To była dla niego kwestia dumy. Kiedy przychodziła jego kolej, pisał raporty. Jako jedyny mężczyzna, z którym pracowała, nigdy nie próbował zrobić z niej osobistej sekretarki.

- Dobra - powiedziała.

Z przedniej kieszeni Will wyjął złożoną kartkę papieru z postrzępionym brzegiem. Została wyrwana z kołonotatnika. Rozłożył ją i wygładził na stole. Słowa zapisane ręką Angie wypełniały całą kartkę, wychodziły poza margines, przechodziły na drugą stronę. Niektóre zdania były podkreślone. Kiedy pisała ten list, musiała być wzburzona, bo długopis niemal przebił papier.

Faith wyłapała wzrokiem imię Sary. Ciarki ją przeszły na myśl o treści listu.

- Jesteś pewien? - zapytała.

Will nie odpowiedział. Po prostu czekał.

Nie miała wyjścia. Odwróciła list i zaczęła czytać:

*Cześć, skarbie. Jeśli ktoś czyta ci mój list, to znaczy, że już nie żyję.*

Will podparł głowę rękami.

*Mam nadzieję, że to Sara, bo chcę, żeby ta wyw...*

Faith przeklęła pod nosem.

*...żeby ta wywłoka wiedziała, że nigdy, przenigdy, nie będziesz jej kochał tak jak mnie.*

Zerknęła na Willa. Ciągle podpierał głowę rękami.

Wróciła do listu.

*Pamiętasz piwnicę? Chcę, żebyś opowiedział swojej drogiej Sarze o piwnicy, bo to wyjaśni jej wszystko. Pojmie, że pieprzyłeś ją tylko dlatego, że jest moim marnym substytutem. Okłamywałeś ją we wszystkim.*

Faith urwała, żeby rozszyfrować kolejne słowa.

*Lubisz ją, bo jest bezpieczna i...*

Faith znowu zamilkła. Przebiegła wzrokiem następane zdania.

- Will, wydaje mi się...

- Proszę... - Jego głos zabrzmiał niewyraźnie, zniekształcony zasłaniającymi twarz dłońmi. - Jeśli mi tego nie przeczytasz, nigdy się nie dowiem.

Faith odchrząknęła. Policzki ją paliły z zażenowania. Wstydziła się też w imieniu Sary.

*Lubisz ją, bo jest bezpieczna i robi ci laskę, i nigdy nie zobaczysz, jak pluje, bo to element jej oszukańczego planu. Jest twoim potulnym pieskiem nie bez powodu.*

Faith w milczeniu zlustrowała wzrokiem dalszą część listu, modląc się w duchu, żeby nie było gorzej.

Modlitwy nie zostały wysłuchane.

*Takie suki jak Sara chcą białego płotu wokół domu i dzieciaków w ogrodzie. Pomyślałeś, jak to będzie mieć bandę potworów z twoimi popierdolonymi genami? Beznadziejnego debila, który nawet nie umie przeczytać swojego pierdolonego imienia.*

Faith znowu przerwała. Tym razem musiała pohamować

własną wściekłość.

*Zadaj sobie pytanie: czy zaryzykowałbyś dla niej życie? Sara Linton to nudna suka. Dlatego nie możesz mnie zostawić. Dlatego znalazłeś ten pieprzony list. Ona nigdy tak cię nie podnieci jak ja. Nigdy nie zrozumie, kim naprawdę jesteś. Nigdy nie będziesz jej tak pragnął jak mnie. Ja byłam jedyną osobą na ziemi, która cię rozumiała. Teraz nie żyję, a ty palcem nie kiwnąłeś, żeby temu zapobiec. Pozdrowienia, Angie.*

Faith westchnęła z ulgą, że to była ostatnia linijka.

Will ciągle trzymał głowę w dłoniach.

Faith złożyła kartkę na cztery. To był dowód. Angie spodziewała się śmierci, co oznaczało, że jej zabójstwa dokonano z premedytacją. Faith przeanalizowała sytuację. Jeśli złapią zabójcę, będzie proces sądowy i list do Willa zostanie upubliczniony. To był ostatni cios Angie wymierzony w Sarę. Cios, który poskutkuje nokautem.

- Musisz zniszczyć ten list - powiedziała zdecydowanym głosem, patrząc na Willa.

Podniósł wzrok. W jego oczach odbijało się światło wiszącej nad ich głowami lampy.

Przedarła list na pół. Potem jeszcze raz i jeszcze raz, aż pełne nienawiści słowa Angie zamieniły się w garść maleńkich skrawków papieru.

- Myślisz, że ona nie żyje? - zapytał.

- Tak. Widziałeś krew i słyszałeś, co napisała. Wiedziała, że niedługo umrze. - Faith ułożyła strzępy podartego papieru w stosik. - Nie mów Sarze o tym liście, bo to by zniszczyło

wszystko, a tego właśnie chciała Angie.

Will znowu zaczął masować klatkę piersiową. Zrobił się blady jak ściana.

Faith próbowała przypomnieć sobie objawy ataku serca.

- Boli cię ramię?

- Czuję odrętwienie. - Wydał się równie zdziwiony jak Faith tym, że zdradził aż tyle. - Jak ludzie to znoszą?

- Nie wiem. - Faith rozgarnęła palcem kupkę papieru, po czym ułożyła ją na nowo. - Po śmierci taty mój świat wywrócił się do góry nogami. - Poczwała, że jej oczy wzbierają łzami, ponieważ tych piętnaście lat, które upłynęły od tamtej chwili, nie złagodziło bólu straty. - W dniu pogrzebu myślałam, że tego nie przeżyję. Jeremy był zdruzgotany. Mój tata pracował w domu, byli bardzo związani. - Wzięła głęboki wdech. - Na pogrzebie Jeremy wpadł w histerię. Łkał tak rozpaczliwie jak w czasach niemowlęcych. Nie chciał mnie puścić. Cały czas musiałam go trzymać.

Spojrzała na Willa, po chwili mówiła dalej:

- Pamiętam, że stałam na schodach kaplicy i wtedy poczułam w głowie coś jak kliknięcie. Wewnętrzny głos mówił mi: jesteś matką. Bądź silna dla swojego dziecka, przeżywaj, kiedy zostajesz sama, i dasz sobie radę. - Uśmiechnęła się. Jednak nigdy nie była sama. Przy odrobinie szczęścia miała rano pół godziny dla siebie, zanim obudzi się Emma, zanim rozdzwoni się telefon i zanim trzeba szykować się do pracy. - Ludzie po prostu nie mają innego wyjścia. Wstajesz z łóżka. Ubierasz się. Idziesz do pracy i po prostu robisz swoje.

- To zaprzeczenie. Słyszałem o tym - powiedział Will.

- To uczyniło mnie taką kobietą, jaką jestem dzisiaj.

Will bębnił palcami w stół. Taksował ją wzrokiem, jaki widziała u niego, gdy coś było nie tak, a on usiłował to rozgryźć.

- Delilah Palmer. Przejmujesz się, bo podsunęłaś Collierowi dobry trop.

Słyszac diagnozę Willa, nagle sama odkryła, co jest nie tak.

- To nie dlatego, że ja chcę dorwać sprawcę. To znaczy, oczywiście, że chcę, ale jest coś w Collierze, co...

- Ja też mu nie ufam.

Telefon Faith zabrzączał. Pielęgniarka przysłała wiadomość.

- Niech to szlag.

Faith musiała dwukrotnie przeczytać wiadomość, żeby dotarła do niej jej treść.

- N.N. znowu wylądowała na sali operacyjnej. Jeśli przeżyje, będziemy mogli z nią porozmawiać dopiero jutro rano.

Will zaśmiał się, ale nie dlatego, że go to rozbawiło. Czasami śmiejemy się ze złego zrzędzenia losu.

- I co teraz? - spytał.

- Jadę do domu. - Faith zgarnęła skrawki listu Angie i podała je Willowi. - Spuść to w toalecie, a potem jedź do Sary.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Sara leżała na kanapie z głową wspartą na poduszce współdzielonej z Betty. Mała suczka całym ciałem przywarła do jej głowy. Dwa charty Sary, Bob i Billy, leżały zwinięte w nogach.

Wieczór zaczęła przy stole w jadalni z filiżanką herbaty ziołowej, szukając informacji o mocznicy. Potem nalała sobie kieliszek wina przy kuchennym kontuarze i zajęła się redagowaniem artykułu do czasopisma, wreszcie rozejrzała się po mieszkaniu i uznała, że wymaga posprzątania. Zawsze sprzątała, kiedy była zdenerwowana, ale tym razem poziom zdenerwowania uniemożliwił jej tę czynność. Dlatego skończyła na kanapie otulona psami i ze szklaneczką szkockiej.

Powoli sączyła drinka, wpatrzona w ekran laptopa leżącego na poduszce trzymanej na brzuchu. Resztę wieczoru poświęciła swoim mniejszym demonom. Zaczęła od dokumentu o Peggy Guggenheim, słynnej kolekcjonerce i propagatorce sztuki, a skończyła na tym, że obejrzała „Buffy: Postrach wampirów”. Przynajmniej próbowała obejrzeć. Fabuła była prosta: Buffy oczywiście miała straszyć wampiry, ale między kolejnymi łykami alkoholu a natłokiem problemów Sara nie mogła się skupić.

Will nie zadzwonił ani nie odpisał, kiedy wysłała mu zdjęcie Betty. Przez cały dzień szukał Angie i nawet teraz, kiedy Angie niemal na pewno już nie żyła, nie zadał sobie trudu,



żeby się z nią skontaktować.

Gdyby Sara chciała wymusić na Willu jakąś deklarację, milczenie z jego strony uznalaby za jasną odpowiedź.

Wcisnęła klawisz pauzy. Zdjęła okulary. Zamknęła oczy.

Jej umysł powędrował do sobotniego poranka, ignorując tę część, w której Will widział Angie. W piątek wieczorem postanowili, że zostaną u niego. Teren za domem Willa był ogrodzony, do kuchni prowadziły drzwi dla psów, co oznaczało, że zwierzęta mogą zająć się sobą, a ludzie pospać dłużej.

Obudziła się o wpół do piątej. Ot, przekleństwo lekarza pracującego w systemie dyżurów, i nie mogła znowu zasnąć. Pomyślała, że mogłaby coś zrobić, może zadzwonić do siostry, ale skończyło się na tym, że obserwowała śpiącego Willa, co zwykle widuje się tylko na filmach.

Leżał na plecach z głową zwróconą w bok. Na jego twarzy igrała smużka światła, która wpadała do środka spod rolety. Sara pogładziła Willa po policzku. Szorstkość jego skóry rozpałała pragnienie dalszej eksploracji. Powędrowała palcami po jego klatce piersiowej. Zamiast iść niżej, położyła mu dłoń na sercu i poczuła regularne uderzenia.

Właśnie to pamiętała z tego poranka: wszechogarniające poczucie przynależności. Jego serce należało do niej. Jego umysł. Jego ciało. Jego dusza. Byli razem dopiero od roku, ale z każdym dniem kochała go coraz bardziej. Jej związek z Willem był naprawdę znaczący w jej życiu.

Nie miała na koncie wielu związków. Jej pierwszy chłopak, Steve Mann, wzbudził w niej tyle ekscytacji, ile mógł

wzbudzić trzeci puzonista licealnej orkiestry. Mason James, którego poznała na studiach medycznych, największą miłością darzył siebie. Kiedy Sara przedstawiła go swoim bliskim, jej matka zażartowała:

- Ten młody człowiek powinien zbudować most, żeby przejść ponad własnym ego.

A potem pojawił się Jeffrey Tolliver, jej mąż.

Sara otworzyła oczy.

Pociągnęła kolejny łyk drinka, który w tym momencie był bardziej wodą niż szkocką. Sprawdziła godzinę. Niestety było już za późno, żeby zadzwonić do siostry. Chciała z kimś porozmawiać, przeanalizować potężną eksplozję, która wstrząsnęła fundamentami jej życia, a Tessa była jedyną bezpieczną przystanią. Faith musiała trzymać stronę Willa jako jego partnerka. Ich absolutna wzajemna lojalność dawała im poczucie bezpieczeństwa. Telefon do matki nie wchodził w rachubę. Pierwsze słowa Cathy Linton na pewno byłyby takie:

- A nie mówiłam?

Matka wiele razy powtarzała, wprost nieskończenie wiele razy:

- Nie spotykaj się z żonatym.
- Nie zakochuj się w żonatym.
- Nie myśl, że można ufać żonatemu.

Sara wiedziała, że w ich historii jest mnóstwo niuansów, których matka nie wyłapuje, ale teraz zaczęła zastanawiać się nad jej słowami. Od „A nie mówiłam?” gorsze byłoby tylko „Tak, mamo, miałaś rację”.

Znowu spojrzała na zegarek. Nie minęła nawet minuta. Rozważała w myślach konsekwencje obudzenia siostry. Tessa pracowała jako świecka misjonarka w Afryce Południowej. Teraz była tam druga w nocy. Wpadłaby w panikę, gdyby telefon rozdzwonił się o tej porze. Poza tym Sara mogła dokładnie przewidzieć, w którą stronę pójdzie ich rozmowa. Pierwsze, co usłyszałyby od Tessy, to rada:

- Pokaż mu, co czujesz.

Według niej Sara powinna wybuchnąć płaczem w obecności Willa, by dotarło do niego, że ukochana jest kłębkim nerwów i nie może bez niego żyć. Co było kłamstwem, ponieważ Sara mogła żyć bez Willa. Byłaby nieszczęśliwa, a nawet zdruzgotana, ale dałaby sobie radę. Nauczyła ją tego strata męża.

Tessa nigdy by nie pozwoliła siostrze chować się za śmiercią Jeffreya. Powiedziałyby coś o robieniu dobrej miny do złej gry, na co Sara by jej przypomniała, że Will ceni sobie jej siłę. Tessa odparłaby, że Sara myli siłę z uporem, a potem zrobiłaby to, co zawsze, czyli nawiązała do zdarzenia, które jej rodzina nazywała „incydentem Bambi”. Kiedy pierwszy raz oglądały ten film, Tessa łkała rozpaczliwie, natomiast Sara wykręciła się koniecznością przygotowania do dyktanda i poszła do siebie, ponieważ nie chciała, żeby inni widzieli ją, jak płacze.

Konkluzję Tessa wygłosiłaby takim tonem, jakiego w podobnej sytuacji użyłaby ich matka:

- Tylko głupiec myśli, że może oszukać innych.

A przecież praca Sary polegała między innymi na

oszukiwaniu innych. Rodzice chorego dziecka nie chcieli mieć do czynienia z rozpaczającą lekarką. Przerażeni pacjenci nie chcieli oglądać załamanej lekarki u wezglowia swojego szpitalnego łóżka. Te cechy przenosiła na życie prywatne. Nic by nie zyskała, gdyby wpadła w histerię na oczach Willa. To byłby sprytny chwyt, owszem, pomocny w rozstrzygnięciu kłótni na swoją korzyść, ale jakże tandetny. Will zacząłby ją uspokajać, ona czułaby się okropnie, że nim manipuluje, a rano i tak wszystko byłoby po staremu.

Will nadal kochałby swoją żonę.

Pociągnęła spory łyk szkockiej. Przed połknięciem długo trzymała ją w ustach.

Czy miała rację? Czy Will naprawdę kochał Angie jak żonę? Okłamał Sarę. Nie przyznał, że widział Angie w sobotę. Przypuszczalnie kłamał też w innych sprawach. W obliczu śmierci człowiek skupiał się na swoich emocjach. Może utrata Angie uświadomiła mu, że nie chce być z Sarą.

Nie czuł potrzeby telefonowania czy esemesowania, skoro nie miał już nic więcej do powiedzenia.

Psy się poruszyły, Bob zeskoczył z kanapy, Billy za nim. Sara usłyszała ciche pukanie. Spojrzała w stronę drzwi, szukając odpowiedzi, jak ktoś wszedł do budynku bez użycia domofonu. Mieszkała na ostatnim piętrze, miała tylko jednego sąsiada, Abła Conforda, który właśnie wyjechał na miesięczne wakacje.

Znowu pukanie. Psy wolno ruszyły ku drzwiom. Betty została na poduszce. Ziewnęła szeroko.

Sara odstawiła laptop na stolik kawowy. Z trudem podniosła się z kanapy. Siłą woli nakazała sobie spokój. Psy nie ujadły tylko dlatego, że rozpoznały człowieka pukającego do drzwi.

Dała Willowi klucze w zeszłym roku. Tydzień później nadal pukał do drzwi, co wydało jej się urocze, aż wreszcie stało się irytujące.

Otworzyła drzwi. Will trzymał ręce w kieszeniach. Miał na sobie džinsy i szare polo od Ermenegilda Zegna, które Sara przemyciła między T-shirtami z sieciówki Gap.

Zobaczył laptopa.

- Oglądasz „Buffy” beze mnie?

Zostawiła otwarte drzwi i wróciła do drinka. Salon, jadalnia i kuchnia jej loftu tworzyły otwartą przestrzeń. Sara była zadowolona, że może utrzymać między sobą a Willem dystans. Gdy usiadła na kanapie, Betty wstała z poduszki, przeciągnęła się i ziewnęła, ale nie podeszła do Willa.

On też do niej nie podeszedł. Ani do Sary. Stał oparty o kuchenny kontuar.

- Co z nią? Jak było u weterynarza? - zapytał.

- Dobrze.

Dłonie ścisnął razem, jak robił to, gdy bawił się obrączką na palcu. Skórę na kłykciach palca wskazującego i środkowego miał uszkodzoną.

Sara nie zapytała go o tę ranę, tylko pociągnęła ze szklaneczki.

- Jest pewna dziewczyna - zaczął Will. - Może wiedzieć, co wiedział Harding, a tym samym co go zabiło. I co może zabić

ją.

Sara udała zainteresowanie.

- Chodzi o tę niezidentyfikowaną dziewczynę, którą znalazłeś w biurowcu?

- Nie, o inną. O żonę Hardinga. Córkę. Może... Nie wiem.

Sara opróżniła szklaneczkę i milczała.

- Zraniłem się. - Will, zamiast wyciągnąć do niej rękę, odwrócił się i pokazał tył prawej nogi. Na spodniach widniała plama zaschniętej krwi. - Noga wpadła między deski podłogowe... - Urwał, czekając na jej reakcję. - Weszło mi pod skórę parę drzazg.

- Jeśli minęło ponad sześć godzin, jest za późno na szwy.

Will czekał.

Ona też czekała. Nie miała zamiaru niczego mu ułatwić. Jeśli chciał z nią zerwać, musiał zachować się jak mężczyzna.

- Dużo wypijaś? - zapytał po dłuższej chwili.

- Za mało. - Wstała z kanapy i minęła Willa w drodze do kuchni. Nie wiedziała, jak jej żołądek przyjmie drugiego drinka, skoro na wstępie wypła kieliszek wina, ale i tak postanowiła sobie nie odmawiać.

Will stał po drugiej stronie blatu. Patrzył, jak napełnia szkło. Sam czuł fizyczny wstręt do alkoholu. Wyprostował ramiona, uniósł brodę. Sara nie wiedziała, czy Will zdaje sobie z tego sprawę. Zakładała, że to pamięć mięśniowa z czasów dzieciństwa, gdy krzywdzili go rozmaici pijacy. Oczywiście sam jej o tym nie powiedział, jak o większości spraw.

- Napijesz się? - zapytała.

- Tak.

Raz widziała go pijącego, ale robił to pod przymusem. Wmusiła w niego niewielką ilość whisky, ponieważ męczył go uporczywy kaszel.

- Masz dzin? - zapytał.

Schyliła się, żeby przeszukać szafkę, której nie otwierała od miesięcy. Zafoliowane korki w butelkach wina pokrywała warstwa kurzu. Z tyłu stała pełna butelka dzinu, ale coś mówiło jej, że to był ulubiony alkohol Angie, a ona nie zamierzała czcić w swojej kuchni zmarłej żony swojego faceta.

- Nie mam dzinu - powiedziała, wstając. - W lodówce jest wino. A może chcesz szkockiej?

- To jest to, co mi wcześniej dawałaś?

Sara sięgnęła po drugą szklaneczkę i nalała Willowi podwójną porcję. Kiedy nie ruszył się z miejsca, posłała mu szklaneczkę po blacie. Chociaż znalazła się na wyciągnięcie ręki, nie sięgnął po nią.

- Amanda radziła, żeby ci nie mówić, ale pojawił się list od Angie - powiedziała.

Krew odpłynęła mu z twarzy.

- Skąd ona...?

- Wiedziałeś o tym?

Will otworzył usta, ale nie wydobył z siebie ani słowa.

- Cieszę się, że to wypłynęło. Nie chciałam kłamać ani udawać, że nic nie wiem. Byłabym straszną hipokrytką.

- Skąd... - zawahał się. - Skąd Amanda o tym wie?

- Kieruje tym śledztwem, Will. Musi wiedzieć o wszystkim.

Na tym polega jej praca.

Will oparł dłonie o kontuar, rozcapierzył palce, unikał jej wzroku.

Sara przypomniała sobie mobilne laboratorium kryminalistyczne i złośliwy chichot Charliego, kiedy pokazał jej świecący napis „POMOCY” na ścianie. Angie miała poważne, zagrażające życiu rany, a mimo to zatrzymała się, by napisać to własną krwią. Wiedziała, że Will to zobaczy. Sara też. I że wszyscy się dowiedzą, że zawsze miała Willa w garści. Równie dobrze mogła napisać „Pieprz się, Sara Linton”.

- Czytałaś... ten list? - zapytał.

- Tak. To ja rozpoznałam jej charakter pisma.

Will nie odrywał wzroku od swoich dłoni.

- Przepraszam.

- Za co? Już kiedyś mówiłeś, że nie możesz jej kontrolować.

- To, co powiedziała... - Sprawiał wrażenie zrozpaczonego.

- To się nie liczy. Nie dla mnie.

Sara mu nie wierzyła. Śmierć Angie jeszcze do niego nie dotarła.

- Dla niej to się liczyło. To pewnie ostatnia rzecz, jaką napisała przed śmiercią.

Will uniósł szklaneczkę, odchylił głowę i wlał sobie do gardła duży haust, a po chwili wykasłał wszystko na kontuar.

Sara podała mu papierowy ręcznik, który urwała z rolki.

Willowi łzawiły oczy, pocił się, ale starannie wytarł kontuar.

Wyglądał na wstrząśniętego i powinien być w takim stanie.



Angie nie żyła. Błagała go o pomoc, ale nie zdołał jej uratować, kiedy najbardziej tego potrzebowała. Trzydzieści lat jego życia poszło na straty. Przeżywał szok. Alkohol był tym ostatnim, czego potrzebował.

Sara odebrała mu szklaneczkę i wylała do zlewu resztkę whisky.

- Zaczekaj na mnie w swojej łazience - rzuciła.

Nie dała mu czasu na odpowiedź. Sięgnęła po okulary leżące na kanapie i poszła do gabinetu, gdzie z półki zdjęła torbę lekarską.

Nie chciała wychodzić z tego pomieszczenia.

Stała przy biurku, trzymała torbę i czekała, aż zejdzie z niej napięcie.

Nie było sposobu, by to naprawić. Nie mogła zszyć ich związku, tak jak mogła zszyć ranę na nodze Willa. Krążenie wokół tematu było jedynie odwlekaniem nieuniknionego. Mimo to nie miała siły na konfrontację z Willem. Trwała w bezruchu przerażona tym, co może się stać, jeśli zaczną szczerą rozmowę. Nie umiała przewidzieć przyszłości, którą spowijała gęsta mgła. Mogła tylko stać w zaciemnionym gabinecie i słuchać szumu krwi w uszach. Policzyła do pięćdziesięciu, potem do stu, w końcu zmusiła się do wyjścia.

Korytarz wydawał się dłuższy niż kiedykolwiek. Pokonanie go bardziej przypominało wyczerpującą wędrówkę niż swobodną przechadzkę. Łazienka Willa mieściła się w wolnej sypialni. Sara wyznaczyła mu oddzielną przestrzeń dla dobra ich związku. Kiedy w końcu dotarła do celu, Will czekał na nią w drzwiach.

- Zdejmij spodnie - zarządziła, a gdy rzucił jej pytające spojrzenie, dodała: - To łatwiejsze niż podwijanie nogawki. - Wysypała zawartość torby do umywalki i wybrała to, czego potrzebowała. - Zdejmij spodnie - powtórzyła. - Zdejmij skarpetki. Stań w wannie. Muszę oczyścić ranę.

Will posłusznie wykonał jej polecenia. Skrzywił się lekko, kiedy zsuwał nogawkę ze zranionej nogi. Bandaż przesiąkł krwią.

Wszedł do wanny.

- Zdejmij bandaż. - Sara zaczęła szukać rękawiczek jednorazowych, po chwili zrezygnowała. Jeśli Angie czymś Willa zaraziła, to ona już to złapała. Włożyła okulary. - Stań bokiem - poleciła.

Will odwrócił się. Rana okazała się poważniejsza, niż Sara oczekiwała. To było coś więcej niż kilka drzazg. Will miał głęboką, co najmniej sześciocentymetrową ranę szarpaną z boku łydki. Kawałeczki desek podłogowych przemieszały się z zaschniętą krwią. Na szycie było za późno, bo wraz ze szwem Sara zafundowałaby Willowi infekcję.

- Oczyściłeś to? - zapytała.

- Próbowałem umyć pod prysznicem, ale bolało.

- Teraz zaboli jeszcze bardziej.

Otworzyła buteleczkę betadine, zamknęła deskę klozetową, usiadła na niej i bez ostrzeżenia trysnęła strumieniem zimnego środka odkażającego wprost na ranę.

Will złapał drążek zasłonki prysznicowej, omal nie wyrrywając go ze ściany, i syknął przez zaciśnięte zęby.

- W porządku? - zapytała.

- Tak.

Trysnęła drugą porcją środka na drzazgi. Sara orzekła w duchu, że Will słabo oczyścił ranę. Zakrzepła krew spadła do białej wanny, a Will stanął na palcach, zaciskając palce na drążku i słuchawce prysznicowej. Zacisnął zęby. To tyle, jeśli chodzi o przysięgę Hipokratesa. Z troskliwej lekarki Sara przeistoczyła się w sadystyczną jędzę udającą samarytanę.

Odstawiła buteleczkę, a noga Willa drżała.

- Chcesz znieczulenie?

Will potrząsnął głową i wstrzymał oddech, a koszulka podjechała mu do góry. Sara widziała każdy napięty mięsień brzucha... i odczuła cały ciężar własnej przemiany.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie chcę zadać ci bólu. Sprawiałam ci ból, to widać, ale...

- W porządku.

- Nie, nie jest w porządku, Will. Wcale nie jest w porządku.

Jej słowa odbiły się echem od ścian łazienki, w głosie dudniła złość. Sara była wściekła. Oboje wiedzieli, że wcale nie mówiła o jego nodze.

- Wiem, dlaczego Angie wzięła twoją szminkę. - Gdy Sara w milczeniu czekała na ciąg dalszy, dodał: - Chciała cię nękać. Powinienem ją powstrzymać.

- Jak? - Sara naprawdę chciała to wiedzieć. - To jak napis, który zostawiła ci na ścianie w klubie. Wiedziała, że Charlie albo inny technik użyje luminolu, wiedziała, że ja też to zobaczę, wiedziała, że zostanie to upublicznione. Angie robi, co chce.

- Ściana. - Will pokiwał głową, jakby to wyjaśniało

wszystko. - Tak.

- Tak - potaknęła Sara.

Innymi słowy, wrócili do punktu wyjścia.

Sara zmoczyła nad wanną gazę i zmyła nią betadine, a Will w końcu opuścił piętę. Polała mu ciepłą wodą nogę i stopę, zmywając plamy po jodynie. Narobiła sobie straszego bałaganu. Nawet ręcznik do rąk, którego użyła do wytarcia nogi Willa, miał żółto-brązowe ślady po antyseptyku.

- Najgorsze za tobą. Nadal mogę ci dać znieczulenie. Niektóre kawałki drewna tkwią głęboko - powiedziała.

- Nic mi nie jest.

Sara wyjęła z szuflady latarkę i sięgnęła po pęsetę. Tuż pod skórą widziała kilka drobnych drzazg, a także naliczyła trzy położone głębiej. Te bardziej przypominały szczapki drewna niż drzazgi. Musiały sprawiać Willowi ból przy chodzeniu.

Złożyła ręcznik do rąk i uklękła na podłodze, żeby mieć dogodny dostęp do rany.

Will wzdrygnął się, zanim zdążyła go dotknąć.

- Spróbuj rozluźnić mięsień - powiedziała.

- Próbuję.

- Mam lidokainę - ponowiła propozycję znieczulenia. - To cieniutka igła.

- Nic mi nie jest. - Kurczowy uścisk rąk na drążku mówił co innego.

Tym razem Sara usiłowała być delikatna. Jako stażystka na oddziale pediatrycznym spędzała długie godziny, ćwicząc szwy na brzoskwiniach, by opanować jak najdelikatniejszy dotyk, mimo to niektórych ran nie dało się tak potraktować.

Will zachował stoicki spokój, nawet kiedy wyjęła z otwartej rany kawałek drewna wielkości wykałaczki.

- Przepraszam - powtórzyła, ponieważ cierpiała na myśl, że sprawia mu ból. Przynajmniej teraz tak czuła. - Ta siedzi naprawdę głęboko.

- W porządku. - Pozwolił sobie na głębszy oddech tylko po to, żeby jej odpowiedzieć: - Pośpiesz się.

Sara robiła, co mogła, ale fakt, że łydka Willa była twarda jak betonowy blok, nie ułatwiał jej zadania. Pamiętała, kiedy pierwszy raz zobaczyła go w spodenkach do biegania. Poczowała falę gorąca na widok jego szczupłych umięśnionych nóg. Biegał osiem kilometrów dziennie, pięć razy w tygodniu. Najczęściej wybierał okrężną trasę do miejscowej szkoły średniej, gdzie sprintem pokonywał schody na szkolnym stadionie. We Florencji były posągi o słabiej wyrzeźbionej sylwetce.

- Saro? - Gdy podniosła na niego wzrok, mówił dalej: - Mogłem zamontować w drzwiach lepsze zamki, rygiel, alarm. Przepraszam, że tego nie zrobiłem. Nie uszanowałem cię.

Sara ostrożnie wyjmowała ostatni kawałek. Teraz, kiedy wreszcie Will sam zaczął o tym mówić, ona jakoś nie miała ochoty na tę rozmowę. Przysiadła na piętach, odłożyła pęsetę, zaczepiła okulary o kołnierzyk. Will stał przed nią w bokserkach. Ręce nadal trzymał nad głową. Alkohol, który krążył w Sarze, podsuwał prosty pomysł na spędzenie nocy.

- Każdy mi dzisiaj przypominał, jak to jest stracić kogoś - cicho powiedział Will, a Sara sięgnęła do umywalki po bandaż i świeżą gazę. - Faith opowiedziała mi o śmierci

swojego ojca, Amanda o swojej matce. Wiedziałaś, że się powiesiła? – Sara potrząsnęła głową, bandażując nogę Willa.

– Powiem sobie, że Angie jest tam, dokąd zawsze ucieka, kiedy mnie zostawia. Gdziekolwiek to jest.

Sara wstała i umyła ręce.

Will wciągnął dżinsy i dodał:

– Poradzę sobie, jeśli tak zrobię. Wciąż będę powtarzać, że tak naprawdę nie odeszła, a kiedy nie wróci, nie będzie to już miało znaczenia. Będzie tak samo, jak było za każdym razem do tej pory.

Sara zakręciła wodę. Czuła drżenie ręki, które bardziej przypominało wibracje przechodzące przez całe ciało. Zupełnie jakby ktoś przyłożył kamerton do jej nerwów.

– Chcesz wiedzieć, jak mi było po śmierci męża? – Will spojrzał na nią, zapinając dżinsy. Sara opowiadała mu tę historię, ale bez szczegółów. – Czułam się tak, jakby ktoś sięgnął w głąb mojej piersi i wydarł mi serce.

Will zapiął rozporek. Jego twarz była pozbawiona wyrazu. Nie miał pojęcia, jak wpłynie na niego śmierć Angie.

– Czułam się pusta, zupełnie jakbym nic w środku nie miała. Chciałam się zabić... próbowałam się zabić. Wiedziałaś o tym?

Spojrzał na nią zszokowany. Mówiła mu o tabletkach, ale nie o swoich zamiarach.

– Powiedziałaś, że to się stało przypadkiem.

– Jestem lekarką, Will, i dobrze wiedziałam, co zrobić. Ambien. Hydrokodon. Tylenol. – Z oczu pociekły jej łzy. Nie mogła ich już powstrzymać, skoro popłynęły słowa. –

Znalazła mnie matka, wezwała pogotowie i zabrali mnie do szpitala. Ludzie, z którymi pracowałam, których znałam od dziecka, musieli zrobić mi płukanie żołądka, żebym nie umarła. - Mówiła z zaciśniętymi pięściami. Chciała złapać Willa za ramiona, potrząsnąć nim i wykrzyknąć mu w twarz, że udawaniem nie da się wymazać śmierci. - Błagałam ich, żeby dali mi spokój. Chciałam umrzeć. Kochałam go, był moim życiem, był centrum mojego wszechświata. Kiedy go zabrakło, nastąpił koniec. Nic mi już nie zostało.

Will włożył buty. Słuchał, ale nie słyszał.

Sara mówiła dalej:

- Angie nie żyje. Została brutalnie zamordowana. - Will przyjął te słowa z kamienną twarzą. Gdyby cztery lata temu ktoś powiedział to samo o Jeffreyu, Sara już leżałaby nieprzytomna na ziemi. - Przez trzydzieści lat była najważniejszą osobą w twoim życiu. Nie możesz sobie wmówić, że jest na wakacjach i wróci z piękną opalenizną. To tak nie działa, kiedy kogoś tracisz. Widzisz go na każdym rogu, słyszysz jego głos z drugiego pokoju, chcesz spać, żeby ci się śnił. Nie pierzesz swoich ubrań ani pościeli, żeby ciągle czuć jego zapach. Robiłam to przez trzy lata, Will. Dzień po dniu przez trzy lata. Nie żyłam. Po prostu poruszałam się i przemieszczałam. Chciałam być równie martwa jak on, póki... - Ugryzła się w język w ostatniej chwili.

- Póki co?

Położyła sobie dłoń na szyi. Czuła się tak, jakby zwisiała z klifu.

- Póki co? - powtórzył Will.

- Póki nie minęło odpowiednio dużo czasu. - Pod palcami czuła pulsowanie krwi. Była zła i przerażona. Zaparło jej dech z powodu brutalności własnych słów. Stchórzyła i nie wyznała Willowi, co odmieniło jej życie. Nie mogła tego zrobić. - Będziesz potrzebował czasu na żałobę - powiedziała, choć naprawdę chciała powiedzieć: „Będziesz potrzebował czasu z daleka ode mnie, a moje serce tego nie zniesie”.

Will starannie złożył skarpetki na pół.

- Wiem, że nigdy nie będziesz mnie kochać tak, jak kochałaś jego.

Te słowa boleśnie ją zaskoczyły.

- To nie fair, Will - odparowała.

- Może. - Wetknął skarpetki do tylnej kieszeni. - Chyba powinienem już iść.

- Chyba powinienes. - Słowa wyleciały jej z ust niekontrolowane. Rozpoznała swój głos, ale nie umiała sobie wytłumaczyć, dlaczego to powiedziała.

Will czekał, aż zrobi mu przejście.

Poszła za nim do salonu. Jej równowaga uleciała. Czuła, że wszystko się zmieniło.

- Nie wiem, czy mam jeszcze pracę. - Will powiedział to tak, jakby nic się nie zmieniło. - Nawet jeśli mam, Amanda nie pozwoli mi pracować przy tej sprawie. Teraz Faith bada wątek Palmer i Colliera. - Wziął Betty na rękę. - Pewnie utknę za biurkiem przy papierkowej robocie.

Całym wysiłkiem woli Sara próbowała się opanować.

- Wyniki badań toksykologicznych Hardinga będą miała



dopiero za tydzień.

- To pewnie już nie ma znaczenia. - Will zdjął smycz Betty z wieszaka i wpiął ją w obrozę. - Dobra, do zobaczenia. - Zamknął za sobą drzwi.

Sara oparła się plecami o ścianę. Serce tłukło jej się o żebra. Czuła zawroty głowy.

Co właśnie zaszło?

Dlaczego Will wyszedł?

Dlaczego pozwoliła mu wyjść?

Powoli opadła na podłogę i spojrzała na zegarek. Było za późno na telefon do Tessy. Sara nawet się nie domyślała, co powie jej siostra, bo wszystko potoczyło się bardzo szybko i poszybowało w nieoczekiwanym kierunku.

Czy Will przeżywał załamanie nerwowe?

A może to jednak ona?

Powiedziała za dużo o Jeffreyu. Jeśli chodzi o wspomnienia o mężu, to balansowała na krawędzi. Nie chciała ich zacierać, a jednocześnie nie chciała kłuć nimi Willa w oczy. Czy po tym, co od niej usłyszał, naprawdę uznał, że Sara nie może przeboleć straty męża? Cztery lata temu Sara wierzyłaby, że tak jest.

Póki nie spotkała Willa.

Właśnie to chciała powiedzieć w łazience - że Will zmienił wszystko. Dzięki niemu odzyskała chęć do życia. Był teraz jej życiem i myśl o tym, że mogłaby go stracić, budziła jej przerażenie. Wstyd z powodu własnego tchórzostwa dorównywał jej żalowi. Bała się wyznać mu miłość, ponieważ Will i tak zamierzał ją zostawić.

Oparła tył głowy o ścianę i popatrzyła w ciemne niebo za oknem. Widziała zbyt wiele śmierci, żeby wierzyć w anioły, ale jeśli w życiu pozagrobowym istniały demony, Angie Polaski była jednym z nich i chichotała w ciemności jak wiedźma.

I właśnie to w końcu kazało jej się podnieść. Nie miłość, nie potrzeba, nawet nie desperacja, lecz absolutne głębokie przekonanie, że nie pozwoli Angie wygrać.

Wstała i odszukała torebkę. Psy poderwały się na nogi, bo liczyły na spacer, ale Sara odsunęła je, żeby wyjść z mieszkania. Nie zamknęła nawet drzwi, tylko jak najszybciej wcisnęła guzik windy. Nic. Wcisnęła drugi raz i spojrzała na wyświetlacz. Winda utknęła na parterze. Sara odwróciła się w stronę schodów.

Will stał przy jej drzwiach. Z Betty u nogi.

- Co się stało? - zapytał.

Ze wszystkich idiotycznych pytań zadał najbardziej idiotyczne, pomyślała.

- Byłam pewna, że poszedłeś.

- Byłem pewny, że tego chciałaś.

- Powiedziałam tak, bo sam to powiedziałeś. - Sara potrząsnęła głową. - Wiem, że to brzmi głupio. Och, to jest głupie... było głupie. - Chciała wyciągnąć do niego rękę. Chciała go objąć, wymazać dziesięć ostatnich minut. - Dlaczego ciągle tu jesteś?

- To wolny kraj.

- Will, proszę.

Wzruszył ramionami, spojrzał na swojego psa, wreszcie

powiedział:

- Nie rezygnuję tak łatwo, Saro. Powinnaś już to wiedzieć.
- Miałaś zamiar koczować tu całą noc?
- Wiedziałem, że przed pójściem spać wyprowadzisz psy. Dzwonek obwieścił przyjazd windy. Drzwi się otworzyły.

Sara nie ruszyła się z miejsca. Znowu czuła mrowienie, znowu stała nad krawędzią urwiska. Odetchnęła głęboko i wyznała:

- Nie kocham cię mniej niż jego. Kocham cię inaczej. Kocham cię... - Nie umiała tego opisać, zabrakło jej słów. - Kocham cię. - Skinął głową, ale Sara nie wiedziała, czy zrozumiał jej niby prosty, ale jakże skomplikowany przekaz. - Musimy o tym porozmawiać, Will.

- Nie, nie musimy. - Ujął jej twarz w dłonie. Jego dotyk był jak balsam. Will wygładził jej czoło, otarł łzy, pogładził po policzku. Wstrzymała oddech, gdy musnął kciukiem jej usta, a wtedy Will spytał: - Mam przestać?

- Chcę, żebyś to zrobił ustami.

Łagodnie dotknął ustami jej warg, a Sara oddała mu pocałunek. Nie było w tym namiętności, lecz wszechogarniające pragnienie ponownego połączenia. Gdy przyciągnął ją bliżej, wtuliła twarz w zgięcie szyi i objęła Willa w pasie. Czuła, jak jego ciało się rozluźnia. Stali wtuleni w siebie przed otwartymi drzwiami mieszkania aż do chwili, kiedy komórka Sary dała sygnał nadejścia wiadomości.

Potem drugi raz.

I trzeci.

Will złamał się pierwszy.

Sara niechętnie podniosła torebkę z podłogi.

Oboje wiedzieli, że Amanda przysyła krótkie wiadomości seriami. I wiedzieli też, że jest tylko jeden powód, dla którego odzywałaby się do Sary po ósmej wieczorem.

W końcu wygrzebała komórkę i przesunęła palcem po ekranie.

AMANDA:

JESTEŚ POTRZEBNA AUTO ANGIE PRZY SOMMERSET  
1885

AMANDA:

PSY WYCZUŁY ŚLAD ZWŁOK W BAGAŻNIKU

AMANDA:

NIE MÓW WILLOWI

Tego polecenia Sara nie wykonała.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Will siedział obok Sary w jej bmw. Starła się być silna, dla niego. Milcząca, ale silna. Od przeczytania esemesów od Amandy rozmawiali tylko o logistyce:

- Wiesz, gdzie to jest?
- Mam prowadzić?

Skręciła w Spring Street. Zapadał zmierzch. Światło z tablicy rozdzielczej oblewało jasną poświatą jej twarz. Will trzymał kurczowo Sarę za rękę. Ciągłe czuł się odrętwiały, ale nie tylko. Miał wrażenie, że na klatce piersiowej stoi mu słoń. Ból był dokuczliwy, utrudniał oddychanie, ramię dawało się we znaki. Może bolało tylko dlatego, że Sara zapytała go, czy boli, a może boleśnie zaczynała docierać do niego prawda o Angie, ponieważ wszyscy dookoła mówili, że tak właśnie będzie.

Psy wyszkolone do wyszukiwania zwłok wyczuły zapach w bagażniku samochodu Angie, dlatego wszyscy przyjęli za pewnik, że Angie nie żyje.

Czy naprawdę nie żyła?

Najważniejsza osoba w jego życiu przez trzydzieści lat.

Jedyna osoba w jego życiu przez trzydzieści lat.

To był jedyny niepodważalny fakt.

Will próbował przywołać w pamięci tamtą chwilę w piwnicy, wszystkie następne lata, kiedy Angie brała go w objęcia, pocieszała i niosła ulgę, ale na próżno. Przypomniawszy sobie jeden jedyny wspólny wyjazd na wakacje.

Kłócili się, jak jechać. Kłócili się, gdzie jeść. Kłócili się o to, które z nich jest bardziej kłótliwe.

- Ty kretynie!

To były ostatnie słowa, jakie od niej usłyszał tamtej nocy. Nazajutrz rano zniknęła.

Z Angie mieszkało się koszmarnie. Ciągle coś niszczyła, pożyczala, nigdy nie odkładała jego rzeczy na miejsce. Will chciał odgrzebać choćby jedno dobre wspomnienie, ale wyobraźnia podsuwała mu tylko biało-czarne paski, jakie widać na ekranie telewizora, gdy stacja przestaje nadawać.

Gdy Sara ścisnęła go za rękę, spojrział na ich splecione palce. Były długie i zgrabne, dostrzegł je od razu, na samym początku ich znajomości, gdy jeszcze prywatnie nic ich nie łączyło. Myślał o tych palcach, zastanawiał się, czy to praca chirurga wpłynęła na ich wygląd, na ich kształt, czy po prostu wszystko w Sarze było piękne, bo taka się urodziła.

Popatrzył na jej twarz, na spiczasty podbródek, na drobny nosek, na długie kasztanowe włosy spięte w węzeł nad karkiem.

Zwykle po pracy rozpuszczała włosy. Wiedział, że robi to dla niego, ponieważ sama nie znosiła, kiedy opadały jej na oczy. Ciągle odsuwała je do tyłu albo zakładała za uszy. Z czystego egoizmu nigdy nie powiedział, żeby je spięła.

W każdym związku, romantycznym czy nie, istniał pewien poziom egoizmu. Wahał się w zależności od tego, kto był silniejszy lub bardziej tego potrzebował. Amanda pochłaniała egoizm jak gąbka, natomiast Faith odpuszczała zbyt łatwo. Angie ścisnęła człowieka za gardło i kopała w jądra za samą

myśl, że możesz być od niej ważniejszy, że twoje potrzeby są na pierwszym miejscu.

Will zawsze uważał, że między nim a Sarą panuje emocjonalna równowaga. Naprawdę? A jeśli całą porcję egoizmu podebrał dla siebie? Okłamał ją w kwestii spotkania z Angie w sobotę. Okłamał w kwestii listu, który zostawiła mu Angie w skrytce pocztowej. Okłamał w sprawie wspólnego rachunku bankowego. Okłamał w sprawie poszukiwań Angie.

Angie, Angie, Angie.

Angie nie żyła. No, może. Najprawdopodobniej nie żyła, a on zaczął od nowa z czystym kontem. Pierwszy raz od trzydziestu lat jego powiernik, oprawca, źródło wsparcia i cierpienia, zniknął na dobre.

Will zadrżał.

Sara przykręciła klimatyzację.

- W porządku? - zapytała.

- Tak. - Spojrzał przez okno, żeby nie widziała jego twarzy. Słoń zmienił położenie, Will poczuł ucisk na żebra. Mieniło mu się w oczach. Otworzył usta i próbował napełnić je powietrzem.

Znajdowali się w środku miasta. Jasne światła za oknem raziły go w oczy. W uszach mu szumiało od nawiewu zimnego powietrza z deski rozdzielczej. W tle grało radio, łagodne kobiece głosy opowiadały o miłości, towarzyszyła im gitara hawajska. Sara nigdy nie wyłączała radia, w razie potrzeby najwyżej je ściszała.

Puściła jego dłoń, żeby włączyć migacz. Byli przy

Sommerset numer tysiąc osiemset osiemdziesiąt pięć. Zamiast zwykłego domu zobaczyli ogromną rezydencję w stylu Tudorów. Trawnik opadał ku ulicy. Starannie przycięta trawa i doskonale utrzymane kwiaty prowadziły do kamiennych schodów.

Samochód Angie został znaleziony przed domem pogrzebowym.

Sara dotarła do parkingu, gdy wyjeżdżała z niego stara furgonetka z labradorem retrieverem na siedzeniu pasażera. Radiowóz stał na trawniku. Za kierownicą siedział policjant i pisał na laptopie umieszczonym na desce rozdzielczej. Will zauważył chevroleta suburbańską Amandy i czerwone mini Faith. W białej furgonetce siedział Charlie Reed. Z jakiegoś powodu zajmował miejsce kierowcy, zamiast poddawać oględzinom auto Angie. Czarny dodge charger należał do Colliera i Ngô. Śledztwem nadal kierowało GBI, ale samochód Angie znaleziono w granicach Atlanty, stąd obecność miejscowej policji.

Obaj detektywi siedzieli na masce tak samo jak rano. Ngô ciągle miał na nosie okulary przeciwsłoneczne. Na widok Willa nieznacznie skinął głową. Collier zamachał, ale Amanda musiała surowo nakazać im zachowanie dystansu, ponieważ żaden z nich nie podszedł do Willa i Sary.

Należący do Angie chevrolet monte carlo SS stał naprzeciw budynku na miejscu dla niepełnosprawnych. Angie nie przejmowała się takimi znakami i parkowała, jak jej pasowało. Żółta taśma policyjna okalała teren wokół auta. Bagażnik był otwarty, drzwi od strony kierowcy też. Nawet



z dwudziestu metrów Will wyczuwał mdlący słodkawy zapach śmierci. A może było tak jak z jego barkiem? Czuł śmierć, bo ktoś wtłoczył mu tę myśl do głowy.

Amanda wyszła z bocznych drzwi domu pogrzebowego. Tym razem nie miała w ręku blackberry. Z wielu powodów mogła powitać Willa krzykiem, ale tego nie zrobiła.

- Patrol zauważył auto Angie godzinę temu - oznajmiła. - Dom pogrzebowy zamykają o szóstej, ale w środku dyżuruje stażysta na wypadek nocnych wezwań.

- Stażysta? - Will próbował zadać pytanie, jakie zadałby policjant.

- Uczeń kursu dla przyszłych przedsiębiorców pogrzebowych. - Amanda skrzyżowała ręce. - Zabierał ciało z domu opieki, kiedy patrol znalazł auto Angie. Faith rozmawia z nim w kaplicy.

Will przyjrzał się domowi. Zgadywał, że kaplica mieści się w dwupiętrowej konstrukcji na końcu budynku.

- Policjant poczuł odór. Otworzył bagażnik i wezwał policjanta z psem tropiącym. Reakcja psa nie pozostawia wątpliwości. W bagażniku leżały zwłoki - powiedziała Amanda.

Will znowu spojrzał na auto. Opuszczone okna, zaparkowane pod kątem, wyglądało więc na to, że zostało porzucone w pośpiechu. Wyobraźnia podsunęła obraz Angie pochylonej nad kierownicą. Zamrugął oczami. Obraz uleciał.

- Will? - wychwycił głos Sary, a gdy spojrzał na nią, spytała: - Dlaczego pocierasz klatkę piersiową?

Nawet nie wiedział, że to robi. Natychmiast przestał

i zwrócił się do Amandy:

- Przy Spring i Peachtree są skanery tablic rejestracyjnych.

Amanda pokiwała głową. Skanery rozmieszczone na terenie całego miasta śledziły natężenie ruchu i wyszukiwały tablice rejestracyjne skradzionych lub podejrzanych aut.

- Dane przesłaliśmy do analizy działowi informatycznemu.

Will spojrział na ulicę. Róg Sommerset i Spring to ruchliwe miejsce. Środek miasta był gęsto usiany kamerami monitoringu. Każde duże skrzyżowanie śledziła przynajmniej jedna kamera.

- Poprosiliśmy o materiał z kamer wydział transportu miejskiego i policję. Przejrzemy wszystkie nagrania, jak tylko je dostaniemy. Nasi ludzie są już w drodze - oznajmiła Amanda.

Will powiedział coś, co Amanda już wiedziała:

- Ktoś zostawił tutaj ten samochód. Albo odjechali, albo...

- Wszystkie służby szukają Delilah Palmer.

Will zupełnie zapomniał o żonie czy córce lub o żonie i zarazem córce Dale'a Hardinga. Palmer dorastała w państwowym systemie opieki, wykorzystał ją jedyny rodzic, jakiego znała. Była młodą prostytutką z problemem narkotykowym. Przed laty podobny los groził Angie, tyle że udało się jej wyrwać z zakłętego kręgu, a przynajmniej stworzyła takie pozory. Tak naprawdę Will nie był pewien, czy udało jej się przed czymkolwiek uciec.

Sara położyła mu dłoń na karku i spytała:

- Dobrze się czujesz?

Bez słowa ruszył w stronę auta, a zapach stał się

ostrzejszy, bardziej drażniący. Do stwierdzenia, że w tym miejscu stało się coś złego, posokowiec był niepotrzebny. Will przystanął przed żółtą taśmą. Bagażnik auta był wyłożony ciemnografitową wykładziną kupioną z metra w Pep Boys. Will długie godziny spędził pochylony nad nią, podklejając i naprawiając prujące się obszycie.

Amanda oświetliła środek latarką. Na wykładzinie widniała ciemna plama, nieco w bok od samego środka. Jedynym przedmiotem w środku była czerwona plastikowa butelka z olejem przekładniowym.

Will uklęknął i obejrzał chodnik pod autem. Ze skrzyni biegów wyciekał olej. Teraz samochód prawdopodobnie należał do niego. Musiał to naprawić przed sprzedaniem.

- Will? - Sara położyła mu rękę na ramieniu i uklękła przy nim. - Spójrz na mnie. - Gdy spełnił jej prośbę, powiedziała: - Powinniśmy iść. Tu nic nie ma.

Will wstał. Zamiast się oddalić, podszedł do drzwi od strony kierowcy, które były otwarte na oścież. W nogach wałała się opróżniona do połowy butelka tequili, w popielniczce był joint, papierki po cukierkach i guma do żucia. Angie lubiła słodyczne.

- Tak to wyglądało, kiedy mundurowi się tu zjawili? - zwrócił się do Amandy.

Potaknęła kiwnięciem głową.

Otwarte drzwi auta miały zadziałać jak chorągiewka sygnalizacyjna na ewentualnych przejeżdżających. Wynikało stąd, że auto zostało porzucone, aby je odnaleziono jak najwcześniej. Will wyjął latarkę z rąk Amandy i skierował

snop światła do wnętrza. Środek był jasnoszary. Dźwignia zmiany biegów wystawała z podłogi między siedzeniami. Will zobaczył krew na kierownicy, na siedzeniu kierowcy, na białym kółku na czubku czarnej gałki dźwigni. To była czarna bila z ósemką. Angie wypatrzyła ją w jakimś czasopiśmie. Działo się to jeszcze przed erą internetu. Will objechał trzy różne sklepy w poszukiwaniu odpowiedniej złączki, która umożliwiłaby zamocowanie gałki na dźwigni.

Skierował latarkę na tylne siedzenia. Więcej krwi, niemal czarnej z powodu działania słońca. Obok klamki była plama, ale za mała na odcisk dłoni. Może ktoś uderzył w drzwi zaciśniętą pięścią? Może był to efekt ostatniej desperackiej próby wydostania się z auta? Ktoś krwawiący leżał na tylnym siedzeniu, ktoś krwawiący leżał w bagażniku. Ktoś krwawił albo był zalany krwią, kiedy auto ruszało.

- Dwa ciała i kierowca? - zwrócił się do Amandy.

Najwyraźniej rozważała tę możliwość. Zasugerowała po chwili:

- Mogła zostać przeniesiona z tylnego siedzenia do bagażnika.

- Nadal krwawiąc? - zapytał, mając na myśli nadal żywą.

- Prawo ciężenia - wtrąciła Sara. - Jeśli to rana klatki piersiowej, a ona leżała na boku, to w zależności od ułożenia ciała taka ilość krwi mogła sączyć się jeszcze po śmierci.

- Ona - powiedział Will. - A co z Delilah Palmer?

- W szpitalu sprawdzili jej grupę krwi. W zeszłym roku została przyjęta na oddział z powodu przedawkowania. Ma grupę 0 Rh plus, Angie miała B Rh minus. - Amanda położyła

Willowi rękę na ramieniu. Próbowwała dać mu przestrzeń, by mógł się z tym zmierzyć po swojemu, zostawiła Charliego w furgonetce, Collierowi i Ngô nakazała trzymać się z daleka, ale też uznała, że nastąpiła pora, by nie owijać niczego w bawełnę. - Wilbur, wiem, że trudno ci tego słuchać, ale wszystko wskazuje na Angie. Jej krew była wszędzie na miejscu zbrodni. Znaleźliśmy jej torebkę i broń. To jej auto. Charlie już zbadał krew. Na tylnym siedzeniu, w bagażniku i na przednim siedzeniu jest krew B Rh minus. Daliśmy ją do badania DNA na cito, ale biorąc pod uwagę rzadkość występowania krwi tej grupy, prawdopodobieństwo, że nie jest to krew Angie, jest bliskie zeru. To mnóstwo krwi, Will. Za dużo, żeby przeżyła.

Will rozważał jej słowa. Plama w bagażniku wskazywała na ranę klatki piersiowej. Na ścianach pokoju, w którym zmarł Dale Harding, był rozprysk z tętnicy. Tętnice były w sercu. Serce było w klatce piersiowej.

Próbował wyobrazić sobie możliwy scenariusz. Angie na tylnym siedzeniu wykrwawia się na śmierć. Kierowca to jakiś facet, do którego zadzwoniła, ponieważ zawsze miała kogoś w odwodzie. Gość desperacko próbuje jej pomóc, aż wreszcie dociera do niego, że już za późno, więc wkłada Angie do bagażnika, bo jak miałby jeździć po całym mieście z martwą kobietą na tylnym siedzeniu. Czeka do zachodu słońca i dociera tutaj.

- Kierownik jest w drodze - oznajmiła Faith, idąc oświetloną ścieżką. Trzymała w ręku otwarty kołnотatnik, spojrzała na Willa raz, potem drugi.

- I co? - rzuciła krótko Amanda.

Faith przystąpiła do referowania treści zapisków:

- W środku jest Ray Belcamino, biały, dwadzieścia jeden lat, niekarany, uczeń kursu w Gupton Jones dla przyszłych przedsiębiorców pogrzebowych. Zjawił się w pracy około piątej piętnaście. Zmiana miała trwać pięć i pół godziny. Z jego planu pracy wynika, że trzy razy wyjeżdżał w teren na wezwanie. Pierwszy raz do szpitala Piedmont o szóstej czterdzieści, drugi raz do domu opieki Sunrise o siódmej dwie. Do trzeciego wezwania wyjechał o ósmej dwadzieścia dwie, ale to był fałszywy alarm. - Podniosła wzrok. - Wygląda na to, że stażyści płatają sobie w ten sposób figle.

- Jasne - powiedziała Amanda.

- Za każdym razem Belcamino używał wejścia dla pracowników przy kaplicy, za ogrodzeniem. Tam jest winda służbowa, która zjeżdża do piwnicy. Zza ogrodzenia nie widać parkingu. Trzykrotnie przyjeżdżał od strony zachodniej, więc nie mijał parkingu i nie widział samochodu.

- Kamery przemysłowe? - zapytała Amanda.

- Jest sześć, ale wszystkie skierowane są na okna i drzwi, nie na parking.

- Sprawdziliście kontener na śmieci? - spytał Will.

- W pierwszej kolejności. Nic.

- Czy któreś drzwi nosiły ślady majstrowania przy zamku?

- Nie. Oni mają założony alarm, wszystkie okna i drzwi są okablowane.

- Jak wygląda dostęp do windy?

- Jest klawiatura numeryczna.

- Czy widać ją zza ogrodzenia? - drążył Will.
- Tak. Tą klawiaturą można też wyłączyć alarm.
- Do czego zmierzasz? - zapytała Amanda.
- Po co zajeżdżać pod dom pogrzebowy ze zwłokami w bagażniku?

Wszyscy troje jak na komendę spojrzeli na budynek.

- Pójdę tam. Zaczekajcie - powiedziała Faith.

Will nie czekał. Nie, nie ruszył biegiem, ale jego kroki były dwa razy dłuższe niż kroki Faith. Pierwszy dotarł do kaplicy, pierwszy wszedł do środka, pierwszy minął ławki, wszedł na podium i zlokalizował drzwi prowadzące do drugiej części domu pogrzebowego.

Wnętrze za drzwiami było funkcjonalne, ale dość już wyeksploatowane. Podwieszany sufit, porysowane linoleum. Przez cały tył domu wiódł długi korytarz, a jeden z jego końców zamykały czy też strzegły podwójne masywne drzwi windy. Will przypuszczał, że są jeszcze drugie drzwi wychodzące na zewnątrz i że właśnie tamtędy transportowano ciała na dół. Ruszył ku windzie, zakładając, że obok niej będą też schody. Faith truchtała, żeby dotrzymać mu kroku. Zaczął biec, żeby nie mogła go dogonić.

Metalowe schody były stare i brzęczące. Pod wpływem kroków Willa trzęsła się poręcz. Na dole był podest z wahadłowymi drzwiami. Will znalazł się w niedużym biurze, bardziej przypominającym przedsionek niż pomieszczenie biurowe. Za drewnianym biurkiem znajdowały się kolejne dwuskrzydłowe drzwi. Przy biurku siedział młody człowiek.

To mógł być tylko Ray Belcamino.

Podskoczył przestraszony, jego iPad upadł na podłogę.

Will naparł na drzwi, ale okazały się zamknięte, a okien nie było.

- Ile macie tu ciał? - rzucił w stronę Belcamina.

Spojrzenie stażysty powędrowało ku Faith, która wpadła do środka przez wahadłowe drzwi. Nie mogła złapać tchu.

- Potrzebuję rejestrów. Musimy przyporządkować każde ciało do nazwiska - wydyszała.

- Brakuje jakiegoś ciała? - spytał przerażony Belcamino.

Will chciał złapać go za kołnierz, ustawić do pionu, ale powtórzył tylko:

- Musimy policzyć ciała.

- Siedem. Nie, osiem. - Ray Belcamino podniósł iPada i zaczął stukać palcem w ekran. - Dwa dzisiaj wieczorem, trzy z tego tygodnia, jedno w przygotowaniu, dwa czekają na kremację.

Faith wyrwała mu telefon i przebiegła wzrokiem listę.

- Nie znam żadnego z tych nazwisk - stwierdziła, patrząc na Willa.

- Jakich nazwisk? - Belcamino zaczął się pocić. Albo coś wiedział, albo coś podejrzewał. - Co się stało? - spytał natarczywie.

Will pchnął go na ścianę i trzymając mocno, wykrzyczał prosto w twarz:

- Z kim pracujesz?

- Z nikim! - W głosie Raya była panika. - Tutaj! Pracuję tutaj!



Drzwi wahadłowe otworzyły się szeroko i do środka weszła Amanda, po niej Sara i Charlie. W małym przedsionku zrobiło się ciasno.

Amanda spojrzała na Belcamina i spytała:

- Gdzie przechowujecie ciała?

- Tam jest brzęczyk. - Wzrokiem wskazał biurko.

Will puścił Belcamina, który sięgnął pod blat biurka i wcisnął guzik, a tylne drzwi się rozsunęły.

Ściany wyłożono jasnozielonymi płytkami, podłoga została pokryta ciemnozielonym linoleum, w powietrzu unosił się wszechobecny zapach chemikaliów. Niski sufit, mocne światło, powierzchnia klasy szkolnej. Blisko drzwi leżało ciało starszego mężczyzny. Pomarszczona skóra, kępki białych włosów, genitalia okryte tkaniną. Z jego szyi wystawały rurki, którymi był podłączony do maszyny z kanistrem.

Chłodnia znajdowała się na końcu pomieszczenia. Wiodły do niej wielkie, stalowe drzwi z otworem okiennym ze wzmocnionego szkła. Amanda stanęła przed nimi, jej palec zawisł nad świecącym zielonym guzikiem.

Will podszedł do niej. Po raz drugi tego dnia szedł w nieznaną z nadzieją na znalezienie ciała Angie. Wzrok mu się wyostrzył. Uszy wyłapywały każdy dźwięk.

Drzwi chłodni wydały z siebie donośne kliknięcie. Spomiędzy rozszczelnionych krawędzi wydostało się zimne powietrze. Automatyczne ramię otworzyło drzwi z prędkością majestatycznie sunącego lodowca. Kiedyś Will pracował w sklepie spożywczym. Chłodnia, w której przechowywali

mrożone produkty, nie różniła się od tej. Półki po obu stronach, sześć poziomów równomiernie ułożonych od podłogi do sufitu, głębokość około czterech i pół metra, wysokość około trzech metrów. Tyle że zamiast paczek zielonego groszku na półkach leżały czarne worki ze zwłokami.

Cztery po jednej stronie. Cztery po drugiej. Plus ciało w przygotowaniu...

- Ja pierdolę! - Belcamino zerwał ze ściany kartkę wpiętą w podkładkę z klipssem i wbiegł do chłodni. Porównał przywieszki na workach z danymi z listy, a przy dziewiątym ciele znieruchomiał i stwierdził: - Nie ma przywieszki.

Will ruszył do środka, ale Sara złapała go za nadgarstek.

- Wiesz, że ty nie możesz jej znaleźć.

Will musiał ją znaleźć. Musiał zrozumieć, dlaczego auto stało przed domem pogrzebowym. To on poprowadził resztę do piwnicy i już nie mógł się zatrzymać. Od worka dzieliły go niecałe trzy metry. Półki były ciasne. Nos Angie znajdował się może piętnaście centymetrów od ciała leżącego nad nią. Miała klaustrofobię, panicznie bała się ciasnych miejsc.

- Will. - Sara przesunęła dłoń na jego ramię. - Proszę, pozwól im zająć się Angie. Niech Charlie robi swoją robotę, dobrze? Musi zrobić zdjęcia, worek trzeba zachować do zbadania odcisków palców. Na ziemi też mogą być ślady. Musimy zrobić to jak należy, inaczej nigdy się nie dowiemy, dlaczego tu ją zostawili.

Wiedział, że Sara ma rację, ale nie był w stanie wykonać najdrobniejszego ruchu.

- Chodź - pociągnęła go za rękę.

Cofnął się o krok, potem drugi.

Charlie nasunął na dłonie lateksowe rękawiczki i ochraniacze na buty, włożył do aparatu nową kartę, sprawdził baterie, potwierdził datę i godzinę.

Zaczął przed chłodnią i powoli przesunął się do środka. Sfotografował worek z każdej strony z pozycji klęczącej, przechylając się przez inne ciała. Linijki użył do ustalenia skali. Ważne miejsca oznaczył numerowanymi znacznikami. Pracował wolno i metodycznie. Wszyscy mieli wrażenie, że upłynęła cała wieczność, zanim zwrócił się do Raya Belcamina:

- Przeprowadź nosze na kółkach. Tu jest za ciasno. Musimy ją przenieść, żeby otworzyć worek.

Belcamino zniknął w sąsiednim pomieszczeniu i po chwili wrócił z noszami. Leżało na nich złożone w kostkę białe prześcieradło. Kopniakiem ustawił kółka we właściwej pozycji i przesunął nosze po niewielkiej rampie prowadzącej do chłodni.

Charlie wręczył mu rękawiczki.

Od razu było widać, że Belcamino nie robi tego pierwszy raz. Wprawnie przeniósł na nosze czarny worek jak zrolowany dywan. Will musiał odwrócić wzrok. Gdyby obserwował tę scenę chwilę dłużej, musiałby rzucić się na chłopaka z pięściami.

Usłyszał brzęk kółek, drzwi chłodni zatrzasnęły się z głuchym dudnieniem.

- Dziękuję, panie Belcamino - powiedziała Amanda. - Może

pan zaczekać na górze.

Stażysta bez zbędnych ceregieli wyszedł.

Charlie zrobił więcej zdjęć. Przyciągnął spod ściany stołek z dwoma stopniami, stanął nad workiem i zrobił kolejną serię zdjęć, linijką określając skalę.

Will wpatrywał się w kontury worka, mając poczucie, że coś tu jest nie tak. W końcu zrozumiał, że ciało leży na boku. Ktoś, kto wyciągnął je z bagażnika, zostawił w takiej samej pozycji, w jakiej leżało w aucie.

Angie zawsze spała na boku, blisko Willa, ale bez dotykania. Czasem w nocy jej oddech łaskotał go w ucho, a on musiał zmieniać pozycję, żeby zasnąć.

- Faith? - Charlie wyciągnął w jej stronę parę nowych rękawiczek. Ich palce dyndały w powietrzu przez chwilę, zanim Faith je wzięła.

Spocone dłonie utrudniły swobodne naciągnięcie rękawiczek. Faith zaciskała mocno szczęki. Nie znosiła martwych ciał, nie znosiła kostnicy, nie znosiła sekcji zwłok.

Chwyciła zamek i pociągnęła.

Dźwięk kojarzył się z rozdzieraniem czegoś, rozszarpywaniem, rozrywaniem na strzępy, łamaniem. Ciało było odwrócone do nich plecami. Will zobaczył ciemne włosy, brązowe, takie same jak Angie. Zobaczył nagie ramiona, linię kręgosłupa, łuk biodra. Związane nogi, ręce między kolanami, skurczone palce u nóg, wygięte stopy.

Faith zakrztusiła się i zakasłała. Zapach był obrzydliwy, mdlący i odstręczający. Ciało leżało w bagażniku długie godziny w piekącym słońcu. Upał przyśpieszył proces

rozkładu, skóra była przesuszona. Ciało ludzkie składa się z takich samych tkanek i komórek jak ciało każdego innego ssaka. Reakcja na wysoką temperaturę też jest taka sama, czyli wydzielanie płynów.

Gdy Charlie otworzył worek do końca, strużka krwi stała się różowa pod wpływem cholesterolu wyciekającego na podłogę.

Faith znowu zakasłała. Zatkła nos wierzchem dłoni, zacisnęła oczy. Stała po drugiej stronie noszy, a gdy zobaczyła twarz, potrząsnęła głową.

- Nie mogę powiedzieć, czy to ona. Jest...

- Pobita - dopowiedział Charlie.

Will spojrzał na plecy kobiety, które były pokryte ciemnymi plamami, jakby okopcone sadzą. Takie same ślady miała na nogach i na podeszwach.

- Wybielacz - powiedziała Sara, czując jak i inni, że smród nieco ustąpił. - Nie została dokładnie umyta. Wygląda, jakby ktoś ochlapał ją wybielaczem, wręcz polał.

- Nie ma ubrań - zauważyła Amanda. - Ktoś bał się zostawić dowód.

- Była gdzie indziej, zanim wylądowała w aucie - dodała Faith.

- Wygląda, jakby dostała kijem bejsbolowym. - Charlie zabrał się do pobieżnej obserwacji. - Stłuczenia i rany szarpane na twarzy i szyi. Zadrapania na skórze. Złamania kości. - Przyklęknął z aparatem, skierował obiektyw na głowę, szyję, klatkę piersiową, tułów. - Liczne rany kłute. - Zwrócił się do Willa. - Czy ona ma jakieś znaki szczególne?

Tatuaże?

Will pokręcił głową przecząco.

I nagle sobie przypomniał.

Poczuł się, jakby ktoś przewinął do przodu jego życie. Oderwał się od Sary, obszedł nosze, odsunął Charliego i przyjrzał się ciału. Patrzył na czarne sińce, cięte rany, plamy, i wreszcie zobaczył to, czego szukał: pojedynczy pieprzyk na piersi. Czy był w tym samym miejscu? Dlaczego nie pamiętał, gdzie dokładnie Angie go miała?

Opadł na kolana i spojrzał jej w twarz.

Była rozdęta, nie do rozpoznania.

Głowę miała spuchniętą, na twarzy czarne i czerwone ślady, z ust wyciekał jakiś płyn, nos był wykrzywiony w jedną stronę. To, co widział, bardziej przypominało maskę na Halloween niż twarz.

Czy to była Angie?

Czy czuł, że to ona?

Wewnętrzne odrętwienie trwało. Patrząc na tę kobietę, Will czuł pustkę. Zauważył rzeczy, które dostrzegłby w każdym innym przypadku. Zabójstwo domowe. Pobicie. Przemoc. Otwarte usta. Wybite zęby. Wargi spękane i napuchnięte jak przejrzwały owoc. Powieki ciężkie, o konsystencji mokrego chleba. Niebieskie żyły i czerwone tętnice widoczne przez półprzezroczystą skórę. Policzek rozcięty bardzo ostrym nożem albo brzytwą. Skóra przy ranie zwisała, odsłaniając tkankę, ścięgno, biel kości.

Spojrzał na jej dłonie. Splecione razem tkwiły między zgiętymi kolanami. Pod wpływem temperatury palce się

podwinęły, skóra popękała, z kłykci sączył się bezbarwny płyn. Obrączka na palcu pękła.

Ślubna obrączka Angie.

Zielony plastik z jasnożółtym słonecznikiem. Will stracił trzy ćwierćdolarówki przy automacie z gumami do żucia, zanim pierścionek opuścił wnętrze maszyny. Angie zadeklarowała wtedy, że wyjdzie za niego, jeśli wydobędzie dla niej pierścionek i nie wyda więcej niż cztery ćwierćdolarówki. Nigdy nie cofnęła danego słowa i wyszła za Willa. Wytrzymała dziesięć dni. Jedenastego dnia wrócił z pracy i zobaczył, że zniknęły jej wszystkie rzeczy.

Otworzył usta. Wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze z płuc.

- Will? - powiedziała pytająco Amanda.

Potrząsnął głową. Ktoś musiał podrzucić tę obrączkę. On sam instynktownie wyczułby przecież, czy to Angie. Podniósł się z podłogi.

- To nie ona - stwierdził.

- A obrączka? - zapytała Faith.

Will nie przestawał kręcić głową. Pozostali wymienili między sobą znaczące spojrzenia. Najwyraźniej uważali, że wchodzi w fazę zaprzeczenia, ale grubo się mylili. Może na zewnątrz, patrząc na zakrwawiony samochód i słuchając argumentów Amandy, przyjął do wiadomości, że to może być Angie, ale teraz, będąc w jednym pomieszczeniu z tym ciałem, tym obcym ciałem, miał pewność, że Angie nadal żyje.

Nie czuł pustki. Nie czuł, że ktoś wydarł mu serce, jak

mówiła o tym Sara.

- Mam przenośny skaner linii papilarnych - powiedział Charlie.

- Opuszki palców są popękane. Trudno będzie pozyskać odciski.

- Trzeba spróbować, ale na górze, żeby złapać sygnał.

- Stężenie pośmiertne jest już pełne.

Will znowu spojrzął na twarz kobiety. Czuł się tak, jakby próbował czytać książkę. Widział fragmenty, ale nie całość. Posklejane rzęsy, rozerwana warga, sztywna szczęka podwiązana jak lina na wiszącym moście. Stężenie pośmiertne, czyli koagulacja białek zawartych w mięśniach. Zaczynało się od powiek, szyi, szczęki. Wszystkie mięśnie ciała sztywniały, uniemożliwiając zmianę pozycji zwłok.

- To znaczy, że nie żyje od trzech do pięciu godzin? - zapytała Faith.

- Dłużej - odparła Sara, nie podając jednak przybliżonego czasu.

- Jak weźmiemy odciski palców, skoro ma zaciśnięte dłonie? - spytała Amanda.

- Będziemy musieli połamać palce.

- Nie byłoby łatwiej, gdyby leżała na plecach?

- Tak. Potrzebuję pomocy przy jej odwróceniu.

Will przeszedł na drugi koniec pomieszczenia. Starszy mężczyzna nadal leżał na noszach. Will próbował zrozumieć zasadę działania maszyny, do której było podłączone ciało. W kanistrze znajdował się żółty płyn, z dna wystawała pomarańczowa rurka, pracowała jakaś pompa. Will słyszał



szum powietrza. Jeden płyn był usuwany z ciała, a drugi wtłaczany. Powędrował wzrokiem za rurką sięgającą arterii szyjnej. Płyn przepływał przez grubą igłę. Z boku noszy zwieszała się druga rurka, której końcówka sięgała pordzewiałej krawędzi odpływu podłogowego.

Trach.

Dźwięk łamanej gałązki.

Trach.

Will stał do nich plecami. Nie chciał wiedzieć, kto łamie palce.

Trach.

- Dobrze, to wystarczy - stwierdził Charlie.

- Palce są w strasznym stanie - powiedziała Sara. - Skaner chyba nie wyłapie linii papilarnych.

- Spróbujcie - rzuciła Amanda.

Rozległ się szelest, kliknięcie, trzy szybkie bipnięcia. Pracował biometryczny przenośny skaner linii papilarnych. Urządzenie było połączone z iPhone'em specjalnym złączem dokującym. Wystarczyło położyć palec na srebrnej podkładce, by linie papilarne zostały zeskanowane w rozdzielczości 500 DPI i dwustu pięćdziesięciu sześciu odcieniach szarości, po czym przesłane na serwery biura śledczego, gdzie porównywano je ze zgromadzonymi w bazie setkami tysięcy odcisków.

Jedyne, czego było trzeba, to stacja dokująca i telefon z zasięgiem.

Z jednym i drugim w rękach Charlie zmierzał do przedsionka.

- Pewności nie ma z powodu uszkodzeń, ale może trafimy - zwrócił się do Willa.

Will nie wiedział, dlaczego tę informację Charlie skierował akurat do niego. Zerknął na zegarek. Najbardziej brutalne przestępstwa zdarzały się najczęściej około dziesiątej wieczorem i zaczynała się pora, kiedy serwery musiały przetworzyć tysiące zapytań. Nawet w spokojny dzień na odpowiedź czekało się od pięciu minut do dwudziestu czterech godzin, a i tak potem GBI wymagało, żeby odciski palców obejrzała grupa ludzi, którzy mieli zdecydować, czy komputerowa zgodność odpowiada poziomowi zgodności wymaganemu przez prawo.

- Saro? - powiedziała Faith.

Coś w tonie jej głosu kazało Willowi się odwrócić.

Faith stała w nogach noszy. Spoglądała na ciało kobiety od strony stóp sterczących w górę. Po wyjęciu rąk spomiędzy kolan rozszerzone nogi odsłoniły to, co było między nimi.

Gwałt, pomyślał Will. Kobieta, która mogła nie być Angie, została nie tylko uduszona, pobita i zadźgana. Sara chciała mu powiedzieć, że padła jeszcze ofiarą gwałtu.

- Will? - Sara czekała, aż spojrzy na nią. - Czy Angie miała dziecko?

- Co? - Zabrzmiało to, jakby Will nie zrozumiał pytania.

- Ona ma bliznę po episiotomii.

Will nigdy wcześniej nie słyszał tego słowa.

- Po napaści seksualnej? - spytał.

- Po porodzie.

Will potrząsnął głową. Angie była kiedyś w ciąży, ale nie

z nim.

- Osiem lat temu miała aborcję - powiedział.

- Taka blizna nie zostaje po aborcji - odparła Faith.

- To chirurgiczne nacięcie krocza podczas porodu siłami natury - wtrąciła Sara.

- Nacinają cię na dole, żeby dziecko łatwiej się wydostało - wyjaśniła Faith.

Do Willa nadal nic nie docierało. Czuł się tak, jakby patrzył w twarz tej martwej kobiety. Rozpoznawał słowa, ale nie rozumiał sensu.

- Czujesz ucisk w klatce piersiowej? - zapytała Sara.

Spojrzał w dół. Znowu odruchowo pocierał pierś.

- Już wcześniej nie czułem się dobrze - stwierdziła Faith.

- Mylicie się. To nie ona - powiedział Will.

Sara popchnęła go w stronę drzwi, po chwili znaleźli się w przedsionku. Will usiadł przy metalowym biurku, reszta stanęła nad nim jak inkwizytorzy.

- Weź kilka głębokich oddechów - poradziła Sara.

- Mam xanax. - Amanda trzymała lakierowaną kasetkę na leki, różową z różyczkami na wieczku. W takiej kasetce starsza dama z towarzystwa mogłaby trzymać swojej sole trzeźwiące.

- Włóż to pod język - zarządziła Sara.

Will mechanicznie wykonał polecenie. Tabletkę była gorzka, czuł, jak zaczyna rozpuszczać się pod językiem. Ślina wypełniła mu usta, musiał ją połknąć.

- To potrwa parę minut. - Sara zaczęła masować mu plecy, jakby był jej małym pacjentem w szpitalu.

Nie podobała mu się ta sytuacja. Nie znosił skakania i zamieszania wokół siebie.

Pochylił się i włożył głowę między kolana, udając, że kręci mu się w głowie, a wtedy Sara zintensyfikowała masaż pleców. Natomiast Will wypluł tabletkę i ukrył ją w dłoni.

- Oddychaj, po prostu oddychaj. - Sara ujęła go za nadgarstek i zbadała puls. - Wszystko w porządku.

Will wrócił do pozycji wyjściowej.

Sara obserwowała każdy jego ruch, Amanda ciągle trzymała w ręku otwartą kasetkę z tabletkami, Faith gdzieś zniknęła.

- Już dobrze? - zapytała Sara.

- To nie ona - powtórzył drugi raz, jakby sam chciał się upewnić, że ma rację. - Nigdy nie miała dziecka.

- Miała - powiedziała Amanda. Will patrzył na jej poruszające się usta, na których rozmazała się szminka. - Dwadzieścia siedem lat temu Angie zniknęła z rodziny zastępczej, a trzy miesiące później pojawiła się w szpitalu i urodziła córkę. Uciekła ze szpitala przed przyjazdem opieki społecznej.

Ta informacja powinna spaść na Willa jak grom z jasnego nieba, ale nic, co dotyczyło Angie, nie mogło go już zdziwić.

- Ile miała lat? - zapytała Sara.

- Szesnaście.

Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty dziewiąty rok.

Will utknął wtedy w domu dziecka. Nikt nie chciał nastoletniego chłopca, zwłaszcza wyższego od wszystkich nauczycieli, natomiast Angie mieszkała u ludzi, którzy brali

dzieci dla pieniędzy. Przebywało u nich w tym samym czasie nawet piętnaścioro dzieci upychanych na piętrowych łózkach po ośmioro w pokoju.

- Jak się o tym dowiedziałaś? - zapytał Will.

- W taki sam sposób, w jaki dowiaduję się o wszystkim - odparła twardo. Nigdy nie rozmawiali o tym, że śledziła jego losy od dzieciństwa, przez całe jego życie była niewidzialną ręką, która popychała go we właściwą stronę, jeśli zbaczał z drogi. Czy korygowała też kurs Angie, oddalając ją od niego?

- Co zrobiłaś? - zapytał.

- Nic. - Amanda włożyła kasetkę do kieszeni. - Angie zniknęła, porzuciła swoje dziecko. To cię nie powinno dziwić.

- Czy dziecko przeżyło? - zapytała Sara.

- Tak, ale nie dotarłam do informacji o jego dalszych losach. Dziewczynka rozplynęła się gdzieś w systemie.

Willowi przypomniał się formularz, który musieli wypełnić przed zawarciem małżeństwa. Siedzieli przed biurkiem kuratora, Angie miała już na palcu zieloną obrączkę ze słonecznikiem i na głos czytała pytania:

- „Wiek powyżej szesnastu lat?”. Oczywiście. „Wcześniejsze małżeństwa?”. Nic mi o tym nie wiadomo.

„Imię ojca?”. Kto go, kurwa, wie. „Imię matki?”. Nieważne.

„Pokrewieństwo z przyszłym mężem/przyszłą żoną?”. No nie.

- Długopisem drapała kartkę, bazgrząc odpowiedzi. - „Dzieci?”. Nie ja, kochanie. - Zaśmiała się tym swoim głębokim, chropawym głosem. - Nic mi o tym nie wiadomo...

- Córka urodziła się w styczniu, teraz miałaby dwadzieścia

siedem lat. Delilah Palmer ma dwadzieścia dwa.

Sara najpierw odchrząknęła, nim spytała:

-Wiesz, kto jest ojcem?

- Nie Will - odparła Amanda.

Will zastanawiał się, czy to prawda. Tamten raz w piwnicy... Nie mieli prezerwatywy, Angie nie wzięła pigułki. Tyle że Will nie był jedynym chłopcem, którego brała do piwnicy.

Sara znowu sprawdziła mu puls.

- Tętno masz ciągle nitkowate.

Will cofnął rękę, wstał i spojrzał w stronę zamkniętych dwuskrzydłowych drzwi. Nie musiał znowu oglądać ciała, żeby znać prawdę.

Obrączka ze słonecznikiem. Samochód. Krew.

Jej obrączka. Jej samochód. Jej krew.

Jej dziecko.

Angie mogłaby porzucić dziecko, łatwo by sobie z tym poradziła. Nie, nie, żadne gdybanie, ona to zrobiła. Will nie potrafił tego zracjonalizować, ale ten właśnie dowód uznał za najważniejszy. Angie nie była obdarzona ani odpowiednimi cechami charakteru, ani umiejętnościami, ani pragnieniem, żeby zadbać o cokolwiek czy o kogokolwiek choćby przez jeden dzień. W życiu kierowała się zasadą przetrwania za wszelką cenę, nie empatii. Mógł obserwować to w ostatnią sobotę, w różnych innych sytuacjach w ostatnich dziesięcioleciach, i bez trudu mógł sobie wyobrazić Angie w tej konkretnej sytuacji sprzed dwudziestu siedmiu lat. Pojechała do szpitala. Urodziła dziecko. Uciekła najszybciej,

jak tylko było to możliwe.

A teraz nie żyła.

- Możemy jechać do domu? - zwrócił się do Sary.

- Tak. - Sara włożyła mu klucze do ręki. - Zaczekaj na mnie w samochodzie. Zaraz przyjdę.

Amanda spojrzała na blackberry, ale jeszcze nie dotknęła ekranu, tylko oznajmiła:

- Powiem Faith, żeby z nim poczekała.

Will zrozumiał, że Sara i Amanda mają zamiar odbyć rozmowę tylko we dwie, a jej tematem będzie on. Nie miał siły, żeby zaprotestować. Ciągle czuł, jakby ktoś ścisnął mu klatkę piersiową imadłem, a w żołądku leżał kamień.

Wspiął się po schodach i wsunął rękę do kieszeni, żeby ją wytrzeć. To, co zostało z tabletki, zmieniło się w kredową papkę, jednak trochę xanaxu przedostało się do organizmu. Zanim Will dotarł do końca holu, czuł zawroty głowy, a w ustach piasek. Dopiero czwarte drzwi zaprowadziły go do kaplicy. Światła były zgaszone, ale dzięki wielkim oknom i śródmiejskiej poświacie dostrzegł rzędy ławek.

Spojrzał na łukowate sklepienie kaplicy. Ogromne żyrandole zwisały z sufitu jak biżuteria. W przejściu między ławkami leżał szary chodnik. Scena była pusta, z boku stał pulpit. Will domyślił się, że kaplica jest na tyle neutralna czy też niedookreślona wyznaniowo, na ile w ogóle taka może być kaplica. Dwa razy był w kościele z Sarą, na Wielkanoc i na Boże Narodzenie. Sara nie była religijna, ale uwielbiała uroczyste widowiska. Will do dziś pamiętał swoje zaskoczenie, kiedy zaczęła śpiewać razem z wiernymi. Co

więcej, doskonale znała na pamięć słowa wszystkich pieśni.

Natomiast Angie gardziła religią. Należała do grona tych arogantów, którzy z góry uznawali wszystkich wierzących za obłąkańców. No i tak się stało, że ktoś przywiózł ją tutaj w bagażniku jej auta i zostawił w chłodni. Na palcu nadal miała obrączkę ze słonecznikiem. Czy żyła, kiedy ktoś zakładał jej tę obrączkę na palec? Czy poprosiła tego człowieka, żeby włożył ją po jej śmierci?

Will poczuł palący ból w piersi i energicznie zaczął rozcierać skórę. Czy to objawy ataku paniki? Nie chciał pytać o to Sary, ponieważ najpewniej wepchnęłaby mu do ust następną tabletkę.

Dlaczego to zrobiła? Wiedziała, że nie znosił niczego mocniejszego prócz aspiryny. Jeszcze bardziej irytowała go myśl, że widziała go w takim stanie. Zachował się jak żaloszny dzieciak i Sara pewnie już nigdy nie będzie chciała uprawiać z nim seksu.

Usiadł na schodach prowadzących na podium i z kieszeni wyjął telefon. Ale zamiast wygooglować „atak paniki”, wyciągnął się na szarym chodniku i spojrzał na mieniące się kryształki żyrandola. Powoli ciężar schodził Willowi z piersi, a płuca wypełniły się powietrzem. Miał wrażenie, że unosi się na wodzie. To był efekt xanaxu. Nie podobało mu się to. Utrata kontroli nie przynosiła nic dobrego.

Delilah Palmer. Mogła być w klubie Rippy'ego, kiedy umarł Harding. Mogła próbować ratować Angie. Mogła przywieźć tutaj jej ciało. Mogła zadzwonić do Raya Belcamina i podać mu fałszywą informację o zwłokach do odebrania, a potem



patrzeć, jak obsługuje panel bezpieczeństwa przy windzie. Jeden zjazd do piwnicy i powrót. Porzuca tu samochód Angie, idzie do wynajętego auta i odjeżdża, nie oglądając się za siebie.

Zamknął oczy. Uświadomił sobie, że jego głowa leży tam, gdzie podczas ceremonii stoi trumna. Będzie musiał zaplanować pogrzeb Angie, a najłatwiej byłoby zorganizować go tutaj. Na pewno chciałyby zostać skremowana. Belcamino mógłby się tym zająć, to znaczy wypełnić wszystkie papiery i przygotować Angie do kremacji.

Kto przyjdzie na pogrzeb? Amanda i Faith, ponieważ będą czuły się zobowiązane. Sara? Nie mógłby jej o to prosić, ale pewnie sama to zaproponuje. A jej rodzice? Byli dobrymi ludźmi z prowincji. Cathy pewnie przygotuje zapiekankę. A może nie? Will wiedział, że matka Sary mu nie ufa, i w sumie miała rację. Nie powiedział Sarze o sobocie. I nie tylko to przed nią zataił, zebrałaby się długa lista.

Na pogrzebie zjawią się policjanci. Tak się działo, kiedy umierał jeden z nich, nieważne, czy był dobrym, złym czy emerytowanym gliną. Kochankowie, cały zastęp kochanków. Starzy przyjaciele... no, tych to niewielu. Może wrogowie? Może ojciec jej dziecka? Ojciec dwudziestosiedmioletniej córki, gniewnej, porzuconej, oczekującej odpowiedzi, których Will nie będzie w stanie jej udzielić.

Poczuł, jak rozluźniają mu się powieki, twarz, ramiona. Spowiała go niesamowita cisza.

Znalazł się w pustej kaplicy w środku nocy. Angie nie żyła. W tej chwili powinien to poczuć, powinien doznać

wszechogarniającego poczucia straty, powinna ogarnąć go pustka, jaką opisała Sara. Była na niego zła, że nie okazuje rozpaczy. Może coś w nim pękło. Może to był ostatni element zemsty Angie. Odebrała mu coś, co dawało zdolność odczuwania.

Telefon zadzwonił mu w rękę. Chyba szukała go Faith.

- Jestem w kaplicy - rzucił do słuchawki.

- Naprawdę?

To nie była Faith. Po drugiej stronie rozległ się inny kobiecy głos, niski i spokojny.

Will zerknął na wyświetlacz. Funkcja identyfikacji numeru była zablokowana.

- Kto mówi?

- To ja, kochanie. - Angie zaśmiała się chropawo. -  
Tęskniłeś?

# **TYDZIEŃ WCZEŚNIEJ**

## **PONIEDZIAŁEK - GODZINA 19:22**

Angie Polaski wstała zza biurka i zamknęła drzwi swojego biura, lecz mimo to do środka nadal przenikały stłumione głosy. Jeden agent idiota chełpił się pieniędzmi przed innym agentem idiotą. Trzymała rękę na gałce drzwi, mocno ją ściskając. Nienawidziła tego miejsca z głupimi bogatymi dzieciakami. Nienawidziła idealnych sekretarek. Nienawidziła zdjęć na ścianie. Nienawidziła sportowców, którzy stworzyli to miejsce.

*Oślepląby, wyliczając wszystko, czego nienawidziła.*

Znowu usiadła za biurkiem i utkwiała wzrok w ekranie laptopa, czując, że jej oczy miotają płomienie. Gdyby ten przeklęty komputer nie kosztował fortuny, cisnęłaby nim o podłogę i roztrzaskała obcasem.

*Ona ma jego przeszłość. Ja mam jego.*

Angie sprawdziła datę mejla, którego Sara wysłała siostrze. Osiem miesięcy temu. Według jej kalkulacji, Sara, pisząc te słowa, pieprzyła się z Willem zaledwie od czterech miesięcy. Nadęta arogantka sądziła, że ma go na wyciągnięcie ręki.

Angie powędrowała kursorem na początek akapitu, który chciała przeczytać ponownie.

*Nie myślałam, że znowu poczuję to do innego mężczyzny.*

Tak mogłaby napisać nie szanowana lekarka, lecz głupiutka nastolatka. Nie było w tym nic dziwnego. Doktor Sara Linton zachowywała się jak niemądra kokietka,

bohaterka wielu książek dla dzieci. Taka, która markotnie wpatruje się w zalane deszczem okno i дума, czy chodzić z wampirem albo wilkołakiem, czy nie. A tymczasem tak zwana zła dziewczyna, świetna kompanka na imprezach, która mogła zapewnić najlepszy seks w życiu, została odstawiona w kąt i zmuszona do zdania sobie sprawy z własnych błędów przed podjęciem stosownych kroków.

*Ja mam jego.*

Angie energicznie zamknęła laptopa.

Nie powinna była go klonować. Nie dlatego, że to złe - chrzanić to - ale z powodu tortur, które przeżywała, śledząc proces zakochiwania się Sary w Willu.

Przez ostatnie półtora roku Sara wysłała setki mejli. Pisała do młodszej siostry cztery, czasem pięć razy w tygodniu, a Tessa odpisywała równie często. Omawiały swoje życie w najdrobniejszych szczegółach. Skarżyły się na matkę, żartowały z roztargnionego ojca. Tessa dzieliła się ploteczkami mieszkańców Dirt Town, czy jak tam się nazywało to cholerne miasto, w którym była świecką misjonarką. Sara pisała o swoich pacjentach, o nowych ubraniach kupionych Willowi, o próbach dobrania mu porządnych perfum i o konieczności zgłoszenia się po receptę do znajomej lekarki z powodu Willa.

Angie wystarczyło to jedno, by pogardzać Sarą. Przez nią musiała sprawdzić w wyszukiwarce słowa *honeymoon cystitis*, zapalenie pęcherza wywołane wzmożoną aktywnością seksualną.

Nie była w stanie dłużej strawić tej ckliwej paplaniny.

Przebiegła wzrokiem następne mejele i dowiedziała się, że zapach nowego samochodu już ulatuje oraz że Willowi daleko do ideału. Ma zwyczaj zabierania wszystkiego, co weźmie się choćby na chwilę, i odkładania na miejsce. Musi natychmiast naprawić wszystko, co zepsute, bez względu na porę. Za mocno i za często nitkuje zęby. Ze skąpstwa zostawia na rolce nawet jeden listek papieru do wykorzystania, żeby nic się nie zmarnowało.

W zeszłym miesiącu tak napisała:

*Najcudowniejsza noc w moim życiu. Boże, co to za facet!*

Angie zerwała się z krzesła, podeszła do okna i spojrzała na Peachtree. Właśnie nastąpiły wieczorne godziny szczytu, kolumny samochodów sunęły wolno w jednym i drugim kierunku. Poczowała ból w rękach. Miała tak zaciśnięte dłonie, że paznokcie wbijały jej się w skórę.

Czy tak smakowała zazdrość?

Angie nie spodziewała się, że Sara zakotwiczy w tym związku. Takie kobiety nie lubiły bałaganu, a Angie nieustannie dawała do zrozumienia, że życie Willa to jeden wielki bałagan. Nie przypuszczała, że Will będzie walczył o to, by Sara z nim została. Zakładała, że „ta druga” jest zabawką, którą Will wypróbuje i porzuci, nie zaznając z nią żadnej przyjemności ani satysfakcji. Jak wtedy, gdy Angie namówiła go na wspólny wypad do sklepu i kupno sandałów.

A potem zobaczyła ich razem w Home Depot.

To było wczesną wiosną, czyli pięć miesięcy temu. Angie kupowała żarówki, a Will i Sara weszli do środka tak pochłonięci sobą, że nie zauważyli jej, chociaż stała półtora

metra od nich. Trzymali się za ręce, machali nimi jak małe dzieci. Poszła za nimi do działu ogrodniczego i zatrzymała się w sąsiedniej alejce, słuchając, jak rozmawiają o ściółce, co było dla niej dowodem na nudę i banalność ich życia.

Sara zaproponowała, że przyjedzie z wózkiem. Will złapał worek i zarzucił go sobie na ramię.

- Skarbie, ale masz krzepę - powiedziała Sara.

Angie czekała, aż Will pośle ją do diabła, ale tego nie zrobił. Po prostu roześmiał się i objął ją w pasie. Sara popieściła mu szyję, jakby głaskała pieska. Poszli w stronę kwiatów, a Angie stłukła wszystkie żarówki z koszyka.

- Polaski?

W drzwiach stanął Dale Harding. Miał na sobie pognieciony garnitur, opięta koszula rozchodziła mu się na brzuchu. Angie poczuła odrazę, jak zwykle w kontakcie z Dale'em. I nie chodziło o jego tuszę i niechlujstwo, ani nawet o to, że sprzedał własną córkę z powodu uzależnienia od hazardu. Była wściekła, że nie nienawidziła go tak mocno, jak chciała nienawidzić.

- Impreza zaraz się zacznie - oznajmił.

- Masz żółte oczy.

- Tak to się dzieje. - Wzruszył ramionami.

Dale żegnał się ze światem. Oboje to wiedzieli. Nie rozmawiali o tym.

- Jak Dee?

- W porządku. Wyszła z ukrycia.

Wymienili znaczące uśmiešky. Delilah związała z ośrodka leczenia uzależnień, więc Dale uznał, że najszybsza metoda

na odtrucie to zamknąć ją w garderobie.

- Mam zamiar na lekarza, który da mi receptę na suboxone.

- Dobrze - powiedziała Angie. Tylko dzięki temu substytucyjnemu preparatowi można było utrzymać Delilah z dala od heroiny. Kłopot w tym, że z powodu administracyjnych obostrzeń suboxone był trudny do zdobycia. Angie kupowała go od dilerów, któremu nie do końca ufała. Mocno liczyła na to, że Dale wkrótce umrze, a ona wreszcie przestanie wspomagać jego żalosną córkę ćpunkę. Żonę ćpunkę. Wszystko jedno. - Rozmawiałeś z tym prawnikiem?

- Tak, ale...

Jego odpowiedź zagłuszyły głośnie wiwaty, strzeliły korki od szampana. Wszystkie głośniki w biurze pulsowały rapem. Zaczęło się przyjęcie.

Wiedzieli, że Kip Kilpatrick będzie ich szukał. Dale odsunął się, żeby Angie mogła wyjść pierwsza. Po drodze wygładziła spódnicę. Wysokie obcasy maltretowały stopy, ale była gotowa na wiele, żeby dorównać tym młodym sukcom w biurze. Wszystkie były bezmyślne. Ich gładkie buźki i wydęte usta wykrzywiały się ze zdumienia, gdy Angie nachylała się nad umywalkę w łazience, żeby zbliżyć się do lustra i poprawić rzęsy tuszem. Nie chciało jej się tłumaczyć, że one też kiedyś będą miały czterdzieści trzy lata, ponieważ kiedy ten dzień nadejdzie, ona będzie pensjonariuszką domu opieki.

Albo nie będzie już żyła.



Może Dale miał rację. O wiele łatwiej opuścić ten świat na własnych warunkach. Pewnie zrobiłby to szybciej, gdyby nie jego beznadziejna córka. No cóż, wiele przemawiało za życiem bez dziecka.

- Jest moja dziewczyna. - Kip Kilpatrick stał na szczycie szklanych schodów. Jak zwykle miał w rękach piłkę do koszykówki, nigdzie się bez niej nie ruszał. - Po wszystkim przyjdź do mnie do biura. Potrzebuję cię.

- Zobaczymy - odparła Angie, mijając go. Omiotła wzrokiem salę w poszukiwaniu znajomej twarzy. Wielkie nazwiska jeszcze się nie pojawiły. Na razie dominowały dwudziestoparolatki w skąpych kostiumach, popijające szampana jak wodę.

Angie zobaczyła makietę w dużej skali pod świecącymi diodami układającymi się w konkretny znak. Właśnie z tej okazji urządzono przyjęcie. Ostatnie punkty umowy dotyczącej Centrum Gwiazd zostały ostatecznie przypieczętowane, firma wykonawcza rozpocznie prace za dwa tygodnie. Angie spojrzała w dół na przeszkloną makietę. Przebudowane magazyny, centrum handlowe na wolnym powietrzu, sklep spożywczy, kino, rynek lokalnych produktów, eleganckie restauracje.

Porzucony nocny klub Marcusa Rippy'ego.

Już nie. Za tydzień wejdzie tam ekipa budowlana, by przywrócić temu miejscu blask. Klub miał być ostoją Centrum Gwiazd, przedsięwzięcia wartego prawie trzy miliardy dolarów, w które zainwestowały wszystkie wielkie gwiazdy agencji. I niektóre małe również. Kilpatrick włożył

w to dziesięć milionów, dwaj inni agenci zainwestowali o połowę mniej. Do tego dochodził zespół prawników, ta świetnie zorganizowana międzynarodowa grupa pijawek, które, o czym nieraz przekonała się Angie, były warte każdego zapłaconego im centa.

Will próbował ich złamać miesiąc temu i wyszedł z tego starcia pokonany. Nawet mu kibicowała, naprawdę szczerze i z całego serca. Skonfrontował się z nimi, usiadł przy tym absurdalnie wielkim stole konferencyjnym i przypierał ich do muru niewygodnymi pytaniami. Marcus i LaDonna Rippy zeszli na drugi plan. Kiedy tylko Will otwierał usta, Marcus zerkał na prawników, a oni wydobywali z siebie bełkot ubrany w kwieciste słowa zrozumiałe tylko dla Marsjanina albo polityka.

Angie obserwowowała całe spotkanie ze swojego biura usytuowanego piętro niżej. Will nie miał pojęcia, że wszystko, co dzieje się w sali konferencyjnej, jest rejestrowane. A już na pewno nie wiedział, że ona jest bardzo blisko. Na ekranie widziała jego coraz większą frustrację, gdy adwokaci piętrzyli przeszkody. Mogła tylko kręcić głową. Biedaczek czegoś nie wiedział. Zadawał pytania Marcusowi, a powinien był rozmawiać z LaDonną.

- Cześć, laleczko. - Laslo opierał się o kontuar, w dłoni trzymał kieliszek szampana. Jak zwykle miał na sobie dopasowane czarne spodnie i koszulę. Wyglądał nieźle. Miał świetne ciało i niesamowite wyczucie stylu. Zerknął na jej buty. - Ile? - zapytał.

- Pięćdziesiąt - odparła. Zauważył, że to tania podróbka, co

ją rozzłościło. Dzięki tej pracy wreszcie stać ją było na kupienie oryginalnych butów, które jednak były jeszcze mniej wygodne od podróbek. Kręgosłup Angie i tak już wołał o zmiłowanie.

- Spotkamy się później - powiedział.

- Kip już mnie powiadomił.

Laslo sączył szampana, Angie stała obok niego. Oboje obserwowali Kipa, który swoim zwyczajem podrzucał piłkę, a wzrok miał utkwiony w drzwiach holu. Przypominał usychającą z miłości uczennicę, zupełnie jak Sara Linton czekająca na powrót Willa do domu.

Kolejny cytat z mejla:

*Serce mi bije mocniej za każdym razem, gdy słyszę, jak przekręca klucz w zamku.*

- Ej! - Laslo pstryknął palcami. - Jesteś tutaj?

Angie wyjęła mu z dłoni kieliszek, wychyliła szampana do dna, oddała puste szkło i spytała:

- Czego chce Kip?

Laslo położył palce na ustach i odszedł.

- Proszę pani? - przystojny kelner podsunął jej tacę z szampanem.

Nie była wystarczająco stara, by być cholerną „panią”. Porwała kieliszek z tacy, przeszła przez salę, meandrując między gówniarzami i smarkulami tworzącymi zespół 110 Sports Management.

Pięć miesięcy temu zaczęła Dale’a Hardinga w sprawie pracy. Zachował się w charakterystyczny dla siebie sposób, czyli jak dupek, ale Angie też umiała być - jak to nazwać

zgodnie z poprawnością polityczną? - może dupczycą? W każdym razie powiedziała mu, że potrzebuje forsy na spłacenie dilerów. Uwierzył, ponieważ w jego życiu pełno było dilerów i bukmacherów, którzy odbierali odsetki z użyciem pięści. Angie nigdy nie miała problemów z dilerami, jej problemem był Kip Kilpatrick. Musiała przeniknąć do wąskiego grona otaczającego agenta, a Dale doskonale wiedział, co Angie może zaoferować firmie.

Wielu klientów Kipa wywodziło się z ulicy. Brakowało im dziewczyn, z którymi dobrze się bawili, a Angie знаła takie dziewczyny. Widziała, jak staczają się przez nałogi. Lepiej było rozłożyć nad nimi parasol i pozwolić, żeby bogaty koszykarz pokazał im, na czym polega dobra zabawa, niż pozwolić, żeby dwadzieścia razy dziennie lądowały na tylnym siedzeniu różnych samochodów. A jeśli przy okazji w kieszeni Angie lądowały pieniądze, to tym lepiej.

Ta część pracy okazała się dość łatwa, za to wąskie grono otaczające Kipa było o wiele twardszym orzechem do zgryzienia. Agent trzymał Angie na dystans. Miał Lasla, miał Hardinga, nie potrzebował silnej kobiety.

Jednak wszystko zmieniło się, kiedy Angie trafiła na zły dzień LaDonny Rippy.

Spotkanie było zupełnie przypadkowe. Angie siedziała naprzeciwko Kipa przy szklanym stole, który służył mu jako biurko, i omawiali kwestię rekompensaty dla dziewczyny, którą jeden z klientów Kipa potraktował trochę za ostro. Negocjacje trwały, gdy LaDonna wpadła do biura jak burza. Żona Rippy'ego była wojownicza jak Amazonka, która nie

zawaha się, by wyciągnąć z torebki naładowaną broń. Była wściekła z powodu, którego Angie już nie pamiętała, ale LaDonna wpadała we wściekłość z rozmaitych powodów. Od słowa do słowa i Angie zasugerowała rozwiązanie, LaDonna wyszła mniej wkurzona, a Kip zapytał Angie, czy nie chce stałej pracy.

Na niczym stałym jej nie zależało, wiedziała jednak, że Marcus Rippy został oskarżony o gwałt, a Will pracuje nad tą sprawą.

Skoro mowa o Willu, to Sara chwaliła go za dźwiganie głupiego worka ściółki, a nie umiała podać mu dowodów na tacy.

Początkowo Angie miała właśnie taki plan. Szczerze chciała pomóc Willowi. Potem zorientowała się, że robi o wiele bardziej intratny interes, jeśli przyłoży rękę do oddalenia sprawy przeciwko Rippy'emu, a troska o Willa nie dostarczała jedzenia na stół. Przekupienie paru świadków to dla niej nic nowego, zresztą gdyby ona tego nie zrobiła, zająłby się tym Harding. A gdyby Harding odmówił, do akcji wkroczyłby Laslo. Kiedy spojrzeć na to z tego punktu widzenia, patriotyczną powinnością Angie było dopilnować, żeby zadanie trafiło do kobiety.

Gwar ucichł, gdy do sali wszedł Marcus Rippy z LaDonną u boku. Jej długie brązowe włosy były mocno nakręcone i falami spływały na ramiona. Dzisiaj rano miała chyba zabieg z botoksem. Spod warstwy prawie białego pudru, jakiego używała do maskowania śladów po trądziku, dało się zauważyć czerwone punkciki. Wyglądała na wkurzoną, ale

równie dobrze mógł to być skutek uboczny ostatniej operacji plastycznej. A może po prostu taka już była z natury. Tak czy inaczej, miała mnóstwo powodów do gniewu. Marcus był jej miłością ze szkoły średniej, pobrali się jako osiemnastolatkiem, a w wieku dziewiętnastu lat zaszła w ciążę. Już wtedy Marcus ją zdradzał z kobietami, które przyciągała jego sława.

Oczywiście LaDonna nie miała pojęcia o innych kobietach, przynajmniej wtedy. Zaczęła pracę jako pokojówka w hotelu, kiedy Marcus dostał pełne stypendium na Uniwersytecie Duke'a w Karolinie Północnej. Z powodu restrykcyjnego prawa narzuconego przez Międzyuczelniany Związek Sportowy to stypendium było jego jedynym źródłem utrzymania. We wczesnych latach przeżyli mnóstwo wzlotów i upadków, w tym uraz, który omal nie zakończył kariery Marcusa, a kosztował go stypendium i uniemożliwił udział w pierwszym drafcie.

LaDonna dzielnie trwała u boku męża. Podjęła drugą pracę, potem trzecią. Marcus trenował do upadłego i wrócił na parkiet podczas jednego z najgorszych sezonów ligi uniwersyteckiej w historii. Omal nie został usunięty z drużyny, aż w końcu złapał rytm, dorósł, dojrzał. Urodziło mu się drugie dziecko, chora matka wymagała opieki hospicyjnej, a ojciec chciał wszystko naprawić. Marcus Rippe stał się supergwiazdą. Ciężka praca LaDonny przyniosła owoce.

Jej runda honorowa trwała tylko jeden sezon, potem Marcus dotarł na szczyt. W ślad za tym poszły okładki

czasopism, reklamy i cała reszta bałaganu. Przez cały ten czas LaDonna niezłomnie trwała u boku swojego mężczyzny jak w piosence Tammy Wynette. Robiła to, gdy internetowy serwis plotkarski publikował jego zdjęcia z różnymi aktoreczkami. Robiła to, gdy został oskarżony o gwałt, nie tylko ten, o którym wiedział Will. A teraz stała przy mężu, podczas gdy młoda recepcjonistka kleiła się do jego ramienia jak ciągutka do zębów.

Angie odstawiła kieliszek, pośpiesznie ruszyła przez tłum, objęła dziewczynę w pasie i wbiła jej paznokcie w ramię.

- Spójrz na niego jeszcze raz, a wylądujesz na ulicy. Rozumiesz?

Recepcjonistka zrozumiała.

Angie popatrzyła na znanego adwokata, który wyraźnie szykował się do przemowy.

- Proszę o uwagę. - Ditmar Wittich postukał w kieliszek sygnetem noszonym na małym palcu. Rozejrzał się po sali, czekając na ciszę, i nie czekał długo. Uwolnił Marcusa Rippy'ego od zarzutu gwałtu ze szczególnym okrucieństwem, jego firma doprowadziła do szczęśliwego końca negocjacje w sprawie budowy Centrum Gwiazd. Zarobił więcej, niż mógł to pokazać ledowy znak, a dzięki łaskawości Pana Jezusa miał zamiar umożliwić zgromadzonym w tej sali zarobić jeszcze więcej. - Chciałbym wznieść toast - powiedział.

Wszyscy wznieśli kieliszki, Angie skrzyżowała ramiona.

- Zacznę od wyrażenia naszej wielkiej radości, że problemy Marcusa zostały rozwiązane. - Uśmiechnął się do Rippy'ego, który odwzajemnił uśmiech, natomiast LaDonna spojrzała na

Angie i przewróciła oczami. – Ale dzisiaj świętujemy nawiązanie współpracy z Jeden-Dziesięć, naszymi zagranicznymi partnerami oraz ze sportowcami należącymi do światowej elity.

Angie nie słuchała dalszego ciągu przemowy, tylko rozejrzała się po sali. Harding pił szampana, jakby jeszcze był za mało żółty, Laslo czaił się w kącie, Kip bawił się piłką. Pojawili się dwaj znani gwiazdorzycy. Stali z tyłu, górując nad resztą zwykłych śmiertelników, z zachwycającymi żonami u boku.

I wtedy ich zobaczyła.

Reuben Figaroa i Jo, jego żona. Fig nie był gwiazdą pierwszej wielkości, jednak bardzo interesował Angie. Przy ponad dwóch metrach wzrostu nietrudno było go dostrzec wśród tłumu. Trudniej było wyłowić jego żonę, bo z zasady starała trzymać się w cieniu, do tego w porównaniu z większością żon koszykarzy była drobniutka. Miała figurę baletnicy, z tym że nie przypominała mocno zbudowanej Misty Copeland, lecz baletnice ze starej szkoły, sprawiające wrażenie tak zagłodzonych i zabiedzonych, że kiedy odwracały się bokiem, to niknęły.

I właśnie to Jo usiłowała zrobić. Stała obok męża, nie dotykając go, lekko zwrócona do niego bokiem, ze spojrzeniem wbitym w podłogę.

Angie wykorzystała tę rzadką okazję, by dokładnie jej się przyjrzeć. Wijące się brązowe włosy, idealne rysy twarzy, łabędzia szyja, piękna linia ramion. Jo Figaroa miała wrodzoną wytworność, dlatego przyciągała uwagę.



Próbowała zniknąć, nie rozumiejąc, że należy do tych kobiet, od których nie można oderwać oczu.

- Jezu, Polaski. - Harding kuksnął ją łokciem. - Może weźmiesz od niej numer telefonu? - Gdy Angie spurpurowiała, znów ją trącił. - Ty chora suko, ona jest zielona, nie ma takiego doświadczenia jak te twoje dziewczyny.

- Wal się. - Angie przemaszerowała na drugi koniec sali, żeby się od niego uwolnić. Mimo dzielących ich pięćdziesięciorga ludzi nadal słyszała chichot starego dewianta.

Oparła się o ścianę. Patrzyła, jak Ditmar kończy toast, spoglądając każdemu w oczy. Skrzyżował spojrzenie z Marcusem. Skrzyżował spojrzenie z LaDonną. Skrzyżował spojrzenie z Reubenem. Nie mógł tego zrobić z Jo, która intensywnie wpatrywała się w swój kieliszek, ale nie piła. Drugą ręką dotykała szyi, bawiąc się prostym złotym łańcuszkiem. W jej urodzie było coś tragicznego, co złamało serce Angie.

Może Dale Harding chciał pieprzyć swoją córkę.

Angie chciała dopilnować, żeby jej córce żyło się dobrze i bezpiecznie.

## **PONIEDZIAŁEK - GODZINA 20:00**

Angie siedziała przy zgaszonych światłach na gigantycznej kanapie w biurze Kipa. Przyjęcie na górze powoli dobiegało końca. Zrzuciła buty na podłogę, w rękę trzymała szklaneczkę szkockiej. Słyszała ciągły szum ruchu ulicznego na Peachtree. Poniedziałkowy wieczór, a ludziom nadal chciało się gdzieś wychodzić. Kluby, centra handlowe, restauracje tętniły życiem. Bogaci i sławni chcieli oglądać i być oglądani.

Firma 110 Sports Management mieściła się w samym centrum Buckhead. Około pół kilometra na północ znajdowała się strefa z jednym z najdroższych kodów pocztowych w kraju. Rozległe rezydencje z domami dla gości i basenami o wymiarach olimpijskich, prywatna ochrona, ciężkie kute bramy wjazdowe. Megagwiazdy sportu, gwiazdy rapu, muzycy, królowie prochów obok zarządców funduszy hedgingowych i kardiologów.

W latach siedemdziesiątych Atlanta stała się mekką dla Afroamerykanów z klasy średniej. Lekarze i prawnicy po college'ach dla czarnych postanawiali trzymać się razem. Wielu zawodowych sportowców z innych miast miało tu swoje domy. Posyłali dzieci do szkół prywatnych, dla których liczył się tylko jeden kolor - zielony. Tym wyróżniała się Atlanta. Człowiek mógł robić wszystko, co chciał, póki miał pieniądze.

Teraz Angie miała mnóstwo pieniędzy, przynajmniej

w porównaniu z kwotami, jakie zwykle figurowały na jej rachunku bankowym. Co dwa tygodnie dostawała czeki od Kipa, a na kieszonkowe zarabiała na dziewczynach.

Ani jedno, ani drugie nie przyniosło jej szczęścia.

Odkąd sięgała pamięcią, zawsze spoglądała w przyszłość. Przeszłości zmienić nie mogła, a terażniejszość zwykle była zbyt koszmarna, żeby czynić z niej przedmiot rozważań. Skazana na alfonsa matki? Tymczasowa sytuacja. Przeniesiona do innej rodziny zastępczej? Tylko na jakiś czas. Mieszkanie w samochodzie? Nie na długo. To czas sprawiał, że szła naprzód. Następny tydzień, następny miesiąc, następny rok. Musiała tylko biec przed siebie. W końcu dobiegnie do tego rogu i skreśli.

Tyle że teraz, skręciwszy wreszcie za ten róg, przekonała się, że nic tam nie ma.

Czego pragnęły zwyczajne kobiety, a czego ona już nie miała?

Domu. Męża. Córki.

Miała już córkę, którą odrzuciła, jak wszystko inne. Josephine Figaroa miała dwadzieścia siedem lat i tak samo jak Angie mogła uchodzić za białą, czarną, Latynoskę, a nawet kobietę z Bliskiego Wschodu, gdyby dla fantazji chciała przestraszyć ludzi w samolocie. Była szczupłą, a nawet za szczupłą, ale może inaczej nie mogła jako żona koszykarza. Inne żony oczyszczały organizm, stosowały diety, ćwiczyły na rowerach stacjonarnych, odwiedzały chirurgów plastycznych, żeby sobie odsysać, wypełniać, podciągać, żeby konkurować z groupies, które lgnęły do ich mężów.

Niepotrzebnie się wysilały. Groupies nie pociągały ich mężów z powodu nadzwyczajnej urody. Pociągały ich dlatego, że były groupies.

O wiele zabawniej być z kimś, kto uważa cię za ideał, niż być z kobietą, która ma już dość twoich wad.

Angie nie wiedziała, jaką żoną jest Jo. Tylko dwa razy znalazła się w jednym pomieszczeniu ze swoją córką, za każdym razem w siedzibie firmy. Patrzyła na nią z pewnej odległości, ponieważ był przy niej Reuben. Górował nad żoną, roztaczając wokół aureę spokojnej pewności. Angie miała wrażenie, że Jo to się podoba. Rzadko puszczała rękę męża, kryła się w jego cieniu. Miała spuszczone oczy, była skromna, niemal przezroczysta. Najlepiej charakteryzowało ją słowo „posłuszna”, co budziło wściekłość Angie. W żyłach Jo płynęła jej krew, a ona nigdy nie słuchała niczyich poleceń.

Kate.

Takie imię Angie chciała dać swojej córce, jak Katharine Hepburn. Kobieta, która umiała brać się w garść, i sięgała po to, czego chciała.

Czego chciała Jo? Sądząc po jej zachowaniu, niczego więcej ponad to, co już miała. Bogatego męża, dziecka, łatwego życia. Angie bolała nad tym, że Jo jest taka zwyczajna. Chodziła do niewielkiej szkoły średniej w okolicy Griffin w stanie Georgia. Była na tyle inteligentna, że dostała się na uniwersytet stanowy, ale za mało inteligentna, żeby go ukończyć. Angie chciała wierzyć, że Jo rzuciła studia, bo była wolnym duchem, ale fakty tego nie potwierdzały. Jo

zrezygnowała ze studiów dla chłopaka. Osiem lat temu wyszła za Reubena Figarę. Był starszy od niej o dwa lata i już grał w NBA. Miał opinię wyjątkowo skoncentrowanego zawodnika, a poza boiskiem uchodził za skrytego intelektualistę. Nie zależało mu na błyskach fleszy i szpanowaniu. Sumiennie wywiązywał się ze swoich zadań na boisku, a potem wracał do rodziny. Wydawało się, że właśnie tego chce Jo. Pojechała za nim do Los Angeles, potem do Chicago, a teraz wróciła z nim do rodzinnego stanu. Mieli jedno dziecko, sześciolatniego syna Anthony'ego.

Na tym kończyły się wszelkie dostępne publicznie informacje na temat Jo. Mimo młodego wieku nie korzystała z mediów społecznościowych, nie należała do żadnej grupy dyskusyjnej, nie chodziła na przyjęcia, chyba że miały związek z pracą jej męża. Nie trzymała się z innymi żonami, nie umawiała się z nimi na lunchy, nie spacerowała po centrach handlowych, nie chodziła do klubu fitness. Od jakiegoś czasu Angie namierzała ją głównie przez męża, bo sama Jo dobrze się kryła przed niechcianymi spojrzeniami.

Rok temu wyszukiwarka wypluła informację, że Reuben „Fig” Figaroa dołącza do drużyny w Atlancie. Z artykułu wynikało, że transfer miał przedłużyć jego karierę o kilka lat.

Jak czuła się Angie po przeczytaniu tych rewelacji? Najpierw była zła, bo pokusa, której tak bardzo chciała uniknąć, znalazła się niebezpiecznie blisko. A przecież tylko wyjątkowa suka ujawniłaby się Jo dwadzieścia siedem lat po porzuceniu. Dlatego przysięgła sobie, że odpuści. Nic

dobrego nie wyniknęłoby z prób wchodzenia w życie córki.

Potem pojawiła się druga informacja: państwo Figaroa przeprowadzili się do Buckhead.

I trzecia: Reuben Figaroa podpisuje umowę ze 110 Sports Management.

Właśnie wtedy Angie załatwiła sobie pracę przez Dale'a Hardinga, obiecując mu przysługi, których bardzo potrzebował.

Dlaczego?

Ponieważ nie lubiła introspekcji. Jej żywiołem było działanie.

I ciekawość.

Śledziła losy Jo od niemal dwudziestu lat. Szukała informacji w jej otoczeniu, w internecie, zatrudniła nawet dwóch prywatnych detektywów. Najpierw chciała po prostu wiedzieć, kto adoptował jej córkę. To było zupełnie naturalne, kto nie chciałby tego sprawdzić? Ale jak ze wszystkim innym w życiu Angie, tego było jej mało. Musiała się upewnić, że rodzice Jo są dobrymi ludźmi. Potem musiała dowiedzieć się czegoś o jej mężu. Wreszcie przyszedł czas na przyjaciół, sposoby spędzania wolnego czasu, rozkład dnia.

Zachłanność to najlepsze określenie. Dla Angie najpotężniejszą siłą napędową była zachłanność. Z tego samego powodu nie umiała ograniczyć się do jednej tabletki, jednego drinka, jednego mężczyzny.

Nie miała zamiaru niszczyć Jo życia. Tak sobie obiecała. Dzisiaj chciała tylko usłyszeć głos córki, przekonać się, czy ma takie samo brzmienie. Czy jest obdarzona takim samym

czarnym poczuciem humoru. Czy jest szczęśliwa, jak powinna być, ponieważ uniknęła największego nieszczęścia w dniu, gdy Angie uciekła ze szpitala.

Dwa razy w tym samym pomieszczeniu. I dwa razy Jo stała w milczeniu obok męża.

Nie spoglądała za często na Reubena, co martwiło Angie. Po ośmiu latach małżeństwa nie ma już miejsca na cielecy wzrok, ale coś było na rzeczy, Angie czuła to przez skórę. Nie pracowała długo dla Kipa, ale nie potrzebowała prezentacji w PowerPoint, żeby rozumieć żony koszykarzy. Wszystko, co miały, brało się z tego, co ich mężowie wyczyniali z piłką do koszykówki. LaDonna zawsze piała z zachwytem nazajutrz po spektakularnym występie Marcusa, i zamieniała się w sekutnicę, kiedy Marcus nie trafił do kosza w ważnym momencie.

Tak nie było w przypadku Jo i Reubena. Jo sprawiała wrażenie, że im więcej uwagi poświęca się Reubenowi, tym bardziej ona pragnie zniknąć.

Dziwne, że Reuben Figaroa przyciągał mnóstwo uwagi. Angie rozgryzła to tylko w sensie ogólnym, bo nie cierpiała sportu i nie znała się na nim, ale wychodziło na to, że Reuben nie był pierwszoplanową gwiazdą, za to pracował ciężko, żeby gwiazdy świeciły pełnym blaskiem. Był gotów dać się sfaulować, uderzyć kogoś w głowę albo zrobić inne rzeczy, byle tylko Marcus Rippy zdobywał punkty.

Kiedy Marcus Rippy trafiał do kosza, wygrywali wszyscy.

To było w sumie bardzo proste, ale Angie czuła, że jest coś jeszcze.

Reuben był zagadką, którą musiała odgadnąć. Zadanie było trudne, bo dysponowała niewieloma danymi. Figaroa nie szukał poklasku, nie bywał na otwarciach klubów ani restauracji, konsekwentnie unikał prasy. Dziennikarze robiący z nim wywiad tłumaczyli jego nieśmiałość i rezerwę tym, że jąkał się w dzieciństwie. Miał podobną przeszłość do Jo. Szkoła średnia w małym miasteczku w Missouri, wyjazd do Kentucky, po ostatnim drafcie przed sezonem trafia do NBA, jest średniakiem, a potem spotyka Rippy'ego. Żadna z tych informacji nie mówiła o nim zbyt wiele. Jedyne, co go wyróżniało, to fakt, że jako biały zdobył niezłą pozycję w sporcie zdominowanym przez czarnych.

Angie nie poprawiała nastroju świadomość, że Jo wyszła za człowieka, który wyglądał jak jej ojciec.

Odstawiła kieliszek na stół i spojrzała w okno. Na parapecie leżało dziesięć piłek. Domyślała się, że to pamiątki po ważnych meczach i ważnych zawodniczych wyczynach. Takie „mistrzowskie piłki”, ale nic jej to nie obchodziło. Miała gdzieś wszystkie sporty. Bieganie zgrai facetów za piłką śmiertelnie ją nudziło, a zawodnicy nieszczególnie jej się podobali. Jeśli miała ochotę pieprzyć się z wysokim szczupłym facetem z wyrzeźbionymi mięśniami brzucha, mogła iść do domu, do męża.

Przynajmniej dotąd tak myślała. Will zawsze na nią czekał, taka była jego rola. To ona odchodziła się zabawić. A kiedy zabawiła się za bardzo, wracała do męża naładować akumulatory. Albo się ukryć. Albo zrobić coś innego, by odzyskać siły. Dlatego potrzebowała Willa. Był jej bezpieczną



przystanią.

Nie spodziewała się, że jakaś ruda łajba rzuci kotwicę na jej bezpiecznych wodach.

Angie to wyczuła. Widziała tę atrakcję. Sara była porządną kobietą z całkiem niezłej półki. Inteligentną, jeśli tego typu inteligencja w ogóle się liczyła. Pochodziła z szanowanej rodziny ze Środkowego Zachodu. Jeśli taka kobieta kochała jakiegoś mężczyznę, to oznaczało, że jest normalny. Angie widziała, dokąd zaprowadzi Willa ten korzystny wpływ Sary. Zawsze był wynaturzonym wzorem wszelkich cnót. Zgłaszał się do pomocy pani Flannigan w pracach domowych. Kosił sąsiadom trawę. Chciał dobrze wypaść w szkole. Uczył się do upadłego. Zawsze próbował zarobić dodatkowe punkty. Gdyby nie jego upośledzenie, pewnie byłby doskonałym studentem.

Sara napisała do Tessy:

*Serce mi się kraje, kiedy widzę, jak bardzo wstydzi się swojej dysleksji.*

W tym samym mejlu dodała:

*Na ironię zakrawa fakt, że jest jednym z najbardziej inteligentnych mężczyzn, jakich poznałam.*

Angie ciekawiło, czy Will wie, że Sara rozprawia z siostrą o jego tajemnicy. Nie byłby zadowolony. Miał wszelkie powody, żeby się wstydzić.

Gdy lampy nad głową zamigotały, Angie spojrzała w sufit i patrzyła, jak świetlówki budzą się do życia. Harding powolnym krokiem powlókł się w stronę barku, wyjął butelkę napoju energetycznego i klapnął ciężko na drugim końcu

kanapy. Oczy miał bardziej żółte niż białe, skórę twarzy ziemistą i szorstką jak papierowy ręcznik.

- Jezu - powiedziała Angie - ile ci jeszcze zostało?

- Za dużo.

Złapał jej szklanekę z niedopitą whisky i uzupełnił ją napojem energetycznym o podejrzenie fluorescencyjnej barwie.

- To cię zabije - zauważyła.

- Liczę na to.

Usłyszeli piłkę odbijającą się od marmurowej posadzki i skrzywili się jak na komendę.

- Gdzie Laslo? - zapytał Kip.

- Tutaj.

Wyraźnie z czegoś niezadowolony Laslo wychynął zza jego pleców.

Angie, gdy tylko poznała Lasla, doszła do wniosku, że powinna coś o nim wiedzieć, i załatwiła sobie wgląd do jego kartoteki. Laslo Zivcovik był krępy i niewysoki, świetnie władał nożem i nie wahał się go wyciągać. Odsiedział wyrok za pocięcie dziewczynie twarzy, ale znacznie poważniejszą sprawą była bójka na noże przed barem. Jeden poszkodowany wylądował w szpitalu, drugi skończył w kostnicy.

A teraz Laslo był ze swoim nożem w Atlancie.

- Dobra, panowie. - Kip wetknął piłkę pod pachę, przerzucił papiery na biurku i wziął do ręki czarną teczkę. - Mamy problem.

Dale nabrał z miseczki garść orzeszków.

- A co, Rippy zgwałcił następną donosicielkę?

Kip spojrzał na niego zirytowany, jednak nie podjął tematu.

- Nie wiem, czy zauważyliście, ale LaDonna była dzisiaj bardziej wkurzona niż zwykle.

Laslo jęknął, siadając na krześle naprzeciwko Angie, i spytał:

- Co ją wkurzyło tym razem?

- Zdrady męża? - podsunęła Angie.

- Masz kasę, masz zgryz - stwierdził sentencjonalnie Harding.

Tylko Angie nie skwitowała tej uwagi śmiechem. Ci faceci nic nie rozumieli. Myśleli, że żonom zależy tylko na pieniądzach.

- Przeleciałbyś Marcusa Rippy'ego za forszę z czeku LaDonny? - zapytała Hardinga.

- Czy to nie robota Kipa? - Harding odbił piłeczkę.

- Zamknij się, dupku. - Kip dotąd oficjalnie się nie ujawnił.

- Nie zapominaj, gdzie jesteśmy.

- W porządku, rozumiem - powiedział Harding.

Wszyscy rozumieli. Znani i bogaci klienci 110 Sports Management nie przestali być małomiasteczkowymi chłopcami, których matki co niedzielę prowadziły do kościoła. Ich religia przymykała oko na seryjne zdrady czy palenie trawki, ale nakazywała święte oburzenie w przypadku męskiego bara-bara.

- O co jej chodzi? - zapytał Laslo. Chodziło mu o LaDonnę. Chciał skierować rozmowę na poprzednie tory. - Dowiedziała się o tej dziewczynie?

- Jakiej dziewczynie? - zainteresował się Harding.

- Marcus ma panienkę w Las Vegas, ale nie o nią chodzi. - Kip rzucił czarną teczkę na kanapę obok Angie, ale nie wzięła jej do ręki. - Chodzi o Jo Figarotę.

Serce Angie zaczęło wyczyniać dziwne harce. Nigdy przedtem nie słyszała, żeby ktoś na głos wymawiał imię Jo. W jej uszach zabrzmiało to jak muzyka.

- Polaski? - zwrócił się do niej Kip.

Starła się zachować obojętną minę, gdy sięgała po teczkę. Na pierwszej stronie była fotografia Jo. Miała na niej krótsze włosy, trzymała w ramionach małego chłopca, uśmiechała się. Dotąd Angie nie widziała uśmiechu na twarzy córki.

Harding strzepnął z krawata okruszki orzechów.

- Znowu łyka prochy?

- Jest uzależniona? - Angie miała wrażenie, jakby ktoś dźgnął ją prosto w serce. - Od kiedy?

- W szkole średniej została zatrzymana za jazdę po pijanemu. W schowku w aucie znaleźli plik recept na valium, percocet, kodeinę.

Angie przekartkowała papiery Jo i znalazła raport z aresztowania, ale nie było w nim wzmianki o nielegalnych receptach.

- Jej ojciec miał chody w lokalnej policji, dlatego ta informacja została usunięta. W zamian Jo wykonała prace społeczne. Wszyscy zostali opłaceni - wyjaśnił Harding.

- Skąd wiesz?

- Gadałem z policjantem, który ją aresztował.

Angie sprawdziła adres w raporcie. Chodziło

o miejscowość Thomaston. Gliniarz w małym miasteczku mógł ukryć dowód, ale wymagało to opłacenia nawet nie jednej, ale kilku osób.

- Nieważne. To nie prochy są jej problemem. - Kip zamienił piłkę na butelkę napoju energetycznego, a nakrętkę wrzucił do kosza na śmieci. - To Marcus.

- Marcus? - Angie podniosła wzrok znad akt. Starła się nadać swojemu głosowi swobodny ton, ale na samą myśl o tym, że Marcus Rippy kręci się wokół jej córki, miała ochotę rozorać mu twarz pazurami. - A co on ma z nią wspólnego?

- Dorastali razem, dzięki niemu poznała przyszłego męża. - Kip powiedział to tak, jakby wszyscy już o tym wiedzieli. - Chryste, Polaski, ty nigdy niczego nie czytasz?

- Nie, jeśli ma coś wspólnego ze sportem.

- Rippy wychowywał się w Griffin, wraz z Jo przeżyli wakacyjną miłość na obozie biblijnym dla młodzieży gimnazjalnej. Przewijamy akcję do ostatniego roku nauki Marcusa. Werbują go łowcy talentów, zabiegają o jego względy zawodnicy różnych drużyn. Nieoficjalnie, nic nielegalnego. I wtedy Jo zwraca głowę w drugą stronę - powiedział Harding.

- Reuben Figaroa był jednym z graczy przysłanych do zwerbowania Marcusa - domyśliła się Angie.

Zawsze ją ciekawiło, jak Jo spotkała przyszłego męża, no i wreszcie się dowiedziała. Przy okazji dotarło do niej, że Harding wie o jej córce o wiele więcej niż ona. To miało sens. Kip na pewno polecił dokładnie przeświecić Jo, zanim

zdecydował się reprezentować interesy Reubena. Żony i dziewczyny to zawsze był najsłabszy punkt.

- Pytałeś Marcusa, czy coś jest między nim a Jo? - zapytała.

Odpowiedział jej zbiorowy chichot. Nikt nie wypytywał Marcusa Rippy'ego. Firma 110 Sports Management dbała o ojcowskie relacje ze wszystkimi sportowcami, dobrze wiedząc, że rozwydrzeni podopieczni w każdej chwili mogą zabrać zabawki i pójść do konkurencji.

- Niech sobie to wszystko ułożę. Gimnazjum, Marcus i Jo przeżywają szczeniacką miłość. Lato się kończy, miłość też. Parę lat później LaDonna wiąże się z Marcusem. Musiała wiedzieć o jego poprzednich dziewczynach. Nie wyobrażam sobie, żeby nie drażyła tego tematu nawet jako nastolatka. Skąd więc teraz pojawił się ten problem? - zapytała.

- Bo Jo jest tutaj, ma ją tuż pod nosem - odparł Laslo. - Początkowo jej to nie przeszkadzało, nawet wprowadziła ją do kręgu żon, urządziła dla niej przyjęcie, zabrała na lunch. Ale ostatnio zaczęła rzucać w jej kierunku mordercze spojrzenia.

Angie wiedziała, że dla Jo źle się to skończy. Kiedy chodziło o męża, LaDonna nie miała zahamowań. W firmie krążyła opowieść, że strzeliła do cheerleaderki, która w trakcie przyjęcia za blisko podeszła do Marcusa.

- A co z Reubenem? Podejrzewa coś? - zapytała.

- Kto go tam wie? Gość jest jak sfinks. Odkąd się znamy, powiedział do mnie może dziesięć słów. I nawiasem mówiąc, wcale nie były to „dobra robota” albo „dziękuję”. - Kip

wychylił resztę napoju. Przełykał jak gęś tuczona na pasztet. Angie nie wiedziała, co gorsze: patrzeć, jak bawi się piłką, czy słuchać, jak wychyla wiśniowo-limonkowy napój. Niemal cały boży dzień spędzał albo na jednym, albo na drugim. Kiedy skończył, jego górna warga miała krwistoczerwoną barwę.

- Ej! - Harding poklepał Angie po ramieniu. - Nikt nie mówi o nim Reuben, dla wszystkich to Fig. Nie czytałaś jego notki biograficznej?

- Po co miałabym ją czytać?

- Bo Fig jest zaufanym Marcusa. - Kip beknął donośnie. - Bo przynosi firmie miliony dolarów. Bo kiedy naprawią mu kolano, może przynieść jeszcze więcej.

- Co się dzieje z jego kolaniem? - zapytał Harding.

Kip rzucił mu spojrzenie z ukosa, po czym odparł:

- Nic się nie dzieje z jego kolaniem.

- No dobra... - Angie zamknęła teczkę. - Jaki problem mamy rozwiązać?

- Chodzi o to, że Marcus znowu zbliża się do Jo, a LaDonnie to się nie podoba. A kiedy LaDonna nie jest szczęśliwa, nikt nie jest szczęśliwy.

Humory LaDonny Angie przynajmniej na razie odłożyła na bok, natomiast jeśli chodzi o pierwszą sprawę, to nic nie zauważyła. Reuben wydał jej się zaborczy, a Jo sprawiała wrażenie, że jej to nie przeszkadza. Romans na boku niespecjalnie tu pasował.

- Dlaczego myślisz, że znowu mają się ku sobie?

- Bo mam oczy. - Kip otworzył kolejną butelkę napoju

i trochę jasnoczerwonego płynu ulało się na podłogę. - To się czuje, kiedy widzisz ich razem. Gdzie byłeś dziś wieczorem?

- Próbowałam nie wyczuwać chemii między dwojgiem dorosłych ludzi.

- Ja też to widziałem. - Laslo zaczął przechadzać się po gabinecie. Całą sprawę traktował poważnie. - Marcus dotknął jej łokcia, kiedy podawał jej drinka. Niby nic, ale zrobił to w taki intymny sposób.

- Czyżby powtórka z Tigera Woodsa? - rzucił Harding.

- O co chodzi? - zapytała Angie.

- Tylko nie mów, że nie wiesz, kim jest golfista Tiger Woods.

- Jasne, że wiem! - zaperzyła się Angie, chociaż nie miała pojęcia, skąd zna to nazwisko.

- Tiger był na topie, potem jego rodzina się rozpadła i teraz szoruje brzuchem po dnie. Nawet już nie potrafi celnie uderzyć kijem - wyjaśnił Laslo.

- Dlaczego rodzina mu się rozpadła?

- Nieważne. - Kip nie miał ochoty ciągnąć rozmowy o Woodsie. - Liczy się to, że z Marcusem jest tak samo. Jeśli w domu dzieje się źle, to na boisku też. Jego gra zależy od LaDonny.

Angie nadal nie umiała dostrzec tej zależności. LaDonna była nieobliczalna jak piłeczka pingpongowa, a Marcus rozgrywał najlepszy sezon w życiu.

- Jakim cudem?

- Kiedy tylko LaDonna wspomni o rozwodzie, Marcus ma pięć więcej od średniej nietrafionych rzutów. Jeszcze więcej,



kiedy dzwoni do adwokata.

Angie chciała się roześmiać, ale wszyscy mieli śmiertelnie poważne miny.

- Pięć pudeł. - Harding pokiwał głową. Być może planował, jak wykorzysta tę informację u bukmachera. - Marcus bez LaDonny nie gra.

- Czy LaDonna wie, jaką ma moc? - zapytała Angie.

- A jak myślisz? - Kip spojrzała na Lasla z niedowierzaniem. - Czy LaDonna wie? - Złapał piłkę. - Używa jej jak gilotyny, która wisi nad naszymi głowami.

Harding odstawił pustą miseczkę po orzeszkach i otrzepał ręce.

- Mamy podrzucić oksykodon żonie Figa i wezwać gliny, żeby ją zapuszkowali na noc?

Serce podeszło Angie do gardła.

- To bardzo radykalny krok - powiedziała.

- Po co używać młotka, skoro można użyć siekiery? - Harding najwyraźniej nie podzielał jej wątpliwości.

Angie gorączkowo szukała rozsądnych argumentów przeciwko tak drastycznemu rozwiązaniu.

- Ponieważ jej mężem jest Reuben, znaczy Fig. Ona ma dziecko, jego dziecko. I może wcale nie pieprzy się z Marcusem.

- Wszyscy pieprzą się z Marcusem. - Tę kwestię Kip wygłosił jak niepodważalną prawdę objawioną.

- Posłuchaj. - Angie pochyliła się w jego stronę. Zwracała się do Kipa, ponieważ to od niego zależała ostateczna decyzja. - Chciałabym, żebyś zajęła się LaDonną, ale

zajmowanie się nią jednocześnie oznacza zajmowanie się wszystkimi żonami. - Otworzyła teczkę, jakby chciała przypomnieć sobie jakiś szczegół, ale tak naprawdę w desperacji chwyciła się każdego sposobu. - Chcesz zadowolonych żon, nie rozhuśtuj nastrojów. A wysłanie... - zerknęła w papiery, udając, że szuka imienia dziewczyny - ... Josephine na odwyk rozhuściła nastroje. To bardzo medialna historia, wszyscy się na nią rzucają. Zaraz pojawią się chmary dziennikarzy i paparazzich. Wiesz, co się dzieje, kiedy w pobliżu są kamery. Żony szaleją, żeby znaleźć się w kadrze. A w powietrzu wisi pytanie, czy Jo w ogóle brała prochy. - Spojrzała na Hardinga, czekając na odpowiedź, lecz on tylko wzruszył ramionami. - Zastanówcie się - ciągnęła. - Podrzucacie dragi, dzwonicie po gliniarzy, ona staje przed sądem, sędzia wysyła ją na odwyk. Co się stanie, kiedy wyjdzie na jaw, że nie brała? Badanie krwi wykaze, że jest czysta, głodu narkotycznego nie będzie. Co, jeśli opowie, że ktoś ją wrobił?

- Czy jest w tym jakiś wątek rasowy? - zapytał Laslo. - Nie umiem powiedzieć, kim ona jest. Czarna? Biała? Latynoska?

- Jest piękna i to się liczy - stwierdził Kip. - Nikogo nie obchodzi, kiedy skargę wnosi jakiś szkaradny babsztyl.

- Matka Jo - podpowiedział Harding.

- Co z nią? - zapytał Kip.

- Przeniosła się tutaj po śmierci ojca Jo. Zachorowała na serce, więc chcieli, żeby miała w pobliżu dobry szpital. Jest na utrzymaniu Figa.

- Łatwizna. Postraszymy Jo, zagrozimy, że mamusia będzie

jadła kocią karmę, jeśli ona nie zerwie kontaktów z Marcusem.

- Jeśli Jo odnowiła kontakty z Marcusem, dla jej matki może to być nawet lepiej. Marcus ma forsy jak lodu, więcej niż Reuben. Mógłby umieścić matkę Jo w penthousie na szczycie Ritza i kupić jej nowe serce. Wszystko, czego by chciała - wyrzuciła z siebie Angie.

- To nawet niegłupie - powiedział Harding.

Angie rzuciła mu spojrzenie. Nie potępił jej otwarcie, ale i nie przyznał racji.

- Myśleć, dupki. Jakie macie rozwiązanie? - ponaglił Kip.

Angie pośpieszyła się z odpowiedzią, żeby nikt jej nie ubiegł:

- Trochę poobserwuję Jo i zobaczę, co z tego wyniknie. Jeśli nie sypia z Marcusem, to co jest między nimi?

- Czego mogłaby od niego chcieć, jeśli nie awansować w porządku dziobania? - zapytał Kip, odbijając piłkę.

- Może podsuwa mu tabletki. Może szantażuje go czymś, co ma związek z jego przeszłością. Może chodzić o wiele rzeczy. - Musiała przerwać, żeby przełknąć ślinę. Nie mogła dopuścić, żeby ta sprawa wymknęła jej się z rąk. - Nie znajdziemy rozwiązania, jeśli się nie dowiemy, w czym rzecz.

- Podtrzymuję swój pomysł. Problemem jest Jo. Znika Jo, znika problem - stwierdził Harding.

- A jeśli nie tylko Jo jest problemem? - nie dawała za wygraną Angie. - Jeśli z kimś rozmawia? Jeśli z kimś współpracuje? - Harding wzruszył ramionami, jednak Angie widziała, że zasiała w nim ziarno wątpliwości. Gdy nie

doczekała się odpowiedzi, dodała: - Nie działajcie pochopnie, nie zróbcie jakichś głupot - mówiła ostro, gwałtownie, wiedząc, że Kip najlepiej reaguje na agresywne bodźce. - Ustalę, co jest grane, potrzebuję tylko czasu.

- Brzmi sensownie, tyle że właśnie czasu nam brakuje - odparował Kip. - Przygotowania idą pełną parą, za dwa tygodnie rusza budowa Centrum Gwiazd. Musiałem włożyć Ditmarowi w dupę, żeby zatrzymać Marcusa. Tą sprawą trzeba się zająć jak najszybciej.

W gabinecie zapadła cisza.

Angie włożyła papiery do teczki. Musiała stąd wyjść, zanim Harding znowu zmieni nastawienie. Ruszyła do drzwi, mówiąc:

- Poszperam trochę głębiej, zanim wyciągniemy siekierę, okej?

- Masz dwa dni - rzucił Kip.

- Tyle czasu zajmie mi przygotowanie gruntu - zaproponowała Angie. - Muszę pochodzić za nią, sprawdzić ślad cyfrowy, ustalić, gdzie spędza czas - wyliczyła to wszystko, co już zrobiła.

- Jasna sprawa. Sklonuj jej telefon, przeczytaj esemesy, wyciągnij mejle z komputera. - Harding mrugnął do Angie porozumiewawczo. W końcu postanowił stanąć po jej stronie. - Ona ma rację, Kip. Moi informatycy zajmą się tym od razu, ale dotarcie do prawdy zajmie co najmniej dwa tygodnie.

- Tyle czasu nie mamy. - Kip posłał piłkę w powietrze. - Daję ci tydzień, Polaski. Wiesz, jak to działa. Albo zniknie problem, albo żona.

## ŚRODA - GODZINA 7:35

- Musi pani stąd odjechać - zwróciła się do Angie kobieta w sportowym wdzianku. W jednym ręku trzymała jaskrawą pałkę teleskopową, w drugiej kubek z zieloną breją. - To pas do zatrzymywania się na krótko, na czas wysadzania dzieci z auta.

Angie rozejrzała się dokoła. Zaparkowała przy krawężniku, nigdzie nie widziała znaku informującego o zakazie postoju.

- Proszę odjechać - powtórzyła kobieta.

Gdy z tyłu rozległ się klakson, Angie zerknęła w lusterko. Za nią zatrzymał się czarny mercedes, kanciasta terenówka, z gatunku tych o sześciocyfrowej wartości. Dokładnie taki, jakiego potrzebuje każda matka do wożenia dziecka.

- *Habla ingles?*

Angie przełknęła cisnące jej się na usta bluzgi. Wprawdzie siedziała w starym gracie z ciekącą skrzynią biegów, ale to wcale nie oznaczało, że jest pomocą domową.

- Habla pieprz się - mruknęła, ruszając ostro i zjeżdżając z chodnika. Kubek z kawą, który trzymała między nogami, przechylił się i zawartość zalała jej dżinsy. - Cholera! - Angie znowu szarpnęła kierownicą, z piskiem opon odjechała z parkingu i skręciła w lewo mimo znaku zakazu. Roztrąbiły się kolejne klaksony. Świetnie jej szło udawanie niewidzialnej podczas obserwacji.

Peachtree Battle Avenue była podzielona na dwie części. Północne pasy ruchu oddzielał od południowych pas trawy.

Angie nie mogła się zorientować, jak zawrócić, przejechała więc przez pas zieleni, po czym zaparkowała na szerokim wylocie utwardzonego ceglami podjazdu prowadzącego do jednej z rezydencji mieszczących się przy Peachtree. Nie był to idealny punkt obserwacyjny, skoro sama mogła zostać zauważona, ale i tak lepszy niż wczoraj, kiedy okazało się, że jest za daleko i nie może obserwować, jak Jo wysadza syna przed szkołą.

Kip tracił cierpliwość. Dwa dni wcześniej dał Angie tydzień na wybadanie sytuacji. Po całym dniu obserwacji, która niczego nie wyjaśniła, groził, że przekaze sprawę Dale'owi.

Żadna siła nie skłoniłaby Angie do oddania tej sprawy w ręce Dale'a.

Obserwowała ruch po drugiej stronie ulicy. Kolejne czarne suvy, kolejne bmw, od czasu do czasu lexus. Szkołę podstawową E. Rivers można by uznać za Tadź Mahal, jeden z architektonicznych cudów świata, gdyby porównać ją z wołającymi o pomstę do nieba publicznymi szkołami, do jakich również i Angie chodziła. Dzieci były tak białe, że aż świeciły.

Angie stawiała przed tą szkołą wiele razy, ale nigdy o tak wczesnej porze. Zwykle parkowała auto przy niedużym centrum handlowo-usługowym przy głównej ulicy, stawiała na chodniku i patrzyła na dzieci bawiące się na ogrodzonym placu zabaw. Chciała przyjrzeć się dziecku Jo. Wiedziała, za kim się rozglądać, ponieważ Reuben Figaroa wrzucał na swój profil na Facebooku mnóstwo zdjęć syna. Na ani jednym nie było za to Jo, ale Angie tym się nie martwiła. Nieważne, jak

bardzo Reuben unikał rozgłosu, i tak pozostawał osobą publiczną, dlatego nie powinien pokazywać wszystkim twarzy swojego dziecka. Po ulicach chodziło mnóstwo gangsterów i szaleńców, a każdy z nich mógł z łatwością ustalić, do jakiej szkoły chodzi syn Reubena i o jakiej porze wychodzi na szkolne boisko, tak jak zrobiła to Angie.

W sumie wiedziała, że to jej wnuk, ale tylko formalnie, na papierze. Uważała, że jest za młoda na to, by być babcią, a już zwłaszcza takiego dziecka jak Anthony Figaroa.

To imię było przyciężkawe, za poważne dla sześciolatka, ale do niego pasowało. Anthony wyglądał jak dorosły w ciele dziecka. Miał wiecznie zmarszczone czoło, zgarbione plecy, spuszczoną głowę, zupełnie jakby chciał się zwinąć do środka. Zamiast bawić się na przerwie z innymi dziećmi, siadywał oparty plecami o mur szkoły i smutno wpatrywał się w boisko. Angie kojarzył się z Willem, przypominał go. Ta aura samotności, tęsknota pomieszana z rezerwą.

Will miał dryg do sportu, ale zabrakło rodziców, którzy woziliby go na treningi, kupowali sprzęt i stroje. Poza tym jego ciało znaczyła siatka blizn, więc gdyby zaczął się przebierać w szatni, wyszłyby na jaw oczywiste dowody przemocy. Ktoś zgłosiłby to nauczycielowi, ten poszedłby do dyrektora, dyrektor zawiadomiłby opiekę społeczną i Will znalazłby się pod bacznią obserwacją, a tego nienawidził najbardziej. Anthony Figaroa najwyraźniej podzielał tę awersję do skupiania na sobie uwagi, zresztą podobnie jak jego matka.

Angie zobaczyła, że pod szkołę zajeżdża grafitowoszary

land rover Jo, a po chwili na jej oczach rozegrała się ta sama scena co wczoraj. Jo nie pomachała innym matkom, nie zamieniła choćby paru słów z despotką, która przegoniła Angie, tylko zachowywała się identycznie jak jej syn, czyli ze spuszczoną głową czekała na swoją kolej. Wreszcie podjechała na miejsce, wysadziła dziecko i odjechała. Poza czwartkiem i piątkiem pojechała prosto do domu i opuściła go dopiero wtedy, gdy nadeszła pora odebrania syna ze szkoły.

W czwartek pojechała na zakupy, w piątek do pralni. Angie wyobrażała sobie córkę w wielu różnych wersjach, ale przez myśl jej nie przeszło, że Jo stanie się pustelnicą.

Samochód Angie stał tyłem do kierunku jazdy Jo, ale kolejny przejazd przez pas trawy pozwolił znaleźć się dwa samochody za land roverem, który stanął na czerwonych światłach. Jo nie włączyła kierunkowskazu, co sugerowało, że zmierza do centrum handlowego Peachtree Battle. Angie przyjrzała się sklepom. To nie był dzień zakupowy Jo, a nawet gdyby, to jeździła do Kroger przy Peachtree, natomiast pralnia mieściła się przy Carriage Driver. Jedynym otwartym o tak wczesnej porze lokalem w centrum handlowym był Starbucks.

Nastąpiła zmiana świateł. Jo przejechała skrzyżowanie i skręciła na parking Starbucksa.

Angie jechała za nią, bezpiecznie odgradzona jednym autem. Parking był pełen. Angie spodziewała się, że Jo podjedzie pod okienko dla kierowców, ale krążyła po parkingu, aż wypatrzyła wolne miejsce.



- No dalej. - Angie niecierpliwie czekała, aż przeczłapie jej przed maską kobieta z nosem w telefonie, po czym wyjechała z parkingu i stanęła przed bankiem po drugiej stronie ulicy.

Wysiadła z auta i pośpiesznie ruszyła w stronę Starbucksa. Nie wiedziała, czego się spodziewać, póki nie zobaczyła, że Jo otwiera szklane drzwi i wchodzi do kawiarni. A to oznaczało, że złoży zamówienie przy kontuarze, podziękuje kobiecie przy kasie, wda się w krótką wymianę zdań. Angie wreszcie usłyszy jej głos. To był główny powód, dla którego tak jej zależało na pracy u Kipa. Dla tej chwili, kiedy jej córka się odezwie. Długo tłumiony instynkt macierzyński miał jej powiedzieć, czy Jo ma się dobrze. Wtedy mogłaby wrócić do swojego codziennego życia i już nigdy więcej nie myśleć o utraconym dziecku.

Otworzyła drzwi.

Spóźniła się.

Jo już złożyła zamówienie. Stała w tłumku klientów, wyczekując, aż kelnerka wywoła ją po imieniu.

Angie przeklęła pod nosem i stanęła w kolejce do kasy. Facet przed nią najwyraźniej był pierwszy raz w Starbucksie, bo zadawał pytania, ile mililitrów ma duża, średnia i mała kawa. Angie wyjęła z lodówki butelkę zbyt drogiego soku jabłkowego, zerkając przy tym na Jo. Potem pozwoliła sobie patrzeć już otwarcie.

Nie była jedyną osobą taksującą Jo, bo wszyscy obecni w lokalu mężczyźni zwrócili na nią uwagę. Jo była piękna i w magnetyczny sposób przyciągała wzrok, jednak sprawiała wrażenie, że albo nie zdaje sobie z tego sprawy, albo jest jej

to obojętne. W wieku dwudziestu siedmiu lat Angie posługiwała się urodą jak taranem i nie było drzwi, których nie mogłaby otworzyć.

- Josephine! - zawołał barista. - Mała latte z mlekiem sojowym.

Josephine, nie Jo.

Odebrała kubek bez słowa. Jej uśmiech był zdawkowy, wymuszony. Zabrała kawę, poszła na koniec sali i usiadła przy długim blacie z widokiem na parking. Jeden stołek dalej było wolne miejsce. Angie upewniła się, że kasjerka nie patrzy, i usiadła tam.

Blat był wąski, miał może trzydzieści centymetrów. Za wielką szybą samochody podjeżdżały do okienka dla zmotoryzowanych. Facet siedzący między Angie a jej córką pisał na komputerze. Otwierając sok, Angie rzuciła okiem na ekran. Wyglądało na to, że facet pisze wielką amerykańską powieść, zupełnie jak Hemingway.

Od lat parała się usługami detektywistycznymi, dlatego w bagażniku wozila torbę z niezbędnym wyposażeniem. Między innymi były tam srebrna taśma izolacyjna, brezentowa płachta na wypadek deszczu, mikrofon kierunkowy, cztery maleńkie kamery, które można ukryć w roślinach doniczkowych i odpowietrznikach. Niestety żadne z tych urządzeń nie przyda jej się teraz, w niczym jej nie pomoże. Angie trąciła kobietę siedzącą obok i gestem wskazała leżącą kilka miejsc dalej gazetę. Kobieta przesunęła ją po blacie w stronę Angie.

Panie Hemingway, poznaj Sama Spade'a, prywatnego

detektywa.

Angie przebiegła wzrokiem po nagłówkach na pierwszej stronie, a po chwili odważyła się rzucić okiem na córkę. Jej uwagę zwrócił kubek, a konkretnie imię JOSEPHINE napisane czarnym markerem. Wiedziała, że z imienia wiele można wyczytać. Alfons jej matki nazywał ją Angelą, a ona do dziś na samo wspomnienie czuła żółć w ustach.

Odetchnęła głęboko.

Gdy Jo patrzyła w okno, Angie powędrowała za jej spojrzeniem w stronę białej tynkowanej ściany centrum handlowego. Córka na coś czekała, o czymś rozmyślała, czymś się martwiła. Ani na chwilę nie odrywała wzroku od ściany, siedziała na dłoniach, z nietkniętej kawy unosiła się para. Telefon leżał na blacie klawiaturą do góry, a Jo cała była spięta. Angie czuła, że mogłaby sięgnąć do niej za plecami Hemingwaya i dotykem wyczuć ten niepokój.

Ale nie po to tu była.

Otworzyła gazetę i udała zainteresowanie wydarzeniami na świecie. Lektura ją wciągnęła, ponieważ nic innego się nie działo. Kobieta siedząca obok wstała i wyszła, tłumek przy kontuarze przerzedził się, potem zniknął, parking zaczął pustoszeć. W końcu Hemingway przeniósł się na wielkie krzesło kilka stolików dalej.

Angie odwróciła stronę gazety, na dział FINANSE.

Spojrzała na córkę.

Jo siedziała w bezruchu. Dłonie ciągle miała wsunięte pod uda. Ciągle patrzyła na ścianę. I prawie drżała z niepokoju.

Przy blacie zostały tylko one, tylko we dwie. Angie wstała

i przeniosła się kilka stołków dalej, ponieważ tak zachowywałaby się normalna osoba, i rozłożyła gazetę. Ale nie była Meryl Streep i nie potrafiła wiarygodnie odegrać zainteresowania finansami. Przewróciła kartki i zatrzymała się przy dziale LUDZIE I ŻYCIE. Sięgnęła po sok, ale upłynęło już tyle czasu, że butelka była ciepła.

Drobne literki zaczęły się zamazywać. Angie spojrzała w okno i kilka razy zamrugowała. Jakiś samochód zatrzymał się na ulicy. Słyszała Hemingwaya stukającego w klawiaturę laptopa.

Kątem oka dostrzegła, że Jo podskoczyła, choć ten ruch był niemal niedostrzegalny. Pół sekundy później Angie usłyszała dzwonek telefonu Jo. Może nie tyle dzwonek, co odgłos rodem z filmów science fiction z lat pięćdziesiątych.

To było połączenie wideo.

Ręce Jo drżały, gdy odbierała telefon. Trzymała go nisko, więc Angie nie mogła zobaczyć twarzy rozmówcy, nie słyszała też jego głosu, bo Jo włożyła do uszu słuchawki. Małe mikrofon umieściła tuż przy ustach.

- Jestem - powiedziała.

Angie wyjęła z torebki swój telefon i wcisnęła parę klawiszy. Udała, że niedbale wrzuca go z powrotem do torebki, ale ten manewr opanowała do perfekcji. Telefon ustawiła pod kątem, z kamerą nakierowaną wprost na Jo. Nie mogła śledzić obrazu na bieżąco, ale miała możliwość odtworzenia nagrania później.

- Tak - powiedziała Jo. - Widzisz?

Angie skupiła wzrok na gazecie. Czuła ból w uchu, tak

bardzo wytyęzała słuch, żeby wyłapać słowa szeptane przez Jo do mikrofonu.

- Tak, wiem.

Angie przewróciła stronę i wodziła palcem po tekście, którego nie była w stanie przeczytać. Jo mówiła cicho, ale w jej głosie pojawił się strach, wręcz panika.

- Rozumiem.

Kto mógłby ją aż tak wystraszyć? Angie pomyślała o Marcusie Rippym. Lubił dominować, a Jo była w jego typie. Angie też, ale mając dwadzieścia siedem lat, doskonale radziła sobie z takimi facetami. Nie sądziła, by mała Josephine z Thomaston radziła sobie z czymkolwiek.

- Tak zrobię. Dziękuję.

Nastrój uległ zmianie, stres uleciał, rozmowa dobiegła końca. Jo odłożyła telefon, oparła się łokciami o blat, przytrzymując dłońmi głowę. Mowa jej ciała wyrażała ulgę.

Jej głos. Angie za bardzo starała się wyłapać wypowiedziane szeptem słowa, żeby przeanalizować brzmienie głosu.

Jo zaczęła płakać.

Emocje nie były najmocniejszą stroną Angie. Miała dwie metody postępowania: albo przeczekiwała, albo odchodziła. Teraz zastanawiała się gorączkowo, jak zachowałby się normalny człowiek w Starbucksie wobec płaczącej kobiety, która siedzi kilka krzeseł dalej. Angie mogła zapytać, czy wszystko w porządku. Taka reakcja wydała jej się rozsądna. Ramiona Jo drżały, było oczywiste, że jest zupełnie rozstrojona. Angie mogła więc zwrócić się do niej słowami: „Dobrze się pani czuje?”. To było proste pytanie. Ludzie

ciągle posługiwali się jego rozmaitymi wariacjami w kontaktach z nieznanymi. W windzie. W publicznej toalecie. W kolejce po kawę.

A może „Co słychać?”.

Angie otworzyła usta, ale było już za późno.

Jo wstała i zdjęła torebkę wiszącą na oparciu krzesła. A przynajmniej próbowała. Kiedy szarpnęła za spleciony pasek, krzesło z hukiem runęło na ziemię. Hemingway zerwał się z miejsca i podbiegł, żeby je podnieść.

- Nie trzeba - powiedziała Jo.

- Ale...

- Wiem, jak podnieść to cholerne krzesło!

Wyrwała je z rąk usłużnego Hemingwaya i z trzaskiem postawiła na ziemi. Echo rozbrzmiało jak wystrzał. Personel gapił się tam, skąd dobiegł ten hałas, a barista wyszedł zza kontuaru.

- Przepraszam - sumitował się ogłupiały Hemingway. - Chciałem tylko pomóc...

- Pomóc! - prychnęła Jo. - Pilnuj swojego pierdolonego nosa. Tak możesz pomóc! - Gwałtownym ruchem otworzyła przeszklone drzwi, energicznie przemaszerowała przez parking, wrzuciła torebkę do samochodu i ruszyła z piskiem opon, zostawiając ślady gumy na asfalcie.

- Rany, co to było? - Hemingway nie posiadał się ze zdumienia.

Na twarzy Angie pojawił się uśmiech.

To była jej córka.

## ŚRODA - GODZINA 10:27

Angie jechała Chattahoochee Avenue z prędkością starszej pani. Ze skrzyni biegów wyciekał olej, ale nie miała czasu tym się zająć. Nie miała nawet czasu zmienić poplamionych kawą dzinsów, bo była spóźniona na spotkanie z Dale'em i jego człowiekiem od elektroniki. Zwykle nie zawracała sobie głowy punktualnością, ale wszystko zmieniło się pół godziny temu w Starbucksie.

- Niech to szlag!

Mocowała się z dźwignią, żeby wrzucić czwórkę. Towarzyszył temu zgrzyt, po którym nastąpił stukot w sprzęgle. Miała nadzieję, że uda jej się namówić człowieka Dale'a na uzupełnienie oleju. A może lepiej podpalić starego rzęcha i zostawić pod budynkiem, w którym mieszka Sara Linton? To z jej powodu Angie musiała kupować zapasy oleju. Zwykle spędzała parę tygodni z Willem i pozwalała mu naprawić auto, po czym znowu ruszała przed siebie. Niestety odkąd w jej łóżku spał Czerwony Kapturek, jest to już niemożliwe.

W jednym z mejli do siostry Sara napisała:

*Jego imię to moje ulubione słowo.*

- Pieprzyć to - wysyczała jedno ze swoich ulubionych przekleństw, choć akurat w tej chwili nie umiała wykrzesać z siebie prawdziwej wściekłości na Sarę Linton, bo za bardzo martwiła się o Jo.

Musiała ponownie obejrzeć wideo ze Starbucksa, choć

bateria telefonu była niemal rozładowana. Trzymała dłonie na kierownicy, jednocześnie manewrując telefonem. Postukała w klawisz PLAY.

- Widzisz? - wyszeptała Jo, unosząc telefon, żeby pokazać rozmówcy wnętrze Starbucksa. - Rozumiem... Tak zrobię... Dziękuję...

Zanim Angie zajęła się usługami detektywistycznymi, pracowała jako dzielnicowa. Brała nocne zmiany, ponieważ były lepiej płatne. Każda zmiana składała się z dziesięciu sekund adrenaliny i ośmiu godzin pracy w opiece społecznej. Weterani nazywali młodych funkcjonariuszy „kośćmi kurczaka”. Wezwani do jakiejś nory, zastawali tam na przykład dwóch prostaków bijących się o coś trywialnego, na przykład o kość kurczaka. Oczywiście nie każde wezwanie było bułką z masłem. Człowiek nigdy nie wiedział, kiedy kłótnia dwóch sąsiadów o grilla zamieni się w konfrontację z podpitym zbirem mierzącym z naładowanej broni.

Z wezwaniami do awantur domowych było podobnie, a jednak inaczej. Angie zwykle spodziewała się najgorszego. Nawet ona, którą pociągała konfrontacja, nie znosiła tych wezwań. Mężczyźni zawsze próbowali nią pomiatać, kobiety zawsze kłamały, a dzieci zawsze płakały. Na koniec Angie mogła tylko aresztować faceta, napisać raport i czekać na następne telefony wzywające do tego samego domu.

Jo nie miała sińców ani blizn, jej twarz była nieskazitelna. Chodziła równym zdecydowanym krokiem, co w niczym nie przypominało zgarbionej sylwetki regularnie maltretowanej kobiety.



Mimo to Angie czuła, że jej córka jest ofiarą przemocy.

Przemawiały za tym kolejne obserwacje. Jo nigdy nie patrzyła na męża. Stała przyklejona do niego, nigdy z nikim nie rozmawiała, nigdy nie podnosiła wzroku. Nie wychodziła z domu, poruszała się tylko między trzema punktami: szkołą syna, sklepem spożywczym i pralnią. Roztaczała wokół siebie aurę bezwzględного posłuszeństwa, zupełnie jakby była dodatkiem do męża, a nie samoistną istotą ludzką.

Dwa dni wcześniej, kiedy Kip zwołał spotkanie w sprawie Jo, Reuben Figaroa poleciał prywatnym odrzutowcem w nieujawnione miejsce, gdzie najlepszy ortopeda na świecie miał przeprowadzić mikrochirurgiczny zabieg na jego kolanie. Tylko tyle Angie wyciągnęła od Lasła. Informacja o kontuzji zawodnika mogła wpłynąć na obraz nadchodzącego sezonu rozgrywek. Jo została w domu, ponieważ trzeba było zachować pozory normalności. Musiała wozić dziecko do szkoły, ludzie musieli wierzyć, że z jej mężem nie dzieje się nic złego.

Angie miała gdzieś operację Reubena. Obchodziło ją tylko to, jak jego nieobecność wpływa na jej córkę.

Jo była przerażona, Angie miała tego dowód w rękach.

Kiedy Jo zapytała:

- Widzisz? - miała na myśli: „Widzisz, gdzie jestem? Dokładnie tam, gdzie miałam być”.

Kiedy powiedziała:

- Wiem - miała na myśli: „Wiem, że ty tu rządzisz, a ja nie mam nic do gadania”.

Kiedy powiedziała:

- Tak zrobię - miała na myśli: „Zrobię dokładnie to, co mi kazałeś i jak mi kazałeś”.

Najgorsze pojawiło się na końcu. Łzy spłynęły z oczu Jo na policzki, potem na szyję. Palce zaciskające się na mikrofonie zadrżały. Mimo to powiedziała:

- Dziękuję.

Reuben Figaroa. Angie wyraźnie widziała go na iPhone Jo, kiedy pokazywała mu prawie pustą kawiarnię.

Kip twierdził, że Jo za bardzo zbliża się do Marcusa. Może robiła to celowo? Znała Marcusa od czasów szkolnych i najwyraźniej nadal się przyjaźnili. On był bogaty, ona była zdesperowana. Jeśli traktowała Marcusa jak spadochron, to ten plan miał sens. Najniebezpieczniejszy czas dla maltretowanej kobiety to próba odejścia od prześladowcy. Wtedy najlepiej zapewnić sobie ochronę w postaci innego mężczyzny. Jeśli Jo naprawdę zbliżyła się do Marcusa, to oznaczało, że oddała się od Reubena.

Porzuciwszy córkę, Angie zgotowała jej życie utrzymanki.

Wrzuciła telefon do torebki i otarła oczy. Sok ze Starbucksa chyba jej zaszkodził, dłonie się pocily, czuła skurcze żołądka.

Mając niewiele ponad dwadzieścia lat, Angie związała się z facetem, który ją policzkował, a potem zaczął wymierzać ciosy pięścią. I robił inne rzeczy, które według niej świadczyły o jego szaleńczej miłości. Przemoc działała jak magnes. Do tego jeszcze widok zwalistego mężczyzny płaczącego jak dziecko, błagającego o wybaczenie i obiecującego, że to się więcej nie powtórzy.

Do następnego razu.

- Jezu - szepnęła Angie. Po co było to wycofywanie się z życia Jo? Najpierw problem z prochami, teraz to. Córka odziedziczyła po niej skłonność do złych wyborów. - Kurwa! - Angie walnęła rękami w kierownicę, ale nie z powodu Jo. Po prostu przejechała zjazd na parking.

Walczyła z dźwignią zmiany biegów, próbując wrzucić wsteczny. Sprzęgło się napreżyło, usłyszała zgrzyt, a skurcze żołądka stawały się coraz dokuczliwsze.

- Kurwa! - wrzasnęła znowu. - Kurwa! Kurwa! Kurwa! - Walila pięściami w kierownicę, aż poczuła przeszywający ból w ramionach i plecach.

Przestała. Zachowywała się jak wariatka, straciła panowanie nad sobą z powodu przejechania głupiego zjazdu.

Palec po palcu oparła dłonie na kierownicy. Wzięła głęboki wdech i zatrzymała w płucach powietrze najdłużej, jak mogła.

Ostrożnie wrzuciła jedynekę, dojechała do końca ulicy, potem zrobiła szeroki łuk i zawróciła. Na opuszczony parking wjechała na trzecim biegu. Wrzuciła wsteczny tylko po to, by sprawdzić, że może, i tyłem zaparkowała.

Zgięła dłoń w nadgarstku i poruszyła palcami. Okładanie kierownicy nie było najmądrzejszym posunięciem. Bok dłoni pulsował bólem.

Teraz i tak nic nie mogła na to poradzić.

Spojrzała na potężną sylwetkę budynku, w którym mieścił się nocny klub Marcusa Rippy'ego. Przypominał jej zmumifikowaną głowę robota. Ekipa sprzątająca miała

zaprowadzić tu ład i porządek, termin opiewał na początek przyszłego tygodnia, ale Angie powątpiewała, czy wywiąże się z tego zadania. Ze szczelin w popękany asfalcie wyrastały chwasty, graffiti były wszędzie. Nie miała pojęcia, dlaczego Dale nalegał na spotkania właśnie tutaj. Musiał być okropnym policjantem. Zależało mu tylko na rutynie. Może tak się dzieje z ludźmi, gdy zaczynają się starzeć. A może wybrał tę lokalizację dlatego, że regularne pojawianie się tutaj w nikim nie wzbudziłoby podejrzeń. Tydzień wcześniej przerwał dializy. Jeśli to, co Angie wyczytała w sieci, było prawdą, został mu tydzień, może dwa. A to oznaczało, że będzie już martwy, zanim ktoś dostrzeże w jego wizytach w tym miejscu jakąś prawidłowość.

Może Dale Harding już nie żył. Angie sprawdziła godzinę w telefonie. Dale spóźniał się już piętnaście minut. Sam Vera, jego spec od elektroniki, też jeszcze się nie zjawił. Dlaczego tylko ona przyjechała punktualnie?

Opuściła osłonę przeciwsłoneczną i sprawdziła makijaż w lusterku. Kredka do oczu zaczynała spływać, usta wymagały poprawki. Znalazła w torebce szminkę Sary i odkręciła złotą nakładkę. Na dole była drobna rysa. Przy szmince za pięćdziesiąt dolców należało oczekiwać, że obudowa jest powlekana prawdziwym złotem.

Spojrzała na wyrównaną u góry szminkę. Wcześniej odcięła jej czubek. Może była groźną stalkerką, ale zasad higieny jednak przestrzegała.

Czy rzeczywiście była groźna?

Kilkoma napisami na szybie auta nikomu krzywdy nie

wyrządziła. Grzebanie w szpargałach Sary było dziwnym doświadczeniem, ale wyszło w sposób niezamierzony. Wcale tego nie planowała. Pojechała do Willa, żeby go zobaczyć. Nie porozmawiać, ale po prostu zobaczyć. Jak zwykle był u Sary. Tak się działo wiele razy wcześniej. Posłużyła się kluczem, który Will zostawił na występie nad tylnymi drzwiami. Pierwszy rzucił się Angie w oczy ten durny mały pies, który szczekał jak najęty. Angie stopą wepchnęła go do sypialni i zamknęła drzwi. Mijała łazienkę, gdy dostrzegła na umywalce należące do Sary przybory do makijażu.

W pierwszej chwili pomyślała, że Willowi to się nie spodoba.

A potem pomyślała: Co ta Linton sobie wyobraża, trzymając tu swoje rzeczy?

Tutaj.

W łazience Willa. W sypialni Willa. W domu Willa.

U męża Angie.

Podniosła osłonę. Nie potrzebowała lusterka do nałożenia szminki. Używała jej od dwunastego roku życia, znała sekwencję ruchów na pamięć. Mimo to pochyliła się i zajrzała do wstecznego lusterka. Musiała przyznać, że szminka była warta swojej ceny. Nie rozmazywała się, trzymała się na wargach przez cały dzień. Różowy kaszmir nie całkiem jej pasował, ale pocieszała się, że Sarze też nie.

Rozsiadła się wygodniej, wygładziła wargi. Pomyślała o innych rzeczach pozostawionych przez Sarę u Willa. Prawdziwe buty Manola Blahnika. Na nią były za duże, pasowały raczej na stopę drag queen. Czarna koronkowa

bielizna... Cóż, to strata pieniędzy, ponieważ Willa można było podniecić, paradując przed nim choćby w papierowej torbie. Spinki do włosów, które nawet by się przydały, ale Angie je wyrzuciła, bo – chrzanić Sarę Linton. Perfumy. Następny niepotrzebny wydatek. Will nie odróżniał Chanel No. 5 od mydła do rąk w płynie.

Potem znalazła rzeczy w szafce nocnej.

Jej szafce nocnej.

Wyjęła z torebki chusteczkę higieniczną i starła szminkę z warg. Opuściła okno i rzuciła chusteczkę na ziemię. Teraz mogła mieć własną szminkę Sisley. Stać ją było na naprawę auta. Mogła mieć własne buty od Manola i własne perfumy.

Dlaczego zawsze pragnęła tylko tego, czego nie mogła mieć?

We wstecznym lusterku mignęło coś białego. To kia Dale'a Hardinga wyjechała z za rogu budynku. Zwolniła i zatrzymała się o cztery miejsca parkingowe od Angie. Dale jadł hamburgera z McDonalda. Otworzył drzwi, ostatni kawałek wepchnął sobie do ust, a papier tak jak Angie wyrzucił. Mięsiłą dłoń położył na dachu. Auto zatrzęsło się, gdy z niego wysiadał.

- Gdzie on jest? - rzucił do Angie.

Z teatralną emfazą wzruszała ramionami, kiedy Dale odwrócił się w stronę ulicy.

Sam Vera kręcił leniwą ósemką na parkingu. Temu idiocie pewnie się wydawało, że prowadzi obserwację, ale w ten sposób zwracał na siebie uwagę. Jego auto miało nijaki matowy szary kolor, a na tylnym zderzaku widniała naklejka

o treści BERNIE WYMIATA. Osobliwy wyraz poparcia dla Berniego Sandersa. Tę szarą matową barwę dawała farba gruntowa. Przełamywały ją żółtawe plamy na karoserii, efekt zastosowania szpachli bondo. Angie wiedziała to tylko dzięki Willowi.

Wysiadła z auta.

- Dowiedziałaś się czegoś? - zapytał Dale.

- Fig bije żonę.

- Bez kitu. - Najwyraźniej o tym wiedział. - Gadałem z człowiekiem do zadań specjalnych w Chicago. Musieli parę razy odesłać patrol, który przyjechał po zgłoszeniu na telefon alarmowy.

- I nie uznałeś za stosowne, żeby mnie o tym poinformować?

- Nic poważnego. Nie dusi jej ani nic z tych rzeczy.

- Prawdziwy dżentelmen. - Policjantów uczono, że jeśli prześladowca dusi kobietę, zwiększa się prawdopodobieństwo, że w końcu ją zabije. - Coś jeszcze przede mną ukrywasz? - nalegała Angie.

- Może. A ty?

Zaczęła grzebać w torebce, żeby nie mógł zobaczyć wyrazu jej twarzy. Dale na pewno wykonał kawał dobrej roboty, prześwietlając Jo Figarotę, ale jej świadectwo urodzenia prowadziło w ślepy zaułek. W szpitalu Angie podała fałszywe nazwisko.

Furgonetka w końcu stanęła. Hamulce zapiszczały, Angie poczuła trawkę. Z rozkręconego na cały regulator radia ryczał Josh Groban.

Dale zabębnił pięścią w bok auta.

- Otwieraj, gnojku.

Rozległ się donośny trzask, gdy Sam Vera otwierał tylne drzwi vana. W wielkich okularach przeciwsłonecznych odbiła się tarcza słońca. Vera miał najwyżej dwadzieścia lat i rzadką kosią bródkę. Zmrużył oczy przesłonięte szklami.

- Szybko. Nienawidzę słońca.

Angie wskoczyła na tył furgonetki. Klimatyzacja pracowała na pełnych obrotach, ale auto i tak przypominało gigantyczną rozgrzaną metalową puszkę. Drażniący zapach potu Sama mieszał się ze słodkim zapachem trawki. Angie miała wrażenie, jakby znalazła się na imprezce w akademiku.

Usiadła na odwróconej plastikowej skrzynce, torebkę położyła na kolanach, ponieważ podłogę pokrywała gruba warstwa brudu. Dale usiadł z przodu na miejscu dla pasażera i odwrócił się, żeby ich widzieć. Wręczył kopertę z gotówką Samowi, który zaczął przeliczać banknoty.

Angie rozejrzała się po ciasnym wnętrzu. Furgonetka wyglądała jak mobilna filia sieci sklepów Radio Shack. Kable, metalowe skrzyneczki i rozmaite dinksy, o których przeznaczeniu nie miała pojęcia, tworzyły gmatwaninę, którą Sam Vera na pewno ułożył wedle jakiegoś klucza. Specjalizował się w zdalnej obserwacji, ale w niezgodnej z prawem wersji. Każde większe amerykańskie miasto miało swojego Sama Verę, paranoika, który bez skrupułów łamie prawo. Mocnego w gębie, ale gotowego sprzedać własną matkę, gdyby policja go przycisnęła. Angie też miała swojego Sama Verę, którym w końcu zainteresowała się Agencja



Bezpieczeństwa Narodowego, ponieważ włamał się tam, gdzie nie powinien.

- Proszę pani - Sam podał Angie jasnozielony telefon oklejony czarną taśmą izolacyjną - oto klon iPhone'a Jo Figaroi.

- Szybko się uwinąłeś.

- Za to mi płacicie. - Sam zwrócił się do Dale'a. - Umieściłeś pluskwy, gdzie trzeba?

- Podrzuciłem je, kiedy żona odwoziła dzieciaka do szkoły. - Dale oddychał ciężko. Wyglądał gorzej niż zwykle. - Zainstalowałem w jej laptopie różne różności. Był w kuchni. Nie znalazłem u nich żadnych innych komputerów, żadnych iPadów, nic. Dziwne, nie?

- Bardzo dziwne. - Sam spojrzał na Angie. - Program, który Dale zainstalował w komputerze, nazywa się cieniem. To coś jak program szpiegujący, ale o wiele lepszy. Wszystkie pliki z twardego dysku już tu załadowałem. - Z pojemnika wyjął porysowanego iPada. Z tyłu urządzenia sterczały dwie staromodne anteny, które skojarzyły się Angie z uszami królika z telewizji. - Załadowałem aplikację, która ma połączenie z GPS-em w jej aucie. To ten przycisk z ikonką auta. Działa tak samo jak model policyjny. Zna go pani?

- Tak.

- Może pani śledzić, dokąd jeździ, chyba że znajdzie się pod ziemią. - Zaczął przesuwac palcem po ekranie dotykowym. - Program szpiegujący w jej komputerze działa w czasie rzeczywistym. Odtąd wszystko, co napisze, pokaże się pani na tym iPadzie. Ponieważ już załadowałem wszystkie

dane, może pani cofnąć się do starszych plików i przeszukać twardy dysk. To zawartość jej laptopa, nie kopia z konkretnego dnia.

- Nie to, co dałeś Polaski wcześniej - sprecyzował Dale.

Sam wybałuszył oczy.

- Ja nie...

- Powiedziałam mu - przerwała Samowi Angie. Dale nie dałby jej namiarów do Sama, gdyby nie wyjaśniła, po co jej to potrzebne. Musiała trochę lawirować, żeby nie zdradzić wprost, o czyj komputer chodzi. - Mamy, co trzeba. Pracuj dalej.

- Dobrze. - Sam postukał palcem w ekran, po czym przekazał iPada Angie. - Na wszelki wypadek przypominam pani, że kodeks hakerski nie pozwala wrabiać klientów. Jestem pewny i solidny.

- Jasne, młody. - Dale wyjął z kieszeni miękkiego od upału snickersa.

Angie odwróciła wzrok, bo nie chciała oglądać przeżuwającego Hardinga. Ciągle nie wiedziała, co skłoniło ją do skopiowania zawartości laptopa Sary. Znajdowały się tam dane dotyczące jej pacjentów. Dla ochrony tych informacji szpital zainstalował program szyfrujący, którego Angie nie potrafiła obejść. Sam dał jej tak zwany klucz sprzętowy, który złamał hasła Sary i pozwolił ściągnąć wszystkie pliki. Angie zdawała sobie sprawę, że przekracza granicę nawet nie z Sarą, ale z samą sobą. W tamtej chwili irytacja przeszła u niej w obsesję, a obsesja doprowadziła ją do klasycznego nękania.

Czy była groźna?

Na to pytanie jeszcze nie знаła odpowiedzi.

Dale polecił Samowi:

- Wsiądź. Muszę pogadać w cztery oczy z Polaski.

- Mam sterczeć na słońcu? - wzdrygnął się Sam.

- Nie roztopisz się, Elphaba.

- A ty skąd znasz prawdziwe imię Złej Czarownicy z Zachodu? - zaśmiała się Angie.

- Słuchajcie... - Sam usiłował argumentować rzeczowo i logicznie. - Mam tutaj wrażliwe materiały, dla innych klientów. Nie mogę zdradzić, co to jest. Ścisłe tajne, rozumiecie.

- Myślisz, że któreś z nas w ogóle ma pojęcie o tym gównie? - Dale przechylił się i otworzył drzwi. - Wynocha.

Sam wyskoczył z auta ze zboląłą miną, a Dale zamknął drzwi z głośnym trzaskiem. Kiedy na chwilę słońce wdarło się do środka, Angie poczuła nagły ból w oczach.

Dale wydobyl z popielniczki jointa, zapalił i zaciągnął się. Kiedy zaczął mówić, dym wyleciał mu z ust.

- Zabrałem Delilah na „Czarownice z Oz”.

- Ojciec Roku.

Dale podał jej skręta.

Pokręciła głową. Dzisiaj łyknęła już trzy tabletki vicodinu.

Dale znowu się zaciągnął, omiatając wzrokiem elektroniczne gadzety.

- Gdybym umiał posłużyć się połową tych dinksów, byłbym już miliarderem.

Angie wiedziała, że byłby dokładnie w tym samym miejscu,

nie tylko z powodu pecha. Ludzie tacy jak Dale Harding umieli tylko jedno: trwać w stanie permanentnej desperacji.

- Potrzebuję pomocy - powiedział.

Angie już poczuła pismo nosem. Pomoc dla Dale'a ograniczała się do jednego.

- Czy Delilah wróciła do nałogu?

- Nie, nic z tych rzeczy. Jest silna. - Posłał jej surowe spojrzenie. - Będzie czysta, prawda?

Żył złudzeniami, ale Angie nie wyprowadzała go z błędu, dlatego krótko skwitowała:

- Tak, będzie.

- Chodzi o kogoś innego. O mojego bukmachera.

Powinna się była tego spodziewać. Nawet w obliczu śmierci hazardzista nie rezygnował z zakładów. Delilah miała swoje konie, on miał swoje kucyki.

- Wiszę Icebergowi Shady'emu piętnaście kawałków.

- Wiem, że masz pieniądze. - Dale trzymał pliki banknotów pod kołem zapasowym w bagażniku. - Weź garść papierów z wierzchu.

Dale potrząsnął głową.

- To wszystko jest dla Delilah. Będzie potrzebowała gotówki na życie, zanim wszystko zostanie załatwione urzędowo. Obiecałaś, że się nią zaopiekujesz.

Angie oparła się o pojemniki. Kable wpijały jej się w plecy, ale nie chciała przysuwać się bliżej Dale'a, już i tak ogarniała ją klaustrofobia. Miała wrażenie, że Dale, ta roszczeniowa pompa ssąca, zabiera jej powietrze. Zrobił na boku spory interes z Kipem Kilpatrickiem. To była ostatnia rozpaczliwa

próba zadośćuczynienia za krzywdę Delilah. Na rachunku depozytowym miał dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Za dwa tygodnie, kiedy ruszy budowa Centrum Gwiazd, cała ta kwota miała zostać przelana na konto funduszu powierniczego założonego przez Dale'a dla Delilah. Uważał, że w ten sposób odkupi swe winy, zupełnie jakby dzień wypłaty mógł wymazać te setki i tysiące godzin, podczas których Delilah ciałem zarabiała dla Dale'a pieniądze na zakłady.

Angie nie obchodziło odkupienie Dale'a, nie miała też ochoty na awantury z zaćpaną dziwką. Zgodziła się tylko dlatego, że Dale kusił ją pracą w 110 Sports Management. Gdyby chciała być odpowiedzialna za dziecko, zatrzymałaby Jo.

Dale odłożył skręta do popielniczki.

- Dostałem to od prawnika. - Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął złożone papiery. Kupon z wyścigów wypadł na podłogę furgonetki. - Potrzebuję tylko twojego podpisu.

Angie pokręciła głową, nie wiedząc, jak się wywinąć.

- Jestem niewłaściwą osobą, Dale.

- Załatwiłem ci robotę u Kipa, nie zadawałem żadnych pytań. Zgodziłaś się na to, więc dotrzymasz słowa.

Próbowała zyskać na czasie.

- Muszę to przeczytać przed podpisaniem, może skonsultować z prawnikiem.

- Nie musisz. - Dale wyciągnął do niej rękę z długopisem. - No dalej. Dwa egzemplarze, jeden dla ciebie, drugi dla prawnika do segregatora. - Angie ciągle nie brała od niego

długopisu. - Mam zacząć zadawać ci pytania? Na przykład o twojego męża? Albo o rozkodowywanie danych medycznych?

- Co za kutas. - A niech to, Sam ją wydał. Tak czy inaczej, chciała to maksymalnie przeciągnąć, nie stawiać kropki nad i. - Jak ma działać ten fundusz?

- Wykonawca testamentu, czyli ty, jest upoważniony do opłacania podstawowych rzeczy, takich jak czynsz, prąd, opieka zdrowotna. Chcę jej zapewnić stały dach nad głową. W testamencie dodałem punkt, że dostaniesz tysiąc miesięcznie za dopilnowanie tych spraw.

Nieźle, ale za mało, żeby się z tego utrzymać. Problem polegał na czym innym. Angie znała Delilah Palmer. Nawet wolna od nałogu była samolubną, zepsutą dziewczuchą. Pierwsze pieniądze, na jakich położyłaby łapę, zamieniłaby na prochy. Po podgrzaniu ich na łyżeczce zafundowałaby sobie strzał w żyłę.

Dlatego Angie zdecydowała się wziąć od Dale'a długopis i podpisać dokument.

Dale zaśmiał się na widok jej podpisu.

- Angie Trent, tak?

- A twój drugi problem? - odparowała, chowając papiery do torebki. - Domyślam się, że twój bukmacher, Iceberg Shady, jest też alfonselem, co?

- Ma dziwki w rewirze przy moście Cheshire. To twoje ulubione miejsce, prawda?

Kiedy Angie pracowała jako detektyw i sprawdzała na zlecenie wierność małżonków, działała w rejonie Cheshire

Motor Inn.

- To było dawno temu. Te dziewczyny już nie żyją.

- Nie musisz znać ich imion, wystarczy je zamknąć.

- Mam namówić policję na zorganizowanie zasadzki na moście Cheshire? - spytała z niedowierzaniem. Równie dobrze mogła im kazać oszacować ilość piasku w Daytona Beach. - To będzie góra papierkowej roboty. Dziewczyny po paru godzinach wyjdą, w ciągu tygodnia zostaną im przedstawione zarzuty. Nikt się na to nie zgodzi.

- Denny na to pójdzie, jeśli ładnie go poprosisz.

Angie mierziło, że odciski lepkich palców Dale'a znaczą całe jej życie.

- No, Polaski, daj umierającemu trochę spokoju. Denny zerznąłby osła, gdybyś go poprosiła.

- Zerznąłby osła bez proszenia. - Angie niechętnie wyjęła komórkę. Używała tylko telefonów na kartę, żeby kontrolować kontakty, niepotrzebne kasować. Wygrzebała z zakamarków pamięci numer Denny'ego i zaczęła pisać. - Domyślam się, że chcesz zorganizować to jak najszybciej?

- Dzisiaj. Na Cheshire jest połowa banku Iceberga. Jeśli będzie zajęty wpłacaniem kaucji za swoje dziewczynki, to mi da co najmniej tydzień.

Angie przyjrzała się jego łzawiącym oczom. Siateczka czerwonych żyłek oplatała gałki oczne jak przędza.

- Tylko tydzień? Tyle ci zostało?

- Wszystko przemyślałem. Jeśli nerki mi nie siądą, to spełni swoje zadanie. - Dale wyjął z kieszeni marynarki torebkę białego proszku. - Stuprocentowa czystość.

- Każdy diler na ziemi twierdzi, że ma najczystszy towar - skomentowała Angie, kończąc pisanie wiadomości. - To pewnie środek przeczyszczający.

- To jest prawdziwa koka - stwierdził Dale, który oczywiście ją przetestował. - Wyliczyłem, że dzięki tej dawce będą zeszkrobywać moje serce z sufitu.

- Brzmi świetnie. - Angie wysłała wiadomość do Denny'ego i wsunęła telefon z powrotem do torebki. - Zrób tak, żebym to nie ja znalazła twoje ciało.

- Wszystko w rękach Boga. - Przerwał na moment. - Słuchaj, Polaski, chcę, żebyś jeszcze raz mi to przyrzekła. Możesz wziąć swoją dolę, ale zadbaj o Delilah, dobrze? Nie mówię o luksusach, ale niech ma wygodne życie, niech mieszka w ładnym miejscu, niech ma dobrych sąsiadów, nie takich jak ta azjatycka jędra, którą musiałem znosić. Do tego mnóstwo zdrowego jedzenia, organiczny szampon do włosów i reszta tego ekoszajsu.

- Jasne. - Angie złożyła kolejną obietnicę, co do której nie miała pewności, że jej dotrzyma. - Ale dlaczego tak kalkulujesz? Możesz wyszarpnąć jeszcze jeden tydzień, sam dopilnować, żeby wszystko poszło jak trzeba.

- Nie, nie. - Potrząsnął głową. - Nie wytrzymam jeszcze dwóch tygodni. Mam dość życia, mam dość wszystkiego, chcę, żeby to się wreszcie skończyło.

Czuła, że Dale mówi szczerze. Poza tym doskonale wiedział, że Delilah wpadnie w szal na wieść o tym, że nie dostanie okrągłej sumki do dyspozycji. Urządziłaby piekło i Dale w końcu by skapitulował. Właśnie tego chce uniknąć,



co oznacza, że to na Angie spocznie obowiązek pokazania jaj.

- Dlaczego ja? Ożeniłeś się z Delilah, żeby twoje były żony nie mogły położyć łapy na twoich pieniądzach, więc problem rozwiązany. Możesz zatrudnić prawnika, żeby trzymał ją w ryzach. Dlaczego ja mam być jej bankierem?

- Ponieważ prawnik zmarnowałby połowę kapitału, zanimby się zorientował, że Delilah z nim pogrywa. Ty masz wszystkich gdzieś, a zwłaszcza ją. Będzie błagać i wołać o więcej kasy, a ty jej każesz spierdalać.

- Taa, jasne. - Z tym argumentem Angie nie mogła polemizować.

- I dlatego, że ona to wszystko wyda - ciągnął Dale. - Jest za głupia na planowanie przyszłości, chce mieć wszystko od razu. Ile się da i najszybciej, jak się da.

- Ciekawe, po kim to ma?

Dale puścił tę kąśliwą uwagę mimo uszu.

- Tacy ludzie nie pojmują wartości dolara - mówił dalej. - Przez całe życie miała pod górkę, i to z mojej winy. Tabletki, heroina, a potem Virginia z całym tym gównem... - Dale wyjął chusteczkę i wydmuchał nos. Łzy płynące z jego oczu były matowe. - Jezu, to już się dzieje. - Chodziło mu o umieranie, o stopniową utratę władz umysłowych. To był jeden z symptomów wymienianych na portalu o zdrowiu. Sugestywne sny. Halucynacje. Utrata pamięci. Brak koordynacji.

Znowu wydmuchał nos i otarł łzy.

Angie patrzyła, jak stara się zapanować nad emocjami. Czowała chłód mimo temperatury panującej w furgonetce. Ból

bywał zaraźliwy, a ona nie mogła pozwolić na to, żeby jej się udzielił.

- Chcę się upewnić, że wszystko będzie jak należy.

Angie nigdy nic nie robiła jak należy.

- Co mnie powstrzyma przed wyczyszczeniem konta i zostawieniem Delilah na pastwę losu?

- Kancelaria prawnicza będzie to nadzorować. Możesz wypisywać czeki tylko dla właścicieli nieruchomości, dla firmy energetycznej i tak dalej. Macy's i McDonald nie przejdą.

Angie skinęła głową, ale mogła wymyślić wiele sposobów na obejście tego ograniczenia. Krok pierwszy, to zostać właścicielką nieruchomości.

- Obiecałaś mi, Angie, dałaś słowo. Nie żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie, ale ostrzegam. Wykituję prędeż od ciebie i jeśli orzniesz moją córkę, będę czekał na ciebie w piekle.

Angie nie chciała przyznać, że te słowa zrobiły na niej wrażenie, dlatego odpysknęła:

- Nie wierzysz, że mogę dostać przydział do nieba?

Dale rzucił zużytą chusteczkę na podłogę.

- Powiedz mi, czemu tak cię interesuje żona Figa.

- Bo mi za to płacą.

- To zainteresowanie trwa dłużej.

- Dlaczego nie używałeś tej swojej inteligencji w pracy? -

Angie posłała mu uśmiech.

- Bo za mało mi płacili. - Wytarł nos grzbietem dłoni. - Za nękanie możesz dostać dziesięć lat odsiadki.

Angie zastanawiała się, kogo według Dale'a nękała. Sarę, to oczywiste, ale obserwowała także Jo.

- Skąd ta myśl, że w ogóle kogoś nękam?

- Nie jestem taki głupi, na jakiego wyglądam, Polaski. Przyszedł do mnie błagać o pracę. Twój mąż chciał postawić Marcusa Rippy'ego przed sądem. Trochę poszperałem.

Angie poczuła, jak jeździ jej się włosy na karku. Zawsze miała się na baczności przed Willem, na niego nastawiła radary, i w ten sposób przeoczyła Dale'a, który znalazł się zbyt blisko.

- Co o mnie wiesz?

- Że zrobiłaś w ciula jedyne go faceta na świecie, który nie uważa cię za bezwartościową zimną sukę.

- Bezwartościową - powtórzyła cicho, bo ten cios trafił w cel. W sypaniu piasku w szprychy śledztwa Willa chodziło tylko o pieniądze. Co za niska motywacja w takiej konfiguracji osobowej. - Masz jeszcze w zanadrzu inne perły mądrości?

- Zajmij się tą sprawą z żoną Figa. Przez dwa najbliższe tygodnie potrzebujemy Rippy'ego w dobrej formie. Mój adwokat twierdzi, że depozyt jest absolutnie czysty. Za dwa tygodnie, kiedy wbiją pierwsze łopaty na budowie, dwieście pięćdziesiąt patyków trafia na konto funduszu powierniczego Delilah, która w ten sposób ma zapewnioną opiekę do końca życia. Wystarczy jednodniowe spóźnienie, a ona zostaje z niczym i całe moje życie okaże się gównem. - Gdy Dale otworzył drzwi, słońce podzieliło wnętrze furgonetki na pół. - Nie mogę spokojnie położyć się do grobu, martwiąc się, że

mój plan nie wypali, bo ten skurwiel Rippy nie umie utrzymać fiuta w spodniach.

- Zajmę się tym - powiedziała bez przekonania.

- To dobrze, Angie, to dobrze.

Furgonetka zatrzęsała się, gdy Dale się z niej wytaczał. Był oszołomiony, miał zawroty głowy. Angie nie wiedziała, czy to efekt upału, czy galopujących postępów choroby. Nie umiała zmusić się do współczucia. Wiedziała jedno: im szybciej on umrze, tym szybciej ona uwolni się od jego wścibstwa, choroby i wszystkich odrażających rzeczy, które ją przytłaczały.

- To znowu ja - obwieścił Sam, siadając na skrzynce naprzeciw Angie. - Coś jeszcze?

- Kiedy to zacznie działać? - zapytała, wskazując oklejony taśmą zielony telefon.

- Ona musi dostać wiadomość przez Wi-Fi albo przez stałe łącze. Kiedy odpowie, telefon się aktywuje.

- Więc dlaczego nie wyślemy jej teraz jakiejś wiadomości?

- Jeśli nie odpowie, program się nie załaduje. Interfejs użytkownika. To cholera.

- Mogę słuchać jej rozmów telefonicznych?

- To ludzie jeszcze gadają przez telefon? - Spojrzał na nią zdezorientowany. - O kodzie do gadaniny nie pomyślałem. Pisze się wiadomość i tyle. Nie wystarczy?

Angie miała serdecznie dość powracającej myśli, że jest już stara.

- A FaceTime? Skype?

- To trudniejsze. Z VOIP można...

- Wsadzę ci to w tyłek, jeśli nie zaczniesz używać słów, które rozumiem.

- Myślałem, że to robię. - Sam zrobił nadąsaną minę. - FaceTime i Skype są opóźnione. Zdalnie zainstalowałem program przez aplikację na jej telefonie. Nagrywa każdą rozmowę wideo, ale można ją obejrzeć dopiero po zakończeniu rozmowy.

- Jak to działa?

Sam wyjął jej telefon z ręki i uaktywnił wyświetlacz, potem pokazał aplikację ukrytą pod ikonką staromodnego gramofonu.

- Trzeba wcisnąć to. Pokaże się lista, a pani wybiera wideorozmowę, którą chce zobaczyć, wciska klawisz i plik się ładuje. Ale dopiero kiedy ona skończy i rozłączy się.

- A jeśli chcę zobaczyć rozmowę z dzisiejszego poranka?

- W tym nie pomogę. Tej rozmowy nie będzie w pamięci jej telefonu. Mam dostęp tylko do tego, co już jest w pamięci i co tam się znajdzie, jak w laptopie. Mogę pokazać parę rzeczy na tablecie, jeśli pani chce - zaproponował.

Gadał do niej jak do babci.

- Działa jak zwykły iPad? - zapytała.

- Tak.

- W takim razie wiem wszystko. - Angie zaczęła zbierać się do wyjścia.

- Nikomu nie powiedziałem - zwrócił się do niej Sam. - O tej innej robocie dla pani.

Angie zmierzyła go lodowatym wzrokiem.

- Więc kiedy Dale mówił, że wie o programie

rozkodowującym dane medyczne, po prostu zgadywał?

Kozia bródka Sama drgnęła.

Angie rozejrzała się po furgonetce. Wiszące kable. Pudełka z elektroniką. Monitory. Tablety. Laptopy.

- Szuka pani czegoś?

- Zastanawiam się, jak wyglądałoby wnętrze tego auta, gdybym strzeliła ci w twarz.

Sam zaśmiał się z przymusem.

Angie wyjęła z torebki broń, położyła ją na iPadzie, dłoń zacisnęła na rękojeści, palec oparła o bok spustu, tak jak ją uczono. A może nie. Spojrzała na dół. Palec trzymała na spuście.

- Proszę pani, nie. - Śmiech zamarł Samowi na ustach, uniósł ręce. - Przepraszam. Niech mnie pani nie zabija. Proszę.

- Następnym razem, kiedy strzeli ci do łba coś równie głupiego, przypomnij sobie tę sytuację.

- Tak zrobię. Obiecuję.

Angie schowała broń do torebki. Wiedziała, że dała się ponieść emocjom.

- Daj mi wszystko, co chowasz.

Sam pogrzebał w jednym z pojemników i wyjął torebkę trawki.

- To wszystko, co mam.

Angie wzięła od niego trawkę, zebrała sprzęt i wysiadła. Sam nawet nie zamknął drzwi, tylko ruszył z parkingu, zanim zdążyła zmienić zdanie.

Wsiadła do auta, ostrożnie położyła iPada i zielony telefon

na siedzeniu pasażera. Uruchomiła silnik, skrzynia biegów zazgrzytała.

Sam był człowiekiem Dale'a. Omal chłopaka nie zastrzeliła. Omal, może, diabli wiedzą. Nie potrafiła powiedzieć, o czym myślała w tamtej chwili. Wyjęła glocka z torebki, otworzyła magazynek, wyrzuciła z niego pocisk. Upadł na podłogę i potoczył się pod siedzenie. Upewniła się, czy broń faktycznie jest nienabita. W ten sposób dawała sobie czas na otrzeźwienie w przypadku podobnej sytuacji.

Musiała jak najszybciej stąd odjechać.

Walczyła ze sprzęgłem i dźwignią skrzyni biegów, ale w końcu wyjechała z parkingu. Nie wiedziała, w którą stronę jechać. Zielony telefon miał się aktywować, dopiero gdy Jo odpowie na wiadomość. Angie musiała założyć, że jedyną osobą, która do niej pisze, jest Reuben. Według Lasła dzisiaj miał operację kolana. Angie była pewna, że skontaktuje się z żoną zaraz po wyjściu z narkozy albo każe jej się skontaktować z nim. Nie wiedziała tylko kiedy.

Pozostawał więc iPad Sama z anteną. Zakładała, że program szpiegujący, który Laslo zainstalował na komputerze Jo, na niewiele się zda. Reuben nie pozwoliłby Jo pojechać na kawę, gdyby nie meldowała mu elektronicznie, gdzie jest i co porabia, na pewno monitorował też jej mejle i aktywność w sieci. Czyżby ześwirował z zazdrości? A może coś przeczuwał?

Taka kontrola oznaczała, że Jo coś planowała. Coś, co miało związek z Marcusem Rippym, tego Angie była pewna. Dziewczyna, która w kawiarni kazała Hemingwayowi

spierdalać, musiała mieć jakiś sekret.

Josephine, nie Jo.

Właśnie to imię podała bariście.

Angie dobrze знаła ten mechanizm. Tak działała kobieta próbująca odnaleźć się na nowo. Dawno temu, kiedy wylądowała w sierocińcu, uderzyła pięścią pierwszą osobę, która zwróciła się do niej per Angela zamiast Angie.

Angelą nazywał ją alfons matki, Angie nazwała się sama.

Reuben nazywał ją Jo, ale kiedy była sama, kiedy udawało jej się chociaż odrobinę uchylić drzwi do wolności, nazywała się Josephine.

Planowała ucieczkę, najpewniej wkrótce. Reuben wracał w niedzielę, co dawało Angie niecałych pięć dni na odkrycie planów córki. Spojrzała na zegarek. Było południe.

U jednego źródła nie szukała jeszcze informacji - u LaDonny Rippy.

Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś złego o kobiecie, wystarczy, że zapytasz tę, która udaje jej przyjaciółkę.



## ŚRODA - GODZINA 12:13

Angie raz po raz wciskała hamulce na Piedmont Road. Z powodu przyspieszonego rozwoju i topografii ta wąska ulica była zakorkowana przez cały dzień. Wrzuciła jedynekę, skrzynia biegów chodziła gładko. Angie nadłożyła drogi, żeby zajechać na stację benzynową.

Sprawdziła w zielonym telefonie, czy Jo odpowiedziała na wiadomość. Jeszcze nie. Był też iPad z króliczymi uszami, ale Angie przypuszczała, że Reuben kontroluje laptopa Jo, tak samo jak kontrolował jej życie. Spiskująca żona nie była tak głupia, żeby trzymać tam coś obciążającego.

Angie przez lata praktyki nauczyła się sprawnie przeglądać osobiste pliki innych ludzi. Sara trzymała na twardym dysku tysiące zdjęć, wszystkie pieczołowicie posegregowane według dat i miejsc. Will i Sara na plaży. Will i Sara na kempingu. Will i Sara w drodze na Stone Mountain. Widok szczęśliwej Sary przyprawiał Angie o mdłości. Emanowała szczęściem nie tylko na zdjęciach z Willem, ale też na znacznie starszych zdjęciach ze zmarłym mężem.

Angie ciekawiło, czy Will kiedykolwiek widział fotografię Jeffreyego Tollivera. Jaja by mu uschły z zazdrości. Tolliver był cholernie przystojny. Wysoki, z ciemnymi falującymi włosami, i z ciałem, od którego nie chciałoby się oderwać języka. Grał w koszykówkę w uniwersyteckiej drużynie w Auburn, był komendantem policji. Wystarczyło na niego spojrzeć i już się wiedziało, że umiał postępować

z kobietami.

Musiała przyznać, że co do policjantów, to Sara Linton miała dobry gust. Szkoda tylko, że nie wiedziała, kiedy trzymać ręce przy sobie.

Angie przejechała na czerwonym świetle i przecięła Tuxedo Road przy akompaniamencie symfonii klaksonów. Pozwoliła autu sunąć z góry na luzie. Rezydencja LaDonny i Marcusa Rippyh stała na końcu łagodnie nachylonego wzgórza. Tam, gdzie większość domów osłaniały przed wzrokiem ciekawskich krzewy i drzewa, LaDonna zrobiła wszystko, żeby jej rezydencja rzucała się w oczy. Nad bramą wjazdową pyszniła się koszmarnie wielka połączona litera R. Logo zaprojektowała LaDonna. Widniało wszędzie, nawet na ręcznikach do rąk.

Angie podjechała pod bramę, nacisnęła guzik interkomu, podała nazwisko i czekała na długi brzęczyk. Bywała w tym domu wiele razy, bo z biura Kipa przywoziła LaDonnie dokumenty do podpisania. Marcus uczynił z żony swoją współpracowniczkę, co było mądrym lub głupim posunięciem, w zależności od tego, czy było się LaDonną, czy Marcusem.

Silnik dudnił, gdy pokonywała kręty podjazd. Gdzieś czekał pies, prawdopodobnie husky, domowy pieszczołek, który srał gdzie popadnie, ponieważ nikomu nie chciało się go wyprowadzać na spacer. Na końcu podjazdu stały dwa jaguary, bentley, neonowożółte maserati.

- Cholera - mruknęła Angie. LaDonna nie była sama.

Już zaanonsowała swój przyjazd, więc nie mogła się wycofać. Przeszła pod portykiem, minęła pokój ochrony,

w którym znudzony były gliniarz drzemał przed monitorami, zamiast śledzić obraz z kamer rozlokowanych na terenie całej rezydencji. Zastukała do drzwi kuchennych i czekała.

Dom miał kształt gigantycznej litery U okalającej basen o wymiarach olimpijskich. Wszystko, czego rodzina potrzebowała, znajdowało się na terenie. W pierwszej chwili wydawało się to atrakcyjne, póki człowiek nie uświadomił sobie, że może spędzić cały czas w granicach własnej posiadłości, nie widując innych ludzi. Chyba że mowa o służbie. Personel liczył kilkadziesiąt osób. Wszystkie kobiety nosiły szare uniformy z białymi fartuszkami, mimo że LaDonna pewnie nienawidziła swojego uniformu z czasów, gdy sprzątała hotele. Ktoś zawsze musi stać na dole drabiny społecznej.

Angie nie mogła się zorientować, czy służba nie zna angielskiego, czy po prostu boi się mówić. Podobnie jak podczas poprzednich wizyt, kobieta, która otworzyła drzwi, nie odezwała się ani słowem. Skinęła tylko głową, dając Angie znać, żeby poszła za nią długim korytarzem.

Wystrój wnętrza zdradzał greckie korzenie LaDonny. Posągi, fontanny, wiele greckich motywów na ścianach, niemal wszystko pozłacane. Krany miały kształt łabędzi z rozpostartymi skrzydłami – jedno do gorącej, drugie do zimnej wody. W holu wisiały złote żyrandole, ramiona miały kształt logo Rippy'ego. Z wywiniętego R skapywały kryształki, które w słońcu oślepiały jak wiązka lasera. Angie musiała odwrócić wzrok, by ratować oczy przed porażeniem, ale i tak zanim służąca wprowadziła ją do salonu pielęgnacji

paznokci, plamy latały jej przed oczami.

- To ty? - LaDonna zamachała do Angie. Jej paznokcie malowała na krwistoczerwony kolor drobna szczupła Azjatka. Cztery żony moczyły stopy w solach do kąpieli, cztery inne Azjatki robiły im manicure. W radio śpiewał Usher, w tle grał telewizor nastawiony na stację ESPN.

- Wymocz sobie stopy - zaproponowała LaDonna. - Moje dziewczyny świetnie robią pedicure.

- Nie, dzięki.

Angie wolałaby wyrwać sobie paznokcie niż pozwolić obcej osobie dotknąć swoich stóp. Kompletnie nie rozumiała takiego stylu życia, jaki wybrały te kobiety. LaDonna nie porażała błyskotliwą inteligencją, ale miała jej wystarczająco wiele, by wiedzieć, że stać ją na więcej niż manikiur w środku dnia. Chantal Gordon była zawodową tenisistką, zanim odwiesiła raketę i urodziła dzieci. Angelique Jones była lekarką. Santee Chadwick pełniła funkcję osobistego bankiera swojego męża, poza tym była wiceprezesem Wells Fargo. Tisha Dupree była idiotką, i tylko to jej wychodziło.

- Masz dla mnie jakieś papiery do podpisu? - zapytała LaDonna.

- Muszę zadać ci parę pytań.

- O tę sukę w Vegas? Sprawa załatwiona.

Angie czekała, aż umilknie śmiech.

- Nie, chodzi o coś innego.

- Siadaj, dziewczyno. Wyglądasz na wykończoną.

Gdy Angie usiadła, torebka upadła jej na podłogę, ale nie schyliła się po nią. Nie tylko wyglądała na wykończoną, ona

była wykończona. Choć nie wiedziała dlaczego. Przez cały dzień głównie siedziała, tyle że w różnych miejscach.

- Dlaczego nie ma tu żony Figa? - zapytała.

Chantal prychnęła gniewnie, po czym odparła:

- Za bardzo zadziera nosa, żeby się zadawać z takimi sukami jak my.

- Kiedyś się potknie, jeśli nie będzie patrzeć pod nogi - dodała Tisha.

Zapadło niezręczne milczenie.

- Czy Jo ma kłopoty? - zapytała w końcu Angelique.

- Nie wiem - odparła Angie, mierząc wzrokiem LaDonnę, która najwyraźniej na coś czekała. Gdyby była kotem, jej ogon poruszałyby się nieznacznie na boki. - Jo jest skryta, a Kip martwi się, że coś jest nie tak. Chce, żeby była szczęśliwa.

- Nigdy nie zamieniłam z nią więcej niż dwa słowa - wtrąciła Santee. - Jak dla mnie jest zbyt nadęta.

- Trudno oceniać ludzi nieśmiałych, za mało o nich wiemy. Zwykle widzi się ich jako powściągliwych czy zdystansowanych.

- Ona jest zdystansowana - stwierdziła autorytatywnie Chantal. - Zaprosiłam ją na kawę, zaproponowałam wspólne wyjście na zakupy, a ona dwa razy odpowiedziała: „Porozmawiam z Figiem i dam ci znać”. To było pół roku temu. Nadal czekam. - Potrząsnęła głową.

- Ja pójdę z tobą na zakupy - odezwała się Tisha.

Chantal zajęła się obserwacją pracy swojej manikiurzystki.

- Jo jest za szczupła. - Angelique była lekarką, więc

dostrzegą to i owo. - Myślałam, że schudła z powodu stresu wywołanego przeprowadzką i nową szkołą Anthony'ego. Przeprowadzka takiego wielkiego domu to ogromna odpowiedzialność.

- Szczególnie kiedy twój facet nawet palcem nie kiwnie - zauważyła Chantal. - Kiedy przeprowadzaliśmy się tu z Jameelem, ten gościu spakował jedną walizkę, do której włożył tylko swoje bambetle. Kiedy spytałam, co mam zrobić z ubrankami i zabawkami jego dzieci, wyposażeniem kuchni i łazienki, powiedział: „Ja jestem gotowy, skarbie. Ty się tym zajmij”.

W salonie rozległy się pomruki współczucia i zrozumienia, choć Angie nie wyobrażała sobie Chantal ładującej pudła do ciężarówki. Najpewniej zrewanżowała się Jameelowi, wynajmując najdroższą firmę przeprowadzkową na rynku.

- Jo młodo wyszła za Figa - powiedziała Santee.

- A która z nas tego nie zrobiła? - zaproponowała Chantal. - Ja miałam dziewiętnaście lat, La D osiemnaście. Wręcz odwrotnie, Jo wyszła za męża późno.

Angie spojrzała na LaDonnę. Uważnie śledziła przebieg rozmowy, ale wołała słuchać, a mówić tylko tyle, ile to konieczne.

- Jo musi być zadowolona, że Figowi dobrze idzie. Marcus go podciągnął - powiedziała Santee.

- Koszykówka jej nie interesuje - stwierdziła Chantal.

W pokoju rozległy się tłumione okrzyki oburzenia.

- A co ją interesuje? - włączyła się Angie.

- Ona kocha Anthony'ego. Jej życie kręci się wokół synka -

powiedziała Tisha.

- I matki - dodała Angelique. - Niestety, matka Jo ma wczesne stadium zastoinowej niewydolności serca.

- Może dlatego Jo jest taka skryta. Ja straciłam matkę kilka lat temu. Nie przechodzisz nad tym do porządku dziennego. To z tobą zostaje już na zawsze - powiedziała Tisha.

Angelique zwróciła się do Angie:

- Jo i Fig będą na przyjęciu w niedzielę wieczorem. La D i Marcus organizują wesołą imprezę przed początkiem sezonu. Mogę z nią porozmawiać, jeśli chcesz.

- Będę wdzięczna. - Angie znów spojrzała na LaDonnę. Z jej milczenia nigdy nie wynikało nic dobrego. - Słyszałam, że urządziłaś wspaniałe przyjęcie powitalne dla Jo.

LaDonna dmuchała na świeżo pomalowane paznokcie. Miała w oczach dziwny błysk.

- Znałaś ją wcześniej? - Angie próbowała podejść ją ostrożnie. - Ze szkoły średniej?

LaDonna odprawiła manikiurzystkę ruchem ręki.

- Nie chodziłyśmy do tej samej szkoły. Ona mieszkała w sąsiednim miasteczku.

- Nie wiedziałam - wyrwała się Tisha.

- Z kościoła?

- Tak, chyba chodziła do mojego kościoła.

Tisha otworzyła usta i natychmiast je zamknęła.

Angie czekała. LaDonna nigdy nie ułatwiała jej zadania, nie wiedziała jednak, że Angie nie dba o swoją przyszłość w 110 Sports Management. Zależało jej tylko na Jo.

- Długo jeszcze będziemy owijać w bawełnę, że Marcus

randkował z Jo Figarą? Może wreszcie potraktujesz mnie serio i powiesz, co jest grane.

Usta LaDonny ciągle były wydęte od dmuchania na paznokcie.

- Nie nazwałabym randkowaniem składania rączek i rozmów o wykładach z Biblii.

- A jak byś to nazwała?

- Nie twój zasrany interes.

- Mamy wyjść? - zapytała Santee.

- Nie, to my przejdziemy się nad basen. - LaDonna wstała i wsunęła stopy w szpilki koloru fuksji. - Skóra strusia - wyjaśniła Angie. - Moje domowe buty, robione na zamówienie w Mediolanie.

- Nałóż filtr przeciwsłoneczny - poradziła Tisha. - Inaczej się spalisz.

LaDonna posłała jej lodowate spojrzenie, po czym powiedziała do Angie:

- Tędy.

W naturze Angie nie leżało chodzenie za kimkolwiek. Szła korytarzem ramię w ramię z LaDonną, zerkając na jej włoskie buty. Na obu noskach widniała wyhaftowana złota litera R. Gdzeniegdzie nitki były już przetarte. Na czubku jednego buta zauważyła niedużą plamkę. Widok tych defektów sprawił Angie jedyną jak dotąd przyjemność tego dnia. LaDonna zawsze przypominała jej tę, którą alfonsi nazywali swoją prawą ręką albo mamuszką - starszą dziwkę, która trzyma w ryzach dziewczynki albo siłą, albo manipulacją. Mogła ukoić albo uszkodzić w zależności od



tego, jaka metoda była skuteczna, by utrzymać dziewczynę na ulicy.

LaDonna włożyła okulary przeciwsłoneczne i otworzyła drzwi. Angie wydało się, że na zewnątrz jest jeszcze goręcej i jaśniej. Wciągnęła w płuca haust wilgotnego powietrza. W nozdrzach wciąż miała zapach lakieru do paznokci.

- Co ty kombinujesz, suko? - warknęła LaDonna.

Angie uśmiechnęła się tylko po to, żeby ją wkurzyć.

- Mówiłam ci, Kip martwi się o Jo.

- Ona nie jest w typie mojego faceta, jeśli to cię interesuje.

- LaDonna uniosła rękę, żeby podkreślić wagę swoich słów. - Marcus lubi przebojowe kobiety, a Jo jest jak mysz pod miotłą.

- Fig kontroluje ją we wszystkim.

- Kontroluje pięścią - sarknęła LaDonna ku zaskoczeniu Angie. - Myślisz, że nie wiem, jak to wygląda? - Zaśmiała się.

- Marcus w życiu nie podniósłby na mnie ręki, ale mój tata zdejmował pasek i garbował mi skórę na tyłku. - Wycelowwała palec w stronę Angie. - Jo wygląda tak samo jak moja mama za każdym razem, gdy oberwała. Zresztą nie tylko po pobiciu. Wystarczyło, że spojrzał na nią, a ona już... - Zgarbiła się, skuliła ramiona i uniosła bezradnie ręce, ale nie umiała wyrazić w oczach strachu, którego nie czuła.

- Rozmawiałaś o tym z Jo?

- Co miałam jej powiedzieć? „Wiem, że twój facet cię bije. Czemu, do kurwy nędzy, nie odejdziesz i nie zabierzesz mu połowy kasy?”. Przecież ona już to wie, i to od prawie dziesięciu cholernych lat. I co z tym zrobiła? - LaDonna

weszła do zadaszanej przestrzeni do grillowania i wyjęła z lodówki butelkę wody. - Teraz jest inaczej, niż było. Jedno zdjęcie, jedno wideo z windy i świat jest po jej stronie. - Znów się roześmiała. - Wiesz, jak to działa, prawda? Jo będzie w telewizji i w szmatławcach, ludzie będą jej współczuć, a tydzień później zaczną ją oskarżać. Będą gadać, że na tym nagraniu ona wcale nie krzyczy, na tamtym wali go w pierś. I zaczną pytać, co ona takiego zrobiła, że tak się na nią wściekł? I dorzucą komentarz, że chce tylko jego kasy.

- Nie wiem, co chcesz powiedzieć. Czy Jo ma odejść, czy lepiej dla niej, żeby została?

- Mówię, że ta dziewczyna nie ma charakteru.

- Charakter ma swoją cenę. Fig straciłby kontrakt, gdyby Jo ujawniła, co robi. Innymi słowy, koniec z pieniędzmi.

- Chrzanić pieniądze. - La Donna rzuciła Angie butelkę wody. - Gdyby Marcus tak mnie traktował, nawet złoto Fortu Knox nie zatrzymałoby mnie tutaj. Nie zapomniałam, jak się sprząta w hotelu. Wolałabym odejść z dziećmi z jedną walizką, niż pozwolić, żeby widziały mnie pobitą i poniżoną jak jakaś nędzna suka.

Angie zastanawiała się, czy LaDonna mówi prawdę, i spytała:

- Dlaczego jej nie pomożesz?

- Cholera, nie chcę, żeby ten smród przykleił się również do mnie. - Pociągnęła solidny łyk wody. - Poza tym mam dzieci, dom do prowadzenia, męża, który mnie potrzebuje. Nie mam zamiaru tracić cennego czasu na ratowanie kogoś, kto nawet nie chce się ratować.

Angie była pod wrażeniem. LaDonna może nie rządziła dziwkami, ale kierowała się żelazną logiką burdelmamy.

- Spójrz mi w oczy, siostrze. - LaDonna zdjęła okulary. - Patrz mi na usta. I posłuchaj mnie uważnie. Przekaż to Kipowi. Jo Figaroa lubi to, co ma.

- Lubi być bita?

- A byłaby z Figiem, gdyby tego nie lubiła? Nie widziałas ich razem, gdy Fig zaczyna się gotować. Ona nawet palcem nie kiwnie, żeby go uspokoić. Gorzej, jeszcze go prowokuje. Suszy mu głowę, podnosi rękę. - LaDonna znowu wycelowwała palec w Angie. - Tu, przy tym basenie, widziałam to na własne oczy. Działo się to parę miesięcy temu, na przyjęciu dla drużyny. Wylegiwaliśmy się na leżakach, popijaliśmy koktajle. Fig mówi spokojnie do Jo, żeby przyniosła mu coś do picia. Jo nie chce. Odpowiada, żeby sam sobie przyniósł. Figowi się to nie podoba. Wszyscy widzimy, że zaczyna go krew zalewać. Spycha Jo z krzesła. Ona dalej nie chce przynieść drinka, pyskuje, wali go pięścią w klatkę piersiową, jakby demonstrowała, że wcale się go nie boi. Wszyscy wiedzieliśmy, co zaraz nastąpi. Fig zaciągnął ją za włosy do środka. Nie wiem, co jej zrobił, ale nigdy więcej już nie pyskowała.

I jak się domyślała Angie, żaden z wielkoludów nawet nie drgnął, żeby uchronić czterdziestopięciokilogramową kobietę przed pobiciem przez ich kumpla wielkoluda.

- Fig na pewno był przerażony, kiedy Jo go uderzyła.

- A widzisz? - powiedziała LaDonna. - Właśnie o to mi chodzi. Chcesz się wyrwać? Fotografujesz wszystko, sińce,

spuchniętą wargę, podbite oko, i wysyłasz foty na portal plotkarski. Oraz wzywasz adwokata.

- Może lekarza sądowego? - podsunęła Angie.

- Może. - LaDonna dopiła wodę i wrzuciła butelkę do pojemnika na plastik. - Fig odstrzeli jej tyłek, jeśli Jo spróbuje od niego odejść. I lepiej nie pytaj, co zrobi, jeśli zechce odebrać mu syna. Fig bardzo go kocha. Wysadzi w powietrze cały świat, jeśli mu go odbiorą.

- Myślałam, że to łatwe. Kilka zdjęć i adwokat.

LaDonna zmierzyła Angie uważnym spojrzeniem.

- Przypomnij mi, dlaczego tak się martwisz o Jo.

- To moja praca.

- Więc dlaczego na mnie wylewasz te brudy? - LaDonna nie spuszczała z niej wzroku. - Dlaczego sama jej nie pomożesz?

Angie wzruszyła ramionami, potem powiedziała:

- Powiedz mi, co powinnam zrobić.

- Nic nie mów Kipowi, bo naśle na ciebie Lasla, jeśli zaczniesz bruździć drużynie.

- A potem co? Czekać na pogrzeb Jo?

LaDonna nie odpowiedziała od razu, tylko wyjęła następną butelkę wody i wypiła kilka łyków. Zyskiwała czas na namysł. W końcu stwierdziła:

- Nieważne, co zrobimy. Nawet jeśli Jo uwolni się od Figa, to szybko wyląduje u boku innego dupka, który będzie jej robił to samo. Tak było z moją mamą. Odeszła od ojca, spotkała faceta do rany przyłoż, obiecywał, że się nią zaopiekuje, a kiedy wrócili po miesiącu miodowym, rzucił się

na nią z pięściami. Tak się dzieje od czasów niepamiętnych. Niektórzy mężczyźni rodzą się po to, żeby bić, a niektóre kobiety po to, żeby obrywać. Obie strony mają niewidoczny dla innych magnes, no i swój ciągnie do swego. – W zadumie spojrzała na Angie. – Są ludzie, którym od urodzenia towarzyszy poczucie pustki, którą przez całe życie próbują czymś wypełnić. Czasem tabletkami, czasem Jezusem, a czasem pięścią. – Wrzuciła kolejną opróżnioną butelkę do pojemnika. – To wszystko?

Angie nie miała więcej pytań, ale nie chciała, żeby LaDonna miała ostatnie słowo.

– Ta dziewczyna w Las Vegas... Czy mam przekazać Laslowi, żeby się nią zajął?

– Sprawa już załatwiona. – Tak mógłby odpowiedzieć mafijny boss, w tym momencie LaDonna bardzo go przypominała.

– Złożyłaś jej propozycję nie do odrzucenia?

– Wybiłam jej zęby.

Angie wytrzymała groźne spojrzenie LaDonny, nie chciała pierwsza odwrócić wzroku.

– Przestanę cię już denerwować – powiedziała wreszcie.

LaDonna spojrzała w stronę basenu, po czym wycedziła:

– Dobrze by było.

Angie wiedziała, kiedy jest odprowadzana. Idąc długim korytarzem, otworzyła butelkę zimnej wody. Rozchichotane żony siedziały już w salonie. Angie złapała torebkę i wyszła bez pożegnania. Nie potrzebowała eskorty pokojówki w drodze na parking. Wyjeżdżając z posiadłości,

przypomniała sobie o zielonym telefonie.

- Cholera - zaklęła, ponieważ zobaczyła, że został aktywowany.

Kiedy traciła czas na podchody z LaDonną, Jo dostała wiadomość. Co ważniejsze, odpowiedziała na nią i w ten sposób załadowała na swój telefon program klonujący.

MR:

*1town suites za 1h*

JOSEPHINE:

*ok.*

Wiadomość została wysłana dziesięć minut temu.

Angie sięgnęła po iPada i uruchomiła program śledzący. Na mapie pulsował niebieski punkcik, powoli przesuwał się po Cherokee Drive.

Jo się przemieszczała.

## **ŚRODA - GODZINA 13:08**

Angie dotarła do motelu OneTown Suites i zajęła miejsce za plecami kierownika. Na jego biurku stał monitor, a ekran był podzielony na cztery sektory, z których każdy pokazywał obraz z innej kamery monitoringu: hol, winda, długi korytarz, parking.

Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności motel znajdował się piętnaście minut drogi od rezydencji Rippy'ego. A może wybór miejsca spotkania nie był przypadkowy? Angie była przekonana, że Marcus korzystał już z tego motelu. Pokoje były wynajmowane na tydzień. W opłacie była ukryta łapówka za niezadawanie żadnych pytań i milczenie, bo tak naprawdę klient potrzebował tego pokoju na kilka zaledwie godzin. Cały motel był na to nastawiony, z każdego kąta wyglądała dyskrecja po okazyjnej cenie. Wszystko było czyste i dobrze utrzymane, ale tanie i marnej jakości. Polityk, milioner, w ogóle ktoś ze świecznika mógł tu zabrać dziewczynę poznaną w nocnym klubie, których nie brakowało w okolicy. Znajdujące się przy tej samej ulicy hotele Ritz i St. Regis służyły spotkaniom o innym charakterze.

Angie patrzyła na kwadrat pokazujący obraz z parkingu. Od dwudziestu minut Jo nie wychodziła ze swojego land rovera. Siedziała na dłoniach zupełnie jak w Starbucksie i znieruchomiła patrzyła przed siebie. Angie zerknęła na zegarek. Wiadomość od Marcusa nadeszła przed

kwadrans, a Jo za godzinę musiała odebrać Anthony'ego ze szkoły. Jeśli Marcus Rippy zaplanował randkę, to będzie trwała bardzo krótko.

Kierownik postukał w klawiaturę i przewinął kolejne ujęcia parkingu oraz motelu.

- Długo jeszcze? - zapytał.

- Ile będzie trzeba.

- Jak się domyślam, zapłaciła mi pani tyle, ile trzeba.

Zważywszy na to, że Angie wsunęła mu do kieszeni pięć patyków, było to grube niedopowiedzenie. Pewnie zrobiłby to za tysiąc, ale Angie bardzo się śpieszyła i nie miała czasu na negocjacje.

Na tyłach motelu sąsiadowały ze sobą dwa pokoje oddzielone jedynie zamykanymi na klucz drzwiami. Angie potrzebowała tylko swojej torby ze sprzętem. Mikrofon kierunkowy był bardzo cienki i zmieścił się pod drzwiami, a urządzenie nadawczo-odbiorcze przyczepiła do ściany i uzbroiła w słuchawki. Ponieważ przyjechała do motelu bardzo szybko, mogłaby umieścić również kamery, ale nie robiła tego od miesięcy i wyczerpały się baterie.

Zadzwoił stojący na biurku telefon. Kierownik podniósł słuchawkę. Z jego słów Angie domyśliła się, że jeden z gości ma kłopot z telewizorem.

Zaczęła przemierzać pokój w jedną i drugą stronę, odsuwała od siebie czarne scenariusze. Spotkanie w motelu nie musiało jeszcze oznaczać spotkania w motelowym pokoju. Marcus jeździł cadillakiem escalade i z tyłu samochodu było wystarczająco dużo miejsca dla dwojga.



Kierownik skończył rozmowę.

- Na to pani czeka? - zapytał.

Spojrzała na monitor. Czarny cadillac Marcusa stanął obok auta Jo. Angie wstrzymała oddech, czekając na rozwój sytuacji. Jo została w samochodzie, Marcus wysiadł, oko kamery odprowadziło go przez parking. Szedł powoli, spokojnie, ale rozglądał się na boki, jakby chciał sprawdzić, czy nie jest obserwowany. Przed otwarciem drzwi do holu jeszcze raz omiótł wzrokiem całym parking.

Zadzwonił dzwonek.

- Przedstawienie czas zacząć. - Kierownik wstał i wyszedł z biura.

Angie szukała ujęcia z kamery pokazującej recepcję. Był tam już kierownik, chował koszulkę polo w spodnie. Marcus miał czapkę mocno nasuniętą na czoło, okulary przeciwsłoneczne zasłaniały oczy. Miał na sobie nijakie ubranie, z nadgarstka zniknął masywny zegarek za trzysta tysięcy dolarów. Robił wrażenie, że zna usytuowanie kamer, bo trzymał spuszczoną głowę, nie podnosił oczu. Podał kierownikowi plik banknotów. Płacił gotówką, ponieważ LaDonna śledziła przepływ każdego centa na ich kontach.

Angie słyszała głos kierownika, nie słyszała jednak Marcusa. Kierownik przesunął po kontuarze klucz. Zaproponował mapki miasta i hasło do Wi-Fi. Marcus pokręcił przecząco głową. Zniknął z ekranu, gdy ruszył w stronę drzwi.

Dzwonek zadzwonił ponownie.

Angie przełączyła się na podgląd parkingu. Marcus stał

przed drzwiami wejściowymi i dał Jo znak, żeby wysiadła.

W pierwszej chwili nawet nie drgnęła, wyglądała, jakby biła się z myślami: Naprawdę chcę to zrobić? Mam iść do pokoju z Marcusem? A może odjechać?

W końcu podjęła decyzję. Otworzyła drzwi, wysiadła z auta, wsadziła ręce do kieszeni dzinsów i truchtem pokonała parking.

Gdy kierownik zapukał do drzwi, Angie mu otworzyła.

- Czy to ten, o którym myślę? - zapytał.

- Za pięć tysięcy dolarów absolutnie nie. - Zaczęła wyciągać wtyczki z kolejnych urządzeń, wcześniej już wyjęła płytę CD-R z magnetowidu.

- Ej! - Kierownik uniósł ręce. - Wiem, jak się rozliczymy. Załatwiam takie sprawy w motelu przy międzystanowej.

Angie pomyślała o broni w torebce. Nie była nabita, choć może to i lepiej. Ostatnio zdarza się jej działać zbyt szybko. Wyrzała dyskretnie z biura. Jo i Marcus wsiadali do windy. Przycupnęła za kontuarem, gdy drzwi windy się zamykały.

Czekała, aż ruszą w górę i powoli weszła na drugie piętro. I tak nie wygrałaby z windą na takim dystansie. Słyszała ich głosy, kiedy wchodziła na półpiętro, słyszała zgrzyt klucza w zamku, otwieranie i zamykanie drzwi.

Po chwili była na korytarzu i szybkim krokiem podeszła do drzwi sąsiedniego pokoju. Wyjęła pojemnik z WD-40 i naoliwiła zamek. Klucz nie wydał żadnego dźwięku, zapadki odskoczyły bezgłośnie. Otworzyła drzwi i przytrzymała gałkę, żeby samozamykacz nie narobił hałasu.

Drzwi między pokojami były cienkie. Marcus i Jo już

rozmawiali za ścianą. Jego głęboki baryton dźwięczał donośnie, głos Jo był cichszy, bardziej przypominał szmer.

Angie usiadła na podłodze obok urządzenia odbiorczego i przytknęła do ucha słuchawki.

- ...więcej - powiedziała Jo. - Mówię serio.

Marcus milczał, ale Angie słyszała jego oddech. Spokojne wdechy i wydechy. Uregulowała głośność i skłękła się w duchu za niedoładowanie baterii w kamerach.

- Czego ode mnie chcesz, Jo? - odezwał się w końcu Marcus.

- Chcę, żebyś to obejrzał.

Rozległ się szelest, potem ciche dźwięki, które Angie wzięła za sprzężenie. Pokręciła gałkami przekaźnika. I już wiedziała. To nie było sprzężenie. To był głos kobiety powtarzającej jak mantrę jedno słowo:

- Nie, nie, nie, nie, nie...

Angie pogłośniła przekaz. Kobięcy głos był słaby, odległy, jakby dobiegał z marnej jakości głośnika. Czyżby Jo włączyła telewizor?

- Jezu, Jo. Skąd to masz?

- Nic nie mów. Patrz.

Patrz.

To nie telewizor. To mogło być wideo. Angie zamknęła oczy, skupiając uwagę na dźwiękach dobiegających z sąsiedniego pokoju. Głośny oddech, rytmiczne uderzenia.

Znowu kobięcy głos.

- Nie, nie, nie, nie, nie...

- Kurwa! - Był to męski głos, zdyszany, urywany.

- Nie, nie, nie...

- Kurwa. - Ten sam mężczyzna, wyraźnie podniecony.

- Zrób coś, żeby się wreszcie zamknęła. - To był drugi mężczyzna o głębszym głosie.

Pierwszy:

- Próbuję.

Angie poczuła nagłe ściskanie w żołądku. W końcu dotarło do niej, czego słucha.

Jo miała wideo, na którym dwóch mężczyzn pieprzy kobietę, która powtarza „nie”.

- Wyłącz to - powiedział Marcus.

Pierwszy mężczyzna. Marcus Rippy był pierwszym mężczyzną.

- Proszę, wyłącz to - powtórzył.

Angie nasłuchiwała ciszy. Co ta Jo wyczynia? Jest sama, nikt nie wie, że tu jest. Właśnie pokazała dziewięćdziesięciokilogramowej górze mięśni nagranie, na którym zmusza do seksu kobietę, która cały czas powtarza „nie”.

- Czy LaDonna to widziała? - Jo najwyraźniej pokręciła głową, skoro dodał: - Całe twoje szczęście.

- Nie chcę cię skrzywdzić.

Angie usłyszała kroki. Ktoś przesunął zasłony. Cisza, jeszcze większa cisza. Angie sięgnęła po torebkę. Musi naładować broń, musi być gotowa.

- Co chcesz z tym zrobić? - zapytał Marcus.

Angie zamarła, czekając na reakcję Jo.

- Chcę po prostu się wyrwać - odparła słabym, znękanym

głosem. - Tylko na tym mi zależy. Nie chcę cię skrzywdzić. Nikogo nie chcę skrzywdzić.

- Eh, Jo, Jo - westchnął Marcus. Nie powiedział nic więcej. Usiłował znaleźć wyjście z tej sytuacji, to było oczywiste.

Angie próbowała postawić się na miejscu Marcusa Rippy'ego. Był inteligentny, pewnie miał już do czynienia z szantażem. I korzystał z tego motelu. Znał rozmieszczenie kamer monitoringu. Wiedział, że nagrania pokażą Jo. I wiedział, że kierownik rozpoznał jego twarz.

Angie odłożyła broń, czekała.

- Fig nie pozwoli ci zabrać syna - powiedział w końcu.

- Pozwoli, jeśli będzie wiedział, że mam film, na którym gwałci dziewczynę.

Nie, zaprotestowała Angie bezgłośnie zza zamkniętych drzwi. Marcus też był na tym filmie. Jo nie mogła być aż tak głupia. Nie można pokazać mężczyźnie wideo, na którym do spółki z jej mężem dokonuje gwałtu, a potem oczekiwać, że jeden i drugi pozwolą jej odejść.

- Jeśli Fig to zobaczy... - Marcus jęknął głośno. - Jo, on cię, kurwa, zabije.

Jo nie odpowiedziała. Doskonale zdawała sobie sprawę, że mąż ją zabije.

- Chcesz pieniędzy? - W głosie Marcusa czaiła się złość. - O to ci chodzi? Chcesz mnie szantażować?

- Nie.

- Pokazujesz mi wideo, na którym ja i Fig zabawiamy się, i...

- Ta dziewczyna została zgwałcona. Pobita niemal na

śmierć. GBI zajęło się śledztwem...

- Wiesz, że nic mi nie zrobią. - Marcus starał się panować nad sobą, Angie wyłapała to w tonie jego głosu. - Daj spokój, dziewczyno. Zabawiliśmy się. To wszystko.

- Ona wyglądała na odurzoną.

- To ćpunka. Wiedziała, co robi.

Jo znowu zamilkła. Angie rozboleły uszy od wytężonego nasłuchiwania. W tej chwili słyszała tylko bicie własnego serca, szybkie, napędzane strachem. Zrobiło się groźnie. Była pewna, że dziewczyna na filmie to Keisha Miscavage. Śledztwo w jej sprawie prowadził Will, a Angie je utraciła, kilkaset tysięcy dolarów poszło na łapówki. Jeśli istniało wideo będące dowodem w sprawie, to Jo siedziała na żyle złota.

O ile ujdzie z życiem.

- Mogę dać ci pieniądze - powiedział Marcus.

- Nie chcę pieniędzy.

- To czego chcesz, do diabła?

- Mojego syna. - Głos Jo zadrżał. - Chcę, żeby moja matka była bezpieczna. Chcę dostać gdzieś pracę i uczciwie zarabiać na życie.

- Jak dasz sobie radę bez pieniędzy?

Jo zaczęła płakać. Angie nie umiała powiedzieć, czy łka naprawdę, czy udaje.

- Przestań - powiedział Marcus.

- Możesz porozmawiać z Reubenem. Powiedz mu, że wyleci z drużyny, jeśli nie pozwoli mi odejść. - Głos jej się załamał. - Proszę cię, Marcusie. Coś nas łączyło, kochaliśmy

się, wiem to. Naprawdę nie chcę cię wykorzystywać, proszę cię jak przyjaciela. Potrzebuję cię jako przyjaciela.

Cisza.

- Marcusie...

- Wiesz, że to nie moja decyzja.

Angie czekała na objawienie się dziewczyny ze Starbucksa. Chciała, żeby Jo wyzwała go od najgorszych, nazwała pierdolonym Marcusem Rippym, przypomniała mu, że może robić, co chce, i nikomu nic do tego.

Tymczasem Jo milczała.

- Usiądź - powiedział Marcus. - Pogadajmy o tym.

Angie usłyszała dźwięk sprężyn łóżka.

Cholera. Marcus mógł zgwałcić Jo. Kamery monitoringu zanotowały, że Jo weszła do motelu z własnej woli. Marcus mógł nazwać to zdradą. Mógł zagrozić, że powie Reubenowi Figaroi i Jo znalazłaby się w jeszcze większym potrzasku niż dotąd.

- To wideo pokazuje tylko, że dobrze się bawię - powiedział Marcus.

- Widziałam koniec. Wołała swoją mamę.

Marcus nie odpowiedział.

- Słyszałam ją. Powiedziała „matko”.

- To nie tak jak myślisz. - W jego głosie pojawił się groźny ton.

Angie modliła się w duchu, żeby jej córka to wychwyciła.

- Marcusie...

- Nie mogłem nawet dojść, rozumiesz? Za dużo wypłem. Tej nocy dużo się działo. Po prostu wyszedłem. Co było

potem, to nie moja robota. - Gdy Jo nie odpowiedziała, spytał: - Czy to jedyna kopia?

Angie czekała w napięciu. W duchu powtarzała słowa, jakie Marcus powinien usłyszeć od Jo. „Zrobiłam kopie. Wysłałam je do przyjaciółki. Jeśli coś mi się stanie, trafią w ręce policji”.

- Druga jest w laptopie w domu.

Kurwa!

- To laptop Reubena - ciągnęła Jo. - Zostawia go w kuchni. Chciał, żebym go znalazła.

Marcus mruknął coś, czego Angie nie zrozumiała. A może był to efekt zdenerwowania? W aucie miała iPada z uszami, który zawierał kopie każdego pliku z laptopa w kuchni. Dlaczego nie zajrzała tam wcześniej?

- Reubenowi wszystko jedno, co zobaczę, bo wie, że ze strachu i tak nic nie zrobię. - Zaśmiała się smutno. - Ma rację, za bardzo się boję. - Przerwała na moment. - Bałam się tu przyjechać. Podczas dwóch naszych spotkań myślałam tylko o tym, że Reuben wpadnie do pokoju i strzeli nam w głowę.

Marcus milczał.

- Nie mogę spokojnie napić się kawy, żebym nie musiała pokazywać mu w telefonie, gdzie jestem. Nie mogę w nocy napić się wody, bo nie wolno mi iść do łazienki. Nie mogę wyjść z domu bez jego zgody. Nie mogę jeść tego, czego on nie aprobeuje. Sprawdza zapisy w programatorze bieźni elektrycznej, czy na pewno przebiegłam nakazane osiem kilometrów. Zainstalował kamery w domu, w sypialniach,



w łazienkach. Któregoś dnia skaleczyłam się przy goleniu nóg i zanim wyszłam spod prysznic, on już o tym wiedział. – W jej głosie brzmiała rozpacz pomieszana z desperacją. – Jestem jak zwierzę trzymane w klatce, Marcusie.

– Daj spokój, nie może być aż tak źle, Jo-jo. On cię kocha.

– I tą miłością mnie zabije.

– Nie mów tak.

– Już jestem w połowie martwa. – Poważny ton Jo zdradzał, że nie ma w tym ani trochę przesady. – To wideo daje mi jedyną szansę, bym odeszła z Anthonym. Jeśli tego nie zrobię w najbliższym czasie, zginę z ręki Reubena albo swojej.

– Ej, nie mów tak. Samobójstwo to grzech.

Angie ugryzła się w język, żeby nie krzyczeć.

– Powiedziałaś o tym mamie? – zapytał.

Jo nie odpowiedziała. Czyżby pokręciła głową?

– Od jak dawna dźwigasz ten ciężar na barkach?

– Od zbyt dawna.

– Jo...

Zaczęła płakać. Tym razem Angie nie miała najmniejszych wątpliwości, że jej córka roni prawdziwe łzy. Dotknęła drzwi dłonią. Czuła, jak przenika przez nie smutek Jo.

– To się zaczęło w college’u. Musiałam rzucić studia, bo strasznie mnie pobił. Wiedziałaś o tym?

Marcus nie zareagował.

– Koleżanka z pokoju wezwała policję i sprawa wyszła na jaw. Był tylko jeden sposób, by uratować Reubena przed więzieniem. Ślub. A kiedy założył mi obrączkę na palec, wszystko się skończyło. – Znowu zaśmiała się gorzko. – Od

ośmiu lat zbliżam się do krawędzi grobu. Ode mnie zależy tylko to, jak szybko do niego wskoczę.

- Jo-jo, porozmawiajmy o tym. Możemy jakoś to rozwiązać.

- Muszę odebrać Anthony'ego ze szkoły. Reuben każe mi dzwonić, kiedy mały jest w aucie.

- Nie odchodź jeszcze. Nie w taki sposób.

- Jeśli się spóźnię...

- Zdażysz. Porozmawiajmy o tym, co masz zamiar zrobić.

- Nie wiem. Nie mogę nikomu pokazać tego filmu bez narażania ciebie na konsekwencje i nie zrobię tego bez względu na twój postępek.

- Przysięgam na moje życie, na życie moich dzieci, że nie jest tak, jak myślisz.

Jo milczała przez dłuższą chwilę, jakby walczyła ze sobą. Jej więź z Marcusem Rippym była głębsza, niż sądziła LaDonna.

- Chciałabym przejąć się tą dziewczyną. Chciałabym pragnąć dla niej sprawiedliwości. A widzę w niej tylko drogę ucieczki. - Wybuchnęła szyderczym śmiechem. - Jak to o mnie świadczy? Jakim jestem człowiekiem, skoro chcę ratować swoje życie w zamian za życie innej kobiety?

- Znasz mnie, Josephine. Znasz lepiej niż ktokolwiek inny. Wiele nas łączyło w szkole. Nigdy nie byłem tak brutalny wobec nikogo. Wobec ciebie, wobec innych. Znasz mnie.

- Wideo pokazuje coś wręcz przeciwnego.

- Z tobą nigdy taki nie byłem ani wtedy, ani miesiąc temu. Ani teraz, jeśli tylko zechcesz.

- Marcusie...

Całowali się, Angie rozpoznała te dźwięki. Odruchowo potrząsnęła głową z dezaprobatą. W jaką odmianę rosyjskiej ruletki grała jej córka?

- Nie. - Jo najwyraźniej odsunęła się od Marcusa. - Nie mogę.

- Puść jeszcze raz ten film. Pokaż mi, kiedy zrobiłem tej dziewczynie krzywdę.

Angie czekała, aż Jo przypomni mu, że nawet odurzona, dziewczyna uparcie powtarzała „nie”.

Zamiast tego powiedziała:

- Weź mój telefon i zniszcz go. Nie mogę cię skrzywdzić. Nie w taki sposób.

Angie tak mocno przygryzła język, że poczuła w ustach smak krwi.

- A co będzie, jeśli Fig zadzwoni, a ty nie odbierzesz?

Jo nie odpowiedziała. Angie modliła się, żeby córka go przejrzała. Marcus wiedział, że Fig nadzoruje ją przez telefon, wiedział też o kopii wideo na laptopie Figa. Nalegając na to, żeby zachowała telefon, budował zaufanie. A powód, dla którego Marcus chciał wzbudzić jej zaufanie, był oczywisty: miał zamiar ją wykiwać.

- Co zrobisz, Jo? Chcę ci pomóc.

- Nikt nie może mi pomóc. Chciałam sobie ulżyć, pogadać, wyrzucić to z siebie. - Angie usłyszała kroki Jo po dywanie. - Muszę odebrać Anthony'ego.

- Zrzuć ten ciężar na moje barki - powiedział Marcus. - Zawsze troszczyłem się o ciebie. Postawiłem się nauczycielowi, który chciał się do ciebie dobrać. Zapewniłem

twoją mamę, że jesteś porządna... – Urwał gwałtownie.

Angie miała nadzieję, że Jo nie potakuje w milczeniu.

Po chwili ciszy dodał:

– Daj mi szansę. Wymyślę jakiś sposób na Figa, żebyś dostała to, na czym ci zależy.

– Nie da się, Marcusie. Nie da się bez twojej krzywdy. A tego nie chcę.

– Doceniam to, ale zasługujesz na coś lepszego. – Znowu urwał. – La D urządza w niedzielę imprezę. Fig już potwierdził, że będziecie.

– Boże, nie mam siły na żadne przyjęcia.

– Musisz robić dobrą minę do złej gry. Niech myśli, że wszystko jest w porządku.

– A potem co?

– Daj mi czas na ułożenie planu, na pewno coś wykombinuję. Zajmę się tobą, nawet jeśli będę musiał przenieść ciebie i Anthony'ego do jednego z moich domów i wynająć ochronę, żebyś miała warunki i czas do namysłu.

– Och, Marcusie. – W głosie Jo pojawiła się nadzieja, która przyprawiła Angie o ból. – Naprawdę jesteś gotów to zrobić? Mógłbyś?

– Daj mi trochę czasu. Muszę to przemyśleć, wymyślić najlepsze rozwiązanie.

– Dziękuję! – Głos Jo zabrzmiał niemal euforycznie. – Och, Marcusie, bardzo ci dziękuję.

Zaczęli się całować. I jak przedtem, Jo odsunęła się pierwsza.

– Muszę jechać po Anthony'ego. Dziękuję ci, Marcusie.

Dziękuję.

Otworzyła drzwi, zamknęły się za nią, gdy wyszła.

Angie słyszała jej ciche kroki w korytarzu.

- Jasna cholera. - Marcus zaklął pod nosem. Materac zaskrzypiał. Angie naliczyła dziesięć piknięć. Marcus wybierał jakiś numer.

Marcus Rippy mógł nad tym intensywnie się zastanawiać, ale Angie doskonale wiedziała, do kogo zwróci się po rozwiązanie.

- Kip - rzucił do słuchawki - mamy kurewsko wielki problem.

## **ŚRODA - GODZINA 15:18**

Angie wjechała windą na dwudzieste siódme piętro biurowca Tower Place. Nie dwudzieste ósme czy dwudzieste dziewiąte, gdzie mieściła się siedziba 110 Sports Management, ale piętro niżej, gdzie nigdy nie była. Dale przysłał jej wiadomość, że spotkają się właśnie tam. Kazał jej przyjechać jak najszybciej.

Pod wpływem paranoicznych myśli ciarki chodziły jej po plecach, gdy patrzyła na zmieniające się numery pięter. Czy Dale zorientował się, że ona stoi po stronie Jo? Miał szósty zmysł, zwłaszcza kiedy chodziło o Angie, a ona nie lubiła niespodzianek. Mocno przyciskała torebkę do ciała. Powinna była naładować broń, bo ogarniały ją złe przeczucia. Dale nie miał powodu, żeby umawiać się z nią na spotkanie na innym piętrze.

Żadnego istotnego powodu.

Drzwi windy się rozsunęły. Wahala się przez chwilę, zanim wysiadła. Na piętrze trwała budowa. Na kablach wisiały gołe żarówki, sterty materiałów budowlanych i puszki farby tworzyły na podłodze labirynt. Za oknami królował błękit nieba, ale w środku było ponuro i roiło się od złowrogich cieni.

Jeśli miała kogoś zabić, to miejsce było równie dobre, jak każde inne.

Obeszła całe pomieszczenie, meandrując między piramidami puszek i ruchomymi rusztowaniami. Pomyślała

o iPadzie z króliczymi uszami, na który załadowała się cała zawartość laptopa Reubena Figaroi. Nie miała czasu szukać wideo, które Jo pokazała Marcusowi Rippy'emu, ale założyła, że Marcus powiedział o kopii Kipowi, który będzie chciał tę kopię usunąć z komputera Figa. Nie miała pojęcia, czy wtedy zniknie też kopia na jej iPadzie. Nie mogła zwrócić się po pomoc do Sama Very, bo był człowiekiem Dale'a, jak prawie wszyscy, których znała. Do głowy przyszło jej tylko jedno: wyrwać antenę, wyłączyć urządzenie i zostawić je w sejfie w motelu OneTown Suites.

Za pięć tysięcy miała nadzieję, że kierownik naprawdę wiedział, jak się jej odplacić.

- Postęp! - zawołał Dale.

Angie podskoczyła jak oparzona.

- Ale mnie przestraszyłeś.

Dale sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z efektu.

- Kip jest na górze z Rippym.

- To dlaczego my jesteśmy tutaj?

- Bo tutaj nie ma monitoringu.

Angie przełknęła ślinę. Ruszyła ku Dale'owi, pokazując, że nie ma nic do ukrycia.

- Po co te tajemnice?

- Coś z Rippym. Tylko tyle wiem.

Angie nieco się rozluźniła. Jasne, że wiedziała, z jakiego powodu tu są. Słyszała, jak Marcus informował Kipa o problemie. Mogła się spodziewać, że Kip zadzwoni do Dale'a, a ten zwróci się do niej.

Rozejrzała się po pomieszczeniu, udając, że jeszcze nie

ustaliła położenia wyjść ewakuacyjnych i ewentualnych kryjówek.

- Co tu się dzieje?

- Postęp - powtórzył Dale. - 110 się rozrasta. Skoro Centrum Gwiazd rusza, potrzebują całego zespołu do zarządzania marką. Mają dbać o obecność sportowców w mediach, o dobry wizerunek przedsięwzięcia i jego udziałowców. Laslo tym pokieruje.

Angie skinęła głową. To miało sens. Zarządzanie w sporcie nie ograniczało się do negocjowania kontraktów, menadżerowie zajmowali się każdym aspektem życia sportowców.

- Miałaś jakieś wieści od Denny'ego?

Angie zupełnie o nim zapomniała, więc teraz spojrzała na telefon. Denny napisał do niej trzy godziny temu bardzo długą wiadomość. Wyjaśniał, ile trudu wymaga przygotowanie nalotu na dziwki przy Cheshire Bridge i wsadzenie ich do aresztu. Na końcu znalazła jedyną informację, o którą jej chodziło.

- Pisze, że szykują się na dzisiejszy wieczór.

- Dobrze - powiedział Dale. - Dałem adwokatowi dokumenty funduszu powierniczego, więc jest to już sprawa oficjalna.

- Powiedziałaś Delilah?

- Chcę, żebyś ty jej powiedziała.

Powiadomienie ćpunka, że właśnie trafiła na żyłę złota, było ostatnią rzeczą, na jaką Angie miała ochotę, z tym że Dale mógł kłamać dla samego kłamania. Lubił robić innych



w balona.

- Jak mam się z nią skontaktować? Mieszka u ciebie?

- Przeniosła się do starego domu swojej mamy. Kip oczyści moje mieszkanie w Mesa Arms, jak tylko zamknę oczy. - Zakasłał, zasłaniając usta dłonią. - Jeśli ta robota przypadnie w udziale tobie, nie wchodź na strych. Tam są tylko papiery, stare pudła i szmelc.

Angie nie miała zamiaru nawet zbliżyć się do domu Dale'a.

- Jasne - powiedziała.

- I trzymaj się z daleka od łazienki, z innego powodu.

Dzwonek obwieścił, że winda za chwilę się otworzy. Kip i Marcus rozmawiali przyciszonymi głosami, ale na widok Angie i Dale'a zamilkli. Angie starała się nie myśleć o nadziei w głosie Jo, kiedy Marcus wspomniał o umieszczeniu jej i Anthony'ego w jednej ze swoich posiadłości, której przed Reubenem Figarą będą strzegli uzbrojeni ochroniarze.

Jedyną osobą, której Marcus Rippy zamierzał strzec, był on sam.

- Gdzie Laslo? - zapytał Dale.

- Tu go nie ma - odparł Kip i zwrócił się do Marcusa: - Wracaj na górę, stary. Ja się tym zajmę.

Marcus energicznie pokręcił głową.

- Ta sytuacja jest inna. Nie pozwolę ci jej skrzywdzić.

Angie obserwowała twarz Marcusa. Był rozdarty, co wcale jej nie dziwiło, gdyby nie znała zakończenia. Przez większą część zawodowego życia namawiała ludzi na uczynki, które uważali za złe. I nieważne, czy chodziło o skłonienie podejrzanego do zakapowania współnika, czy opłacenie

kogoś, żeby zmienił zeznania. U wszystkich bez wyjątku słabym punktem okazywał się instynkt samozachowawczy wzmocniony pieniędzmi.

- Kogo mamy nie krzywdzić? - zapytał Dale.

Kip dał Marcusowi kolejną szansę na zniknięcie, ale kiedy z niej nie skorzystał, Kip odpowiedział na pytanie Dale'a:

- Jo Figaroa ma wideo.

- Jakie?

- Nie twój zasrany interes - rzucił Marcus.

Dale zerknął na Angie, która walczyła ze sobą o zachowanie kamiennej twarzy.

- Nieważne, co jest na tym nagraniu. - Kip skrzyżował ramiona. Angie uświadomiła sobie, że to jeden z tych rzadkich momentów, kiedy widzi go bez butelki bankshota czy piłki w ręku. - Jo ma wideo w telefonie. Taka informacja ci wystarczy.

- A kopie? - włączyła się Angie.

- Zajmujemy się tym.

To wyjaśniło nieobecność Lasla. Kip wysłał go po laptopa przed powrotem Jo ze szkoły z Anthonyem.

- Jest komputer... - zaczął Dale.

- Kopia nie jest w komputerze - przerwał mu Kip. - Laslo to załatwi. Koniec rozmowy.

Angie analizowała to kłamstwo. Marcus już powiedział Kipowi, że obciążające nagranie pochodzi z laptopa Reubena, a pierwsze pytanie na pewno dotyczyło kopii. Kip ukrywał przed nią i Dale'em, ile się dało, co w gruncie rzeczy było dla niej korzystne. Dale wiedział, że zawartość laptopa została

sklonowana na iPada, Kip widocznie nie miał o tym pojęcia.

- Mogę opłacić jakiegoś lumpa, żeby wyrwał jej telefon z ręki. I po krzyku - zaproponowała.

- Nie możesz zabrać telefonu - zaproponował ostro Marcus. Myślał o Jo, o tym, że Reuben kontroluje każdy jej krok.

Z pozoru chwalebna postawa, ale gdyby naprawdę zależało mu na jej losie, to spotkanie w ogóle nie byłoby konieczne.

- Nie chodzi o samo wideo - powiedział Kip. - Ważniejsze, że Jo je widziała. Nie mamy gwarancji, że nikomu o tym nie chlapnie. Trzeba dać jej lekcję pokory.

- Czas na siekierę? - zapytał Dale.

Angie poczuła ściskanie w żołądku.

- Nie - zaprotestował zaniepokojony Marcus. - Nie możecie jej skrzywdzić. Nie fizycznie.

- To eufemizm. Nie zrobimy jej krzywdy - odparł Kip. - Mamy inny plan.

- Inny plan? - powtórzył Marcus. - Tak szybko? Z kim rozmawiałeś o moich sprawach?

- Jesteśmy twoją ekipą. Od jakiegoś czasu wiedzieliśmy, że Jo może przysporzyć nam kłopotów - wyjaśnił Kip.

Angie czekała, aż któryś z nich stwierdzi, że to Reuben Figaroa jest problemem, ale kiedy nic takiego nie nastąpiło, zapytała:

- A jej mąż?

- Fig nie może o tym wiedzieć. Kiedy wraca do domu? - Marcus spojrzał na Kipa.

- Może lecieć samolotem dopiero jutro wieczorem. - Kip uniósł ręce jak policjant drogowki usiłujący zatrzymać

autobus. – Poza tym Fig nie może się dowiedzieć ani o filmie, ani o twoim spotkaniu z Jo. Wiem, jaki jest porywczy. Nie możemy dopuścić, żeby został oskarżony o morderstwo na niecałe dwa tygodnie przed rozbiciem banku.

Marcus powoli skinął głową, na pozór zasmucony faktem, że pieniądze przebiły wszystko inne. Tylko Angie nie godziła się na ten kompromis. Życie Jo było więcej warte niż mecz koszykówki czy nowe, choćby najbardziej spektakularne centrum handlowe.

– Jaki macie plan? – zapytał Marcus.

– Dawno temu Jo zatrzymano z plikiem recept w samochodzie.

– W szkolnych czasach? – Marcus potrząsnął głową. Znowu odgrywał rolę wybawcy Jo. – To wszystko było dla mnie. Uszkodziłem sobie plecy, a musiałem grać, więc Jo wzięła to na siebie. Wiedziała, że ją potraktują łagodniej.

Angie pomyślała o Jo, która poświęca się dla Rippy'ego. Czy właśnie taka była jej córka? Zawsze kłamała dla mężczyzny?

– Akta ciągle są dostępne. Możemy ich użyć – powiedział Kip.

– Jak?

– Podrzucę jej do auta oksykodon, zadzwonię do kumpla i Jo spędzi parę dni w areszcie. Będzie miała czas na przemyślenia – zaproponował Dale.

– Nie, wykluczone, nie możesz wysłać jej za kratki. Nie pozwalam na to, pracujesz dla mnie. Wszyscy pracujecie dla mnie, a ja się na to nie zgadzam.

W każdej innej sytuacji Angie roześmiałyby się Rippy'emu w twarz. Przekonywał siebie samego, że jest porządnym człowiekiem, który został przyciśnięty do muru. Chciała spojrzeć na zegarek i sprawdzić, ile czasu zajmie mu kapitulacja. Obstawiała trzy minuty.

Kip westchnął ciężko, udając zmartwionego tą straszną sytuacją, której również wolałby uniknąć.

- Ja też nie chcę posyłać Jo do więzienia - powiedział. - Ale to poważna sprawa. Musimy znaleźć sposób na przywołanie Jo do porządku bez alarmowania Figa. Ona potrzebuje siekiery, nie młotka.

- Co to, kurwa, w ogóle znaczy?

- To znaczy, że Jo musi zrozumieć prosty fakt: to jest biznes - wyjaśnił Dale.

Kip przejął stery rozmowy:

- Najbliższe dziesięć dni to dla nas gorący czas. Pamiętasz, co się stało z inwestorami, kiedy wypłynęło to szambo z Keishą Miscavage. Co się stanie, kiedy ty i Fig uwikłacie się w nowy skandal? Nie mówimy tylko o tym, że Jo zniszczy twoją karierę, życie i rodzinę. Ona może wysadzić w powietrze całe przedsięwzięcie. Kogoś, kto ma taką moc, nie wystarczy uciszyć. Trzeba go zamknąć.

Wprawdzie Marcus przecząco kręcił głową, ale Angie widziała, że jest bliski kapitulacji.

- To nie w porządku, stary. Ona przyszła do mnie po pomoc.

Kip posłał Dale'owi spojrzenie pełne desperacji. Angie odwróciła wzrok, żeby uniknąć tego samego. Przymknięcie Jo

na kilka dni to nie był zły pomysł, bo znalazłaby się z dala od Figa. A te dwa dni dawały Angie szansę na obmyślenie jakiegoś planu. Gdyby dobrze pogłównkowała, w niedzielę rano Jo mogłaby siedzieć w samolocie lecącym na Bahamy, zamiast jechać do ośrodka leczenia uzależnień.

Kip zwrócił się do Marcusa:

- Powiedz mi, jakie mamy inne wyjście. To nie Chicago, nie możemy wykręcać ręk i sypać pieniędzmi. Jeśli Jo ujdzie na sucho ta próba szantażu, spróbuje drugi raz szantażować ciebie. I ludzie jej posłuchają. Chcesz przeczytać o tym na łamach „Rolling Stone”? Będzie jeszcze gorzej, jeśli Jo pójdzie do LaDonny z rewelacjami o nagraniu.

Marcus wzdrygnął się na wzmiankę o żonie.

- Jo nie wciągnęłaby w to LaDonny.

- Jesteś pewien?

Marcus nie był już pewien niczego.

Kip dostrzegł swoją szansę.

- Nie wiemy, co jeszcze planuje Jo. Musimy jej uświadomić, że to nie ona rozdaje karty. Co wcale nie znaczy, że cieszy mnie myśl o tym, co powinniśmy zrobić. Sprawić Jo wielki zawód, że tak to nazwę. - Bezradnie rozłożył ramiona. - Ale najlepszy sposób na wyjście z tego bagna, to nastraszyć Jo. Niech posiedzi parę dni w ciasnej celi, niech je gówniane żarcie i niech patrzy na zegar, nie mając pojęcia, ile to jeszcze potrwa. Dobrze wiesz, że tak jest.

- Co zrobi Fig, kiedy jutro wieczorem wróci do domu i dowie się, że jego żona siedzi w areszcie?

- Z Figiem sobie poradzę.

- Gówno prawda! - wyrzucił z siebie Marcus. - Nikt nie poradzi sobie z Figiem. Kiedy jest wkurzony, zachowuje się jak psychol. Jo w pace? Nie pośle jej do szpitala, tylko od razu do grobu.

- Będzie miał ortezę na kolanie. Lekarz mówi, że nie może zginać kolana przez następny tydzień - powiedział Kip.

Angie patrzyła, jak Marcus próbuje wymyślić bajkę, w której Jo jest bezpieczna.

- Co jeszcze lekarz powiedział o Figu?

- Miesiąc w ortopedycznej protezie, kolejny miesiąc fizjoterapii. Przed nim jeszcze co najmniej pięć lat gry. Najważniejsze, że w ten weekend nie musimy się martwić. Jeśli Jo będzie chciała odejść od Figa po jego powrocie z Teksasu, wystarczy, że ruszy przed siebie szybkim krokiem.

Angie nie wiedziała, czy Jo ruszy gdziekolwiek bez Anthony'ego u boku. Chwyciła się ostatniej szansy.

- Wyślijcie ją do ośrodka odwykowego. Sędzia spojrzysz na to przychylniej. To jej da trzydzieści dni z dala od Figa. Rozpoczęcie budowy odbędzie się gładko, a przy okazji pomożemy Jo.

- W jaki sposób to jej pomoże? - zapytał Marcus.

Angie nie chciała ułatwiać mu decyzji.

- W ośrodku nikt jej nie pobije. Oberwie po wyjściu.

- Odwyk oznacza terapię - zauważył Dale. - A jeśli jakiś psychiatra namówi ją, żeby wystąpiła przeciwko Figowi?

- Nie przewidzimy wszystkiego - odparł Kip, chociaż właśnie starali się to zrobić. Zwrócił się do Marcusa: - Też lubię Jo, ale aresztowanie podważy jej wiarygodność.

Ćpunów nikt nie słucha, zapytaj Keishę Miscavage. Poza tym Jo nie odejdzie od Figa. Słyszałem przynajmniej o pięciu nieudanych próbach.

- Sam nie wiem. - Marcus właściwie był już przekonany, ale chciał pokazać, że potrzebuje jeszcze większej porcji perswazji.

- Zastanawiam się, czy mamy odpowiednie dojścia, żeby przetrzymać ją do niedzieli. Sobota jest tu kluczowa - powiedział Dale.

- W niedzielę wieczorem La D urządza przyjęcie dla drużyny - oznajmił Marcus. - Nawet jeśli Fig będzie mógł się ruszać, nie zrobi jej krzywdy przed przyjęciem, bo ludzie zaczęliby zadawać za dużo pytań.

- Więc potrzymamy ją w areszcie przez dwa dni, dopilnujemy w niedzielę, a następnego dnia rano odstawimy do ośrodka.

Marcus podrapał się w brodę. Jeszcze miał wątpliwości.

- Brukowce rzucą się na to. Wiesz, że Fig nienawidzi prasy, ale będzie zachowywał się wzorowo. To świr, ale nie jest głupi. Pięć lat temu było inaczej, ale czasy się zmieniły. Nie możesz dać się sfilmować, jak tłuczesz kobietę, a potem liczyć, że będziesz dalej grać.

Marcus nie zaprzeczył, za to powiedział:

- Ten areszt mi się nie podoba, stary. Jo jest wrażliwa. Bardzo to przeżyje.

- To pestka, zupełnie jakby jechała do spa. - Oczy Kipa rozbliły. - To mogłoby jej pomóc. Nagłośnimy sprawę, zrobią z tego historię o powrocie Jo do zdrowia, odwyku dla



dobra dziecka czy co tam jeszcze wymyślą. Sfotografują ją z ładną fryzurą, umalowaną. Spodoba jej się.

- Nie, nie spodoba - zaprotestował Marcus. - Jo nienawidzi zdjęć, nie chce być w centrum uwagi.

- To nawet lepiej - stwierdził Kip. - Zrobi to, bo nie będzie miała wyboru. Dobra prasa dla Reubena. Dobra prasa dla drużyny.

Marcus wyglądał na autentycznie zmartwionego.

- Może Fig wytrzyma tych parę dni z powodu kolana, a potem co? Cholera, on nosi spluwę, przy drzwiach wejściowych trzyma kałacha.

- Od lat ma broń, ale jakoś nigdy jeszcze jej nie użył - argumentował Kip, jakby logika tego wyводу miała zagwarantować bezpieczeństwo. - Jo nic się nie stanie.

- Dopilnuję, żeby zaopiekowali się nią w areszcie - powiedział Dale. - Dostanie osobną celę, jednoosobową, nie będzie miała kontaktu z innymi więźniarkami. Znam babkę, która pracuje tam od lat. Wie, jak zadbać o bezpieczeństwo dziewczyn.

Marcus popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Kim ty, kurwa, jesteś?

- To nasz człowiek do specjalnych poruczeń - wyjaśnił Kip.  
- Rozprawia się z brudami.

- Wygląda jak trup. - Marcus pociągnął nosem. - Cholera, stary, wypierz gacie. Jedzie od ciebie szczynami.

- Dwadzieścia pięć lat pracował w policji - wtrąciła Angie.  
- Wie, jak działa system. Jeśli twierdzi, że może zapewnić Jo bezpieczeństwo, to znaczy, że tak będzie.

Marcus spojrział na Angie, jakby dopiero teraz zauważył jej obecność. Otaksował wzrokiem jej nogi, kształt bioder, piersi. Wiedziała, że mimo wieku jest w jego typie.

Postanowiła to wykorzystać. Czuła, że przynajmniej część planu się krystalizuje, nawet jeśli chodziło tylko o kupienie Jo czasu.

- W czwartki Jo jeździ na zakupy do sklepu spożywczego. To jutro. Wtedy możemy podrzucić tabletki, tylko trzeba tak to wszystko zorganizować, żeby dziecka przy niej nie było. Przez dwa dni będzie bezpieczna w areszcie. Ty, Marcusie, zapewnisz jej bezpieczeństwo podczas przyjęcia. W poniedziałek rano Jo jedzie do ośrodka. W ten sposób kupujemy sobie trzydzieści dni. W tym czasie oficjalnie rusza budowa Centrum Gwiazd. Mamy dobrą prasę i wszyscy wygrywają.

Marcus przygryzł wargi. W końcu pozwolił sobie na zmianę zdania.

- A co z jej synem? - zapytał.

- Pozwolą Jo na jeden telefon - powiedziała Angie. - Może poprosić matkę, żeby odebrała Anthony'ego ze szkoły i zaopiekowała się nim do powrotu Figa. - Miała tak suche usta, że mówienie przychodziło jej z trudem. Plan wyglądał dobrze na papierze, ale był bardzo ryzykowny, głównie dlatego, że zależał od samokontroli kompletnie nieobliczalnego krewkiego faceta. Angie zwróciła się do Kipa i Marcusa: - Wy obaj musicie przekonać Figa, że Jo powinna wyglądać dobrze przed kamerami. Wystarczy jeden siniec czy niepewny chód, żeby jakiś idiota prowadzący bloga zrobił

z tego sensacyjną historię. Jeśli Fig rzeczywiście nienawidzi prasy tak bardzo, jak mówicie, wbijcie mu do głowy, że nic nie ujdzie uwagi pismaków, zwłaszcza po wyjściu Jo z aresztu.

- To może zadziałać - stwierdził Kip. - Dwa dni w areszcie, trzydzieści w ośrodku odwykowym. Jo przekona się, jak łatwo możemy wywrócić jej życie do góry nogami, a do tego czasu Fig się uspokoi. Wiecie, że wściekłość mu mija, jeśli dać mu czas.

Marcus już potakiwał.

- Może facet się ocknie i odzyska rozum, pomyśli, że Jo bierze tabletki, bo nie może znieść tego, jak ją traktuje.

Angie zagryzła wargi, żeby nie skłąć go za opowiadanie bzdur.

- Dobra. - Kip zwrócił się do Dale'a: - Wideo w telefonie Jo można usunąć, kiedy ona będzie w areszcie, tak? Pomyłka organów państwa i takie tam trele-morele.

- Mój człowiek może to zrobić zdalnie - powiedział Dale.

- Dobra - powtórzył Kip. - Czyli tak: Dale podrzuca oksykodon. Jeden z ludzi Ditmara przeprowadzi Jo przez procedurę sądową. Oczywiście uprzedzę, żeby nie robili afery, kiedy będą ją trzymać w areszcie do soboty.

- Nie, stary. Niech ona podrzuci prochy. - Marcus skinął głową w stronę Angie. - Ten facet wygląda, jakby miał kipnąć, zanim wyjdę z biura.

Dale tak mocno zacisnął usta, że stały się wąską białą linią. Umierał, ale nadal miał swoją dumę.

- Dobrze. Załatwione. Wychodzimy - zarządził Kip, po

czym zwrócił się do Marcusa: – Wracajmy na górę. Mamy do omówienia ostatnie szczegóły dotyczące inauguracji budowy.

Zanim Marcus ruszył z Kipem w stronę windy, ponownie otaksował Angie od stóp do głów.

Dale zaczekał, aż znikną im z oczu, po czym wyrzucił z siebie:

– Jebany złamas! – Kopniakiem przewrócił drabinę. – Niby kto uratował go przed oskarżeniem o gwałt? I dzięki komu dwa inne nawet nie wypłynęły? – Znowu kopnął drabinę. – Pobrudziłem sobie ręce krwią, żeby ten ciul mógł dalej grać w tę cholerną koszykówkę.

Angie domyśliła się już, skąd Dale skołował pieniądze na fundusz powierniczy.

– Wyglądam jak trup? – zapytał.

– Wyglądasz, jakbyś miał grypę – skłamała. – Zawsze możesz wrócić na dializy.

Dale oparł się o ścianę. Zmęczył się kopaniem drabiny.

– Siedzenie w tym cholernym szpitalu przez cztery godziny dziennie, trzy razy w tygodniu, słuchanie ludzi, którzy na okrągło gładzą o tym, że niedługo dostaną nerkę, to koszmar.

Angie nie miała czasu na jego łzawe historie. Musiała się zastanowić, jak pomóc Jo.

– Na mnie już czas, śpieszę się – rzuciła.

– Zaczekaj. Gdzie jest iPad? Gdzie klon? Nie wierzę w bajki o braku kopii na laptopie.

– Nie widziałam żadnych filmów, tylko zdjęcia, mnóstwo zdjęć, i wymiana mejli z matką.

Dale wpatrywał się w nią, chcąc dociec prawdy.

Angie przewróciła oczami.

- Rozwalę go młotkiem. Koniec problemu.

- Dobrze, ale przynieś mi kawałki.

Jasny gwint, będzie musiała kupić innego iPada i roztrzaskać go na kawałki.

- Coś jeszcze, Wasza Wysokość?

- Wiesz, że areszt i klinika odwykowa to tymczasowe rozwiązanie. - Dale uniósł brwi. - Kip ma paranoję, Marcus panicznie boi się LaDonny. Myślisz, że im to minie za trzydzieści dni, kiedy Jo wyjdzie z Zajazdu pod Zdychającym Ćpunem?

- Co chcesz powiedzieć?

- Załatwiłem ci tę robotę. Chcesz ją utrzymać, musisz przejąć moje obowiązki.

- Czy to znaczy, że muszę mieć krew na rękach?

- Nie odgrywaj komedii, Lady Makbet. - Dale błysnął żółtymi zębami. - Zapamiętaj moje słowa. Nawet jeśli Jo będzie trzymała gębę na kłódkę, ci goście nie wyleczą się z paranoi. Zaczną cierpieć na bezsenność, będą się truć pytaniem, co powie Jo, w końcu trafią do ciebie, żebyś rozwiązała ten problem raz na zawsze.

- Co to, do diabła, znaczy?

- Dobrze wiesz.

Wiedziała. W takiej sytuacji Kip zleci jej zabicie Jo, co potwierdziło przypuszczenia Angie, że Kip już wynajmował Dale'a do takich zadań. Liczyła, że Dale zgromadził więcej niż marne ćwierć miliona, które zostawiał Delilah.

- Posłuchaj wujka Dale'a - ciągnął. - Niech to wygląda na

samobójstwo. Jo miała problemy z prochami, a areszt i odwyk każdego by przygnębił. Trochę prochów, trochę alkoholu, wanna, odkręcona woda, ona zasypia, osuwa się do wody i spokojnie topi.

Angie zaczęła potrząsać głową, ale raptem przypomniała sobie, że Dale i tak nie będzie wiedział, co się stało.

- Dzięki za radę, wujku Dale.

- Czekaj. - Wciąż nie pozwalał jej odejść. - Dziwne, że wiesz, kiedy Jo jeździ na zakupy do spożywczego, zwłaszcza że zaczęłaś ją śledzić dopiero w tym tygodniu.

- Popytałam trochę. Nie ty jeden znasz się na detektywistycznej robocie.

- No tak.

- To wszystko?

Angie chciała wreszcie odejść, ale Dale złapał ją za ramię.

- Jutro będziesz tego potrzebowała. - Wyjął z kieszeni torebkę ze strunowym zapięciem, w której było kilkanaście tabletek oksykodonu. Osiemdziesiąt miligramów, to wystarczy, żeby posłać Jo do aresztu, ale za mało, żeby oskarżyć o handel. - Wiem, że wolisz vicodin. - Między mokrymi wargami znowu pojawiły się żółte zęby Dale'a. - Może to trochę za dużo?

- Co wykończyło ci nerki? Lizaki i drażetki? - Angie nie chciała mu pozwolić, żeby używał jej uzależnienia przeciwko niej. Przez lata Dale wciągnął tyle koki, że można by nią pokryć Alpy. - Ja chociaż wiem, kiedy przestać.

- Czy lekarzom udało się zasklepić tę ranę w twoim żołądku? - Dale miał na twarzy triumfalny uśmiezek. - To

otoczka tabletek, prawda? Przeżera nabłonek żołądka?

Angie wyrwała mu z ręki torebkę z oksykodonem.

- Weź prysznic, Dale. Marcus miał rację. Cuchniesz moczem.

- Może go ze mnie zliżesz?

Angie okręciła się na pięcie i ruszyła do wyjścia. Za plecami słyszała śmiech Dale'a.

## **CZWARTEK - GODZINA 10:22**

Angie krążyła z pustym wózkiem między alejkami marketu w poszukiwaniu Jo. Oczy bolały ją od jaskrawych świateł. Wszystko było dla niej wręcz agresywnie uporządkowane, za czyste. Ostatni raz robiła zakupy z Willem. Zacisze domowe było jego jedyną obsesją. Kupował hurtowe ilości towarów, zawsze tych samych marek, z tym samym logo, ponieważ był za głupi, żeby przeczytać o czymś nowym albo lepszym. Angie nienawidziła zacisza domowego i domowych zajęć. Śmiertelnie ją to nudziło. Podczas zakupów podrzucała do koszyka a to piwo korzenne, a to sorbet brzoskwiniowy, a to inny rodzaj masła, a pięć minut później Will wkurzał się jak robot z „Zagubionych w kosmosie”.

Teraz pewnie Sara robiła mu wszystkie zakupy, prasowała koszule, przyrządzała kolacje, układała wieczorem do łóżka. Zmieniała pieluchy.

W końcu Angie zauważyła córkę w dziale owoców i warzyw. Jo trzymała w ręku brzoskwinię i sprawdzała jej miękkość. Miała nieobecne spojrzenie. Może rozmyślała o planowanej ucieczce od męża? Dlatego pokazała Marcusowi wideo, wierzyła, że przyjaciel z dzieciństwa otoczy ją opieką, położy kres całemu złu. Nie rozumiała, że Marcus Rippy nie miał zamiaru narażać dla niej najmniejszej części swojego poukładanego życia.

Nawet gdyby chciał jej pomóc, Kip i tak odwiódłby go od tego.



Wideo było ich jedynym środkiem nacisku, dlatego Angie musiała skopiować plik z telefonu Jo, zanim policjanci ją zgarną. Nie miała wiary w zapasowy iPad. Wyłączyła go i zamknęła w motelowym sejfie. Nie chciała ryzykować życia Jo, zwracając się do Sama Very o pomoc.

Dale nie miał daru jasnowidzenia, ale dobrze rozumiał działanie tego mechanizmu. Jo była niewiadomą, a ludzie nie znosili niewiadomych, zwłaszcza gdy w grę wchodziły pieniądze. Paranoja Marcusa i desperacja Kipa to tylko kwestia czasu. Laslo zadźgał w Bostonie człowieka, Angie wiedziała, że w Atlancie też nie stronił od mokrej roboty. Miał jedno zadanie: dbać o bezawaryjne funkcjonowanie firmy, dlatego w razie potrzeby bez skrupułów zneutralizuje Jo, aż do ostatecznego rozwiązania. A to oznaczało, że zostało jej niewiele czasu na ucieczkę.

- Pozwól mi zadzwonić do mamy.

Żołądek podszedł Angie do gardła. Jo zwracała się do niej. Stała w odległości trzech metrów, w ręku trzymała brzoskwinię. Mówiła na tyle głośno, żeby Angie wyraźnie ją słyszała.

- Mój syn jest w szkole. Pozwól mi zadzwonić do mamy, zanim mnie zabierzesz.

Angie rozejrzała się ostrożnie. Musiała się upewnić, że nikt ich nie usłyszy.

- O czym ty...

- Wiem, że Reuben kazał ci mnie śledzić. - Jo odłożyła brzoskwinię. - Widziałam cię w Starbucksie, w zeszłym miesiącu stałaś pod szkołą mojego syna.

- To nie tak jak myślisz.

Jo próbowała ukryć strach w głosie, ale napięte mięśnie szyi zdradzały jej faktyczny stan.

- Nie pójdę z tobą, jeśli nie pozwolisz mi zorganizować opieki dla syna. - Z każdą sekundą Jo traciła udawany spokój. Angie widziała jej przerażenie. - Proszę cię. To także syn Reubena.

Angie poczuła ostry ból w piersiach. Tak reagowało jej ciało na bezsilność, jakiej właśnie doświadczała jej córka.

- Nie przysłał mnie twój mąż. Jestem tu, żeby ci pomóc w ucieczce. - Gdy Jo zaśmiała się z niedowierzaniem, zaznaczyła z mocą: - Mówię poważnie.

- Spływaj, kobieto. Nie zabieraj mi czasu. - Jo popchnęła wózek do następnej alejki, urwała jedną torebkę z pęku i zaczęła wkładać do niej pomarańcze.

- Jesteś w niebezpieczeństwie - powiedziała Angie.

- Bez kitu.

- Marcus rozmawiał z Kipem o wideo.

- Sądzisz, że się nie domyśliłam? - Jo znów zaśmiała się gorzko. - Dzisiaj rano zepsuł się laptop, nie można go uruchomić, a cała zawartość mojego telefonu została skasowana. - Otworzyła torebkę, wyjęła telefon i wyciągnęła rękę do Angie. - Chcesz? Weź go. Nie mam już w nim nawet zdjęć mojego synka.

- Posłuchaj mnie. - Angie odtrąciła jej rękę. - Próbuję ci pomóc.

- Nie możesz mi pomóc. - Jo odwróciła się do niej plecami i pchnęła wózek w stronę półek z sokami.

Angie poszła za nią.

- Zostaniesz aresztowana - powiedziała.

Na twarzy Jo odmalowała się dezorientacja, po chwili przyszła złość.

- Za co?

- Podrzucili ci do auta oksykodon. - Angie przemilczała fakt, że chodzi o nią. - Gliniarze mają czekać na ciebie przed sklepem. Zatrzymają cię w areszcie na dwa dni.

- Ale... - Jo miała spojrzenie, jakie Angie widywała u bogatych i uprzywilejowanych, kiedy dowiadawali się, że oni też podlegają prawu. - Ja nic nie zrobiłam.

- To nie ma znaczenia, oni wszystko zaplanowali. To ma być dla ciebie ostrzeżenie, nauczka. - Angie dała jej chwilę na przetrwanie tej informacji. - Wyjdiesz w sobotę wieczorem, w niedzielę wieczorem pójdziesz z Figiem na przyjęcie LaDonny, a w poniedziałek pojedziesz do ośrodka leczenia uzależnień.

- W poniedziałek nie będę mogła chodzić.

- Reuben będzie miał ortezę na kolanie. - Angie musiała przekonać Jo, że może zapewnić jej bezpieczeństwo. - Unieruchomiony nie zrobi ci krzywdy.

- Myślisz, że to mu przeszkodzi? Przed kulą w plecy nie można uciec.

- Wszędzie będzie prasa. Jeśli cię uderzy, to zobaczą ślady.

- O ile zostawi ślady.

Angie wychodziła ze skóry, żeby ją przekonać.

- Powiesz mu, że jeśli cię tknie, wyjdiesz do ogrodu, zdejmiesz ubranie i pozwolisz fotografom uwiecznić to, co ci

zrobił.

- Jakim fotografom? - Panika Jo narastała. - Reuben nie lubi prasy.

- Będą za tobą chodzić, jak tylko wyjdiesz z aresztu.

- Boże. - Jo położyła dłoń na szyi. Miała przyspieszony, płytki oddech. - Marcus powiedział Reubenowi, że widziałam się z nim? Sam na sam?

- Nie, to nie tak. Reuben nie wie o motelu, o wideo, o niczym. - Angie obserwowała reakcję Jo. Te słowa przyniosły jej wyraźną ulgę, z mięśni zeszło napięcie. - Marcus poszedł z tym problemem do Kipa, który właśnie tak zamierza go rozwiązać.

Oczy Jo zaszczyły łzami. Była przerażona.

- Wiesz, co mi robi mój mąż za to, że skupiałam na nim uwagę innych?

Angie nie była w stanie dłużej znieść cierpienia Jo.

- Pomogę ci uciec - powiedziała z mocą.

- Co? Oszalałaś?

- Pomogę ci uciec. - Angie uświadomiła sobie, że zawsze kłamała, nigdy w życiu nie mówiła prawdy. Kiedyś już porzuciła Jo, ale teraz miała zamiar zrobić wszystko, żeby zapewnić córce bezpieczeństwo. - Pozwól sobie pomóc.

- Odwal się, kobieto! - Przerażenie Jo przeszło we wściekłość jak u złapanego w potrzask zwierzęcia. - Osaczasz mnie w sklepie, twierdzisz, że jesteś moją zbawczynią, i ja mam ci wierzyć, ryzykować dla ciebie życie, ryzykować życie mojego syna?! Skąd się urwałaś, suko? Za kogo się masz, do cholery?

Angie brakowało odwagi, żeby wyznać:

- Jestem twoją matką. Nastolatką, która nie chciała cię wychowywać. Kobieta, która cię porzuciła.

Powiedziała za to:

- Jestem twoją przyjaciółką.

- Wiesz, co spotkało ostatniego przyjaciela, który próbował mi pomóc? Wylądował w szpitalu, prawdopodobnie nie będzie już chodził.

- A wiesz, co się stało z ostatnią kobietą, która zagroziła Marcusowi Rippy'emu?

Jo odwróciła wzrok. Jeśli nawet nie wiedziała, to na pewno się domyśliła. Wróciły rozpacz, bezsilność.

- Dlaczego chcesz ryzykować życie dla kogoś obcego?

- Miałam córkę, która znalazła się w twojej sytuacji.

- Miałaś... Została zamordowana?

- Tak - odparła Angie, wiedząc, że w ten sposób kończy się większość tego typu historii. - Straciła życie, bo jej nie pomogłam. Nie pozwolę, żeby to się powtórzyło.

- Jezu... - Jo przejrzała jej kłamstwa. - Myślisz, że możesz mnie przeciągnąć na swoją stronę? Sprawić, żebym ci ufała? Widziałam cię w 110. Jeśli nie pracujesz dla Reubena, to pracujesz dla Kipa Kilpatricka.

- Masz rację, pracuję dla Kipa - przyznała Angie. - I robię dla niego wiele podłych rzeczy, ale tego nie zrobię.

- Czyżby wyrzuty sumienia? - Jo zaśmiała się gorzko. Wiedziała, co robią ludzie do zadań specjalnych. Przez całe dorosłe życie miała do czynienia z zawodowym sportem. - Reuben trzyma przy łóżku nóż. Kiedy bierze prysznic, broń

ma tuż obok. Bije mnie. - Nagle zorientowała się, że podniosła głos, a ludzie zaczęli zerkać ciekawie w ich kierunku. - Bije mnie - powtórzyła ciszej. - Gwałci mnie. Zmusza mnie, żebym go o to błagała. A potem muszę przeproszać, że przeze mnie stracił panowanie nad sobą. Albo każe mi dziękować, kiedy pozwoli mi pójść na kawę albo zabrać syna na plac zabaw.

- Odejdź od niego.

- Myślisz, że nie próbowałam? Za pierwszym razem pojechałam do domu, do mamy. Trzy dni daleko od niego, trzy dni wolności. Wiesz, co zrobił? - Rzuciła Angie gniewne spojrzenie. - Wywłókł mnie z domu mamy za włosy, omal mnie nie zabił. A potem zamknął mnie w skrzyni i trzymał w garażu. Wiesz, co powiedzieli gliniarze, kiedy mama zgłosiła im, że córkę porwał szaleniec? „Problemy rodzinne”. Tym właśnie jestem, problemem rodzinnym.

Angie nie była zaskoczona. Policjanci z małego miasteczka, którzy przed laty aresztowali Jo z receptami, to zapewne ci sami stróże porządku, którzy zignorowali brutalne uprowadzenie. Jeśli człowiek raz weźmie łapówkę, przyjęcie następnej to tylko kwestia czasu.

- Tych ludzi chroni góra pieniędzy, dlatego nigdy nic nie tracą. Nie tracą żon, nie tracą dzieci - ciągnęła Jo. - Próbowałam w Kalifornii. Próbowałam w Chicago. Za każdym razem Reuben przyjeżdżał po mnie i włókł mnie z powrotem. Używał przeciwko mnie mojej mamy. Używał Anthony'ego. - Na dźwięk imienia syna głos Jo zupełnie się zmienił. - Moja biologiczna matka mnie porzuciła. Wiem, jak to jest. Nie

zrobię tego mojemu dziecku.

- Wiesz coś o niej? - Angie poczuła gwałtowne ściskanie w żołądku.

- Czy to ważne? Nie mogę biec do niej po pomoc, jeśli o to pytasz. Pewnie już nie żyje. Była prostytutką, ćpunką, śmieciem, po którym można się spodziewać, że porzuci dziecko.

Angie wzięła głęboki oddech.

- Nie zostawię synka - mówiła dalej Jo. - Nawet gdyby Reuben był idealnym ojcem, nie zostawiłabym Anthony'ego. Takie przeżycie niszczy duszę.

Angie musiała natychmiast zmienić temat.

- Jaki miałaś plan, kiedy pokazywałaś wideo Marcusowi? Czego od niego oczekiwałaś?

- Pieniądzy. Ochrony - odparła wolno Jo. - Bez wideo nie mam nic.

- To nieistotne. Ważne, co widziałaś. Ważna jest twoja umiejętność otwarcia ust.

- Nikt nie dba o to, co mam do powiedzenia.

- Wiesz za dużo - powiedziała Angie. - Jeśli chodzi o Kipa i Marcusa, to twoje usta są jak naładowana broń.

Jo wciągnęła w płuca powietrze i powoli je wypuściła.

- Jestem w potrzasku. - Jo odetchnęła głęboko. - Jestem w tym samym miejscu, w którym zaczęłam.

Angie cierpiała, słysząc rezygnację w jej głosie.

- Mam plan - powiedziała - który da ci trochę czasu i pozwoli uwolnić się od męża.

- Co zrobisz? - Jo wykrzywiła usta, wyrażając głęboką

niewiarę. - Chcesz konfrontacji z Reubenem Figaroą? Brednie. On strzeli ci w twarz! On nigdy się nie cofa i nigdy nie traci kontroli. - Zaczęła wyliczać na palcach: - Nie ma mnie na rachunkach bankowych. Nie ma mnie w inwestycjach. Nie ma mnie w funduszach emerytalnych. Nie ma mnie w dokumentach domu. Nie jestem właścicielką swojego auta. - Zaśmiała się gorzko, autoironicznie. - Przed ślubem podpisałam intercyzę. Byłam zakochana, moja droga. Nie chciałam pieniędzy. Z własnej woli stałam się niewolnicą.

- Mogę cię wyciągnąć z tego bagna, zapewnić ci bezpieczeństwo. - Angie już obmyśliła plan. Fundusz powierniczy Delilah. Miała upoważnienie do opłacania czynszu i kosztów utrzymania. Mogła wykorzystać te pieniądze dla Jo. - Mogę dać ci fałszywe nazwisko, mogę cię ukryć. Kiedy będziesz już bezpieczna, znajdę adwokata, który podejmie się negocjacji z Reubenem.

- Jak mnie stąd wydostaniesz? - zapytała Jo. - To najtrudniejsze. Równie dobrze mogłabyś mi obiecać, że ukryjesz mnie na Marsie, tylko najpierw musimy znaleźć sposób, jak tam dotrzeć.

Miała rację. Reuben będzie czekał na Jo przed więzieniem i nie spuści jej z oczu, zanim nie trafi do ośrodka. Jeśli w ogóle pozwoli jej tam pojechać.

- Nie łapiesz, prawda? - Na twarzy Jo malowało się autentyczne zdumienie. - Reuben ma gdzieś koszykówkę, ma gdzieś Anthony'ego, mnie też ma gdzieś. On chce tylko jednego. Kontroli. - Podeszła bardzo blisko Angie. - Robię



wszystko, czego on sobie zażyczy, wszystko, rozumiesz? Wystarczy jedno jego słowo. Wystarczy pstryknięcie palców. Mimo to przykłada mi nóż do twarzy, łapie za gardło i nie odpuszcza, póki nie zobaczy, że jestem śmiertelnie przerażona.

Angie nawet nie chciała myśleć o wszystkich sytuacjach, w jakich jej córka doznawała upokorzeń.

- Powiedz mi jedno. Co będzie, kiedy Anthony podrośnie? Jak masz zamiar go chronić?

- Reuben nigdy nie skrzywdzi syna.

Angie zadawała sobie pytanie, czy Jo słyszy sama siebie.

- Będzie widział, jak tatuś traktuje mamusię. Wyrośnie na takiego samego drania.

- Nie, niemożliwe. Anthony jest słodki, nie ma w sobie nic z ojca.

- Czy Reuben nie był uroczy, kiedy się poznaliście?

Jo zacisnęła usta, spojrzała na swoje dłonie. Angie spodziewała się kolejnego usprawiedliwienia, ale zamiast tego usłyszała:

- Jaki masz plan?

- Wyjdiesz w sobotę za kaucją. Reuben na pewno będzie na ciebie czekał pod więzieniem. Fotoreporterzy też. Zorganizuję to. Możesz pojechać ze mną zamiast z nim.

- To wszystko? - Jo nie potrafiła ukryć rozczarowania. Popadała w coraz większe przygnębienie. - Punkt drugi: Reuben albo wyciągnie broń i strzeli mi w głowę, albo zadzwoni do mnie jego adwokat z oznajmieniem, że jako notowana ćpunka nigdy więcej nie zobaczę syna. - Gorzko

się uśmiechnęła. – I wtedy dostanę kulkę w głowę.

Miała rację. Spędziła długie lata, obmyślając drogę ucieczki, Angie poświęciła na to tylko dwa dni.

– A podczas niedzielnego przyjęcia?

Jo zaczęła kręcić głową, ale nagle przestała.

– Anthony będzie u mojej mamy. To jedyna osoba, której Reuben pozwala go brać do siebie.

– Możesz uwolnić się od Reubena na przyjęciu? Pójść do łazienki, wymyślić inny pretekst? – spytała Angie.

– Będzie z innymi, z Marcusem. Wtedy nakręcili ten film. To była ta dziewczyna, która oskarżyła Marcusa o gwałt.

– Keisha Miscavage?

– Tak. – Jo wytarła oczy, ale nie mogła zetrzeć z twarzy strachu. – Powinnaś wiedzieć, z kim masz do czynienia. Co robią kobietom, które się nie liczą. Ta dziewczyna była odurzona. Wiem, że dodali jej czegoś do drinka. Godzinę później znajduje się w sypialni. Jest bezsilna, bezwładna, nie wie, co się z nią dzieje, i tylko powtarza „nie, nie, nie!”. A oni się śmieją, kiedy czekają na swoją kolej.

Angie wiedziała, jak wygląda gwałt zbiorowy, więc te szczegóły jej nie zszokowały.

– W niedzielę wieczorem, kiedy tylko zostaniesz sama, wymknij się z domu – powiedziała. – Idź podjazdem w dół, skręć w lewo. Tam jest wjazd w alejkę, której używają ogrodnicy. I tam będę na ciebie czekać.

Jo nie odpowiedziała. Wszystko działo się za szybko. Wreszcie spytała:

– Dlaczego? Dlaczego to robisz?

- Mówiłam ci o mojej córce.

Jo nie przestawała wątpić, ale desperacja kazała jej posłuchać tej obcej kobiety.

- Spotkamy się w alejce dla ogrodników. Co dalej?

- Pojadę do twojej matki i wezmę Anthony'ego. - Natychmiast uprzedziła protest Jo: - Tam zaczną cię szukać. Poradzę sobie z nimi lepiej niż ty.

- Dlaczego nie można inaczej? Najpierw zabrać Anthony'ego, a potem spotkać się na przyjęciu?

Angie widziała, że Jo potrzebuje mocnego argumentu, który skłoni ją do zrobienia pierwszego kroku ku wolności.

- A co będzie, jeśli ty się nie wymkniesz, a ja zostanę z twoim dzieckiem w aucie? Jak to wyjaśnię? Jak ty to wyjaśnisz?

Jo spojrzała w ziemię. Jej oczy poruszały się raz w jedną, raz w drugą stronę. Przygryzła wargi. Angie widziała, jak jej córka bije się z myślami. Ucieczka z przyjęcia zapoczątkuje realizację planu, od tej chwili nie będzie już powrotu. Gdyby nie udało jej się wymknąć, gdyby w ostatniej chwili zmieniła zdanie, wtedy Anthony zostałby u jej matki, Jo otrzymałaby kolejną porcję razów i wszystko wróciłoby do normy.

- Co mam robić, kiedy ty będziesz zabierać mojego syna? - zapytała Jo.

- Wynajmę samochód pod fałszywym nazwiskiem. - Angie musiała zdobyć prawo jazdy Delilah, ale do tego wystarczyła działka heroiny. - W niedzielę wieczorem zostawię auto ulicę dalej od domu Rippych. Kiedy wyjdiesz z przyjęcia, zawiozę cię tam. Pojedziesz do motelu OneTown i zaczekasz na mnie.

Pojadę do twojej matki i zabiorę Anthony'ego. Kiedy przywiozę ci go do motelu, ruszysz autostradą międzystanową na zachód. Ja zostanę i upewnię się, że twoje ślady zostały zatarte.

- A potem co?

- Znajdziemy adwokata, który wynegocjuje z Kipem wyciągnięcie cię z tego bagna. - Gestem powstrzymała Jo przed piętrzeniem przeszkód. - Możesz zeznać, że widziałas na tym filmie Marcusa. Pamiętaj o tym.

- Zeznać? - Jo znowu naszły wątpliwości. - Nie chcę...

- Do tego nie dojdzie. Ważne, żeby ta groźba nad nimi wisiała.

Jo zagryzła wargi, po czym spytała niepewnie:

- Dlaczego mam ci ufać?

- A komu innemu możesz? - Angie czekała na odpowiedź, choć wiedziała, że żadna nie padnie. - Co zyskam na tym, gdybym cię oszukiwała?

- To właśnie próbuję rozgryźć. - Jo zaczęła bawić się nerwowo złotym łańcuszkiem, który miała na szyi. - Myślałam, że nasłał cię Reuben, że kazał mnie przyprowadzić. Zwykle tak robi. Ale nie pozwala posłańcowi zadbać o mnie. Tym zajmuje się sam.

- Kogo po ciebie przysłał?

- Mężczyznę, zawsze mężczyznę.

Angie nie naciskała. Dała jej czas do namysłu.

- Chcesz pieniędzy? - zapytała w końcu Jo. - Liczysz na część tego, co dostanę od Reubena?

- Lepiej byś się poczuła, gdybym o coś poprosiła?

- Nie wiem. - Jo ciągle szukała słabych punktów. - Moja mama nie może podróżować. Ma słabe serce, musi być w pobliżu szpitala.

- Spójrz na mnie. - Angie czekała, aż córka skrzyżuje z nią spojrzenie. Miała takie same brązowe tęczówki. Taki sam migdałowy kształt oczu. Taki sam odcień skóry. Takie same włosy. Nawet takie samo brzmienie głosu. - Gdybym była twoją matką, kazałabym ci zabrać Anthony'ego, wyjechać z nim i nie oglądać się za siebie.

Jo przełknęła ślinę. Angie widziała idealną szyję. Proste plecy. Złość. Strach.

- Zgoda. Zrobię to.

## **SOBOTA - GODZINA 4:39**

Angie ziewała, jadąc Ponce de Leon Road. Blednący księżyc sprawiał, że wszystko przybrało kredowobiałą barwę. Była wyczerpana, ale nie mogła spać. Dwa dni temu aresztowanie Jo wzbudziło medialną wrzawę, a teraz przedstawiciele mediów gromadzili się pod bramą więzienia, oczekując planowanego zwolnienia Jo. Kip uprzedził Reubena, żeby się pilnował. W poniedziałek Jo miała wyjechać do ośrodka leczenia uzależnień, a poprzedniego wieczoru Marcus wystąpił na konferencji prasowej. Zapewnił, że związek Jo i Reubena jest trwały, że małżonkowie wyjdą z tej próby zwycięsko, ale potrzebują modlitwy i wsparcia życzliwych im ludzi. Niewyraźne zdjęcie Jo, która siedzi ze spuszczoną głową podczas jednego z meczów Reubena, było jedyną fotografią, jaką udało się znaleźć.

Angie powtarzała sobie, że w tej chwili Jo jest bezpieczna. Po wyjściu z aresztu tak musi pozostać jeszcze przez półtora dnia.

Pozornie Jo miała duże szanse na ucieczkę. Plan nie był skomplikowany, tyle że w tej układance było wiele niestabilnych elementów. W ciągu ostatnich dwu dni Angie zrobiła wszystko, co zamierzyła. Ukradła prawo jazdy Delilah, wynajęła auto, kilkakrotnie sprawdziła drogi ucieczki, w miejsce iPada od Sama Very kupiła używany sprzęt. Rozbiła go młotkiem na drobne kawałki, które oddała

Dale'owi. Zachowywała się normalnie, żeby nie wzbudzić w nim nadmiernej ciekawości.

Jak zawsze najtrudniej było z pieniędzmi. Angie miała na rachunku trzydzieści tysięcy dolarów, ale nie mogła ich wykorzystać. Przynajmniej nie za życia Dale'a, który miał dostęp do jej konta. Wysoka wypłata nie wchodziła w rachubę, mogła tylko podebrać gotówkę, którą Dale trzymał w bagażniku samochodu, i mieć nadzieję, że tego nie zauważy. Zawsze chował pieniądze z łapówek pod zapasowym kołem, zwłaszcza kiedy ścigali go bukmacherzy. Angie postanowiła wziąć pieniądze jutro, tuż przed przyjęciem. Nie będzie chciwa, w trakcie ucieczki Jo nie musi nocować w pięciogwiazdkowych hotelach. Parę tysięcy wystarczy, żeby pojechać na zachód i znaleźć obskurny motel z kanałem telewizyjnym HBO w ofercie, żeby zająć czymś dziecko.

Kradzież tożsamości Delilah była łatwa. Angie zrobiła rozeznanie w okolicy i postawiła na sklep ogólnospożywczy blisko Delilah, w którym prędzej czy później musiała się pojawić. Życie bez heroiny było trudne mimo przyjmowania suboxone'u. Ciągły niepokój, permanentne uczucie głodu. Angie zapłaciła jakiemuś chłopakowi, żeby kręcił się koło sklepu, a kiedy w końcu zjawiała się Delilah, wyjął jej z torebki portfel. Zabrał prawo jazdy, skopiował jedną z kart kredytowych i zniknął, zanim Delilah stanęła przy kasie.

Angie była wtedy w sklepie, ukryta za piramidą z puszek coli. Ryzykowny ruch, ale nie umiała sobie tego odmówić. Delilah zawsze ją fascynowała, na ile może fascynować ktoś,

kim się gardzi. Co czyniło ją tak wyjątkową? Na pewno nie więzy krwi. Dale miał innych krewnych, którzy kompletnie go nie obchodzili. Dlaczego przez tyle lat chronił Delilah, a jego ostatnim życzeniem było zapewnienie jej opieki? Za tym kryło się coś więcej niż dymanie.

Angie musiała przyznać, że Delilah mogła się podobać, o ile gustowało się w łatwych i zdzirowatych kobietach. Trochę przytyła, nie wyglądała już jak szkielet. Przestała farbować włosy, chociaż nadal ich nie myła. Angie stała niecałe pięć metrów od niej i widziała tłuste czarne strąki. Końcówki dotykały ramion, gdy Delilah wykladała na taśmę zakupy: półtoralitrowa butelka piwa słodowego, dwie paczki cheetos, tuba pringles, snickers, torebka skittles. Poprosiła o dwie paczki cameli, ponieważ przyglądanie się, jak ojciec umiera z powodu cukrzycy typu drugiego i uszkodzenia nerek, nie było dla niej wystarczającą przestrożą.

Delilah nigdy nie zwracała sobie głowy konsekwencjami, nie wybiegała myślą nawet o tydzień naprzód. Liczyło się dzisiaj, teraz, tylko to, co mogła mieć, kogo mogła wykorzystać i jak mogła na tym zarobić.

Czy wiedziała o funduszu powierniczym Dale'a? Tego Angie nie była pewna. Ale Dale musiał się jakoś zabezpieczyć i poinformować o funduszu kogoś jeszcze. Ten ktoś miał powiadomić Delilah, że to Angie będzie zarządzać jej pieniędzmi.

Dale ufał jeszcze tylko jednej osobie. Angie miała nadzieję, że nigdy więcej nie stanie twarzą w twarz z tą podłą kreaturą.



Zatrzymała się na czerwonym świetle. Znowu ziewnęła i potarła twarz. Miała wrażenie, że skóra zrobiła się gumowata. Za mało vicodinu, ale zmniejszyła dawkę z myślą o jutrzejszym wieczorze. Czekały ją koszmarne godziny, jednak musiała zachować jasność umysłu. Ponownie przeanalizowała plan, szukając słabych punktów i tych wszystkich przeszkód, które mogły się pojawić.

Kluczem był iPad. Trzymała go w torbie ze sprzętem detektywistycznym, którą schowała w bagażniku. Czuła, jakby w jej ręce wpadły materiały radioaktywne. Jedna myśl nie dawała Angie spokoju. Jo powiedziała, że laptop Reubena został wyczyszczony. Wyczyszczono także pamięć jej iPhone'a, tyle że zdalnie. Czy to oznaczało, że z iPada również wszystko zniknie, kiedy tylko Angie go włączy? Nowoczesna technologia ją przerastała, choć doskonale rozumiała jej znaczenie.

Nie powiedziała Jo o iPadzie. Nie ufała jej, w sklepie widziała, jak bardzo jest chwiejna, niepewna siebie i w ogóle wszystkiego. Zgodziła się na plan Angie tylko dlatego, że dawał szansę na zmianę zdania w ostatniej chwili. Na przyjęciu wystarczyło tylko trzymać się Reubena.

Jaką decyzję ostatecznie podejmie?

Pytanie pozostawało otwarte. Angie nie była pewna, czy córka zdecyduje się odejść. A nawet jeśli zniknie z przyjęcia, to czy zgodzi się na kontynuowanie ucieczki? Jo już odchodziła od Reubena, i to aż pięć razy. W każdym razie o tylu próbach wiedział Kip Kilpatrick. Bolesna prawda przyprawiała Angie o ból brzucha. Nawet jeśli Jo odejdzie,

ostatecznie i tak wyląduje z powrotem u boku Reubena. Jedynym sposobem zapobieżenia tej sytuacji było wyeliminowanie jej męża. Wtedy Jo nie miałaby do kogo wrócić.

Will pracował w GBI. Biuro śledcze dysponowało zespołem informatyków. Jeśli na iPadzie było wideo, koledzy Willa łatwo dotrą do nagrania. Will wreszcie pośle Marcusa i Reubena za kratki, a adwokat pomoże Jo unieważnić intercyzę. Może nawet nie będzie musiał jej podważać. Kariera Reubena zostanie przerwana, co złamie mu życie, a Jo po prostu zniknie. Raz w miesiącu będzie dostawać pieniądze z funduszu Delilah, wróci na studia, spotka porządnego faceta, urodzi drugie dziecko...

Angie zaśmiała się głośno. Kogo chciała oszukać? Jo nie lubiła porządnych facetów, tak samo jak ona. Nie bez powodu Angie nie mogła żyć ze swoim mężem.

Nie była nawet pewna, czy dożyje do poniedziałku.

Dale Harding miał krew na rękach, Laslo już zabijał, Kip nie zawaha się nacisnąć spustu z za olbrzymiego szklanego biurka. Jeśli któryś z nich odkryje, że Angie pomaga Jo, nie ucieknie przed ich zemstą.

Może dlatego chciała ostatni raz zobaczyć Willa. A gdyby nie zobaczyła jego samego, to chociaż popatrzy na jego rzeczy, dotknie jego czystych wykrochmalonych koszul w garderobie, pomiesza skarpetki idealnie ułożone w parach. Przełoży pastę do zębów do innego otworu w porcelanowym pojemniku. Wryje A w jego mydle, żeby biorąc prysznic, dotknął nim ciała i pomyślał o niej.

Zredukowała biegi do jedyńki. Omal nie przejechała domu Willa. Zaparkowała przy ulicznym hydrancie.

Will mieszkał w bungalowie, który kiedyś był metą ćpunów. W tej chwili wartość domu wynosiła prawdopodobnie około pół miliona dolarów, choćby ze względu na cenę parceli. W starannie odnowionym wnętrzu królowały neutralne barwy. Biurko Willa stało pod ścianą w pokoju dziennym. W jadalni centralne miejsce zajmował automat do gry we flippera. Trzeci pokój był pełen książek, które czytał z tą swoją skrupulatną powolnością, napędzany pragnieniem przebrnięcia przez klasykę literatury, ponieważ uznał, że właśnie tym zajmują się normalni ludzie.

Latem kosił trawnik co weekend, rynny czyścił dwa razy w roku, co pięć lat malował listwy wokół okien, mył taras i werandę myjką wysokociśnieniową, w ogródku od frontu posadził kwiaty. Był modelowym tatą z przedmieścia, tyle że nie mieszkał na przedmieściu i nie miał dziecka.

A przynajmniej nic o tym nie wiedział.

Podjazd był pusty, jak zwykle zresztą, bo Will spędzał większość wolnego czasu u Sary. Angie nie mogła pokonać systemu ochrony w budynku Sary bez wydania pokaźnej kwoty, ale znalazła zdjęcia apartamentu w archiwalnym ogłoszeniu na stronie biura nieruchomości. Kuchnia. Dwie sypialnie. Gabinet. Łazienka z wanną i prysznicem z dziesięcioma dyszami masującymi.

Wyglądało na to, że Sara wolała zachować dysze masujące tylko dla siebie.

Trzy tygodnie temu napisała:

*Poszłam za przykładem mamy. Zamówiłam malarzy do pomalowania łazienki dla gości, kiedy byliśmy w pracy. Zmieniłam ręczniki, żeby pasowały do koloru ścian. Will ucieszył się, że będzie miał u mnie swoją łazienkę, ale szczerze mówiąc, zabiłabym go, gdybym dłużej musiała z nim dzielić swoją.*

Angie ciekawiło, czy Will dał się nabrać na tę sztuczkę. Zakładała, że tak. Łykał te brednie jak głodny pelikan. Pewnie miał koszulkę z nadrukiem „Szczęśliwa żona, szczęśliwe życie”.

Uśmiechnęła się złośliwie. Dla Sary jedynym sposobem na poślubienie Willa było wyrwanie go z zimnych rąk martwej prawowitej żony.

Z tego chociażby powodu Angie musiała przetrwać jutrzejszy dzień.

Rozejrzała się uważnie, czy nie jest obserwowana przez ciekawskich sąsiadów, i przeszła na drugą stronę domu. Przy każdym innym właścicielu tylne drzwi niemiłosiernie by zaskrzypiały, ale u Willa wszystko było naoliwione. Angie znalazła zapasowy klucz nad futryną, otworzyła drzwi i stanęła oko w oko z dwoma chartami.

Zwinięte w kłębek leżały tuż przy sobie. Wyrwała je ze snu. Patrzyły na nią bardziej zaskoczone niż przestraszone. Angie nie czuła strachu, bo psy ją znały.

- Chodźcie - wyszeptała pieszczotliwie. - Dobrze pieski, bardzo dobre. - Pogłaskała je i poklepała, gdy podniosły się i przeciągnęły.

Zostawiła otwarte drzwi i charty wyszły na zewnątrz.

Betty warknęła.

Pies Willa stał w drzwiach kuchni, broniąc swojego terytorium.

Angie podniosła znienawidzonego kundla jedną ręką, drugą zatkała mu pysk, wystawiła za drzwi i błyskawicznie je zamknęła. Irytujący psi kurdupel próbował dostać się do środka przez specjalny otwór w drzwiach, ale Angie zablokowała go stopą, a potem zastawiła krzesłem.

Betty szczeknęła raz, potem drugi, i zamilkła.

Angie rozejrzała się po kuchni.

Obecność psów oznaczała ludzi.

Byli w tym domu, musieli przyjść tutaj z mieszkania Sary. Przechadzali się często, spacerowali, przemieszczali się na piechotę nawet w letnim skwarze, jakby nie wiedzieli o istnieniu samochodów.

Angie dała sobie chwilę do namysłu. Co właściwie robiła? W nękaniu posunęła się o kolejny krok dalej.

Czy naprawdę stała się groźna?

Zostawiła torebkę w aucie. Broń ciągle była nienabita. Coś jej mówiło, żeby nie wkładać magazynka do środka, dać sobie dodatkowy czas na wykonanie koniecznych czynności – włożenie magazynka, odciągnięcie zamka, wprowadzenie naboju do komory, położenie palca na spuście – zanim zrobi coś nieodwracalnego.

Spojrzała na swoje stopy. Palce miała uniesione, piętę mocno wbitą w ziemię, gotową do pierwszego kroku. Kołysała się w przód i w tył. Wyjść? Iść w głąb domu? Zostać w miejscu, póki ktoś nie wstanie?

Sara napisała do Tessy:

*Rano pije gorącą czekoladę. Kiedy się budzę, mam wrażenie, że całuję batonik czekoladowy.*

Również iPad został w bagażniku. W drodze Angie powtarzała sobie, że przekaże nagranie Willowi. To miał być jego złoty bilet gwarantujący powrót do sprawy Marcusa Rippy'ego. Will byłby wniebowzięty. Skoro planowała oddać mu iPada, dlaczego zostawiła go w bagażniku?

Znowu zerknęła na stopy. Zadarte palce czekały na decyzję.

Właściwie nie wiedziała, co tak naprawdę chce osiągnąć. Sprawić Willowi przyjemność? Dać mu popalić? Wrobić, kiedy Sara wejdzie do kuchni, spodziewając się całusa o smaku czekolady, i zamiast tego natknie się na nią?

Uśmiechnęła się na tę myśl.

Elektroniczny zegar w kuchence pokazywał piątą rano. Will za pół godziny zerwie się z łóżka na poranne bieganie. Miał wewnętrzny budzik, który działał niezawodnie bez względu na to, jakie pokusy czekały na niego w ciepłej pościeli.

Angie przycisnęła palce do podłogi. Uniosła piętę. Palce znowu dotknęły podłogi. Ruszyła w głąb domu, weszła do jadalni, weszła do salonu, weszła do łazienki. W końcu stanęła pod sypialnią Willa.

Otworzyła drzwi.

Will leżał na plecach. Miał zamknięte oczy. Na jego twarzy igrało nikłe światło. Nie miał na sobie koszulki. A przecież nigdy nie spał bez niej. Wstydział się blizn, śladów po

oparzeniach, urazów. Najwyraźniej przeszedł przemianę. Przyczyna tej przemiany znajdowała się między jego nogami. Długie kasztanowe włosy, mleczna skóra. Sara opierała się na łokciu, używała ręki i ust. Ale Angie nie mogła oderwać wzroku od jej drugiej ręki. Palce Willa były splecione z palcami Sary. Nie trzymał jej za głowę. Nie zmuszał do pójścia głębiej.

Trzymał ją za rękę. Za rękę!

Zatkała pięścią usta. Chciała krzyczeć, i wiedziała, że będzie. Odwróciła się na pięcie, przeszła przez salon, kuchnię, ogród na tyłach domu, podjazd. Dała upust emocjom dopiero po wejściu do samochodu i zamknięciu drzwi. Otworzyła usta i wrzasnęła najgłośniejszym głosem, jak umiała. Wrzeszczała, póki nie poczuła w ustach smaku krwi. Okładała pięściami kierownicę, łkając spazmatycznie. Każdą kostkę w jej ciele paliła wściekłość.

Wysiadła z auta, otworzyła bagażnik, złapała torebkę, wyciągnęła broń. Magazynek był wyjęty, ale włożyła go na miejsce. Zaczęła odciągać zamek, żeby wprowadzić nabój do komory, ale ręce miała zbyt śliskie od potu.

Spojrzała na glocka. Sprawiała go sobie w prezencie, gdy dostała pracę u Kipa. Powinna lepiej o niego dbać. Metal wyglądał na suchy. To Will zwykle konserwował jej broń, dbał o auto, uzupełniał paliwo; pilnował, żeby skrzynia biegów nie przeciekała jak sito; żeby miała pieniądze na rachunku... żeby czuła, że nie jest na świecie sama.

Teraz to wszystko robił dla Sary.

Znowu wsiadła do auta i rzuciła broń na deskę rozdzielczą.

To było niesprawiedliwe. Próbowwała postąpić właściwie, pomóc Jo, pomóc Willowi w sprawie przeciwko Marcusowi Rippy'emu. Dla córki ryzykowała życie. I takie podziękowanie dostała? Może miała już na plecach tarczę strzelniczą. Dale był podejrzliwy, wiedział więcej, niż ujawniał. Angie uważała, że to ona nimi manipuluje, a może to jednak oni manipulowali nią. Albo Jo była słabym ogniwem. Chrzanić to, jeśli nie zjawi się przed domem Rippy'ego jutro wieczorem. Ważniejsze, że do tej pory mogła zdradzić Reubenowi, co się dzieje. Wtedy nastąpi reakcja łańcuchowa. Reuben przekaze tę informację Kipowi, Kip zwróci się do Lasła, a wtedy ona skończy z nożem w piersi jeszcze przed wyjściem Jo z aresztu.

Niech Will zidentyfikuje jej ciało. Niech zobaczy nóż w jej sercu. Niech doświadczy zgrozy zrodzonej z przekonania, że zawiódł ją po raz kolejny. Niech płacze, trzymając w dłoniach jej martwą skrwawioną rękę.

I niech ta cipa Sara Linton to widzi.

Wyjęła z torebki notes, wzięła długopis i zaczęła pisać dużymi drukowanymi literami:

TY PIEPRZONY SKUR...

Przerwała nagle. Pisała tak wściekle, że długopis przebił papier. Serce waliło jej jak młot, miała wrażenie, jakby wędrowało coraz wyżej, aż do gardła. Wydarła kartkę z notesu, próbowała uspokoić oddech, zapanować nad drżeniem dłoni. Musiała to zrobić jak należy. Nie mogła zranić Willa słowami bez trafienia w czuły punkt.

Przycisnęła długopis do czystej kartki. Pochyłe pismo. Małe



lityry. Opadające linijki. Nie dla Willa. Dla Sary.

*Cześć, skarbie. Jeśli ktoś czyta ci mój list, to znaczy, że już nie żyję.*

Zapełniła obie strony. Czowała, jakby pękła w niej tama. Trzydzieści lat podarowanych Willowi. Trzydzieści lat zajmowania się jego problemami. Pocieszania go. Pozwalania, żeby ją pieprzył. Pieprzenia go. Will może nie znajdzie tego listu od razu, ale w końcu na niego trafi. Albo ona zginie, albo Sara w końcu wymusi na nim zerwanie. Will pójdzie do banku, znajdzie namiary na skrytkę pocztową, i zamiast szukać sposobu, jak odnaleźć Angie, znajdzie ten list.

- Pieprzyć cię - mamrotała. - Pieprzyć ciebie, pieprzyć twoją dziewczynę, pieprzyć jej siostrę, jej pieprzoną rodzinę i jej pieprzone...

Usłyszała dźwięk zamykanych drzwi.

Na werandzie od frontu stał Will. Miał na sobie strój do biegania. Wyciągnął w górę ramiona, zrobił skłon w prawo, potem w lewo. Poranny bieg o wpół do szóstej. To jedno nigdy się nie zmieniało. Angie czekała, aż Will zauważy jej auto, ale zamiast spojrzeć na ulicę, kucnął przy ścieżce, zerwał kwiat z rabatki i wszedł do domu. Upłynęła minuta, zanim wrócił na werandę z pustymi rękami i uśmiechem na ustach.

Angie chciała zetrzeć mu z twarzy ten głupawy uśmieszek. Wsiadła z auta. Wlepiała w niego wzrok. Czekala, aż wreszcie ją dostrzeże.

Ale przeliczyła się. Will rozciągnął mięśnie nóg, sprawdził

umocowanie butelki w pasie biodrowym, poprawił sznurowadła.

W końcu spojrzał w jej kierunku.

Otworzył szeroko usta.

Angie spiorunowała go wzrokiem. Miała ochotę wydłubać mu oczy, kopnąć w twarz.

- Angie? - zapytał.

Wskoczyła do auta, trzasnęła drzwiami, uruchomiła silnik, odjechała od krawężnika.

- Zaczekaj! - krzyknął Will. Biegł za nią, pracując mocno ramionami, sadząc długie susy. - Angie!

Widziała go w tylnym lusterku. Zbliżał się, raz po raz wołał jej imię. Zahamowała ostro, porwała broń z deski rozdzielczej, wyskoczyła z auta i wycelowała glocka w głowę Willa.

Jego ręce powędrowały w górę. Dzieliło ich niecałe pięć metrów. Dobry dystans, by nieuchronnie zainkasować ostatnią w swym życiu kulę.

- Chcę z tobą tylko porozmawiać - powiedział.

Angie zatrzymała palec tuż przy spuście, po chwili cofnęła go lekko, opuszką musnęła bezpiecznik spustowy, położyła palec na spuście i energicznie nacisnęła.

Klik.

Will drgnął.

Nabój nie wyleciał z lufy.

Strzał na sucho. Komora była pusta. Angie miała zbyt mokrą rękę, żeby odciągnąć zamek.

- Chodźmy gdzieś i porozmawiajmy - zaproponował Will.

Wpatrywała się w męża. Wszystko w nim było znajome, a jednak inne. Linia szczupłych nóg. Twarde mięśnie brzucha pod T-shirtem. Długie rękawy zakrywające bliznę na ramieniu. Usta, które ją całowały. Dłonie, które jej dotykały. A teraz dotykały Sary. I trzymały ją za rękę.

- Zmieniłeś się - powiedziała.

- Pewnie tak... Muszę z tobą porozmawiać.

- Nie ma o czym. Już cię nawet nie poznaję.

- Tak wyglądam, kiedy jestem zakochany. - Uniósł rękę.

Angie poczuła zimny metal przy udzie. Uszło z niej powietrze. Miała wrażenie, jakby kwas wypalał jej żołądek.

Odciągnąć zamek. Wprowadzić nabój do komory. Nacisnąć spust. Pozbyć się problemu raz na zawsze. Niech Sara znowu zostanie wdową. Wymazać trzydzieści ostatnich lat, ponieważ nie miały znaczenia. Nigdy się nie liczyły, przynajmniej nie dla Willa.

Wsiadła do auta, glock wrócił na deskę rozdzielczą. Wcisnęła pedał gazu do oporu. Bolało ją całe ciało, bolała dusza. Czowała się jak pobita. Chciała, żeby Will ją stłukł, rozciął jej usta, podbił oczy, pogruchotał kości. Pomstował, wyzywał, wściekał się...

Wszystko, co by dowiodło, że nadal ją kocha.

## NIEDZIELA - GODZINA 23:49

Angie zapaliła jointa. Księżyc w pełni wisiał jej nad głową jak potężny reflektor punktowy. Spojrzała we wsteczne lusterko. Pusto. Umówiły się, że Jo wyjdzie z przyjęcia o północy. Ta godzina wydawała się równie dobra jak każda inna. Przyjęcie zaczęło się o dziewiątej, najważniejsi goście zjawili się o dziesiątej. Dwie godziny intensywnego życia towarzyskiego i dwie godziny dla Jo na odłączenie się od Reubena. Albo na tchórzliwą decyzję pozostania z mężem.

Północ.

Albo Jo zamieni się w dynię, albo w jej córkę.

Dmuchnęła na czubek jointa. Nie miała pojęcia, co zrobi Jo. Musiała spojrzeć prawdzie w oczy: nie znała jej. Przybyła tutaj, ponieważ obiecała sobie, że doprowadzi tę sprawę do końca. To, co wydarzy się później, zależało od Jo. Angie miała pewność co do jednego. Bez względu na decyzję Jo, ona i tak wyjedzie z miasta.

Spojrzała na plastikową żółtą obrączkę na palcu. Liście słonecznika połamały się w torebce. We wszystkich jej torebkach. Zmieniała torebki co jakiś czas i zawsze przekładała tam obrączkę. Dlaczego?

Czyżby przypisywała jej jakieś znaczenie?

Dziecięca zabawka kupiona w automacie z gumami do żucia symbolizowała związek, który zaczął się niemal trzydzieści lat temu. Angie zawsze udawała, że nie pamięta pierwszego razu z Willem. Zagraczona piwnica pani

Flannigan. Mysie odchody na podłodze. Poplamiony materac. Zapach spermy. Był taki wrażliwy.

Zbyt wrażliwy.

Wrażliwość, jak strach, była zaraźliwa. Tamtego dnia Will był zrozpaczony, ale to ona czuła się niepoczyszona. Odśloniła przed nim tę część swojej natury, której nikomu innemu ani przedtem, ani potem nie pokazała. Opowiedziała mu o alfonsie matki. Opowiedziała o tym, co wydarzyło się potem. Od tamtej pory Will nie patrzył na nią jak wcześniej. Wziął na siebie obowiązki wybawiciela, superbohatera. Ryzykował życie, żeby ją chronić. Ciągłe wyciągał ją z kłopotów, dawał pieniądze, zapewniał bezpieczeństwo.

Czego chciał w zamian?

Niczego, co Angie przychodziło do głowy. Z tego rodzaju transakcją nie mogłaby się pogodzić. Pod wieloma względami byłoby lepiej, gdyby Will jej to wypominał albo za to karał. Jego jedyną nagrodą było współczucie. Nigdy nie prosił jej o to, za co inni mężczyźni jej płacili. Pragnął tego, nie był święty, ale za wiele wiedział, za wiele rozumiał w tamtej wilgotnej piwnicy. To doświadczenie splotło ich ze sobą na zawsze.

Angie miała dziesięć lat, kiedy Deidre Polaski wbiła sobie w żyłę igłę i zapadła w dwudziestoletni sen. Przez długie tygodnie Angie siedziała przy pogrążonym w śpiączce ciele. Oglądała telenowe, spała, myła i czesała bezwładne ciało matki. W słoiku po kawie rozpuszczalnej schowanym za grzejnikiem był zwitek banknotów. Angie wydawała je na pizzę i fast foody, aż wreszcie gotówka się skończyła. Do

drzwi zapukał alfons Deidre po swoją dolę. Angie powiedziała mu, że nic nie zostało, więc wziął sobie kawałek jej.

Jej usta. Jej ręce.

Ale nie jej ciało.

Dale Harding nie chciał popsuć innym uczyty.

Wszyscy powtarzali, że Dale jest złym gliną, ale nikt nie przypuszczał, jak bardzo złym. W przekonaniu ogółu chodziło o alkohol i hazard, tymczasem Dale Harding utrzymywał stajnię nieletnich dziewcząt, które dorabiały do jego pensji wypłacanej przez miasto. Robił zdjęcia, które sprzedawał innym mężczyznom. Sprzedawał dziewczęta. Sam też je wykorzystywał.

Zarabiał na Delilah, własnej córce. Na Deidre, własnej siostrze. I na Angie, własnej siostrzenicy.

Trzydzieści trzy lata temu to Dale zapukał do drzwi Angie. Jej wujek. Jej wybawiciel. Jej alfons.

Stąd wiedziała o plikach banknotów, które trzymał pod zapasową oponą w bagażniku. Nazywał je funduszem ucieczkowym, na wypadek gdyby śledczy, z którymi pracował, zainteresowali się nim służbowo. Jednak nigdy do tego nie doszło. Przez te wszystkie lata zarobił i stracił fortunę. Zawsze były jakieś porzucone dziewczęta do wykorzystania, zawsze była gotówka do zarobienia. I zawsze była Angie, która czekała gdzieś na uboczu, żeby ją zauważył.

W jej życiu Dale Harding był jedynym człowiekiem, który mógł kojarzyć się z ojcem.

Gdziekolwiek umieszczali ją pracownicy opieki społecznej, bez względu na warunki, Angie zawsze znajdowała drogę do Dale'a. Dla niego stała się policjantką, rozwiązywała jego problemy, opiekowała się Delilah, chociaż marzyła tylko o tym, by owinać jej głowę torbą foliową i patrzeć, jak się dusi.

Will nie wiedział, że to gliniarz stręczył Angie innym. Był tak dobry, jak Dale Harding był zły. Robił wszystko jak należy, przestrzegał zasad. Miał jednak w sobie tę samą zwierzęcą dzikość co Angie. Mógł włożyć garnitur i strzyć włosy na przepisową długość, ale Angie i tak umiała go przejrzeć. Wiedziała, jak nacisnąć ten guzik, który budził w Willu zwierzę. Przez lata igrała z myślą, żeby powiedzieć mu o Dale'u. Był taki czas, kiedy Will, gdyby dowiedział się, co ten człowiek zrobił Angie, namierzyłby Dale'a i wpakował mu kulę w brzuch.

Zastanawiała się, co zrobiłby teraz. Pewnie porozmawiałby z Sarą. Pochylają się oboje nad jej tragicznym losem, potem idą na kolację, a po powrocie do domu kochają się.

I to najbardziej jej przeszkadzało. Nie oral, nawet nie splecione dłonie, ale ta swoboda między nimi. Uczucie, które wypełniało cały pokój.

Szczęście. Zadowolenie. Miłość.

Angie nie pamiętała, żeby kiedykolwiek odczuwała to z Willem.

Powinna pozwolić mu odejść. Pozwolić na normalność, za którą tęsknił przez całe życie. Na nieszczęście ona nigdy nie postępowała właściwie, kiedy czuła się zraniona. W takich

sytuacjach ruszała do ataku.

Zgasiła jointa w popielniczce. Wszystko, czego nienawidziła w Jo, było w niej samej.

Zerknęła na zegarek. Jedenasta pięćdziesiąt dwie. Miała wrażenie, że zegar chodzi do tyłu.

Wysiadła z samochodu, ale parne powietrze omal nie wepchnęło jej z powrotem. Mimo późnej pory temperatura nie spadła, luźna sukienka z cieniutkiej bawełny była mokra od potu. Angie oparła się o bagażnik. Nagrzany metal parzył skórę. Ruszyła przed siebie wolnym krokiem. Musiała uważać, żeby nie odejść za daleko. Nerwy miała napięte jak postronki. Za szybko zmniejszyła dawkę vicodinu. Martwiła się o Jo, bała się Lasla, śmiertelnie przerażał ją Dale. Obawiała się, że jej plan zneutralizowania Kipa Kilpatricka obróci się przeciwko niej.

Dale zawsze mawiał, że trzeba używać siekiery, nie młotka. Angie pomyślała, że siekierą można odciąć głowę wężowi.

Jej rozmyślenia przerwał krzyk kobiety.

Zwróciła głowę w stronę ulicy, w stronę podjazdu Rippy'ego. W kierunku, z którego dobiegał głos wzywający pomocy.

- Błagam, nie! - wołała Jo.

Angie dopadła bagażnika. Nie wzięła broni, tylko chwyciła łyżkę do opon. Zrzuciła buty na obcasach i pobiegła w dół ulicy, machając rękami, wyciągając szyję. Zupełnie jak Will, kiedy pędził za jej autem wczoraj rano.

- Na pomoc! - wołała Jo. - Błagam!

Angie skręciła w podjazd. Brama była otwarta, dom jaśniał



od świateł, muzyka dudniła rytmicznie. Strażników nie było, nikt nie obserwował obrazu z kamer.

- Na pomoc! Ratunku! - wołała Jo.

Reuben Figaroa ciągnął żonę za włosy, gołe stopy Jo szorowały po trawie. Reuben kierował się do lasu, z dala od domu. Chciał dla siebie odrobinę prywatności.

- Ratunku!

Angie nie ostrzegła Reubena. Nie kazała mu przestać. Zanim zauważył jej obecność, już zamierzyła się na niego metalowym prętem. Uderzyła go w głowę. Siła uderzenia była tak duża, że poczuła drżenie w dłoni, które promieniowało na ramię i plecy.

Reuben wypuścił Jo, otworzył usta, oczy uciekły mu w tył głowy. Padł na ziemię nieprzytomny. Angie znowu uniosła pręt. Tym razem mierzyła w kolano, to z ortezą. To, które było operowane. Czas płynął w zwolnionym tempie. Przypomniała sobie, że najlepszy ortopeda na świecie dał Reubenowi jeszcze pięć lat gry. Ona jednym ruchem ręki zamierzała mu to odebrać.

- Nie! - Jo złapała ją za rękę. - Nie kolano! Nie kolano!

Angie próbowała uwolnić się z uścisku, by zamachnąć się jak trzeba.

- Błagam, nie! - wołała Jo. - Proszę!

Angie zobaczyła dłoń córki zaciśniętą na jej dłoni. Pierwszy raz Jo jej dotykała.

- Chodźmy - powiedziała Jo. - Chodźmy stąd.

Miała błagalny wyraz twarzy, błędny wzrok, krew leciała jej z nosa i ust. Sprawiała wrażenie, jakby nie wiedziała,

kogo bardziej się bać, męża czy Angie.

Angie rozluźniła mięśnie ręki, zbiegła z podjazdu na ulicę i podniosła buty, które zrzuciła, ruszając Jo na ratunek. Dopadła do auta i cisnęła łyżkę do bagażnika. W tej chwili dogoniła ją Jo.

- On musi grać - powiedziała. - Jego następny kontrakt...

- Wsiadaj - warknęła Angie.

Rzuciła buty na tylne siedzenie. Nie chciała wysłuchiwać tłumaczeń Jo. Mimo że odeszła, planowała powrót.

Silnik już pracował. Angie zapięła pasy. Jo w końcu wsiadła do auta.

Angie ruszyła, zanim Jo zamknęła drzwi.

- Zobaczył mnie. Próbowałam...

- Nieważne...

Reuben rozpoznał Angie. Wyczytała to z jego spojrzenia. Wiedział, że Angie pracuje dla Kipa. Wiedział, że jest człowiekiem do zadań specjalnych. A teraz dowiedział się, że odbiera mu żonę.

Jo zapięła pasy. Utkwiła wzrok w przedniej szybie.

- Myślisz, że nie żyje? - zapytała.

- Stracił przytomność. - Angie zerknęła na zegarek. Kiedy Reuben się ocknie? Ile czasu minie, zanim wezwie Kipa, Lasla i Dale'a?

- Co ja narobiłam? - wymamrotała Jo. Teraz dotarło do niej, jaką cenę zapłaci za swoje nieposłuszeństwo. - Musimy stanąć. Nie możemy jechać dalej.

- Mam nagranie - powiedziała Angie.

- Co?

- Mam nagranie, na którym Marcus i Reuben gwałcą tę dziewczynę.

- Jakim cudem? - zapytała Jo, ale nie czekała na wyjaśnienia. - Nie możesz tego wykorzystać. Oni pójdą do więzienia. A LaDonna...

- Nie boję się LaDonny.

- A powinnaś.

Angie gwałtownie skręciła na parking i zatrzymała się przy czarnym fordzie fokusie.

- Tu są kluczyki. - Opuściła przesłone przeciwsłoneczną. Kluczyki upadły na kolana Jo. - Jedź do motelu i czekaj tam na mnie.

- Nie możemy - powtórzyła Jo. - To nagranie. Zabiją mnie. Zabiją ciebie.

- Myślisz, że nie wiem? - Angie mocno zaciskała pięści. Miała ochotę wbić córce do głowy trochę zdrowego rozsądku. - To koniec, skarbie. Nie ma powrotu do Reubena. Nie ma powrotu do czegokolwiek.

- Nie mogę...

- Wsiądź. - Angie przechyliła się i otworzyła drzwi od strony pasażera. Przez chwilę szarpała się z klamrą pasów bezpieczeństwa. - Wynocha z mojego auta.

- Nie! - Jo wczepiła się w jej rękę. - On mnie znajdzie! Nie rozumiesz! - Spojrzała w twarz Angie, szukając u niej współczucia. Kiedy go nie znalazła, wykrzywiła twarz w rozpacz, zakryła oczy dłońmi, zaczęła łkać. - Nie każ mi tego robić.

Angie obserwowała szlochającą córkę. Szczupłe ramiona

drżały, ręce trzęsły się nerwowo. Ten widok mógł złamać serce, o ile się je miało.

- Skończ z tym cyrkiem. Nie kupuję tego.

Jo oderwała dłonie od twarzy. W jej oczach nie było łez. Angie zobaczyła czystą nienawiść.

- Nie możesz mnie do niczego zmusić.

- Był dla ciebie miły? - zapytała Angie, ponieważ tylko tak mogła trafić do Jo, narzucić jej minimum logiki. - Wyszłaś z aresztu, a on zamiast cię stłuc, zapewnił, że wszystko będzie dobrze? Że odtąd będzie zupełnie inaczej?

Nozdrza Jo się rozszerzyły. Angie trafiła w sedno.

- Tak cię do siebie na nowo przywiązał? - mówiła dalej. - To od niego usłyszałaś: „Kocham cię, skarbie. Zaopiekuję się tobą. Nigdy cię nie zawiodę. Nigdy nie zostawię cię, jak to zrobiła twoja mama”.

- Nie wycieraj sobie gęby moją mamą.

Angie złapała Jo za brodę i odwróciła jej głowę ku sobie.

- Posłuchaj mnie, głupia suko. Reuben mnie widział. Wie, że ci pomagam. Myślisz, że twoja mama miała cię gdzieś? Do mnie jej daleko.

Łzy w oczach Jo były teraz prawdziwe.

Angie ścisnęła ją jeszcze mocniej.

- Pojedziesz do motelu, ja pojedę po twojego syna, a potem spieszymy stąd. Rozumiesz?

Jo skinęła bez słowa.

Angie oderwała rękę od jej twarzy.

- Daj mi telefon.

- Upuściłam go, kiedy...

Angie obmacała ją i znalazła telefon wetknięty w stanik.

- Uprzedziłaś matkę, że przyjadę po Anthony'ego?

Jo znowu skinęła głową.

- Jeśli kłamiesz... - Angie zamilkła. Nie mogła nic zrobić, jeśli Jo kłamała. - Wysiadaj.

Jo bała się ruszyć.

- On mnie znajdzie. Znajdzie nas.

Angie złapała ją za sukienkę na piersiach, przyciągnęła do siebie i rzuciła na siedzenie.

- Albo mnie posłuchasz, albo potnę twojego syna na kawałki i tak ci go odeślę.

- Reuben da ci wszystko, czego będziesz chciała. - Głos Jo przeszedł w pisk. - Zapłaci, ile...

- Anthony za to zapłaci.

Jo tonęła we łzach. Zrozumiała, że nie ma wyjścia. Kiwnęła głową, zrobiła to bardzo powoli. Angie spodziewała się takiej odpowiedzi. Kobiety takie jak Jo reagowały tylko na groźby.

- Nie zatrzymuj się i nie dzwoń z budki. Nie wracaj do Rippych. Wsiadaj do auta, jedź do motelu. Czekać na mnie.

W końcu Jo wysiadła i otworzyła drzwi wynajętego samochodu. Angie czekała, aż odjedzie. Chciała się upewnić, że skręci w Piedmont, zamiast zawrócić w stronę Tuxedo Drive.

Opuściła szybę i rzuciła iPhone'a Jo na chodnik. Oparła się pokusie wdeptania go w ziemię.

- Wiedziałam - mruknęła.

Wiedziała, że jej córka jest słaba. Wiedziała, że będzie próbowała wrócić.

Trzy razy przejechała po telefonie, zanim skręciła w lewo przy wyjeździe z parkingu i skierowała się na Peachtree. Matka Jo mieszkała w eleganckim apartamentowcu przy Jesus Junction. Mieszkanie opłacał Reuben Figaroa. Angie musiała zachować spokój, kiedy starsza pani jej otworzy. I musiała się śpieszyć, ponieważ nie miała pojęcia, czy Reuben nie odzyskał już przytomności.

Poszukiwania Jo rozpoczęłyby od mieszkania matki.

Spojrzała w lusterko. Miała potargane włosy, rozmazaną kredkę do oczu. Palcem poprawiła kreskę. Nie mogła wyglądać groźnie, gdy stanie przed matką Jo.

Czy była groźna?

Była. I to jak.

Zadzwoił telefon. Donośny dźwięk wypełnił wnętrze auta. Angie przechyliła się w stronę tylnego siedzenia i zaczęła grzebać w torebce. Za późno, sygnał zamilkł. Spojrzała na wyświetlacz.

NIEODEBRANE POŁĄCZENIE OD: HARDING, DALE.

- Cholera. - Za dużo czasu straciła w aucie z Jo. Dziesięć minut? Piętnaście? Reuben się ocknął, Kip już wiedział, Laslo ruszył na polowanie. Dale myślał, że namówi ją do zmiany zdania. Jakby ciągle była tą dziesięcioletnią dziewczynką, którą przekupił cukierkami, żeby wcisnąć jej kutasa w tyłek.

Telefon zagwizdał. Dale przysłał esemesa.

Przesunęła kciuk po ekranie. Do wiadomości było dołączone zdjęcie.

Anthony.

Szeroko otwarte oczy. Plecy oparte o pustą ścianę. Długie

ostrze myśliwskiego noża przytknięte do szyi.

Pod zdjęciem podpis:

WNUK.

Wydała tłumiony okrzyk. Serce w niej zamarło. Dziecko Jo. Jej wnuk. Co ona narobiła? Jak do tego doszło?

Musiała zjechać na bok.

Kolejny gwizd. Kolejna wiadomość. Kolejne zdjęcie.

Jo.

Czyjaś ręka na jej szyi. Plecy przyklejone do drzwi samochodu. Usta otwarte w niemym krzyku.

Pod zdjęciem jedno słowo:

CÓRKA.

Angie poczuła pieczenie w gardle, które przeniosło się wyżej, w nozdrza. Szarpnęła drzwi, otworzyła usta, strumień żółci chlusnął na chodnik. Jej żołądek wyczyniał dzikie harce, w ustach został kwaśny palący smak.

Co ona narobiła? I co mogła teraz zrobić?

Wyprostowała się na siedzeniu. Wytarła usta wierzchem dłoni.

- Myśl, myśl - powtarzała sobie.

Dale porwał Jo i Anthony'ego albo zlecił to porwanie. Przysłał Angie dwa zdjęcia, dwa dowody życia. Tło obu zdjęć było inne. Jo siedziała w samochodzie, Anthony stał na tle ściany. To była zaplanowana i skoordynowana akcja. Dale zawsze wyprzedzał Angie o dwa kroki. Zdobył informacje o Jo. Zdobył informacje o niej. Poświęcił sporo czasu na utkanie sieci, w którą wpadła.

Domyślała się odpowiedzi, mimo to napisała:

CZEGO CHCESZ?

Dale odpisał natychmiast:

*iPada.*

Nigdy nie ufał Angie, nawet w najdrobniejszych sprawach. Musiał zebrać kawałki rozbitego iPada i dać do sprawdzenia Samowi, który stwierdził, że to nie klon, który dał Angie. Dale'a zaintrygowało, dlaczego zadała sobie tyle trudu, żeby podmienić iPada, i wreszcie pojął, że nagranie, którego Marcus Rippy tak bardzo chciał się pozbyć, jest warte o wiele więcej niż ćwierć miliona dolarów na koncie w funduszu powierniczym.

Od czasu dzieciństwa Angie nic się nie zmieniło. Była przekonana, że ma wszystko pod kontrolą, ale to Dale pociągał za sznurki.

Jej telefon znowu zagwizdał.

Dale napisał:

NOCNY KLUB. ZARAZ.



## **PONIEDZIAŁEK - GODZINA 1:08**

Kia Dale'a stała już na parkingu przed klubem. Oparta o maskę Delilah paliła papierosa.

Angie wyskoczyła z auta, zanim zdążyło zatrzymać się na dobre. Asfalt parzył ją w stopy. Podniosła rękę, w której trzymała glocka. Wycelowała w Delilah i pociągnęła za spust.

Tym razem w komorze był nabój.

- Kurwa! - Delilah zgięła się wół i złapała za nogę. Spomiędzy palców pociekła krew. - Ty pierdolona suko!

Angie walczyła z chęcią ponownego pociągnięcia za spust.

- Gdzie Jo?

- Wal się! - wrzasnęła Delilah. - Zdechnie, jeśli nie zrobisz tego, co masz zrobić!

- Gdzie Jo? - powtórzyła Angie.

- Mówisz o swojej córce? - Dale wygramolił się z auta. W księżycowej poświacie miał niemal białą twarz. Drobinki suchej skóry wokół ust, złote oczy. Ciężko oparł się brzuchem o samochód, przedramię oparł o dach. Mierzył do Angie z rewolweru.

- Zabij ją! - wrzasnęła Delilah. - Odstrzel jej ten pieprzony łeb.

- To tylko draśnięcie - wysapał Dale. Wyjście z auta kosztowało go wiele wysiłku. Skóra mu lśniła, ale nie od potu. - Zabierz jej broń.

Angie wycelowała glocka w głowę Delilah.

- Spróbuj.

- Zastrzelisz ją, ja zastrzele ciebie, a potem i tak dostanę, czego chcę, bo mam twoją córkę i wiesz, co mogę zrobić twojemu wnukowi - powiedział Dale.

Determinacja Angie osłabła. Jo. Musiała myśleć o Jo. Gdyby myślała, co Dale może zrobić Anthony'emu, nie przeżyłaby nocy.

- Dee, odbierz jej broń.

Delilah pokuśtykała do niej. Wyciągnęła rękę, ale Angie zamachnęła się i rzuciła glocka na drugi koniec parkingu.

- Jasna cholera - powiedział Dale. - Przynieś go.

- Nie potrzebuję broni. - Delilah otworzyła nóż sprężynowy, ostrze wycelowała w policzek Angie. - Widzisz, jaki ostry, suko? Mogę rozciąć ci twarz jak melona.

- Zrób to. - Angie spojrzała kuzynce w oczy. Taki sam kolor tęczy. Taki sam migdałowy kształt oczu. Takie same napady wściekłości. Tyle że ona umiała nad nimi zapanować. - Jeśli nie, następnym razem zobaczysz ten nóż w moich rękach. Wydłubię ci nim oczy.

- Żadna z was nic nie robi. Odłóż ten cholerny nóż - powiedział ostrzegawczo Dale, ale Delilah wiedziała, że i tak nie zrobi jej krzywdy. - Przeszukaj auto. - Kiedy nie ruszyła się z miejsca, dodał: - Dee, proszę cię, przeszukaj auto.

Delilah nacisnęła przycisk z boku rękojeści. Ostrze noża wsunęło się do środka.

- Ej! - Dale huknął ręką w dach auta, by skupić uwagę Angie na sobie.

Zwróciła głowę w jego kierunku. Serce podeszło jej do gardła. Na chwilę zapomniała, dlaczego się tu znaleźli. Dale

umierał. Nie za tydzień, ale w tej chwili. Widziała efekty wyłączania się kolejnych organów. Miał sine usta, nie mrugał powiekami, przestał się pocić. Kolor jego skóry przypominał żółtawy wosk, który musiała zeszkrobywać ze stolika, jeśli pozwoliła świecy płonąć za długo. W jego oczach nie było blasku. Widziała tylko beznamiętną akceptację. Śmierć okrywała cieniem każdy zakamarek jego pokrytej bruzdami twarzy.

Odwróciła głowę, żeby nie zobaczył łez wzbierających w jej oczach.

- Deidre Will? - zapytał.

To były fałszywe dane, jakie wpisała w metryce urodzenia Jo w rubryce MATKA.

- Nie sądziłaś, że zacznę węszyć, kiedy poprosiłaś mnie o robotę w 110?

Angie wytarła oczy wierzchem dłoni. Na palcu ciągle miała obrączkę Willa. Przekręciła ją, żeby Dale jej nie widział.

- Gdzie Jo?

- Dla mnie już nie żyje. - Delilah grzebała w torebce Angie.

- Wbiję tej suce nóż w serce.

Angie wyrwała jej torebkę i zwróciła się do Dale'a.

- Gdzie Jo? Co jej zrobiłeś?

- Na razie jest bezpieczna. - Powieki mu opadały, w kącikach ust gromadziła się ślina, broń trzymał pod kątem.

- Czy tak zostanie, zależy od ciebie.

- Gdzie ona jest? - powtórzyła Angie.

Dale głową wskazał klub. Łańcuch na drzwiach wejściowych był przecięty. Tylko rewolwer Dale'a

powstrzymał Angie przed natychmiastowym rzuceniem się do budynku. Dale strzeliłby do niej nawet nie po to, by zabić, ale żeby jej przeszkodzić.

- Szlag! - wrzasnęła Delilah. Grzebiąc w bagażniku Angie, znalazła torbę ze sprzętem i butelkę oleju do skrzyni biegów.

- Tutaj go nie ma, tatusiu.

- Tak nazywasz swojego męża? - zakpiła Angie.

- Zamknij się, suko.

- Obie się zamknijcie. Gdzie iPad? - zapytał Dale.

- Nigdy go nie znajdziesz. - Angie użyła gotówki Dale'a do przekupienia kierownika motelu. Pomyślała, że jeśli sprawy się skomplikują, to będzie lepiej, jeśli Will nie znajdzie nagrania.

- Zapominasz, że trzymam twoją córkę związaną jak wołu.

- Nie zrobisz jej krzywdy. Jest zbyt cenna. - Angie nie dała wiary temu blefowi.

- Fig nie chce jej z powrotem. Towar ze skazą. Dokonała wyboru.

Angie wiedziała, że to nieprawda. Jo sama to powiedziała. Reuben Figaroa nie przegrywał.

- Co jest na nagraniu? - zapytał Dale.

- Więcej kasy, niż możesz sobie wyobrazić - odparła Angie.

- Możemy zająć się tym razem. Nikomu nie stanie się krzywda.

- Chcesz swoją dolę - skwitował z uśmiechem.

- Chrzanić to - wtrąciła Delilah. - Suka nie dostanie ani jednego mojego centa.

- Zamknij buzię, skarbie. - Dale nie musiał podnosić głosu.

Delilah wiedziała, że pewne rzeczy nie ujdą jej na sucho. - Przywieź mi iPada, wtedy pogadamy - zwrócił się do Angie.

- Przyszedł twój koniec. Widzę to, Dale. Będziesz potrzebował mojej pomocy - próbowała się targować.

Wzruszył ramionami, ale musiał wiedzieć, że zostały mu tylko godziny, może minuty życia.

- Delilah nie da rady negocjować z Kipem. Sam to powiedziałaś. Weźmie garść magicznych fasolek.

Delilah otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale Dale powstrzymał ją groźnym wzrokiem.

- Ona nie może wchodzić w układy z Kipem Kilpatrickiem. On ją połknie.

- Myślisz, że jej powierzę to zadanie?

Angie znowu poczuła żółć w ustach.

- Kto ma Anthony'ego?

- Twojego wnuka? - zaśmiała się Delilah. - Ale z ciebie stara suka. Dziesięcioletni wnuk, kto by pomyślał.

- Anthony ma sześć lat - poprawiła ją Angie. - Gdzie on jest?

- O dzieciaka się nie martw - powiedział Dale. - Martw się o siebie.

- Chyba nie... - Angie dudniło w skroniach od przyspieszonego pulsu. Tylko jedna osoba przerażała ją bardziej od Dale'a. - Komu go oddałeś?

- A jak myślisz? - Delilah znowu zaśmiała jej się w twarz.

Angie kopnęła ją w kolano. Delilah krzyknęła i upadła na ziemię.

- Angelo - powiedział Dale, ale było już za późno.

Nieważne, że mierzył do niej z rewolweru. Angie rzuciła się pędem w kierunku klubu. Ten bieg wydawał się wiecznością. W końcu dotarła do drzwi i wpadła do środka. Spowiła ją ciemność. Nie mogła zorientować się w przestrzeni. Cienie wyrastały wprost z podłogi.

- Jo! - krzyknęła z całych sił. - Jo, gdzie jesteś?

Nic.

Zerknęła przez ramię. Delilah zdążyła wstać z ziemi i ruszyć w stronę budynku. Kulała, rana na nodze spowalniała chód.

Angie weszła w głąb budynku. Wszędzie wały się śmieci. Skaleczyła sobie podeszwy na kawałkach rozbitego szkła, zaczepiła o coś torebką, usłyszała odgłos dartej skóry. Oczy zaczęły przyzwyczajać się do ciemności. Parkiet do tańca. Bar z tyłu sali. Balkon. Przez dwa okna sączyło się zimne światło księżycy. Na górze zobaczyła szereg pokoi.

Frontowe drzwi otworzyły się z hukiem. Delilah. Jej sylwetka odcinała się wyraźnie na tle cieni. W ręku miała otwarty nóż.

- Dee! - wołał za nią słabym głosem Dale. - Potrzebujemy ją żywą.

- Chrzanić to - szepnęła Delilah nie do niego, lecz do Angie.

Angie kucnęła. Szukała czegoś, czego mogłaby użyć jako broni. Słabo jej się robiło na myśl o ranach ciętych na rękach. Rurki do kokainy. Prezerwatywy. Bezużyteczne kawałki bezużytecznych przedmiotów.

Buty Delilah chrzęściły z każdym krokiem.

Angie podniosła głowę. Balkon. Pokoje. Wszystkie z drzwiami. Tylko jedno były zamknięte.

Pobiegła w stronę schodów. Potknęła się i uderzyła kolanem o kant stopnia, ale biegła dalej. Musiała dotrzeć do Jo. Uratować ją, zapewnić, że nigdy nie groziłaby Anthony'emu. Był jej skarbem, a ona zrobi wszystko, żeby go chronić. Nie rzuci go na pastwę losu, jaki spotkał ją samą.

Była niemal u szczytu schodów, gdy stopa nagle spod niej uciekła. Z impetem runęła na beton. Delilah trzymała ją za kostkę i ciągnęła do siebie. Angie obróciła się na plecy, kopiać, wrzeszcząc, usiłując strząsnąć ją z siebie.

- Ty suko! - Delilah rzuciła się na Angie. W srebrnej poświacie księżycyca zalśniło stalowe ostrze. Angie złapała ją za nadgarstki. Ostrze znalazło się centymetry od jej serca - długie, cienkie, ostre jak skalpel. Delilah przeniosła na rękojeść cały swój ciężar. Angie poczuła, że ostrze dotyka jej skóry. Ramiona jej drżały, zalewał ją pot.

- Przestańcie - powiedział Dale. Jego głos ciągle dobiegał gdzieś z daleka.

Nie mogły przestać. Zatarg między nimi trwał już zbyt długo. Jedna z nich musiała umrzeć. Angie nie miała zamiaru dać się zabić. Delilah była młodsza i szybsza, ale w Angie o dwadzieścia lat dłużej wzbierała wściekłość. Odepchnęła jej rękę, odsuwając ostrze od serca.

To nie wystarczyło.

Delilah rozpaczliwym wysiłkiem ugodziła ją w brzuch.

Angie jęknęła. W ostatniej chwili przekręciła się lekko i ostrze trafiło w bok. Poczuła na skórze zimną rękojeść.

Delilah wyszarpnęła ostrze z jej ciała i uniosła nóż nad głowę, celując w serce.

- Stop! - krzyknął Dale. - Potrzebujemy jej żywej!

Delilah nie zadała Angie ciosu, ale złapała ją za głowę i walnęła o beton. Dopiero teraz pokonała resztę schodów prowadzących na balkon.

Angie nie mogła jej gonić. Widziała gwiazdy, prawdziwe gwiazdy, które eksplodowały pod powiekami. Zwymiotowała i poczuła, jak wymiociny cofają się do gardła. Jeszcze chwila i straci przytomność. Nie mogła walczyć. Tak zakończy życie. Delilah zabije Jo. Anthony'ego zabierze ludzkie monstrum. A ona zadławi się na śmierć własnymi wymiocinami.

Will. Chciała, żeby ją znalazł. I cierpiał na myśl, że umarła w samotności. Bez niego.

Z tego stuporu wyrwał ją przeraźliwy krzyk.

- Nie! Przestań!

To był głos Jo, wychodził z samych trzewi. Tak krzyczą ludzie, którzy wiedzą, że za chwilę umrą.

Przekręciła się na brzuch, podparła rękami, wstała. Nie zatrzymał jej ostry ból w boku. Nie zatrzymały jej ciężkie kroki Dale'a na schodach. Pokonała ostatnie stopnie i pobiegnęła przez balkon.

Rozległ się wystrzał. Jego echo odbiło się od ścian. Kula świsnęła jej obok głowy. Na ziemię upadł kawałek betonu. Odwróciła się.

Dale siedział na schodach. Trzymał broń na kolanach. Dzieliło ich prawie dwadzieścia metrów, ale słyszała, jak ciężko łapie powietrze.



- Stój - wysapał, ale ona już się go nie bała. O życie boją się ci, którzy mają coś do stracenia.

Z pokoju wyszła Delilah. Była pokryta krwią, śmiała się szaleńczo.

- Coś ty zrobiła? - zapytała Angie. Niepotrzebnie. I bez tego wiedziała, co zaszło w pokoju.

Delilah klasnęła w dłonie.

- Nie żyje, suko. I co teraz zrobisz?

Angie spojrzała na puste ręce kuzynki. Delilah zostawiła nóż w ciele Jo. Swoją jedyną broń. Jedyną obronę.

- Ty głupia cipo. - Złapała ją za rękę i pchnęła energicznie w stronę krawędzi balkonu.

Delilah nie wydała żadnego dźwięku.

Była zbyt przerażona. Zachwiała się, wyprostowała, ale zaraz straciła równowagę na dobre. Wyrzuciła ręce w górę, jakby w powietrzu chciała znaleźć punkt oparcia, po chwili z krzykiem runęła w dół.

Upadkowi towarzyszył trzask łamanych kości.

Angie spojrzała na Dale'a. Nadal siedział na schodach, trzymał rewolwer w dłoniach, celował w nią. Tym razem nie zamierzał oddawać strzału ostrzegawczego. Teraz naprawdę chciał ją zabić.

Angie wskoczyła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Gałka została jej w dłoni. Oparła się o drzwi. Była zatrzaśnięta od środka.

- Angie? - zawołał Dale. Udało mu się wstać, słyszała jego ciężkie kroki na schodach. - Nie przeciągaj tego.

Zamknęła oczy. Nasłuchiwała. Dyszał, ale już nie powłóczył

nogami. Siedziała zamknięta w pokoju. Dale miał jeszcze cztery naboje. Cztery szanse, żeby trafić w cel, w który i ślepy by trafił.

Miała tylko jedno wyjście.

Po omacku zaczęła przeszukiwać pokój, zostawiając na podłodze krwawe ślady stóp. Znalazła Jo w kącie. Póleżała, oparta o ścianę. Angie delikatnie powiodła rękami po jej ciele i namacała rękojeść noża sterczącą z piersi.

- Angie - powtórzył Dale. Był bliżej. Wiedział, że nie musi się śpieszyć.

Usiadła obok córki. Zimna betonowa podłoga nasiąkała krwią. Dale zabijał Angie każdego dnia jej życia, odkąd skończyła dziesięć lat, ale nie pozwoli mu zadać ostatecznego ciosu. Nóż, który zabił jej córkę, zabije i ją. Sama ugodzi się nim w pierś. Wykrwawi się na śmierć w tym ciemnym pustym pokoju. Kiedy Dale otworzy drzwi, znajdzie ją martwą.

Powoli wyciągnęła rękę po nóż. Zacisnęła palce na rękojeści i zaczęła ciągnąć.

Jo jęknęła.

- Jo? - Angie uklękła przy niej. Dotknęła jej twarzy. Odgarnęła włosy. - Mów do mnie.

- Anthony - wyszeptała Jo.

- Jest bezpieczny. Siedzi w aucie.

Jo oddychała płytko. Jej ubranie było śliskie od krwi. Delilah zadała jej wiele ciosów, ale jakimś cudem Jo nadal oddychała, mówiła, walczyła o przetrwanie.

Moja córka, pomyślała Angie. Moja dziewczynka.

- Mogę wstać. Potrzebuję minutki.

- Dobrze. - Angie chciała wziąć Jo za rękę, ale zamiast dłoni poczuła kość. - Boże!

Ręka Jo była niemal odcięta od nadgarstka. Tylko ścięgno i mięsień zespalały ją z ciałem. Angie czuła, jak z każdym uderzeniem serca z otwartej rany wypływa krew.

- Nadal czuję rękę - powiedziała Jo. - Palce. Mogę ruszać palcami.

- Wiem, że możesz - skłamała Angie. Opaska uciskowa. Potrzebowała jej. Rozdarta torebka została na zewnątrz, w pokoju nie było nic. Jo wykrwawi się na śmierć, jeśli ona czegoś nie wymyśli.

- Nie zostawiaj mnie - wyszeptała Jo.

- Nie ma mowy.

Zdjęła majtki, owinęła nimi nadgarstek Jo i ścisnęła najmocniej, jak mogła.

Jo znowu jęknęła, ale strumień krwi spowolnił i zamienił się w strużkę.

Angie poluzowała supeł. Nasłuchiwała odgłosów zza drzwi. Wyczekiwała kroków Dale'a. Usłyszała ciche zawodzenie. Nie wiedziała, czy to Jo, czy ona wydaje te dźwięki.

- Proszę, daj mi chwilę. - Jo przysunęła się do niej. - Jestem silna.

- Wiem, że jesteś. - Trzymała ją tak blisko, na ile się odważyła. - Wiem, że masz siłę. - Pierwszy raz w życiu Angie Polaski tuliła córkę w ramionach.

Przed laty pielęgniarka w szpitalu zapytała ją, czy chce potrzymać dziecko, ale odmówiła. Odmówiła też nadania mu

imienia, a także podpisania dokumentów przed wyjściem. Asekurowała się, zresztą jak zwykle. Do dziś pamiętała problem, jaki powstał przy wkładaniu dzinsów. Były jeszcze mokre od wód płodowych. Nagle stały się za luźne w pasie i musiała przytrzymać w garści nadmiar materiału, żeby nie spadły z niej, kiedy schodziła tylnymi schodami i wybiegła na zewnątrz, gdzie w aucie za rogiem czekał na nią chłopak.

Wtedy to był Denny, ale to i tak nie miało znaczenia. To mógł być ktokolwiek inny.

Zawsze czekał na nią jakiś chłopak, czegoś od niej chciał, usychał z tęsknoty albo nienawidził. Tak było, odkąd pamiętała. Ma dziesięć lat. Dale Harding oferuje jej cukierka, ale w zamian za coś. Ma piętnaście lat. Ojciec w rodzinie zastępczej lubi zadawać jej ból. Ma dwadzieścia trzy lata. Pewien żołnierz traktuje jej ciało jak terytorium wroga. Ma trzydzieści cztery lata. Gliniarz usiłuje ją przekonać, że to wcale nie był gwałt. Ma trzydzieści siedem lat. Inny gliniarz obiecuje, że zawsze będzie ją kochał.

Will.

Powiedział „zawsze”, gdy byli w piwnicy pani Flannigan. Powiedział „zawsze”, gdy wkładał jej na palec obrączkę ze słońcem.

Zawsze nigdy nie trwa tak długo, jak sądzimy.

Angie dotknęła palcami warg Jo. Były zimne. Jej córka się wykrwawiała. Rękojeść ostrza wystającego z klatki piersiowej pulsowała w rytm bicia serca, chwilami jak metronom, chwilami jak zepsuty opadający sekundnik.

Tyle straconych lat.

W szpitalu powinna była wziąć córkę na ręce. Choćby raz. Wdrukować jej w mózg wspomnienie matczynego dotyku, by teraz Jo nie odsuwała się od niej i nie wzdrygała jak pod dotknięciem kogoś obcego.

A przecież były sobie obce.

Angie potrząsnęła głową. Nie mogła w tej chwili pogrążyć się w rozważaniach o doznanych stratach i roztrząsać ich powodów. Musiała kurczowo trzymać się myśli, że jest silna i przetrwa. Zawsze balansowała na krawędzi. Uciekała od tego, za czym ludzie zwykle gonią: od dziecka, od męża, od domu, od życia.

Szczęścia. Zadowolenia. Miłości.

Od wszystkiego, czego pragnął Will. Od tego, czego ona nigdy nie potrzebowała. A przynajmniej tak jej się wydawało.

Uświadomiła sobie, że wszystkie jej ucieczki zaprowadziły ją do tego ciemnego pomieszczenia, uwięziły w tych ponurych czterech ścianach, w których pierwszy i ostatni raz trzymała w ramionach wykrwawiającą się na śmierć córkę.

Za drzwiami dobiegł odgłos szurania nogami. Przez szparę pod drzwiami zobaczyła cień stóp przesuwających się po ziemi.

Zamknęła oczy. Dale zrobił to samo, gdy miała dziesięć lat. Stał pod drzwiami zamkniętego mieszkania Deidre. Czekał, aż Angie mu otworzy. Deidre otwierała drzwi bez wahania. Nieważne, kto stał po drugiej stronie, byle tylko miał igłę pełną heroiny.

Przyszły zabójca jej córki?

I jej samej?

„Otwórz drzwi i wpuść go”.

- Angelo - powiedział Dale. Tak samo jak wtedy.

Drzwi zastukały w metalowej futrynie. Rozległo się skrobanie metalu o metal. Kwadracik światła zmalął, potem zniknął, gdy w otworze znalazł się śrubokręt.

Klik, klik, klik. Zupełnie jak szczęk nienaładowanej broni.

Angie łagodnie ułożyła głowę córki na ziemi. Jo jęknęła z bólu, ale nadal kurczowo trzymała się życia.

Angie przeczołgała się przez pokój, ignorując trociny i metalowe wiórki wrzynające się w kolana, kłujący ból pod żebrami, krwawe ślady, które zostawiała za sobą. Namacała śrubki i gwoździe, potem trafiła na coś zimnego, okrągłego i metalowego. Wzięła to do ręki. W ciemności palce rozpoznały kształt. To była gałka drzwiowa. Solidna i ciężka. Niczym szpikulec do lodu wystawał z niej dziesięciocentymetrowy trzpień.

Usłyszała ostatnie kliknięcie zasuw. Śrubokręt upadł na betonową posadzkę. Drzwi uchylły się lekko.

Wstała. Przycisnęła plecy do ściany przy drzwiach. Przypomniała sobie, na ile różnych sposobów raniła mężczyzn. Raz bronią. Raz drutem. Nieskończenie wiele razy pięściami. Ustami. Zębami. Sercem.

Drzwi uchylły się o kilka centymetrów, wysunął się zza nich czubek lufy.

Angie chwyciła gałkę tak, by trzpień wystawał pomiędzy palców, i czekała, aż Dale wejdzie do środka.

- Angelo? Nie chcę cię skrzywdzić - powiedział.

To kłamstwo słyszała z jego ust po raz ostatni.

Złapała go za nadgarstek i wciągnęła do pokoju. Potknął się i okręcił. Księżycowa łuna padła mu na twarz. Wyglądał na zaskoczonego. Powinien być zaskoczony. Czterdzieści lat wykorzystywał dziewczynki i nigdy żadna z nich jawnie mu się nie sprzeciwiła.

Do teraz.

Angie wbiła mu gałkę w bok szyi. Poczowała opór, gdy przerdzewiały trzpień trafił na chrząstkę i ścięgno.

Powietrze uszło z niego z sykiem. Angie poczuła odór gnijącego ciała.

Dale upadł na ziemię.

Krew zachlapała jej nogi.

Dale leżał na plecach z szeroko rozrzuconymi ramionami. Miał rozchylone usta i zamknięte oczy. Wydawał z siebie ostatnie tchnienie. Nie przypominało syku węża, raczej powolne uchodzenie powietrza z opony. Księżyc zmienił położenie względem okien. Długi cień położył się na podłodze, pieszcząc ciało Dale'a. Posłaniec piekieł przybył po jego nieszczęsną duszę.

- Angelo.

Imię wyrwało Angie ze stanu oszołomienia. Nigdy nie mówiła Jo, jak się nazywa, ale użyła imienia, którym zwracał się do niej Dale.

- Angelo... - Zebrała się w sobie i usiadła. Pewnie trzymała rękojeść noża w jednej pozycji. - Chcę zobaczyć syna.

Anthony. Jezu, co zrobić w sprawie Anthony'ego?

- Pomóż mi wstać. - Jo zaczęła się podnosić.

Angie podbiegła do niej. Nie wierzyła, ile siły umiała

wykrzesać z siebie ta dziewczyna.

- Muszę zobaczyć syna. Muszę mu powiedzieć...

- Oczywiście, zobaczysz go. - Angie, ignorując własny ból, ujęła Jo pod ramiona i pomogła jej wstać. Sczepione ramionami zrobiły kilka chwiejnych kroków, po chwili Jo zaczęła iść o własnych siłach. Angie widziała nóż tkwiący w jej ciele aż po rękojeść. Ręka Jo zwisała bezwładnie. Prowizoryczna opaska uciskowa zsunęła się na ziemię. Z rany chlusnęła krew, obryzgując ciało Dale'a i lecąc na podłogę. Jo zatoczyła się na ścianę.

- Daj mi trochę czasu. Dam radę - powiedziała, ale nie była w stanie dalej iść. Osunęła się na ziemię. Angie doskoczyła do niej, żeby uchronić ją przed upadkiem, ale nie zdążyła. Jo uderzyła o ziemię. Zamknęła oczy, twarz jej zwiotczała, nadal jednak poruszała ustami. - Dam radę.

U Angie doszło do głosu wyszkolenie policyjne. Ocena stanu rannej. Brak czasu na wzywanie karetki. Musiała znaleźć sposób na spowolnienie krwawienia, inaczej Jo nie będzie w stanie zejść po schodach. W aucie miała taśmę izolacyjną. Zrobiła krok naprzód i stanęła. To było miejsce przestępstwa. Ślady stóp dwóch osób, dwóch podejrzanych. W bagażniku miała też parę specjalnych butów policyjnych. Reuben Figaroa będzie szukał żony. I syna. Musiała zatrzeć ślady Jo. Auto Dale'a. Gotówka w bagażniku. Karty kredytowe Delilah. Departament Policji w Atlancie. GBI.

Will.

Rippy.

To była jego sprawa, dlatego Will na pewno zostanie tu



wezwany. Znajdzie Dale'a. Znajdzie kałużę krwi. Angie go znała, wiedziała, jak pracuje jego umysł. Will nie przestanie węszyć, zanim nie rozwiąże sprawy.

- Angelo - wyszeptała Jo. - Czy to Anthony?

Zzz, zzz...

W kieszeni Dale'a wibrował telefon.

- Czy to mój synek? To on dzwoni?

Syn Jo był w rękach kogoś, kto przycisnął go do ściany i przyłożył mu nóż do szyi.

Angie otworzyła klapkę telefonu Dale'a i przycisnęła go do ucha. W tle usłyszała płacz dziecka i głośną ścieżkę dźwiękową jakiegoś filmu animowanego.

- Cześć, dupku - zabrzmiał w słuchawce kobiecy głos. - Tracę już cierpliwość. Chcesz tego małego czy mam go sprzedać na organy do przeszczepów?

Piekący ból przeszył żołądek Angie. Znowu miała dziesięć lat. Była przerażona, osamotniona i chciała zrobić wszystko, żeby ten ból minął.

- Dale? - Kobieta wyraźnie czekała na reakcję. - Jesteś tam?

- Mama? - odezwała się Angie. Znowu miała głos tamtej dziesięcioletniej dziewczynki. - To ty?

Kobieta zaśmiała się nisko, chrapliwie.

- To ja, skarbie. Tęskniłaś?

**DZISIAJ**

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Will mocno przycisnął telefon do ucha. Głos Angie huczał w każdym zakątku jego mózgu.

- To ja, kochanie. Tęskniłeś?

Czy xanax tak na niego działał? Will spojrzał na wyświetlacz telefonu. NUMER ZASTRZEŻONY. Usiadł, rozejrzał się po kaplicy. Może była tutaj. Obserwowała go. Śmiała się z niego. Czuł, że porusza ustami, ale nie usłyszał żadnego słowa.

- Will? - Jej żartobliwy ton gdzieś uleciał. - Dobrze się czujesz, skarbie? Weź głęboki wdech.

Weź głęboki wdech.

Sara powiedziała mu to samo na dole, tyle że w tej chwili nie miał ataku paniki. Przepełniała go ślepa, niekontrolowana wściekłość.

- Ty pieprzona suko.

- Nawet więcej niż to - odparowała ze śmiechem.

Klub Rippy'ego. Torebka Angie. Jej broń. Jej auto. Jej krew. A teraz ciało z jej ślubną obrączką w domu pogrzebowym.

Wkręciła go. Wpadła w kłopoty. Jakkolwiek się z nich wykaraskała, zobaczyła w tym sposobność namieszania mu w głowie.

- Ty pieprzona suko - powtórzył.

W odpowiedzi znowu usłyszał jej śmiech.

Gdyby stała przed nim, uderzyłby ją w tchawicę. Znajdzie ją. Zrobi wszystko, co trzeba, żeby ją namierzyć i wycisnąć

życie z jej bezwartościowego ciała.

W drzwiach kaplicy stanęła Faith.

Will zrobił kilka głębokich wdechów. Chciał przełknąć swoją furję, oburzenie, urazę.

Faith otworzyła usta, chciała zapytać, co się dzieje.

Dał jej znak, żeby była cicho. I powiedział do telefonu:

- Angie, dlaczego mi to zrobiłaś?

Faith znieruchomiała z otwartymi ustami.

- Dlaczego? - powtórzył. - Zaaranżowałaś miejsce przestępstwa w klubie Rippy'ego. Miałem uwierzyć, że nie żyjesz. Miałem myśleć, że w kostnicy domu pogrzebowego leży twoje ciało. Dlaczego?

Milczała, chociaż miała cały dzień na obmyślenie odpowiedzi.

- Angie... - Głos mu się załamał. Czuł rozpaczliwą potrzebę usłyszenia jej wyjaśnień. - Powiedz mi, do jasnej cholery, dlaczego to ukartowałaś? Dlaczego kazałaś mi przez to przechodzić?

Wydała z siebie irytująco długie westchnienie, po czym odparła:

- A dlaczego w ogóle robię cokolwiek? Bo jestem pieprzoną suką. Bo chcę zrujnować ci życie. Bo chcę, żebyś cierpiał. Bo nie wiem, jak wyglądasz, kiedy jesteś zakochany, ponieważ we mnie nigdy nie byłeś zakochany - wyrecytowała znany na pamięć zestaw odpowiedzi.

Will odwrócił się do Faith plecami. Obawiał się pokazać jej, jak bardzo może kogoś nienawidzić.

- To mi nie wystarczy.

- W tej chwili musi ci wystarczyć.

Nie mógł tego znieść. Czuł, że się załamie, padnie martwy na ziemię, jeśli dopuści do głosu wszystko, co w nim wrzało. Próbował myśleć jak agent, nie jak człowiek wydymany przez psychopatkę.

- Czyje ciało leży w kostnicy?

- Jeszcze nie teraz - odparła. - Najpierw powiesz mi, co czułeś, kiedy myślałeś, że nie żyję.

Will siłą woli powstrzymał się przed zgnieceniem telefonu.

- A jak sądzisz?

- Chcę, żebyś ty mi powiedział. - Czekala na jego odpowiedź. - Powiedz mi, jak się czułeś, a ja ci powiem, kto leży w kostnicy.

- Sam się dowiem. Sprawdzamy odciski palców.

- Szkoda, że opuszki palców ma pocięte.

- Uzyskamy DNA.

- Nie będzie jej w systemie, Will. Pracowałeś nad tą sprawą, nad innymi też. A jeśli ci powiem, że mam informacje, które mogą zmienić wszystko? Wystarczy, że powiesz mi, co czujesz.

- Nie potrzebuję twojej pomocy.

- Jasne, że potrzebujesz. Pamiętasz, jak ci pomogłam ostatnim razem? Wiem, że wtedy byłeś mi wdzięczny.

Will nie mógł o tym mówić w obecności Faith.

- Zabiłaś Dale'a Hardinga?

- Dlaczego miałabym przyznać się do morderstwa akurat teraz?

Will czuł narastające wyczerpanie.

- Czym „teraz” różni się od „kiedy indziej”?
- Uważaj, skarbie.

Ukrył twarz w dłoni. To nie działało się naprawdę. Angie raniła innych ludzi w taki sposób, ale jego nigdy.

- Dlaczego? Dlaczego to zrobiłaś? - powtarzał jak mantrę.
- Chciałam ci pokazać, jak to będzie, kiedy naprawdę mnie stracisz. - Milczała przez dłuższą chwilę. - Widziałam cię dzisiaj. Nie pytaj gdzie. Twój wyraz twarzy, kiedy myślałeś, że naprawdę nie żyję. Założę się, że za Sarą tak byś nie tęsknił.

- Nie wymawiaj jej imienia.
- Sara - powtórzyła. Nikt nie mógł jej niczego nakazywać i zakazywać. - Widziałam cię, Will. Znam to spojrzenie. Widziałam je u ciebie w dzieciństwie. Widziałam w zeszłym roku. Wiem, kim jesteś. Znam cię lepiej niż ktokolwiek na świecie.

List. Cytowała własny list.

- Kto leży w kostnicy?
- Jakie to ma znaczenie?

Will już nie wiedział, co ma znaczenie. Nic nie miało znaczenia. Dlaczego Angie mu to zrobiła? Tylko on kochał ją naprawdę. Opiekował się nią. Zapewniał jej bezpieczeństwo. Ona nie odwzajemniła mu się tym samym. Nigdy.

- Czy Faith już mnie namierzyła? - zapytała.

Odwrócił się. Faith miała telefon przy uchu. Przypuszczalnie prosiła o namierzenie numeru.

- Josephine Figaroa - powiedziała Angie.
- Co?

- Ta dziewczyna w kostnicy domu pogrzebowego to Josephine Figaroa. Moja córka, twoja córka. Nasze wspólne dziecko... - zawiesiła głos - nie żyje.

Will otworzył usta. Serce tłukło mu się w piersi tak bardzo, że musiał usiąść. Dziecko. Ich dziecko. Ich skarb.

- Angie - powiedział. - Angie...

Odpowiedzi nie było. Połączenie zostało przerwane.

Zakrył dłonią usta, oddech wydał mu się lodowaty. Angie coś w nim zabiła. Z chirurgiczną precyzją trafiła w samo serce, w najczulszy punkt. Dziecko. Córka. Istota z jego pokręconymi genami.

A teraz nie żyła.

- Will? - Faith kucnęła przy nim.

Nie mógł mówić. W głowie tłukła mu się myśl o małej dziewczynce, która siedzi w ostatniej ławce i nie nadąża za słowami nauczycielki, ponieważ przygłupi ojciec nie umiał pomóc jej w nauce czytania.

Skończyła w pułapce systemu opieki jak on. Porzucona jak on.

Jak Angie mogła być tak okrutna?

- Will - powtórzyła Faith. - Co ona powiedziała?

- Josephine Figaroa. - Wymówił to nazwisko z trudem. - W kostnicy. Córka Angie. Josephine Figaroa. Tak się nazywa.

- Żona tego koszykarza? Zaraz się tym zajmiemy. Mam wezwać Sarę? - Pogładziła go po plecach.

- Nie - powiedział, ale Sara już wchodziła do kaplicy w towarzystwie Amandy. Obie wyglądały na zatroskane.

Faith poinformowała je o telefonie Angie i wtedy troska

przeszła w furie.

- Co?! - zawołała Sara. - Co? - powtarzała raz po raz.

Amanda złapała się brzegu mównicy.

- Namierzyliście ją? - wycedziła przez zaciśnięte zęby.

- Nie zdążyliśmy. Musiała kontrolować czas połączenia - wyjaśniła Faith.

- Niech to szlag. - Amanda spojrzała w podłogę. Zrobiła płytki wdech. Kiedy podniosła głowę, na twarzy miała typową dla niej maskę wytrawnej policjantki. - Mamy numer telefonu?

- Jest zastrzeżony, ale możemy go wyciągnąć z...

- Wyciągajcie. - Sięgnęła po blackberry. - Czy Charlie zidentyfikował odciski palców?

- Nie - odparła Faith. - Opuszki jej palców są zbyt...

- Popękane - dopowiedział Will. - Angie o tym wiedziała. Według niej DNA nie będzie w systemie.

- Krew tej grupy, jaką ma Angie, była wszędzie na miejscu zabójstwa - odezwała się Sara. Cały czas kręciła głową, nie mogąc wyjść ze zdumienia. - Jej torebka. Jej broń. Nie rozumiem. Dlaczego to zrobiła?

- Czy córka Angie może mieć tę samą grupę krwi? - zapytała Faith.

Sara nie odpowiedziała. Była w szoku.

- Córka? - powtórzyła Amanda.

Will milczał.

- Tak z czystej ciekawości, czy Angie wyjaśniła, po co to wszystko? - zapytała.

- Bo jest potworem. - Will użył tego samego słowa, jakim



ludzie charakteryzowali Angie przez ponad trzydzieści lat. W sierocińcu. W rodzinie zastępczej. W komisariacie. Will nigdy z nimi nie polemizował, ale też nigdy im nie wierzył. Nie znali Angie, nie wiedzieli, przez co przeszła. Czasami ból jest tak dojmujący, że jedyne, co przynosi ulgę, to atakowanie innych.

Ale jego nigdy wcześniej nie zaatakowała. Nie w taki sposób.

- Jeśli to rzeczywiście Josephine Figaroa, będziemy mieli świeże odciski w systemie. W czwartek ją aresztowano, miała w samochodzie oksykodon. Mówili o tym w telewizji - powiedziała Faith.

- Angie mówiła, że ta kobieta jest jej córką? - zapytała Amanda.

- Tak. - Will nie mógł przyznać, że Josephine jest też jego córką. Musiał mieć pewność. Musiał mieć czas na przemyślenie. Angie kłamała w wielu sprawach, dlaczego akurat teraz miałby jej wierzyć?

- Figaroa... To nazwisko brzmi znajomo - zauważyła Amanda.

- Jej mężem jest Reuben Figaroa, koszykarz.

- Marcus Rippy. - Amanda wypluła z siebie to imię i nazwisko jak kęs obrzydliwej potrawy. - Cały dzień krążymy po obwodzie ogromnego koła, które prowadzi z powrotem do niego.

- W radiowozie można zobaczyć obraz z ulicznych kamer monitoringu - powiedział Will, wstając.

Nie czekał na odpowiedź, tylko potruchtał wzdłuż ławek.

Znalazł się na parkingu, zanim Faith, Sara i Amanda zdążyły wyjść z kaplicy. Will otworzył drzwi od strony pasażera i wsiadł do radiowozu. Mundurowy policjant drgnął zaskoczony.

Will wskazał laptopa na desce rozdzielczej.

- Potrzebuję obrazu z każdej kamery w okolicy - zarządził.

- Właśnie szykowałem to dla twojej szefowej. - Mundurowy wcisnął kilka klawiszy. - To materiał, który chcecie obejrzeć. Obraz z dwóch ujęć. Jedno z ulicy przed domem pogrzebowym, drugie z ulicy na tyłach.

Faith otworzyła tylne drzwi i wślizgnęła się na siedzenie.

Amanda przycupnęła obok Willa.

- Dunlop - zwróciła się do policjanta - powiedz, że coś znalazłeś.

- Tak, proszę pani. - Wskazał na ekran. - Tu zaraz po pogrzebie van wyjeżdża o ósmej dwadzieścia dwie.

Fałszywe wezwanie do odebrania ciała. To nie był żart innego stażysty. To podstęp mający wywabić Belcamina z budynku.

- Tutaj pojawia się auto. - Dunlop odwrócił laptopa w ich stronę.

Will zobaczył róg ulicy, wjazd służbowy dla pracowników domu pogrzebowego. Obraz był niewyraźny. Światła ulicznych lamp niewiele pomagały. O dwudziestej dwadzieścia cztery i trzydzieści dwie sekundy czarne monte carlo SS skręciło w uliczkę biegnącą za domem pogrzebowym. Twarz kierowcy była niewyraźną plamą. Przez ułamek sekundy mignęły jasne włosy pod czarnym kapturem.

Samochód zniknął z oka kamery, gdy pojechał w górę utwardzonej uliczki.

Will wcisnął klawisz szybkiego przewijania do przodu, żeby wyłapać moment ponownego pojawienia się auta. Monte carlo SS pojawiło się w uliczce po upływie sześciu minut i wjechało na główną ulicę.

- Poszła do tylnych drzwi, gdzie jest winda, wróciła po sześciu minutach. Tyle czasu wystarczy, żeby włożyć ciało do lodówki.

Dunlop przekręcił laptopa w swoją stronę i znowu wcisnął kilka klawiszy.

- Tu widać go znowu na ulicy od frontu domu pogrzebowego - powiedział.

Chevrolet wjechał na parking w odległości pięciu metrów od miejsca, w którym teraz stał radiowóz. Auto Angie zajęło miejsce dla niepełnosprawnych. Kierowca wysiadł, dach auta znajdował się na wysokości około stu czterdziestu centymetrów od ziemi. Kobieta miała około stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu, mniej więcej tyle co Angie, choć w przeciwieństwie do niej miała nadwagę. Ale może Angie włożyła na siebie kilka warstw ubrań. W bluzie z kapturem i długim rękawem musiało być potwornie gorąco, mimo to kobieta, idąc ulicą, cały czas miała kaptur na głowie, głowę pochyloną, a ręce w kieszeniach.

- Czy to Angie? - zapytała Faith.

Will pokręcił głową. Nie do niego należała identyfikacja.

- To może być Delilah Palmer - odpowiedziała Faith. -

Włosy blond, ale Delilah często zmienia kolor.

- Dunlop, gdzie ją widać potem? - zapytała Amanda.

- Nigdzie. Albo ma szczęście, albo zna usytuowanie kamer.

- Dunlop przesuwiał do przodu i cofał obraz z różnych ujęć. W końcu się poddał. - Mogła przejść pod mostem i wskoczyć do samochodu na międzystanowej. Pojechać do Tech. Do śródmieścia. Jest wiele martwych punktów, gdzie mogła zaparkować inne auto albo poprosić kogoś, żeby na nią gdzieś czekał. Jasny gwint! Mogła przecież wsiąść do autobusu.

- Sprawdźcie autobusy - powiedział Will. Ta ostatnia wersja brzmiała prawdopodobnie. Może jednak nie. Był ostatnią osobą, która mogła przewidzieć jej zachowanie.

Kolana Amandy zatrzeszczały, gdy podnosiła się z kucek.

- Powiedzcie mi coś o Josephine Figaroi.

- Żona koszykarza. Oksykodon. Tyle wiem - powiedziała Faith.

- Mąż Reuben „Fig” Figaroa - dodał Will. - Jeden ze świadków, który zapewnił Marcusowi Rippy’emu alibi na noc gwałtu. Jest silnym skrzydłowym, bez pardonu wchodzi ciałem, dobry w zbiórkach. Klient Kipa Kilpatricka.

- Ta czarna dziura się powiększa - skonstatowała Amanda.

- Tu jest jej prawo jazdy. - Faith pokazała na wyświetlaczu swojego telefonu zdjęcie dokumentu.

Will uważnie studiował fotografię Josephine. Ciemne włosy. Oczy o kształcie migdałów. Oliwkowa cera. Wyglądała jak Angie dwadzieścia lat temu.

Czy była podobna do niego? Tak samo wysoka? Czy miała

te same problemy?

- O ile w ogóle można cokolwiek wnioskować, kobieta w kostnicy przypomina tę ze zdjęcia - powiedziała Amanda.

- To wierna kopia Angie - dodała Faith.

Will milczał.

- Wy dwaj. - Amanda machnęła na Colliera i jego partnera. Nie odzywali się w ogóle i Will zupełnie zapomniał o ich obecności. - Ngô, zdejmij te głupie okulary. Sprawdzales rejestry zaginionych. Josephine Figaroa. Czy to nazwisko się pojawiło?

- Żona Figa? - Bez okularów przeciwsłonecznych twarz Ngô okazała się bardzo drobna. - Nie, na żadnej liście jej nie było. Od razu zwróciłbym uwagę na nazwisko.

Amanda zwróciła się do Faith:

- Pojedziesz ze mną porozmawiać z mężem. Sprawdzimy, czy uda się ją zidentyfikować. W pierwszej kolejności musimy oczywiście ustalić, czy jego żona zaginęła. Nie ufam Angie, cholernie jej nie ufam.

- Żona jest lekomanką - powiedział Collier. - Zaliczyła dwudniową odsiadkę w areszcie w Fulton. Wyszła w sobotę, dzisiaj miała jechać na odwyk.

- A teraz leży w domu pogrzebowym z ranami kłutymi w klatce piersiowej. - Amanda oparła ręce na biodrach. - Nie wierzę tym tropom. Angie prowadzi nas na manowce. Kupuje sobie czas, żeby kontynuować swoją grę.

- Jaką grę? - zapytał Collier. - Za dużo mamy trupów jak na grę.

- Tylko dla niej to jest gra - odparła Amanda.

- Josephine ma dziecko - oznajmiła Faith, wysiadając z auta i pokazując telefon. - Znalazłam profil jej męża na Facebooku. Anthony, sześć lat.

Anthony. Syn Jo Figaroi, córki Angie. Wnuk Willa?

Na zdjęciu widniał mały chłopiec z bladym uśmiechem.

- Spójrzcie na kształt oczu - powiedziała Faith. - To bardzo silne geny.

Czy były w nim też geny Willa?

Rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty dziewiąty. Angie utknęła w rodzinie zastępczej z kilkunastoma innymi dziećmiakami.

Była tam poza czasem, kiedy jej tam nie było.

- Brak informacji o zaginięciu sześciolatniego białego chłopca. O tym wiedzielibyśmy od razu.

- Na pewno - rzucił Ngô.

- Collier, jak idzie szukanie Delilah Palmer? - zapytała Amanda.

- Miałem wam powiedzieć. Znaleźliśmy jej auto porzucone w Lakewood. Czyste, brak śladów.

- Collier, do cholery! - Faith uderzyła dłonią w bagażnik radiowozu. - Znalazłeś jej auto? Zawracasz mi głowę jakimiś przekłętymi hot dogami ze stacji benzynowej, a nie raczysz mnie poinformować, że...

Will zorientował się, że Sara zniknęła.

Omiótł wzrokiem budynek, trawnik, parking, poszedł na ulicę. Przycupnęła za samochodem oparta o zderzak, patrzyła przed siebie. Światło lampy tworzyło wokół niej aureolę. Jej twarz była nieprzenikniona. Will nie wiedział, czy

jest zmartwiona, zaniepokojona, przestraszona czy wściekła.

Kończyli dzień w tym samym punkcie, w jakim go zaczęli.

Will uciekł od hałasu, krzyku, może nawet od pracy, ponieważ już o to nie dbał.

- Jedźmy do domu - powiedział.

Podła mu kluczyki. Otworzył dla niej drzwi od strony pasażera, obszedł samochód i usiadł za kierownicą. Cofał się, gdy ujęła jego dłoń. Poczuł, jak serce w nim rośnie. To nie był xanax. Obecność Sary tak na niego działała. Wcześniej tego wieczoru chciała od niego odejść. Nie po to, żeby go zranić, ale dlatego, że zawsze chciała dla niego jak najlepiej.

- W tej chwili nie mogę o tym rozmawiać - powiedział.

Ścisnęła mu rękę.

- Więc nie będziemy o tym rozmawiać.

**WTOREK**



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Faith przewracała kartki notesu, Amanda siedziała za kierownicą. Jechały do domu Reubena Figaroi. Zapiski nie przedstawiały wielkiej wartości. Will miał rację, mówiąc, że z tego nie da się sformułować oskarżenia. Faith widziała teraz, co on zobaczył: wiele strzałek, wiele pytań bez odpowiedzi. Nic nie składało się w logiczną całość nawet po dodaniu do tej układanki Josephine Figaroi. Martwa kobieta była kolejną strzałką pośrednio prowadzącą do Marcusa Rippy'ego.

Może powinna spróbować połączyć ją z Angie.

Rozbolały ją oczy. Podniosła głowę, zamrugowała. Ulice Buckhead były puste, dochodziła pierwsza w nocy. Spała przed telewizorem, gdy Amanda wezwała ją do domu pogrzebowego. Ledwie pamiętała, jak zawiozła Emmę do matki. Była tak wykończona, że bolał ją mózg, ale taką miała pracę. Na zawiadomienie męża o śmierci żony nie było nieodpowiedniej pory.

Faith nie miała jednak absolutnej pewności, że kobieta w domu pogrzebowym to Jo Figaroa. Mogła być kobietą ze zdjęcia w prawie jazdy, ale uwikłanie Angie w tę sprawę budziło podejrzliwość. Faith miała jasną strategię w kontakcie z kłamcami: kwestionowała wszystko, co mówią, nawet jeśli ich opowieść miała sens. Nie było jej z tym łatwo. Ludzki umysł ma denerwującą potrzebę wykorzystywania wątpliwości na korzyść innych, zwłaszcza tych, na których

nam zależy.

Faith uwierzyła Willowi, że Angie nie powiedziała mu nic ważnego prócz nazwiska ofiary, chociaż rozmowa trwała dość długo.

- Twoja matka przypinała notatki do ściany, żeby widzieć wszystkie elementy układanki.

Faith uśmiechnęła się na to wspomnienie. Dziury po pineskach nadal znaczyły ścianę.

- Myślisz, że Jo Figaroa jest córką Angie?

- Tak.

- A kto jest ojcem? - Ponieważ nie dostała odpowiedzi, zasugerowała oczywistego kandydata. - Will?

- Tego nie jestem pewna. - Amanda zwolniła, zjechała na bok, wyłączyła silnik i odwróciła się do Faith. - Powiedz mi, co wiesz o Dennym.

- Denny? Kto to jest Denny?

- Skrót od Holden - wyjaśniła Amanda. - Chociaż Denny ma dwie sylaby i Holden ma dwie sylaby. Chyba chodzi o to, żeby brzmiało mniej pretensjonalnie.

Faith była zbyt zmęczona na analizy semantyczne.

- Zostańmy przy Collierze.

- Zaczynij od początku. Co zrobił? Jak się zaprezentował?

Faith potrzebowała czasu, żeby złożyć w całość szczegóły dnia. Miała wrażenie, że odkąd odebrała Willa sprzed kliniki weterynaryjnej, upłynęła cała wieczność, podczas gdy stało się to wczoraj rano.

Opowiedziała Amandzie o pierwszym spotkaniu z Collierem i Ngô przed klubem Rippy'ego, o trwającej w nieskończoność

wizycie w domu Dale'a Hardinga, o błałych esemesach, nużących wzmiankach o jego życiu osobistym, ciągłych podtekstach seksualnych i poważnej rozmowie o dochodzeniu.

- Nie ufam mu - przyznała na końcu. - Upiera się przy wersji z meksykańskim kartelem narkotykowym. Nie powiedział o znalezieniu auta Delilah, ale mówił o jakiejś dziwce, z którą rozmawiał w Lakewood.

- Ngô powiedział, że byli na interwencji domowej, kiedy wezwano ich do klubu, tak? - zapytała Amanda.

Faith wysiliła pamięć, żeby przypomnieć sobie dokładnie jego słowa.

- To był jakiś poważny przypadek przemocy domowej, co oznacza, że prawdopodobnie znaleźli się w szpitalu. Grady leży niedaleko klubu Rippy'ego. Dziesięć minut drogi o tej porze. Logiczne, że przyjęli zgłoszenie.

- Dyżurny odebrał zawiadomienie o piątej rano - przypomniała Amanda. - Zgłosiłabyś się na ochotnika pod koniec zmiany, by pojechać do nieboszczyka w magazynach?

Faith wzruszyła ramionami.

- Martwy policjant. Mundurowi rozpoznali Hardinga. Dla gliniarza przedłużyłabyś zmianę.

- Racja - zgodziła się Amanda. - Co jeszcze ci w nim przeszkadza?

Faith szukała właściwych słów do wyrażenia swoich odczuć.

- Ciągłe się pojawia. Był, kiedy Will znalazł naszą N.N. w biurówcu. Odwiózł go potem do domu. Był dziś wieczorem

w domu pogrzebowym. Co tam robił?

- Collier i Ngô są naszym kontaktem w Departamencie Policji w Atlancie. Mają swoją działkę w tej sprawie, APD na to nalega. To logiczne, że dostał informację o aucie.

- Chyba tak. - Faith odważyła się pójść dalej. - Może Collier to idiota, który zdaje się na innych. Jego ojciec był gliną. Musi mieć plecy.

- Milton Collier pracował dwa lata. Przeżył pięćdziesiąt jeden ze strony dwadzieścia cztery, stracił dwa palce, zanim zdążył nadać sześćdziesiąt trzy.

Faith posiadała tajemną wiedzę rozszyfrowywania tak zakodowanych informacji. Ojciec Colliera został dźgnięty nożem przez szaleńca i stracił palce, zanim przybyło wsparcie.

- I? - zapytała.

- Odszedł z powodu niezdolności do pracy. Żona była nauczycielką, wiązali koniec z końcem jako rodzice zastępczy. Mieli dwanaścioro podopiecznych, wśród nich był Collier. W końcu go adoptowali.

- O! - powiedziała Faith. Collier zdradził jej zbyt wiele szczegółów ze swojego życia, łącznie ze skruceniem jąder w szkole średniej, ale nie wspomniał choćby słowem, że zna system opieki społecznej z autopsji. Jak Delilah Palmer. I jak Angie. - Czy Collier i Angie byli kiedykolwiek w jednym domu? Kiedy ona miała siedemnaście lat i była w ciąży?

- To dopiero interesujące pytanie, prawda? - Amanda nie odpowiedziała, ale Faith miała pewność, że dotrze do prawdy. - Co jeszcze Angie powiedziała Willowi przez

telefon?

- Rozmowa była krótka - skłamała Faith, ponieważ trwała prawie trzy minuty. - Na pewno drwiła i szydziła z niego.

- Jak myślisz, dlaczego tak jest?

- Bo jest okropnym człowiekiem.

Amanda posłała jej ostre spojrzenie.

- Jest przebiegła i tyle. Pomyśl, jak wyglądał nasz dzień. Angie zmusiła nas do biegania w kółko. Wschodnia Atlanta. Lakewood. Północna Atlanta. Will miotał się po całym śródmieściu. Ty utknęłaś u Hardinga. Ja byłam u Kilpatricka. Co więcej, Angie wytrąciła Willa z równowagi. Doskonała strategia. Will ją zna, więc mógłby być naszym największym sprzymierzeńcem w rozszyfrowaniu zachowania Angie, ale przez nią stał się kompletnie bezużyteczny. Widziałaś, co się z nim porobiło w kostnicy.

Faith była świadkiem załamania Willa. Nie mogła znieść tego widoku. Will wydawał z siebie dziwne dźwięki, zupełnie jakby nie mógł złapać powietrza. Wybiegła stamtąd, żeby nie widział, jak płacze.

- Według ciebie Angie tak go sponiewierała, żeby nie domyślił się, o co jej naprawdę chodzi? - zapytała.

- Gdybym prowadziła zajęcia z gry na emocjach, na pewno umieściłabym je w programie nauczania - odparła Amanda, która posiadała sztukę manipulacji w stopniu mistrzowskim.

- Dobra, Angie z nim pogrywa. Dlaczego?

- Chce zyskać na czasie.

- Po co?

- Oto pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów: do

czego zmierza Angie Polaski?

Faith nie wierzyła, że kiedykolwiek znajdzie odpowiedź. Była tak zmęczona i zestresowana, że nie byłaby w stanie zawiązać sobie butów, nie mówiąc o dociekaniu przyczyn tak odrażającego działania Angie Polaski.

- Streść mi wszystko - powiedziała Amanda.

Faith z ociąganiem zerknęła w zapiski.

- Harding zostaje zamordowany w niedzielę w nocy. Angie tak aranżuje miejsce przestępstwa, żeby z oględzin wynikało jasno, że ona też została zamordowana, ale prawdziwą ofiarą jest Jo Figaroa, córka Angie, która prawdopodobnie ma tę samą rzadką grupę krwi co jej matka, B Rh minus.

- Hm. - Chociaż raz Amanda nie wyprzedzała jej wiedzą. - Sądziś, że Angie zamordowała Jo?

- Jest potworem, ale nie wyobrażam sobie, żeby zabiła własne dziecko.

- Ja też nie, ale to Harding mógł zabić Jo, a potem Angie zabiła Hardinga. Albo próbowała zrobić to gałką drzwiową. Co dalej?

- Angie wynosi ciało z klubu i podpala auto Dale'a. Jest do tego zdolna, zwłaszcza gdy się ostro wkurzy. A wpadła w szal, jeśli Dale zabił jej dziecko. - Faith nawet nie chciała wyobrazić sobie takiego scenariusza z własnymi dziećmi. Bała się efektu samospełniającej się przepowiedni. - Zawiadomienie o znalezieniu ciała przychodzi w poniedziałek o piątej rano. W poniedziałek wieczorem Angie podrzuca nam ciało Jo do kostnicy w domu pogrzebowym i dzwoni do Willa, żeby go dręczyć.

- Sara szacuje, że zgon nastąpił między południem a pierwszą.

- Aż tak dokładnie oceniła? Sarze raczej to się nie zdarza, zawsze daje większy margines. - Faith zapisała czas na marginesie. - Jeśli Josephine zmarła między południem a pierwszą, to oznacza, że Angie wozila jej ciało w bagażniku aż do chwili podrzucenia do domu pogrzebowego przed ósmą trzydzieści wieczorem.

- Na tylnym siedzeniu było mnóstwo krwi grupy B Rh minus, w bagażniku tylko trochę. Sara twierdzi, że mogą to być ślady pośmiertne z rany w klatce piersiowej.

Faith wzdrygnęła się na myśl o wożeniu wykrwawiającego się na śmierć dziecka na tylnym siedzeniu auta.

- Tu chodzi o czas - stwierdziła Amanda. - Angie celowo myli tropy, dlatego czekała do późna, żeby pozbyć się ciała.

- Albo nastąpiła nieoczekiwana zmiana planu - stwierdziła Faith, chociaż tak naprawdę nie miała pojęcia, co o tym myśleć. Rozumiała sens wcześniejszego wyводу Amandy. Will przypuszczalnie rozszyfrowałby działanie Angie. Znał jej motywacje, wiedział, do czego jest zdolna. Ale Angie pogrywała nie tylko z Willem. - Angie pracowała wcześniej przy sprawach o morderstwo. Wie, jak to jest. Ślady krwi i przemocy przerażają zawsze, choćby widziało się je tysiąc razy. Człowiek panikuje, że coś przeoczy. Nie może wyłączyć mózgu. Nie może spać, nawet kiedy ma czas na sen. Dodaj do tego wątek emocjonalny i za jej sprawą jesteśmy w Guantanamo.

- Powtórzę to, co mówiłam rano: umyka nam coś bardzo

ważnego – powiedziała Amanda.

- Może Reuben Figaroa udzieli nam wyjaśnienia. – Faith zamknęła notes. Cały sens gdzieś uleciał, notatki przypominały pomazaną książeczkę do kolorowania. – Po tym wszystkim nie będę mogła normalnie spać. Wezmę od ciebie jeden xanax. – Spojrzała na Amandę. – A właściwie po co go nosisz ze sobą? – zapytała.

- Taki trik z dawnych czasów. – Położyła ręce na kierownicy. – Masz zbyt nerwowego podejrzanego, który nie może mówić, to wrzucasz mu pół tabletki do kawy. On się rozluźnia, ty mu podsuwasz protokół do podpisania.

- Przychodzi mi na myśl szesnaście powodów, dla których to niezgodne z prawem.

- Tylko szesnaście? – zachichotała Amanda, ruszając ulicą.  
- Porozmawiaj ze swoją mamą. To ona na to wpadła.

Faith umiała wyobrazić sobie, że mama mogła to robić w latach siedemdziesiątych, ale Amanda stosująca tę metodę dzisiaj przekraczała możliwości jej wyobraźni, co oznaczało, że musi odpuścić sobie następne pytanie. Naciskanie Amandy to była góra, której Faith nie była gotowa atakować.

- Jak podejmiemy Reubena? To zawiadomienie o śmierci czy przesłuchanie? Jego żona zaginęła prawdopodobnie w niedzielę wieczorem, a on nie złożył zawiadomienia.

- Powinnyśmy potraktować to jak każdą sprawę podejrzaney śmierci małżonka. Mąż jest pierwszym podejrzanym – przypomniała Amanda. – Więcej kobiet pada ofiarą swoich partnerów niż innych osób.

- A myślisz, że dlaczego przestałam chodzić na randki?



Ta uwaga miała być żartem, ale Amanda spojrzała na nią z ukosa.

- Nie pozwól, żeby ta praca zraziła cię do mężczyzn, Faith.

Bacznie przyjrzała się Amandzie. Drugi raz w ciągu dwóch dni próbowała jej radzić w kwestii randkowania.

- Skąd ta myśl?

- Z własnego doświadczenia - odparła Amanda. - Posłuchaj kobiety, która od dawna w tym siedzi. To prosta statystyka. Mężczyźni popełniają większość brutalnych przestępstw. Każdy to wie, ale nie każdy widzi to na co dzień w realnym życiu jak ty i ja. Przypominaj sobie, że Will jest porządnym mężczyzną, w każdym razie kiedy nie upiera się jak osioł. Charlie Reed jest wyjątkowy, ale mu tego nie powtarzaj. Twój związek z ojcem Emmy nie przetrwał, ale facet jest w porządku. Twój ojciec był święty. Twój brat bywa dupkiem, ale dla ciebie zrobiłby wszystko. Jeremy jest ideałem pod każdym względem. Twój wujek Kenny jest...

- Oszustem i kobieciarzem?

- Niech szczegóły nie przesłaniają ci całości, Faith. Kenny cię uwielbia i jest dobrym człowiekiem. - Przerwała na moment. - Po prostu nam nie wyszło, ale gdzieś jest mężczyzna, który do ciebie pasuje. I niech praca nie zasłoni ci oczu. - Dotknęła stopą hamulca. - Jaki to numer?

Faith nawet nie zauważyła, że są już na Cherokee Drive. Wskazała wielką kamienną skrzynkę pocztową kilka domów dalej od country klubu.

- Tam - powiedziała.

Amanda skręciła w podjazd. Drogę zagrodziła jej potężna

czarna brama. Wcisnęła guzik na panelu i zamachała do kamery monitoringu dyskretnie umiejscowionej między wysokimi krzewami zasłaniającymi dom od ulicy.

Państwo Figaroa najwyraźniej cenili sobie prywatność. Teren przed domem miał rozmiar boiska do futbolu. Mimo odległości dostrzegła migotanie światła na parterze.

- Nie śpią. Myślisz, że prasa już coś zwęszyła?

- Jeśli tak, to mamy grupkę podejrzanych, którzy mogą być źródłem przecieku.

Znowu Collier. Zawsze pojawiał się nie w porę. Jeśli znał Angie, to czy znał też Dale'a Hardinga? A jeśli utrzymywał kontakt z glinami pokroju Hardinga i Angie, to co ten fakt mówił o nim samym?

Faith głęboko wierzyła, że kto z kim przestaje, takim się staje.

- Słyszałaś kiedyś nazwisko Souza? - zapytała, a gdy Amanda pokręciła głową, dodała: - Collier o niej wspominał.

- Wyjęła z kieszeni telefon i zajrzała do esemesów, szukając tego nazwiska. - Virginia Souza. Collier namierzył ją, bo pracowała w tym samym rewirze co Delilah, więc pewnie miały tego samego alfonsa. Rodzina twierdzi, że Souza zmarła z przedawkowania pół roku temu, ale to informacja od Colliera, a ja mu nie wierzę, bo to obrzydliwy kłamca.

- Czasem mówisz zupełnie jak twoja matka.

- Szkoda, że nie wiem, czy to komplement, czy nie. - Faith przeszukała bazę danych w poszukiwaniu kartoteki Souzy. - Jest. Pięćdziesiąt siedem lat, staruszka jak na dziewkę. Od końca lat siedemdziesiątych wielokrotnie zatrzymywana za

prostytucję. Narażenie dziecka na niebezpieczeństwo utraty zdrowia i życia. Zaniedbywanie dziecka. Współwinną wykorzystania dziecka. O niczym takim Collier nawet się nie zająknął. - Faith poczuła skurcz w kciuku, gdy przesuwała na wyświetlaczu kolejne strony historii kryminalnej Virginii Souzy. - Awantury pod wpływem alkoholu. Agresywne zachowanie. O prochach ani słowa. Dziwne, bo inne dziwki twierdzą, że pół roku temu zmarła z przedawkowania. A właściwie Collier twierdzi, że tego się od nich dowiedział. Dwie napaści, obie na nieletnie. O nich Collier mi mówił. Podejrzana w sprawie o uprowadzenie nieletniej. Podejrzana w sprawie o wykorzystanie. Ma jakiś problem z dziećmi. Znane ksywki: Souz, Souzie, Ginny, Gin, Mama.

- Burdelmama - rzuciła Amanda. - Prawa ręka alfonsa.

- To ma sens, jeśli wziąć pod uwagę jej wiek i kartotekę. Do napaści na nieletnie mogło dojść, gdy próbowała utrzymać w ryzach swoją stajnię.

- Dlaczego to tak długo trwa? - Amanda nacisnęła brzęczyk drugi raz i długo trzymała na nim palec, dając do zrozumienia, że nie zamierza odjechać. - Masz ich numer telefonu?

Faith nie zdążyła odpowiedzieć, ponieważ rozległ się szcęk i brama zaczęła się otwierać.

- Wreszcie - mruknęła Amanda.

Podjazd skręcał w lewo i prowadził do wolno stojącego garażu na sześć aut przy najdalszym narożniku domu. Amanda podjechała bliżej stojącego pod gołym niebem suwa tesli. Wyrysowane na ziemi linie wyznaczały powierzchnię

miniaturowego boiska z nisko zawieszonym koszem, co wskazywało, że Reuben Figaroa urządził tę przestrzeń z myślą o swoim sześciolatnym synu.

- Kip Kilpatrick - powiedziała Amanda.

Faith zobaczyła stojącego w otwartych drzwiach agenta. Miał tak błyszczący garnitur, że odbijały się w nim światła. Obserwując samochód, przerzucał z ręki do ręki butelkę jasnoczerwonego napoju energetycznego. Will nie doszacował mendowatości tego typu. Faith czuła ją z daleka jak stęchliznę wydobywającą się z zawilgoconej piwnicy.

- No to zaczynamy - powiedziała Amanda.

Wysiadły z auta, Amanda podeszła do Kilpatricka, Faith zerknęła przez okno drzwi garażu. Dwa ferrari, porsche, a na ostatnim stanowisku ciemnografitowy range rover, ten sam typ, jaki był zarejestrowany na Jo Figaroę.

- Panie Kilpatrick, cóż za przyjemność widzieć pana dwa razy jednego dnia - zaczęła Amanda.

Kilpatrick zerknął na zegarek.

- Ściśle rzecz ujmując, to dwa dni. Jest jakiś szczególny powód, dla którego o tak późnej porze odwiedza pani drugiego mojego klienta?

- Może omówimy to w środku z panem Figaroą?

- Może omówicie to tutaj ze mną?

- Dziwi mnie pańska obecność w tym miejscu, panie Kilpatrick. Składa pan późną wizytę domową?

- Ma pani pięć sekund na wyjaśnienie celu swojego przyjazdu albo na opuszczenie posiadłości pana Figaro.

Amanda milczała przez chwilę, by pokazać, że nic sobie nie

robi z tego ultimatum.

- Tak naprawdę szukam Josephine Figaroi. Wygląda na to, że zaginęła.

- Jest w ośrodku odwykowym. Wyjechała dzisiaj rano. Sam ją wsadziłem do auta.

- Czy może pan podać nazwę ośrodka?

- Nie.

- Czy może mi pan powiedzieć, kiedy wróci?

- Nie.

Amanda rzadko zderzała się ze ścianą, ale tym razem trafiła na twardego przeciwnika. W końcu postanowiła skończyć z podchodami i wyłożyć kawę na ławę.

- Dwie godziny temu znaleziono ciało. Wszystko wskazuje, że to Josephine Figaroa.

Kilpatrick upuścił butelkę, która roztrzaskała się na kamiennym podłożu. Czerwony płyn ochlapał mu stopy i spodnie. Kilpatrick zastygł w bezruchu, nie zwracając uwagi na powstały bałagan. Był autentycznie zdumiony.

- Pan Figaroa musi zidentyfikować ciało.

- Co? - Kilpatrick zaczął kręcić głową. - Jak to... Co?

- Potrzebuje pan chwili na zebranie myśli?

Kilpatrick spojrział na ziemię i dopiero teraz zauważył rozbitą butelkę.

- Jesteście pewni? - kręcił głową, a Faith niemal słyszała, jak sam sobie nakazuje spokój i przybranie maski prawnika. - Ja mogę zidentyfikować ciało. Gdzie się znajduje?

- Mamy zdjęcie, ale...

- Pokażcie.

Amanda już miała blackberry w ręku i pokazała zdjęcie twarzy kobiety.

- Jezu Chryste - wzdrygnął się Kilpatrick. - Co jej się stało?

- Właśnie to chcemy ustalić.

- Chryste Panie. - Wytarł usta rękawem marynarki. - Chryste Panie.

Za plecami Kilpatricka pojawił się cień, złowieszczy jak potwór w bajkach dla dzieci.

To był Reuben Figaroa. Ostrożnie postawił krok, nie chcąc zmoczyć butów. Miał na sobie pomięty szary garnitur, niebieską koszulę i czarny krawat. Głowę miał ogoloną, ciemne wąsy, kozią bródkę. Był bardzo wysoki, niemal dotykał czubkiem głowy framugi drzwi. Do czarnego paska była przytroczona kabura, a w niej tkwił sig-sauer P320. Figaroa przesunął kaburę na brzuch i miał minę człowieka gotowego w każdej chwili wyciągnąć broń.

- Panie Figaroa, czy możemy porozmawiać? - zapytała Amanda.

Reuben wyciągnął do niej rękę. Była trzy razy większa od jej dłoni.

- Niech mi pani pokaże zdjęcie.

- Nie, stary - wtrącił Kilpatrick. - Lepiej, żebyś tego nie widział. Wierz mi.

Amanda podała Reubenowi telefon. W jego ogromnej dłoni wyglądał jak paczka gumy do żucia. Przysunął go bliżej oczu, lekko przekrzywił głowę, przyglądając się zdjęciu. Faith przywykła do wysokiego wzrostu Willa, ale Reuben wydawał się gigantem. Górując nad innymi, przytłaczał swoją siłą

i budził strach. Powiedział tylko pięć słów, ale Faith czuła każdą cząstką siebie, że nie można mu ufać. Patrzył na zdjęcie martwej żony, a na jego twarzy nie malowały się żadne emocje.

- Czy to pańska żona, Josephine Figaroa?

- Jo. Tak, to ona. - Oddał telefon Amandzie. Mimo pozytywnej identyfikacji pozostał niewzruszony. - Proszę wejść - dodał beznamiętnym tonem.

Amanda nie umiała ukryć zaskoczenia tym zaproszeniem. Przed wejściem do domu zerknęła na Faith. Kip Kilpatrick przepuścił Faith w drzwiach. Nie był dżentelmenem, po prostu chciał mieć ją na oku. Nie miała nic przeciwko temu. Zadbała tylko o to, żeby zauważył jej przeciągłe spojrzenie w stronę opartego o drzwi karabinu ruger AR-556. Karabin był wyposażony we wszystkie bajery. Ergonomiczny uchwyt. Tłumik błysku. Składany tylny celownik ze stałą nastawą. Laser. Magazynek na trzydzieści nabojów.

Reuben poprowadził je długim korytarzem wyłożonym płytkami. Utykał, na nodze miał metalową ortezę. Wolne tempo dało Faith sposobność rozejrzenia się po domu. Tyle że niewiele dało się zobaczyć. Dom był nieskazitelnie czysty, wręcz sterylny. Na białych ścianach nie wisiała ani jedna fotografia. Przy drzwiach nie leżała ani jedna para sportowych butów. Żadnych brudnych rzeczy przyszykowanych do prania. Żadnych porzrzucanych zabawek.

Dla Faith nie było ważne, czy ktoś mieszka w ogromnej rezydencji, czy w klitce. Jeśli w domu jest sześćoletnie

dziecko, ślady jego obecności muszą znaczyć każdy kąt. A tutaj nie widziała śladów tłustych palców, porysowanych listew przypodłogowych czy rozsypanych płatków, pozwalających nieomylnie zlokalizować każde dziecko.

Salon prezentował się równie pusto i zimno. Zamiast otwartej kuchni, Faith zobaczyła szereg zamkniętych drzwi. W oknach sięgających od podłogi do sufitu nie wisały zasłony, które ociepliłyby tę surową przestrzeń. Żadnych obrazów, żadnych kwiatów. Meble ze stali i białej skóry, dostosowane do wzrostu koszykarza. Biały dywan z grubego pluszu. Biała podłoga. Jeśli w tym domu mieszkało dziecko, musiało być hermetycznie zamknięte.

- Proszę. - Reuben wskazał im sofę, ale nie czekał, aż usiądą, tylko zajął fotel stojący obok sofy. Za plecami miał ścianę. Siedząc, niemal zrównał się z Faith. Miał dziwny kolor oczu, szary jak mundur konfederatów. Długi plaster zakrywał część jego ogolonej głowy, pod nim wykwitał guz wielkości piłki do golfa.

- Co się panu stało? - zapytała Faith.

Nie odpowiedział. Patrzył na nią z obojętnością lwa przyglądającego się mrówce.

- Dziękuję, że zechciał nas pan przyjąć, panie Figaroa. Bardzo mi przykro z powodu pańskiej straty - odezwała się Amanda. Zajęła miejsce na końcu kanapy, żeby znaleźć się jak najbliżej niego. Musiała przysiąc na brzegu, żeby nogami sięgnąć ziemi. Kilpatrick rozparł się w innym fotelu. Stopy dyndały mu jak u Lilly Tomlin grającej Edith Ann. Wydawał się bardziej poruszony niż mąż Jo. Najwyraźniej nie



minął mu szok.

Reuben nie spuszczał wzroku z Faith. Czekał, aż usiądzie.

- Dziękuję, postoję. - Nie chciała gramolić się z kanapy, gdyby coś poszło nie tak.

A wiele rzeczy mogło pójść nie tak.

Zauważyła przy drzwiach wejściowych kolejny karabin. AK-47. Wyglądał, jakby został doposażony w element czyniący z niego dozwolony prawem karabin maszynowy. Na stoliku kawowym stała szklana szkatuła, w której leżała krótka broń, pistolet samopowtarzalny sig-sauer mosquito.

Amanda miała w torebce pięciopistoletowy pistolet, trzymany w woreczku Crown Royal. Faith miała glocka w pasku na nodze. Nie dorównywały Reubenowi Figaroi siłą ognia. Reuben trzymał rękę na podłokietniku w taki sposób, że tylko parę centymetrów dzieliło jego palce od sig-sauera na biodrze.

- Co się stało Jo?

- Nie jesteśmy pewni - przyznała Amanda. - Czekamy na sekcję zwłok.

- Kiedy?

- Dzisiaj rano.

- Gdzie?

- W kostnicy szpitala Grady.

Reuben Figaroa czekał na więcej szczegółów.

- Sekcję przeprowadzi policyjny lekarz sądowy, ale ktoś z GBI będzie w niej uczestniczył.

- Ja też chcę tam być.

Kilpatrick zerwał się z fotela.

- Jest w szoku - zwrócił się do Amandy. - Jasne, że nie chce uczestniczyć w sekcji zwłok żony. - Posłał Reubenowi ostrzegawcze spojrzenie. - Kiedy umarła?

- Może najpierw pan Figaroa powie nam, jak spędził poniedziałek?

- Nie... - zaczął Kilpatrick, ale Reuben uciszył go ruchem ręki.

- Rano byłem u mojego lekarza. Jak pani widzi, jestem po operacji kolana i musiałem przyjść na wizytę kontrolną. Potem miałem spotkanie biznesowe z Kipem, później spotkaliśmy się z moim adwokatem Ditmarem Wittichem. Resztę dnia spędziłem z moimi bankowcami. City Trust. Bank of America. Wells Fargo. Kip da wam ich numery.

- Żaden z nich oczywiście nie zdradzi pani tematu rozmowy, ale czas można zweryfikować. W bankach są kamery monitoringu. Musicie tylko przedstawić nakaz - powiedział Kilpatrick.

- Pozostaje jeszcze wieczór i noc. - Amanda spojrzała na Reubena. - Przepraszam, ale to dziwne, że jest druga w nocy, a pan ciągle ma na sobie garnitur.

- Dlatego trzymałem panie pod bramą wjazdową. Uznałem, że niewłaściwie będzie przywitać was w piżamie.

Amanda skinęła ze zrozumieniem. Przemilczała fakt, że garnitur wyglądał jak noszony przez cały dzień.

- Gdzie ją znaleźliście? - zapytał.

Amanda zignorowała to pytanie, natomiast powiedziała:

- Liczyłam, że pomoże nam pan ustalić chronologię zdarzeń. - Zwróciła się do Kilpatricka. - Powiedział pan, że

zapakował ją do auta w poniedziałek rano, tak?

- To była przenośnia. - Kilpatrick zrozumiał, że zapędził się w kozi róg. - Zniosłem jej rzeczy do auta w niedzielę wieczorem. Nie wiem, o której rano wyjechała w poniedziałek. - Raz po raz zerkał nerwowo na Reubena. - Ostatni raz widziałem ją w niedzielę wieczorem. Byliśmy na przyjęciu.

- Pojechała do ośrodka własnym autem? - zapytała Faith.

Kilpatrick widział, jak Faith zagląda do garażu i patrzy na range rovera Jo Figaroi.

- Nie pamiętam.

- A pan? - Amanda zapytała Reubena.

- W niedzielę wieczorem - uprzedził swojego klienta Kilpatrick. - Reuben też był na przyjęciu. I Jo. Wyszła wcześniej. Bolała ją głowa, chciała się spakować, nie wiem, jaki był powód. Reuben wziął tabletki przeciwbólowe w niedzielę wieczorem, po przyjęciu. Gdy obudził się w poniedziałek rano, Jo nie było. Założył, że wyjechała do ośrodka. Pewnie lincolnem, bo jej rover stał w garażu. - Kilpatrick tworzył historię w miarę mówienia. - Wie pani, jak jest w ośrodkach odwykowych. Przez pierwsze dwa tygodnie nie pozwalają pacjentom dzwonić do domu, nie wiemy zatem, czy dotarła do kliniki, czy nie.

Amanda mogła wskazać wszystkie słabe punkty tej historii, ale tylko kiwała głową.

- Kto ją zabił? - zapytał Reuben.

- Nie wiemy, czy została zamordowana.

- Zdjęcie. Ktoś ją uderzył w twarz. Pobił. - Reuben

odwrócił wzrok. Jego zaciśnięte pięści miały rozmiar piłki futbolowej. - Kto ją zabił? - powtórzył.

- Pani Wagner - wtrącił się Kilpatrick. - Powinna pani wiedzieć, że Jo była uzależniona od oksykodonu. Poważnie uzależniona. Fig nie miał o tym pojęcia, póki nie została zatrzymana. Dlatego jest w ośrodku... No, wybierała się do ośrodka. - Urwał, żeby przełknąć ślinę. Był wyraźnie zdenerwowany. - Szukajcie jej dilerów, kogoś ze świata przestępczego.

Faith przypomniała sobie coś. Will mówił, że Angie zaopatrywała młode dziewczęta w prochy. To była jej metoda powstrzymywania ich przed pójściem na ulicę. Czy dostarczała też prochy Jo Figaroi?

- Ma pan imponującą kolekcję broni. - Amanda rozejrzała się po salonie, udając, że dopiero teraz zauważyła ten arsenał. - To hobby czy obawia się pan o rodzinę?

Reuben wbił w nią zimne spojrzenie stalowoszarych oczu.

- Doskonale zajmuję się rodziną.

- Pani Wagner - Kilpatrick odzyskał pewność siebie - na pewno zna pani decyzję zgromadzenia ustawodawczego stanu Georgia, paragraf pierwszy do dziesiątego. Stróże prawa nie mogą pytać praworządnych obywateli o broń palną, zezwolenia i inny rodzaj broni niewidocznej lub będącej na widoku, a już zwłaszcza w prywatnym domu.

- Czy Jo pożegnała się z Anthonym? - zapytała Faith.

- Tak - odparł Reuben, spoglądając na nią spod przymrużonych powiek.

Czekała na ciąg dalszy, ale najwyraźniej nie miał zamiaru

rozwijać tego wątku.

- Czy Anthony jest tutaj?

- Tak.

- Możemy z nim porozmawiać? Może jego matka...

Nagle zadzwonił telefon. Dźwięk był tak nieoczekiwany i donośny, że Faith musiała powstrzymać odruch sięgnięcia po broń. Reuben powoli włożył rękę do kieszeni i wyjął iPhone'a. Faith patrzyła na Kilpatricka. Przesunął się na skraj fotela i czekał w napięciu. Wyraz stalowoszarych oczu Reubena nieco złagodniał, czyli w kamieniu pojawiła się drobna rysa.

Wszyscy patrzyli, jak przykłada telefon do ucha.

- Nie - wymamrotał, potem czekał. - Nie - wymamrotał ponownie i skończył rozmowę. Potrząsnął głową i popatrzył na Kilpatricka. Trzymał telefon w dłoni. Faith życzyła sobie, żeby tak zostało. Woląca, żeby jego dominująca ręka była zajęta. - Przepraszam. Sprawa osobista - powiedział.

- Reubenie? - W otwartych drzwiach prowadzących do jednego z pozostałych pomieszczeń domu stanęła starsza kobieta, Afroamerykanka, nienagannie ubrana, z naszyjnikiem z pereł. - Czy podać twoim gościom kawę albo herbatę?

- Nie, dziękuję bardzo. - Reuben wygładził krawat. - Wszystko w porządku.

Kobieta wahała się przez chwilę, po czym cofnęła się do pomieszczenia, z którego wyszła.

Ta wymiana zdań trwała sekundy, ale Faith zdążyła przyjrzeć się twarzy kobiety. Jej dolna warga drżała.

- To matka Jo - wyjaśnił Kilpatrick. - Ma kłopoty z sercem. Poczekamy z przekazaniem złych wieści, aż jej stan się poprawi.

- Proszę wybaczyć pytanie, ale czy Josephine została adoptowana? - odezwała się Amanda.

Reuben odzyskał panowanie nad sobą. Jego twarz znowu była beznamiętną maską.

- Tak, w niemowlęctwie. Nie znała biologicznej matki.

- Jakie to smutne. - Amanda zakryła usta dłonią i zakasłała. Poklepała się w klatkę piersiową i znowu zakasłała. - Przepraszam za kłopot, ale czy mogę dostać trochę wody?

- Ja przyniosę - zaoferowała się Faith.

Reuben podniósł się, ale Kilpatrick osadził go w miejscu słowami:

- W porządku.

Zaraz po wejściu do kuchni Faith zrozumiała, skąd ten spokój u Kilpatricka. Okrągła głowa, czarne ubranie, bardzo obcisłe. W kuchennym aneksie siedział Laslo Zivcovic i jadł lody z kartonu. Kobieta, która musiała być panią Lindsay, stała po drugiej stronie aneksu i mięła w rękach biały ręcznik, najwyraźniej zdenerwowana tym, co działo się w salonie. Perły naprowadziły Faith na trop, a pewność zyskała, gdy zauważyła tę drżącą dolną wargę. To tę kobietę opisał Will.

- Jaka piękna kuchnia - powiedziała, chociaż pomieszczenie przypominało pokój bez klamek w zakładzie dla obłąkanych. Białe szafki. Pochowany sprzęt kuchenny. Marmurowy blat kuchenny zlewał się z marmurową podłogą.

Nawet otwarte schody na tyłach były białe.

- Dziękuję. - Pani Lindsay złożyła ręcznik. - Zięć ją zaprojektował.

To wiele wyjaśniało. Reuben sam mógł uchodzić za marmurową płytę.

- Utrzymanie jej w czystości musi być nie lada wyzwaniem, zwłaszcza przy małym chłopcu. Pani córka ma chyba wielu pomocników.

- Nie, wszystko robi sama. Sprząta, gotuje, pierze.

- To mnóstwo pracy, zwłaszcza przy małym chłopcu - powtórzyła Faith.

Łyżka Lasla upadła z brzękiem na kontuar.

- Potrzebujesz tu czegoś? - zwrócił się do Faith. Pod wpływem bostońskiego akcentu mówił tak, jakby wypchał watą policzki.

Nalanie wody do szklanki trwałoby za krótko, więc Faith powiedziała:

- Zaproponowałam, że pomogę przy herbacie.

- Wezmę czajnik. - Pani Lindsay otwierała i zamykała kolejne szafki w poszukiwaniu czajnika. Faith domyśliła się, że rzadko tu bywa.

- Ej! - Laslo postukał łyżką w kontuar, by zwrócić na siebie uwagę, i wskazał dozownik gorącej wody, co oznaczało, że on bywa tu często.

- Te wszystkie nowoczesne gadzety. - Pani Lindsay sięgnęła po kubki. Białe, ogromne, odpowiednie dla Reubena Figaroi jak wszystko w tym domu.

Faith zaczęła nalewać gorącą wodę do kubków. Kontuar

był umieszczony tak wysoko, że musiała wspiąć się na palce.

- Opiekuje się pani wnukiem? - zapytała.

Pani Lindsay bez słowa kiwnęła głową.

- Sześć lat. To znaczy, że jest w pierwszej klasie. - Faith napełniła kolejny kubek. - To cudowny wiek. Wszystko jest ekscytujące. Dzieci są wesołe, szczęśliwe. Chce się ciągle z nimi być.

Pani Lindsay nie trafiła w kontuar. Kubek spadł na marmurową posadzkę i roztrzaskał się na drobne kawałki, które poleciały we wszystkich kierunkach.

W pierwszej chwili wszyscy zamarli. Patrzyli na siebie w milczeniu. W końcu przerwał je Laslo.

- Idź na górę, moja droga. Ja to posprzątam.

Pani Lindsay spojrzała na Faith. Jej dolna warga znowu drżała.

- Wczoraj chyba pani spotkała mojego partnera. Nazywa się Will Trent.

Laslo wstał. Pod nogami zachręściły mu kawałki porcelany.

- Idź na górę, zajmij się Anthonym. Nie chcesz chyba, żeby przez ten hałas obudził się i przestraszył.

- Oczywiście. - Pani Lindsay zagryzła dolną wargę. - Dobranoc - zwróciła się do Faith.

Laska stuknęła o podłogę, gdy starsza pani zmierzała ku schodom. U ich podnóża odwróciła się, spojrzała na Faith i rozpoczęła mozolny marsz w górę. Upłynęła wieczność, zanim jej stopy zniknęły z pola widzenia.

Laslo butami zgniótł na proszek resztki kubka i zajął



miejsce przy kontuarze. Złapał łyżkę, włożył do ust porcję lodów i cmoknął. Jego wzrok powędrował ku piersiom Faith.

- Fajne cycki - powiedział.

- Twoje też.

Faith kopniakiem otworzyła drzwi wahadłowe. Wiedziała, że to zostawi ślad. Amanda już wstała z kanapy i trzymała w rękach torebkę.

- Dziękuję, panie Figaroa. Będziemy w kontakcie. Jeszcze raz proszę przyjąć wyrazy współczucia - powiedziała.

Kilpatrick odprowadził je korytarzem do tylnych drzwi. Szedł za nimi, pilnując, żeby nie znalazły czegoś, czego nie będzie umiał wyjaśnić.

Przy drzwiach zwrócił się do Amandy.

- Jeśli będzie pani miała więcej pytań do Figa, proszę dzwonić do mnie na komórkę. Numer jest na wizytówce.

- Pan Figaroa musi zidentyfikować ciało. Przydałaby się próbka DNA.

Kilpatrick skwitował tę sugestię pogardliwym uśmiechem. Żaden prawnik dobrowolnie nie przekazywał DNA swojego klienta.

- Zróbcie drugie zdjęcie, kiedy ją umyjecie. Od tego zaczniemy.

- Wspaniale - powiedziała Amanda. - Do zobaczenia za kilka godzin.

Uśmiezek nie schodził z ust Kilpatricka.

- Przesłuchanie Marcusa, na które Ditmar wyraził wczoraj zgodę pod wpływem pani perswazji, nie dojdzie do skutku. Proszę zadzwonić do Ditmara i zapytać, jeśli mi pani nie

wierzy.

Nie trzasnął drzwiami, ponieważ nie musiał.

Idąc do samochodu, Amanda ścisnęła torebkę, jakby chciała ją udusić.

Faith szła tyłem, spoglądając w okna na pierwszym piętrze. Światła były zgaszone, pani Lindsay nie wyglądała zza firanki. Faith odniosła to samo wrażenie, jakim podzielił się z nią Will. Coś było nie tak.

Wsiadły do auta. Milczały, póki nie znalazły się na Cherokee.

- Dowiedziałaś się czegoś od matki? - zapytała Amanda.

- Laslo tam był - odparła Faith. - A ten telefon? Kilpatrick omal nie wyskoczył ze skóry.

- Robi się coraz ciekawiej. Reuben Figaroa to zły człowiek.

Każdemu innemu Faith powiedziała by „nie żartuj, naprawdę?”. Broń w różnych miejscach domu. Wnętrze przypominające salę operacyjną. Reuben Figaroa spełniał wszelkie kryteria męża nadzorcy. Czy instynkt kontrolera przejawiał się przemocą fizyczną, pozostawało kwestią otwartą. W takiej sytuacji trudno się dziwić, że żona faszerowała się prochami w drodze na zakupy.

Natomiast trudno było dopatrzeć się sensu w tym morderstwie.

- Jego alibi na pewno się potwierdzi. Wiesz o tym. Bardzo to dla niego wygodne, że cały dzień wypełniły mu spotkania z ludźmi, których z racji wykonywanej pracy obowiązuje tajemnica służbowa.

- Angie mogła ją zabić - powiedziała Faith. - O to w tym

chodzi. Nie o Marcusa Rippy'ego, Kilpatricka czy Reubena. Angie wyskoczyła jak u Jerry'ego Springera. „Niespodzianka! Jestem twoją matką!”. Skłoniła Jo do zrobienia czegoś, co doprowadziło do jej zamordowania.

- Nie pozwól, żeby ogon machał psem - ostrzegła Amanda.  
- Martwię się o ich syna. Nawet ja wiem, że jeśli w domu jest dziecko, to powinny być zabawki czy brudne ślady na szklanym stoliku kawowym.

- Plecak, buty, książeczki do kolorowania, kredki, autka, brud. - Faith niemal już zapomniała, ile brudu chłopcy wnoszą do domu. Działali jak magnes, przyciągali kurz. - Jeśli w tym domu mieszka sześciolatek, to jego matka przez cały dzień po nim sprząta. I robi to sama. Pani Lindsay potwierdziła, że Jo nie ma pomocy do prowadzenia domu. Gotuje, sprząta, pierze jak prawdziwa gospodyni domowa.

- Jo zniknęła w niedzielę wieczorem. Praktycznie rzecz biorąc, mamy wtorek rano. Zakładamy, że mąż nie szoruje toalet. Czy pani Lindsay wzięła na siebie sprzątanie?

- Mało prawdopodobne, ledwie szła o lasce. Ale masz rację co do Anthony'ego. Coś jest nie tak. Przyciskałam ją uwagami o dzieciach i w końcu by pękła, gdyby nie był tam Laslo. Możemy zadzwonić do szkoły. Informacje o nieobecnościach mogą nam podać. Przypuszczam, że chodzi do E. Rivers. To finansowana ze środków publicznych szkoła dla dzieci białych bogaczy.

- Jest za wcześnie. Zastaniemy tam kogoś dopiero o szóstej.

Faith ziewnęła na wspomnienie wczesnej pory.

- Chcę porozmawiać z tą N.N., którą Will znalazł w budynku. Musiała coś widzieć. Skąd miała tyle koki?

Faith nie mogła powstrzymać ziewania. Otrzymała za wiele informacji w krótkim przedziale czasu. Miała wrażenie, że jej mózg wiruje jak bączek.

- Figaroa był pewny tożsamości żony. Skąd ta pewność, skoro zobaczył tylko zdjęcie? Jej głowa ma wielkość melona. Ktoś ją potwornie pobił.

- I tu pojawia się kolejny problem. - Amanda wskazała zegar w radiu. - Przyjechałyśmy tam przed drugą trzydzieści w nocy, ale wszyscy byli na nogach, kompletnie ubrani. Kilpatrick w garniturze, Reuben w garniturze, Laslo, teściowa z perłami na szyi. Wszystkie światła się paliły. Za tym się kryje jakiś konkretny powód.

- Kilpatrick nie wiedział, że Jo nie żyje - zauważyła Faith.

- Właśnie. Był w szoku, kiedy o tym usłyszał. Nie udawał.

- Figaroa nosi ortezę, a na głowie ma wielką śliwę. Ktoś solidnie go zdzielił.

- Jo?

Faith zaśmiała się, ale był to śmiech wywołany desperacją.

- Angie? Delilah? Virginia Souza?

- Karabin AK przy drzwiach wejściowych jest przerobiony na automat.

- AR przy tylnych drzwiach ma nakładkę na kolbę, umożliwiającą strzelanie ogniem ciągłym. Sto naboji w siedem sekund. - Faith pokręciła głową. - Co się, do cholery, dzieje w tym domu?

- Tylko pomyśl. Kilpatrick jest człowiekiem do zadań specjalnych, Laslo też. Jaki problem przyjechali rozwiązać?

- Jeśli założymy, że Kilpatrick naprawdę nie wiedział o śmierci Jo, to nie ta sprawa. Pani Lindsay była u Kilpatricka w poniedziałek po południu. Wtedy widziała Willa. Była czymś zaniepokojona - przypomniała Faith.

- Jej córka została aresztowana za posiadanie.

- Tak, w zeszły czwartek. Jo wyszła z aresztu w sobotę. Jej matka była u Kilpatricka w jakiejś innej sprawie, z poniedziałkowym problemem. Problemem wynikłym po zabiciu Hardinga. Problemem po zniknięciu jej córki, o której mówi się, że jest na odwyku. - Faith dostrzegła nagle inny problem. - Przyszła do Kilpatricka, nie do Reubena.

- Ten telefon, który Reuben odebrał parę minut temu... To było dziwne.

- Wyglądało, jakby wszyscy czekali na telefon, nawet pani Lindsay. W chwili, kiedy zadzwonił, wytknęła głowę z kuchni, żeby zorientować się w sytuacji - powiedziała Faith. - Jeśli nie chodzi o Jo, to może chodzić tylko o Anthony'ego. Tylko z jego powodu pani Lindsay byłaby tak przejęta.

- Złóż to wszystko w jedną całość, Faith. Reuben Figaroa pojechał do biura Kilpatricka w poniedziałek rano. Potem razem spotkali się z jego prawnikiem. Tego dnia Reuben odwiedził trzy różne banki. A teraz siedzą tam razem w środku nocy kompletnie ubrani i czekają na telefon. Co ci to mówi?

- Okup - powiedziała Faith. - Angie porwała swojego wnuka.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Will chodził po korytarzu szpitala pod pokojem N.N., podczas gdy lekarze robili poranny obchód. Trzymał ręce w kieszeni. Czuł się dziwnie ożywiony, niemal upojony, chociaż minionej nocy w ogóle nie spał. Myślał jaśniej niż w ciągu minionych trzydziestu sześciu godzin. Angie była pewna, że zrani go emocjonalnymi gierkami, ale osiągnęła efekt przeciwny. W tej chwili miał jeden cel: dorwać ją i pognać.

Miało ją bardzo zaboлеć, a Will wiedział, jak to osiągnąć.

- Will? Co ty tu robisz? - zapytała Faith.

Nawet się nie zatrzymał, żeby to wyjaśnić. Wszystko, co kłębiło mu się w głowie przez siedem ostatnich godzin, wyrzucił z siebie za jednym zamachem:

- Zajrzałem do moich notatek ze śledztwa w sprawie gwałtu. Reuben Figaroa był głównym świadkiem zapewniającym alibi Rippy'emu, z kolei Jo Figaroa zapewniła alibi swojemu mężowi. Angie o tym wiedziała. Odkryła, że Jo jest ćpunką, a ćpunów łatwo kontrolować. Zmanipulowała ją, żeby zaszantażowała męża. Gdyby Jo wycofała zeznania w sprawie alibi Reubena, to podważyłoby alibi Rippy'ego, i cała misterna konstrukcja by się zawaliła. Zamiast się ugiąć i zapłacić, Reuben zwrócił się do Kilpatricka, który zlecił Hardingowi rozwiązanie problemu. Harding wystawił Jo glinom, a kiedy to nie zamknęło jej ust, rozwiązał problem, odbierając jej życie. - Czuł, że się uśmiecha, ponieważ

wszystkie przesłanki do tych wniosków mieli od samego początku. - Angie zadzwoniła, żebym posprzątał ten bałagan, bo taki ma sposób działania.

Faith milczała przez kilka długich chwil.

- Skąd Angie wiedziała o zeznaniach świadków? - zapytała w końcu.

- Były w moich teczkach w domu. Musiała je widzieć. Wiem, że je widziała. - Nagle dotarło do niego, że mówi za szybko i za głośno. Odetchnął głęboko, żeby zwolnić tempo. - Pomieszała mi dokumenty. Zna mój system oznaczania papierów kolorami, a ona wymieszała je celowo. Chciała dać mi do zrozumienia, że je widziała.

- Gdzie jest Sara?

- Na dole, przy sekcji zwłok. - Złapał Faith za ramiona. - Posłuchaj mnie. Po śmierci Jo Angie straciła możliwość wywierania nacisku. Teraz próbuje nas...

- Przypuszczamy, że Angie porwała wnuka.

Pod wpływem szoku Will rozluźnił uścisk na ramionach Faith.

- Nie było go wczoraj w szkole. Dzisiaj rano też się nie pojawił - dodała.

Patrzył jej w oczy, starając się znaleźć logiczne wyjaśnienie tej sytuacji.

- Może się przeziębził albo...

- Chodź, usiądziemy gdzieś.

Poprowadziła go w stronę dyżurki pielęgniarek i posadziła go na krześle, ale sama stanęła mu nad głową i zrelacjonowała to wszystko, czego się dowiedziały

z Amandą.

Przedwczesna radość Willa z rozwiązania sprawy zaczęła ulatywać, gdy Faith powiedziała o pani Lindsay, która wystawiła głowę zza drzwi na dźwięk telefonu. Kiedy kończyła opowiadać, rekapitulując zdarzenia ostatnich godzin, Will siedział pochylony na krześle, z dłońmi między kolanami, kompletnie przybity.

Wszystko, co mówiła Faith, miało sens. Adwokaci i bankowcy. Nerwowe oczekiwanie na telefon u Figaroi. Angie mordująca córkę i próbująca na tym zarobić.

Co było z nim nie tak? Jak mógł kochać tak podłą kobietę?

- Może masz rację, że coś pokrzyżowało Angie plany szantażu, dopiero kiedy Harding porwał Jo... - powiedziała Faith.

- Angie uznała Anthony'ego za idealnego dublera. - Will potarł dłońmi twarz. Walka o przetrwanie. Angie zawsze parła naprzód i nie martwiła się o konsekwencje, ponieważ nigdy nie zostawała na tyle długo, by ich doświadczyć na własnej skórze. - Uderzyłem Colliera - przyznał.

- Domyśliłam się. Szkoda, że nie przywaliłeś mu mocniej. - Zebrało jej się na ziewanie, więc zasłoniła usta dłonią. - Musimy przeanalizować jego wersję tej sprawy. Skłamał, że Virginia Souza zmarła z przedawkowania. Ona żyje i ma się dobrze. Mamy jej zdjęcia z kamery monitoringowej w więzieniu, jak wpłaca kaucję za osiemnastolatkę przymknętą za nagabywanie mężczyzn. Delilah Palmer to nasz jedyny pewny trop. Może być ofiarą. Może być sprawczynią. W jednym i w drugim przypadku pierwszą osobą, do której by się



zwróciła, jest jej alfons. Musimy odnaleźć Souzê. Jeśli rzeczywiście to ona jest burdelmama, będzie znała tożsamość alfonsa Delilah. Dostaniemy alfonsa, mamy Delilah.

Podszedł do nich lekarz.

- Agencie Trent, może pan porozmawiać z pacjentką, ale krótko. I proszę nie wzmacniać jej ekscytacji.

- Skąd w niej ta ekscytacja? - zapytała Faith.

Lekarz wzruszył ramionami.

- Darmowe jedzenie, czysta pościel, pielęgniarki czekające na jej wezwanie, kablówka. Przetoczyliśmy jej całą krew, więc zapewne pierwszy raz od bardzo dawna jest czysta. Była na ulicy przez dwadzieścia lat. Szpital to dla niej Ritz.

- Dzięki - powiedziała Faith. - Gotowy? - zwróciła się do Willa.

Will chciał wstać, ale czuł się, jakby nalano mu ołowiu do butów. Wczorajsze odrętwienie przypomniało o sobie. Każda minuta braku snu wróciła do niego jak fala uderzeniowa.

- Nie możemy nic zrobić, prawda? Mówię o sprawie Anthony'ego. Jego ojciec nie złożył zawiadomienia o zaginięciu. Nie możemy zażądać widzenia z nim, bo nie mamy dowodu, że faktycznie stało się coś złego. Reuben ma zespół adwokatów, którzy na każdym kroku przypominają mu jego prawa. Jeśli ma takiego świra na punkcie kontrolowania, jak mówisz, będzie się upierał, żeby to załatwić we własnym zakresie.

- Amanda stara się o nakaz na podsłuch jego telefonów. W okolicy domu Figaroi stoją cztery nasze wozy. Jeśli ktoś

wyjedzie z rezydencji, będzie śledzony. Ale masz rację, w tej chwili możemy tylko pracować nad swoim wycinkiem sprawy – powiedziała Faith.

Will poczuł, jak słoń, który dusił go zeszłej nocy, postawił niepewny krok na jego klatce piersiowej. Strząsnął go z siebie. Nie miał zamiaru znów się upokarzać jak w domu pogrzebowym.

– Angie powiedziała, że Jo była moją córką. Sara twierdzi, że moja grupa krwi nie wyklucza mnie jako ojca.

– Wierzysz Angie?

Will podzielił się z Faith tym jedynym, co w tej chwili kotłowało mu się w głowie:

– Myślę tylko o jednym: walnąć ją w gardło tak, żeby tchawica się zapadła, a potem widzieć panikę w jej oczach, kiedy będzie dławić się na śmierć.

– Obrazowe i niepokojące. – Faith miała minę, która powiedziała Willowi, że partnerka zaraz zacznie mu matkować. – Może pojedziesz do domu i odpoczniesz? Masz za sobą kilka ciężkich dni. Sama mogę przesłuchać N.N. Amanda będzie tu lada chwila. Chyba nawet nie powinieneś rozmawiać z potencjalnym świadkiem.

– Już za późno. Zresztą to ja ją znalazłem. – Will wstał i poprawił krawat. Powinien wziąć przykład z Angie i iść naprzód. Jeśli pozwoli, żeby stres przejął nad nim kontrolę, jeśli ulegnie następnemu atakowi paniki, nigdy więcej nie będzie w stanie podnieść głowy. – Chodźmy już.

Puścił Faith przodem. N.N. numer dwa była jedną z trzech N.N. na oddziale. N.N. numer jeden leżała w cichej sali na

końcu korytarza. Przed salą, w której leżała N.N. numer trzy, stał policjant. Szpital Grady był jedynym publicznym szpitalem w Atlancie i trafiało tu sporo niezidentyfikowanych osób.

Ich N.N. leżała w maleńkiej salce wydzielonej szklaną ścianą i ciężkimi niedomykającymi się drewnianymi drzwiami. Urządzenia pompowały powietrze i syczały. Kardiomonitor kontrolował rytm serca. W sali paliły się wszystkie światła. Oczy N.N. otaczały czarne obwódki. Tak się dzieje, kiedy nos zapada się w twarzy. Bandaże pokrywały dwie trzecie głowy, odsłaniały tylko usta i brodę. Spod bandażu wystawały tłuste brązowe kosmyki. Z obu stron twarzy wystawały dreny chirurgiczne połączone z workami, do których sączyły się płyny i krew z rany. Przypominała Willowi Colo, szponiastą rybę z „Gwiezdných wojen”.

Kiedy Faith i Will weszli do sali, N.N. kończyła galaretkę owocową.

- Nie zamykajcie drzwi. Nie chcę skończyć jak kolejna czarna umierająca w tajemniczych okolicznościach w policyjnym areszcie.

- Po pierwsze nie jest pani w areszcie, po drugie nie jest pani czarna.

- Gówno prawda. - N.N. potarła białe ramiona. - Więc dlaczego tak spieprzyłam sobie życie?

- Przypuszczam, że to kwestia dokonywanych wyborów.

N.N. odstawiła pusty kubek i opadła na poduszki. Miała chrypliwy głos, była starsza, niż Willowi początkowo się

wydawało. Pewnie dobiegała pięćdziesiątki. Nie miał pojęcia, skąd przypuszczenie, że to Angie.

- Czego chcecie? Zaraz będą mnie myć gąbką, potem przychodzi sędzia Mathis.

- Chcemy porozmawiać o niedzielnym wieczorze.

- A dzisiaj co jest?

- Wtorek.

- Jasny gwint, niezła była ta koka. - Zaśmiała się, a worki uderzyły ją w policzki. - Rany, niedziela. W niedzielę odleciałam.

Faith posłała Willowi wymowne spojrzenie, dając do zrozumienia, że traci cierpliwość.

- Wydaje mi się, że źle zaczęliśmy tę rozmowę - przejął pałeczkę Will. - Nazywam się Trent, jestem agentem specjalnym z GBI. To moja koleżanka Faith Mitchell.

- Skoro jestem w szpitalu, to możecie mi mówić doktor Smith.

Will wątpił, żeby N.N. miała przy sobie jakiś dokument tożsamości, a on nie mógł pozyskać odcisków palców bez jej aresztowania, co wiązało się z kolejnymi problemami.

- Dobrze, doktor Smith - zwrócił się do niej. - W niedzielę w nocy w budynku naprzeciwko miejsca, gdzie znaleźliśmy panią w poniedziałek rano, zamordowano człowieka.

- Zastrzelili go? - zapytała.

- Nie jesteśmy pewni. Słyszała pani strzał?

N.N. zmierzyła go baczny wzrokiem.

- Wiecie, że przynajmniej raz w roku pies zabija człowieka z broni palnej? - Z jakiegoś powodu uznała, że to przydatna

informacja. - Gdyby mnie kto pytał, to ludzie powinni dobrze się zastanowić nad trzymaniem psów w domu. Aha... - Jej spojrzenie powędrowało ku drzwiom, w których stała Amanda. - Kapitan zawsze dowodzi z tylnej części statku.

Amanda skwitowała ten komplement lekkim skinieniem głowy.

- Agentko Mitchell, dlaczego podejrzana nie została przeniesiona na oddział dla więźniów piętro niżej? - zwróciła się do Faith.

- Tak bez telewizji i mycia gąbką?

- Rany, nie musicie od razu wprowadzać stanu gotowości.

- N.N. próbowała usiąść na łóżku. - Dobra, mam informacje. Co będę z tego miała?

- Jeszcze jeden dzień na oddziale intensywnej terapii, a potem przeniesienie na zwykły oddział. Załatwię parę dodatkowych dni. A po wyjściu udział w programie odwykowym.

- Nie potrzebuję żadnego programu, tylko wracam do koki zaraz po wyjściu. Ale chcę dwóch dodatkowych dni w szpitalu. A wy mi je zapewnicie, bo byłam w budynku, kiedy to się stało.

- W biurówcu? - zapytał Will.

- Nie, w tym z balkonem. - Uśmiechnęła się spod bandaży, odsłaniając brązowe zęby. - O, teraz was zainteresowałam.

Faith skrzyżowała ramiona.

- O której godzinie pani się tam znalazła?

N.N. postukała palcem w nadgarstek.

- Ożeż, zwędzili mi roleksa. O której? Skąd mam wiedzieć,

suko? Było już ciemno, pełnia, niedziela. Tyle wiem.

Faith oddała pole Amandzie. Wiedziała, kiedy świadek zwraca się przeciwko niej.

- Proszę zacząć od strzału - powiedziała Amanda.

- Byłam po drugiej stronie ulicy, w biurowcu. Szykowałam się do spania, nie? Nagle słyszę strzał i myślę: co jest, kurwa? Może strzelił gaźnik w aucie? Albo gang uliczny się zabawia. - Zakasłała, żeby odkrztusić flegmę. - No więc leżę tam i myślę, co robić. Postanawiam sprawdzić, co się dzieje, bo jeśli to jakiś gang, to muszę spieprzać, nie?

Amanda kiwnęła głową.

- Jestem na drugim piętrze, leżę sobie wygodnie w łóżeczku, więc trochę trwało, zanim się zgramoliłam na dół. Ten budynek to śmiertelna pułapka. Jeszcze przed wyjściem słyszę, jak auto rusza, i to na pełnym gazie.

Will przygryzł wargi, żeby nie zakląć. N.N. zjawiała się tam za późno.

- Słyszała pani odjeżdżający samochód? - upewniła się Amanda.

- Tak.

- Widziała go pani?

- Tak jakby. Wyglądał na czarny, miał czerwony pasek na dole.

Samochód Angie był czarny i miał czerwony pasek.

- Na parkingu stało inne auto. Białe, takie zagraniczne - dodała N.N.

Kia Dale'a Hardinga.

- No więc wracam na posłanie. Nie moja broszka, że ktoś

pali gumę, nie? Wiem, kiedy dzieje się coś złego.

Will przeżył moment rozczarowania, ale N.N. kontynuowała:

- No więc leżę i myślę sobie, no wiecie, co myślę. Może źle zrobiłam. To okolica, hm, transakcyjna, a w kieszeni mam trochę kasy. Przed budynkiem stoi auto, drugie właśnie odjechało. Znaczy się w środku siedzi diler, nie? Prosta ekonomia. - Uniosła się do pozycji siedzącej. - Znowu schodzę sobie wolniutko, idę przez parking, wchodzę do budynku, a tam ciemno jak w dupie. Okna przyciemnione czy coś. Chodzę jak ta ślepa, a kiedy oczy mi się przyzwyczajają do ciemności, widzę dziewczynę na ziemi. Najpierw pomyślałam, że nie żyje. Przeszukuję jej kieszenie, wtedy ona się porusza, a ja robię uaaa!

- To było na parterze, nie na wyższej kondygnacji? - doprecyzowała Amanda.

- Właśnie tak.

- W którym miejscu dokładnie leżała ta dziewczyna?

- Szlag, nie wiem. Mapy nie miałam. Nie zwracałam uwagi. Weszłam do budynku i bum! trafiłam na nią.

- Jak wyglądała?

- Ciemne włosy. Biała. Leżała na boku. Nie mogła ruszać nogami i rękami, ledwie ruszała głową, ale jęczała. Myślę: kurwa, poważna sprawa, spadam stąd, ale nie mogę, bo jakiś samochód zajeżdża na parking.

- Ten sam?

- Tak, ale teraz widziałam go wyraźnie. Kwadratowy przód jak w starych autach. Ale ja się nie znam.

Chevrolet monte carlo Angie był czarny i miał kanciasty przód. Dlaczego wróciła? A przede wszystkim dlaczego najpierw odjechała?

- Ile czasu upłynęło między odjazdem a powrotem tego auta? - zapytała Amanda.

- Może pół godziny. Nie wiem, w moim biznesie nie muszę tego sprawdzać. Więc auto stoi przed budynkiem, a ja chowam się za barem. I zerkam, o tak. - N.N. wyciągnęła szyję. - I widzę, jak wchodzi ta druga suka. Wysoka, biała, długie włosy jak ta pierwsza. Chudsza. Nie pytajcie mnie o twarz, bo nie widziałam. Siedziałam pod barem jak w grobowcu. - Wskazała dzbanek na stoliku przy łóżku. - Nalej mi trochę, kochaniutka, dobrze?

Will stał najbliżej i napełnił wodą styropianowy kubek.

N.N. piła łąpczywie, głośno przelękając. Czekali w napięciu, aż skończy.

- No więc zjawia się ta druga suka i jest wściekła jak osa. Kopie wszystko po drodze, rzuca mięsem. Pierdolić to. Pierdolić tamto.

Cała Angie. Tylko dlaczego szalała z wściekłości? Co schrzała?

- Idzie na górę, jakby szła na Hitlera. Wiecie, o czym mówię? Aż schody dudniły. - N.N. odstawiła kubek. - Potem słyszę, jak robi coś na górze. Nie wiem co. Jakby coś rozrzucała. Wchodzi i wychodzi, wchodzi i wychodzi.

Angie inscenizowała miejsce przestępstwa.

- Miała latarkę. Mówiłam już?

- Nie - odparła Amanda.



- Taką z małą żarówką, ale bardzo mocną. Dlatego siedzę w swojej kryjówce, nie? Nie chcę, żeby ta suka mnie zobaczyła. Kto wie, co by jej wpadło do łba?

N.N. umilkła.

- I? - ponagliła Amanda.

- W końcu schodzi na dół. Rzuca trzema kurwami i kopie tę dziewczuchę, co leży na podłodze. Mocno kopie, a ta jęczy, uh, uh. I wtedy robi się ciekawie.

N.N. znowu przerwała.

- Niech pani nie przeciąga struny - ostrzegła Amanda.

- Dobra, dobra, chcę mieć z tego trochę zabawy. Rzadko gadam z ludźmi. - Wypiła kolejny łyk wody. - Więc ta suka stoi tam, słucha tych jęków i gapi się na tę leżącą jak na śmiecia. Nagle buch! łapie ją za nogę i zaczyna ciągnąć na zewnątrz. Ludzie - N.N. potrząsnęła głową - ta dziewczyna już przedtem jęczała, ale kiedy ta suka chwyciła ją za nogę, to zaczęła wrzeszczeć.

Will czuł ból w szczękach. Czy Angie wywlekła z budynku swoją śmiertelnie raną córkę za nogę?

- Potem wraca i znowu zaczyna kopać różne rzeczy i rozrzucać.

Chciała zatrzeć ślady ciągnięcia ciała po ziemi.

- Wreszcie znika, tym razem naprawdę. Potem słyszę coś jak trzaśnięcie drzwi auta. Dużo trzaskających aut.

- Czy to mógł być dźwięk bagażnika? - zapytała Faith.

- Nie mam radaru w uszach, pańciu. To były jakieś trzaski.

- N.N. wyglądała na rozdrażnioną. Nie podobały jej się pytania Faith. - Nagle słyhać świst, i to strasznie głośny.

Patrzę w okna. Są zaciemnione, ale widzę płomienie strzelające jak na pogrzebie wikinga. Wszędzie – zatoczyła ręką półokrąg – dosłownie wszędzie. – Opuściła rękę. – I tyle. Auto odjechało.

- Widziała pani kogoś jeszcze? – zapytała Amanda.

- Nie. Naprawdę. Tylko tę sukę, tę dziewczynę i ogień.

- Dzieci?

- A co dziecko miałoby robić w takim miejscu, do cholery?

Był środek nocy. Powinno leżeć w łóżku.

- Nie weszła pani na górę zobaczyć, co zrobiła tamta kobieta? – drążyła Amanda.

N.N. oblizwała wargi.

- No weszłam. Z ciekawości.

Amanda zakręciła dłonią młynka, dając jej znak, żeby kontynuowała.

- Tam był jakiś facet, ledwie żył. Światło było lepsze, bo okna są po drugiej stronie balkonu.

- I?

- Ten pierdolony gość wyglądał jak wieloryb. Spał twardo. Jeszcze żył, ale przenosił się na tamten świat. Znam ten stan, widziałam umierających ludzi. On już się złał, a z szyi wystawała mu gałka od drzwi. Jak ten facet w telewizji. Pamiętacie to? – Dwa razy pstryknęła palcami jak w „Rodzinie Adamsów”.

- Lurch – podpowiedział Will – ale wydaje mi się, że chodzi ci o Frankensteina.

- Właśnie. – Puściła do niego oko. – Wiedziałam, że jesteś bystrzakiem, skarbie.

- Czekam na informacje, skąd wzięła się koka - przypomniała lodowato Amanda.

- Z kieszeni truposza. - N.N. poklepała się po klatce piersiowej. - Gdybym kucnęła i mocno wyciągnęła rękę, mogłabym ją wyjąć bez poplamienia się krwią. Dwa gramy. Od dziecka nie widziałam tyle towaru.

- Przeszła pani na drugą stronę ulicy, ponieważ...

- Nie mogłam zostać z tym umierającym gościem. To jakiś koszmar. A gdyby ta suka wróciła? Rany, już raz tak było. - N.N. zaczęła odrywać z kubka kawałki styropianu. - Więc wróciłam na drugą stronę ulicy i urządziłam sobie prywatną imprezkę do wschodu słońca. Potem przyjechali gliniarze. Cholera, myślę sobie, lepiej spieprzać na górę. Jak zaczęłam iść, to doszłam na samą górę, takiego kopa dostałam. To był czysty towar, sto procent.

Will zobaczył, że Faith przewraca oczami. Każdy diler przekonywał, że ma czysty towar.

- To wszystko? - zapytała Amanda. - Niczego pani nie ukrywa?

- Nie, jak rany, ale nigdy nic nie wiadomo, nie?

Amanda napisała coś w blackberry.

- Inny agent spisze pani zeznania, przyjedzie ze specjalistą od portretów pamięciowych. Spróbuje odświeżyć pani pamięć.

- Strasznie to kłopotliwe.

- Proszę to potraktować jak kartę do bezpłatnego wyjścia z więzienia. Jak w Monopolu.

Amanda dała znak Willowi i Faith, żeby wyszli z nią z sali.

Odeszła spod drzwi N.N. i zatrzymała się przy dyżurce pielęgniarek.

- Wierzymy jej? - zapytała Faith.

- Charlie znalazł na dole plamę krwi. Myślał, że to ślad po krwotoku z nosa.

- Angie mogła wiedzieć, jak zainscenizować miejsce przestępstwa po swojej myśli - zauważył Will.

- Próbuję to jakoś złożyć w całość - zaczęła Faith. - Jo krwawiła w pokoju na górze, jakoś zeszła na dół, gdzie zastała. Angie z jakiegoś powodu wychodzi z budynku. I wraca z jakiegoś powodu. Ciągnie Jo do samochodu, pali kielich Dale'a i odjeżdża? I kisi własną córkę w bagażniku przez sześć godzin?

Will stłumił chęć wygłoszenia deklaracji, że Angie nigdy czegoś takiego by nie zrobiła.

- Napotykam na wielki opór przeciwko nakazowi na telefon Figaroi - powiedziała Amanda. - Ledwie dostaliśmy zgodę na obserwację domu. Nikt go nie opuścił prócz Lasła. Wysłali go do McDonalda po jedzenie. Kupił trzy kubki kawy i trzy zestawy śniadaniowe.

- Trzy, nie cztery, co oznacza, że nie mieli nic dla Anthony'ego - stwierdziła Faith. - Zajrzę do notatek. Muszę to jeszcze raz przeanalizować.

Will nie chciał słuchać kolejnej rekapitulacji.

Patrzył ponad ramieniem Faith, udając zainteresowanie. Pielęgniarka pisała coś w tablecie. Wszyscy pacjenci szpitala Grady trafiali do komputerowej bazy danych, jednak tradycyjna biała tablica za dyżurką pielęgniarek nadal była

w użyciu. Pielęgniarki wpisywały tam nazwiska pacjentów oraz ich status, by kontrolować na bieżąco sytuację na oddziale. Will patrzył, jak kobieta podchodzi do tablicy, ściera napis N.N. 1 i w jego miejsce wpisuje imię i nazwisko. Czerwonym markerem i drukowanymi literami, które łatwiej czytał. Pomogło mu również to, że kilkakrotnie widział już to nazwisko.

- Delilah Palmer - powiedział.

- Co z nią? - zapytała Amanda.

Will wskazał tablicę.

Pielęgniarka usłyszała go i pośpieszyła z wyjaśnieniem.

- Przemoc domowa. Szukają partnera, ale zniknął. Weszła do izby przyjęć z nożem w klatce piersiowej.

- Kiedy? - zapytała Faith.

- Wcześniej rano w poniedziałek, tuż przed moją zmianą.

- Myślałem, że sprawdziliśmy szpitale pod kątem pacjentów z ranami kłutymi - powiedział Will.

- My nie - odparła rozjuszona Faith, po czym zwróciła się do pielęgniarki: - Olivio, pacjentka N.N. 1 już u was leżała, kiedy byłam tu wczoraj wieczorem. Co się zmieniło?

- Sanitariusz sprawdził jej ubranie, ponieważ brał je do spalania, i znalazł prawo jazdy. - Olivia nałożyła na marker nasadkę. - Nadal jest utrzymywana w śpiączce farmakologicznej, więc nie możecie jej przesłuchać. Myślałam, że tym się zajmuje Departament Policji w Atlancie.

- Kto zajął się tą sprawą? - zapytała Amanda.

- Zaraz sprawdzę. - Olivia zajrzała do tabletu i na jej

twarzy pojawił się szeroki uśmiech. - Och, to był Denny.  
Denny Collier.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Krwotok podpajęczynówkowy - powiedział Gary Quintana. - Brzmi jak coś pająkowego.

- To przestrzeń między oponą pajęczą a miękką - wyjaśniła Sara. - Ogólnie to oznacza, że kobieta miała krwotok w tej części mózgu.

- O, dziwne. - Gary czytał wstępny raport z sekcji Josephine Figaroi. Cokolwiek Amanda powiedziała wczoraj rano temu młodemu człowiekowi, ewidentnie poskutkowało. Gary miał opuszczone rękawy koszuli, a zamiast ciężkiego złotego naszyjnika miał elegancko zawiązany krawat. Okiełznał nawet kucyk. Włosy nie sterczały mu na wszystkie strony, ale były spięte ciasno gumką.

Sarę zasmucił widok tej ugrzecznionej fryzury.

- Dobrze... A to? - Gary przeczytał na głos ustalenia Sary: - Przyczyna śmierci: krwotok nadwardówkowy. Co to znaczy?

- To inny rodzaj krwawienia wewnątrzczaszkowego - odparła Sara. Z miny Gary'ego wynikało, że chce dowiedzieć się więcej. - Powstał w wyniku zewnętrznego urazu głowy. Czaszka pękła i rozerwała tętnicę oponową środkową, która odchodzi od tętnicy szyjnej i zaopatruje mózg w krew. Krew wypełniła przestrzeń między oponą twardą a czaszką. Czaszka ma określoną pojemność, to znaczy, że się nie rozszerza. Krew, która się wylała, spowodowała zbyt wielki ucisk na mózg.

- Co się dzieje w takim przypadku?

- Najogólniej rzecz ujmując, w chwili urazu człowiek przejściowo traci przytomność, zwykle na kilka minut. Po odzyskaniu przytomności zachowuje się normalnie, dlatego te krwotoki są tak groźne. Człowiek ma potworny ból głowy, ale jest świadomy, póki coraz intensywniejszy krwotok nie zacznie wyłączać mózgu. Nieleczony krwotok powoduje śpiączkę i śmierć.

- Rany. - Spojrzenie Gary'ego powędrowało ku noszom na kółkach, na których leżało ciało Figaroi. Znajdowali się w korytarzu przed policyjną kostnicą, zlokalizowaną na drugiej kondygnacji podziemi szpitala Grady. Nosze stały pod ścianą, czekając na transport. Za sprawą partii jakościowo fatalnej metamfetaminy lekarz sądowy miał komplet ciał w chłodniach.

- Musiała przejść przez piekło - zauważył.

- Niewątpliwie.

Wrócił do raportu.

- A co ze „złamaniem kręgów szyjnych”? To też brzmi okropnie.

- Bo jest okropne. Najprawdopodobniej została sparaliżowana.

- Miała też stłuczenie serca. - Gary zmarszczył czoło, coraz bardziej poruszony każdym kolejnym odkryciem. - Ktoś się na niej strasznie wyżył.

- Niekoniecznie - powiedziała Sara. - Pęknięcia czaszki są rozmieszczone równomiernie. Żebra i kręgi szyjne są złamane, jak powiedziałeś, ale kręgi piersiowe i kości długie nie. Nie ma stłuczeń i sińców na całym ciele, tylko na boku.



Zauważyłeś to?

- Tak. A co to oznacza?

- Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa albo spadła, albo została zepchnięta z dużej wysokości. Wskazówką są złamania kręgów szyjnych. Takie obrażenia nie powstają w wyniku pobicia. Ona upadła co najmniej z sześciu metrów, spadła na bok. Czaszka pękła, tętnica została rozerwana. Kilka godzin później zmarła w wyniku krwotoku mózgu.

- Balkon w klubie ma około dziewięciu metrów. - Gary spojrział na Sarę z wyrazem podziwu w oczach. - Rany, doktor Linton, ale pani to wydedukowała. - Podał Sarze raport. - Dziękuję, że podzieliła się pani wiedzą. Bardzo chcę się uczyć.

- Cieszę się, że Amanda przydzieliła cię do mojego wydziału.

- Kazała mi poprawić wygląd. - Poglądził krawat. - Muszę odpowiednio się prezentować. Uwaga musi być skupiona na ofiarach, nie na mnie.

Sara uznała radę Amandy za rozsądną.

- Powinnam zapoznać ich z wynikami sekcji. Masz jeszcze jakieś pytania?

- Hm, ona tak leży na korytarzu. Myśli pani, że to w porządku, jeśli umieszczę ją z powrotem w chłodni?

- Myślę, że to bardzo właściwe. - Sara poklepała go po plecach i ruszyła ku schodom. Oddział intensywnej terapii mieścił się sześć pięter wyżej, ale windy w szpitalu jeździły według im tylko znanego rozkładu, a Sarze zależało na jak najszybszym znalezieniu Amandy.

Znalezienie Amandy oznaczało też znalezienie Willa. Sara była poruszona własną powściągliwością. Nadal nie miała pewności co do swoich uczuć w związku z wczorajszym wieczorem. Will nie chciał rozmawiać w samochodzie, a kiedy w domu zaczął mówić, to usta mu się nie zamykały. Nie spał, tylko maniacko wyrzucał z siebie kolejne teorie, zapętłając się niczym wąż zjadający własny ogon. Był wściekły na Angie... i głęboko zraniony, czy chciał to przyznać, czy nie. Wszystko, co wychodziło z jego ust, dotyczyło albo Angie, albo jej. Kiedy spojrzała na niego jak lekarz, chciała dać mu lekarstwo, i tym razem dopilnować, żeby je zażył. Kiedy popatrzyła na niego jak jego dziewczyna, chciała zarzucić mu ręce na szyję i zapewnić, że wszystko będzie dobrze. A potem spojrzała na niego jak kobieta, która już знаła z autopsji, na czym polegają zdrowe międzyludzkie relacje, i nie mogła wyjść ze zdumienia, w co się wpakowała.

Otworzyła drzwi wiodące na oddział intensywnej terapii i usłyszała męski krzyk.

- No i co z tego, kurwa?

Holden Collier wyrzucił ręce w powietrze. Jego chłopięca układność gdzieś zniknęła, ale Sary to nie zdziwiło. Amanda, Faith i Will stali przed nim jak inkwizytorzy, a dwaj szpitalni ochroniarze czuwali w pobliżu. Ich dłonie spoczywały na broni.

- Po co miałem informować o przemoc domowej, skoro szukaliśmy ofiar niewyjaśnionych ataków nożem? - Znowu zamachał rękami. - To wyjaśniona sprawa. Jej przyjaciel to zrobił. Nie podała jego danych. Co mam zrobić?

- Opowiedz wszystko jeszcze raz. - Głos Amandy był lodowaty. - Od samego początku.

- Nie do wiary. - Collier skwitował to kolejnym wyrzuceniem rąk w górę.

Sara nie miała pojęcia, o co go oskarżają, ale jak na nią, to grał niewinnego w mało przekonujący sposób.

- Byłem na oddziale ratunkowym ze sprawcą i przyjąłem zgłoszenie o przemoc domowej. Kobieta broczyła krwią, ale udało mi się z nią porozmawiać. Chłopak ją dźgnął. Nie chciała podać ani jego nazwiska, ani swojego adresu. To samo ściemnianie co zwykle. Zawieźli ją na operację, a ja napisałem raport. Poprosiłem, żeby mnie powiadomili, kiedy jej status się zmieni. Na tym polega moja robota. - To nie był koniec jego tyrady. - Tak wam zależy, żeby mnie przyblokować, że kompletnie nie widzicie, o co chodzi w tej sprawie.

- Oświeć nas.

- Klub Rippy'ego to melina ćpunów, wszędzie są symbole gangów. U Hardinga w garderobie jest wiadro na odchody. Organizował kurierów z Meksyku i to go zabiło. Koniec, kropka.

- A twoje związki z Angie Polaski? - zapytała Amanda.

Sara zagryzła wargi. Angie. Oddałaby oszczędności życia, by nigdy więcej nie słyszeć tego imienia.

- W nocy z niedzieli na poniedziałek odbyłeś trzy rozmowy z kimś, kto używa telefonu na kartę. Jedna z nich trwała dwanaście minut.

- Rozmawiałem z informatorem. Używa komórki na kartę.

Oni wszyscy tak mają.

- Kto jest tym informatorem? Podaj nazwisko.

- Tutaj tego nie zrobię. - Collier w końcu pojął, że arogancją się nie wywinie. - Jeśli chcecie mnie przepytąć, mam prawo do obecności przedstawiciela związku zawodowego.

- Zadzwoń do niego, Denny. To się dzieje naprawdę.

- Mogę już iść?

- Skontaktujemy się z tobą.

Collier odszedł wściekły. Nawet nie zauważył Sary, gdy otwierał drzwi prowadzące na schody.

Faith trzymała ręce na biodrach. Też była wściekła, podobnie jak Amanda. Will wyglądał tak samo jak przez ostatnią dobę. Przypominał jelenia oszołomionego reflektorami auta.

Amanda pierwsza zareagowała na jej widok.

- Doktor Linton, co pani dla nas ma?

- Coś, co wam się nie spodoba. - Sarze było przykro, że znowu przynosi złe wieści. - Według wstępnego raportu o przyczynie śmierci, Josephine Figaroa zmarła z powodu krwotoku mózgowego. Rany cięte na klatce piersiowej były bardzo płytkie i powstały po śmierci, więc nie było żadnego krwawienia. Rana cięta na policzku powstała po śmierci, stąd brak krwawienia. Opuszki palców nie pękły z gorąca. Ktoś pociął je nożem, pewnie w celu ukrycia tożsamości, co nie ma sensu, ale to wasza działka. Co do mojej działki, to opuszki zostały uszkodzone po śmierci, dlatego nie było krwi.

- Czyli krew w miejscu przestępstwa nie jest krwią kobiety,

której sekcję przeprowadzono na dole, tak? - uściśliła Amanda.

- Właśnie. Ona miała tylko krwotok wewnętrzny. Przypuszczam, że spadła z dość dużej wysokości, prawdopodobnie z balkonu. Według Charliego na parterze było trochę krwi. Moim zdaniem to krew z nosa. Żyła przez kilka godzin, możliwe, że została sparaliżowana, zanim zabił ją krwotok.

Amanda nie wyglądała na zaskoczoną. Sary to nie dziwiło. Szefowa umiała zachować pokerową twarz. Dziwniejsze było to, że ani Faith, ani Will nie okazali zaskoczenia.

- Czy to możliwe, że w miejscu przestępstwa była jeszcze druga ofiara? - zapytała Amanda.

- Jak najbardziej. W ostatnich miesiącach klub był masowo nawiedzany przez handlarzy i ćpunów. Ktoś z podstawową wiedzą o dokonywaniu oględzin na miejscu przestępstwa mógł na jakiś czas zamydlić nam oczy, przynajmniej do czasu, aż będą wyniki analiz i badań odcisków palców, a to długo trwa.

- Widziałaś jakieś ślady dziecka? - zapytała Faith.

- Dziecka? - zapytała zdezorientowana Sara. - Niemowlaka? Trochę starszego?

- Sześciolatniego. Mamy zaginione dziecko. Sądzymy, że porwała je Angie.

Sara odruchowo przyłożyła rękę do klatki piersiowej i spojrzała na Willa. Spodziewała się wzroku wbitego w podłogę, ale zamiast tego napotkała jego spojrzenie. Było w nim coś twardego, czego wcześniej nigdy nie widziała.

Nocne rozgorączkowanie minęło. Angie owładnęła jego duszą i ciałem.

- Przypuszczamy, że Angie zaplanowała szantaż w związku z Jo, ale kiedy jej córka zginęła, postanowiła wykorzystać wnuka jako kartę przetargową - odezwał się Will.

- Przecież powiedziała ci, że Jo nie żyje. Nie miałeś nawet pojęcia o jej istnieniu, nie mówiąc już o tym, że jest córką Angie. Po co miałyby ci cokolwiek mówić?

- W trakcie realizacji planu coś poszło nie tak. - Will prawdopodobnie zgadywał, ale w jego głosie brzmiała pewność, że Angie ponownie zaryzykowała cudze życie dla ratowania siebie.

- Chodź ze mną - powiedziała Amanda.

Zaprowadziła ją do sali strzeżonej przez policjanta. Światła były przyćmione. Sara omiotła wzrokiem urządzenia przy łóżku: kardiomonitor, centralny cewnik żylny, zwykły cewnik, zgłębnik nosowo-żołądkowy, probówka. Prawe ramię pacjentki było uniesione, spoczywało na poduszkach. Nie za wysoko i nie za nisko, żeby zachować krążenie krwi w palcach. Rękę spowijały warstwy gazy chirurgicznej, spod których wystawały dreny. Palce były obrzmiałe i pozbawione koloru. Do jednego z nich był podłączony pulsoksymetr.

- Przyczepili jej rękę na nowo - powiedziała Sara.

- Tak.

Sara przyjrzała się twarzy kobiety. Brązowe włosy, oliwkowa cera, opuchnięte oczy, ale nadal widać było ich charakterystyczny kształt.

- Została przyjęta jako N.N., ale dzisiaj rano znaleźli jej

prawo jazdy. To Delilah Palmer – powiedziała Amanda.

Nazwisko brzmiało znajomo. Zamiast zadawać Amandzie więcej pytań, Sara poszła do dyżurki pielęgniarek i poprosiła o pożyczenie tabletu. Nadal miała dostęp do bazy danych pacjentów. Pielęgniarka Olivia pamiętała ją z czasów pracy w Grady.

- W poczekalni chyba jest pusto – powiedziała.

Sara pojęła aluzję Olivii. Czwooro ludzi blokujących korytarz na oddziale intensywnej opieki to niedobry pomysł.

Przenieśli się do poczekalni. Will trzymał się Sary, jego ramię stykało się z jej ramieniem. Chciał się upewnić, że więź między nimi nadal istnieje. Jednak Sara jakoś nie miała ochoty, żeby akurat teraz dać mu potwierdzenie.

Usiadła na jednym z krzeseł. Zalogowała się do systemu i zapoznała się z wynikami tomografii komputerowej, prześwietlenia, rezonansu magnetycznego i wpisem lekarza.

W końcu coś nabrało sensu.

- I co? – zapytała Faith.

Sara przekazała im informacje z karty.

- Została dźgnięta szesnastą razy, głównie w tułów, dwa razy w głowę. Czubek noża ułamał się na obojczyku. Pewnie dzięki temu ostrze ominęło serce i wątrobę. Jelito uległo perforacji. Lewe płuco jest zapadnięte. To, co zostało z noża, utkwilo w mostku. Pierwszy cios musiał trafić w rękę. – Sara powtórzyła gest z wczorajszego poranka. – Napastnik rzucił się na nią. Przyjęła postawę obronną a ostrze rozcięło nadgarstek, omal nie przecinając stawu. Mogła machać rękami, próbując się osłonić przed atakiem. Wtedy krew

byłaby wszędzie, jakby lała się ze szlauchu. Szczęśliwie dla ofiary ostrze przecięło tętnicę promieniową i tętnicę łokciową. Mówię „szczęśliwie”, ponieważ tętnice kurczą się, kiedy przecina się je obie, stąd częste nieudane próby samobójcze. Przecinasz tętnicę, a ona zawija się w ramieniu i blokuje wypływ krwi, zupełnie jakby ścisnąć wąż ogrodowy, żeby zablokować wodę.

- To skąd ta cała krew? - zapytał Will.

- Taka ilość krwi na pewno mogła być skutkiem takiego urazu. - Sara jeszcze raz obejrzała prześwietlenie. - Ona nie pierwszy raz została zaatakowana. Ma ślady po dawniejszych wyleczonych złamaniach na twarzy i głowie. Dwa złamania ramienia, przypuszczalnie w odstępie kilkuletnim. To klasyczne oznaki przemocy.

- Czy z dokumentacji wynika, jaką grupę krwi ma Delilah Palmer? - zapytała Amanda.

- Oznaczyli grupę krwi, gdy zjawiała się na izbie przyjęć. B Rh minus. Grupę krwi się dziedziczy. Albo matka, albo ojciec muszą mieć grupę B.

- Jak Angie - zauważyła Faith.

- Możesz znaleźć dane o wcześniejszych pobytach Delilah w szpitalu?

Sara wróciła na główną stronę i znalazła historię medyczną Delilah Palmer, do której nie dodano jeszcze najnowszych danych.

- Palmer urodziła się tutaj dwadzieścia dwa lata temu. Od urodzenia była pod opieką państwa. Wielokrotne przedawkowanie. Pięciokrotne zapalenie narządów miednicy



mniejszej. Zapalenie oskrzeli. Infekcje skórne. Zakażenia od igieł. Uzależnienie od heroiny. Dwa lata temu urodziła dziecko. Zaraz, zaraz – Sara odnalazła wyniki badań jamy brzusznej sprzed dwóch dni. – Według najnowszych danych z niedzieli wieczór ta Palmer, która leży na końcu korytarza, ma bliznę po cesarskim cięciu. – Sara cofnęła się do wcześniejszych informacji. – Ale z wcześniejszej karty wynika, że Palmer urodziła dwa lata temu siłami natury, co pokrywałoby się z bliznami po nacięciu krocza, jakie odnaleźliśmy na ciele tej kobiety z dołu, którą Angie zostawiła w domu pogrzebowym. – Sara podniosła głowę znad tabletu. – To ciało na dole nosi ślady wieloletniego zażywania narkotyków przez wstrzykiwanie, natomiast u kobiety na końcu korytarza, tej niby Delilah Palmer, brak jakichkolwiek śladów zażywania narkotyków. – Prawda dotarła do Sary po dłuższej chwili. – Ciało na dole to Delilah Palmer. Na oddziale intensywnej terapii leży Jo Figaroa. Angie zamieniła ich tożsamość.

– Tak właśnie myślimy. – Faith pokazała jej dwa zdjęcia w iPhonie. – Ta po prawej to Jo Figaroa. Ta po lewej to Delilah Palmer.

Sara przyjrzała się uważnie obu kobietom. Istniało między nimi niesamowite podobieństwo.

– Czy są spokrewnione?

– Kto to wie? Obie wyglądały upiornie. Mąż Figaroi miał kłopot, żeby je rozróżnić.

Sara darowała sobie i nie przypominała, że Will także.

– Zeznania naszego świadka wskazują – ciągnęła Faith – że

Angie mogła włożyć ciało Palmer do bagażnika. Zakładam, że zmasakrowała ciało, żebyśmy nie mogli pobrać i zidentyfikować odcisków palców.

- Dlaczego chciała, żebyśmy uznali Jo Figarotę za martwą?  
- zapytała Sara.

- Bo robi jakiś szwindel - wtrącił się Will. - To jedyne wyjaśnienie. Nasza N.N. opisała noc ataku. Harding umiera. Josephine wykrwawia się na śmierć. Angie wiezie ją do szpitala, a potem, zamiast wyjechać z miasta albo się ukryć, wraca do klubu usunąć Delilah i zaaranżować miejsce przestępstwa. To mnóstwo roboty dla kogoś, kto nie lubi się przemęczać. Gwarantuję, że na końcu tego wszystkiego czeka niezła wypłata.

Sara poczuła odrazę. Położyła tablet na krześle obok. Miała dość gierki Angie. I jedyna z tej grupy mogła sobie pozwolić na taki luksus, by wyjść ze szpitala.

Will wyczuł, że Sara jest u kresu wytrzymałości.

- Przepraszam - powiedział.

Sara nie chciała go winić. Jeśli ktoś padł ofiarą machinacji Angie, to właśnie Will.

- Wiesz, gdzie ona może być? Gdzie może przetrzymywać dziecko?

Pokręcił głową. Wtedy Sara uświadomiła sobie idiotyzm swojego pytania. Gdyby wiedzieli, gdzie jest Angie, już dawno by wyłamywali jej drzwi.

- Pozostaje mieć nadzieję, że ponieważ to jej wnuk, Angie nie... Ożeż kurwa! - Faith gwałtownie wciągnęła powietrze. - Ona tu jest...

Odwrócili się jednocześnie.

Angie właśnie wyszła z windy, a gdy podniosła wzrok, jej usta ułożyły się w literę „o”, idealne odbicie ich szoku. Próbowwała cofnąć się do windy, ale drzwi już się zamknęły, więc ruszyła pędem w stronę schodów.

Pędem, ale i tak za wolno.

Will rzucił się za nią i dopadł w okamgnieniu. Błyskawicznie wyciągnął rękę, złapał ją od tyłu za kołnierz i szarpnął potężnie. Angie straciła grunt pod nogami i runęła na podłogę. Will podniósł ją i z impetem pchnął do poczekalni. Krzesła wywróciły się z donośnym stukotem, gdy Angie znowu poleciała na ziemię. Will złapał ją jedną ręką, postawił na nogi i zamachnął się drugą, zaciśniętą w pięść. Od rozerwania Angie na strzępy powstrzymali go dwaj strażnicy, którzy rzucili mu się na plecy, jakby mieli do czynienia z szarżującym bykiem.

- Will, przestań! - wrzasnęła Faith, skoczyła w środek kotła i pchnęła Willa na ścianę. - Przestań! - powtórzyła spokojniej, jasno dając do zrozumienia, że nie pozwoli mu dokończyć dzieła. - Uspokój się, okej? Ona nie jest tego warta.

Will kręcił głową. Sara wiedziała, co myślał. Zabicie Angie było tego warte. Zrobienie krzywdy też.

- Will... - Gdy spojrział na nią, jego oczy miały błyskawice. - Nie - powiedziała, chociaż w głębi serca pragnęła czegoś odwrotnego.

Ogień w jego oczach przygasł. Pod wpływem głosu Sary rozluźnił się nieco, nawet uniósł ręce w geście poddania.

- Już w porządku - zwrócił się do Faith.

Cofnęła się, ale zajęła miejsce między nim a Angie, na wypadek gdyby zmienił zdanie.

- Jasny gwint, skarbie. - Angie siedziała na podłodze i chichotała, jakby świetnie się bawiła tą sytuacją. Wytarła krew z nosa i warg. Na koszuli miała więcej krwi, ale nie była to krew lecąca z rozbitego nosa i wargi. - Kiedy ostatni raz tak się na mnie rzuciłeś, oboje byliśmy goli.

- Aresztujcie ją - rzuciła ostro Amanda.

- Za co? - zapytała Angie. - Za pobicie przez gliniarza w obecności tylu świadków? - Odsunęła połę koszuli, żeby obejrzyć ranę na boku. Jej brzegi łączył prymitywny szew, który pękł po ataku Willa. - Znacie jakiegoś lekarza?

- Ja jej nie dotknę - z jawną odrazą oznajmiła Sara.

- Jezu... - Angie znów się roześmiała.

- Gdzie Anthony? - zapytał Will. - Kto się nim zajmuje?

Angie oparła dłonie o podłogę i dźwignęła się na nogi, a z jej ramienia spadł pasek torebki, kolejnej taniej podróbki.

- Kto to jest Anthony?

Will zerwał jej torebkę.

- Ej... - zaprotestowała.

Przytrzymał ją jedną ręką, drugą rzucił Faith torebkę.

Angie chciała uwolnić się od uścisku, ale Will sam odsunął się od niej jak poparzony kwasem. Próbował zapanować nad sobą, chociaż Sara w skrytości ducha wolałaby inny scenariusz.

- iPhone. iPad. - Faith wykladała na sąsiednie krzesła zawartość torebki Angie. - Telefon z klapką. Rewolwer

pięciostrzałowy, w magazynku cztery naboje. Lek na receptę.  
- Faith rzuciła buteleczkę do Sary. - Chusteczka higieniczna.  
Wykałaczka. Drobne. Wizytówka. Torebkowy miszmasz.

Sara spojrzała na buteleczkę. Recepta pochodziła z kliniki weterynaryjnej przy Cascade Road. Wypisana na zwierzę o imieniu Mooch McGhee. Keflex, lek odpowiedni dla psów, których nie atakuje gronkowiec złocisty oporny na metycylinę. Sara odłożyła buteleczkę na krzesło. Angie sama mogła na to wpaść.

- Odblokuj go - Faith podała Angie telefon. - Już.

- Wal się, pindo.

Will wziął od Faith telefon, odblokował po drugiej próbie i oddał go Faith, która natychmiast weszła w listę połączeń.

- Jest tu numer Colliera. Dwa razy w zeszłym tygodniu. Trzy rozmowy w poniedziałek nad ranem, które pasują do godzin w jego telefonie.

To tłumaczyło Colliera. Kolejny mężczyzna, któremu Angie zrujnowała życie.

- Dużo rozmów przychodzących i wychodzących z numerem siedemset siedemdziesiąt. - Faith wcisnęła klawisz ponownego wybierania. Czekala pełną minutę, zanim się rozłączyła. - Nikt nie odpowiada. Nie ma poczty głosowej.  
- Znow zajrzała do spisu. - Rozmowy z siedemset siedemdziesiąt: przychodząca o pierwszej czterdzieści w poniedziałek w nocy; wychodząca trzydzieści dwie sekundy później; przychodząca o czwartej rano; następna przychodząca piętnaście po pierwszej wczoraj. Od tej pory do dzisiaj siedemnaście połączeń wychodzących.

- Z kim chcesz się skontaktować? - zapytał Will.

- Z matką.

Amanda wyjęła swój telefon i powiedziała:

- Zrobię wyszukiwanie wsteczne.

Faith przeszła do esemesów.

- Wymiana między telefonem z klapką a telefonem Angie.

Dwadzieścia minut po pierwszej w nocy w niedzielę. Ona pisze: „CZEGO CHCESZ?”. Odpowiedź z telefonu z klapką: „IPADA”. I po kilku sekundach: „NOCNY KLUB. ZARAZ”. - Faith czekała, aż załadują się zdjęcia.

Nagle otworzyła szeroko usta i oszołomiona pokazała im telefon.

Szesnaście minut po północy w niedzielę Angie dostała zdjęcie Josephine Figaroi przyciśniętej plecami do okna samochodu. Męska ręka ścisnęła ją za szyję. Josephine wyglądała, jakby krzyczała. Poniżej tylko jedno słowo. CÓRKA.

Faith przewinęła ekran w górę. Zobaczyła zdjęcie wysłane kwadrans po północy, a na nim małego chłopca z wielkim nożem przy szyi. Podpis brzmiał: WNUK.

Sara odruchowo położyła rękę na sercu. Przerazenie dziecka odczuła wręcz fizycznie, jakby tuliła je w ramionach.

- Gdzie on jest?

Angie uniosła brwi, jakby to była kolejna tajemnica.

- Gdzie... - zaczęła Sara, ale ugryzła się w język. Angie żywiła się cudzym cierpieniem.

Faith sprawdziła wysłane wiadomości w telefonie z klapką.

- Pierwsze zdjęcie, które wam pokazałam, to z Jo Figarową,

zrobiono tym telefonem. Zdjęcie Anthony'ego zostało wysłane na telefon z kłapką z tego samego numeru siedemset siedemdziesiąt, na który dzwoniła Angie.

- Numer siedemset siedemdziesiąt to numer telefonu na kartę - oznajmiła Amanda. - Z firmą telefoniczną sprawdzamy, gdzie się loguje.

- Kto przysłał zdjęcie Anthony'ego? Delilah Palmer? Harding? - zapytał Will.

Angie milczała.

Faith sięgnęła po iPada i położyła palec na klawiszu „Home”.

- Nie możesz tego włączyć - wyrwało się Angie, która po raz pierwszy okazała prawdziwy niepokój.

- Dlaczego nie? Czyżby Anthony'ego porwali z powodu tego, co masz w iPadzie?

Angie zacisnęła usta. Patrzyła na palec Faith.

- Włącz to - ponaglił Will.

- Nie! - Angie wyciągnęła rękę, żeby jej przeszkodzić, ale Will ją odepchnął. - Jeśli włączysz iPada, pliki zostaną wykasowane.

- Jakie pliki?

Angie nie odpowiedziała.

- Kłamie. Włącz to - nie dawał za wygraną Will.

- No dalej - rzuciła zaczepnie Angie. - Pliki znikną i nigdy nie zobaczymy Anthony'ego.

- Zaryzykujemy? - rzuciła Faith.

Amanda westchnęła ciężko.

- Dojazd do laboratorium zajmie nam godzinę. Nie wiemy,

gdzie jest chłopiec. Nie wiemy, czy ona mówi prawdę. Pliki już mogły zostać wyczyszczone. Albo włączymy i je skasujemy.

- Kot Schrödingera - rzucił Will.

Na widok miny Angie, która najwyraźniej nie rozumiała aluzji, Sara miała poczucie wygranej, ponieważ ona doskonale rozumiała, do czego nawiązuje Will.

- Potrzebujemy klatki Faradaya - powiedziała. - To metalowy ekran, który blokuje pole elektromagnetyczne. Dlatego telefon nie działa w windzie. Zjedźcie do piwnicy, zostańcie w windzie i możecie włączyć iPada bez zakłóceń sygnału.

Angie prychnęła, po czym zwróciła się do Willa:

- To cię nakręca?

- Tak, właśnie to.

Przewróciła oczami. Ciągle przyciskała dłoń do brzucha. Krew wypływała spomiędzy palców.

- Na co się gapisz?

Sara nie umiała odpowiedzieć na to pytanie. Odkąd Charlie poinformował ich, że Glock jest zarejestrowany na Angie, towarzyszyła jej złość. Każdej dobrej chwili z Willem zawsze miał towarzyszyć cień Angie.

- Au! - Angie wyduła wargi. - Mała Sara się zdenerwowała. Czy czeka nas kolejna odsłona „incydentu Bambi”?

Ku niepomiernemu zaskoczeniu Angie, Sara wymierzyła jej siarczasty policzek.

Angie podniosła rękę, żeby się zrewanżować, ale Faith złapała ją za nadgarstek, wykręciła rękę, przycisnęła do



ściany i wycedziła:

- Nie zapominaj, ilu ludzi ucieszyło się na wieść o twojej śmierci.

- Nie zapominaj, ilu wręcz przeciwnie. - Angie wyrwała rękę z uścisku i potarła nadgarstek. - Oddaj moje rzeczy. Wychodzę.

- Nigdzie nie idziesz - odezwał się Will. - Kto ma Anthony'ego? Wiem, że nie ty.

Roześmiała się i potrząsnęła głową, jakby Will był za głupi, żeby to zrozumieć.

- W życiu do nikogo nie dzwoniłaś siedemnaście razy z rzędu. Spieprzyłaś to, tak? Straciłaś Anthony'ego i teraz próbujesz go odzyskać. Dlatego powiedziałaś mi, że w domu pogrzebowym jest Jo, nie Delilah. Chciałaś, żebym pojechał do Reubena Figaroi, który zgłosiłby porwanie syna, a my uruchomilibyśmy system Amber Alert. - Will stał blisko niej, wywierając presję swoimi gabarytami, jak robiłby to w przypadku każdego innego podejrzanego. - Twój plan wziął w łeb, więc potrzebowałam mnie do ustalenia, że syn Reubena zniknął. - Przysunął się do niej. - Teraz jesteśmy tutaj. Wiemy, że Anthony zniknął. Wiemy, że porywacz, kimkolwiek jest, szantażuje Reubena. Powiedz, co wiesz. Pomóż mi załatwić to jak należy.

- A co ci, kurwa, do tego? - Angie mocno go odepchnęła. - Dam sobie radę. Sama zajmę się sobą i swoją rodziną, jak robiłam to przez całe swoje zaszrane życie bez twojej pomocy.

Will wysunął podbródek.

- Chodzi o życie twojego wnuka.

- To ty przeszkadzasz mi robić, co należy.

- Angie, proszę, pozwól mi sobie pomóc. Naprawdę chcę ci pomóc. - W głosie Willa była desperacja. - Jeśli to mój wnuk, to zasługuję na to, by go poznać. Daj mi tę szansę.

- Niezła próba. - Angie odsunęła się od niego. - Jo nie jest twoja, chyba że zaciążyła moja ręka. - Posłała Sarze znaczące spojrzenie. - Gdyby to było możliwe, z buzi twojej pani wylewałoby się mnóstwo płodów.

Sara napięła każdy mięsień, by znowu nie zdzielić jej w twarz.

- Czytałaś list, który napisałam do Willa? - zapytała ją Angie.

- Tak.

Angie była wyraźnie poruszona lakonicznością odpowiedzi.

- Proszę cię, Angie - odezwał się znowu Will. - Gdzieś tam jest mały chłopiec. Twoja rodzina, być może twoja jedyna rodzina. Powiedz nam, jak mu pomóc.

- Odkąd zależy ci na mojej rodzinie? - Angie prychnęła szyderczo. - Ja jestem twoją rodziną. Krwawię, a ty masz to gdzieś.

Will wyjął chusteczkę i przycisnął ją do boku Angie.

Sara poczuła, jak serce w niej zamiera na ten widok. Will delikatnie dotyka swojej żony...

- Przepraszam cię. Nie chciałem, żeby tak wyszło. Masz rację, to moja wina - ciągnął.

Angie zerknęła na Sarę. Zależało jej, żeby ten nagły przejaw autentycznej czy udawanej służalczości Willa miał odpowiednią widownię.

- Wiem, że cię skrzywdziłem. Wybacz mi, Angie. Wybacz mi, proszę.

Angie odwróciła wzrok od Sary, ale tylko po to, by napawać się nieszczęśliwą miną Willa.

- Proszę cię - powtórzył.

Sara miała ochotę wyrwać mu to słowo z ust. Jego błaganie raniło jej uszy.

Angie westchnęła lekko.

- Wiesz, jak ciężko mi było? - Nakryła dłoń Willa swoją dłonią. Sara nie potrafiła ocenić, czy Angie zaraz się złamie, czy jak zawsze manipuluje Willem. - Wiesz, co musiałam zrobić? Nie tylko w tym tygodniu, ale wcześniej?

- Przepraszam, że nie byłem przy tobie.

- To był Harding, Will. Kiedy Deidre wylogowała się z rzeczywistości, Harding był tym facetem po drugiej stronie drzwi.

Will poczuł, jakby przyjął nokautujący cios. Jego szok nie był udawany.

- Mówiłaś, że on nie żyje.

- Teraz już tak.

Will nie mógł wydobyć z siebie głosu.

- Angie...

- To, co mi zrobił... - mówiła cicho, ale była wzburzona. Widziała, jakie piorunujące wrażenie zrobiły na Willu jej słowa - ...robił też Delilah. I wielu innym dziewczynom. Latami. Nie mogłam go powstrzymać.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - Pogładził ją po włosach.

- Mógłbym coś z tym zrobić, ochronić cię.

- Spieprzyłam wszystko, skarbie. - Angie zaniósła się płaczem. - Wiem, że z tobą też wszystko spierdoliłam. Ale dlatego, że chciałam chronić Jo. Musiałam zapewnić jej trochę czasu w szpitalu. Dać szansę na dojdzie do siebie. A w tym czasie chciałam odzyskać Anthony'ego.

- Teraz rozumiem - powiedział.

- Nie wiem, dlaczego wszystko poszło źle... - Przełknęła ślinę. - Dale był zawsze sprytniejszy ode mnie, zawsze silniejszy. Znowu wlaź mi do głowy. On i mama, jak zawsze. Nie zauważyłam, kiedy to się stało.

- Nadal możemy odzyskać Anthony'ego. Pozwól sobie pomóc.

- Potrzebowałam jeszcze sześciu dni. Wtedy odebrałabym Anthony'ego, zajęłabym się Jo, zapewniłabym jej bezpieczną przyszłość. - Pociągnęła nosem. - W końcu ktoś zasługuje na bezpieczną przyszłość, prawda? Ktoś potrzebuje... - Głos jej się załamał. - Nie mogę go stracić, skarbie. Już kiedyś ją porzuciłam. Nie mogę stracić jej dziecka.

- Nie stracisz. - Will położył jej dłonie na ramionach i zajrzał w oczy. - Kiedy powiedziałaś, że matka przysłała ci zdjęcie Anthony'ego, miałaś na myśli Virginie Souzę?

Angie znieruchomiała.

- Tak? - powtórzył Will.

- Ty przekłety dupku. - Odskoczyła jak oparzona.

Na twarzy Willa pojawił się wyraz głębokiej satysfakcji. Wreszcie to on z powodzeniem uciekł się do manipulacji.

- Dale Harding był alfonssem Angie. Virginia Souza była burdelmama - powiedział do Amandy, wycierając dłonie

o koszulę, jakby chciał z nich zetrzeć ślady po kontakcie z Angie. – Virginia ma Anthony’ego. To ona zrobiła zdjęcie. Ona go ma.

Oczy Angie miały błyskawice.

– Nienawidzę cię, sukinsynu.

Popatrzył na nią z nieskrywaną pogardą.

– I dobrze.

– Gdzie jest Virginia Souza? – spytała Amanda, patrząc na Angie.

– Wal się, ty wyschnięta stara suko.

– Dobra. Wyczerpałaś limit naszej dobrej woli – powiedziała Amanda, po czym zwróciła się do Faith: – Zaprowadź ją na oddział dla więźniów. Niech tam się nią zajmą.

– Nie! – Angie wpadła w panikę. – Zostawcie mnie tutaj. Jeśli już musicie, przykujcie mnie kajdankami do łóżka Jo.

– Gdzie jest Virginia Souza? – powtórzyła Amanda.

– Ona go nie skrzywdzi. Ojciec zapłaci krocie. – Angie skrzyżowała ręce nisko na brzuchu. Naciskała na ranę, żeby pobudzić wypływ krwi. Zwróciła się do Willa, licząc, że da się zmiękczyć. – Na iPadzie jest wideo warte mnóstwa pieniędzy. Virginia o tym wiedziała i zaproponowała wymianę Anthony’ego za iPada. Miałam się z nią spotkać wczoraj rano, ale wystawiła mnie do wiatru.

Will pozostał niewzruszony.

– Virginia zadzwoniła bezpośrednio do Reubena Figaroi, dlatego chciałaś, żebym wkroczył. Odzyskam dla ciebie Anthony’ego i potem co? Sprzedasz to, co masz w iPadzie?

- Mam gdzieś pieniądze. Wiesz o tym, skarbie.

- Gdzie jest Virginia Souza? - zapytała Amanda po raz trzeci.

- Chyba nie sądzisz, że jej szukałam - rzuciła Angie wyzywająco. - Dobrze się maskuje. Nie bywa w swoich stałych miejscach i nikt mi nie powie, gdzie aktualnie przebywa. Boją się jej. I powinni. - Angie wytarła oczy. Łzy zachowywała dla siebie. - Nie można jej ufać, to zimna suka. Nie obchodzi jej, kto ucierpi, a już zwłaszcza dzieci.

Sara zagryzła wargi, słysząc tę ironię.

- Jest coś jeszcze. Po co tu przyjechałaś? - zapytała Faith.

- Pożegnać się z Jo na wypadek... gdyby... - Angie spojrzała na korytarz. - Czekałam na ogłoszenie alertu, ale nic takiego się nie stało.

- Reuben nie zgłosi zaginięcia syna. Próbuje to załatwić na własną rękę - wyjaśniła Faith.

- Domyśliłam się. - Angie wyjęła z torebki chusteczkę higieniczną. - Chciałam iść do niego i strzelić mu w łeb.

Bez troski ton, z jakim podzieliła się planem zamordowania człowieka, przypawił Sarę o dreszcze.

Angie wydmuchała nos, krzywiąc się z bólu. Rana na boku dawała się we znaki.

- Bez Reubena iPad znowu się liczy. Mogłam zrobić to, od czego chciałam zacząć, czyli wymienić Anthony'ego na iPada.

- Z Kipem Kilpatrickiem? - podsunęła Faith.

Angie ciągle starała się zwrócić na siebie uwagę Willa, który z rozmysłem patrzył w innym kierunku.

- Wiem, że to schrzaniłam, skarbie. Próbowałam pomóc córce. Ona nawet nie wie, kim jestem.

Will zachował kamienną twarz. Angie nie miała pojęcia, co mu zrobiła. Sara liczyła tylko na to, że nowo powstały i jakże klarowny ogląd sytuacji potrwa u Willa dłużej niż kryzys, który trzeba zażegnać.

Zadzwoił telefon Amandy. Odebrała i przez chwilę słuchała bez słowa, a potem powiedziała:

- Reuben Figaroa opuścił dom. W samochodzie jest z nim Laslo Zivcovic. Jadą na zachód po Peachtree. Właśnie minęli Piedmont. Za nimi jadą trzy wozy. Czwarty został przed rezydencją.

- Wyjeżdża ze śródmieścia w stronę centrów handlowych - zauważyła Faith. - Miejsca publiczne, mnóstwo ludzi. Właśnie taką lokalizację bym wybrała na wymianę.

Amanda zerknęła na zegarek.

- Centrum właśnie się otwiera. Tłumów jeszcze nie będzie.

- Robi rekonesans, dlatego zabrał Lasła - powiedziała Angie. - Reuben ma świra na punkcie kontroli. Wierzy, że jego żona została zamordowana. Ktoś porwał mu syna i żąda pieniędzy. Dlatego chciałam zrobić to przez Kipa. Przestrzegłam Virginie, że Reuben strzeli jej w głowę, jeśli tylko znajdzie sposobność.

- Nie wiem, jak szybko uda mi się załatwić jednostkę specjalną - stwierdziła Amanda. - Komisariat w Buckhead może zapewnić nam wsparcie. Mamy trzech agentów w trzech autach. Kończą się poranne godziny szczytu. Dojazd do Buckhead zajmie nam godzinę. Możemy włączyć syreny

i światła, ale...

- Na dachu stoi helikopter - oznajmiła Sara. Latała karetką powietrzną do nagłych przypadków. - Centrum Urazowe Shepherd ma lądowisko dla śmigłowców. To skróci czas przejazdu do piętnastu minut.

- Świetnie - ożywiła się Amanda. - Faith, przykuj Angie do łóżka i wezwij kogoś z policji, żeby jej pilnował. Upewnij się, czy nie ma żadnych powiązań z Collierem. Will leci ze mną śmigłowcem. Lepiej strzela, poza tym Reuben nie widział jego twarzy. - Rzuciła Willowi kluczyki. - Mój karabin jest na tylnym siedzeniu. Magazynki są w schowku. Przynies szybkoładowacz i paczkę amunicji.

Sara instynktownie złapała Willa za ramię. Wszystko działo się za szybko. Amanda mówiła o strzelaniu do ludzi. Ludzie będą odpowiadać ogniem. Nie chciała, żeby Will brał w tym udział. Nie chciała go stracić.

Will ujął jej twarz w dłonie.

- Zobaczymy się w domu, kiedy będzie po wszystkim.



## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Will studiował mapę wiszącą na ścianie w biurze ochrony Phipps Plaza. Wymiana między Reubenem Figarą i Virginią Souza mogła wymknąć się spod kontroli na tysiąc sposobów. Kilka z nich przedstawił Amandzie szef ochrony Deshawn Watkins.

- Bezpośrednio na poziom trzeci prowadzą cztery drogi. - Wskazał trzy ruchome schody oraz windę obsługującą wszystkie poziomy we wnętrzu głównego atrium. - Są jeszcze schody ruchome, którymi można się dostać od strony domu towarowego Belk. Jedne jadą w dół, drugie w górę. W Belk jest jeszcze winda oraz druga winda przy wejściu od ulicy. Żadna z głównych wind nie zjeżdża do garażu prócz tej i tej.

- Czyli znajdujemy się w sicie - skonstatowała Amanda. Sprawdziła godzinę. Zakładali, że spotkanie odbędzie się w połowie godziny lub o pełnej godzinie. - Jest jedenasta szesnaście - zwróciła się do Willa. - Jeśli minie południe, będziemy musieli przemyśleć to na nowo. Nie jesteśmy w stanie przewidzieć, ilu ludzi przyjdzie tu na lunch.

- Większość pracowników sklepów, o wiele więcej dzieci. To miejsce zapełnia się o wpół do pierwszej.

Will pocierał dłonią brodę, przyglądając się mapie. Poznał rozkład tego miejsca. Był w Phipps z Sarą więcej razy, niż sobie tego życzył. Centrum składało się z trzech poziomów ułożonych jak kolejne warstwy tortu weselnego z mniejszym

poziomem górnym wysuniętym nieco do przodu. Okrągłe atrium zajmowało wszystkie poziomy. Balustrady ze szkła i drewna wieńczyły złote poręcze. Tylne ściany windy były przeszklone. Will mimowolnie przypominał sobie nocny klub Marcusa Rippy'ego, chociaż Phipps Plaza stanowiło absolutne przeciwieństwo tamtego przeklętego miejsca. Podłogi lśniły czystością, przez świetliki wpadało do środka światło słoneczne.

Reuben Figaroa siedział w części gastronomicznej na trzecim poziomie. Wybrał dobre miejsce na wymianę syna za okup. A może to Virginia Souza je wskazała. Mimo środka tygodnia najwyższy poziom był mekką dla dzieci w wieku przedszkolnym. W każdą środę rano tutejszy Legoland otwierał się dla kilkulatków, a kino zapraszało na maraton kreskówek. Dzieci nie były jedynym problemem. Opodal mieściła się ogromna otwarta przestrzeń gastronomiczna z kilkoma barami szybkiej obsługi. Resztę przestrzeni zajmowali starsi wiekiem bywalcy centrów handlowych i inni klienci krążący wśród ponad stu sklepów.

Gdyby Will chciał wymienić dziecko na pieniądze, właśnie takie miejsce wybrałby na tę transakcję.

Nie mieli jednak pewności, czy Reuben Figaroa faktycznie chciał dokonać wymiany.

Miejsce publiczne. Mężczyzna z obsesyjną potrzebą kontroli, właściciel wielu sztuk broni. Przerażony chłopiec. Kobieta, która zbudowała swoje życie na krzywdzie dzieci.

Akcja mogła pójść jak po maśle albo kompletnie się posypać.

Will analizował w myślach najlepsze możliwe scenariusze. Pierwszy: Souza wchodzi do centrum z Anthonym. Dobrzy faceci natychmiast zgarniają chłopca i oddają go ojcu. Drugi: Souzie udaje się dostać na trzeci poziom, wymienia Anthony'ego za pieniądze, dobrzy faceci osaczają ją na drugim poziomie, po czym dokonują aresztowania.

Nie chciał rozważać najgorszych scenariuszy, a jednak chodziły mu po głowie. Pierwszy: Reuben, który uwielbia bić kobiety, postanawia się zemścić. Drugi: Virginia Souza ma pistolet albo nóż i grozi dziecku. Trzeci: idą tam, gdzie nie będzie można kontrolować sytuacji.

Do tego wszystkiego jeszcze Laslo.

Poza tym Souza mogła mieć współnika. A raczej współniczki.

Jako burdelmama rządziła dziewczętami z ulicy. Dwie, może nawet trzy mogły udawać młode matki w części gastronomicznej.

Dziewczyny z ulicy były sprytne, umiały wyczuć i rozpoznać policjanta. Ostrzegą ją, posłużą jako wsparcie w razie niepowodzenia. Były równie dzikie jak Angie, bezwzględne, zdesperowane i gotowe na wszystko dla ochrony swojej rodziny.

- Nie pojedzie windą. To za wolna droga ucieczki - powiedziała Amanda.

- Zjazd na parking podziemny nie miałby sensu. - Deshawn ponownie wskazał na mapie szklaną windę w atrium. - Musiałaby zjechać dwa poziomy niżej. Tu jest najbliższe wyjście. Ale jeśli chcecie, możemy odciąć możliwość zjazdu

windą na parking.

- Dobrze - powiedział Will i zwrócił się do Amandy: - Reuben ma ortezę, nie może szybko się poruszać.

- Miejmy nadzieję, że nie za nim będziemy stąd wychodzić - skomentowała Amanda. - Jak pan by się stąd wydostał? Windą na drugi poziom, a potem co? - zapytała Deshawna.

- Poziom pierwszy to jedyna droga wyjścia. - Deshawn nadal stał przy mapie. - Nie licząc podziemnego garażu, mamy dwanaście wejść z ulicy. Po trzy w Belk, Saks i Nordstrom. Dwa wejścia od strony Monarch Court i jedno od strony Avenue of the South. Jeśli wyjść pierwszym, to znajdziemy się na Peachtree. Drugie wyjście zaprowadzi nas na międzystanową. Ja użyłbym wyjścia przy parkingu z obsługą.

- To ma sens - powiedziała Amanda. - Auto Reubena stoi przed Saks. Idzie w prawo, zaraz jest w samochodzie i wjeżdża na międzystanową.

- Albo jedzie do domu - dodał Will, ale spojrzenie Amandy powiedziało mu, że to mało prawdopodobne.

Gdy kliknęła krótkofalówka, Amanda przeszła na drugi koniec pomieszczenia, by przyjąć meldunki. Dwunastu umundurowanych policjantów z komisariatu w Buckhead znalazło się na terenie centrum handlowego. Jednostka specjalna zajęła miejsce na dachu i punkt obserwacyjny naprzeciwko Pipp's Plaza. W pobliżu wind usytuowali się agenci GBI, obserwujący dotąd rezydencję Reubena. Czwarty pilnował Lasla, który od półtorej godziny przechadzał się po centrum.

Angie miała rację co do Reubena Figaroi. Przyjechał pierwszy, żeby zapewnić sobie przewagę taktyczną, i tym samym nieświadomie zapewnił Amandzie czas na rozmieszczenie ludzi.

Willowi nie dawało spokoju pytanie, czy Virginia Souza zrobiła to samo.

Do identyfikacji kobiety miało im posłużyć policyjne zdjęcie sprzed czterech lat. Wiszące w strąkach długie brązowe włosy i rozmazany makijaż czyniły z niej idealną kandydatkę na casting do roli starej dziwki. Jeśli Souza była tak sprytna, jak mówiła Angie, nie weszłaby do Phipps Plaza z takim wyglądem. To miejsce było zbyt ekskluzywne, żeby ktoś taki pozostał niezauważony.

- Możemy zawiadomić serwis techniczny, żeby postawili barierkę przy tej windzie. Niech wygląda, że nie działa z powodu awarii - zaproponował Deshawn.

- Boję się, że to wzbudzi w nim podejrzenia - stwierdził Will.

- Nie wygląda na nerwowego.

- Racja - odparł Will, ale nie uważał tego za dobry znak. Opanowanie oznaczało, że człowiek podjął decyzję, której się trzyma.

Mogli zatrzymać Reubena. Nie potrzebują do tego konkretnej przyczyny. Problem polegał na tym, że Souza mogła zostać ostrzeżona przez pracującą dla niej obserwatorkę, a oni zobaczą Anthony'ego albo w rynsztoku, albo w internecie.

Will spojrzał na rząd szesnastu monitorów o wysokiej

rozdzielczości na ścianie. Pokazywały obraz w kolorze. Nie było potrzeby przerzucania się między obrazami przekazywanymi przez różne kamery bezpieczeństwa. Największy monitor, wiszący pośrodku, pokazywał Reubena Figarotę.

Siedział na końcu części gastronomicznej, poziom wyżej od miejsca, w którym stał Will. Tuż obok siebie miał otwarte atrium. Nie mógł uciec, skacząc przez balustradę.

Nawet gwiazda koszykówki nie przeżyłaby upadku z wysokości trzech kondygnacji. Na szczęście stoliki obok niego natychmiast opustoszały. Inni klienci trzymali się od niego z daleka. Zwłaszcza matki spoglądały podejrzliwie na mężczyznę siedzącego samotnie w miejscu, do którego one przyprowadziły dzieci.

Reuben był tam incognito. Na ogolonej głowie miał czapkę z daszkiem z logo drużyny Atlanta Falcons, na stoliku położył laptopa, zapadł się w krzesło, żeby ukryć wzrost. Wąsy i charakterystyczna kozia bródka zrosły się w prawdziwą brodę. Reuben Figarota należał do tych mężczyzn, którzy muszą golić się co kilka godzin, ale najwyraźniej odpuścił sobie tę czynność. Miał na sobie czarny T-shirt i czarne dżinsy. Nie był to typowy strój bojowy, ale bardzo go przypominał. U stóp Reubena leżał duży wór marynarski, który z powodzeniem mógł pomieścić karabin, broń maszynową, broń krótką, a nawet cały ten arsenał.

Amanda skończyła rozmowę przez radio.

- Laslo wyszedł z centrum, podjechał pod Ritz Carlton i stanął na pasie, z którego odprowadzają auta na parking.

Chyba zaraz się zacznie.

- On wyjdzie od strony Nordstrom, żeby dostać się do Ritza  
- stwierdził Deshawn.

- Powiadomię jednostkę specjalną. - Amanda przekazała Willowi radio i skierowała się ku drzwiom. - Faith jest w drodze. Zajmę swoje miejsce. Will, przygotuj się, żeby ruszyć, jak tylko będziesz potrzebny. Pas i szelki.

Deshawn podniósł słuchawkę.

- Uprzedzę ochroniarzy w Nordstrom, że spodziewamy się jakiejś akcji - powiedział do Willa.

Will nie spuszczał wzroku z monitorów. Biuro ochrony znajdowało się przy windzie jadącej na najwyższe piętro.

Amanda wchodziła po schodach, trzymając się poręczy. Jak Reuben, była w przebraniu. Miała na sobie pastelowoniebieski dres i białą koszulkę. Wybrała je w jednym z tutejszych sklepów. W dużej torbie niosła tylko rewolwer i trzy szybkoładowacze. Na nosie miała okulary, na głowie biały kapelusz z miękkim rondem, ulubiony fason starszych pań. Jak wszyscy w zespole miała w uchu słuchawkę działającą jako aparat nadawczo-odbiorczy. To urządzenie przetwarzało mowę, wychwytyjąc wibracje poruszającej się szczęki.

Zamiast podejść bliżej Reubena, usiadła plecami do niego przy jednym ze stolików przy Belk, około dwudziestu metrów dalej. Phil Brauer, jeden z agentów jadących za Reubenem spod rezydencji, siedział już przy stoliku z dwoma kubkami kawy. Doskonale wtopili się w tło. Oboje mogli uchodzić za parę emerytów, którzy mają dużo wolnego czasu.

- Jesteśmy na miejscu - zaraportowała Amanda.
- Macie pewność, że nie powinniśmy ewakuować ludzi? - zapytał Willa Deshawn.
- To wzbudziłoby jej podejrzenia.
- Ale to wielkie ryzyko.
- Nasz człowiek jest w Legolandzie, inny przed kinem. Zamkniemy wszystko przy najmniejszej oznace kłopotów.
- A co z nimi? - Deshawn wskazał na monitor pokazujący przestrzeń gastronomiczną. - Tam jest przynajmniej dwanaścioro ludzi.

Will naliczył dziewięcioro, łącznie z czterema matkami siedzącymi z wózkami przy stoliku. Amanda zajęła miejsce między nimi a Reubenem Figarą.

- Jeśli dzisiaj nie odbijemy tego chłopca, kobieta, która go ma, sprzeda go pierwszemu z brzegu pedofilowi.

- Jezu - jęknął Deshawn. - A jeśli zacznie z nim uciekać, weźmie go jako zakładnika albo nie wiadomo co jeszcze? Macie plan na taki wypadek?

Will postukał w karabin trzymany na ramieniu.

- Jezu - powtórzył Deshawn.

Do pomieszczenia weszła Faith. Zamiast zwyczajowej niebieskiej koszuli i spodni khaki miała na sobie czarny kostium, który wozila w bagażniku auta. Broń trzymała w kaburze na biodrze. Skinęła głową Deshawnowi.

- Co mamy? - zapytała Willa.

- Amanda jest z Brauerem. Usiadła między Reubenem i tym stolikiem. - Wskazał cztery młode matki. Były roześmiane. Jedna karmiła dziecko, druga rozmawiała przez



telefon.

- Mogą schować się w Belk, gdyby coś się zaczęło dziać - zauważyła Faith.

- W Legolandzie mamy jednego człowieka. Ochrona wie, że ma zamknąć wejście na wypadek kłopotów. Trzymają dzieci z tyłu, gdzie trwa przyjęcie urodzinowe. Sklep z upominkami jest od frontu, więc tam raczej nie spodziewamy się kłopotów. To samo z kinem. Kreskówka kończy się w południe. W środku są policjanci, jeden przy stoisku z jedzeniem i piciem, drugi przy wyjściu. W każdej chwili mogą zatrzymać tam wszystkich. - Will pokazał Faith mapę na ścianie. - Mamy ludzi pilnujących wind tutaj, tutaj, tutaj i tutaj. Laslo parkuje po drugiej stronie ulicy. Jednostka specjalna jest na zewnątrz.

- Dobrzy są. Nikogo nie zauważyłam.

- Wszystkim kierownikom sklepów daliśmy policyjne zdjęcie Souzy. Nakazaliśmy, żeby się do niej nie zbliżali. Nie daliśmy go sprzedawcom, żeby nie budzić sensacji.

- Souza nie będzie wyglądała jak na tym zdjęciu.

- To wszystko, co mamy.

Faith popatrzyła na Reubena Figaroę.

- Nie podoba mi się ten worek. Za duży, nawet gdyby tam był milion w gotówce.

Will powędrował za jej spojrzeniem. Reuben nadal siedział przy stoliku wpatrzony w laptopa.

- Jeden z naszych usiadł obok, ale przestraszył Reubena, więc musieliśmy go wycofać.

- Nie widział, co jest w torbie?

- Nie, ale Reuben ogląda w laptopie zdjęcia żony i syna. Na okrągło.

- A to kto?

Will spojrział na duży monitor. W stronę Reubena zmierzała młoda kobieta, usiadła trzy stoliki dalej. Miała spuszczoną głowę, patrzyła w telefon. Białe słuchawki douszne niknęły pod włosami. Była ubrana jak większość młodych matek, czyli w kolejną wariację stroju sportowego.

Reuben przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, po czym wrócił do laptopa.

- Te buty tu nie pasują - zauważyła Faith.

Will spojrział na czerwone buty kobiety. Były wsuwane.

- Bo nie są sportowe? - zapytał.

- Kobieta, która może sobie pozwolić na siedzenie w centrum handlowym w środę rano w sportowych ciuchach, nie kupuje butów w Walmarcie. Poza tym po co tu siedzi, skoro nie przyszła z dzieckiem?

Will przyjrzał się innym kobietom na obrzeżach części gastronomicznej. Każda z nich miała przy sobie dziecko. Albo trzymała je na rękach, albo odciągała od Legolandu, albo miała obok siebie wózek.

- Dwadzieścia osiem po jedenastej - poinformował Deshawn.

- Zielona kurtka. - Faith podeszła bliżej monitorów. - To kobieta, tak?

Na parterze przed windą stała kobieta o androgynicznym wyglądzie. Miała nisko nasuniętą na czoło czapkę z daszkiem i okulary przeciwsłoneczne, ciemnoniebieskie dżinsy

i ciemnozieloną kurtkę zapiętą niemal pod szyję. Ręce trzymała w kieszeni.

- Ona tu nie pracuje - powiedział Deshawn. -  
A przynajmniej nigdy jej tu nie zauważyłem.

- Czy to Souza? - zapytała Faith. - Dziecko mogła zostawić gdzie indziej, na przykład w aucie na dole.

Druga lokalizacja. Scenariusz najgorszy z najgorszych.

Will sięgnął po radio.

- Potrzebujemy obraz podziemnego parkingu. Szukajcie Anthony'ego w zaparkowanym aucie.

Kobieta ponownie wcisnęła guzik windy i z powrotem włożyła rękę do kieszeni. W jej ruchach było coś podejrzanego. Wykazywała ewidentną nerwowość.

Will odezwał się przez radio do Amandy.

- Ktoś może być w windzie. Zielona kurtka. Bądźcie gotowi.

- Zrozumiano.

- Nie wygląda na młodą - zauważyła Faith. Prawie dotykała nosem monitora. - Sposób, w jaki się zachowuje... Nie rozmawia przez telefon, nie słucha muzyki. Poza tym jest za gorąco na taką kurtkę.

- Zobaczymy jej twarz, kiedy wsiądzie do windy - powiedział Deshawn.

Drzwi windy się rozsunęły. Zielona Kurtka nie podniosła głowy po wejściu do środka. Nie wyjęła też rąk z kieszeni. Drzwi zaczęły się zasuwac, ale kobieta nagłym ruchem je zatrzymała.

- Cholera - jęknęła Faith.

Wysoka kobieta z jasnym końskim ogonem, w koszulce z dekoltem w serek i spodenkach do biegania, próbowała wepchnąć do windy podwójny wózek. Z przodu leżało niemowlę, z tyłu spała dziewczynka ubrana jak postać z filmu „Lego: Przygoda”.

- Niedobrze. Dwoje dzieci. Dwoje zakładników - powiedziała Faith.

Obserwowali, jak Zielona Kurtka pochyła się, łapie brzeg wózka i wciąga go do środka. Jeszcze przed zamknięciem drzwi obie kobiety wymieniły uprzejmości i w milczeniu wjechały na trzeci poziom.

- Znowu nie patrzy w kamerę - zauważyła Faith. - Nikt nie trzyma tak spuszczonej głowy przez cały czas.

Will przysunął radio do ust.

- Zielona Kurtka wysiada z windy.

Phil Brauer wstał od stolika i wyrzucił kubek po kawie do śmietnika. Zielona Kurtka pomogła blondynce wyprowadzić wózek z windy, po czym ruszyła w stronę kina. Brauer usiadł przy innym stoliku. Przyłożył telefon do ucha i Will usłyszał jego głos w radiu:

- Daszek czapki zasłania jej twarz. Ma ciemne włosy. Wiekiem pasuje.

Faith, Will i Deshawn stali przed monitorami ramię w ramię. Zielona Kurtka stanęła przy kasach. Patrzyła na tablicę informującą o godzinach seansów.

- To ona? - zapytała Faith. - Nie mogę...

- Kontakt - usłyszeli głos Amandy.

Reuben Figaroa zaczął podnosić się z miejsca.

Kobieta z podwójnym wózkiem stanęła po drugiej stronie stolika.

Virginia Souza.

Burdelmama doprowadziła się do porządku. Zamiast tlenić włosy, ufarbowała je na miodowy blond. Makijaż miała delikatny, wręcz powściągliwy. Ubranie podkreślało atuty figury, ale nie odsłaniało za wiele. Koński ogon ujmował jej lat. Musiała być tu wcześniej, przyjrzeć się bywającym tu kobietom, żeby dopasować się do nich wyglądem.

- To Anthony - powiedziała nagle Faith.

Miała rację. Chłopiec siedział w tylnym wózku, ubrany na różowo, z nogami podwiniętymi pod siebie. Był za duży na to siedzenie. Miał zamknięte oczy. Kształtem przypominały oczy Angie. Jego skóra miała taki sam odcień jak skóra Angie. Niebezpieczeństwo, które mu groziło, sprowadziła na niego Angie.

Will wcisnął guzik w nadajniku.

- To ona. Ma Anthony'ego i niemowlę w wózku. Jest też druga kobieta, prawdopodobnie wsparcie. Trzy stoliki dalej, czerwone buty.

- Alfa, Delta, zamykajcie - zarządziła Amanda.

Legoland i kino miały zostać odcięte od reszty centrum.

- Co oni mówią? Stoją i nic - powiedziała Faith.

Między Reubenem a Souzą trwała wymiana lakonicznych komunikatów. Will widział, jak pięści Reubena zaciskają się mocno. Patrzył to na syna, to na Souzę, jakby rozważał, czy warto zaryzykować utratę Anthony'ego dla przyjemności pozbawienia jej życia.

- Pewnie powiedziała, że ma wsparcie - domyśliła się Faith. - To jedyny powód, dla którego nie rzucił się na nią. Czerwony But ma broń.

- iPad - powiedział Will, który wiedział, jak działają tego rodzaju kobiety. - Chce wydebić od niego więcej kasy. Myśli, że zdobędzie iPada od Angie.

Rozmowę przerwała im Amanda:

- Brauer napisał esemesa. Nie słyszy ich. Nie widzi, co robi Czerwony But. Wy widzicie jej ręce?

- Trzyma na kolanach telefon - odparł Will.

- Torebka - powiedziała Faith, ponieważ jak większość kobiet w centrum handlowym, Czerwony But miała torebkę, która z łatwością pomieściłaby broń.

Phil Brauer ustawił krzesło bokiem. Trzymał telefon tak, jakby potrzebował okularów do czytania tekstu z wyświetlacza, dzięki czemu kątem oka mógł sprawdzić, co robi Zielona Kurtka.

Kobieta nadal sprawdzała czasy seansów na tablicy. I nadal miała ręce w kieszeniach.

- Siadają. To za długo trwa - stwierdziła Faith.

Reuben nie usiadł jak poprzednio, by zamaskować swój wzrost. Teraz był wyprostowany. Miał tak długie nogi, że dotykał kolanami przeciwległego boku stolika. Souza musiała odsunąć swoje krzesło. Cały czas poruszała ustami i zdawała się nie zwracać uwagi na efekt swoich słów.

- Ponad połowę życia zadaje się z facetami i nie widzi, że gość zaraz wybuchnie? - Faith nie wierzyła własnym oczom.

- Wkraczajcie. - W głosie Deshawna była desperacja. -

Dlaczego nic nie robicie? Nikt nie jest uzbrojony.

- Nie trzeba mieć broni, żeby zrzucić dziecko z balkonu.

- Jezu.

Will spod przymrużonych powiek przyglądał się dziecku w pierwszym wózku.

- Widzisz, czy się rusza?

Faith potrząsnęła głową.

- Gdzie torba z pieluchami, butelki z piciem, dodatkowy kocyk, chusteczki?

- Myślisz, że to sztuczne?

- Po co miałyby przywozić dziecko? To zbyt kłopotliwe i ryzykowne - stwierdziła Faith i powtórzyła: - To za długo trwa.

Reuben Figaroa chyba pomyślał to samo. Splecione dłonie trzymał na kolanach. Nie sięgał po worek. Nie mówił. Patrzył tylko na Souzę nienawistnym wzrokiem, podczas gdy ona robiła mu wykład. Jego gniew był niczym trzecia osoba przy stoliku. Will niemal widział tężejące mięśnie na jego karku. Souza albo nie miała pojęcia, co robi, albo była pewna, że to ona kontroluje sytuację.

A Reuben Figaroa nie lubił kobiet kontrolujących sytuację.

- Czerwony But się rusza.

Młoda kobieta wstała i poszła do windy. Do ucha przyciskała telefon.

Will nie spuszczał oczu z Souzy. Ostrzegła Reubena przed czymś, stawiała mu ultimatum, w końcu pokazała środkowy palec. W ferworze przemowy nie zauważyła, że jej krzesło centymetr po centymetrze przysuwa się do stolika, a ona

razem z nim.

- Zahaczył stopy o nogi krzesła Souzy - zauważył Will.

- Co on robi pod stołem?

Reuben manipulował przy czymś dłońmi.

Will przysunął radio do ust.

Wszystko stało się tak szybko, że nie zdążył nawet wcisnąć guzika.

Krzesło, gwałtownie podsunięte do przodu przez Reubena, odchyliło się, a razem z nim Souza. Reuben jednym ruchem wbił jej w gardło długi nóż. Souza wyrzuciła ręce w górę. Figaroa złapał ją za nadgarstki, przytrzymał jedną ręką, a drugą pod stołem zadał kilka ciosów w brzuch.

- Cholera - syknęła Faith.

Krew połała się strumieniem po krześle, Souza osunęła się na podłogę.

Reuben wstał z workiem marynarskim i wyciągnął rękę do Anthony'ego.

- Uwaga! - krzyknął Deshawn.

Ku Reubenowi rzuciła się Zielona Kurtka z pistoletem snake slayer w dłoni. Dwa strzały z tej niewielkiej broni mogą posłać w powietrze dziesięć specjalnych pocisków kaliber trzydzieści osiem.

W stronę kobiety pobiegł Phil Brauer, ale to już nie miało znaczenia.

Reuben błyskawicznie wyciągnął z torby sig-sauera i strzelił Zielonej Kurtce w głowę.

- Zamknąć centrum! - rozkazała Amanda. - Już!

Will wyskoczył z biura ochrony z karabinem na ramieniu.



Faith deptała mu po piętach. Od atrium dzieliło ich niespełna pięćdziesiąt metrów, od części gastronomicznej jeden poziom. Biegając po obwodzie otwartej przestrzeni, Will miał wrażenie, że znalazł się na bieżni stacjonarnej. Jeden krok w przód cofał go o dwa. Faith skoczyła na schody ruchome jadące na trzeci poziom. Will okrążył daleki koniec atrium. Przewiesił sobie karabin przez ramię, opadł na kolana i zajął pozycję naprzeciwko miejsca, w którym stał Reuben Figaroa.

Oparł lufę karabinu o balustradę i przyłożył oko do celownika optycznego. Broń była odbezpieczona. Palec spoczywał na kabłąku spustowym.

Will wciągnął głęboko powietrze.

Trzydzieści sześć metrów.

Z takiej odległości mógł strzelać we śnie, ale Reuben przyciskał Anthony'ego do piersi. Jego potężne ramię miażdżyło żebra syna. Wylot lufy sig-sauera dotykał skroni chłopca.

- Rzuć broń! - zawołała Amanda.

Stała na szeroko rozstawionych nogach. Trzymała rewolwer w obu dłoniach niecałe pięć metrów od celu. Faith zatrzymała schody ruchome i przywarła do nich całym ciałem. Phil Brauer czał się za stolikiem. Uformowali trójkąt, w środku którego zamknęli Reubena. Podobnie jak Will, szukali sposobności do oddania strzału. I jak Will nie mieli czystej sytuacji strzeleckiej. Serce, płuca, brzuch ojca zasłaniał Anthony.

- Cofnijcie się! - wrzasnął Reuben.

Will popatrzył przez lunetę celowniczą. Palec Reubena

owijał się wokół spustu. Jedno choćby niewielkie drgnięcie i Anthony może być martwy. Will wiedział, że Amanda przeprowadza w myślach taką samą analizę. Trafienie Reubena w nogę oznaczało, że nadal mógł pociągnąć za spust. Gdyby celowała w głowę i chybiła, mógł pociągnąć za spust. Gdyby trafiła, też mógł pociągnąć za spust. Najdrobniejsza pomyłka będzie kosztować życie sześciolatniego chłopca.

- Jesteś otoczony. Nie wyjdiesz stąd - powiedziała.

- Zejdź mi z drogi, kurwo.

Will napiął mięśnie. Reuben miał refleks sportowca. Wystarczył jeden błyskawiczny ruch nadgarstka i zastrzeliłby Amandę, a Will stanąłby w obliczu tych samych dylematów.

Reuben podszedł do Amandy. W ortezie wyraźnie utykał.

- Cofnij się, suko.

- Nie chcesz tego robić - powiedziała i cofnęła się. Zasłoniła Willowi widok, gdy przeszła obok windy. - Odłóż broń i wtedy porozmawiamy.

Reuben szedł, przyciskając Anthony'ego do piersi. Will przesuwał się, by ciągle mieć go naprzeciwko siebie, i modlił się w duchu o czysty strzał.

Reuben wcisnął przycisk windy.

- Wychodzę stąd.

- Postaw chłopca na ziemi. Postaw go, wtedy porozmawiamy.

- Zamknij się!

Wściekły wrzask ojca wyrwał Anthony'ego z odrętwienia. Kiedy w końcu dotarło do niego, co się dzieje, otworzył

szeroko oczy i zaczął krzyczeć. Właściwie był to pisk zwierzęcia złapanego w sidła.

Drzwi windy rozsunęły się i Reuben wszedł do środka. Szklana ściana windy dawała Willowi ogląd sytuacji. Widział Reubena wyraźnie, ale nie decydował się na strzał. Nawet z tej odległości nie miał pewności, czy kula nie minie Reubena i nie zabije Anthony'ego.

Drzwi się zasunęły.

Will pobiegł z powrotem po atrium. Kiedy winda minęła drugi poziom, skoczył ku najbliższym ruchomym schodom. Jechały w górę. Sadził długie kroki, pokonując kilka stopni na raz, w końcu złapał się poręczy, uniósł nogi i rzucił się całym ciałem w dół.

Dotknął stopami podłogi w chwili, gdy drzwi windy się otworzyły.

Anthony płakał, wił się i szarpał, by wyrwać się z uścisku ojca. Reuben walczył, by jednocześnie utrzymać wierzgającego syna i broń. Krzyczał na Anthony'ego, kazał mu milczeć. Pochylony Will ukrył się za krawędzią ruchomych schodów. Przycisnął kolbę karabinu do ramienia. Jednym okiem śledził sytuację.

Anthony nie przestawał machać rękami i wierzgać. Jeden z kopniaków trafił ojca w operowane kolano. Reuben upuścił syna.

Will wyskoczył zza windy i pociągnął za spust.

Świat stanął w miejscu.

Odrzut wcisnął kolbę karabinu w ramię Willa. U wylotu lufy pokazał się błysk. Łuska wypadła z wyrzutnika. Nabój

przeciął powietrze jak nóż tnący torebkę mąki.

Siła trafienia szarpnęła ramieniem Reubena, który uderzył plecami w drzwi windy i osunął się na podłogę.

Will opadł na jedno kolano i zaczął przesuwać się w jego kierunku. Palec na spuście znowu cofnął się nieznacznie, ale przed kolejnym strzałem powstrzymał go Anthony.

Reuben wycelował sig-sauera w plecy syna. Broń trzymał pewnie, bez drżenia. Will trafił go w niewłaściwe ramię.

- Chodź tu, synu - powiedział Reuben.

Willa dzieliło od Anthony'ego około pięciu metrów, Reubena tylko pół metra.

- Anthony, biegnij! - zawołał Will.

Chłopiec zamarł w miejscu.

Will przesunął kolano po podłodze, usiłując znaleźć lepszy kąt strzału. Boki Reubena osłaniała głęboka nisza windy. Jedyne strzały, którym można go było unieszkodliwić, musiał paść od frontu.

- Stój. - Oczy Reubena wędrowały między Anthonym, Willem i Faith.

Faith stała po drugiej stronie ruchomych schodów. Powstał kolejny trójkąt z Reubenem w środku. Will usłyszał kroki zbliżających się policjantów, nie odważył się jednak spuścić oka z Reubena Figaroi.

- Anthony, chodź do mnie - nakazał Reuben.

- Anthony - odezwała się Faith - podejdź do mnie, skarbie. Nie bój się.

Will przesunął się odrobinę i napiął palec na spuście.

- Chodź tu natychmiast, do jasnej cholery! - wrzasnął

Reuben.

Anthony cofnął się w stronę ojca.

Will zdjął palec ze spustu.

Reuben oplótł syna przestrelonym ramieniem i przyciągnął do siebie. Teraz Anthony zasłonił jego twarz. Skroni chłopca dotknęła lufa sig-sauera. Anthony nie protestował. Wiedział, że kiedy ojciec wpada w złość, nie należy stawać okoniem. Cały strach wyraził się drzeniem warg, czym przypomniał Willowi jego adopcyjną babcię, i rezygnacją w oczach odziedziczoną po Angie.

Kiedy opowiadała Willowi o molestowaniu, nigdy nie mówiła o tym. Dała tylko praktyczną radę: „Można zrobić jedno: czekać, aż to się skończy”.

Anthony czekał na to, co nieuniknione. Na krzyk. Na razy. Na podbite oko. Na rozciętą wargę. Na bezsenne noce, kiedy czekał na otwarcie drzwi.

- Cofnij się.

Reuben musiał oprzeć zranioną rękę o bark syna. Oddychał ciężko. Krew wypływała z dziury po kuli tuż pod obojczykiem. Znaleźli się w takim samym impasie co na górze, tyle że teraz Reuben był jeszcze bardziej zdesperowany.

- Odłóż broń. Nie chcesz tego robić - odparł Will.

- Cholera - stęknął Reuben. Ramię zaczęło mu drżeć, krew odpływała z drugiej ręki. Złapał go kurcz mięśni, klatka piersiowa i plecy zesztwniały boleśnie. - Czym mnie trafiłeś?

- Czterogramowym Hornady TAP URBAN.

- Specjalny nabój policyjny taktycznego zastosowania w mieście. O ograniczonej możliwości penetracji - powiedział Reuben. Miał ciężkie powieki, twarz lśniąca od potu.

Will odepchnął się stopą trzymaną z tyłu i nieco przesunął kolano do przodu. Nie mógł zbliżyć się do Reubena z boku, a musiał znaleźć się bliżej.

- Mówisz tak, jakbyś znał się na amunicji.

- Widzisz tego snake slayera, którego wyciągnęła ta suka?

- W komorze były pewnie naboje kalibru trzydzieści sześć.

- Na szczęście ją powstrzymałem. - Reuben zamrugnął, żeby usunąć krople potu lecące z powiek do oczu.

Will zastanawiał się, czy Figaroa zaczyna widzieć nieostro. W pobliżu obojczyka przechodziły ważne dla człowieka naczynia. Tętnica podobojczykowa. Żyła podobojczykowa. Sara wszystko by wiedziała. Opisałaby skrupulatnie uszkodzenia w raporcie z sekcji zwłok Reubena Figaroi, ponieważ jeśli ten człowiek skrzywdziłby wnuka Angie, nie uszedłby stąd z życiem.

- Pogadajmy o tym. Będziesz potrzebował operacji. Mogę ci pomóc - powiedział Will.

- Żadnych więcej operacji. - Figaroa pokręcił głową. Mrugał wolniej, już nie trzymał Anthony'ego tak mocno. Lufa sig-sauera była teraz skierowana w górę, ale nadal mógł strzelić synowi w głowę.

Will podsunął się bliżej.

Faith chrząknęła. Anthony spojrzał na nią, Will nie. Wiedział, że jego partnerka próbuje przywołać chłopca do siebie.

- Nie. - Reuben wyprostował broń.

- Jakiej siły trzeba użyć do pociągnięcia za spust? - zapytał Will. - Dwóch i pół kilograma? Trzech?

Reuben potwierdził powolnym skinieniem głowy.

- Może zdejmiesz palce ze spustu? Chyba nie chcesz popełnić błędu.

- Ja nie popełniam błędów.

Will znowu przesunął kolano po podłodze. Trzy metry. Tyle dzieliło go od Reubena. Gdyby ten przesunął się nieco w bok, mógł bez obaw strzelić mu w głowę. Albo zainkasować strzał w głowę. Nie ufał broni w ręku Reubena. Powtarzał się scenariusz z trzeciego poziomu. Wystarczył jeden gwałtowny ruch nadgarstkiem, by położyć trupem Willa. Drugi ruch i byłoby po Anthony'm.

- Nie za dobrze z tobą, stary - zauważył Will.

- Nie za dobrze - zgodził się Reuben. Ręka, którą trzymał Anthony'ego, zaczęła się rozluźniać. Teraz chłopiec mógł wyrwać się z uścisku ojca, Reuben jednak nadal był w stanie strzelić. Do Anthony'ego. Do Willa.

- Pogadajmy o tym - powtórzył Will. Zmniejszył odległość między nimi o kilkanaście centymetrów. Karabin trzymał przed sobą. Prawie metr broni. Jedna ręka na uchwycie, druga na kolbie. Przesunął rękę po lufie. Po wystrzale odrzut mógł wywichnąć mu ramię. Zgiął nieco plecy, próbując stworzyć złudzenie dodatkowych centymetrów.

- Nie mogę zostawić syna samego - powiedział Reuben.

Will nie był w stanie spojrzeć na chłopca. Nie chciał zobaczyć patrzących na niego oczu Angie.

- Nie musisz zabierać go ze sobą.

- Nic innego mu nie zostało. Jo odeszła. Moja kariera się skończyła. Kiedy wycieknie nagranie, moja wolność też się skończy.

- Widzisz, jak blisko jestem? - zapytał Will.

Reuben zamrugnął powiekami. Wyprostował rękę z sig-sauerem.

- W tej chwili mogę pociągnąć za spust - powiedział Will.

- Ja też. - Oddech Reubena był płytki. Skóra straciła kolor. Will widział każdy por w skórze jego twarzy, każdy mieszek włosowy. - Nie zostawię syna samego - Reuben z trudem przełknął ślinę. - Jo by tego nie chciała. Jej prawdziwa matka ją zostawiła. Ona nigdy nie zostawiłaby syna.

Will przysunął się jeszcze bliżej. Zastanawiał się nad motywami Reubena. Jak tracąc kontrolę nad sytuacją, człowiek w jednej chwili przewracał do góry nogami całe swoje życie.

- Jak mam to przerwać? Powiedz mi, jak uratować twojego syna?

- Kto ją zabił?

Will próbował wymyślić najlepsze kłamstwo, które powstrzymałoby Reubena od zamordowania syna. Że Jo żyje i on nadal ma dla kogo żyć? Że wprawdzie Jo nie żyje, ale jej morderczyni jest w rękach policji? Że jest to jej biologiczna matka? Że usiłowała użyć wnuka jako karty przetargowej?

Reuben tracił cierpliwość.

- No kto, człowieku? Kto zabił Jo?

- Kobieta z góry. - Will nie był pewien, czy dokonał



właściwego wyboru, ale musiał konsekwentnie brnąć dalej. – Nazywa się Virginia Souza. prostytutka, spotkała Jo w więzieniu, pokłóciły się o coś. Souza się zemściła.

Odetchnął z ulgą, gdy Reuben zaczął kiwać głową, jakby ta wersja miała dla niego sens.

– Chodziło o prochy? O to się pokłóciły?

– Tak. – Will przybliżył się o centymetr, dwa, pięć. Przesunął rękę na lufie. Za daleko, żeby bezpiecznie trzymać kolbę. W tej chwili nie mógł strzelić. – Souza wiedziała, że Jo jest bogata, ma pieniądze. Pojechała za nią na przyjęcie. Porwała ją i zabrała Anthony'ego.

Reuben znowu kiwnął głową. Przyczyna wydała mu się oczywista. Żona ukryła swój nałóg. Ukrywała też inne rzeczy.

– Teraz suka nie żyje.

– Właśnie – potwierdził Will.

– Jo też. Zdradziła mnie, zdradziła wszystko, co mieliśmy. Nie słuchała mnie.

– Takie są kobiety.

– Biorą i biorą, a potem wypluwają cię jak śmiecia.

Wylot lufy powędrował znów ku górze, ale nie ku głowie Anthony'ego. Reuben słabł, mięśnie mu drżały, nerwy odmawiały posłuszeństwa. W takiej sytuacji mógł pociągnąć za spust nie tylko celowo, ale też przypadkiem. Trudno było tylko przewidzieć, w kogo będzie wtedy wycelowana broń.

– Nie przesuwaj się – powiedział Reuben.

– Nie przesuwam się – zaoponował Will i przysunął się bliżej.

Reuben z trudem przełknął ślinę.

- Chowala je przede mna, te wszystkie tabletki. Ukradla nagranie. Wiem, ze to ona. Zniszcyla mi zycie. Zniszcyla zycie mojego syna. I jego samego.

Will znalazl sie juz wystarczajaco blisko Reubena. Mogl zlapac tylko jedno: broń albo Anthony'ego.

Anthony albo Will.

Wszystko sprowadzalo sie do tego, w ktora strone Reuben skieruje broń.

- W porzadku. - Reuben patrzyl na Willa beznamiętnym wzrokiem. Otworzył usta, miał niebieskawe wargi, z trudem łapał powietrze. Powoli zamrugał, po chwili mrugnął jeszcze raz, znacznie wolniej. Przy trzecim mrugnięciu Will gwałtownie skoczył naprzód i zamaszystym ruchem ramion zagarnął Anthony'ego sprzed Reubena.

Głowa Reubena eksplodowała.

Gorąca krew obryzgała Willowi twarz i szyję. Okruchy kości znalazły się w jego ustach, w nosie, oczy paliły. Wypuścił karabin z rąk i przyłożył dłonie do twarzy. Poczul pod palcami strzępy mięśni i tkanek. Kichnął, a na podłogę poleciała krew. Nie widział jej. Wstał i zaczął się cofać, jakby wierzył, że wystarczy odsunąć się od miejsca tej jatki, gdy tymczasem miał na sobie jej przerażające ślady.

- Will! - Amanda złapała go za ramię.

Potknął się o własne nogi. Przytrzymała go, żeby się nie przewrócił, a potem pociągnęła przez atrium w korytarz, gdzie objął się o ściany. Nic nie widział. Wyczuł pod stopami wykładzinę. Próbował otworzyć oczy, ale nie mógł. Czuł, jakby miał pod powiekami niezliczone drzazgi. To były

odpryski kości, zębów i chrząstek Reubena Figaroi.

- Pochyl się - poleciała Amanda.

Zimna woda spłynęła mu po twarzy, wlała się do ust, zmywając strzępki mózgu. Zobaczył światło i zamrugał. Zobaczył białą porcelanę, wysoki kran. Byli w łazience. On stał pochylony nad umywalką. Sięgnął po dozownik mydła, ale spadł ze ściany. Worek z mydłem pękł. Will zaczerpnął mydło w dłonie, zaczął szorować twarz i szyję. Zerwał z siebie koszulę. Tarł klatkę piersiową tak mocno, aż poczerwieniała.

- Przestań, bo zrobisz sobie krzywdę. - Amanda złapała go za rękę, żeby nie zdarł sobie skóry do żywego mięsa. - Już dobrze. Odetchnij głęboko.

Will miał dość dobrych rad ludzi o oddychaniu. Wsadził głowę pod inny kran nad czystą umywalką i przepłukał usta. Woda, którą wypluł, była różowa. Potarł twarz, podrapał skórę, by upewnić się, że nie ma już w oczach i we włosach kawałków Reubena Figaroi.

- Napij się jeszcze wody.

Wyjął coś twardego z ucha. Zabarwiony krwią kawałek zęba.

Cisnął nim o ścianę. Oparł rękę na krawędzi umywalki. Powietrze paliło go w płucach jak ogień. Paliła go skóra. Fantomowe krople krwi spływały po twarzy i szyi.

- Już dobrze - powiedziała Amanda.

- Wiem - odparł.

Zamknął oczy. Nie było dobrze. Widział krew wszędzie, w umywalkach, na podłodze. Łazienka zamieniła się

w chłodnię. Dygotał z zimna.

- Co z Anthonyem? - zapytał i zacisnął zęby, żeby nimi nie szczekać.

- Jest bezpieczny. Faith się nim zajęła.

- Jezu - wymamrotał. Starał się uregulować oddech, odzyskać choćby w pewnym stopniu kontrolę nad ciałem. Zacisnął powieki. - Nie byłem pewien, czy Faith ma czysty strzał.

- Miała. Ja też miałam. Wszyscy mieliśmy. Ale on nas ubiegł. - Amanda zaczęła wyciągać papierowe ręczniki z podajnika. - Reuben Figaroa sam się zabił.

Zaskoczony Will gwałtownie podniósł głowę znad umywalki.

- Kiedy chwyciłeś Anthony'ego, Reuben przyłożył broń pod brodę i pociągnął za spust.

Will patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Zabił się - powtórzyła.

Próbował odtworzyć w pamięci tę scenę. Pamiętał tylko swój strach, że kiedy zepchnie Anthony'ego z linii strzału, chłopiec upadnie i się potłucze.

- Zrobiłeś wszystko jak należy, Will. Reuben Figaroa dokonał wyboru.

- Mogłem go uratować.

Wytarł twarz papierowym ręcznikiem. Był szorstki jak język kota. Spodziewał się zobaczyć na nim krew, ale ujrzał tylko ciemne plamy po wodzie.

Czy Faith w innej łazience myła buzię Anthony'emu?

Kiedy nastąpił strzał, chłopiec stał tak blisko Reubena jak

Will. Przez ile lat będzie czuł na sobie lepkie włókna tkanki mózgowej ojca spływające po twarzy? Przez ile lat będzie budził się w nocy z krzykiem, przerażony wizją uduszenia mózgiem i kośćmi zatykającymi nos?

- Niby jak mogłeś go uratować?

Will potrząsnął głową. Podjął złą decyzję. Czuł to przez skórę już w chwili, w której kłamstwo wyszło z jego ust.

- Reuben odłożyłby broń, gdyby usłyszał prawdę o Jo. Że ona żyje. Że on ma po co żyć. - Zwinął ręcznik w kulkę. - Słyszałaś, jak mówił, że nie zostawi syna samego; że Jo by tego nie zrobiła. Nie pociągnąłby za spust, gdyby wierzył, że nadal ma szansę na utrzymanie rodziny.

- A może zastrzeliłby ciebie. Albo któreś z nas by go zastrzeliło, ponieważ zadźgał kobietę dwa piętra wyżej. Strzelił innej w głowę. Bił żonę przez prawie dziesięć lat. Groził śmiercią własnemu synowi. Skąd ten pomysł, że istnieje jakaś romantyczna więź między Reubenem Figarą a jego żoną, którą ty w magiczny sposób rozbudziłyś i naprawił wszystko?

Will wrzucił zużyty papier do kosza.

- Jeśli kogoś kochasz, nie chcesz go skrzywdzić. Nie torturujesz. Nie każesz żyć w ciągłym strachu. Miłość tak nie działa. Normalni ludzie tak nie działają.

Will nie chciał usłyszeć od Amandy, że między Reubenem i Angie nie ma wielkiej różnicy.

- Dzięki, ale na dzisiaj wystarczy mi ta jedna przypowieść.

Amanda milczała. Patrzyła na jego nagą pierś. Okrągle „O”, ślady po papierosach gaszonych na jego ciele. Czarne

ślady po poparzeniu prądem. Frankensteinowskie szwy wokół przeszczepionej skóry pokrywającej niegojącą się ranę.

Zanim w jego życiu pojawiła się Sara, nerwowo szukałby czegoś do okrycia. Teraz czuł po prostu dyskomfort.

Amanda rozpięła bluzę.

- Przychodziłam obserwować cię w dniach odwiedzin.

Dni odwiedzin. Nawiązała do czasów pobytu Willa w domu dziecka. Zawsze na nie czekał, aż pewnego dnia zaczął się ich bać. Wszystkie dzieci były kąpane i prezentowane ewentualnym rodzicom adopcyjnym. A dzieci takie jak Will wręcz przeciwnie.

- Nie mogłam cię adoptować. Byłam samotną kobietą, robiłam karierę, nie potrafiłabym zaopiekować się nikim prócz porcelanowej figurki. - Okryła go bluzą i położyła mu dłonie na ramionach. Spojrzała na niego w lustrze. - Przestałam cię odwiedzać, bo nie mogłam znieść tej tęsknoty. Z moją własną tęsknotą trudno mi było żyć, ale to twoja złamała mi serce. Tak bardzo chciałeś, żeby ktoś cię wybrał.

Will popatrzył na swoje dłonie. Na skórkach wokół paznokci były jeszcze ślady krwi.

- Wybrałam cię. Faith cię wybrała. Sara cię wybrała. Niech to ci wystarczy. Przyjmij do wiadomości, że jesteś tego wart.

Paznokciem kciuka Will skrobał krew ze skórek. Nie chciała zejść do końca. Znowu zadrżał z zimna.

- Ona będzie sama.

Amanda pomogła mu włożyć bluzę.

- Wilbur, takie kobiety jak Angie zawsze będą same. Nieważne, ilu ludzi je otacza, one zawsze będą same.

Wiedział o tym. Obserwował to przez całe swoje życie. Nawet kiedy była z nim, nadal trzymała się z boku.

- Możemy oskarżyć ją o to, że pozwoliła Delilah umrzeć w bagażniku jej auta?

- Z N.N. jako jedynym świadkiem? Bez nagrań z kamer monitoringu, bez DNA, bez odcisków palców, bez dymiącej broni, bez zeznań innego świadka, bez przyznania się do winy? - Amanda zaśmiała się gorzko. - To Denny ucierpi. Mogę uratować go przed więzieniem, ale straci pracę, emeryturę, przywileje.

Will nie chciał żałować Colliera, a jednak było mu go żal. Dobrze znał to uczucie, kiedy Angie rzucała go lwom na pożarcie.

- Daj, ja to zrobię. - Amanda usiłowała zapiąć zamek bluzy. Nie dała rady. Poły bluzy nie stykały się na piersi Willa. Dół był za krótki, kończył się nad pępkiem. - Zanim stąd wyjdiesz, muszę ci kupić nową koszulę. W tym wyglądasz jak filipiński pracownik branży usług seksualnych.

To miała być złośliwa uwaga na koniec rozmowy, ale Will nie chciał jeszcze kończyć.

- Czy ona kiedykolwiek to pojmie? - zapytał. - Że krzywdzi ludzi? Że wszystko psuje?

- Wierz mi, Will, życie zawsze każe człowiekowi płacić za jego charakter. - Amanda uśmiechnęła się smutno. - I właśnie o tym Angie przekonuje się co dzień.

# **DZIESIĘĆ DNI PÓŹNIEJ - SOBOTA**



## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Sara stała w kuchni. Jadła lody z miseczki i oglądała południowe wiadomości. Po dziesięciu dniach spekulacji Ditmar Wittich w końcu udzielił wywiadu. Siedział na tle modelu ostatecznie zniweczonego projektu Centrum Gwiazd i wygłaszał hymn pochwalny na temat tej inwestycji. Równie dobrze mógł opowiadać bajki. Dziennikarza interesowały wyłącznie te zdania, w których pojawiało się nazwisko Rippy albo Figaroa.

- Kompleks wygenerowałby tysiące miejsc pracy - przekonywał Wittich.

Sara przyciszyła telewizor. Prócz niemieckiego akcentu nie widziała w nim nic z bondowskiego Goldfingera, do którego porównał go Will. Według niej Wittich przypominał raczej Karla Stromberga.

Wyrzuciła resztę lodów do zlewu. Nie był to najlepszy wybór na lunch, choć i tak zdecydowanie lepszy od picia. Kiedy znowu zerknęła na ekran, był podzielony na dwie części. Na jednej widniała twarz Witticha, na drugiej widać było nagranie, które zyskało już miano „szału Rippy’ego”. Sara chciała odwrócić wzrok, ale nie mogła. Mało kto na świecie był w stanie to zrobić. Za sprawą kogoś w GBI nagranie wyciekło z iPada Angie. Amanda była na wojennej ścieżce, co według Sary oznaczało, że to właśnie ona stała za przeciekami.

Angie miała rację, że nagranie przyniesie katastrofalne

skutki, aczkolwiek z innych powodów, niż sądziła.

Film, nakręcony przez Reubena Figarę, pokazujący jego i Marcusa Rippy'ego podczas gwałcenia odurzonej Keishy Miscavage, osiągnął w sieci rekordową liczbę odsłon. Ludzie mówili głównie o trzech ostatnich sekundach nagrania, kiedy poza kamerą drzwi otwierają się z hukiem, po iPhone'a Reubena wyciąga się jakaś ręka, a kobiecy głos wykrzykuje początek słowa, które z całą pewnością brzmiało „matkojebco”.

Niewyraźna różowa plama mogła umknąć nieuzbrojonym oczom, ale nagranie odtwarzane w zwolnionym tempie pokazywało wykonane na zamówienie skórzane szpilki lądujące na głowie Keishy Miscavage. Strusia skóra miała intensywną barwę fuksji. Na nosku widniała haftowana złotą nitką litera R.

Will rozpoznał te buty natychmiast. Miał pamięć do takich szczegółów. Przypomniał sobie, że LaDonna Rippy miała je na nogach w trakcie pierwszego i jedyne go wywiadu, na który zgodził się jej mąż w trakcie śledztwa w sprawie gwałtu.

Teraz Marcus Rippy nie miał zahamowań w udzielaniu wywiadów. Oskarżał swoją żonę. Uparcie powtarzał, że on i Reuben tylko zabawiali się z Keishą Miscavage. Nagranie potwierdziło jego wersję wydarzeń. Do momentu wejścia LaDonny do pokoju, Keisha była odurzona, ale cała. Według Marcusa to LaDonna tak urządziła dziewczynę.

Will miał więc nową sprawę: ciężkie pobicie Keishy Miscavage przez LaDonnę Rippy. LaDonna znęcała się nad

nią, dusiła i biła przez pięć godzin. Zrobiła jej sińce na plecach i udach i doprowadziła do śpiączki, w której Keisha leżała tydzień w szpitalu.

Dowody zebrane przez ekspertów kryminalistyki potwierdziły winę LaDonny. Jej DNA pasowało do śladów potu i śliny znalezionych na ciele ofiary, a ze śladów krwi na butach LaDonny wyodrębniono DNA Keishy. Wniesienie oskarżenia do sądu nie było oczywiste - pieniądze Rippy'ego mogły działać cuda - ale przy okazji udało się ustalić i udokumentować wzorzec zachowania.

LaDonna Rippy była zazdrosna. Will znalazł trzy wcześniejsze ugody pozasądowe z ofiarami, które za pieniądze zgodziły się milczeć. Kobieta w Las Vegas zdołała opowiedzieć swoją historię mimo złamanej przez LaDonnę szczęki i wybitych zębów. Inna kobieta w Południowej Karolinie pisała demaskatorską książkę o historii sprzed piętnastu lat. Możliwe, że pojawią się kolejne kobiety, ponieważ w takich sytuacjach zawsze tak się działo. Wyglądało na to, że żonę Marcusa Rippy'ego czeka długa odsiadka.

O tym, czy Marcusa spotka taki sam los, miała zdecydować ława przysięgłych. Dla mężczyzny, który zgwałcił i pobił kobietę, świat znajdował dziesiątki tłumaczeń. Zupełnie inaczej niż w przypadku kobiety winnej napaści.

Sara nie chciała znowu nurzać się w tym depresyjnym bagnie i wyłączyła telewizor. Przejrzała nagrania i wybrała piosenkę Dolly Parton. Przyciągnęła odkurzacz do kuchni. Zakasała rękawy i zaczęła opróżniać szafki kuchenne, żeby

wyczyścić je w środku.

Wróciła do swoich wypracowanych sposobów radzenia sobie ze stresem, chociaż wcześniej spędziła mnóstwo czasu na oglądaniu „Buffy”, a przy okazji wypijała morze alkoholu. Will był zajęty zamykaniem sprawy Reubena Figaroi i otwieraniem dochodzenia w sprawie przeciwko Marcusowi i LaDonnie Rippym. Chodził późno spać i wstawał o świcie, mieszkał więc u siebie, żeby nie pozbawiać Sary snu. Oboje pozbawili się czegoś więcej. To była kolejna rzecz, która zmierzała w złym kierunku. Z pierwszego małżeństwa Sara wyniosła wiedzę, że jedynym niezawodnym sposobem na brak seksu jest zaprzestanie seksu.

W ich przypadku seks byłby zaledwie tymczasowym rozwiązaniem. Wisiało nad nimi to, co zaszło między Angie a Willem oraz Willem a nią. Tego problemu sama nie mogła rozwiązać.

Na dźwięk dzwonka telefonu uderzyła głową o szufladę. Sięgając po niego, puściła soczystą wiązanekę.

- To ja - po drugiej stronie słuchawki odezwała się Tessa. - Jestem w budce telefonicznej. Mamy cztery minuty, zanim skończą mi się pieniądze.

Sara wyłączyła muzykę.

- Dlaczego dzwonisz z budki?

- Bo twoja ukochana siostrzenica wrzuciła moją komórkę do dziury w wychodku.

Sara zakryła usta ręką, żeby stłumić śmiech.

- Tak, to naprawdę bardzo śmieszne, że mój telefon pływa w gównie i będę musiała wsadzić tam rękę, by wyłowić to

cholerstwo. – Misjonarska praca Tessy polegała bardziej na pomaganiu ludziom niż na pilnowaniu czystości języka. – Jestem na kompletnym odludziu. Nie mogę po prostu iść do sklepu i kupić nowego telefonu.

– Gdzie ona teraz jest?

– Pewnie maże moje książki i tnie moje ubrania. – Tessa westchnęła. – Jest z ojcem, który pilnuje, żebym jej nie zabiła. I nie mów mi, że byłam taka sama w jej wieku. Już się od mamy nasłuchałam.

Tessa była równie nieznośna, ale wzmianka o matce odebrała Sarze ochotę na dogryzanie siostrze.

– Mnie też zrugala.

– Martwi się o ciebie.

Sara usiadła na kontuarze.

– Granica między troską a przekonaniem o swojej nieomyślności jest bardzo cienka.

– Przyganiał kocioł garnkowi. – Tessa błyskawicznie zmieniła temat, żeby Sara nie zdążyła się odgryźć. – Rozmawiałaś już z Willem?

Rozmowa. Ocena. Sara bała się tego równie mocno jak Will.

– Dałam mu trochę przestrzeni – odparła. – Cała ta sprawa z Reubenem Figarą, Anthonyem i... – Nie musiała przypominać Tessie szczegółów. Historia małego zakładnika w centrum handlowym dotarła nawet do Afryki Południowej. – Nie chciałam mu jeszcze dokładać problemów. „Przykro mi, że byłeś świadkiem okropnego samobójstwa, ale porozmawiajmy o naszym związku”.

- W końcu będziecie musieli.

- Właściwie po co? Ja powiem, co mam do powiedzenia, on będzie kiwać głową, patrzeć w podłogę albo ponad moim ramieniem, potrząśnie się w policzek, poskubie brew, a na koniec i tak nie powie ani słowa o swoich uczuciach, ponieważ myśli, że wystarczy stwarzać pozory i wszystko będzie dobrze.

- Och! - wykrzyknęła Tessa, modulując głos na wielkie zdziwienie. - Nic mi nie mówiłaś, że Will jest mężczyzną. Teraz wszystko zaczynam rozumieć.

- Ha! Ha! Bardzo śmieszne.

- Siostrzyczko, powtarzasz mi, że on nie będzie rozmawiał, ale co ty mu mówisz?

- Powiedziałam, że zostawiam mu swobodę.

- Wiesz, o co mi chodzi - odparła Tessa. - Na zewnątrz zachowujesz stoicki spokój, kierujesz się logiką, pozwalasz mu myśleć, że to jakiś matematyczny problem mający rozwiązanie x lub y, a w środku umierasz, tylko nie dajesz tego po sobie poznać, bo nie chcesz wyglądać jak dama w opałach. - Tessa urwała, żeby nabrać powietrza. - Nie ma nic złego w tym, że się jest damą. Tu nie chodzi o sprawy damsko-męskie. To sprawa ludzka. Ty lubisz się o niego troszczyć. Ty lubisz czuć się potrzebna. To żaden grzech pozwolić Willowi żywić takie same uczucia względem ciebie.

Sara wiedziała, co teraz nastąpi, zanim Tessa zdążyła to wyartykułować.

- Musisz mu pokazać, co czujesz.

- Tessa, ja... - Sara musiała powiedzieć prawdę, choćby

tylko siostrze. - Wiem, że to małostkowe, ale nie chcę czuć się jak drugi wybór Willa.

Tessa milczała przez długą chwilę.

- Will jest twoim drugim wyborem - powiedziała w końcu, mając na myśli Jeffreya.

- To nie to samo.

- Z wielu różnych powodów to dla Willa o wiele gorsza sytuacja. Nie ulega wątpliwości, że byłabyś z Jeffreyem, gdyby nadal żył. Na korzyść Willa przemawia to, że chociaż Angie nadal żyje, on wybiera ciebie. To coś więcej niż rozwód. Musisz znosić jego wredną byłą żonę. Połowa żeńskiej populacji ma ten problem.

Sara oparła głowę o szafkę. Patrzyła przez okno w salonie. Błękitne niebo było prawie bezchmurne. Zastanawiała się, jak Will spędza sobotę. Zdawkowa rozmowa telefoniczna wczoraj wieczorem polegała na wymianie informacji o planach, którymi oboje nie potrafili się ekscytować.

- Każdy człowiek niesie jakiś bagaż - ciągnęła Tessa. - Ty masz za sobą historię z Jeffreyem. Bóg widzi, jaki ciężar ja muszę nieść. Ludzie mają różne doświadczenia. Następny facet, o ile tak zdecydujesz, też będzie dźwigał swój bagaż. Papież go ma. Jeffrey go miał, a ty mu tego nie wypominałaś.

- Bo należał do mnie - powiedziała Sara. Dotarło do niej, że to najbardziej boli. Była zazdrosna. Nie chciała dzielić się Willem z nikim innym. Jego umysłem. Jego sercem. Jego ciałem. Pragnęła go całego wyłącznie dla siebie.

- Nie płacz, siostrzyczko.

- Nie płaczę - skłamała Sara, a łzy wielkie jak grochy

płynęły jej po policzkach. Teoretycznie umiałyby podać wszystkie ważne powody, dla których Will nie był mężczyzną dla niej. Ale na myśl, że może go stracić, nie miała siły wstać z łóżka.

Bipnięcia w telefonie oznaczały, że zostało im trzydzieści sekund.

- Wiesz, jakie masz wyjście - powiedziała Tessa. - Powiedzieć Willowi, że go kochasz; że chcesz go w swoim życiu i że bez niego jesteś nieszczęśliwa.

- Albo?

- Włączyć Dolly Parton i dokończyć sprzątanie szafek.

Sara rozejrzała się po kuchni. Naprawdę powinna skończyć z tą nudną przewidywalnością.

- Jest trzecie wyjście?

- Wyrwać mu włosy z jaj.

Sara wybuchnęła śmiechem.

Czekały bez słowa na trzy ostatnie szybkie piknięcia w telefonie przed zerwaniem połączenia.

Sara odłożyła słuchawkę. Znowu spojrzała przez okno. Na tle nieba zobaczyła ptaka trzepoczącego skrzydłami. Tęskniła za karmnikami w ogrodzie. Pomyślała o domach, jakie oglądali z Willem całą wieczność temu. Wyobrażała sobie wspólne weekendy. Ona napełnia karmnik dla kolibrów, robi pranie, a potem czyta na werandzie, podczas gdy Will grzebie przy aucie.

Kiedy stali wszyscy w szpitalnej poczekalni na oddziale intensywnej terapii, Angie powiedziała, że chce zapewnić córce szczęśliwe życie.



Sara mogła dać Willowi szczęście. Dałaby mu wszystko, gdyby tylko zechciał jej na to pozwolić.

Psy zeskoczyły z kanapy i podeszły do drzwi. Wesół machały ogonami. Znały człowieka, który stał po drugiej stronie.

Zareagowała instynktownie. Pomyślała o włosach spiętych w kocyk babuni. O spływającym z niej pocie. O zaczerwienionej od płaczu twarzy. O złachmanionej koszulce i obciętych dżinsach. Nawet stanik miała być jaki. Ich związek trwał za krótko, żeby miała pokazać się Willowi w takim stanie.

Zeskoczyła z kontuaru z nadzieją, że zdąży do łazienki, zanim Will otworzy drzwi.

Dotarła tylko do salonu.

- Hej.

Określiła się na pięcie.

Trzymał w ręku plik menu z jedzeniem na wynos.

- Były w korytarzu - powiedział.

- Mój sąsiad wyjechał z miasta.

Położył menu na stole w jadalni i uniósł rękę, w której trzymał klucze do jej mieszkania.

- Czy nadal mogę ich używać?

- Oczywiście.

Sara postawiła na lakoniczność. Wygładziła koszulkę. Will najwyraźniej przyszedł z domu. Miał na sobie dżinsy i jedną z koszulek do biegania. Przez myśl przeszła jej trzecia propozycja Tessy.

- Właśnie dzwoniła Faith. Dwadzieścia minut temu umarł

Kip Kilpatrick.

Sara wiedziała, że przez ostatnią dobę leżał w szpitalu w ciężkim stanie.

- Wiedzą, co mu było?

- Przyjął dużą ilość glikolu etylenowego. To związek obecny w płynie do chłodziw i...

- ...oleju przekładniowym - dopowiedziała, przypominając sobie charakterystyczną czerwoną butelkę w bagażniku Angie. - Ujdzie jej to na sucho, prawda?

- Nic mnie to nie obchodzi. To znaczy obchodzi o tyle, że umarł człowiek, chociaż był kutasem. - Wzruszył ramionami.

- Faith mówi, że to napój energetyczny. Jest czerwony tak jak olej przekładniowy i ma słodki smak, więc Kilpatrick nie wyczuł nic dziwnego. Połowa butelek w minilodówce w jego biurze była przekłuta.

- Sprytne.

- Uhm.

Oboje umilkli.

Sara czuła, jakby od półtora tygodnia miała do czynienia z wariacjami jednej i tej samej rozmowy. Mówili o kolejnym strasznym uczynku Angie. Mówili o pracy. Któreś proponowało coś przekąsić, w trakcie jedzenia kontynuowali sztuczną wymianę zdań, potem Will usprawiedliwiał się, że musi wracać do domu dokończyć papierkową robotę, a Sara zostawała sama i gapiła się w sufit.

- Co dalej? Pora na lunch. Jesteś głodny?

- Mogę coś zjeść.

- W domu nic nie ma. Jeśli mamy wyjść, muszę wziąć

prysznic.

- Tęsknię za tobą.

Sara zaniemówiła, uderzona jego bezpośredniością.

- Tęsknię za twoim głosem. Tęsknię za twoją twarzą. -  
Podszedł do niej. - Tęsknię za twoim dotykiem. Za rozmową  
z tobą. Za przebywaniem z tobą. - Przystanął dwa metry  
przed nią. - Tęsknię za tym, jak poruszasz biodrami, kiedy  
jestem w tobie.

Sara zagryzła wargi.

- Chciałem dać ci trochę czasu, ale czuję, że to nie działa.  
Powinienem raczej zacząć cię całować i przestać, dopiero  
kiedy mi wybaczysz.

Gdyby to było takie proste.

- Skarbie, wiesz, że nie jestem na ciebie zła.

Włożył ręce do kieszeni. Nie patrzył w podłogę. Nie patrzył  
ponad jej ramieniem.

- Dostałem termin na koniec następnego miesiąca. Jest  
coś, co się nazywa rozwodem przez podanie do wiadomości  
publicznej. W gazecie ukazuje się ogłoszenie i jeśli w ciągu  
sześciu tygodni druga strona się nie odezwie, sędzia może  
ogłosić rozwód.

Sara zmarszczyła brwi.

- Dlaczego nie zrobiłeś tego wcześniej?

- Adwokat mówił, że do tego nigdy nie dojdzie, bo  
sędziowie nie lubią załatwiać tego w taki sposób, rzadko się  
na to godzą. Poprosiłem Amandę o pomoc w znalezieniu  
sędziego, który to zrobi.

Sara wiedziała, jak trudno było Willowi prosić o pomoc.

- Przepraszam, że ukrywałem przed tobą różne sprawy. Wiem, że to poważne uchybienie. Przepraszam.

- Dziękuję. - Tylko to przyszło Sarze do głowy.

Jednak Will jeszcze nie skończył.

- W dzieciństwie musiałem ukrywać złe rzeczy, ukrywałem je przed wszystkimi. Nie chodziło o to, czy kogoś się lubiło, czy nie. Jeśli coś się uzewnętrzniło albo coś powiedziało się źle, to wszystko trafiało do pracownika opieki społecznej, który się tobą zajmował, a on wpisywał to do akt. A ludzie, ewentualni rodzice adopcyjni, pragnęli normalnych dzieci, nie chcieli problemów, więc człowiek miał wybór. Albo zachowywał się naprawdę źle i dawał do zrozumienia, że nie dba o to, czy go wybiorą. Albo zachowywał swoje kłopoty dla siebie i... miał nadzieję.

Sara nie odpowiedziała. Will bardzo rzadko opowiadał o swoim dzieciństwie.

A teraz ciągnął to dalej:

- Z Angie było tak, że cokolwiek jej powiedziałem, zawsze wykorzystywała to przeciwko mnie. Albo mnie raniła, albo robiła ze mnie idiotę, albo... - Wzruszył ramionami, bo możliwości było mnóstwo, więc jak je wyliczać. - Dlatego wszystko dusiłem w sobie, obojętnie, czy to było coś ważnego, czy nieistotnego. To był mój sposób obrony. - Do tej pory nie odwrócił wzroku. - Wiem, że nie jesteś Angie. Wiem, że nie jestem już dzieckiem z sierocińca, ale to mi weszło w krew. Taki mam zwyczaj, że nie mówię ci o różnych rzeczach. To nie cecha charakteru. To skaza. Coś, co mogę zmienić.

- Will... - Gdyby powiedział jej o tym dwa tygodnie temu, rzuciłaby mu się w ramiona.

- Przyniosłem ci to. - Wyjął z kieszeni klucz i przesunął go po kontuarze w jej stronę. - Zmieniłem zamki, założyłem alarm, zmieniłem szyfr do sejf. Wyzbyłem się wszystkiego, co miało coś wspólnego z Angie. - Przerwał na moment. - Rozumiem, że potrzebujesz czasu, ale wiedz, że nigdy nie pozwolę ci odejść. Nigdy.

Sara pokręciła głową nad bezsensownością tej deklaracji.

- Doceniam ten gest, ale tu chodzi o coś znacznie poważniejszego.

- Wcale nie - zaproponował jak zwykle. - Nie musimy tego rozstrzygać, analizować, dzielić włosa na czworo. Liczy się tylko to, co do siebie czujemy. Wiem, że mnie kochasz, a ty wiesz, że ja kocham ciebie.

Sara czuła się jak w błędnym kole. Will przeproszał, że nie mówił jej o wielu sprawach, a potem deklarował, że nie powinni o nich mówić.

- Tak czy siak teraz wychodzę. Dam ci czas na przemyślenia. Może za mną zatęsknisz. - Położył rękę na gałce drzwiowej. - Będę tutaj, kiedy podejmiesz decyzję.

Drzwi zamknęły się za nim cicho.

Sara patrzyła na nie i nie mogła przestać kręcić głową. Czuła się jak pies z kleszczem w uchu. Will był irytująco enigmatyczny.

„Będę tutaj, kiedy podejmiesz decyzję”.

Co to znaczyło?

„Tutaj” w znaczeniu przenośnym czy „tutaj” w sensie

dosłownym, na korytarzu pod jej drzwiami?

Poza tym dlaczego tylko ona miała decydować? Czy przyszłość ich związku nie powinna zależeć od wspólnie podjętej decyzji?

Czarno to widziała.

Wróciła do kuchni. Garnki i rondle leżały porozrzucone na podłodze. Rura odkurzacza była pełna psiej sierści. Powinna ją wyczyścić, zanim zabierze się do szafek. A może dzisiaj należałoby dać już sobie spokój ze sprzątaniami, wziąć prysznic, zasiąść na kanapie i poczekać z drinkiem na stosowną porę?

Psy poszły za nią do łazienki. Odkręciła wodę. Zdjęła ubranie, ale nie weszła pod prysznic.

Słowa Willa dźwięczały jej w głowie jak piosenka zapętłona w odtwarzaczu. Wspomnienia tylko rozpały jej irytację jak krzesiwo uderzające o kamień w zapalniczce. Wszystko, co Will jej zaoferował, to pyrrusowe zwycięstwa. W końcu rozwodził się z Angie, ale ona i tak nie zniknie z jego życia. Zmienił zamki, ale Angie znajdzie sposób na wejście do domu jak przedtem. Zainstalował alarm. Angie pozna kod, tak jak Will znał kod, którym odblokował jej komórkę. Powiedział, że nigdy nie zostawi Sary. I co? Angie też jej nie zostawi. Kolejny raz zademonstrował życzeniowe myślenie, że wystarczy tylko poczekać, a wszystko w magiczny sposób samo się rozwiąże.

Zakręciła prysznic. Była tak zdenerwowana, że ręce jej się trzęsły. Włożyła szlafrok i weszła do sypialni. Podniosła telefon, żeby zadzwonić do Tessy, ale przypomniała sobie

komórkę utopioną w wychodku. I pomyślała, że rozmowa z siostrą jest bezcelowa. Od Tessy usłyszałyby oczywistość, mianowicie że Will okreśną drogą zaofiarował jej wszystko, czego chciała od niego przez półtora roku, a ona pozwoliła mu wyjść.

Usiadła na łóżku.

Matoł, pomyślała, nie wiedząc jednak, czy myśli o sobie, czy o Willu.

Musiała spojrzeć na sprawę chłodno i logicznie. Deklarację Willa można było zinterpretować na dwa sposoby. Pierwszy: Will postara się być bardziej otwarty, ale wolałby wepchnąć sobie igły pod powieki, niż rozmawiać o ich związku. Drugi: po co mówić o tym, czego chcą, skoro już mają wszystko, czego potrzebują?

Jeden i dwa. X i Y.

- Niech to szlag - mruknęła.

Nie znosiła, kiedy matka miała rację. Ale jeszcze gorsza była sytuacja, kiedy rację miała młodsza siostra.

Wstała z łóżka, owinęła się szczelnie szlafrokiem i wyszła z sypialni. Minęła salon, psy poszły za nią do drzwi. Zastrzygły uszami, gdy położyła rękę na gałce.

Nagle jej determinacja osłabła.

Co, jeśli Willa nie ma za drzwiami?

Ile czasu upłynęło? Pięć minut? Dziesięć? Nie czekałby tak długo.

A jeśli „tutaj” znaczyło „gdzie indziej”?

Logika ją zawiodła, musiała więc zdać się na los. Jeśli Will nie będzie czekał na korytarzu, uzna jego nieobecność za

znak. Że nie było im pisane. Że była głupia. Że Angie wygrała. Że ona jej na to pozwoliła, bo zamiast docenić, co ma, obsesyjnie myślała o tym, czego chce.

„Pokaż mu, co czujesz”.

Tessa przekonywała ją, żeby bardziej się odsłoniła. Nie mogła bardziej się odsłonić niż teraz, gdy otwierając drzwi, nie wiedziała, co ją spotka po drugiej stronie.

Poluzowała szlafrok.

Rozpuściła włosy.

Otworzyła drzwi.



## EPILOG

Angie siedziała w parku na drewnianej ławce. Deski były lodowate. Powinna włożyć płaszcz, ale styczniowa pogoda stanowiła przedziwną mieszankę przenikliwego zimna w cieniu i palącego gorąca w słońcu. Angie celowo wybrała ławkę ocienioną drzewami. Nie chowała się, ale nie chciała zostać dostrzeżona.

Jej dogodne stanowisko obserwacyjne oferowało widok na Anthony'ego.

Jej wnuka. Nie faktycznie, ale genetycznie.

Siedział na huśtawce otoczony przez co najmniej dziesięcioro dzieci. Nogi miał wyprostowane, głowę odchyłoną. Chichotał za każdym razem, gdy udało mu się pofrunąć wyżej. Nie znała się na dzieciach, ale wiedziała, że właśnie tak powinien zachowywać się sześciolatek. Nie siedzieć pod ścianą i przyglądać się zabawie innych dzieci, ale być z nimi, biegać i śmiać się jak one.

Miała nadzieję, że szczęście chłopca będzie trwało już niezakłócone. Od samobójstwa Reubena Figaroi minęło pół roku. Matka Anthony'ego omal nie umarła, bezwzględna suka przetrzymywała chłopca przez dwa dni. Wrócili z Atlanty do Thomaston, gdzie mieszkali bliscy jego matki. Chodził do nowej szkoły, musiał znaleźć sobie nowych przyjaciół. Jego ojciec ciągle pojawiał się w prasie i telewizji,

w miarę jak wychodziły na światło dzienne jego grzechy.

Ale w tej chwili Anthony całym sobą cieszył się zabawą na huśtawce. Dzieci przypominają gumki recepturki, które po rozciągnięciu szybko wracają do pierwotnej postaci. Dopiero w dziesiątym roku życia zaczynają chować się przed wspomnieniami.

Czy Jo nadal to robiła?

Angie spojrzała w kierunku piknikowego stołu, przy którym siedziały matki.

Jo siedziała z nimi, ale z brzegu. Rękę miała na temblaku wiszącym nisko na wysokości talii. Angie nie znała rokowań, ale fakt, że Jo nadal miała całą rękę, potraktowała jak dobry znak. Za dobrą monetę wzięła też to, że córka w końcu dołączyła do reszty kobiet. Parkowe spotkania matek odbywały się każdego popołudnia, jednak Jo miesiącami trzymała się z boku. Uśmiechała się uprzejmie, posyłając lekkie skinienia głowy znad gazety albo książki o kilka stołów dalej. To, że siedziała teraz z nimi, spoglądała na nie i rozmawiała, było jawnym dowodem postępu w kontaktach.

Angie nie rozmawiała z córką od dnia, kiedy Delilah próbowała ją zamordować. A przynajmniej nie bezpośrednio. Ostatnią rzeczą, jaką powiedziała Jo, gdy przywiozła ją do szpitala Grady, była lista instrukcji. W drodze do szpitala zadzwoniła do Denny'ego. Ngô też tam był, musieli więc we trójkę wymyślić dla Jo wiarygodny scenariusz. I tak ustalili, że Jo zranił jej chłopak, który zaraz potem zniknął, ona nie poda jego nazwiska, bo nie chce wnosić oskarżenia, a sama nazywa się Delilah Palmer.

Jo dobrze odegrała swoją rolę, ale nie miała pojęcia o innych rzeczach, które zrobiła Angie, jak uprzątnięcie bałaganu na miejscu zbrodni czy wykorzystanie policyjnej wiedzy do zmylenia tropów. Jak zabranie Delilah w ostatnią, najsmutniejszą jazdę życia.

Nadal wzdygała się na wspomnienie tego, co zrobiła z ciałem Delilah. Nie chodziło wcale o to, że pozwoliła jej umrzeć, ponieważ suka zasłużyła na śmierć, ale o zmasakrowanie jej nożem.

Angie była groźna, ale z pewnością nie chora.

Cel uświęca środki. Jo stanowiła chodzący dowód prawdziwości tego powiedzenia. Dosłownie, ponieważ chodziła. Co do reszty, to Angie nie miała pojęcia. Ręka Jo prędzej czy później się zagoi, ale niektóre rany pozostają otwarte bez względu na zastosowany lek.

Mogła tylko zgadywać, co dzieje się teraz w głowie córki. Jo nadal czuła się winna z powodu Reubena, ale większe wyrzuty sumienia towarzyszyły uczuciu bezbrzeżnej ulgi z powodu jego śmierci. Jo martwiła się o Anthony'ego, o krótkotrwałe i długotrwałe skutki tej historii. O siebie jeszcze nie, ale czuła się obnażona, ponieważ cały świat usłyszał, jak mąż traktował ją, jak traktował Anthony'ego i jak potraktował Keiszę Miscavage. I inne kobiety, ponieważ zaczęły wychodzić na jaw inne historie. Marcus Rippy i Reuben Figaroa mieli na koncie gościnne występy w całym kraju, podczas których odurzali i gwałcili kobiety. Liczba ich ofiar sięgała trzydziestu.

Angie zastanawiała się, czy Jo znalazła pocieszenie

w informacji, że Reuben nigdy nie bił gwałconych kobiet. To zarezerwował wyłącznie dla niej.

Gdyby prowadzić punktację, a Angie należała do ludzi o tego typu skłonnościach, to prawdziwą wygraną okazała się Keisha Miscavage. Chociaż każdy internauta mógł obejrzeć w sieci nagranie jej gwałtu, ona nie schowała się przed światem do mysiej dziury. Angie śledziła jej dalsze losy relacjonowane w mediach. Keisha wróciła na studia, przestała ćpać, prowadziła spotkania ze studentami, opowiadając o napaści. Ludzie jej uwierzyli, a przynajmniej większość zaczęła jej wierzyć. Jedna kobieta oskarżająca mężczyznę o gwałt była stukniętą szmatą, ale zgłoszenie tego przez kilka czy kilkadziesiąt kobiet dawało do myślenia.

Anthony zeskoczył z huśtawki. Źle wylądował i klapnął pupą o ziemię. Jo zerwała się na równe nogi, ale chłopiec wstał, otrzepał się z piasku i w podskokach oddalił się od huśtawki.

Jo nie usiadła, póki syn nie wybrał sobie kolejnej zabawy. Tym razem było to wspinanie po linie. Przyciskała rękę do serca, a inne matki podkpiwały z jej nadopiekuńczości. Uśmiechnęła się, ale nie podniosła głowy, niechętnie traktując nawet tak niewielką i niewinną uwagę innych.

Angie pragnęła, żeby Jo była podobna do Keishy. Żeby wyszła do świata, kazała wszystkim się walić, stawiała czoło życiu, była silna jak jej matka. Żeby przestała chować się po kątach.

Czy to była nieśmiałość? A może strach?

W ciągu ostatnich miesięcy Angie w myślach układała list

do Jo. Nie żeby spędzało jej to sen z powiek. Nie miała obsesji. Zdania przychodziły same, kiedy pakowała rzeczy przed przeprowadzką w nowe miejsce albo jechała nowym samochodem:

*Powinnam była cię zatrzymać.*

*Nie powinnam była cię oddawać.*

*Pokochałam cię w chwili, kiedy zobaczyłam, jak wrzeszczysz na tego dupka w Starbucksie, bo właśnie wtedy zrozumiałam, że jesteś moją córką.*

Wiedziała, że nigdy nie napisze tego listu. Za bardzo zależało jej na szczęśliwym zakończeniu dla Jo. Chociaż pokusa wcale nie odeszła. Angie była zimną egoistką, udowodniła, że nie waha się zabić, jeśli ktoś stanie jej na drodze, ale teraz zadowalała się właśnie tym. Obserwowaniem córki z daleka.

Jo sprawiała wrażenie, że dojdzie do siebie. Częściej wychodziła z domu, czasem przesiadywała godzinami w kawiarni niedaleko szkoły Anthony'ego po prostu dlatego, że mogła. Innym razem wchodziła do kościoła, siadała w tylnej ławce, trzymała splecione dłonie na kolanach i patrzyła na witraże za ołtarzem. Otaczały ją ciotki, kuzynki i chmara innych hałaśliwych szczęśliwych ludzi, z którymi Angie nie wyobrażała sobie Święta Dziękczynienia czy Bożego Narodzenia. Anthony chodził do prywatnej szkoły w pobliskim hrabstwie. Oboje byli zabezpieczeni finansowo. Wprawdzie Jo nie figurowała na żadnych rachunkach bankowych Reubena Figaroi, ale była jego żoną w chwili, kiedy wybrał tchórzowskie rozwiązanie, i w związku z tym

odziedziczyła wszystkie jego inwestycje, nieruchomości, samochody, pieniądze.

Angie miała własny spadek. Po wujku, co zakrawało na ironię, ponieważ Dale nie interesował się swoją siostrzenicą, póki z horyzontu nie zniknęła Deidre. W sumie Angie wyjęła z bagażnika jego kii osiemnaście tysięcy dolarów w gotówce. Razem z pieniędzmi na koncie miała prawie pięćdziesiąt tysięcy, co dawało jej swobodę do czasu podjęcia decyzji, co zrobić dalej ze swoim życiem.

Wrócić do pracy prywatnego detektywa? Do szwindli? Do stręczenia dziewczyn? Do rozprowadzania tabletek? Do Atlanty?

Odkąd Deidre zaćpała i zapadła się w nicość, Angie czuła, że nie ma wyboru. Miała dziesięć lat, a Dale ciągle był przy niej, popychał, ciągnął, bił i decydował za nią. Nawet kiedy udało jej się wyrwać, Virginia zawsze zaganiała ją z powrotem między swoich.

W wyobrażonym liście do Jo wyjaśniłaby jej, jak Dale i Virginia złapali ją w swoje szpony. Kiedy to się stało, była zaledwie o cztery lata starsza od Anthony'ego. Bezbronna, bezradna, przerażona. Robiła wszystko, żeby ich uszczęśliwić, ponieważ tylko ich miała na świecie. Może nawet zacytowałaby LaDonnę Rippy. Tę sadystkę, tak przywiązaną do swoich szpilek, czekała długa odsiadka, ale co do natury spustoszenia, to miała rację. Niektórzy nosili w sobie pustkę, którą przez całe życie starali się wypełnić. Nienawiścią. Prochami. Machinacjami. Zazdrością. Miłością dziecka. Pięścią mężczyzny.

Angie pozostawiła w Jo pustkę. Do tego musiała się przyznać. Jo miała adopcyjnych rodziców, wiodła normalne życie, ale w chwili, kiedy Angie wyszła ze szpitalnej sali, w Jo dokonało się wewnętrzne rozdarcie. Stare powiedzenie mówi, że kobiety wychodzą za swoich ojców. Angie towarzyszyło nieprzyjemne uczucie, że Jo ciągnęło do mężczyzn podobnych do jej rodzonej matki.

Nie miała wiele na swoje usprawiedliwienie, ale właśnie to powiedziałaaby swojej córce. Zło nie manifestuje się od razu w pełni. Jest raczej jak kolejne kostki domina dokładane do konstrukcji. Krzywdzisz kogoś przypadkiem i uchodzi ci to płazem. Wtedy krzywdzisz go celowo, a on nadal przy tobie trwa. Uświadamiasz sobie, że im bardziej go krzywdzisz, tym lepiej się czujesz. Więc dalej go krzywdzisz, on nadal przy tobie trwa, mijają lata, a ty uznajesz, że ból, który zadajesz, nie jest zły, skoro nikt cię z tego powodu nie opuszcza.

Ale to budzi nienawiść. Nienawidzisz siebie za to, co robisz innym. I innych za to, co robią tobie.

Nagły podmuch zimnego wiatru przeniknął przez cienką koszulę Angie. Spojrzała w górę na gałęzie drzewa, pod którym siedziała. To był chyba platan zachodni, miał prawie trzydzieści metrów wysokości. Martwe liście i cienkie gałązki upodobiały koronę drzewa do siatki na włosy. Potężny pień, płytke korzenie. Drzewo, które mimo całej swojej majestatyczności w końcu padnie przewrócone silnym wiatrem.

- Anthony! - krzyknęła Jo donośnie.

Chłopiec wdrapywał się po zjeżdżalni w górę. Z miną

winowajcy zbiegł z niej i zamachał do mamy w geście przeprosin. Jo powoli wróciła na ławkę. Pokręciła głową. Uśmiechnęła się. Nie był to uśmiech odsłaniający zęby, ale dawał nadzieję na lepsze jutro.

Czy Angie też wyjdzie na prostą?

Tyle rozmyślała nad listem do córki, podczas gdy liczył się tylko jeden list – ten, który napisał do niej Will.

Natychmiast po wyjściu z aresztu pojechała sprawdzić zawartość skrytki pocztowej. Musiała zrealizować ostatni czek od Kipa Kilpatricka przed zamknięciem jej konta.

Czeku nie było.

Zamiast niego znalazła list od Willa.

Właściwie nie list, a raczej notkę, bez koperty. Tylko złożoną kartkę z zeszytu. Nie posłużył się komputerem. Napisał ją odręcznie, chociaż od dawna brał długopis do ręki tylko w sytuacjach wymagających złożenia podpisu. Za bardzo się wstydził. Ostatni raz widziała jego pismo w szkole średniej, jeszcze przed epoką komputerów, zanim ktokolwiek wiedział coś o dysleksji. Wtedy uważano, że jego dziecinne odwrócone litery i fatalna ortografia oznaczają niski iloraz inteligencji.

Typowy Will. Jego notka była zwięzła jak napisy, które Angie zostawiała na szybie auta Sary.

To już koniec.

Trzy słowa, wszystkie podkreślone, bez podpisu. Wyobraziła sobie, jak Will siedzi przy biurku w domu, przygląda się każdemu słowu z osobna, spocony z wysiłku sprawdza pisownię, nie mając pewności, czy zrobił to



bezbłędnie, zbyt dumny, by poprosić kogoś o pomoc.

Sara nie mogła się o tym dowiedzieć. To była sprawa między Willem a Angie.

- Mamo!

Angie drgnęła pod wpływem przenikliwego krzyku. Trzy małe dziewczynki zaczęły biegać w kółko i wrzeszczeć wniebogłosy. Na pierwszy rzut oka zupełnie bez powodu. Dźwięk okazał się zaraźliwy. Niedługo potem krzyczały już wszystkie dzieci.

Angie potraktowała to jak sygnał do odejścia.

Poszła w stronę parkingu. W słońcu szybko się rozgrzała. Miała teraz starszy model chevroleta corvette, kupiony w serwisie ogłoszeniowym. Zapłaciła pieniędzmi wziętymi jako zaliczka z karty kredytowej Delilah Palmer. Jej już nie była potrzebna. Dziwne, ale auto skojarzyło jej się z Delilah. Starte opony, odpryskujący lakier. Za to silnik pracował idealnie, gdy przekręcała kluczyk w stacyjce.

We wnętrzu unosiła się woń perfum. I nie była to wcale pamiątka po poprzedniej właścicielce. Angie ciągle miała połowę zabranego Sarze flakonika Chanel No. 5. Ten zapach nie do końca jej odpowiadał. Sarze chyba też nie.

Nadal miała oko na swoją następczynię.

Sam Vera zapewnił jej połączenie z laptopem Sary. Zastosował tę samą technologię, jak przy klonowaniu komputera Reubena Figaroi. Zawartość komputera Sary aktualizowała się u Angie w czasie rzeczywistym.

Sara nadal pisała do siostry ckiwe mejle o Willu.

*Kiedy trzyma mnie w ramionach, myślę tylko o tym, żeby*

*tak było już zawsze.*

Angie ubawiła się, przeczytawszy to zdanie.

„Zawsze” nigdy nie trwa tak długo, jak sądzimy.

Tytuł oryginału: The Kept Woman

Pierwsze wydanie: HarperCollins Publishers LLC, Nowy Jork, USA, 2016

Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media

Redaktor prowadzący: Grażyna Ordega

Opracowanie redakcyjne: Jakub Sosnowski

Korekta: Małgorzata Narewska

© 2016 by Karin Slaughter

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o. Warszawa, 2016

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieł w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji HarperCollins Publishers, LLC.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC.

Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: Thinkstockphotos, projekt: Büropecher gmbh&co.kg

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

[www.harlequin.pl](http://www.harlequin.pl)

ISBN: 978-83-276-2168-9

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o.